

Jarosław Domański

KRAŃCOWO III

Krańcowo III

Redakcja: Monika Szymankiewicz
Korekta: Monika Szymankiewicz, Jarosław Domański
Grafika na okładce: Jarosław Domański, Marcin Siuda



Opracowanie graficzne i projekt okładki: Marcin Siuda • LeGrafik.pl

© Jarosław Domański, 2025
© Marcin Siuda, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2025

ISBN: 978-83-964000-2-4

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Mikołaja Ciurlionisa 4



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w Internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Jarosław Domański

Krańcowo III

Spis treści

Prolog	11
Po tamtej stronie	21
Radio na sznurze	49
Spółeczeństwo pogardy	71
Miasto Przychodnia.....	91
Los dla ścierwa	113
Doktor.....	137
Duchy nad rzeką.....	177
Ból egzystencjalny	205
Szczere rozmowy	231
Faktoria	259
Domykając Życie	279
Epitafium.....	295
Pięść Daniela	325
Rozbłysk	353
Zalane miasto	393
Jednoczący	413
Upadek	437
Rozdroże.....	461
Świat, który umarł	479
Epilog.....	505



1



3



2

4



7



5



6

KRAŃCOWO

by. M. Grefkowicz



9

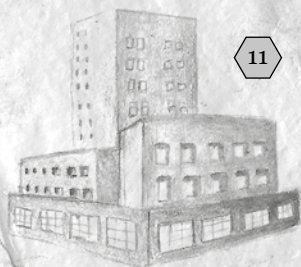


8

1. Kryjówka Smutnego
2. Magistrat
3. Wieś Rybnica
4. Obszar ataków ścierwojadów
5. Kryjówka ścierwojadów
6. Sad wileński

7. Garaż
8. Zniszczony obóz pracy
9. Hurtownia
10. Dzielnica krzyków
11. Miasto Przychodnia
12. Strefa głodu
13. Faktoria
14. Sojusz bloków

15. Dawna kryjówka Defektu
16. Wspólnota
17. Kościół kanibali
18. Zakłady chemiczne
19. Osiedle zatorze (późniejsza Zwrotnica)



11



12



10



13



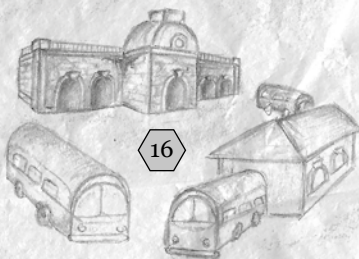
14



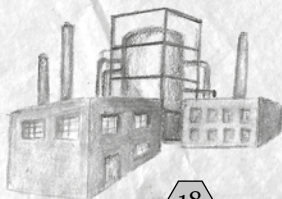
17



15



16



18



19

Wyjątkowa Dedykacja

Świętym i niezbywalnym prawem każdego autora jest możliwość zadedykowania swojej książki. Moją pierwszą książkę zadedykowałem więc ukochanej żonie, która była, jest i zawsze będzie fundamentem mojego życia. Drugą – najbliższej rodzinie, ludziom, którzy są moją kotwicą i opoką w każdym sztormie.

Trzecią książkę pragnę natomiast poświęcić Wam, moi drodzy Czytelnicy. To Wasze wsparcie, Wasze słowa, zainteresowanie oraz gotowość, by dać szansę mojej twórczości, pozwoliły uniwersum Krańcowo ujrzeć światło dzienne. Dziękuję Wam wszystkim, że byliście i jesteście częścią tej przygody.

Już raz to napisałem, ale powtórzę jeszcze raz – ta książka powstała wyłącznie dzięki Wam i wyłącznie dla Was.

.:Piotr. z rodu .:Abramik.

vel „Sos”, pisarz

Adam Kucharski

Adam Syczewski

Adrian Fleszar

Adrian Konieczny

Agnieszka Gruchalska

Aleksander Kadis

Alina Kisielowska

Andrzej i Grażyna Grajczak

Anna Domańska

Arkadiusz Budny

Arkadiusz Wesółowski

Arkadiusz Wojciechowski

Artur Kępczyk

Artur Kwiatkowski

Artur Miszkiewicz

baca

Bartłomiej Pawlak

Bartosz Lempicki

Bernard Sosulski

Błażej

Cezary Dąbkowski

Damian Dobrołęcki

Daria Garbowska

Dariusz Ciesielski

Dariusz Maciuk

Dariusz Marciniak

Dominik Bober

Dominik Wrańa

Edward Kowalczyk

Emilia Grajczak

Grabarz Obalek (RIP)

Gracjan Wiśniewski

Grzegorz „Czarcik” Rodziewicz

Grzegorz „Stolgraf” Rodziewicz

Grzegorz „Turawus” Kolasa

Grzegorz Budny

Grzegorz Grajczak

Grzegorz Kłopotek

Grzegorz Zielinski

Igor Mróz

Izabela Kwiatkowska

Jacek Fabinski

Jacek i Małgorzata Domańscy

Jakub Krzemiński

Jakub Leśniak

Jakub Szafran

<i>Jan „Kulawy” Golec</i>	<i>Martyna i Patryk Grefkowicz</i>
<i>Jan Sobczyk</i>	<i>Mateusz Kaczmarek</i>
<i>Jarosław Dąbrowa</i>	<i>Mateusz Kisielewski</i>
<i>Jarosław Maćkowski</i>	<i>Michał Jakubowski</i>
<i>Jędrzej i Marta Lubańscy</i>	<i>Michał Jakubowski</i>
<i>Jony</i>	<i>Michał Kościuczuk</i>
<i>Justyna Oleś-Bernacka</i>	<i>Mikołaj Jagielski</i>
<i>Kacper Fleszar</i>	<i>Mirosław Aszkiełowicz</i>
<i>Kamil Mazur</i>	<i>Monika Krutul</i>
<i>Kamil Piasecki</i>	<i>Monika Szymankiewicz</i>
<i>Kamil Sz</i>	<i>Patrycjusz Grajczak</i>
<i>Karina Kwaśniewska</i>	<i>Paulina Dziedzic</i>
<i>Karol „Kovsai” Owsianka</i>	<i>Paweł Ejsmont</i>
<i>Karolina Walencik</i>	<i>Paweł Gadomski</i>
<i>Karolina, Piotr, Patrick i Vincent</i>	<i>Paweł Jakubowski</i>
<i>Pawłowscy</i>	<i>Radek „Nablator” Mielke</i>
<i>Katarzyna Śliwińska-Koguciuk</i>	<i>Rafał Paprocki</i>
<i>Konrad Kubat</i>	<i>Rafał Guliński</i>
<i>Krzysztof „waste” Pokrywa</i>	<i>Rafał Kucharczyk</i>
<i>Krzysztof Borys</i>	<i>Rafał Zaborowski</i>
<i>Kuba „Maksimovič” Maksymiuk</i>	<i>Robert „Ravalus” Kałużyński</i>
<i>Łukasz Hejnak</i>	<i>Robert „Gutro”</i>
<i>Łukasz Kurpanik</i>	<i>Robert Franckowski</i>
<i>Łukasz Pielak</i>	<i>Sebastian Faryna</i>
<i>Łukasz Skorupka</i>	<i>Sebastian Golec</i>
<i>Maciej Kubiak</i>	<i>Sebastian Krystian Guzowski</i>
<i>Maciej Len Wiśniewski</i>	<i>Sławek Świąt</i>
<i>Maciej Moeller</i>	<i>Sławomir Matusiak</i>
<i>Malwina Lewandowska</i>	<i>Sławomir Świeżyński</i>
<i>Małgorzata Pielaszewska</i>	<i>Tobiasz Wolf</i>
<i>Małgorzata Rudnicka</i>	<i>Tomasz Majchrowski</i>
<i>Marcin „Dragonowy” Gruchalski</i>	<i>Tomasz Pastucha</i>
<i>Marcin G. Wolski</i>	<i>Tomasz Sawicki</i>
<i>Marcin Hyczko</i>	<i>Tomasz Ziętek</i>
<i>Marcin Siuda</i>	<i>Ula Jagielska</i>
<i>Marek Romik</i>	<i>Wiktoria Grajczak</i>
<i>Marek Sergiel</i>	<i>Zbyszek Wasiukiewicz</i>

Prolog

Kiedy opadł kurz bitwy pod Cegielnią, większość Weteranów z Krańcowa nie spodziewała się, że w najbliższym czasie cokolwiek może znacząco wpłynąć na ich sposób życia w Nowym Świecie. Armia Daniela, po ciężkiej porażce i utracie całego oddziału Ręki Olbrzyma, nie wydawała się już właściwie zagrożeniem dla spokoju w mieście. Desperacki atak na Wspólnotę z użyciem Delimera tylko utwierdzał większość społeczności w przekonaniu, że Daniel jest obecnie słaby i nie będzie miał siły, by zdecydować się na kolejną otwartą walkę.

Chwilowy brak realnego „wielkiego” zagrożenia sprawił, że uwaga wędrownych gawędziarzy i miłośników wiecznego szukania problemów, ponownie skupiła się na Zarzeczu. Przy ogniskach i w kryjówkach weteranów znów zaczęły rozbrzmiewać historie o postaciach widzianych po tamtej stronie rzeki oraz o tajemnicy, jaką rzekomo skrywała niedostępna część miasta. Do wielokrotnie powtarzanych i utartych opowieści dołączyła jednak zupełnie nowa pogłoska o tajemniczych „zwiadowcach” infiltrujących Centrum, których celem było przygotować grunt pod przyszłą inwazję.

Oczywiście, bardziej sceptyczni Weterani traktowali te historie z dużym przymrużeniem oka. W głowach większości z nich rodziła się ta sama myśl: gdy już zostanie znaleziony sposób na przedostanie się przez rzekę, cała tajemniczość tego miejsca pryśnie. Po drugiej stronie będzie dokładnie ten sam świat, z tymi samymi błędami i podobnie pustymi ulicami. Nawet jeśli niektórzy rozważali możliwość, że garstka ludzi rzeczywiście pojawiła się i przetrwała po tamtej stronie, to w większości, nikt nie traktował związanej z nimi groźby szczególnie poważnie. Powszechnie uważano, że w najgorszym przypadku pojawiłaby się jedynie kolejna mała grupa skupiona na przetrwaniu, która musiałaby radzić sobie w piekle Nowego Świata i konkurować o jego ograniczone zasoby.

Złośliwością losu, zanim na dobre zażegnano zagrożenie ze strony Daniela, tajemnica Zarzecza została ujawniona, a tym razem to wyśmiewani gawędziarze i katastrofiści okazali się mieć rację. Zniszczenie Autobusu do Wolności, samo w sobie stanowiące ogromny cios, dla wielu mieszkańców Krańcowa pozwoliło jednocześnie zdemaskować grupę szpiegów i potwierdziło, że rzeczywiście zbierali oni informacje dla swoich włodarzy po tamtej stronie miasta.

Podczas akcji ratowania porwanych dziewcząt z Autobusu do Wolności, jego strażnik Dziki wraz z towarzyszącymi mu Pierwszym i Zjawą, schwytali żywcem jednego ze szpiegów. Po wielu dniach przesłuchań we Wspólnocie, pojmany mężczyzna ostatecznie wyjawiał przerażającą prawdę. Zarzecze nie było pustym obszarem Krańcowo, lecz dystopijnym molochem, od dawna przepelnionym ludźmi i w dłuższej perspektywie pozbawionym szans na przetrwanie — jego jedyną nadzieją było podbicie Centrum.

Ta przerażająca perspektywa sprawiła, że nawet najbardziej zatwardziali samotnicy oraz wolne tria zaczęli dla bezpieczeństwa szukać schronienia w dużych skupiskach. Wspólnota, Sojusz Bloków, Grobelni, a nawet Defekt i Armia Daniela, przeżywały istny najazd nowych ochotników. Z tego samego powodu zaczęły pojawiać się pogłoski o czymś, co do tej pory wydawało się nie do pomyślenia — Sojuszu wszystkich frakcji.

To, co początkowo było tylko plotką snutą nieśmiało przy ogniskach, z każdym kolejnym dniem zaczęło przybierać bardziej realne kształty. Uwieńczeniem tego był sam Daniel, który stanął pod wieżą ciśnień, dawną siedzibą Defektu — miejscem, gdzie nikt w Nowym Świecie nie spodziewał się go nigdy zobaczyć.

Wódz, wraz z towarzyszącym mu oddziałem, na pierwszy rzut oka mógł przypominać jakąś wojskową formację, a przynajmniej dobrze zorganizowaną bojówkę. Praktycznie wszyscy byli ubrani w te same czarne koszulki i zielone bojówki, z charakterystycznym znakiem rozpoznawczym Armii — czerwonymi opaskami przewiązanymi przez lewe ramiona. Jedyną wyróżniającą się w tej grupie postacią był Cichy, prawa ręka Daniela i dowódca oddziału „Stalowi”.

On jako jedyny ubrany był w specyficzny dla swojej formacji uniform — skórzaną kurtkę poprzesywaną gwoździami.

Okolica, w której się znajdowali, była ponura i zaniedbana. Ruiny starych budynków, porośnięte wyschniętymi chwastami i zaroślami, tworzyły istny labirynt zniszczenia. Wieża ciśnień, dominująca nad okolicą, była jedynym elementem otoczenia, który nie uległ jeszcze totalnej dewastacji.

— Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni byłem w tej części miasta... — rzucił Daniel do swoich towarzyszy, a jego wzrok powędrował ku sztycy wieńczącej konstrukcję wieży.

— Ja natomiast dalej nie uważam, żeby to był dobry pomysł... — skwitował Cichy, obserwując uważnie okolicę. — Wchodzimy do jaskini lwa...

Daniel wydawał się nie przejmować potencjalnym zagrożeniem, bo uśmiechnął się tylko szeroko, spoglądając jednocześnie pobłażliwie na swojego kompana.

— Biblijne imię mnie zobowiązuje — stwierdził dumnie. — Zresztą, jeżeli mają potraktować nasze propozycje poważnie, muszę je przekazać osobiście — dodał, po czym spojrzał na zegarek. — Chyba już czas...

Następnie skinieniem głowy rozkazał Cichemu i pozostałym, aby ruszyli za nim. Grupa przemierzała przez kilka minut wyniszczone i wyszabrowane do cna okolice stacji kolejowej, mijając opuszczone budynki, złowieszczo buczące tory i porozrzucane wraki samochodów. Wreszcie, po krótkim marszu, dotarli pod mury Wspólnoty. Te zbudowane ze starych miejskich autobusów, ustawionych jeden obok drugiego, tworzyły prowizoryczną, ale solidną barierę.

Widok zbliżającej się członków Armii momentalnie zmroził pilnujących wejścia strażników. Choć ich wizyta była wcześniej zapowiedziana, nikt we Wspólnocie nie spodziewał się przybycia na rozmowy samego Daniela. Wartownicy, ubrani w zniszczone mundury i uzbrojeni w długą broń, zacisnęli nerwowo ręce na swoich karabinach. O mocy dowódcy Armii krążyły w Krańcowie istne legendy, więc ich zachowanie nie było niczym dziwnym.

Daniel wysunął się powoli na przód swojej grupy, podchodząc do wyraźnie wypłoszonego strażnika bramy.

— Wydaje mi się, że miałem rezerwację — rzucił, spoglądając mu przy tym w oczy.

— Oczywiście..., tak... — odpowiedział strażnik, próbując nieporadnie ukryć swoje zdenerwowanie —..., ale nie mogą wejść wszyscy... — dodał, chociaż jego słowa zabrzmiały bardziej jak delikatna sugestia niż twardy wymóg.

Cichy, stojący tuż obok Daniela, przyglądał się strażnikowi z nieufnością, jego ręka nie odsuwała się od kabury, jakby w każdej chwili gotów był sięgnąć po pistolet. Daniel, zauważywszy to, uniósł lekko dłoń, dając znak, by zachował spokój.

— Nie ma powodów do nerwów — zwrócił się do strażnika. — Bracia poczekają na mnie za murami. Ze mną wchodzi tylko Cichy — oznajmił, a następnie dodał z przymrużeniem oka — Nie jestem już taki młody, potrzebuję kogoś, by podtrzymał mnie w drodze do drzwi...

Strażnik otrząsnął się nieco i próbując zabrzmieć bardziej stanowczo, dodał po chwili — Musicie też oddać broń!

Daniel spojrzał na niego z politowaniem.

— Oczywiście. Wasze podwórko, wasze zasady... — stwierdził, odpinając pas z pistoletem. Gdy jednak podawał go strażnikowi, nagle chwycił go za przedramię i przysunął do siebie. — Chociaż, gdybym miał ochotę was pozabić, ta broń tylko by mnie ograniczała... — wyszeptał.

Przestraszony strażnik próbował wyrwać się z uścisku, ciągnąc ze wszystkich sił do tyłu, ale niewiele pomogło. Gdy Daniel w końcu puścił jego rękę, mężczyzna upadł ciężko na ziemię, a jego broń uderzyła z głośnym hukiem o beton. Stojący z tyłu bracia ryknęli śmiechem, a dowódca Armii, z pozornie niewinną miną, spojrzał na leżącego.

— To którędy wchodzimy? — spytał, jakby nic się nie wydarzyło.

Ośmieszony strażnik powoli podniósł się i dał znak towarzyszom na murze, że sytuacja jest pod kontrolą. Jedyne działający autobus, służący jako brama, powoli cofnął się, otwierając przejście. Chwilę później, Cichy razem z Danielem weszli na teren Wspólnoty.

Okolice za murami była w nieco lepszym stanie niż świat zewnętrzny — stare budynki, choć wciąż zniszczone, były starannie zabezpieczone przed dalszym rozpadem. Ulice były względnie czyste, a niektóre z domów miały nawet prowizoryczne ogródki, na których niewiele jednak rosło. Ludzie, ubrani w sfatygowane, lecz czyste ubrania, spoglądali z ciekawością na przybyłych, zastanawiając się, jaki cel przyświecał tej niecodziennej wizycie.

— Fajnie zobaczyć to miejsce, zanim ostatecznie zrównam je z ziemią — wyszeptał Daniel, mierząc okolicę wzrokiem.

Cichy, słysząc swojego wodza, pokręcił tylko głową.

— Najpierw musimy rozwiązać bardziej palący problem, więc proszę, pozostawmy skupienie... — zarządził stanowczo.

Daniel, zareagował na to ciężkim westchnieniem.

— Szybko osiwiejesz Cichy, jak będziesz taki poważny — skwitował, spoglądając surowo na towarzysza.

W tym czasie do mężczyzn podszedł jakiś człowiek, najpewniej przedstawiciel tutejszych władz. Był to sędziwy, jak na Nowy Świat, mężczyzna o zmęczonym wyrazie twarzy i przenikliwych oczach.

— Spotkanie odbędzie się w dawnym budynku baru, proszę za mną... — oznajmił niepewnie i nieco zbyt szybkim krokiem ruszył pierwszy, wskazując im drogę.

Daniel i Cichy, bez słowa sprzeciwu, podążyli za nim aż do wspomnianego budynku.

Wchodząc do środka, mężczyźni poczuli zapach starego drewna i dymu papierosowego. Wnętrze było ponure, oświetlone jedynie kilkoma migoczącymi żarówkami. Wokół stały proste stoły i krzesła, a na ścianach wisiały zniszczone plakaty budżetowego piwa z czasów na długo sprzed Błysku.

W pomieszczeniu było praktycznie pusto. Jedyne przy oddalonym w rogu stoliku siedziała jakaś postać, a Daniel i Cichy natychmiast skupili na niej wzrok. Ubrany w szarą bluzę i kamizelkę kuloodporną mężczyzna pochylił się do przodu, tak by złapało go światło wpadające przez jedno z okien.

— Kopę lat, bracie Danielu — powiedział Krzak, a w tym samym czasie mężczyzna ze Wspólnoty, cichaczem wymknął się z baru.

Lider Armii uśmiechnął się sztucznie, podchodząc bliżej swojego dawnego kompana.

— Krzysiek..., cóż za niespodziewane spotkanie! — zawołał, nie wyciągając jednak ręki na powitanie. — Słyszałem, że ze Wspólnotą ostatnio ci wca-

le nie po drodze. Choć gdy dotarła do mnie ta szczerza deklaracja, że żałujesz odejścia... Chłopie! Prawie miałem ochotę dać ci drugą szansę.

Krzak podniósł się z miejsca, stając pewnie naprzeciw swojego dawnego przywódcy. — Więc to też do ciebie dotarło... W każdym miejscu jest jakiś twój szpicel? — spytał z przekąsem, unosząc przy tym brew.

Daniel zmierzył go wzrokiem i odpowiedział z lodowatym spokojem. — Ja jestem dobrym płatnikiem, a ludzie we Wspólnocie są cholernie niełojalni. Sam wiesz o tym najlepiej... — dodał, przypominając Krzakowi, że nie tak dawno został wyrzucony z miejsca, które właściwie sam zbudował.

Krzak, nie chcąc dać mu satysfakcji, odpowiedział z pokerową twarzą — To fakt...

Cichy zbliżył się tymczasem do niego, przechodząc z prawej strony swojego wodza. — Więc zacząłeś już piąć się w górę? — spytał z wyraźną kpinką. — Bycie gonicielem w Sojuszu Bloków nie wystarczyło?

— Nie pierwszy raz się mylisz, Cichy — oznajmił Krzak, wyraźnie zadowolony z faktu, że został nietrafnie oceniony. — Nie interesuje mnie już żaden rodzaj przywództwa. Jestem tu tylko w formie przewodnika...

Ostatnie zdanie wyjątkowo zaintrygowało Daniela, bo rozejrzał się odruchowo po barze, pytając — Przewodnika? Dla kogo?

W tym momencie z dawnej kuchni dobiegł charakterystyczny, nieco szorstki głos — Dla mnie... — a do pomieszczenia wszedł bardzo niski i szczupły mężczyzna w okularach. Jego postura i twarz przypominały nastolatka, jednak pojawiające się zakola i broda zdradzały, że jest znacznie starszy, niż mogłoby się wydawać.

— Boruta... — zgadł Daniel, przyglądając się z zaciekawieniem przybyszowi. — Podobno tak rzadko opuszczasz Sojusz Bloków, że... W sumie to nawet ja miałem wątpliwości, czy naprawdę istniejeś.

Niski mężczyzna zbliżył się pewnie do Lidera Armii, stając prawie naprzeciw niego. — Swoimi błędami chronię cały Sojusz Bloków, nie mogę więc pozwolić sobie na zbyt częste dyspensy. Z drugiej strony podejrzewałem, że jednak się pojawisz. Uznałem więc, że lepiej, jak będzie tutaj ktoś, kto będzie w stanie cię powstrzymać. Tak na wypadek, gdybyś chciał nam zgotować tu jakąś morderczą niespodziankę...

Daniel, słysząc go, cofnął się o krok i wyciągnął rękę jak do powitania. Boruta popatrzył na nią przez chwilę, po czym pewnie ją uściśnął, ale zdecydowanie nie była to zwykła wymiana grzeczności.

Obaj przywódcy wpatrywali się intensywnie w swoje oczy, a ich ubrania drgały, jakby podnoszone przez jakąś dziwną siłę. Napięcie między nimi było niemal namacalne. Powietrze wokół zaczęło wibrować, a delikatne fale energii rozchodziły się od ich rąk. Boruta, mimo swojej drobnej postury, emanował niesamowitą mocą. Jego oczy płonęły determinacją, a uśmiech na twarzy zdradzał zadowolenie z chwilowego wyniku tej demonstracji sił.

— Niesamowite — wycedził Daniel przez zaciśnięte zęby. — Nie sądziłem, że Sojusz Bloków skrywa kogoś o tak potężnej Woli...

Boruta, myśląc pewnie, że jest o krok od zwycięstwa, zwiększył intensywność swojej mocy. Powietrze wokół mężczyzn zgęstniało, a Cichy i Krzak poczuli, jakby jakiś nieokreślony ciężar spadł im na ramiona.

W pewnym momencie twarz Daniela wykrzywiła się w grymasie bólu. Jego ubranie zadrgało jeszcze bardziej, a pot wystąpił na czoło. Boruta uśmiechnął się już triumfalnie, ale wtedy stało się coś nieoczekiwanego. W jednej chwili, energia Daniela wzrosła tak gwałtownie, że szef Sojuszu Bloków wyrwał swoją rękę, jakby przypadkiem dotknął czegoś bardzo gorącego.

— KURWA MAĆ! — krzyknął, spoglądając na wewnętrzną stronę swojej dłoni. — Z czego do cholery czerpiesz tę Wolę?

Daniel, łapiąc oddech, spojrzał na niego z zadziornym uśmiechem, ale nim zdążył odpowiedzieć, do budynku weszły dwie kolejne postacie. Pierwszą był rosły defektowiec w charakterystycznym czerwonym stroju, który prowadził nikogo innego, jak liderkę całej grupy Defekt — Dix. Rana postrzałowa z Bitwy pod Cegielnią musiała ciągle dawać się dziewczynie we znaki, ponieważ wspierała się całkowicie na swoim towarzyszu. Jej twarz była biała, a ruchy ostrożne, jakby każdy krok sprawiał jej ból.

— Pięta! — zawołał natychmiast Daniel, zapominając o Borucie i zbliżył się do dziewczyny. — Tyle czasu, a ty ciągle wyglądasz jak nastolatka — rzucił sztucznym komplementem, dodając po chwili złośliwe — Powiedz, to jakiś krem na zmarszczki? Czy po prostu defekt?

Dix spojrzała na niego chłodno, a jej oczy błysnęły gniewem spod czarnej grzywki.

— Daniel — odparła, starając się zachować spokój. — Dalej otaczasz się miernotami, żeby poczuć się jak król? Czy po prostu lubisz towarzystwo równych sobie?

Po tej wymianie złośliwości, Daniel i Dix popatrzyli na siebie z jeszcze większą odrazą. Krzak i Boruta zbliżyli się już, gotowi powstrzymać ewentualne starcie, ale wódz Armii przybrał w końcu swój kpiący uśmiech i rzucił jedynie — Jedyne miernotami, z jakimi miałem styczność, była Pierwsza Grupa, ale o tym wiesz najlepiej. W końcu sama w niej byłaś...

Dix szykowała się już, by rzucić coś w odpowiedzi, ale nim zdążyła, do baru weszła kolejna osoba. Olbrzymi mężczyzna, górujący nad wszystkimi zebranymi, łysy i ogolony na twarzy gładko jak papier, do tego ubrany w policyjny strój do walki z tłumem.

— Marcin Grobelny! — zawołał wyraźnie zaskoczony Daniel. — Coraz bardziej cieszę mnie, że jednak zdecydowałem się przyjść osobiście. Gdyby pojawił się jeszcze Pierwszy, mielibyśmy tu już małe spotkanie legend Krańcowo.

Marcin rozejrzył się surowo po wnętrzu, ignorując zaczepkę dowódcy Armii. Jego twarz była łącie stoicka, a oczy skupione. — Dlaczego nie ma jeszcze nikogo ze Wspólnoty? — spytał oschłym głosem.

— Może chcą podpalić budynek, żeby pozbyć się nas wszystkich za jednym razem — zakpił Daniel, siadając na wolnym krześle i wyciągając nogi na stół. — Zauważyliście, że tylko nimi nie przewodzi ktoś posługujący się błędami? — stwierdził po chwili, spoglądając na zgromadzonych.

— Delegat Wspólnoty powinien zaraz być — oznajmił pewnie Krzak, jakby wcześniej ustalał już wszystko.

Zebrani czekali jeszcze chwilę w milczeniu. Atmosfera w barze była napięta, powietrze niemal drżało od wzajemnej nieufności i wrogości. Po około dziesięciu minutach pojawił się w końcu przedstawiciel Wspólnoty. Okazał się nim być nie kto inny jak Sęp, właściciel faktorii handlowej.

— Przepraszam, że musieliście czekać — rzucił na powitanie. — Zrobiło się małe zamieszanie, bo wasi „ochroniarze” prawie pobili się pod bramą... — wyrzucił zgromadzonym.

Daniel zmrużył oczy, przypatrując się Sępowi z nieukrywanym lekceważeniem.

— Dlatego mówiłem, żebyśmy spotkali się w Strefie Głodu... — wtrącił.

Dix, wciąż wsparta na Defektowcu, aż zacisnęła pięści ze złości.

— Chyba, żebyś mógł nas wszystkich pozabijać! — odpowiedziała mu natychmiast.

Daniel uśmiechnął się kpiąco, a jego oczy błyszczały złośliwością. — No proszę! Czyli jednak to prawda, że brunetki są bardziej domyślne od blondynek...

Krzak, czując zapewne narastające napięcie, wystąpił krok naprzód. — DOŚĆ! Chyba nie przyszliście tutaj, drzeć koty jak dzieci...

Daniel, wciąż uśmiechnięty, wzruszył tylko ramionami.

— Mnie tam się to podoba — powiedział z nutą złośliwości w głosie.

Sęp odchrząknął, starając się w ten sposób przywrócić porządek. — Posłuchajcie, to dość nietypowa sytuacja. Prawda jest taka, że wszyscy mamy do siebie liczne wyrzuty. Niemniej, spotkaliśmy się tu z konkretnego powodu, zresztą z twojej inicjatywy, Danielu. Więc może przejdźmy do konkretów?

Dix, z trudem stojąc, wyciągnęła rękę w stronę Daniela, celując w niego palcem. — Dokładnie! Mów, czego chcesz? — zarządała. — Myślisz, że po tym wszystkim przekonasz nas do wspólnej walki? Że zaufamy ci w jakikolwiek sposób? Jeszcze kilka dni temu twój wysłannik próbował zniszczyć Delimerem mury Wspólnoty...

Daniel, słysząc to, powoli podniósł się z miejsca.

— Chyba źle mnie wszyscy zrozumieliście... — stwierdził, przechodząc między zgromadzonymi, niczym drapieżnik w klatce.

Powoli zbliżył się do okna, odwracając do wszystkich plecami. Światło wpadające przez szybę obrysowało jego sylwetkę, nadając mu niemal demoniczny wygląd. — Nie będzie żadnego zapominania. Nie będzie sojuszu wrogich nacji i walki ze wspólnym przeciwnikiem — rzucił niespodziewanie. — Nie jesteśmy Polakami i Ruskimi z Czterech Pancernych. Dla mnie w większości nawet nie jesteście ludźmi..., ale to inna sprawa. Chcę po prostu zawieszenia broni. Każdy niech walczy na własną rękę i nie utrudniamy sobie tego wzajemnie.

Po jego słowach w barze zapadła cisza, którą przerwał dopiero Boruta.

— Boisz się, że przegrasz w bitwie na dwa fronty? A może, że sprzymierzymy się z Zarzeczem? — spytał ostro.

Daniel prychnął, spoglądając na zgromadzonych z wyraźną pogardą. — Wygram tę wojnę — zadeklarował pewnie. — Z wami, bez was albo przeciw wam wszystkim. Nie chcę tylko tracić niepotrzebnie ludzi. Mój Nowy Świat musi być w końcu zamieszkany. A jeśli naprawdę liczysz na sojusz z Zarzeczem, to powodzenia. Cały obszar po tamtej stronie jest większy niż Centralne Krańcowo, Zatorze i Las razem wzięte. Dla swoich ludzi będą potrzebowali każdego metra bezpiecznego terenu, każdego resetującego się budynku i sklepu... Myślisz, że znajdzie się miejsce dla ciebie i twoich podopiecznych, Boruta? — spytał złośliwie, na koniec tego wywodu.

Boruta zacisnął zęby i spojrzał na Daniela, jakby próbował ocenić, czy ten blefuje, ale nie mógł mieć pewności.

Wódz Armii z kolei odwrócił się wolno, mierząc wzrokiem wszystkich zgromadzonych. — Dobrze, możemy kontynuować nasz wewnętrzny spór. Jeśli Zarzecz przyjdzie i zaatakuje najpierw H—Market, w co wątpię, bo mamy najsilniejszą armię i najlepszą obronę, to wasze szczęście. Może osłabimy się wzajemnie na tyle, że dacie radę wyeliminować dwa zagrożenia na raz. Jeśli jednak nasz konflikt będzie otwarty! A oni przyjdą i wybiorą na cel którąś z waszych grup! Zaatakuję w tym samym czasie! Pełnią swoich sił!!! Możecie być tego pewni...

Sęp, który do tej pory milczał, nie wytrzymał i wybuchnął — TO JEST SZANTAŻ!

Daniel spojrzał na niego chłodno i odparł z nieukrywaniem zadowoleniem — I to jawny!

Marcin Grobelny, stojący na uboczu, skrzyżował ręce na piersi, wyraźnie nieprzekonany. — Nawet jeżeli zgodzimy się na zawieszenie broni, co z Wolnymi Weteranami? Jako grupa, stanowią dużą i dobrze uzbrojoną siłę. Mogą dalej działać przeciw tobie — zauważył.

Daniel miał jednak gotową odpowiedź. — Jeżeli wszyscy ogłosicie zawieszenie broni z powodu Zarzecz, Wolni Weterani zrobią to samo — stwierdził rzeczowo. — Zresztą wolni to już mrzonka. Ci, którzy mają jeszcze jaja

by walczyć, już dawno dołączyli się do którejś z naszych grup — powiedział pewnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Krzak, który do tej pory stał z boku, podjął próbę złagodzenia sytuacji.

— Może jednak powinniście rozważyć wspólną walkę. Nie wiemy, jakimi siłami naprawdę dysponuje Zarzecze. Natomiast oni wiedzą o nas wszystko. Ich Zwiadowcy przekradają się tu i żyją między nami już od dawna...

Wszyscy zamilkli, patrząc w ziemię. W barze zapanowała cisza, przerywana jedynie przez ciche oddechy zgromadzonych. Daniel, stojąc przy oknie, skupił wzrok na dawnym liderze Wspólnoty. — Spodziewałem się, że padnie od ciebie taka propozycja. Myślę jednak, że współpraca między ludźmi, którzy tak się nienawidzą, to jawny żart... Zawieszenie broni! — podkreślił jeszcze raz. — Nie musicie dawać odpowiedzi od razu. Wystarczy, że dacie znak przez radio.

Sęp westchnął ciężko, jego twarz wyrażała zmęczenie i znużenie. — Przemyślimy twoją propozycję — powiedział, patrząc na Daniela wyraźnie zrezygnowany.

Daniel uśmiechnął się lekko, a w jego oczach pojawił się błysk triumfu. — Cudnie, to do usłyszenia! — powiedział, po czym razem z Cichym opuścili bar.



Rozdział I

Po tamtej stronie

— Udało się! — zdążyła wykrzyknąć Zjawa, nim osunęła się na spaloną trawę. Włosy opadły na jej twarz, częściowo tylko ukrywając przed Dzikim, że przez dobrą chwilę próbowała jeszcze uspokoić nerwowy oddech.

Pierwszy zrzucił go w międzyczasie ze swoich pleców i popatrzył surowo w jej stronę.

— Kontroluj błędy jeszcze przez kilka minut, aż ciecz odparuje — doradził dziewczynie, rozciągając jednocześnie plecy. — Bo ci powypala dziury w spodniach...

Jak na życzenie nogawki i buty Zjawy, niechronione dłużej przez Pierwotną Wolę, zaczęły się właśnie dymić. Weteranka zareagowała na to panicznie, podrywając się z ziemi i krzycząc: — Kurwa mać!

Pierwszy wyjątkowo wyczulony na punkcie wulgaryzmów, słysząc jej wybuch, westchnął tylko i zażądał stanowczym głosem: — I mniej knij! To strasznie irytujące...

Dziki, który zbierał się w międzyczasie z ziemi, poczuł, jak nogi drżą mu z nerwów. Kilkuminutowa podróż przez rzekę kwasu, do tego na plecach mało stabilnego Pierwszego, zdecydowanie miała prawo nim wstrząsnąć. Gdy oczy przestały mu w końcu zachodzić łzami, przyjrzał się okolicy i ku swojemu zdumieniu nie dostrzegł w niej niczego wyjątkowego. Część miasta, do której nie mieli dostępu, nie różniła się szczególnie od tego, co już dobrze znał. Niebo było tu dokładnie tego samego szarego koloru, co w centrum Krańcowa. Drzewa nietknięte jeszcze przez opary Wiślinki, stały pozbawione liści, jakby była głęboka jesień. Mimo tych podobieństw panująca wokół cisza zdawała się mu z jakiegoś powodu inna, złowieszcza, a powietrze wyjątkowo ciężkie. Chociaż to drugie mogło być po prostu wynikiem oparów, jakie unosiły się w okolicy.

W czasie, gdy Dziki dochodził do siebie, Pierwszy podniósł rękę, sprawdzając godzinę na swoim zegarku. Po chwili, ze skonsternowaną miną, przetrzepał kamizelkę i wyciągnął z niej drugi zegarek. Przez moment porównywał ze sobą ich wskazania.

— Nie jest źle — stwierdził nagle z wyraźną ulgą w głosie. — Przecho-
dząc, zgubiliśmy tylko pięć dni...

Zjawa, która skończyła właśnie walczyć ze swoimi dymiącymi spodniami, popatrzyła teraz w jego kierunku z niedowierzaniem.

— Pięć dni? Jak to zgubiliśmy pięć dni?! — zapytała, doskakując do mężczyzny.

Mina Weteranki po tym, jak sama zerknęła na tarcze zegarków, zdradzała, że zdecydowanie nie miała pojęcia, jak jej kompan doszedł do takich wniosków.

Dla Dzikiego było to natomiast nieco bardziej zrozumiałe. Spotkał się już kiedyś z podobnym zjawiskiem. Za strefą przygraniczną, gdzie stoczył walkę z Delimerem, był zaledwie kilka godzin, a w centrum Krańcowa minął w trakcie tego starcia prawie miesiąc. Najwidoczniej podobna zasada działała również tutaj.

— To znaczy, że jak będziemy tu kilka dni, to po naszej stronie może minąć nawet rok? — spytał natychmiast, czując coraz większy niepokój.

Po upływie tak długiego czasu, Mike oraz będące pod jego opieką dziewczyny z Autobusu do Wolności, doszliby na pewno do wniosku, że nie udało mu się uratować Oli i razem z kompanami zginął gdzieś na Zarzeczu. Zdecydowanie nie chciał im dokładać takich zmartwień, zważywszy, że dopiero co przeżyli już śmierć tak wielu przyjaciół.

Na szczęście Pierwszy rozwiał szybko jego wydumane obawy, tłumacząc: — Dylatacja czasu obejmuje wyłącznie środek rzeki. To pozostałość po tym, gdy nasze strefy były jeszcze trwale oddzielone. Nie licząc przejścia, czas między naszymi strefami jest w miarę synchroniczny.

Dziki, słysząc to, odczuł wyraźną ulgę. Po chwili, jednak do głowy przyszła mu kolejna myśl, która, chociaż nieprawdopodobna, przez chwilę rozbudziła w nim nadzieję.

— Czekaj! — zawołał, prawie wchodząc Pierwszemu w słowo. — To znaczy, że Oli tak naprawdę może jeszcze tu nawet nie dotarła? Albo trafiła tu niedługo przed nami? — spytał, licząc, że może uśmiechnęło się do nich szczęście.

Niestety, jego chwilowy optymizm został natychmiast zgaszony przez towarzysza, który ponurym głosem wyjaśnił: — Gdyby przechodził tędy amator naszego pokroju, istniałaby na to szansa — podkreślił, wyraźnie zaznaczając, gdzie w całej koncepcji leżał problem. — Doświadczeni zwiadowcy potrafią jednak dużo skuteczniej przeprowadzać się przez rzekę. Tracą co najwyżej kilka minut, ci najgorsi godziny. To był jeden z powodów, dla którego nie ruszyliśmy zaraz za Daro. Bez względu na to, co byśmy zrobili, on dotarłby tutaj o wiele szybciej niż my...

Po wysłuchaniu tego wyjaśnienia Dziki zaklął i kopnął zirytowany w pobliską kępę trawy, która rozsypała się na popiół. Przecież nie mogło być tak, żeby zasady Nowego Świata chociaż raz zadziałały na jego korzyść.

— Masz pomysł, dokąd ją zabrali? — zapytał, czując, że ponownie ścisła mu z nerwów wewnętrzność.

Pierwszy zamyślił się przez chwilę, przymykając oczy, ledwo widoczne za wizjerami maski.

— Podejrzewam, że do Magistratu — stwierdził w końcu. — To największa osada po tej stronie, a przy okazji tam właśnie Zwiadowcy składają swoje raporty...

Zjawa, nadal sprawdzając, czy jej spodnie i buty przetrwały podróż przez rzekę w jednym kawałku, spytała w międzyczasie: — Daleko to stąd?

Pierwszy nie udzielił odpowiedzi od razu. Zamyślił się najpierw ewidentnie coś kalkulując. Kiedy już skończył słowa, które padły z jego ust, były dla Dzikiego wręcz absurdalne.

— Myślę, że jakieś dwa dni piechotą...

— CO!? — wtrąciła natychmiast Zjawa, spoglądając na mężczyznę, jakby miał gorączkę. — W ciągu tylu dni można by stolicę przejść dwa razy! Nawet w wersji Nowego Świata! Żartujesz sobie?

— Nie — odparł krótko Pierwszy, a jego ton sugerował, że jest zdecydowanie pewny swoich słów.

Dziki był natomiast przekonany, że Zjawa miała sporo racji. Jeśli Zarzecz nie wykraczało poza granice oryginalnego Krańcowa, to nawet przy zachowaniu wyjątkowej ostrożności, podróż nie powinna im zająć dłużej niż kilka godzin.

— Czemu tak długo? To przez jakieś błędy, prawda? — zapytał, licząc po cichu, że szacunki Pierwszego były zdecydowanie zawyżone i przedstawiały najgorszy możliwy scenariusz z wszelkimi trudnościami jakie mogli, ale niekoniecznie musieli, spotkać.

Mężczyznę najwidoczniej zmęczyły ciągłe pytania, bo opuścił głowę i odetchnął zrezygnowany.

— Wkrótce wszystko zrozumiecie... — rzucił, a potem bez dalszych wyjaśnień, zdjął swój plecak i zajrzał do jego wnętrza.

Torba przez swój płaski kształt wydawała się Dzikiemu zupełnie pusta. Zjawa spojrzała jednak na nią z zainteresowaniem, jakby przewidywała, że kryje w sobie coś anormalnego.

— To relik? — spytała w końcu, a jej oczy rozszerzyły się z podniecenia.

— Tak — odpowiedział Pierwszy i ubiegając kolejne pytanie, zaczął wyjaśniać jego właściwości. — Nie ma dna. Można tu wrzucić właściwie wszystko, co zmieści się w otworze a mimo to zawsze jest pusty... Na początku myślałem, że przedmioty wepchnięte do niego przepadają. Potem jednak odkryłem, że da się je wyciągać z użyciem błędów.

Mówiąc to, zawiesił przez chwilę rękę nad otworem torby, jakby próbował przyciągnąć coś z wnętrza siłą swojej woli.

Zjawa obserwowała z napięciem, jak po krótkiej chwili w dłoń Pierwszego, niczym tresowane węże, wskoczyły trzy bransoletki. Dziki przyjrzał się

im uważnie. Każda z nich była zwykłym skórzanym paskiem do zegarka, z małymi metalowymi blaszkami. Zastanowiło go, do czego mają właściwie służyć, ale zanim zdążył cokolwiek wymyślić, Pierwszy podał mu jedną, a drugą wręczył ich towarzysze.

— Posłuchajcie mnie — rzucił potem do nich obojga poważnym tonem. — Załóżcie to na rękę i przyzwyczajcie się do częstego spoglądania... Najlepiej tak często, jak to tylko możliwe. Jeśli zobaczycie, że nagle zaczną rdzewieć, alarmujcie mnie natychmiast!

— Co ta rdza będzie oznaczać? — dopytał natychmiast Dziki, zapinając sobie opaskę na nadgarstku.

Pierwszy przed odpowiedzią, zamknął plecak i wrzucił go sobie na ramię.

— Pojawiająca się rdza oznacza, że zbliża się „Ciemnia” — wyjął w końcu, po czym z niepokojem spojrzał w stronę najbliższej ścieżki.

— Nie słyszałam nigdy o czymś takim — wtrąciła Zjawą, badając z uwagą blaszkę na swojej ręce.

Dziki podobnie do niej, nie spotkał się nigdy z podobnym zjawiskiem i już po chwili dowiedział się czemu.

— Bo to coś, co występuje tylko po tej stronie — wyjaśnił im Pierwszy, wtajemniczając przy okazji w kolejne niuanse związane z Zarzeczem. — U nas Niewykształceni pojawiają się wyłącznie w trakcie Błysku, tak jak normalni ludzie. Tu jest inaczej. Błysk wyrzuca tylko żywych, a Ciemnia tylko potwory. Dodatkowo, Niewykształceni są w stanie pojawiać się w każdym miejscu, które nie jest oświetlone... Mówiłem, że oni nazywają naszą stronę rajem? — spytał nagle. — To właśnie jeden z powodów...

Dziki, słuchając tego, poczuł dreszcze na plecach. Nie tyle obawiał się teraz o siebie — przebywanie w towarzystwie Pierwszego i Zjawy sprawiało, że czuł się stosunkowo bezpieczny. Przeraziła go jednak myśl, co mogło dziać się z Oli w tym okropnym miejscu. Krańcowo, w którym się pojawił, było miejscem zdecydowanie groźnym, ale przy Zarzeczcu i jego Ciemni wydawało się rzeczywiście „rajem”.

Nawet Zjawą, mimo że była przecież doświadczoną Weteranką Nowego Świata, wydawała się coraz bardziej zaniepokojona. Opuszczając w końcu rękę z opaską, spytała z niepewną miną: — I co zrobimy, jak to się zacznie?

— Poszukamy schronienia — odpowiedział Pierwszy bez wchodzenia w szczegóły, po czym dodał: — A teraz chodźcie, szkoda czasu.

Kończąc temat, ruszył ścieżką wiodącą od brzegu.

Dziki, idąc zaraz za nim, uświadomił sobie, że przecież wielokrotnie był na Zarzeczcu w Starym Świecie. Okolica w dużej mierze wydawała mu się przez to znajoma, ale wiedział, że nie może pozwolić sobie znieść się temu odczuciu. To, co pamiętał z czasów przed Błyskiem, na pewno nie miało wiele wspólnego z obecnym stanem tego miejsca.

Po kilku minutach marszu wypalonym brzegiem ich mała grupa dotarła do pierwszego niewielkiego osiedla. Budynki zbudowane były na tyle blisko koryta rzeki, że degradowało je kwasowe środowisko: płoty i ściany od strony Wiślinki zdawały się po prostu zwęglone. Nie wiedząc o rzece, można by przypuszczać, że miejsce to przetrwało jakiś mały pożar.

— Jeszcze jedna ważna sprawa — zaczął nagle Pierwszy, gdy przeprowadzał ich przez kolejne już ogrodzenie. — Zapewne spotkamy po drodze sporo ludzi. To ja będę z nimi rozmawiał — przykazał surowo. — Wy musicie utrzymywać, że jesteście Zwiadowcami i wracamy z raj. Gdyby ktoś się was dopytywał, a z jakiegoś powodu bylibyście beze mnie, możecie ewentualnie poopowiadać o naszej stronie. Tylko przedstawiajcie ją tak, jakby była cudem nad cudami. A gdyby ktoś pytał o Magistrat albo plany, zasłaniajcie się tajemnicą służbową.

Dziki przysłuchiwał się temu z uwagą, po czym skinął głową na potwierdzenie, że akceptuje ten plan. Zjawą z kolei zrobiła minę, jakby ostatnią rzeczą, o której marzyła, była jakakolwiek interakcja z mieszkańcami tej części miasta. Nie skomentowała jednak tego na głos, tylko ironicznie wpatrywała się w Pierwszego.

Małe skupisko domków, między które właśnie weszli, zdaniem Dzikiego nie wyglądało nawet na splądrowane. Przypominało mu raczej miejsce, które od początku Nowego Świata nigdy nie doświadczyło resetu i uległo naturalnemu zniszczeniu. Takie ewenementy zdarzały się również po ich stronie, ale były bardzo rzadkim widokiem. W jego opinii proces degradacji przyspieszały tutaj opary, buchające z Wiślinki.

Uświadamiając sobie, że każdy oddech tego powietrza coraz bardziej drażni jego nos i krtań, Dziki westchnął tylko patrząc zazdrośnie w stronę Pierwszego: — Żałuję teraz, że też nie mam maski.

— Zaraz stąd pójdziemy. Poza tym, ja nie mam w niej filtrów — wyjaśnił mu kompan, ponaglaając ich jednocześnie: — Chodźcie szybciej...

Zjawą, która szła obok Dzikiego, wyszeptwała po chwili: — On ukrywa nią swoją Pierwotną Wolę.

Skupiony na obserwowaniu okolicy Dziki na początku nie zrozumiał, o co chodziło dziewczynie, więc odruchowo zapytał tylko: — Co?

Zjawą, wznosząc oczy do góry, wyjaśniła mu potem dosadnie: — Kiedy ma twarz schowaną pod maską, nie widać, jaka emocja go pobudza.

Ton jej głosu zdradzał jednocześnie wyraźne rozczarowanie brakiem domysłowości ze strony Dzikiego.

— Pośpieszcie się! — ponaglił ich ponownie Pierwszy, który zdążył już wydostać się przez niskie ogrodzenie na asfaltową drogę między domami.

Część miasta położona po tej stronie rzeki była przed Błyskiem znacznie młodsza niż Centrum czy Zatorze, co istotnie wpływało na wygląd ca-

łej okolicy. Przede wszystkim na Zarzeczu prawie nie występowały wysokie bloki. Nowa zabudowa jednorodzinna oraz eleganckie domy, usadowione na dużych, kwadratowych działkach, stanowiły dominujący widok w całej okolicy. Chodniki wyłożone głównie kostką brukową i zgrabne, ozdobne latarnie uliczne dopełniały tylko obraz tej „bogatszej” części Krańcowo. Dla Dzikiego kontrast zniszczeń, które ogarnęły okolicę, był przez to tym bardziej wstrząsający. Wszystko, co miał teraz przed sobą, wydawało się być w znacznie gorszym stanie niż w Centrum, a większość miejsc nie nosiła nawet w jego opinii śladów typowych dla szabru. Najbardziej w oczy rzucała się mu wszechobecna rdza. Praktycznie każdy metalowy element — od ogrodzeń i bram, przez śruby i latarnie, aż po samochody stojące na podwórzach — zdawały się być pożerane przez korozję.

— Dlaczego to tak wygląda? — zapytał, coraz bardziej zaintrygowany stanem tego miejsca.

Pierwszy po jego pytaniu zatrzymał się na chwilę, rozglądając po okolicznych zabudowaniach.

— Jest kilka powodów — oświadczył, skupiając wzrok na pobliskiej skorodowanej latarni. — Po tej stronie „Dzielnicy Krzyków” nikt nie mieszka. Skoro nie ma osadników, nikt nie szabruje budynków, więc te się nie resetują. Ciemnia za to strasznie pobudza korozję metalu — wyłożył, by po krótkiej pauzie dodać: — No i jest jedna rzecz... Zarzecze istnieje dużo dłużej niż Centrum...

Zjawa i Dzikie słysząc to, wymienili szybkie spojrzenia. Oboje musieli być równie zaskoczeni informacją, którą podzielił się z nimi Pierwszy. Zanim jednak którekolwiek z nich zdążyło się o cokolwiek zapytać, mężczyzna z jakiegoś powodu przyklęknął za skrzynką energetyczną stojącą na chodniku. Machnięciem dłoni ściągnął ich następnie do siebie.

Gdy tylko oboje ścisnęli się obok niego, wskazał na drogę, którą przed chwilą pokonali, szepcząc: — Spójrzcie tam.

Dzikie natychmiast przyłożył lornetkę do oczu, żeby przyjrzeć się wskazanemu miejscu i szybko odkrył powód dziwnego zachowania Pierwszego. W oddali skradał się z nimi jakiś Niewykształcony.

Potwór był ubrany w zdeformowany strażacki mundur. Na głowie miał maskę tlenową z ogromną szybą, przez którą widać było parę wielkich, niemal groteskowych oczu. Jego skóra była szara i pofałdowana, jakby coś wypaliło z niej naturalny kolor. Ramiona i dłonie, zakończone długimi kostnymi wypustkami, poruszały się u niego nienaturalnie sztywno, sprawiając wrażenie, jakby walczył z każdym ruchem.

— To „Ochotniczy” — wyszeptał Pierwszy.

Zjawa, podebrała bez pytania lornetkę Dzikiego, a jej dłonie zadrżały, gdy dostrzegła potwora w strażackim mundurze.

— Nie mów mi KURWA tylko, że to coś jak nasi Spalacze... — rzuciła nerwowo.

Dziki rozumiał w pełni jej obawy. Miał do czynienia ze Spalaczem tylko raz i zdecydowanie nie chciał tego powtarzać. Byli to Niewykształceni niezwykle agresywni, szybcy, a do tego wytwarzali taką temperaturę, że spopieliali wszystko wokół siebie. Nawet doświadczeni Weterani unikali miejsc ich występowania.

— Spalacze są po państwowych strażakach — wyjaśnił szeptem Pierwszy, jakby bał się sprowokować Niewykształconego. — Ci tworzą się z dawnych OSP...

— To duża różnica? — wtrącił Dziki, licząc, że zmieniało to całkowicie właściwości potwora.

Pierwszy, wciąż nie odrywając wzroku od Ochotniczego, stwierdził ściszone głosem: — Spalacze rzucają się na ciebie bezmyślnie. Ten tutaj jest o wiele bardziej subtelny. Doskonale widzi, zwłaszcza nocą. Wypatruje wtedy światła i ludzi ukrytych w budynkach. A gdy już kogoś znajdzie, wytruwa go podczas snu. Potrafi wytwarzać czad przez te kościane wypustki na rękach...

Dziki, słuchając tego opisu, mimowolnie odetchnął z ulgą. Ochotniczy nie wydawał się nawet w połowie tak niebezpieczny, jak jego odpowiednik z Centrum.

Tymczasem Niewykształcony, uświadamiając sobie w końcu, że jest obserwowany, zareagował na to w wyjątkowo dziwaczny sposób. Nie uciekał ani nie atakował, ale jego ruchy stały się nerwowe i chaotyczne. Rozglądał się wyraźnie wokół siebie, szukając miejsca, żeby zniknąć im z oczu. W końcu nieporadnie ukrył się za najbliższym ogrodzeniem. Co chwilę jednak wychylał głowę, a jego ogromne oczy błyszczały w oddali.

Pierwszy, obserwując to zachowanie, odetchnął ciężko przez puste filtry w masce.

— Nie sądzę, żeby odpuścił. Będzie nas śledził... — stwierdził z irytacją. — Jeśli ruszymy na niego razem, zacznie uciekać, ale potem i tak do nas wróci — dodał pod nosem. — Stójcie tak przez chwilę, żeby was widział, a ja go okrążę — polecił i nie czekając na reakcję towarzyszy, ruszył w boczną uliczkę.

Ochotniczy początkowo wyraźnie śledził Pierwszego wzrokiem, gdy ten zniknął za ogrodzeniem. Szybko wrócił jednak do obserwowania dwójki, która kryła się za skrzynką elektryczną.

Od momentu, gdy zdecydowali się ruszyć na Zarzecze, był to pierwszy raz, kiedy Dziki został sam ze Zjawą. Korzystając z okazji, postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co właściwie motywowało ją, by dołączyć do ich misji ratowania Oli.

— Więc, nie żebym miał z tym problem, bo ogólnie cieszę się, że idziesz z nami... — zaczął nieco nieskładnie. — Ale dlaczego właściwie to robisz?

— Tak trudno zgadnąć? — odparła Weteranka, patrząc na niego tak, jakby zaskoczyło ją, że sam się tego nie domyślił. — Przez niego... — oznajmi-

ła, wskazując głową na oddalającą się sylwetkę Pierwszego. — W cholernym Sojuszu Bloków, oby spłonął razem z jego Gonicielami, sporo się o nim mówiło. Weteran nad Weteranami! Ten, który przeżył w tym świecie najdłużej ze wszystkich, nie potrzebując pomocy od nikogo. Każdy chciał być jak on..., łącznie ze mną.

O ile Dzikiego spodziewał się, że Pierwszy mógł być głównym powodem, dla którego Zjawa ruszyła z nimi, o tyle w ogóle nie potrafił zrozumieć tego, co dodała na sam koniec. Gdyby istniała jakaś hierarchia najpotężniejszych postaci w Krańcowie, to w jego opinii dziewczyna znajdowałaby się naprawdę blisko jej podium, a może nawet stała na równi z Pierwszym. Swoboda, z jaką kontrolowała swoją Pierwotną Wolę, wydawała mu się niepojęta, a ogromna część Weteranów wyrażała się o niej z uznaniem.

— No i chyba ci się to udało... — podsumował w końcu swoje przemyślenia, ale ku jego zdziwieniu dziewczyna nie przyjęła pozytywnie tego przypadkowego komplementu.

— Nie kpij — prychnęła z miejsca, patrząc teraz na Dzikiego, jakby próbował się jej ordynarnie podlizzać. — Jedyne, co umiem, to się wkurzać i strzelać w kółko jeden rodzaj błędu. Nie wiem tak naprawdę nic o praktycznym przetrwaniu w tym świecie. Gdy byłam w Sojuszu Bloków, cały czas ktoś mną kierował. Dostawałam swoje zadanie, listę rzeczy do przyniesienia, a po odhaczeniu wszystkiego, nie musiałam się martwić o nic więcej. Gdy mnie porzucili, mimo że nauczyłam się posługiwać błędami, nie wiedziałam nawet, co z nimi zrobić. Przetrwałam dzięki szczęściu i temu, że szybko wyrobiłam sobie dobrą opinię wśród kilku znanych Weteranów. Myślisz, że dlaczego skończyłam u Siwego? Bo musiałam tylko chronić mu dupę, a on załatwiał za mnie resztę...

To nieoczekiwane wyznanie Weteranki było dla Dzikiego naprawdę wstrząsające. Jeszcze zanim sam odkrył Pierwotną Wolę, często wyobrażał sobie, że dzięki błędom udałoby mu się rozwiązać większość problemów, jakie miał jako strażnik. Z tego powodu był naprawdę wściekły na Kubę, że ten ukrywał przed nim ich tajemnice. Nawet teraz miał nadzieję, że gdyby zdołał dobrze opanować moc, którą posiadał, to w przyszłości zapewniłby ocalałym z Autobusu do Wolności bezpieczeństwo i spokój. Czy jednak przeceniał możliwości, jakie dawała Pierwotna Wola? Nagle zdał sobie sprawę, że większość jego problemów wynikała tylko z własnych złych decyzji. Czy mając większą moc nie podejmowałby ich więcej, fałszywie przekonany o swoich zdolnościach? Skoro nawet Zjawa, którą uważał za niezwykle silną, nie potrafiła oprzeć swojego przetrwania wyłącznie o posiadaną kontrolę nad błędami... Dotarło do niego, że musi jeszcze raz przemyśleć swoje przyszłe plany.

— Teraz rozumiem... — westchnął, spoglądając na towarzyszkę. — Liczyłeś na to, że nauczysz się od niego, jak przetrwać w tym świecie, zdana wyłącznie na siebie...

Zjawą, wpatrując się uparcie w ukrytego za płotem Ochotniczego, skinęła głową.

— Trochę tak... — odpowiedziała, a jej głos brzmiał teraz na wyjątkowo zrezygnowany. — Myślałam, że może przekonam go, by stał się moim mentorem. Może nawet zabrał jako swój ogon. Ale gdy go spotkałam, okazał się zupełnie inny niż wyobrażałam sobie przez ten cały czas...

Dziki, słysząc to, nie mógł powstrzymać ironicznego uśmiechu.

— Wiem o co ci chodzi. Gdy myśli się o kimś, kto przetrwał tyle lat w tym świecie bez niczyjej pomocy, wyobraża się sobie człowieka-maszynę. Jakiegoś niezłomnego terminatora. A nie osobę, która co chwila zastanawia się: „czy było warto?”.

W tym momencie dotarło do niego, że pewnie jako jeden z niewielu miał okazję poznać, jak przygnębiające spojrzenie na świat miał jego kompan i jak bardzo różnił się od postaci, za jaką miała go większość społeczności Krańcowa.

Tymczasem Pierwszy wyłonił się z uliczki w oddali. Ukryty w cieniu budynków, poruszał się bezszelestnie, niczym kot przemykający wzdłuż ścian. Ponieważ Ochotniczy ciągle wpatrywał się w Zjawę i Dzikiego, nie zauważył, jak mężczyzna podkraślał się do niego. Gdy dzieliła ich już tylko odległość wyciągniętej ręki, Pierwszy szybkim, płynnym ruchem ugodził Niewykształconego w bark.

Ochotniczy po ciosie wydał z siebie przeraźliwy syk. W błyskawicznej próbie kontrataku spróbował wepchnąć rękę w twarz Pierwszego, a pomiędzy jego palców wystrzeliły smugi przypominające rozgrzane powietrze. Pierwszy jednak zdołał uniknąć uderzenia. Błyskawicznie wyprowadził też kolejny cios, tym razem trafiając potwora w okolice mostka.

Szara krew trysnęła na ubranie Ochotniczego, a wizjer w jego strażackiej masce zaparował od środka, zasnuwając jego oczy mgłą. Istota wciąż jednak broniła się, machając chaotycznie rękoma. Jeden z takich przypadkowych ciosów trafił Pierwszego w hełm, zamraczając go przez chwilę.

Zaskoczony Dzik chciał już ruszyć towarzyszkowi z pomocą, ale Pierwszy szybko wrócił do równowagi. Błyskawicznie wyprowadził kolejne uderzenie, tym razem trafiając nożem w kark Niewykształconego. Ostrze zanurzyło się głęboko w szyi potwora, który jak porażony padł na ziemię. Jego ciało drżało przez chwilę, a potem zastygło w bezruchu.

Po tej krótkiej walce, Pierwszy poprawił przekrzywioną od uderzenia maskę i ruszył z powrotem główną ulicą w ich stronę.

— Teraz ja zadam ci pytanie, Dzik — oznajmiła pośpiesznie Zjawą, jakby chciała dokończyć ich rozmowę, zanim mężczyzna do nich wróci. — Ty i ta dziewczyna... Wy byliście razem?

Dziki poczuł, jak po tym pytaniu jego twarz staje się gorąca i samoistnie czerwienieje. Nigdy wcześniej nawet nie pomyślał o Oli w „taki” sposób.

Była dla niego jak młodsza siostra. Wcześniej nie brał nawet pod uwagę, że coś mogłoby między nimi być. Dlaczego więc tak go to zdenerwowało?

— Nie, to nie tak — zaprzeczył natychmiast. — Ja i Oli byliśmy bardzo zżyci... to moja prawdziwa przyjaciółka. Nic więcej...

— Nic więcej... — powtórzyła Zjawa, patrząc na niego bezprzekonania.

Dziki poczuł się przez to nieswojo, jakby musiał tłumaczyć się z czegoś złego. Nie zdążył jednak powiedzieć ani słowa, bo Weteranka zapytała z przekąsem — I dla takiego „nic więcej” idziesz do nieznanego piekła? — A zanim zdążył jej to potwierdzić, wyrzuciła z siebie — Facet, który zostawił mnie na śmierć, ciągle powtarzał, że mnie kocha. Mówił, że chce być ze mną na zawsze, że będzie mnie chronił, choćby za cenę życia... A złośliwy Nowy Świat pokazał, jak gównie warte były jego słowa i obietnice. Kiedy przyszło co do czego, uciekał, nie sprawdzając nawet, czy żyję... To chyba drugi powód, dla którego idę z wami. Podobają mi się to, co robisz... No i jest jeszcze coś — dodała niespodziewanie.

— Co takiego? — spytał natychmiast Dziki, mocno już zaintrygowany tym, co właśnie usłyszał.

— Ciekawość — stwierdziła Weteranka po chwili zastanowienia. — Nie mów, że nigdy nie myślałeś o tym, co może być na Zarzeczu... — dokończyła pośpiesznie, bo Pierwszy właśnie do nich dotarł.

Mężczyzna odetchnął ciężko i skinął głową w kierunku martwego Nie-wykształconego.

— Przynajmniej z nim będziemy mieli spokój. Sprawdzacie blaszki? — spytał niespodziewanie, a Dziki i Zjawa od razu spojrzeli przestraszeni na swoje nadgarstki.

Oczywiście, oboje zdążyli już o tym zapomnieć, ale na szczęście metalowe kółka wciąż pozostawały wypolerowane i jasne.

Pierwszy najwidoczniej przewidział z góry, że o tym zapomną, bo powiedział całkiem spokojnie — Wiedziałem, że nie, dlatego ja też sprawdzam... — Po chwili dodał jednak znacznie poważniej — Ale naprawdę wyróbcie sobie ten nawyk. Idziemy dalej! — zarządził na koniec i poprowadził ich wzdłuż drogi.

Przez następne kilka minut zarówno Dziki, jak i Zjawa spoglądali na swoje pseudozegarki z wręcz maniacką częstotliwością. Za każdym razem kółka pozostawały jednak idealnie czyste i właściwie nic nie wskazywało na to, że mogłoby się to zmienić. Niemniej, po kolejnym ostrzeżeniu od Pierwszego, oboje musieli czuć już ten sam niepokój w stosunku do tajemniczej Ciemni i jej ewentualnego nadejścia.

Wychodząc z mniejszego osiedla, natrafili w końcu na kolejną drogę. Rozciągała się ona przed nimi, zasypana rdzawym pyłem i porośnięta wyschniętymi chwastami. Pierwszy ruszył chodnikiem, prowadząc ich dalej niezmiennie szybkim tempem. Już chwilę później, po drugiej stronie ulicy ich oczom ukazał się zniszczony budynek cukierni oraz stojący obok

niego sklep spożywczy. Cukiernia była już właściwie tylko pustą, zrujnowaną skorupą. Szyby w oknach miała powybijane, dach zapadł się jej do środka, a drzwi wisiały na krzywym zawiasie. Stojący obok sklep spożywczy był w zdecydowanie lepszym stanie, z pełnymi półkami widocznymi przez brudne, ale nienaruszone okna.

To z miejsca przyciągnęło uwagę nie tylko Dzikiego, ale również Zjawy. Oboje musieli mieć podobne przyzwyczajenia z życia w Krańcowie i nie byli w stanie przejść obojętnie obok takiej ilości potencjalnych zapasów.

— Może zrobimy mały postój? — zaproponowała wyraźnie ucieszona Weteranka. — Wygląda na to, że towar wciąż jest na miejscu...

Pierwszy zaprotestował jednak — Jedzenia mamy dokładnie tyle, ile potrzebujemy. Wodę zorganizuję nam po drodze. Nie wolno nam się przeciążać! Jeszcze się dziś wszyscy nabiegamy... — podkreślił na koniec, a jego surowy ton nie pozostawiał pola do negocjacji.

Zjawa spojrzała na Dzikiego z zawodem w oczach, ale ten popierał akurat w całości decyzję kompana. Nie chciał robić żadnych niepotrzebnych postoi, wiedząc, że Oli czeka na ratunek.

Pierwszy zbliżył się w międzyczasie do ogromnego billboardu, który stał na skraju chodnika. Na mocno pożółklej powierzchni, pozostałej po zerwanym plakacie, nakreślona była łamiąca się w wielu miejscach czarna linia. U jej szczytu znajdował się rysunek wieży, opisany jako „Magistrat”. Oprócz tego, na wielu odnogach nakreślone były małe domki z plusem, z których każdy miał swój krótki opis. Dopiero po chwili dotarło do Dzikiego, że była to prowizoryczna mapa Zarzeczca.

— Mamy szczęście — oświadczył Pierwszy z niespotykanym jak na siebie optymizmem, śledząc jednocześnie znaki na tablicy. — Większość bezpiecznych punktów jest dokładnie taka sama jak w czasie mojej ostatniej podróży tutaj.

Dziki, przypominając sobie Krańcowo sprzed Błysku, próbował ustalić, gdzie znajdował się Magistrat, ale rysunki okazały się dla niego zbyt mało czytelne. Udało mu się jedynie odnaleźć drogę do szpitala miejskiego, bo do niego akurat mieli stąd najbliżej.

— Czym w Starym Świecie był ten Magistrat? — zapytał zaciekawiony, zerkając w stronę Pierwszego.

— Tą wyższą szkołą, przy drodze na Płock. Mówili na nią „Włókiennik” — wyjaśnił mężczyzna, po czym zwrócił się do Dzikiego i Zjawy z niespodziewaną przestrogą. — Posłuchajcie mnie! Gdyby coś mi się stało, wracajcie do nas dokładnie tą trasą, którą macie tu pokazaną... To bezpieczny szlak, wytyczony przez Zwiadowców. Nawet bez doświadczenia, powinniście dać radę przejść ją sami. Teraz pójdziemy trochę okrężną drogą, bo chcemy zyskać na czasie. Gdyby złapała was Ciemnia, te domki z krzyżem to bezpieczne punkty,

w których musicie się schronić — po tych słowach ruszył dalej, znowu nie zostawiając im chwili na pytania.

Tym razem jednak Zjawa musiała się już zirytować sposobem, w jaki mężczyzna dawkował im wiedzę o Zarzeczu, bo zrównała się z nim natychmiast i wyraźnie wzburzona wyrzuciła: — Co to w ogóle miało być?

— Rada... — skwitował Pierwszy, kontynuując swój marsz, ale dziewczyna wyprzedziła go, blokując drogę.

— Czy ty bierzesz pod uwagę, że gramy w tej samej drużynie? — spytała. — Od przejścia rzucasz przez większość czasu jakimiś półsłówkami, zamiast wytłumaczyć nam dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi. Traktujesz nas jak jakieś dzieci, strasząc cholerną Ciemnią, a pół minuty ci szkoda, żeby wyjaśnić nam, czego dokładnie możemy się spodziewać. Ja wiem, że nie przywykłeś do towarzystwa, ale może weź może pod uwagę, że mamy wspólny cel i...

— Dobrze... — prychnął Pierwszy, przerywając jej wywód. — Skoro nie jesteś w stanie uwierzyć, że wiem, co robię, to ci to wytłumaczę — rzucił surowo. — Jak na razie tylko ja mam szansę przetrwać po tej stronie. Gdyby coś mi się stało, nie tylko wasze szanse na uratowanie tej dziewczyny z autobusu spadłyby do zera, ale wątpię, żebyście w ogóle zdołali wrócić sami do Centrum. Muszę doprowadzić was, chociaż do jednego schronienia. Muszę przetrwać z wami chociaż jedną Ciemnię, żebyście wiedzieli, jak sobie z tym radzić. Jeśli chodzi o tłumaczenie, to w trakcie tej podróży będziemy mieli jeszcze dziesiątki przymusowych postojów, w trakcie których nigdzie się nie ruszymy i które będę mógł poświęcić na opowiadanie wam o genezie tego miejsca. A na razie każda sekunda, gdy na dworze jest jasno, poświęcona na bezsensowną gadkę, zamiast na dojście tak daleko, jak to możliwe, to strata, której już nie odrobimy.

Po tej tyradzie mężczyzna minął Zjawę łukiem i ruszył wściekły do przodu. Dziewczyna zamarła przez chwilę, zszokowana jego wybuchem.

Dziki nie czekając, podążył za Pierwszym, który w nerwach ewidentnie przyspieszył kroku. Po tym co się stało, nie ośmielił się jednak zrównać z nim. Szedł nieco z tyłu, a już po chwili dołączyła do niego Zjawa.

— Jezus... Naprawdę mógł powiedzieć od początku, że wyjaśni wszystko później, a nie walić taki wywód — wyszeptała wyraźnie zmieszana.

Dziki przypominając sobie, jak trudne i zdawkowe były jego rozmowy z Pierwszym, gdy uciekali razem przed Delimerem, nie był jednak wcale zaskoczony jego zachowaniem.

— Wydaje mi się, że on po prostu naprawdę źle znosi ludzi... — stwierdził cicho.

Następne pół godziny szli w milczeniu. Prowadzący ich Pierwszy narzucił w tym czasie takie tempo, że oboje szybko dostali zadyszki i nie w głowie były im już jakiegokolwiek pytania.

Dłuższy postój zrobili dopiero przy budynku małej apteki, skrytej w podwórzu niegdyś ogromnego domu. Dawniej musiał to być naprawdę piękny, stylowy budynek. Teraz jednak jego fasada była popękana, a ogród czarny, jakby utopiono go w smole. Dziaki zauważył tylko, że apteka jako jedyne miejsce w okolicy, wyglądała na wyszabrowaną, a nie po prostu zniszczoną. Oczywiście było, że nawet po tej stronie leki były zbyt cenne, by po prostu je zostawić.

Niestety szybko okazało się też, że Pierwszy nie zatrzymał się w tym miejscu, aby dać im szansę na odpoczynek, lecz aby wygłosić kolejne ostrzeżenia.

— Za chwilę będziemy przechodzić przez bardzo niebezpieczne miejsce — oznajmił z powagą, wskazując palcem coś w oddali.

Dziaki, który wykorzystał chwilę postoju, by w końcu złapać łyk wody, popatrzył znad butelki na wskazany przez kompana dawny znak drogowy. Ten zamalowany na białą, został przez mieszkańców Zarzecza przerobiony na swą tablicę ostrzegawczą.

„Dzielnica Krzyków — Uwaga na Wijce”

— Miejscowi zwykle omijają to miejsce — uświadomił ich Pierwszy, przyglądając się biegnącej w oddali drodze. — Główny szlak wytyczony przez Zwiadowców jest o wiele bezpieczniejszy, ale dłuższy, bo lawiruje między każdym potencjalnie niebezpiecznym punktem. Gdybyśmy nim poszli, nie wiem czy wyrobilibyśmy się w trzy dni...

Zjawa, która również skorzystała z chwilowego postoju żeby ugasić pragnienie, prawie zadławiła się wodą, słysząc ostatnie zdanie.

— Cholera! — zawołała kaszląc. — Przecież Włókiennik nie był w Starym Świecie tak daleko! Skąd ci się biorą te dni? — spytała.

Pierwszy przyjrzał jej się jakby zbierało się mu na kolejny wybuch, ale kręcąc po chwili głową, odpowiedział spokojnie— Wkrótce sama zobaczysz. Na razie wytłumaczę wam coś ważniejszego — stwierdził, zmieniając temat. — Miejsce, przez które przejdziemy, używane jest przez doświadczonych Zwiadowców jako skrót — wyjaśnił, patrząc na drogę biegnącą dalej za znakiem. — To dlatego, że Niewykształconych, przed którymi tu ostrzegają, można stosunkowo bezpiecznie ominąć. Jeśli przez dłuższy czas nie zwróci się ich uwagi, zapadają w coś w rodzaju letargu. Dlatego będziemy przechodzić pojedynczo, w dużych odstępach i co najważniejsze... — podkreślił, robiąc krótką pauzę — nigdy nie patrzcie Wijcom w twarz. To skłania je do natychmiastowego ataku. Jeśli jednak będziecie uważać, powinno nam się udać oszczędzić trochę drogi...

Dziakiemu zdecydowanie nie podobała się perspektywa przekradania się między kolejnym nieznanym wcześniej typem Niewykształconych. Z drugiej strony, jeśli miało to im pomóc szybciej dostać się do Magistratu i uratować Oli, zdecydowanie był gotów zaryzykować. Z tego powodu nawet nie próbował protestować albo marudzić. O dziwo Zjawa również się nie bunto-

wała, za to rzuciła złośliwą uwagą — Wiesz, że lepiej by to wyglądało gdybyś to „powinno” powiedział z minimalnym przekonaniem. A nie jakbyśmy już mieli się wdrapywać Grabażowi na plecy.

— Wolę tego nie lekceważyć, abyście podeszli do sprawy poważniej niż do sprawdzania blaszek — odparł jej Pierwszy, sięgając po wodę, a Zjawa i Dziki znowu przerażeni spojrzeli na swoje bransoletki, o których oczywiście ponownie zapomnieli.

Gdy cała trójka ugasiła pragnienie i odetchnęła, choć zdecydowanie zbyt krótką chwilę, ruszyli w dalszą drogę. Ulica przed nimi wiodła teraz przez zrujnowaną aleję, która jak wszystko po tej stronie, wyglądała na zniszczoną przez czas, a nie aktywność szabrowników.

Zanim jeszcze zobaczyli Dzielnicę Krzyków, Dziki na własne uszy przekonał się dlaczego tutejsi nadali jej tak osobliwą nazwę. Z oddali dobiegała bowiem do nich istna kakofonia, przypominająca wrzawę na stadionie. Hałas, który początkowo brzmiał jak nieokreślone echo, stawał się coraz bardziej wyraźny, w miarę jak pokonywali kolejne przecznice. Im bliżej byli jego źródła, tym bardziej ten bezkształtny bełkot zaczynał przypominać ludzką mowę.

Dziki poczuł nagle, jak ciarki przebiegają mu po plecach, gdy udało mu się wyłapać z tego akustycznego piekła pierwsze słowa: — Ratunku! Pomocy! Na pomoc!

Wołania były wyjątkowo natarczywe i zdawało się, że dobiegały ze wszystkich otaczających ich budynków.

— To Łapki? — spytał, domyślając się, co mogło być źródłem tych wszystkich zawodzeń.

Łapki były niewędrownymi potworami, które większość swojego życia spędzały zamknięte w różnych budynkach. Naśladując wołania o pomoc, próbowały zwabić potencjalnych wędrowców, aby następnie zadusić ich swoimi silnymi rękami, a potem pożreć. Dziki nie tylko czytał o nich w notatniku Kuby, ale miał także okazję widzieć kilku przedstawicieli tego gatunku, gdy Autobus do Wolności ciągle jeszcze istniał. Na szczęście nigdy nie znalazł się w bezpośrednim zagrożeniu z ich strony, ponieważ przed pierwszym spotkaniem wiedział już w jaki sposób wabią swoje ofiary.

Pierwszy potwierdził jego domysły skinieniem głowy, dodając jednak po chwili — To niestety nie nimi musimy się martwić...

Zgodnie z jego słowami, ledwie kilka minut później ich oczom ukazały się Wijce. Były to istoty o posturach szczupłych kobiet, których przerosnięte włosy zakrywały nie tylko głowy, ale i sporą część torsów. Dziki od razu domyślił się czemu istoty nosiły właśnie taką specyficzną nazwę. Ich włosy „wiły” się, jakby były żywymi węzami. Do tego, w jego opinii, potwory bardziej przypominały człekokształtne rośliny niż ludzi. Większość Niewy-

kształconych, których do tej pory spotkał (może poza Wielopsami), przypominała ludzi. Nieraz mocno zdeformowanych, ale jednak ludzi. To tutaj było dla niego czymś nowym.

Pierwszy, nie wydając się jednak w żaden sposób poruszony ich widokiem, doprowadził ich naprawdę blisko, zanim zaczął tłumaczyć, jak w ogóle mają te potwory minąć.

— Ja pójde przodem! — zawołał, przekrzykując się z Łapkami. Dziki i Zjawa zareagowali zaskoczonym zdrygnięciem. — Starajcie się iść po moich śladach, ale z dużym odstępem! Nie zbliżajcie się też do nich i starajcie się trzymać wzrok nisko! One czasem ukazują twarz. Najważniejsze, żebyście wtedy nawet na chwilę na nią nie spojrzeli!

Po wywrzeszczeniu im instrukcji mężczyzna ruszył do przodu. Ze spojrzeniem wbitym w ziemię, okrążył łukiem najbliższego Wijca. Jego chód był ostrożny, ale nie starał się być szczególnie cicho. Oczywiście było, że gdyby to hałas drażnił te istoty, nie stałyby tak spokojnie pośród tych wszystkich wrzasków wypełniających Dzielnice Krzyków.

Dziki zebrał już w sobie dość odwagi by ruszyć za kompanem, ale nim zdążył, jeden z Wijców poruszył się. Istota pomaszzerowała nagle prosto w kierunku Pierwszego, jakby była świadoma jego obecności. Zjawa wydała zduszony okrzyk, zasłaniając odruchowo usta. Chociaż wydawało się, że zaraz dojdzie do katastrofy, Pierwszy zręcznie uskoczył na bok, a Niewykształcony minął go i ustawił się po prostu w innym miejscu. Kiedy się zatrzymał, zaczął swoje dziwne, hipnotyzujące ruchy włosami od nowa.

Pierwszy skinął im głową, sygnalizując, że wszystko jest w porządku, i ruszył dalej do przodu.

— Mógł wcześniej wspomnieć, że one nie będą tylko stały... — zauważyła z irytacją Zjawa i ruszyła w stronę potworów, zostawiając Dzikiego samego na drodze.

Ten odczekał więc na swoją kolej, cierpliwie obserwując.

Weteranka, podobnie jak Pierwszy, omijała istoty z daleka, trzymając wzrok wbity w asfalt. Co jakiś czas któryś z Wijców przestawiał się na inne miejsce, a wtedy zatrzymywała się, obserwując kątem oka czy potwór nie kieruje się w jej stronę.

Gdy Pierwszy znajdował się już kilkadziesiąt metrów dalej, a Zjawa była w połowie drogi do niego, Dziki ruszył za nimi.

Przechodząc obok pierwszego Wijca stojącego na początku drogi, usłyszał coś, co sprawiło, że jego skóra jeszcze mocniej ścierpła. Potwór oddychał tak głośno, że przebijało to nawet zawrodoenie Łapek. Odgłos, który wydawał, przypominał charczenie mopsa wzmocnione przez megafon.

Ledwo powstrzymując się przed podniesieniem wzroku, Dziki okrążył Niewykształconego. Skupiając całą wolę na kontroli swojego spojrzenia, przeszedł

kilka kolejnych metrów. Już po chwili znalazł się w samym środku tej potwornej gromady. Wijce stały wokół niego tak gęsto, że tworzyły coś na kształt upiornego lasu. Oceniając ich liczbę po ilości nóg przed sobą zrozumiał, że to nie będzie krótka przechadzka. Zagajnik Niewykształconych wydawał się nie mieć końca.

Czuł, jak z nerwów pot spływa mu po czole, więc wytarł go rękawem. To przypomniało mu o bransoletce, którą przecież miał sprawdzać. Spoglądając na metalową blaszkę, dostrzegł kropkę rdzy na samym jej środku. Jego serce na moment stanęło. Uniósł szybko dłoń i zaczął machać w stronę Zjawy i Pierwszego, ryzykując przy tym nawet podniesienie wzroku. Kompani byli jednak zajęci obserwowaniem, gdzie zmierzają kolejne Wijce, i żadne z nich, nawet przez chwilę, nie spoglądało za siebie.

Po kilku nerwowych sekundach Dziki dostrzegł, że Pierwszy również spogląda na swoją blaszkę. Gdy tylko wzrok mężczyzny sięgnął nadgarstka, odwrócił się i gwałtownym machnięciem ręki dał im znak, że muszą przyspieszyć. Sam natychmiast rzucił się pędem do przodu.

Zjawą widząc go, również zaczęła biec, dość zręcznie lawirując między potworami. Dziki zostając na końcu, także podjął ryzykowny bieg. Czuł jednak, że to nie może się udać.

Już po chwili Pierwszy o włos wyminął Wijca, który niespodziewanie stanął na jego drodze. Zjawą musiała z kolei „przebłysnąć się” przez następne go. Potwór zaczął swój marsz tak blisko niej, że inaczej nie dałaby rady uniknąć zderzenia.

Użycie błędu nie pozostało niestety niezauważone przez resztę Niewykształconych. Najbliższe z nich zbiegły się w miejsce, z którego się przeteleportowała. Dziki okrążając tę stłoczoną grupę, myślał, że dzięki temu będzie miał już w większości czyste pole. Wtedy zza gromady wyłonił się niespodziewanie kolejny Wijec. Prerażony, nie był już w stanie nic zrobić. Z impetem wpadł na potwora, po czym oboje wylądowali na asfalcie.

Istota z miejsca podniosła się do siadu obok niego, unosząc jedną ręką pozlepiane włosy i odsłaniając szkaradną twarz, jakby chciała przyjrzeć się temu, na co natrafiła. Dziki zamarł, w ostatnim odruchu zamykając oczy. Po omacku próbował się podnieść, ale poczuł, jak Niewykształcony chwytą go za nogę. Dłoń potwora była lodowato zimna, a jego palce mokre i sztywne.

Sięgnął na ślepo po pistolet. Był już gotów wystrzelać sobie wolność, gdy nagle przez powieki przebił mu się błysk światła. Zjawą pojawiła się nagle tuż obok niego. Chwytając go za plecy, zawołała gniewnie — Trzymaj się!

Momentalnie oślepił go kolejny błysk, gdy dziewczyna przeteleportowała go ze sobą jakieś dziesięć metrów od stada Wijców. W ułamku sekundy świat zawirował, a zaraz potem poczuł przerażający, przeszywający ból w nodze. Spojrzał w dół, gdzie zobaczył rozdarte spodnie. Z miejsca które jeszcze chwilę wcześniej zaciskała masywna ręka Niewykształconego, spływała gęsta, ciemnoczerwona krew.

Syknał, widząc głęboką ranę i odruchowo złapał się za nogę, próbując powstrzymać krwawienie. Pierwszy, przy którym się pojawili, wrzasnął w tym czasie na Zjawę — Dlaczego użyłaś błędów?!

— Wjecz go dopadł! Chciałam... — zaczęła się tłumaczyć, ale mężczyzna przerwał jej ostro.

— One w ogóle nie reagują na dźwięk! Lepiej było do nich strzelać!

W czasie tej krótkiej wymiany zdań, kilka Wjeczów ruszyło w ich kierunku, ukazując potworne twarze. Pod osłoną włosów nie było widać jak nieproporcjonalnie wielkie były one w stosunku do ludzkich. Przypominały ogromne, groteskowe maski używane na karnawałach albo w cyrku.

Pierwszy orientując się w sytuacji, ściągnął pistolet maszynowy z ramienia i ostrzelał nadbiegające potwory. Te nie były zbyt wytrzymałe, bo padały na ziemię natychmiast po trafieniu. Niestety, za każdym zabitym podążało już całe mrowie kolejnych. Mężczyzna widząc to, zawołał nerwowo — Musimy biec dalej! Mamy mało czasu — jednocześnie spojrzał na rozerwane spodnie Dzikiego. — Dziki, co z twoją nogą?!

Ten słysząc pytanie, poruszył nią kilka razy.

— Chyba jest okej — odpowiedział, chociaż łyzy mimowolnie napłynęły mu do oczu.

Ból nie był jednak na szczęście nie do wytrzymania.

— Więc dalej! Za mną! — rozkazał Pierwszy, podnosząc go z ziemi.

Trójka ruszyła pędem ulicą, starając się jak najszybciej oddalić od Dzielnicy Krzyków. Wjecz ścigały ich jeszcze przez chwilę, ale szybko okazało się, że nie były szczególnie zajadłe. Ich upiorne sylwetki wkrótce zniknęły w mroku, a dźwięki pościgu ucichły.

Noga Dzikiego wciąż krwawiła, a każda sekunda biegu sprawiała, że ból stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Z zaciśniętymi zębami zmuszał się jednak do utrzymania tempa.

W tym samym czasie Pierwszy ponownie spojrzał na swoją bransoletkę, która była już całkowicie pokryta rdzą.

— Zaczyna się... — warknął.

Już po chwili niebo zaczęło ciemnieć, zapowiadając nadejście czegoś nienaturalnego. Najpierw pojawiła się gęsta mgła, która błyskawicznie zalała całą okolicę. Nie była to jednak zwykła mgła. Jej konsystencja była dużo gęstsza i bardziej lepka, jakby otaczał ich mroczny, czarny dym. Z każdą sekundą ciemność stawała się coraz bardziej intensywna, aż w końcu biegli w mroku tak gęstym, że przypominał wiszący w powietrzu atrament. Równie dziwne było to, że ten mroczny opar nie miał żadnego zapachu.

Wszyscy chwycili za latarki, ale te szybko okazały się bezużyteczne. Ich promienie światła nie były w stanie przebić się przez tę nieprzeniknioną czarną zasłonę.

— JESZCZE KAWALEK! — zawołał Pierwszy, prowadząc ich niestrużenie w ciemności.

Dziki początkowo nie mógł zrozumieć, skąd mężczyzna wiedział, dokąd zmierzają. Dopiero gdy rozejrzał się wokół, zauważył, że stalowe ogrodzenia, bramy i pręty były wyraźnie widoczne, jakby ktoś pokrył je wcześniej luminoforem. Jednak to nie było najdziwniejsze. Dzikiego przeszło nagle odczucie bycia obserwowanym. Ciemność, która go otaczała, zdawała się być żywą istotą, pełną ukrytych oczu i czekającą tylko na okazję do ataku.

Zanim jednak to nieopisane zło zdążyło się zmaterializować, minęli uchylone stalowe ogrodzenie i wpadli na wyjątkowo jasne podwórze. Ilość metalowego złomu, który tam się znajdował, z pewnością nie była przypadkowa i miała ułatwić odnalezienie tego miejsca w Ciemni. Gdy w oddali zabłysły czerwone stalowe drzwi z białym krzyżem, Pierwszy zawołał z ulgą — TO SCHRONIENIE!

Wbiegli do pomieszczenia, ale jego wnętrze było równie ciemne, jak podwórze. Dziki zdołał jednak zobaczyć, że Pierwszy natychmiast skierował się ku świecącym w ciemności znakom, które zaprowadziły go do piwnicy. Po chwili głośny ryk uruchomionego generatora wypełnił wnętrze, a mężczyzna zawołał z dołu — Przy drzwiach jest dźwignia!

Dziki zaczął macać ręką ścianę, szukając włącznika prądu, ale Zjawa musiała go ubiec. Potężne reflektory oświetliły nagle środek schronu. Ciemność zdawała się cofać powoli pod wpływem tego przytłaczającego blasku.

Pierwszy, który wrócił na górę, natychmiast doskoczył do czerwonych drzwi i zatrzasnął je, osuwając się następnie ze zmęczenia na podłogę. Ostatnie oderwane plamy mgły rozplynęły się w pochłaniającej jasności.

Wszyscy w schronieniu wręcz synchronicznie odetchnęli z ulgą.

Pierwszy ściągnął maskę, wypływając coś, co przypominało kawałek czarnego dymu. Jego twarz była zmęczona, ale oczy wciąż bacznie obserwowały pomieszczenie. Dostrzegając plamę krwi, pod butem Dzikiego spytał po-nownie: — Co z twoją nogą?

Dziki pochylił się, by ocenić w końcu swoją ranę. Ta na szczęście nie była tak głęboka, jak wnioskował po ilości wylewającej się z niej krwi.

— Będzie dobrze, to nic... — stwierdził, sięgając do plecaka po bandaż, aby się opatrzyć.

Zjawa z kolei spoglądała nerwowo w stronę drzwi, jakby za chwilę miał przez nie przejść Delimer.

— Więc to była ta Ciemnia... — stwierdziła w końcu.

— Tak — potwierdził jej Pierwszy, oglądając teraz swoją maskę, jakby szukał uszkodzeń na jej powierzchni. — Jej pojawienie się dyktuje rytm życia po tej stronie — wyjaśnił, nie podnosząc wzroku. — Wymusza na mieszkańcach liczne kompromisy i przygotowania. Takie miejsca jak to są rozsiane po całej strefie. Dlatego mówiłem, że droga do Magistratu potrwa.

W nocy nie ma szans na podróż, a podczas trwania Ciemni będziemy uziemieni w miejscach takich jak to.

Weteranka ponownie przyjrzała się drzwiom. Nietrudno było zauważyć, że przez szpary we framudze dziwna mgła ciągle próbowała dostać się do środka.

— Na pewno jesteśmy tu bezpieczni? — spytała, obserwując jak na podłodze dalej przebijają się czarne smugi.

— Tak — potwierdził ponownie Pierwszy, odkładając maskę, żeby podsunąć się bliżej wejścia. — Ciemnię powstrzymują tylko metal i światło. Drzwi są wykonane ze stali kwasoodpornej, więc nie rdzewieją, a mocne reflektory uniemożliwiają dostanie się jej przez otwory — wyjaśnił, dotykając palcem wijącego się kawałka czerni na podłodze.

Dziki rozejrzał się w tym czasie po pomieszczeniu. Teraz gdy miał chwilę, zauważył, że budynek był pod każdym względem dobrze przygotowany do przetrwania w nim czasu panowania Ciemni. Stały w nim małe kanadyjskie łóżka, w rogu pomieszczenia ułożone były śpiwory, a na ścianie wisiała apteczka. Agregat, który warczał w piwnicy, również nie był standardowym wyposażeniem każdego domu.

— Że też nikt tego nie rozkradł... — pomyślał głośno.

Pierwszy spojrzał na niego nieco zmieszany i wyjaśnił natychmiast — Kradzież ze schronień karana jest śmiercią... ale nawet gdyby nie była, raczej nikt by tego nie zrobił.

— Czemu? — dopytał zaskoczony Dziki.

Pierwszy wciąż siedząc na podłodze, odchylił się do tyłu i oparł głowę o ścianę, jakby zbierał myśli.

— Żeby przetrwać w takim miejscu jak to, ludzie muszą ze sobą współpracować — powiedział, rozpinając jednocześnie kamizelkę, przez którą ewidentnie ciężko mu było oddychać.

— Społeczności mają tu swoje zasady, których przestrzegają i jednocześnie pilnują innych, by też ich przestrzegali. Bez tego już dawno by zginęli. — Gdy odpiął ostatni rzep, spojrzał ponownie na Dzikiego, a potem rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego wzrok zatrzymał się na apteczce wiszącej na ścianie. — Wyobraź sobie, że wbiegamy tu teraz, a w generatorze nie ma paliwa, albo ktoś go ukradł... Nasze szanse na przeżycie byłyby mizerne.

Zjawa, która już się uspokoiła, usiadła teraz obok Pierwszego, chowając pod siebie nogi, po czym zapytała — Co się tam właściwie teraz dzieje?

Pierwszy nim odpowiedział, dotknął ręką drzwi jakby chciał wyczuć to, co jest po drugiej stronie.

— Ciemność ogarnia wszystko... — stwierdził nagle, dziwnie rozmarzonym głosem. — Po pewnym czasie nawet najmocniejsze lampy nie przebijają się przez nią. Wtedy zaczynają pojawiać się Niewykształceni. W odróżnieniu jednak od Centrum, gdzie rodzą się razem z Błyskiem, tu są od razu w pełni

świadomi... Najgorsze jest to, że nie trzeba wcale być na zewnątrz, by potwór pojawił się przy tobie. Wystarczy jakiegokolwiek zaciemnione miejsce, w którym zmieściłby się swoimi gabarytami. Dlatego w całym tym domu nie znajdziecie ani jednej dużej szafy, standardowego łóżka czy jakiegokolwiek skrzyni, a lampy są rozstawione wszędzie, gdzie to możliwe.

Dziki przyjrzał się wnętrzu jeszcze raz. Teraz zrozumiał dlaczego było tu tak mało mebli i przedmiotów. Wszystko miało swój cel — zapewnienie bezpieczeństwa przed mrokiem i istotami, które mogły się w nim pojawić.

Pierwszy w międzyczasie zaciągnął maskę z powrotem na twarz i spojrział w kierunku schodów prowadzących na piętro.

— Może chodźmy na górę. Tam nie będzie tak słychać tego warkotu — zaproponował.

Dziki przytaknął. Cała trójka ruszyła na piętro.

Górna część domu niewiele różniła się od parteru. Wszędzie rozstawione były halogeny i reflektory, które swoją jasnością naprawdę męczyły oczy. Wchodząc na korytarz zobaczyli trzy pokoje i łazienkę z których tylko ta ostatnia miała drzwi. Wszędzie leżało pełno obozowych przedmiotów: palniki, butle turystyczne, lampy, baterie, śpiwory. W jednym z pokoi stał nawet stolik z butelkami wody i kilkoma konserwami. Tuż nad nim wymalowany na ścianie był spory napis:

„Weź, jeśli potrzebujesz, zostaw, jeśli możesz”.

Zjawa, która podeszła do pełnego zapasów stolika, natychmiast podniosła jedną z puszek.

— Cholera, u nas takie coś nie przetrwałoby pół dnia — stwierdziła, chcąc schować ją do plecaka.

Pierwszy, widząc co robi, pokręcił tylko głową i w drodze do pokoju rzucił krótko: — Zostaw...

— Dlaczego? Jest świeża... — spytała zdziwiona Weteranka.

Mężczyzna westchnął ciężko, jakby tłumaczył coś nierozsądnemu dziecku — Bo nie potrzebujesz... — następnie skupił wzrok na przeciwległej ścianie.

Ta pokryta była licznymi podpisami, pozdrowieniami oraz przygnębiającymi sentencjami. Zjawa widząc, że mężczyzna już na nią nie patrzy, pokazała mu język i szybko schowała kilka konserw oraz butelkę wody do swojego plecaka.

Dziki stając obok Pierwszego, zaczął natomiast odczytywać napisy razem z nim. Tym, który z miejsca przykuł jego uwagę, był ogromny tekst: *„Żyjemy w piekle”.*

— Też tutaj jesteś? — spytał w końcu, skupiając się potem na podpisach poprzednich gości tego miejsca.

Pierwszy bez słowa wskazał na drobny napis: „Czarny”.

— Na Zarzeczu nie byłem pierwszy, więc i pseudonim był nieadekwatny... — stwierdził pośpiesznie. — Tutaj wołają na mnie od koloru stroju.

— Ja bym powiedziała, że to przez twoje czarnowidztwo — wtrąciła Zjawę, stając obok mężczyzn.

Pierwszy milczał przez chwilę, jakby ważył jej słowa, aż w końcu odszedł od ściany, szepcząc pod nosem — Jest w tym trochę prawdy...

Dziewczyna natychmiast zajęła jego miejsce, spoglądając na ogromny napis o piekle.

— Głębokie... — skwitowała ironicznie, po czym przyglądała się ze znużeniem pozostałym podpisom i pseudonimom.

Dziki miał już zamiar dołączyć do Pierwszego, gdy nagle jego uwagę przykuło znajome imię. Tuż pod krótkim zdaniem „*Strzeż się Pogodotwórców*” widniał podpis Michała Modrzewa. Widząc to, kopnął ze złością w ścianę i poczuł jak rozgoryczenie znowu zaczyna go pochłaniać. Minął Zjawę i usiadł obok kompana, który właśnie podpalał palnik butli turystycznej.

— Myślisz, że Oli ma jakieś szanse? — spytał i choć bardzo tego nie chciał, głos mu się załamał.

Pierwszy spoglądał na niego przez chwilę, tak że Dziki widział odbicie swojej smętnej twarzy w wizjerach jego maski. — Zwiadowcy przechodzą to miejsce bez problemu. Do tego na pewno idą bezpieczniejszą drogą. Myślę, że dotrze do Magistratu żywa...

Ton, w jakim Pierwszy wypowiedział ostatnie zdanie, tylko pogorszył nastrój Dzikiego. Wiedział, że za tymi słowami kryje się straszna prawda, której jednocześnie nie chciał poznać, ale w której chciał się utwierdzić.

— A co potem? — spytał z naciskiem, przygotowując się na najgorsze.

— To, o czym nie powinieneś teraz myśleć — odparł niespodziewanie jego kompan, wyraźnie nie chcąc pozwolić mu na osiągnięcie psychicznego dna. — Skup się na tym, że idziemy po nią i mamy szansę ją uratować — dodał, kładąc czajnik na ogniu.

Zjawę, która ewidentnie nie chciała dać się wyłączyć z tej rozmowy, dosiadła się do nich i spytała — Naprawdę w to wierzysz?

Pierwszy przyglądał się jej przez chwilę, aż w końcu stwierdził dobitnie — Gdybym w to nie wierzył, nie byłoby tu ani mnie, ani was. Pogodziłem się z myślą, że Dziki mógłby mnie za to znienawidzić, ale nie wziąłbym udziału w straconej sprawie. Uznałem, że mamy szansę jej pomóc, więc nas tu przyprowadziłem...

Dziki nie wiedział, czy powinien teraz czuć ulgę. Słowa Pierwszego sugerowały jedynie, że Oli ma szansę. Tym bardziej irytowało go, że musieli się zatrzymać. Jak często ta Ciemnia stanie im jeszcze na drodze? Czy jego przyjaciółka siedzi teraz w podobnym schronieniu? A jeśli spróbuje uciec, i nie daj Bóg, jej się to uda? Jak przetrwa sama w takim miejscu jak to?

Pierwszy, zapewne dostrzegając jego zmartwioną minę, postanowił dać mu zajęcie. Sięgnął do swojej kamizelki i wyjął kawałek papieru ściernego. Rozdarł go następnie na trzy części i podał mu jedną z nich.

— Wyczyść swoją bransoletkę. Jeszcze nie raz ci się tu przyda — polecił, podając potem drugi kawałek Zjawie.

Przez kilka kolejnych minut w pomieszczeniu słychać było tylko bulgotanie gotującej się wody i szorowanie papieru ściernego o metal.

— PIERWSZA! — krzyknęła nagle Zjawa, rozglądając się po towarzyszach i demonstrując swoją idealnie oczyszczoną opaskę. Widząc jednak, że żaden z nich nie zareagował entuzjastycznie, wymamrotała coś, co brzmiało jak: „szywniaki...” i oparła się na rękach, wpatrując bezmyślnie w sufit.

Dziki zerknął ponownie na Pierwszego, który wydawał się absurdalnie skupiony na swojej pracy. Poczuł, że jeśli nie chce oszaleć, musi zająć głowę czymś więcej niż tą bezmyślną czynnością.

— Mówiłeś, że Zarzecze istnieje dłużej niż Centrum... Co miałeś przez to na myśli? Jak dokładnie „dłużej”? — spytał, licząc, że wciągnie mężczyznę w rozmowę.

Pierwszy obserwował go przez chwilę, po czym powrócił do pocierania swojej opaski. W końcu biorąc głęboki oddech, oznajmił z powagą: — Drugi, Przegrałeś... — jednocześnie demonstrując błyszczącą blaszkę.

Dziki słysząc go, poczuł, jak coś pęka mu w środku. Nie tylko dlatego, że Pierwszy podchwycił durną zabawę Zjawy, ale w dodatku pochwalił się głosem tak sztywnym i opanowanym, jakby był ponurym dorosłym, którego zmuszono do zabawy z dziećmi.

— Poważnie? — spytał z niedowierzaniem.

— Szywniak... — westchnął Pierwszy, a Zjawa słysząc to, parsknęła śmiechem, rozbawiona.

— HA! Wiedziałam, że pod tą maską musi być chociaż trochę człowieka! — zawołała.

— Już od dawna nie... — odparł jej mężczyzna i spojrzał w stronę korytarza. — Jak myślicie, ile mam lat? — spytał niespodziewanie.

Dziki spojrzał na niego już mocno zirytowany. Pierwszy nie tylko zignorował jego pytanie, ale najwidoczniej nabrał ochoty na jakieś głupie zabawy. Gra w zgadywanki była ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę.

— Nie wiem! — wypalił w końcu oschle. — Skoro pojawiłeś się pięć lat temu, to i tak nie możesz mieć więcej niż trzydzieści sześć...

— Jeżeli doliczyć pięć lat w Nowym Świecie, mam jakieś trzydzieści siedem... — odparł mężczyzna, a Zjawa i Dziki osłupieli.

Weteranka od razu zwróciła uwagę na to, co było w tym świecie traktowane jako coś oczywistego.

— Przecież to by znaczyło, że powinieneś być Niewykształconym... — zauważyła.

Pierwszy ściągnął czajnik z ognia i zaczął przygotowywać sobie zupkę instant.

— Myślę, że większość ludzi pomyślałaby dokładnie w ten sam sposób — stwierdził bez szczególnych emocji. — Przynajmniej, dopóki nie dowiedzieliby się, że nasz świat istnieje dużo dłużej, niż wszyscy uważają. No i na dodatek, to wcale nie ja byłem w nim „tym pierwszym”. A nawet powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Jestem najpewniej ostatnim ze swojego pokolenia...

Zjawa i Dziaki wpatrywali się w mężczyznę zszokowani, podczas gdy ten spokojnie mieszał kluski w metalowym kubku stojącym na podłodze. Czując na sobie ich ponaglające spojrzenia, kontynuował — Jeszcze zanim pojawił się Drugi, kilka razy natrafiłem na ślady ludzi przede mną. Raz nawet spotkałem... — w tym momencie Pierwszy zrobił krótką pauzę, wyraźnie marszcząc czoło. — Nieważne, to nie był nikt warty wspomnienia. W każdym razie, nigdy się tym szczególnie nie chwaliłem. Stworzyłem jednak pewną teorię... Nie wiem czy chcecie jej słuchać? — spytał nagle.

— Umrzesz w męczarniach, jak jej nie zdradzisz! — warknęła Zjawa, zabierając mężczyźnie kubek z zupą. — A to dostaniesz dopiero, jak opowiesz wszystko! — dodała, dosłownie biorąc jego posiłek jako zakładnika.

Pierwszy westchnął, opierając głowę o ścianę.

— Nie lubię, jak makaron rozmięknie do końca... — oznajmił grobowym głosem.

— Więc się streszczaj! — ponagliła dziewczyna.

Mężczyzna popatrzył w jej stronę, ale przez maskę na twarzy trudno było stwierdzić, jaki miał stosunek do tego typu zachowania. Niemniej zaczął w końcu opowiadać im o swoich ustaleniach.

— Z tego co przypuszczam, widelki wieku pojawiania się w Nowym Świecie nie są stałe. Myślę, że na początku istnienia naszej części miasta, wyrzucało tutaj ludzi bardzo starych. Przypuszczam, że mieli po osiemdziesiąt lat i więcej. Większość z nich była w tragicznym stanie, uzależniona od leków i potrzebująca stałej opieki. Umarli bardzo szybko i stali się pierwszymi Niewykształconymi. Kolejne pokolenie, te w okolicach pięćdziesiątki, nie przeżyło po Błysku o wiele dłużej. Bardzo duża część z nich próbowała uciec z miasta. To, czym się stali, morduje teraz ludzi na obwodnicy.

Dziaki słuchając tej teorii, przypomniał sobie moment, gdy razem z Mike'm poszukiwali samochodu do przewiezienia zapasów dla Wspólnoty. Na obwodnicy miasta aut było pełno, a w nich zamknięci byli Niewykształceni, wyglądający na ludzi w wieku, o którym wspominał Pierwszy. Jego domysły wydawały się mieć w sobie sporo sensu.

Mężczyzna przerwał jednak opowiadanie, wpatrując się w Zjawę, która zasłuchana zaczęła popijać zupę z jego kubka. — To było moje... — zauważył, głosem pełnym oburzenia.

— Nie becz! — odparła dziewczyna, wywracając oczami. — Zrobię ci drugą, jak skończysz. A TERAZ DALSZĄ CZĘŚĆ! — zażądała dobitnie.

Dziki mógł tylko zgadywać, jak złowieszczą minę miał w tym momencie Pierwszy pod maską. Po kolejnym ciężkim westchnieniu mężczyzna kontynuował jednak opowieść — Wydaje mi się po prostu, że grupa z jakiegoś kolejnego przedziału wiekowego pojawia się, gdy większość jej poprzedników zostanie Niewykształconymi... Gdy ja się pojawiłem, naprawdę długo myślałem, że byłem tu... — w tym momencie zrobił pauzę, jakby coś sobie przypomniął. — W sumie nie myślałem wtedy o sobie jako o Pierwszym — przyznał w końcu. — Może raczej o jedynym. Choć prawda jest taka, że jakieś niedobitki z mojego pokolenia mogły ukrywać się w innych częściach miasta i po prostu ich nie spotkałem. Ta pogłoska, że Krańcowo istnieje pięć lat, to fałszywa informacja, jeszcze z czasów Brygady 90. Przez jej założyciela, - Dziewiątego, wszyscy Weterani liczą czas od momentu pojawienia się Pierwszej Grupy.

— Nie mówiłeś o tym nikomu? — wtrącił Dziki. — Przecież Kuba i Dix też liczą te mistyczne pięć lat — zauważył, przypominając sobie rozmowy, które odbył z nimi o początkach Nowego Świata.

— Całą moją historię opowiedziałem tylko Drugiemu — wyjaśnił Pierwszy. — On jednak nie przekazał tego dalej przed swoim zniknięciem... Kuba pewnie domyślił się, że taki proceder istnieje, ale zdążyłeś go poznać i wiesz, że lubi trzymać zdobytą wiedzę dla siebie. Dix natomiast... Ona od początku miała co innego na głowie niż zastanawianie się, jak długo tak naprawdę tu jesteśmy.

Zjawia opróżniła w tym czasie kubek do końca. Postawiła go na podłodze, spoglądając jednocześnie na mężczyznę. — Mówisz o Trzecim, ale z ciebie tak samo trzeba wszystko siłą wyciągać... No, to co z tym Zarzeczem?

Pierwszy nie odpowiedział, tylko popukał palcem o puste naczynie.

— No cholera! Przecież mówiłam, że dostaniesz! Dalej! Co z Zarzeczem?! — zawołała Zjawia.

Mężczyzna przyglądał się dziewczynie przez dłuższy czas, ale widząc jej ponaglące spojrzenie, westchnął głęboko i kontynuował wyjaśnienia — Od momentu, kiedy się pojawiłem, wydaje mi się, że nie postarzałem się nawet o rok. Schudłem, świat mnie wymęczył..., ale mam trzydzieści siedem lat, a czuję się wciąż na trzydzieści. Jesteście tu jeszcze za krótko, by to zauważyć, ale w Nowym Świecie nikt się nie starzeje. Stąd też wiem, że Zarzeczce istniało przed nami. Po prostu rozmawiałem tu z ludźmi, którzy pojawili się wcześniej niż ja w Centrum. Marco, którego przebiłeś na wylot, wyrzuciło piętnaście lat temu. Denis, ten którego wepchnąłeś do rzeki — jedenaście, a nie byli oni najstarszymi mieszkańcami Zarzeczca. Podobno ruchy w Centrum obserwowali stąd już dziesięć lat temu, ale dopiero niedawno bariera dzieląca nas zniknęła.

Dziki, od momentu swojego przybycia do Nowego Świata, po raz kolejny odczuł, jak przytłacza go nadmiar wiedzy. Zdążył już przyzwyczaić się do zasad panujących w tej nowej rzeczywistości i akceptował to, że nie wszystko

da się wyjaśnić. Problem polegał na tym, że nawet te rzeczy, które uważał za pewnik, jak data Błysku, okazywały się fałszywą pogłoską.

Zjawa zwróciła natomiast uwagę na inny szczegół, który umknął uwadze Dzikiego.

— Skąd tak dobrze znałeś tych ludzi? — spytała, równocześnie zaczynając przygotowywać drugą zupkę.

Pierwszy, zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, wskazał na kubek mówiąc — Wołalbym, żebyś chociaż go oplukała...

— No nie wierzę! — zawołała oburzona Zjawa. — Tylko pięciolatki brzydzą się pić po ładnej dziewczynie! — wyrzuciła.

— Jeśli to problem, mam drugi kubek... — zasugerował Pierwszy, wyciągając z plecaka kolejne metalowe naczynie.

Weteranka spojrzała na niego sfrustrowana. — Ja... po prostu... nie wierzę... — warknęła, praktycznie wyrywając mężczyźnie czysty kubek. — Skoro już uznałeś mnie za parchatą, to przynajmniej odpowiedz na pytanie...

Pierwszy pokręcił głową. — Nie powiedziałem, że jesteś parchatą. Ja po prostu nie mam w zwyczaju jeść po kimś — wyjaśnił. — A co do twojego pytania, to wracaliśmy wszyscy razem z Magistratu. Tutaj zakłada się, że w grupie jest bezpieczniej. Po tej stronie są tak liczne błędy, że Prawo Trzech prawie wcale nie ma zastosowania...

Zjawa zamarła na chwilę, trzymając czajnik z gorącą wodą.

— To dlatego cię znali! No tak! Przecież Zwiadowca przy rzece powiedział do ciebie „Czarny”! — zauważyła.

W tym momencie Dzikiego poczuł, jak narasta w nim wzburzenie. Pierwszy wracał razem ze Zwiadowcami? Dlaczego więc ich nie zatrzymał? Dlaczego pozwolił im przejść albo nie powiedział wcześniej mieszkańcom Centrum, co ich czeka.

— Dlaczego? Dlaczego ich nie zabiłeś? — wyrwało mu się z wyrzutem.

Pierwszy słysząc to, spojrzał na Dzikiego tak krytycznie, że można to było dostrzec nawet przez maskę na twarzy.

— I mówisz to właśnie ty... — wydusił. — Człowiek, którego przez długi czas uważałem za niezdeprawowanego przez Nowy Świat. Powiedz mi więc Dzikie, jaki miałem ku temu powód? Nie należę do żadnej frakcji. Nie jestem częścią Wspólnoty, Armii Daniela ani Zarzecza. Dzięki latom przygotowań, umiejętnościom i wiedzy, mogę sobie pozwolić na bycie całkowicie neutralnym, co dla mnie jest najważniejszym luksusem. Wspieram tylko to, co chcę wspierać. Nic nie zmusi mnie, bym brał udział w czymś, w czym nie chcę. Konflikt Zarzecza z Centrum mnie nie interesuje. Niezależnie od tego kto wygra. Nie będzie to miało na mnie wpływu...

— Chciałabym dojść do takiego poziomu... — wtrąciła tęsknie Zjawa, zalewając w końcu zupkę wrzątkiem. — Samowystarczalność, niezależność. Na niczym tak mi nie zależy.

Pierwszy podłapując to, zwrócił się do Weteranki z uznaniem.

— To trudne, ale w tym świecie całkiem wykonalne — stwierdził starając się ewidentnie zmienić temat, ale Dziki nie zamierzał mu odpuszczać.

— Modrzew też wracał z wami?! — spytał gniewnie.

— Nie. Minąłem się z nim — odparł krótko Pierwszy, dodając po chwili — Ale gdy dowiedziałem się w jakim celu wraca, sam też wróciłem prawie natychmiast, żeby cię ostrzec. Uprzedziłem też pozostałych Zwiadowców, że zabiję każdego, kto myślałby o tym by pomóc mu w zemście...

Dziki, słuchając tych absurdalnych z jego perspektywy wyjaśnień, nie był już w stanie opanować złości.

— Trochę to nie poskutkowało! — prychnął. — Gdybyś ich zatrzymał, to...

— To co? — wtrącił wyraźnie wyprowadzony z równowagi Pierwszy. — Nawet gdybym ich pozabijał, uczynił z siebie mordercę po raz kolejny... Myślisz, że w czymś by to pomogło? Odszedłbyś z autobusu, tak jak cię prosiłem? A może pokonał Modrzewa, gdyby tamtej nocy był sam? Myślę, że nawet skończyłoby się to gorzej, bo Michał na pewno nie oszczędziłby dziewczyn! A nawet gdybym znalazł go wcześniej, ja nie pozbawiam ludzi życia tak lekkomyślnie i bez skrupułów! Pragnę ci przypomnieć, że kilka osób z twojego powodu już na tamten świat odesłałem...

Po wybuchu Pierwszego Dziki zamarł, zupełnie zaskoczony. Poczuł, że jednak przesadził. To przecież nie Pierwszy był winny, tylko on sam. Miał tyle okazji, by odejść z autobusu. Tyle ostrzeżeń, tyle pomocy... No właśnie, pomocy — pomyślał, a do głowy jak bumerang wróciły mu słowa, które niegdyś usłyszał od kompana: „Pomóż komuś sto razy i wszystko będzie dobrze, ale nie pomóż raz... I wszystkie poprzednie razy, w których pomogłeś, przestaną mieć znaczenie”. Dziki uświadomił sobie, jak okropnie brzmiał w tej perspektywie jego wyrzut.

— Przepraszam cię — szepnął skruszony i po chwili, ze łzami w oczach, zaczął tłumaczyć swoje zachowanie. — Dławi mnie poczucie winy, którego nie mogę znieść. Chciałbym je w tym momencie na coś przelać. Odciążyć trochę myśli, które nie dają mi żyć... ale ty jesteś ostatnią osobą, do której powinienem mieć pretensje.

Pierwszy ściągnął maskę, przyglądając się przez chwilę Dzikemu. Jego spojrzenie było bardzo zmęczone i pełne smutku, ale jednocześnie wyrozumiałe. — Robisz dokładnie to, czego po tobie oczekiwałem. Ni mniej, ni więcej... — odetchnął i wziął do ręki kubek z zupą. Po chwili wyraźnego zamyślenia pokręcił głową zrezygnowany — I teraz jest już za późno... — dodał niespodziewanie.

Dziki spojrzał przerażony. Czyżby jego wybawca zaczął żałować, że jednak nie zrezygnował z pomagania mu? — Co się stało? — spytał natychmiast.

Pierwszy spojrzał na swój kubek.

— Kluski wypily całą zupę...



Rozdział II

Radio na sznurze

Od czasu zniszczenia Autobusu do Wolności, Dziki przeszedł w swoim umyśle tak gwałtowną i nagłą przemianę, że czasami sam nie potrafił uwierzyć, jak bardzo różnił się od osoby, którą był przed tym wydarzeniem. Michał Modrzew, który owej przeklętej nocy dokonał masakry na jego kompanach, był zarazem pierwszą osobą, której śmierci po prostu zapragnął.

Przerażająca żądza pozbawienia Modrzewa życia, która narodziła się przy zabójstwie Korka, popchnęła Dzikiego do odkrycia Pierwotnej Woli, a wykorzystanie błędów pozwoliło mu wtedy wymierzyć okrutną sprawiedliwość. Zmiażdżenie mężczyzny było jednocześnie pierwszą sytuacją, w której odebranie życia innemu człowiekowi przyniosło Dzikiemu czystą satysfakcję. Nigdy wcześniej śmierć, choćby największego wroga, nie wywoływała w nim tak pozytywnych emocji.

Chociaż Dziki nadal nie myślał o sobie jako o zimnokrwistym zabójcy, poczuł, że od tej chwili wobec swoich przeciwników nie będzie miał już więcej chwil zwątpienia czy odruchów litości. Wspomnienia sytuacji, gdy celował w kanibala czy bandytę, próbując przekonać samego siebie do naciśnięcia spustu, obecnie wywoływały w nim jedynie zażenowanie. Wspominając dawnego siebie, nie mógł uwierzyć, że w Nowym Świecie przez tak długi czas obciążał się jakimiś moralnymi dylematami.

Koniec Autobusu do Wolności miał jeszcze jeden, osobliwy skutek. Koszmary, które nieustannie męczyły Dzikiego od momentu przybycia do Nowego Świata, nagle po prostu ustały. Zastąpiły je sny o pozornie spokojnym charakterze, wypełnione wspomnieniami z czasów, kiedy był jeszcze strażnikiem mieszkańców piętusa. Co zaskakujące, te pozornie łagodne wyobrażenia miały na niego bardziej wyniszczający wpływ niż najgorsze wizje, których do tychczas doświadczył. Kiedy budził się przerażony, uciekając przed Gospodarzem lub odruchowo otwierał oczy, by uniknąć pożarcia przez Łapkę, odczuwał krótkotrwały niepokój, ale lęk szybko mijał. Dziki kładł się wtedy z powrotem spać, mrucząc pod nosem często używaną w takich sytuacjach frazę: „To był tylko sen...”. Teraz jednak rojenia, w których prowadził autobus z uśmiechniętą Oli w środku czy uczył Korka strzelania z KBK’su, sprawiały, że powrót

do rzeczywistości wydawał się być jego najgorszym koszmarem. Zwłaszcza, że w obecnej chwili nic nie szło po jego myśli...

Ponieważ Ciemnia trwała aż do wieczora, a według Pierwszego podróżowanie nocą po Zarzeczcu było niemalże równoznaczne z samobójstwem, zostali zmuszeni pozostać w schronieniu do rana. Dla Dzikiego perspektywa tej beczynności była po prostu przytłaczająca. Każda chwila, w której nie podejmował działań, aby ratować Oli, wydawała się mu wręcz nieznośnie ciężka. Wiedział także, że nawet gdyby udało mu się zdrzemnąć, to sen nie przyniesie mu oczekiwanej ulgi. Przeciwnie, znowu przeniesie go do autobusu i obudzi się przez to jeszcze bardziej zmęczony i przybity.

Z tego powodu, nawet gdy Pierwszy pogasił już lampy i zasugerował, aby razem ze Zjawą trochę odpoczęli, Dzikiego długo walczył ze snem. W końcu jednak zmęczenie wzięło nad nim górę i zgodnie z przewidywaniami, chłopak znów znalazł się w autobusie — siedząc na jego tylnym siedzeniu razem z Oli oraz Weroniką.

We śnie dziewczyny próbowały go przekonać, że powinien ożenić się z Dix i adoptować Pierwszego. Obie uważały, że liderka Defektu nie mogłaby szukać zemsty na własnym pasierbie. Dzikiego był sceptyczny wobec ich planu, ale nie z żadnego naprawdę rozsądnego powodu. Uważał po prostu, że żadna instytucja nie zgodziłaby się, aby został ojcem osoby starszej od siebie. Niespodziewanie w tym abstrakcyjnym wyobrażeniu, coś go zaniepokoiło. Jakim cudem Piętrus jechał, skoro razem z Kluczem odkręcili mu rano koła? Wtedy też dotarł, do niego kolejny dziwny szczegół. Przypomniało mu się, że Klucz był przecież ledwie żywy. Nie mógł więc pracować przy naprawie autobusu. Gdy wspominał mechanika, stało się to, czego obawiał się najbardziej. Uświadomił sobie, że tylko śni. Oli i Weronika zastygły natychmiast jak w zatrzymanej klatce filmu, a kontury autobusu zaczęły się rozmywać.

Dzikiego z całych sił zaciskał oczy. Nie chciał, aby to się kończyło... Pragnął, aby sen trwał dłużej... Chciał pozostać z nimi choćby jeszcze przez chwilę...

Niestety, im intensywniej próbował zatrzymać się w swoich wyobrażeniach, tym szybciej się one kończyły. Wkrótce, całkowicie przytomny, leżał zwinięty w śpiworze. Do tego poczuł pod policzkiem mokrą plamę, zdając sobie sprawę, że w którymś momencie musiał płakać.

— Zły sen? — spytał go nagle głos Pierwszego, wybrzmiewający gdzieś z otaczającej ciemności.

— Trudno określić — odpowiedział Dzikiego, powoli podnosząc się na łokciu. — Na pewno był przykry... — dodał, rozglądając się.

W panującym mroku trudno było mu zlokalizować towarzysza, ale gdy jego oczy przyzwyczaiły się do braku światła, dostrzegł go opierającego się o ścianę. Pierwszy siedział już bez maski na twarzy i wcale nie wyglądał na

zaspanego. Najpewniej czuwał nad nimi przez większą część nocy, nasłuchując przez radiostację, którą teraz trzymał w dłoni.

Dziki po tym, czego doświadczył, nie miał już ochoty po raz kolejny próbować zasnąć. Przysunął się więc bliżej kompana i wyznał: — Tęsknię za koszmarami. Teraz mam tylko przygnębiające sny...

Pierwszy, spoglądając w podłogę, skrzywił się, ale w jego spojrzeniu można było wyczuć pewne zrozumienie.

— I stało się to, czegom się obawiał — wyrecytował nagle głosem, jakby czytał jakąś inwokację. — Bałem się! A jednak przyszło...

— Skąd to? — zapytał z zainteresowaniem Dziki, przekonany, że ten cytat obił mu się już wcześniej o uszy.

— Z Biblii — odparł Pierwszy, przenosząc odruchowo spojrzenie w stronę sufitu. — Jeden z niewielu wersetów, które naprawdę cenie. Mówi, że bez względu na to, jak wielki jest nasz strach, nie powstrzyma on zła przed nadejściem. Odnosząc to do twojego przypadku... Obawiałeś się, że tobie lub twoim bliskim stanie się coś złego, ale w ciągu dnia odpychałeś te myśli. Nocą twoja podświadomość to sobie odbijała, zadrezczając cię koszmarami. Kiedy zło nadeszło, przestałeś się go bać, bo już się stało. Teraz w nocy po prostu tęsknisz za tym, co ci odebrało.

Dziki był zaskoczony, słysząc jak celnie Pierwszy rozgryźł jego dawne rozterki. Nie mógł zaprzeczyć tezie, którą mężczyzna teraz postawił. Jako strażnik Autobusu do Wolności ciągle odganiał od siebie myśli o nadchodzącym zagrożeniu. Potem o konieczności opuszczenia piętrusa. Teraz nieustannie starał się wyrzucić z pamięci wspomnienia o ludziach, których stracił przez swoje złe decyzje. Nie chciał jednak rozwódzić się nad tym dłużej. I tak nic by to nie zmieniło. Do tego wspomnianie dawnych wydarzeń pozbawiało go wszelkich sił. Szybko zmienił więc temat, pytając — A ty? Czemu nie śpisz?

— Nie lubię — odpowiedział niespodziewanie Pierwszy. — Zasypianie zajmuje mi bardzo długo, a w tym czasie muszę walczyć ze swoimi myślami. Sny natomiast, podobnie jak ty, mam już tylko przykre...

To wyznanie potwierdziło pewne przypuszczenia, które Dziki miał właściwie od pierwszych dni, gdy się poznali. Pierwszy bardzo często wyglądał na zmęczonego. Za każdym razem, gdy widział go bez maski, sprawiał wrażenie wręcz chorego. Początkowo sądził, że wynika to z jego trybu życia, samotnych podróży i ciągłej potrzeby bycia czujnym. Teraz jednak dotarło do niego, że inni Weterani, nawet ci najbardziej zatwardziali samotnicy, nigdy nie wyglądali aż tak źle.

— To znaczy, że prawie w ogóle nie śpisz? — spytał, starając się okazać swoim tonem współczucie, na co Pierwszy uśmiechnął się krzywo pod nosem.

— Tak było przez całe moje życie, Dziki — odparł, pocierając zmęczone oczy. — Nie zaczęło się to w Nowym Świecie. Przyzwyczailem się do krótkiego

snu... No i wydaje mi się, że nieświadomie wspomagam się Pierwotną Wolą. Za każdym razem, gdy jestem już na granicy wyczerpania, a muszę jeszcze coś zrobić, dokończyć albo uciec, dostaję jakby zastrzyk energii. Zmęczenie znika, mogę działać dalej.

Dziękmu znowu przyszedł na myśl czas, gdy on i Pierwszy uciekali przed Delimerem. Często zastanawiał się wtedy, jak mężczyzna wytrzymał tak krótki sen i tak dobrze znosi ciągłą podróż. W tamtym momencie nie przyszło mu do głowy, że Pierwotna Wola może ograniczać potrzebę snu albo niwelować zmęczenie.

— Zazdroszczę ci — westchnął. — Teraz też chciałbym nie musieć spać.

— To nie tak, że nie muszę — zaprzeczył jednak Pierwszy, jakby na dowód ziewając przeciągle. — Są dni, kiedy po prostu padam z wyczerpania i śpię przez kilkanaście godzin. Dzisiaj już trochę odpocząłem...

Dziki skinął głową ze zrozumieniem, czując jednocześnie, jak przez niewyspanie zaczyna go ogarniać apatia. Bojąc się, że za chwilę znowu odpłynie, skupił się na radiostacji w ręku Pierwszego.

— Co robiłeś? — zapytał, chcąc rozbudzić się dalszą rozmową.

— Słuchałem nocnego radia... — odparł Pierwszy. — W nocy nie sypia znacznie więcej ludzi niż myślisz. Jak znajdziesz odpowiedni kanał, możesz posłuchać plotek albo historii krążących po Krańcowie. To trochę taki zamiennik telewizji. Nigdy co prawda nie włączam się do dyskusji, ale dzięki nocnemu radiu dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. — Gdy to mówił, podniósł radiostację i pokręcił włącznikiem, a urządzenie zatrzeszczało cicho. — Niestety, bateria już się rozładowuje — westchnął zrezygnowany, patrząc na ledwo jarzącą się zieloną diodę. — Kiedy wywołałeś mnie pod cmentarzem, zapomniałem ją wyłączyć, a później nie było już okazji, żeby naładować baterie.

Dziki oczywiście już wcześniej zdawał sobie sprawę z istnienia nocnego radia, nigdy jednak szczególnie się nim nie interesował. W autobusie mieli CB, które mogło posłużyć do jego odsłuchu, ale było ono zwykle przestawione na kanał ogólny, aby móc w razie potrzeby wyłapać ostrzeżenia przekazywane przez Weteranów lub odsłuchać zaszyfrowaną wiadomość od Kuby.

— Dowiedziałeś się czegoś ważnego? — zapytał, ciągle obserwując krótkofalówkę w dłoni kompana.

Pierwszy, podrapał się anteną po czole i po chwili namysłu, odpowiedział — Po tamtej stronie krążą pogłoski o zawieszeniu broni. I co ciekawe, wygląda na to, że ta propozycja wyszła od Daniela. Zdaje się, że szykują już grunt pod obronę Centrum...

Ta nowina była dla Dzikiego naprawdą zaskakująca. Czyżby Armia Daniela uznała Zarzecze za tak wielkie zagrożenie, że zdecydowali się na współpracę nawet ze zniechęconymi Weteranami?

— Z kiedy ta informacja? — dopytał, poruszony.

— Przez tę dylatację czasu trudno powiedzieć... — stwierdził Pierwszy, odkładając niedziałające już radio na podłogę. — Sygnał mógł wisieć nad rzeką kilka sekund. Albo dni...

— No tak... — westchnął Dziki, któremu do głowy zaczęły teraz przychodzić naprawdę niepokojące przemyślenia.

Nawet gdyby udało im się uratować Oli i wrócić na Zatorze, jak długo będą tam mogli liczyć na spokój? Co będzie, jeśli Zarzecze pokona opór w Centrum? Czy będą próbowali opanować każdy skrawek terenu, czy darują sobie osiedle za torami jako zbyt problematyczne do zdobycia? Dla Dzikiego najlepszą opcją byłoby, gdyby ich stronie udało się jednak odeprzeć inwazję. Nie potrafił natomiast nawet w przybliżeniu oszacować, jak duże były na to szanse.

— Wiem, że akurat ty się tym nie przejmujesz, ale gdybyś miał wybrać... Kto wygra? Zarzecze czy Centrum? — spytał w końcu, chcąc poznać zdanie Pierwszego, który był od niego zdecydowanie bardziej doświadczony.

Mężczyzna oparł głowę o ścianę i na chwilę zamknął oczy, jakby chciał zebrać myśli. Kiedy tylko skończył swoje rozważania, odpowiedział w sposób, którego w sumie Dziki najbardziej się spodziewał. — Trudno jednoznacznie ocenić...

Nie poprzestał jednak na tym i już po chwili rozwinął swoją myśl o głębszą analizę.

— Zarzecze jest bardziej zorganizowane niż Centrum. Każdy ruch oporu, każda odmienna myśl jest po tej stronie zwalczana jak choroba zakaźna. Z kolei Centrum przoduje pod względem uzbrojenia. Komisariat, salon myśliwski, muzeum drugiej wojny światowej, wszystko to leży po naszej stronie. Zarzecze ma więcej użytkowników błędów, ale ich moce są stosunkowo prymitywne. Centrum z kolei ma po swojej stronie najpotężniejszego użytkownika Woli: Daniela.

Słyszac, kogo Pierwszy uważał za najpotężniejszego po ich stronie, Dziki aż otworzył szerzej oczy ze zdziwienia. W jego ocenie, choć wódz Armii był niewątpliwie bardzo silny, nie uznałby go za potężniejszego niż Dix, a może nawet niż sam Pierwszy. Przecież wspólnie z Mike'em przeżył konfrontację z Danielem i choć tamta walka zakończyła się ich sromotną porażką, Daniel nie pokazał wówczas niczego, co wyróżniałoby go ponad innych użytkowników Pierwotnej Woli. Czyżby tamtej nocy nie ujawnił całego swojego potencjału?

— Daniel jest najpotężniejszy w Krańcowie?! — spytał, podnosząc przy tym głos.

Pierwszy rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. — Obudzisz Zjawę — wyszeptał, zerkając na towarzyszkę, która poruszyła się lekko w śpiworze. — Niech ona przynajmniej odpocznie.

— Nie śpię od początku waszej rozmowy — przyznała niespodziewanie zrezygnowana dziewczyna, siadając od razu na swojej karimacie. — Po prostu

liczyłam, że zaczniecie opowiadać jakieś pikantne szczegóły, o których nie powinienam wiedzieć — dodała, poprawiając zaspana swoje roztrzepane włosy. — To, co z tym Danielem? Rzeczywiście jest najpotężniejszy?

Pierwszy wyglądał tak, jakby naprawdę nie chciał odpowiadać na to pytanie po raz drugi. W kontekście jego dawnych relacji z wodzem Armii było to w pełni zrozumiałe. W końcu westchnął ciężko, wyraźnie zirytowany tym na jakie tory przeszła ta rozmowa.

— Gdybyś miała kiedyś okazję się do niego zbliżyć, sama byś się przekonała — stwierdził szorstko. — Nie mam pojęcia, co jest jego Pierwotną Wolą. Nikt tego nie wie. Jest jednak naprawdę niezwykła i zdaje się stawać coraz silniejsza z każdym dniem. Myślę, że na obecną chwilę wygrać mógłby z nim tylko Smutny...

Zjawą, pochłaniając każde słowo, naciągnęła na plecy kurtkę, a potem przysunęła się bliżej Pierwszego. Dziki, widząc jej poczynania, sam zorientował się, że zaczyna coraz mocniej przemarzać. Noce na Zarzeczu były chyba nawet zimniejsze niż w Centrum, a teraz gdy po wyjściu ze śpiwora zdążył ostygnąć, poczuł to dosadnie. Sięgnął więc po swoją bluzę, po czym, wciągając ją na siebie, wrócił pośpiesznie na wygrzany już kawałek podłogi, bo dziewczyna ciągnęła rozmowę dalej.

— Przecież sam mówiłeś, że Smutny jest po stronie Zarzecza, szkoli Zwiadowców i tak dalej... — zauważyła, zarzucając kaptur na głowę. — To nie daje im przewagi?

Pierwszy zamiast odpowiedzieć, pokręcił tylko głową i wziął się za rozpalenie ognia na butli turystycznej.

— Skoro żadne z was już nie śpi, to może przed tą przymusową dyskusją zrobię chociaż kawę... — zaproponował, sięgając do plecaka po niezbędne rzeczy.

Zjawą spojrzała na niego wyraźnie spanikowana.

— Ja nam zrobię! — zarządziła, niemal wyrывая mu wyciągnięte opakowanie kawy z ręki. — Nie da się pić tego twojego blocka!

Pierwszy uniósł brwi, ale nie zaprotestował, wyciągając jedynie kubek z boku plecaka i podając go dziewczynie. Ta pokręciła tylko głową.

— Tak, pamiętałam, że chcesz czysty... A teraz mów dalej, co z tym Smutnym — zażądała, zajmując jednocześnie miejsce przy butli i zabierając się za przygotowanie napoju.

Pierwszy skinął głową, ponownie opierając się o ścianę.

— Dziękuję... — rzucił pod nosem, a potem kontynuował temat, który interesował ich najbardziej. — Wracając do Smutnego, jego tak naprawdę nie interesuje, kto wygra. Szkoli ludzi na Zarzeczu, bo potrzebuje spokojnego miejsca, żeby prowadzić eksperymenty. Nawet jeśli stanie do walki po ich stronie, raczej nie będzie się dla nich szczególnie mocno narażał...

Zjawa, do której w opinii Dzikiego dotarło właśnie, jak wiele tajemnic może zdradzić jej Pierwszy, wyglądała na naprawdę uradowaną.

— Sporo o sobie wiecie. Co was tak naprawdę łączy? — zapytała ciekawskim tonem, ustawiając na podłodze jeszcze dwa kubki.

— Znaliśmy się w Starym Świecie — odparł lakonicznie Pierwszy.

Słyszając tego typu odpowiedź, dziewczyna aż upuściła opakowanie z kawą.

— NIE WIERZE! — zawołała. — Pan „z nikim nie gadam” miał znajomych w Starym Świecie!?

Pierwszy, rzucił jej wymowne spojrzenie, ustawiając naczynia, które przewróciła z powrotem.

— To nie tak — zaprzeczył z miejsca. — Nie byliśmy żadnymi kolegami, ani nic podobnego... Zresztą, to już dawno historia.

Zjawa podchwyciła jednak temat i nie miała zamiaru odpuścić. Dzikie zauważył już wcześniej, że pomimo pozornej obojętności, jaką prezentowała we Wspólnocie, była osobą niezwykle ciekawską.

— Jakie nieważne? Za późno! Już zacząłeś mówić! — wyrzuciła z siebie jak z karabinu. — Teraz nie wolno przestać! Takie są zasady! — zawołała na koniec, celując w Pierwszego palcem.

Ten, rzucił w jej stronę pytające spojrzenie — Zasady czego?

— Rozmów towarzyskich! — odparła dziewczyna, siadając naprzeciwko niego po turecku, jakby chciała w ten sposób pokazać, że za żadne skarby nie ma zamiaru się poddać w walce o odpowiedź.

Według Dzikiego, Pierwszy nigdy nie powinien dać się złapać na taką zagrywkę. Był przekonany, że ten albo szybko zmieni temat, albo w najgorszym przypadku nasunie na twarz maskę i odejdzie bez słowa. Niespodziewanie jednak mężczyzna szepnął pod nosem — Skoro takie są zasady...

Podekscytowana Zjawa nie skupiła się na parzeniu kawy, przez co finalnie przelała kubki. Błyskawicznie starła jednak płamę rękawem, nie odrywając przy tym wzroku od Pierwszego. Zupełnie jakby obawiała się, że ten może się rozmyślić i nie powie więcej ani słowa. Zważywszy na to, że woda dopiero co się gotowała, determinacja dziewczyny, by wycisnąć coś z ich kompana, była dla Dzikiego godna podziwu.

Pierwszy natomiast ignorując jej nierozsądne zachowanie, skupił wzrok na nim.

— Ty powiesz mi, czy po tym wszystkim wróciłbyś do Dix — zażądał niespodziewanie, a następnie spojrzał na Zjawę i dodał — A ty opowiesz, co było między tobą a Lance'em. Wtedy ja opowiem, jak poznałem Smutnego — podsumował stanowczo.

Zjawa, słysząc jakie warunki postawił im kompan, odstawiała z impetem czajnik na gaz, ignorując zupełnie wylewający się z niego wrzątek.

— Nigdy nie było nic między mną a tym skurwysynem o wyglądzie Delimera zapłodnionego przez Dziada! — zaprzeczyła gniewnie.

Dziki, widząc jej wybuch, miał już pewność, że coś jednak było. Rzeczowo odchrząknął, mówiąc — To chyba nazywa się „uderz w stół...”

— O co ci chodzi? — wycedziła Zjawa, porażając go najbardziej zajądłym spojrzeniem, jakie do tej pory u niej widział.

— „...a nożyce się odezwą” — dokończył Pierwszy. — Każde z nas zdradza jeden sekret albo każdy zatrzymuje swoje dla siebie. Takie są zasady...

— Nie ma takiej zasady! Wymyśliłeś ją! — wyrzuciła oburzona dziewczyna.

— Tak samo jak ty wymyśliłaś tę poprzednią — odbił jej piłęczkę Pierwszy, przymykając przy tym oczy.

Dziki był początkowo zaskoczony, że mężczyźnie tak zależało na poznaniu szczegółów byłego związku Zjawy. Wydawało mu się, że w normalnych okolicznościach nigdy nie spytałby o coś takiego. Po chwili namysłu zrozumiał jednak, jak sprytna była to z jego strony zagrywka.

Pierwszy mógłby wykorzystać niechęć dziewczyny do dzielenia się bolesną przeszłością, by samemu nie ujawniać swoich sekretów. Pytanie o Dix i Dzikiego wydawało się w tym względzie mniej dziwne. Ich związek rozpadł się przecież z powodu spraw związanych bezpośrednio z Pierwszym.

— Może ja zacznę... — zaproponował więc Dziki, czując, że to on ma najmniej do ukrycia.

W duchu miał tylko nadzieję, iż swoją otwartością zainspiruje towarzyszkę do podobnej szczerości, bo sam chętnie poznałby historię Smutnego. Było to dla niego zdecydowanie mniej obciążające głowę, niż ciągle rozmyślanie o tym, co dzieje się z Oli albo przeklinanie się za to, że nie odszedł z Autobusu, gdy miał okazję.

— Czasami zastanawiam się, czy moje uczucie do Dix było prawdziwe, czy może było to tylko „wow”, bo była pierwszą tak ważną osobą w moim życiu — zaczął, wyjątkowo szczerze. — Tęskniłem za nią, gdy jej nie było obok. Ale po tym, co stało się na placu w cegielni, nie miałem czasu się zastanowić, czy nadal za nią tęsknię. Zawsze pojawiała się coś, co odwracało moją uwagę. Jedno wiem na pewno: nie potrafiłbym być z kimś, kto jest tak pochłonięty obsesją zemsty, jak ona. Czy mam nadzieję, że zrozumie swój błąd? Tak. Czy moglibyśmy wrócić do siebie, jeśli w końcu by odpuściła? Na to pytanie jeszcze nie znam odpowiedzi...

Pierwszy skinął głową, odwracając się jednocześnie w stronę Zjawy.

— Szczerość za szczerość... — wyszeptał.

Dziewczyna odetchnęła ciężko, przymykając oczy i biorąc do ręki kubek z kawą. To, co miała teraz powiedzieć, zdecydowanie nie przychodziło jej łatwo. Ostatecznie jednak ciekawość wobec historii Smutnego musiała

zwyciężyć, bo mimo początkowego oporu i miny, która mogła zabić, zaczęła swoją opowieść. — On też był dla mnie pierwszym — wyznała, spoglądając ze wstydem na Dzikiego. — I tak jak Dix dla ciebie, pod każdym względem... W Starym Świecie nie byłam zbyt lubiana. Dziewczyny nie chciały się ze mną zadawać, ponieważ zamiast czytać plotkarskie magazyny i rozpyływać się nad męskimi aktami, wołałam grać na komputerze albo oglądać horrory. A z chłopakami? — spytała retorycznie. — Jeszcze gorzej. W naszym zaścianku dziewczyny miały głównie dobrze wyglądać. Moje zainteresowania i nieszczególna aprobata makijażu, były postrzegane jako odpychająca odmienność. Większość młodości spędziłam zamknięta w swoim pokoju. Grając i oglądając telewizję. Kiedy nastąpił Błysk, cudem wróciłam z cmentarza na Czerwonkę. Do Sojuszu przyjęli mnie tylko dlatego, że Boruta, ich lider, był moim sąsiadem z klatki. No i w Starym Świecie bardzo lubił moich rodziców. Ale wiedziałam, że jeśli zrobi się ciężko i okaże się bezużyteczna, to wskażą mnie jako pierwszą w kolejce do wyrzucenia — wyznała jednym tchem, a jej oczy spoglądały teraz sztywno na kubek z kawą.

Po chwili zamyślenia złapała z niego łyk i kontynuowała swoją opowieść chłodnym, spokojnym głosem — Jakiś czas po przybyciu dowiedziałam się, że jedna z grup Gonicieli szuka nowego członka. Tak trafiłam pod wątle „skrzydła” Lance’a — prychnęła, po czym kręcąc głową, wspominała dalej, ledwo tłumiąc gniew. — Nie wiem czemu, ale gdy tylko zaczęliśmy podróżować razem, od razu zaczął się do mnie przystawiać. Mówił, że obserwował mnie już w Starym Świecie, ale nigdy nie miał odwagi zagadać. Typowy bajkopisarz, pewnie nie było już dziewczyn w Nowym Świecie, które by go chciały, więc próbował swoich sił przy mnie — wtrąciła gniewnie i zrobiła krótką przerwę, zapewne by uspokoić myśli. — Mimo wszystko, początkowo nasza współpraca układała się całkiem nieźle — stwierdziła z ironią. — Okazało się, że mam talent do szabrowania, więc wraz z Krukiem stworzyliśmy najlepsze trio w Sojuszu. Lance jednak chciał ode mnie czegoś więcej niż tylko współpracy. Tak długo zalewał mnie komplementami, że w końcu w nie uwierzyłam. W pewnym momencie zaczęłam nawet... — tu przerwała nagle, zaciskając nerwowo usta. — Załóżmy, że po prostu się nabrałam, ok? — spytała retorycznie, przechodząc potem do finału — Dzień przed tym, jak mieliśmy ogłosić wszystkim nasz... związek, wpadliśmy w pułapkę — dodała, uderzając kubkiem o podłogę, przez co reszta zawartości rozprysła się dookoła.

Widać po niej było jak cała ta opowieść, coraz mocniej wyprowadza ją z równowagi.

— Było tuż po Błysku. Ruszyliśmy sprawdzić, czy któryś ze sklepów w centrum się nie odnowił — odgrzebywała dalej swoje najgorsze chwile. — To było spore ryzyko, ale chcieliśmy wyprzedzić innych szabrowników i Wolnych Weteranów. Wtedy natknęliśmy się na grupę Smolarzy, maszerujących w stro-

nę kotłowni. Sytuacja szybko się zaostrzyła, ale byliśmy zbyt pewni siebie, licząc, że jak zawsze nam się uda. Ostatecznie zostałam odcięta przez Niewykształconych w starym składzie węgla. Mój „kochanek” uciekł, nie oglądając się za siebie. Jedyne plus? — wtrąciła nagle, z dziwną satysfakcją malującą się na twarzy. — Oszczędziłam sobie kompromitacji bycia z nim oficjalnie...

Dziki popatrzył na dziewczynę ze zrozumieniem. Żal, który próbowała ukryć, był na tyle wyraźny, że mógł łatwo ocenić, iż Lance był jej znacznie bliższy, niż próbowała to przekazać. Jednak coś innego zainteresowało go w tym momencie bardziej niż jej dawne, fatalne zauroczenie.

— Czym właściwie są Smolarze? — spytał. — Wiele razy o nich słyszałem, ale nigdy nie miałem okazji ich spotkać.

Zjawia, widząc okazję do zmiany tematu, odpowiedziała szybko i prawie nie swoim głosem — Prawdziwa zmora Sojuszu Bloków. Skupiali się głównie w starej ciepłowni niedaleko naszego domu. A droga tamtędy była niestety najszybszą trasą, jaką mieliśmy do centrum. Smolarze pocą się oleistą, czarną cieczą, dlatego wyglądają, jakby byli ubabrani smołą. Zostawiają też za sobą plamy tej substancji, gdy stoją w jednym miejscu przez dłuższy czas. Wdepniesz w taką plamę, zanim wyschnie, przyklei cię do drogi na amen i żegnajcie buty... A jeśli akurat gonią cię Niewykształceni, albo już biegniesz bez butów, to żegnaj życie — wyjaśniła jednym tchem, skupiając się następnie na Pierwszym. — No dobrze, zepsułeś nam obydwójgu humor — wyrzuciła, celując w mężczyznę palcem. — Teraz twoja kolej

Pierwszy westchnął i popatrzył na nich z taką powagą, jakby ważył, ile powinien im ujawnić. Po jego minie było widać, że liczył na to, iż Zjawia wyłamie się z umowy lub będzie rzucać wyłącznie ogólnikami. Niestety, historia dziewczyny wydawała się być kompletna, szczerą i zawierała wyraźnie trudne dla niej momenty. Pierwszemu ewidentnie nie wypadało teraz się wycofać. Podniósł więc swój kubek z kawą. Wziął spory łyk i na chwilę odpłynął myślami. W ten sposób dał sobie jeszcze trochę czasu na ułożenie wszystkiego w głowie. W końcu jednak zaczął mówić rzeczowym, spokojnym tonem, jakby był nauczycielem i prowadził wykład z historii.

— Przed nastaniem Nowego Świata podjąłem dwie próby samobójcze — wyjął, a Dziki i Zjawia, słysząc to, otworzyli usta z niedowierzaniem. Mężczyzna, ignorując ich reakcje, kontynuował — W trakcie pierwszej zjechałem swoim samochodem pod jadącą z naprzeciwka ciężarówkę, ale skończyło się na kilku złamaniach. Do kolejnej próby targnięcia się na swoje życie przygotowywałem się potem dwa lata. Za drugim razem rzuciłem się pod pociąg. Spod kół wyciągnął mnie tamtego dnia sokista, Waldemar Kawicki, który pełnił akurat dyżur na peronie. Tym razem nie udało mi się nikogo przekonać, że to był wypadek, bo mężczyzna widział, jak wskakuję, pod pociąg. Niestety zbyt wcześnie... Po tym wydarzeniu rodzina

skierowała mnie na leczenie psychiatryczne do naszego Krańcowskiego ośrodka. Tam też spotkałem Smutnego...

Dzikiego zupełnie zamurowało. To nie było coś, czego spodziewał się usłyszeć w trakcie tej opowieści. Do tego Pierwszy mówił o swoim niedoszłym samobójstwie z takim dystansem, jakby streszczał historię zupełnie obcej osoby. Przysuwając się bliżej, zapomniał o swojej kawie i o mocach Smutnego. Chciał spytać kompana o powody, ale ten, przewidując to, przerwał mu, nim zdążył w ogóle otworzyć usta.

— Będę mówił tylko o tym, o czym chcieliście usłyszeć na początku, więc daj mi skończyć bez wtrącania, proszę — zażądał stanowczo, po czym niestrudzenie kontynuował dalszą część opowieści, a jego głos nie zawahał się nawet przez chwilę. — Smutny nosił kiedyś imię Paweł Więcek i znajdował się w ośrodku z tego samego powodu co ja. Próbował odebrać sobie życie po tym, jak stracił rodzinę. Nie potrafił znieść dalszego istnienia w poczuciu winy, bo do wypadku, w którym zginęli, doprowadził przez własną lekkomyślność. Gdy próbowano przywrócić nam „sens istnienia”, często spotykaliśmy się razem na terapiach grupowych. Czasem też, z innymi mieszkańcami ośrodka, graliśmy w karty na świetlicy. Gdy już ostatecznie naćpano mnie lekami i uznano, że nie stwarzam zagrożenia dla siebie i innych, zostałem wypisany. Ze Smutnym nie spotkaliśmy się więcej, aż do nastania Nowego Świata...

Dziki, który stracił już zainteresowanie Smutnym, wylapując w końcu moment, w którym mógł się wtrącić, zapytał — Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego chciałeś się zabić?

Pierwszy spojrzał na niego wyraźnie rozgniewany.

— Bo nie widziałem powodu, by dalej żyć... — wycedził przez zęby. — Bo jak ci kiedyś opowiadałem, byłem samotny, a moje życie było dnem, z którego nie umiałem się podźwignąć. Bo nic mi nie wychodziło. Bo świat zdawał się wyzłościwiać nad moją osobą. Bo ludzie, których kochałem i ceniłem, starzeli się i umierali. Bo nigdy nie miałem przyjaciela, który podtrzymałby mnie w trudnych chwilach. Bo żyłem tylko dla siebie i dłużej nie chciałem... A życie bolało mnie tak bardzo, że śmierć zaczęła wydawać się nie nicością, a ulgą od bólu. Powodów było wiele, a nam nie starczyłoby nocy, aby je wszystkie opisać... — wypalił, wyraźnie rozgniewany tym, że Dziki ośmielił się poruszać tę sprawę. — Zgodziłem się opowiedzieć tylko o moich relacjach ze Smutnym, nic więcej. Dlatego zostaliśmy przy tym temacie — zażądał po raz drugi stanowczo, a dla Dzikiego było już jasne, że to nie był moment, by dopytywać.

Pierwszy zrobił przerwę, biorąc kolejny łyk kawy, a potem wrócił do historii — Skończyłem mówić o tym, że nie spotkaliśmy się więcej w Starym Świecie. Jednak po Błysku nasze ścieżki znów się skrzyżowały — wspomniiał, wyraźnie z opisanej sytuacji niezadowolony. — Gdy odszedłem z Armii Daniela, spotkałem go przy Lesie Ludzi. Miejsce to odwie-

działem często. Jest dla mnie wyjątkowo symboliczne. Oczywiście wtedy, nie mieliśmy konkretnego powodu, aby trzymać się razem. Nigdy szczególnie nie przepadałem za Smutnym, ale jego towarzystwo miało swoje zalety — wtrącił nagle zupełnie innym tonem i natychmiast wyjaśnił. — Był bardzo zaabsorbowany tym światem, naturą błędów i muszę przyznać, że na jakiś czas zaraził mnie tą ciekawością. Badaliśmy granice, do jakich można posunąć się używając Pierwotnej Woli, a te zdawały się być niemal nieskończone. To dzięki niemu dowiedziałem się na przykład, że Pierwotną Wolę można zmienić...

— JAK?! — wykrzyknęła Zjawą, gwałtownie przysuwając się do Pierwszego.

Ten zaskoczony jej zachowaniem, odsunął się momentalnie, wpadając plecami na ścianę. Widząc jego reakcję, dziewczyna zrozumiała, że naruszyła jego przestrzeń osobistą, co w wypadku tej konkretnej osoby naprawdę nie było dobrym pomysłem. Cofnęła się więc natychmiast i siadając ponownie na podłodze mruknęła — przepraszam. — Po czym już grzecznie czekała na odpowiedź.

Pierwszy odetchnął, jakby uniknął ataku, i wracając na swoje miejsce, wyjaśnił — Gdy twoja Pierwotna Wola się przebudziła, jednocześnie doświadczyłaś tak intensywnego załamania swojego charakteru, że nastąpiły trwale zmiany w twojej osobowości. Teraz musisz przejść przez kolejną, równie intensywną traumę, ale tym razem musi być dostosowana do osoby, którą jesteś obecnie. W twoim wypadku będzie to bardzo trudne, bo musiałabyś chyba osiągnąć stan nirwany...

Zjawą słysząc to, skrzywiła się, czując zapewne jak niewykonalne by to dla niej było.

Pierwszy zrobił sobie natomiast krótką przerwę na kolejny łyk kawy, a potem wrócił do głównego tematu — Mówiąc dalej o Smutnym, to w końcu, pod wpływem swoich eksperymentów, odłączył swoją jaźń od ciała. Dzięki temu mógł manipulować błędami za pomocą każdej emocji, niezależnie od tego, czy była ona zgodna z jego Pierwotną Wolą, czy nie. Ze mnie zaś chciał zrobić strażnika swojej skorupy, ponieważ to ona utrzymywała jego jaźń w całości. Odmówiłem. Nie chciałem ponosić takiej odpowiedzialności. Poza tym, nigdy za nim nie przepadałem. On zaś uważał mnie za „głępszego” pomocnika, dlatego ciągle nalegał, byśmy eksperymentowali razem... — podsumował.

Oczywiście wszystkie sprawy związane ze Smutnym wydawały się Dziękemu niezwykle ciekawe. Jednak to, co go najbardziej poruszyło, to fakt, że Pierwszy był niedoszłym samobójcą. Choć mężczyzna wielokrotnie mu pomagał, Dziki zdawał sobie sprawę, że wie o nim bardzo mało. Niestety dopytywanie o przeszłość wyraźnie było dla Pierwszego punktem zapalnym, postanowił więc przynajmniej na razie nie dociekać szczegółów.

Zjawa doszła najwidoczniej do tych samych wniosków, bo jej kolejne pytanie znowu dotyczyło Smutnego: — Czemu on ciągle to robi? Przecież jest już chyba dostatecznie potężny...

Pierwszy przyjął z wyraźną ulgą, że dziewczyna nie drażyła drażliwego dla niego tematu, więc nie zwlekał z odpowiedzią.

— Szuka sposobu, by przywrócić do życia swoją rodzinę — wyjął, a w jego głosie zabrzmiała wyraźnie nuta ironii. — Smutny wierzy, że istnieje błąd, który mu na to pozwoli. Gdy byłem na Zarzeczu przez krótki czas, widziałem, jak ciągle eksperymentuje, próbując przywrócić człowieczeństwo tym, którzy zostali przemienieni w Niewykształconych. Myśli, że znajdzie kiedyś swoją żonę i córkę, które przemieniły się w potwory, i że uda mu się przywrócić je do normalności.

Dziki, słysząc to, poczuł, jak serce zabiło mu mocniej. Natychmiast pomyślał o swoich przyjaciółkach i bliskich z autobusu, których już nie było. Ile by oddał, aby taki błąd rzeczywiście istniał. Nim jednak zdążył zapytać Pierwszego o jego zdanie na ten temat, Zjawa go ubiegła.

— Myślisz, że to możliwe? Że istnieje błąd, który na to pozwoli? — wyrzuciła z wyraźnym powątpiewaniem, ale jednocześnie widać było, jak ekscytowały ją takie właśnie rozmowy.

Pierwszy rzucił mimowolne spojrzenie na Dzikiego. Najpewniej zdawał sobie sprawę, co może chodzić mu teraz po głowie.

— Wątpię — odparł z wyraźnym trudem, jakby czuł żal w przekreślaniu tej rodzącej się nadziei. — Wydaje mi się, że Smutny karmi się złudzeniami, by nie ulec rozpacz.

Kończąc temat, Pierwszy spojrzał na zegarek, a po jego spojrzeniu widać było, że zaskoczyła go godzina, którą na nim zobaczył.

— Zjedzcie coś — polecił, kończąc temat Smutnego. — Do świtu już niedługo. Chciałbym dotrzeć do pierwszego miasta jeszcze przed następną Ciemnią.

— Te Ciemnie... często się zdarzają? — spytał Dzikie, grzebiąc w plecaku za jedzeniem.

Pierwszy, wyjmując z kamizelki baton zbożowy, odpowiedział — Nie ma reguły, jeśli chodzi o częstotliwość czy czas trwania. Czasami ledwie opuścisz schronienie, a musisz do niego wracać, bo Ciemnia znowu się zbliża. Dlatego wszyscy tu noszą opaski na rękach... To jedyny sposób, żeby w porę się zorientować.

Zjawa, która właśnie otwierała ukradzioną wcześniej konserwę nożem, spytała — Co to za osada, o której wspomniałeś? Dużo tam ludzi?

— Nazywa się „Przychodnia” i mieści się w dawnym szpitalu — odpowiedział Pierwszy, napełniając ponownie czajnik wodą i stawiając go na ogniu. — Jest, po Magistracie, drugim co do wielkości skupiskiem ludzi na Zarzeczu. To właściwie enklawa dla Nowoprzybyłych, bo tam zabierają każdego, kto się tu pojawi...

Nim mężczyzna skończył mówić, niespodziewany dźwięk zbliżającego się samochodu dobiegł do nich z zewnątrz. Zjawą natychmiast poderwała się, łapiąc za swoją strzelbę. Dziki, nie mniej czujny, chwycił pistolet, czekając na polecenie od Pierwszego co dalej. Ten jednak spokojnie szykował dalej kawę, pogryzając baton.

— To tylko Sznur... — stwierdził bez najmniejszego niepokoju w głosie.

— Co? — spytał natychmiast Dziki, zupełnie nie rozumiejąc, z czym mają do czynienia.

— Sznur jest opiekunem schronień — wyjaśnił Pierwszy, chowając papierek od batona do kieszeni. — Jeździ i sprawdza, czy wszystko jest w porządku. Uzupełnia paliwo w generatorach, kontroluje lampy...

Zjawą, słysząc to, wciąż trzymała broń w gotowości.

— Jedzie tu człowiek z Zarzecza, a ty jesteś spokojny, jakbyśmy byli w naszym własnym domu — wyrzuciła. — Skoro jednak ma samochód, moglibyśmy go sobie „pożyczyć”. Droga byłaby szybsza — dodała złowieszczym szeptem.

Dziki spojrzał na nią, otwierając szerzej oczy. Dziewczyna miała przecież rację. Z samochodem, nawet pomimo skomplikowanych zasad panujących na Zarzeczu, dotarliby do Magistratu błyskawicznie. Kiwając głową, złapał mocniej za pistolet, ale w tym momencie Pierwszy spojrzał na nich z wyraźnym zawodem.

— Sznur przeszedł już w życiu wystarczająco wiele — podkreślił, dodając potem groźnie. — Jeżeli ktoś z was spróbuje mu zrobić krzywdę, stanę w jego obronie. A gwarantuję wam, że nie odda samochodu bez walki...

Zawstydzona Zjawą natychmiast opuściła broń. Widać było, że ostatnie czego chciała, to w jakikolwiek sposób narazić się Pierwszemu. Dziki jednak nie zamierzał odpuszczać.

— To tylko człowiek z Zarzecza! — stwierdził oburzony. — Zwiadowca wciąż ciągnie za sobą naszą Oli! Z samochodem moglibyśmy uratować ją szybciej! Może nawet zanim...

Pierwszy, nie dając mu skończyć, poderwał się w jego stronę tak gwałtownie, jakby chciał go zaatakować. Nasuwając w locie maskę na twarz, wyszeptał słowa, które ociekał wręcz od gniewu — „Tylko człowiek z Zarzecza?” Pamiętaj, Dziki, że dla mnie również byłeś „TYLKO” człowiekiem ze Wspólnoty. Nie oceniaj nikogo tak pochopnie, bo dla mnie Oli może teraz znaczyć równie mało, co dla ciebie Sznur...

Zszokowany Dziki nie potrafił nic odpowiedzieć. Nim zdążył cokolwiek wymyślić, usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i szorstki głos dobiegający z dołu — Ktoś się jeszcze kryje?

— Na górce! — zawołał Pierwszy, jeszcze raz poprawiając swoją maskę.

Chwilę później Sznur wszedł powoli po schodach. Dziki od razu zauważył, że wyglądał na znacznie starszego nawet od Pierwszego. Jego twarz,

zwłaszcza po lewej stronie, była pokryta bliznami. Był ślepy na jedno oko, a jego wygląd od razu przywołał na myśl Prawdziwego Weterana z Centrum. Ubrany był w długi, brązowy strażacki płaszcz, spod którego wystawał chałupniczo wykonany metalowy puklerz. Na plecach zaś miał przewieszoną nietypową strzelbę z dwoma zbiornikami na gaz.

Przybysz powitał ich enigmatycznie, wznosząc jednocześnie rękę.

— Niech drzwi do schronienia zawsze będą otwarte, albowiem nikogo nie pozostawia się z Ciemnią za nimi...

— Amen? — spytała Zjawa, patrząc na niego zupełnie rozbrojona tym co usłyszała.

Pierwszy natomiast bez wahania podszedł do mężczyzny, by się z nim przywitać.

— Dobrze widzieć cię całego — stwierdził, ściskając mu dłoń.

— Nie powinno cię tu być, Czarny! — wyrzucił Sznur, obserwując go podejrzliwie swoim zdrowym okiem. — WSZYSCY ALBO NIKT!

— Dobrze wiesz, że nie jestem z Zarzeczca — odparł spokojnym tonem Pierwszy. — Ta reguła w ogóle mnie nie dotyczy...

Dziki wymienił ze Zjawą zdumione spojrzenia. Sznur najwyraźniej nie tylko znał ich towarzysza już wcześniej, ale zdawał sobie sprawę, że ten był przybyszem z zewnątrz.

— Tym bardziej nie powinno cię tu być! — stwierdził stanowczo. — Wróć do raju i ciesz się jego błogosławieństwami — doradził tonem, który nie pozostawiał wątpliwości co do jego opinii o ich obecności tutaj.

Następnie, zupełnie ignorując obecność Dzikiego i Zjawy, mężczyzna zaczął metodycznie sprawdzać pomieszczenie. Z uwagą przyglądał się lampom wiszącym z sufitu, sprawdzał wszystkie przewody elektryczne wzdłuż ścian, zerknął również na stół z podarkami.

— Oby ten, kto wziął, naprawdę potrzebował — zamruczał pod nosem, zauważając, że zapasy były naruszone.

Dziki i Zjawa spojrzeli teraz pytająco na Pierwszego, a ten zbliżył się do nich i wytłumaczył szeptem: — Sznur jest z Zarzeczca, ale to nie tak, że je popiera. Był Nowoprzybyłym, któremu dano wybór: opieka nad schronieniami albo śmierć.

Sznur musiał usłyszeć jego słowa, bo wzdrygnął się nieznacznie i wymamrotał — Pilnuję, by schronienia dla każdego były bezpieczne, a drzwi zawsze otwarte. Nikogo nie zostawia się za drzwiami... — podkreślił, wymieniając jednocześnie spaloną żarówkę.

Zjawa podsunęła się bliżej do Pierwszego i już prawie bezgłośnie, spytała — Z nim coś jest nie tak?

Dzikiemu nawet do głowy nie przyszło, żeby o to pytać, bo odpowiedź była oczywista. Sznur zachowywał się, jakby był co najmniej na lekach psy-

chotropowych. Jego ruchy były nerwowe, sztywne, spojrzenie w zdrowym oku zupełnie nieobecne. Do tego ciągle mruczał coś pod nosem.

Pierwszy wyjaśnił natomiast powód jego odmienności, tak cicho by mężczyzna na pewno tego nie słyszał — To, co on robi, to nie jest prestiżowa praca, to kara za „przyjście na gotowe”. Najstarsi mieszkańcy Zarzeczca mają awersję do Nowoprzybyłych, uznając ich za osoby drugiej kategorii, bo przyszedli już do świata zdatnego do przetrwania. Wszyscy, którzy pojawili się po piątym roku, traktowani są tu jako ludzie drugiej kategorii. Woły robocze, które można poświęcić albo zamęczyć pracą. Pewnego razu grupa Zwiadowców zostawiła Sznura za drzwiami podczas Ciemni. Gdy krzyczał, by go wpuszczono, tuż obok niego pojawił się Spalacz...

Zjawia pokręciła głową wyraźnie oburzona, a Dziki przyjrzał się jeszcze raz obcemu mężczyźnie. Przeżycie w Ciemni musiało odcisnąć na nim piętno, nie tylko w postaci fizycznych blizn, ale i problemów psychicznych.

— Dlaczego inni mieszkańcy raju są z tobą? — spytał nagle Sznur, jakby wyczuł ich spojrzenia na sobie.

Pierwszy bez wahania wyjawiał mu prawdę: — Daro, gdy był po tamtej stronie, porwał dziewczynę, która była przyjaciółką tego chłopaka — mówiąc to, wskazał na Dzikiego. — Chcemy ją odnaleźć i uratować.

Sznur, poznawszy ich motywy, przerwał na chwilę swoją pracę. Na jego pokrytej bliznami twarzy zagościło, wyglądające na szczere, współczucie.

— Przeklęty los tych, którzy przybyli za późno, i przeklęty los tych, którzy przybyli z raju. Nie zaznają w tym miejscu spokoju — stwierdził, podchodząc do nich bliżej. — Daro wyruszył do raju z towarzyszami, ale wrócił tylko on. Dlaczego? — spytał, spoglądając z powagą na Pierwszego.

Ten odparł tylko chłodno: — Dziki zabił pozostałych...

Sznur, słysząc o tym, czego chłopak dokonał, podszedł do niego tak blisko, że Dziki był w stanie wyczuć pot bijący spod jego płaszcza.

— Zwiadowcy mają się za nadludzi — stwierdził z obrzydzeniem. — Wszyscy jesteśmy zobowiązani im służyć jak królom, tylko dlatego, że umieją przejść przez rzekę. Dobrze, że chociaż tam spotyka ich los, na który zasłużyli — skwitował i odsuwając się od Dzikiego, dodał pod nosem: — Widziałem Daro w towarzystwie młodej dziewczyny o krótkich, czerwonych włosach. To było jakieś trzy dni temu, w Sadzie Wileńskim...

Dziki, słysząc to, najpierw zdębiał, a potem chwycił Sznura za płaszcz i zawołał zdesperowany — W jakim sadzie?! Co z Oli?! Czy była cała?!

Sznur nawet się nie wzdygnął. Obserwując go zdrowym okiem, położył mu rękę na ramieniu, tłumacząc — Obity towar traci na wartości. Skoro Daro zadał sobie trud przeniesienia jej przez rzekę, do miejsca sprzedaży dotrze cała...

Następnie wyrывая się z uścisku, wrócił do swojej pracy, jakby temat został zamknięty.

Ta informacja wstrząsnęła Dzikim jeszcze bardziej. Sposób, w jaki Sznur wyraził się o Oli jak o przedmiocie, tylko potwierdzał to, co podejrzewał już od wczoraj, a od czego tak bardzo chciał uciec myślami.

— Daleko jest ten Sad? — spytał nerwowo, spoglądając teraz na Pierwszego.

Ten, o zgrozo, wydawał się naprawdę zdezorientowany informacjami jakie teraz zdobyli.

— Stąd niedaleko... — mruknął pod nosem, a po jego twarzy widać było, że pośpiesznie się nad czymś zastanawia. — Ale to by oznacza, że Daro też poszedł skrótem — dodał wyraźnie tym faktem zaskoczony. — Nie spodziewałem się tego... Naprawdę nie sądziłem, że zaryzykowałby z dziewczyną...

Dziki był teraz naprawdę przerażony. Od początku podróży polegał w całości na Pierwszym, a właśnie pojawił się scenariusz, którego jego kompan nie przewidział. Na szczęście mężczyzna szybko się pozbierał i spoglądając w stronę opiekuna schronień, spytał — Sznur, zmieniały się plany. Dziewczyna dotrze do Magistratu szybciej niż uważałem na początku. Mógłbyś nas podwieźć przynajmniej do Przychodni?

Sznur pokręcił głową, nawet na nich nie patrząc.

— Nie po drodze mi — stwierdził, pakując spalone żarówki do swojej kieszeni. — Sprawdzam tylko miejsca przy bezpiecznym szlaku. Dalej skrótem już nie jadę...

Pierwszy opuścił głowę i przejechał dłonią po włosach, najpewniej próbując wymyślić jakiś sposób na przekonanie mężczyzny do pomocy.

— Pohandlujmy! — zaproponował nagle. — Co byś chciał w zamian za przewiezienie nas?

Sznur, który właśnie skończył sprawdzać ostatnią lampę w pomieszczeniu, przystanął na chwilę.

— Jeśli któreś schronienie będzie nieprzygotowane, poniosę za to karę. Już raz byłem za drzwiami podczas Ciemni — oznajmił, ale widać było, że perspektywa ewentualnej nagrody za pomoc mocno go zainteresowała.

Pierwszy popatrzył na niego spokojnie, starając się wyważyć swoją ofertę.

— Autem obrócisz błyskawicznie, nie narażając swojej pracy. A w zamian mogę dać ci coś naprawdę cennego... — przekonywał.

Sznur zaciekawiony, pochylił głowę, uważnie obserwując Pierwszego, który sięgnął po swój plecak. Po chwili mężczyzna wydobył z niego westernowy rewolwer ołówkowego koloru z lśniącymi drewnianymi okładzinami.

— To czarnoprochowy Pietta LeMat — opisał, prezentując broń. — Wiem, że na Zarzeczu macie problem z amunicją, a do tego rewolweru proch i kule możesz robić sam.

Sznur błyskawicznie chwycił za rewolwer i przystawiając go do zdrowego oka, przyjrzał się mu z bliska.

— Piękny... — wyszeptał, wyraźnie zaintrygowany. — Zawór w mojej ciśnieniowej strzelbie już dawno niedomaga. Bardzo często się zacina. Taki prezent byłby teraz bardzo przydatny...

Pierwszy, wyczuwając, że mężczyzna chwycił haczyk, stanął za nim, mówiąc: — Będzie twój, jeśli zabierzesz nas do Przychodni.

Opiekun schronień przyglądał się broni przez dłuższy czas, ciągle mrużąc coś pod nosem. W końcu, wkładając rewolwer do wnętrza swojego płaszcza, zdecydowanie stwierdził — Zabiorę was! — dodając jednak — Ale muszę jeszcze skończyć z tym miejscem.

— Poczekamy — odparł Pierwszy, dziękując mu skinieniem głowy.

Przez kilka kolejnych minut Sznur doprowadzał schronienie do porządku, sprawdzając każdy zakamarek. Tymczasem Dziki i Zjawa zdążyli skonsumować pośpieszne śniadanie, składające się głównie z wafli ryżowych i konserw. Posiłek nie należał do najsmaczniejszych, ale przynajmniej był syty.

Opiekun schronień zaczął potem rzucać pod nosem uwagi, że takie miejsca służą wyłącznie do przeczekiwania Ciemni, a nie jako motel. Nie chcąc go drażnić, postanowili poczekać, aż skończy, na zewnątrz.

Wychodząc na podwórze, Dziki po raz pierwszy miał okazję ocenić, gdzie się właściwie znaleźli. Schronienie było położone na obrzeżach osiedla sąsiadującego z Dzielnicą Krzyków, tuż przy głównej drodze.

Za niewysokim, ale solidnym płotem stał samochód, którym niewątpliwie przyjechał Sznur.

Pojazd przypominał bardziej mały czołg niż auto. Każda jego strona była obita grubą blachą pomalowaną na czarno, a na dachu, w równych rzędach, zamontowane były potężne szperacze. Do tego ciągnął za sobą przyczepę z mauzerem pełnym paliwa.

— Jakim cudem to wszystko nie jest pokryte rdzą? — spytała Zjawa, przyglądając się bacznie tej dziwnej konstrukcji.

— Farba kauczukowa, nałożona w pięciu warstwach na każdy arkusz! — odpowiedział Sznur, niespodziewanie wylaniając się ze schronienia. — Skończyłem. Możemy ruszać — oznajmił, otwierając im drzwi.

Dziki, zaglądając do środka pojazdu, zauważył, że musiał on być dawniej naprawdę pokaznym SUV—em. W środku nie pozostało jednak prawie nic z oryginalnego wyposażenia. Kanapa została usunięta, a z przodu zachował się jedynie fotel kierowcy. Do tego we wnętrzu panował istny chaos. Podłoga usłana była pudełkami po żarówkach, kablami, zapasowymi reflektorami i miernikami napięcia. Sprawiało to wrażenie, jakby otworzył się przed nimi warsztat jakiegoś zapalonego, ale nie szczególnie pedantycznego elektryka.

Dziki, Zjawa i Pierwszy ledwo upchnęli się w tym bałaganie, rozsiadając się między pudłami na podłodze.

Sznur, zajmując miejsce za kierownicą, natychmiast odpalił auto i ruszył powoli naprzód. Drogę obserwował jedynie przez mały lufcik wycięty w okolicy przedniej szyby. Z tego powodu, nawet mimo ślimaczego tempa, ciągle najeżdżał na krawężnik albo wjeżdżał w jakąś dziurę, w wyniku czego jadący z tyłu podskakiwali jak w gigantycznej pralce. W pewnym momencie auto musiało jednak wyjechać na jakąś szerszą drogę, bo mężczyzna przyspieszył, a podrzucanie ustało.

Jak tylko pojazd osiągnął stabilniejsze tempo, Pierwszy odetchnął i spojrzał w tył na Dzikiego i Zjawę. — Trochę dzięki temu nadrobimy — powiedział, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję między pudłami na przodzie. — Szczęście w nieszczęściu, że Sznur sprawdzał bezpieczne domy po tej stronie...

Zjawa podchwyciła temat i spytała kierowcę — Sznur, te wasze schronienia. One się resetują?

Dziki wnioskował po ilości sprzętu, że mężczyzna musiał nie tylko pilnować ich stanu, ale w razie potrzeby budować nowe.

Sznur milczał przez dłuższą chwilę, zanim odwracając się, odpowiedział — Czasem wracają do dawnej formy! A ja w razie potrzeby tworzę je od nowa...

— Schronienia budują bardzo gęsto — dodał Pierwszy. — Dlatego, nawet jak jedno czy dwa się odnowią, jest jeszcze sporo w odwodzie. To dla nich sprawa życia i śmierci. Sznur i kilku innych opiekunów budują nowe i zapewniają działanie już istniejącym.

Zjawa pokiwała głową na znak, że rozumie.

— Czyli to syzyfowa praca — podsumowała i próbując chyba nawiązać jakąś pozytywną relację z ich kierowcą, dodała ze współczuciem — Musi to być dla ciebie naprawdę wypalające...

Słyszając jej słowa, Sznur wyrecytował jakąś dziwną mantrę — Przybyłem jako pasożyt na gotowe, dlatego muszę spłacać mój dług wobec tych, którzy byli tu wcześniej. To oni dali mi szansę przeżycia...

Po tej deklaracji dziewczyna zmieszana popatrzyła na Pierwszego i wyszeptała mu praktycznie do ucha — Jesteś pewien, że możemy mu ufać? Nie doniesie na nas?

Pierwszy pokręcił głową i klepiąc Sznurowa w bark, spytał — Co myślisz o Zwiadowcach?

Mężczyzna szarpnął gwałtownie kierownicą, a całym autem wstrząsnęło.

— ZAMKNEŹ DRZWI! NIKOGO NIE ZOSTAWIA SIĘ ZA DRZWIAMI! — krzyknął z furją.

Po tym zrywie Zjawa i Dziki wyładowali na ścianie auta.

Pierwszy, który najwidoczniej spodziewał się tej reakcji, zdołał się utrzymać, chwytając za fotel kierowcy. Gdy auto przestało się bujać, podsunął się do nich, szepcząc — Gdy wracałem na naszą stronę, spotkałem się z nim w trakcie Ciemni. Zwiadowcy, którzy byli ze mną, traktowali go jak śmiecia.

Oni tak odnoszą się do każdego Nowoprzybyłego. Mówilem wcześniej, że Zarzecz jest zjednoczone, ale nie jest jednomyślne. Po prostu tutaj nie ma wyjścia. Bez wsparcia społeczności, nie przeżyjesz zbyt długo...

Jego tłumaczenia przerwał Sznur, który nagle zahamował auto.

— Co się dzieje? — spytał natychmiast Pierwszy, pochylając się w stronę mężczyzny.

Ten przysunął twarz w stronę lufciku i wymamrotał złowieszczo pod nosem — Truciciel! Chodzi, zatruwa schronienia! Niszczy moją pracę!

Słyszając to, Pierwszy wychylił się mocniej, by zerknąć przez wizjer kierowcy na zewnątrz.

— Ochotniczy... — powiedział, uświadamiając Dzikiego i Zjawę, co było powodem zatrzymania.

Sznur chwycił nagle za swoją strzelbę.

— TACY JAK ON, NIE MOGĄ UJŚĆ Z ŻYCIEM! — wykrzyczał i przekręcił zawór w jednej z butli pod lufą.

Cała broń zatrzeszczała niebezpiecznie, jakby miała zaraz eksplodować, a z części łączy zaczął z gwizdem wydostawać się gaz. Sznur zignorował jej fatalny stan, szarpnął klamkę i wypadł na zewnątrz.

— Tylko uważaj! — krzyknął Pierwszy i wyskoczył za mężczyzną z pojazdu.

Dziki, który był znacznie bliżej otwartych drzwi niż Zjawa, przeskoczył fotel kierowcy i wypadł z samochodu zaraz za nimi. Gdy tylko spojrzał na drogę, zobaczył Sznurowa biegnącego w stronę Ochotniczego. Niewykształcony stał przez chwilę, obserwując go przez maskę strażacką, po czym rzucił się do ucieczki. Mężczyzna zatrzymał się, mierząc ze swojej dziwacznej strzelby, by po dłuższej chwili nacisnąć spust. W powietrzu rozległ się niewyobrażalnie głośny huk, a z lufy wystrzeliło coś, co wyglądało jak gwóźdź kolejowy. Metalowy bolec trafił w głowę Niewykształconego, przebijając ją na wylot, tak że szkło w jego masce eksplodowało.

Zadowolony Sznur podbiegł natychmiast do truchła.

— Rodzą się z dobrymi płaszczami, oby pasował... — wyszeptał, ściągając łąpczywie ubranie z Niewykształconego.

Dziki widząc to, nie musiał już zgadywać, skąd mężczyzna miał poprzedni płaszcz.

— CIEMNIENIE! — zawołał nagle Pierwszy, jednocześnie spoglądając na swoją blaskę.

— CO?! PRZECIEŻ DOPIERO SKOŃCZYŁA SIĘ NOC! — zaprotestował Dziki bezsilnym tonem.

Spoglądając z niedowierzaniem na swoją opaskę, zauważył, że pojawia się na niej rdza. Sfrustrowany tym widokiem, cicho przeklął pod nosem.

Sznur natychmiast ruszył w stronę samochodu, mrucząc — Trzeba wracać do schronienia! Nie odjechalismiśmy daleko, wracajmy!

Dziki powstrzymał go jednak przed wejściem do pojazdu, łapiąc za ramię.

— Nie możemy się cofać! — zaprotestował. — Znowu stracimy czas! Trzeba jechać dalej!

Zjawa, która właśnie wyszła z pojazdu, spojrzała z niedowierzaniem na swoją rękę. Na jej opasce dopiero zaczynały pojawiać się pierwsze plamy rdzy.

— Cholera jasna! Na pewno nie dojedziemy do szpitala? — spytała nerwowo. — Poprzednio zrobiliśmy spory kawałek, zanim to się zaczęło.

— Masz na samochodzie halogeny! — zauważył Pierwszy, spoglądając na Sznura. — Ile dasz radę jechać w pełnej Ciemni?!

— Dziewięć... Dziewięć minut, zanim światła na samochodzie pochłonie mrok. Potem się nie da jechać, a oni pukają w drzwi...

Pierwszy rozejrzał się po okolicy, jakby oceniał odległość, ale po chwili pokręcił głową.

— Chociaż do następnego schronienia, damy radę?! — spytał.

— ...tak — odparł Sznur. — Powinniśmy dać radę...

— Wsiadajmy! — rozkazał Pierwszy, popychając Dzikiego i Zjawę w stronę samochodu.



Rozdział III

Spółeczeństwo pogardy

Sznur kierując swoim pancernym pojazdem albo nie zwracał w ogóle uwagi na drogę, albo już nie był w stanie tego robić. Auto miało się jakby zamiast po asfalcie jechać przez środek lasu, nieustannie obijając się o korzenie wystające z szutru.

W tych okolicznościach Dziki zrezygnował z prób normalnego siedzenia, bo bez fotela i pasów i tak nie byłby w stanie utrzymać się na miejscu. Pół leżąc, oparty o wystające elementy na podłodze, starał się po prostu nie przesuwac zbyt gwałtownie pośród fruwającego wszędzie złomu.

Zjawa, podobnie do niego, starała się jakoś ustabilizować, ale wybrała zupełnie inną technikę. Stojąc przygarbiona i wciskając plecy w pochyły dach, balansowała w aucie jak na deskorolce.

— Ile jeszcze?! — zawołała, gdy po kolejnym dużym wstrząsie upadła, gniotąc kolanami rozrzucone na podłodze pudełka.

— Parę metrów, jeszcze parę metrów... — odpowiedział pośpiesznie Sznur, choć nie wiadomo było, czy mówił to bardziej do siebie, czy faktycznie odpowiadał Weterance na pytanie.

Pierwszy ścisnął w tym czasie fotel kierowcy, z ledwością utrzymując równowagę.

Nagle wewnątrz auta rozległ się kolejny huk. Bez wątpienia w coś uderzyli, ale Sznur nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Dociskając mocniej pedał gazu, rozpędzał pojazd coraz bardziej.

Dziki czuł, jak ból uderzeń rozchodzi mu się po całym ciele. Zaczynał też mieć coraz większe wątpliwości czy próba dotarcia bliżej szpitala naprawdę była dobrym pomysłem.

Ślepy na jedno oko kierowca, obserwujący drogę przez maleńki lufcik, do tego w całkowitej ciemności, nie dawał im wielkich nadziei na dotarcie do schronienia w jednym kawałku. Jakby dla potwierdzenia złych przeczuć Dzi-kiego, kolejne uderzenie szarpnęło samochodem, ale mimo to Sznur wciąż nie zwalniał. Ryk obciążonego silnika wypełniał wnętrze, a pancerna karoseria drżała przeraźliwie.

Kolejne spotkanie z czymś większym niemal uniosło ich pojazd w górę. Dziki nie zdołał po tym utrzymać się na miejscu i pofrunął do tyłu, lądując w stosie kabli. Zjawą, która również nie dała rady, upadła plecami tuż obok niego.

— Kurwa! Pozabijasz nas wszystkich! — przekleła, zrzucając z siebie pudełka.

Tymczasem przez otwory w poszyciu samochodu zaczął przedostawać się dym Ciemni. Sznur, dostrzegając to, wcisnął jeden z licznych przycisków na kokpicie, a zamontowane pod sufitem lampy wypełniły wnętrze ostrym światłem. Nie minęła nawet sekunda, a autem znowu gwałtownie wstrząsnęło. Tym razem nawet Pierwszy, ściskający fotel, nie zdołał zachować pozycji. Poderwany do góry, uderzył najpierw hełmem o sufit, a następnie wylądował boleśnie na podłodze.

Tego zderzenia nie przetrwało bez uszczerbku również samo auto. Silnik zaczął grzechotać, a cały pojazd wpadł w wibracje.

Sznur, walcząc z pedałami i kierownicą, starał się utrzymać kontrolę nad pancerniakiem, ale jak można było się spodziewać, motor zbliżał się do granic swojej wytrzymałości.

— Co się dzieje? — spytał Pierwszy, łapiąc kierowcę za ramię, a zdenerwowania w jego głosie nie była w stanie ukryć nawet maska na twarzy.

— Przewód paliwa... — odparł Sznur. — Pewnie się znowu zsunął — dodał, pompując jednocześnie gaz.

Samochód jednak w ogóle nie reagował na jego próby, a silnik już po chwili po prostu zgasł. Toczyli się jeszcze siłą rozpędu, ale obciążony do granic możliwości pojazd, do tego ciągnący przyczepę z pełnym mauzerem, błyskawicznie wytracał swoją prędkość.

Zjawą, podrywając się do przodu i wbijając między Pierwszego a Sznu-
ra, zawołała: — CO TERAZ!? DO CHOLERY? CO ROBIMY!?

Sznur po jej pytaniu wyjrzał przez drugi wizjer umiejscowiony w dachu i rozejrzał się po okolicy.

— To już blisko! — ocenił. — Musimy biec!

Dziki słysząc, co proponuje mężczyzna, aż zdębiał. Myśl o wyjściu teraz na zewnątrz była dla niego po prostu absurdalna.

— A nie możemy zostać w samochodzie?! Przecież jest opancerzony! — zasugerował, licząc, że po prostu w tych nerwach wszyscy o tym zapomnieli.

Sznur w odpowiedzi na jego pomysł wskazał palcem na halogen pod sufitem, którego światło znacznie przygasło od momentu, gdy się zatrzymali.

— Bez pracy silnika nie będziemy bezpieczni — wytłumaczył pośpiesznie. — Mocne lampy pożrą akumulatory w pół godziny. Wtedy przyjdzie ciemność, wtedy przyjdą potwory...

— Nie ma czasu! — ponaglił ich Pierwszy. — Z każdą chwilą na zewnątrz jest tylko gorzej!

Sam nie czekając, szarpnął natychmiast za klamkę i wypadł z pojazdu. Dziki wydostał się zaraz za nim przez otwarte drzwi pasażera, a Sznur i Zjawa dołączyli do nich po chwili.

Na zewnątrz sytuacja nie wyglądała dobrze. Tak jak wcześniej Ciemnia pochłonęła niemal wszystko. Gęsty, nieprzenikniony mrok kłębił się dookoła nich. Potężne halogeny umieszczone na pancernym samochodzie ledwo przebijały się przez otaczającą ich czerń, rzucając jedynie niewielką plamę światła na drogę wokół.

Sznur przebiegł nagle za Dzikim i dopadł do skrzynki na boku pojazdu. Pierwszy w tym czasie rozglądał się po okolicy, ewidentnie szukając drogi do schronienia.

— TAM! — krzyknął nagle, wskazując dłonią.

W oddali, niczym latarnia pośrodku ciemnego morza, połyskiwały niepochłonięte przez ciemność czerwone drzwi z białym krzyżem.

— Weźcie świece! — zawołał Sznur, podając im dziwne tekturowe rurki ze skrzynki. — Gdy będzie bardzo źle, zerwijcie osłonę! Zyskamy kilka sekund!

Wszyscy złapali po jednej takiej tubie, a potem ruszyli w kierunku schronienia. Jak tylko oddalili się od samochodu, mrok niemal całkiem pochłonął światło latarek, które mieli ze sobą. Ich promienie przebijały się ledwie na odległość kilku centymetrów, sprawiając wrażenie, że ciemność utworzyła wokół nich namacalny kokon. Biegli właściwie po omacku, kierując się w stronę czerwonych drzwi, które było jedynym punktem orientacyjnym w tej wszechogarniającej pustce.

Nagle Dziki poczuł, że coś podąża za nimi, ale gdy się obrócił, dostrzegł jedynie czerń. Dziwne odczucie wciąż jednak narastało. Miał wrażenie, że coś zimnego i złowrogiego czai się tuż za jego plecami. Oddech tego niewidzialnego bytu smagał mu kark.

Nie mogąc dłużej wytrzymać tego napięcia, pomyślał, że to właśnie moment, gdy „jest bardzo źle”.

— ZRYWAM! — krzyknął i szybkim ruchem zdarł osłonę ze świcy.

Ta była najpewniej domowej roboty flarą nasączoną jakimś rodzajem środków chemicznych, które aktywowały się w kontakcie z powietrzem. Światło, które z niej błysnęło, było intensywne jak przy spawaniu elektrodą i wydawało podobny, ostry zapach ozonu.

Błękitna poświata przebiła się przez ciemność, rozjaśniając okolicę niemal do poziomu porannego brzasku. Dzięki temu Dziki był w stanie dostrzec za sobą jakąś niewyraźną sylwetkę, która prawie natychmiast zniknęła, pochłonięta jasnością. Spoglądając następnie przed siebie, dostrzegł plecy Zjawy oraz resztę grupy biegnącą przed nim.

Niestety świeca zgasła tak szybko, jak się zapaliła. Już po chwili znowu biegli w całkowitej ciemności, słysząc jedynie swoje przyspieszone oddechy.

— ZAPALAM! — zawołał Pierwszy i dookoła znowu pojaśniało.

Dziki miał teraz szansę dostrzec, że pędzili po chodniku wzdłuż ogrodzeń pobliskich budynków. Tym razem żadna sylwetka nie pojawiła się już przy nich. Niestety po kilku sekundach światło ponownie zgasło, pozostawiając ich na pastwę ciemności.

Zanim świeca się dopaliła, Dzikiemu udało się oprzeć rękę na ogrodzeniu. Sunąc dłonią po siatce i panelach, starał się nie zgubić biegnących z przodu towarzyszy.

— TERAZ JA! — krzyknął Sznur.

Światło ponownie wypełniło okolice. Dziki dostrzegł przed nimi postać Gospodarza, który wyłonił się zza pobliskiego zakrętu. Mężczyzna o twarzy, na której wciąż widniały ślady życia, ruszył natychmiast w ich stronę. Sznur upuścił świecę i zrzucił broń z ramienia, gotów do ataku. Pierwszy ubiegł go jednak, doskakując do Niewykształconego i strzelając mu z pistoletu w podbródek. Gospodarz upadł, znikając w ciemności, gdy tylko świeca zgasła.

W tym samym momencie od strony schronienia dobiegło do nich po-naglające wołanie jakiegoś mężczyzny: — Tutaj! Jeszcze trochu!

Dziki, słysząc to, wyteżył wzrok. Wyglądało na to, że ktoś zdążył już schronić się w budynku przed nimi. Drzwi kryjówki były otwarte, a oprócz ich czerwonego koloru dostrzegł teraz niewyraźną plamę światła. W jej środku jakiś cień ewidentnie poganiał ich, machając ręką.

Zjawą, która biegła pośrodku grupy, bez słowa odpaliła swoją świecę. Tym razem Dzikięgo zmroziło. Miał wrażenie, że błękitny płomień zmiotł co najmniej kilkunastu Niewykształconych, rodzących się w tej dziwacznej anomalii. Gdy ponownie ogarnęła ich ciemność, dostrzegł już wyraźny zarys schronienia przed nimi. Od kryjówki dzieliło ich raptem kilka metrów, ale uczucie obecności Niewykształconych w mroku ponownie zaczęło się nasilać. Nie mieli już żadnej świecy, by się wyratować, więc na tym ostatnim fragmen-cie drogi wszyscy gwałtownie przyspieszyli.

Dziki czuł, że jego nogi płoną żywym ogniem. Oddychać przestał całkowicie, bo kółka po prostu go zatykała. W głowie zaczynało mu powoli wirować z braku tlenu, ale byli już tak blisko, że musiał wytrzymać.

W ciągu kilku sekund cała grupa wpadła do schronienia.

Wysoki mężczyzna o lysej głowie, który wcześniej poganiał ich z progu, zawołał z rosyjskim akcentem: — U was już wszyscy?!

— Tak! — wydusił Pierwszy, a obcy zatrzaskał z miejsca drzwi.

Po tym szaleńczym biegu cała grupa padła na ziemię, dysząc ciężko.

Dziki, który nie pamiętał, kiedy ostatni raz musiał biec tak szybko, miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Przed oczami widział tylko mroczki wymieszane z ostrym światłem halogenów. Dopiero gdy po jakichś dwóch, może pięciu

minutach jego serce przestało walić jak oszalałe, zdołał usiąść i rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Schronienie nie różniło się mocno od poprzedniego, w którym nocowali. Podobnie jak wcześniej znajdowało się w piętrowym budynku, a wnętrze wypełnione było identycznymi halogenami, lampami i sprzętem obozowym. Jedyna różnica polegała właściwie tylko na tym, że wewnątrz nie słychać było generatora. Budynek musiał być więc zasilany w jakiś inny, może nawet związany z błędami, sposób. Płatania kabli i przedłużaczy tworzyła istną pajęczynę na podłodze, a wszystkie wpięte były bezpośrednio w oryginalne gniazda ze Starego Świata.

Okazało się również, że oprócz Rosjanina zamykającego drzwi, byli tam jeszcze dwaj inni obcy mężczyźni. Jeden, dość młody ze świeżo obtartą twarzą, siedział pośród podróżnych toreb, najprawdopodobniej sprawdzając ich zawartość. Drugi, znacznie starszy i przyprószony siwizną, obserwował ich podejrziwie z rogu pomieszczenia.

Dzikemu bardzo nie podobała się ta sytuacja. Wyglądało na to, że przez całą Ciemnię utknęli zamknięci z mieszkańcami Zarzecza. Zdecydowanie wolalby, żeby oprócz Sznura nie mieli dodatkowego towarzystwa. Miał tylko cichą nadzieję, że uda im się nie zdradzić swojej tożsamości. Raczej nie mieli aż tyle szczęścia, żeby po raz kolejny trafić na niezrównoważonych psychicznie członków tutejszej „najniższej” klasy.

— Dobrze, że mieliście świece. Bez nich byście nie dali rady — stwierdził Rosjanin, a potem zajął miejsce w fotelu przy drzwiach.

— Tak. Bez nich byłoby źle... — wydyszał Pierwszy, opierając spoconą głowę o ścianę.

Tymczasem Stojący w rogu starszy mężczyzna, widząc, że powoli dochodzą do siebie, podszedł bliżej, przyglądając im się z zainteresowaniem. Z jakiegoś powodu jego wzrok najdłużej zatrzymał się na Zjawie.

— Skoro już jesteśmy bezpiecznie, chciałbym wiedzieć, z jakiego pokroju ludźmi przyjdzie mi spędzić te Ciemnię — rzucił wreszcie dość opryskliwym tonem. — Jestem Szop, handlarz z Przychodni, rok ósmy. A to Yuri, mój wspólnik, rok siódmy — przedstawił Rosjanina spod drzwi, zupełnie ignorując obecność chłopaczka w rogu.

Pierwszy spojrzał na Dzikiego i Zjawę, kiwając delikatnie głową, jakby chciał im potwierdzić, że to on będzie mówił. — Jestem Czarny, rok siódmy, Zwiadowca — skłamał i wskazując na kompanów, dodał — A to Dzik i Zjawa, oboje z roku szóstego. Wróciliśmy wczoraj z naszej pierwszej misji w Raju.

Handlarz, słysząc to, zrobił wielkie oczy, po czym chwycił rękę Pierwszego, trzęsąc nią przy tym, jakby witał się z kimś naprawdę poważnym.

— To dla mnie zaszczyt — stwierdził już zupełnie odmiennym i bardzo przymilnym tonem. — Jestem w tym świecie od tak dawna, a wciąż trafiają się

ważne figury, których nie znam. Cały czas mnie to zaskakuje... — podkreślił, dodając jednak — Mimo wszystko mogłem się domyślić. Wasza broń nie pochodzi przecież z tej strony.

Pierwszy spojrział mimochodem na swój karabin, potwierdzając skinieniem głowy. W tym czasie Szop przeszedł po pomieszczeniu, ściskając ręce Zjawy i Dzikiego, zatrzymując się niepewnie dopiero przy Sznurze.

— A ty? Chyba cię już widziałem? — spytał, ponownie wracając do pretenjonalnego tonu.

— Jestem Sznur, opiekun schronień. Rok trzeci... — przedstawił się mężczyzna.

Szop, orientując się, że mężczyzna jest z tutejszej niższej klasy, spojrział na niego z wyraźną pogardą, nie podając mu nawet ręki i ponownie zwrócił się do Pierwszego.

— Skoro formalne przedstawienie mamy za sobą, to pozwólcie, że zaproszę was na nieformalne — mówiąc to, podszedł do rozstawionych na podłodze toreb i wyciągnął z jednej z nich butelkę alkoholu. — WSZYSCY ALBO NIKT! — zawołał, łapiąc z niej spory łyk, po czym podał ją Pierwszemu.

— Wszyscy albo nikt! — odpowiedział Pierwszy i zdjął swoją maskę. Z butelki nie wziął jednak nawet łyka, a jedynie powąchał jej zawartość. — Wydaje się mocne... To jabłko? — spytał, oddając alkohol właścicielowi.

Szop uśmiechnął się.

— Poznałeś? — spytał zaskoczony. — To „Cydrówka” z Sadu Wileńskiego. Nie smakuje jak poszabrowana wódka, ale w Przychodni bardzo za tym przepadają. Może jednak się skusisz?

Pierwszy odmówił gestem, więc zrezygnowany handlarz stanął obok Zjawy.

— Wszyscy albo nikt! — zawołał i w trakcie picia przyjrzał się jej uważnie. — Swoją drogą, to naprawdę grzech, że taka ładna dziewczyna idzie do zwiadu — stwierdził z żalem, gdy już opuścił butelkę, by podać ją Weterance.

— Wszyscy albo nikt! — odparła Zjawa, biorąc łyk.

Cydrówka okazała się jednak dla niej zbyt mocna, bo natychmiast zaczęła się krztusić.

Szop, widząc to, zaśmiał się, klepiąc ją po plecach.

— Wiem, nie jest to rarytas, ale przynajmniej procenty się zgadzają. Po tamtej stronie pewnie mieliście okazję popróbować lepszych rzeczy — powiedział, stając teraz naprzeciw Dzikiego. — No, mój chłopcze, z twarzy jeszcze dzieciak, ale po oczach widać, że sporo w życiu przeszedłeś. Ile miałeś lat, jak zaczął się ten pierdolnik?

Dziki poczuł w tym momencie lekką konsternację. Czy mógł jakoś zdradzić się swoim wiekiem? Raczej nie, bo liczył się najpewniej moment pojawienia się na Zarzeczu, a nie to, ile miał lat w Starym Świecie. Szop i Sznur byli przecież w podobnym wieku i nie należeli do tej samej klasy społecznej.

Ryzykując, odpowiedział więc zgodnie z prawdą: — Dwadzieścia jeden — po czym przejął butelkę i złapał z niej łyk.

Alkohol był naprawdę mocny i rzeczywiście miał posmak fermentowanego jabłka, ale udało mu się przełknąć go bez oporu. Szop, wyraźnie zadowolony, skinął głową.

— Pewnie korciło, żeby zostać po tamtej stronie, co? — spytał i nie czekając na odpowiedź, dodał z pompą — Młody zwiadowca, który nie poddaje się pokusie, to prawdziwa sól tej wypalanej kwasem ziemi.

— Wszyscy albo nikt! — odparł Dzik, który dzięki temu stwierdzeniu pozwoli zaczął rozumieć, co oznaczało ten ciągle powtarzany na Zarzeczu slogan.

— W rzeczy samej, chłopcze — potwierdził handlarz, zabierając mu Cydrówkę.

Po jak to nazwał „nieformalnym przedstawieniu”, uśmiech Szopa zrobił się o wiele szerszy, a oczy nieco mętne. Głównym powodem było pewnie to, że witając się z nimi, sam opróżnił ponad pół butelki. Mężczyzna nawet bez tego, wydawał się Dzikemu dość rozmowny, a przy tym miał wyraźny szacunek dla Zwiadowców. Wyłapując wcześniej, że miał alkohol z osady, gdzie zabrano Oli, postanowił spróbować dowiedzieć się od niego czegoś więcej.

— Więc wracacie z Sadu? — zagadnął, licząc na to, że uda mu się wciągnąć mężczyzn w rozmowę i może mimochodem dowiedzieć się czegoś o porwanej przyjaciółce.

Pierwszy spojrzął na Dzikiego surowo, trzęsąc nieznacznie głową, a Yuri, wciąż rozłożony w fotelu, prychnął z dziwną irytacją — O czym ty gadasz, chłopaku? Przecież Sad jest z tamtej strony szlaku. Jak mamy stamtąd wracać?

Dzikie uświadamiając sobie, że popełnił błąd, spróbował natychmiast się z niego wytłumaczyć.

— Przepraszam, pomyliłem się — rzucił w nerwach chyba najgłupszą możliwą wymówkę, a potem próbował ratować sytuację, dodając — Wciąż jestem rozkojarzony. Po tamtej stronie tyle się działo...

Niestety jego głos zabrzmiał bardzo sztucznie. Gdyby sam siebie posłuchał, najpewniej od razu wyłapałby, że coś tutaj mocno nie grało. Pierwszy widząc najpewniej, że Dzikie zaraz ich zdradzi, wtrącił się w rozmowę, wyciągając go z opresji.

— Daj chłopakowi spokój! — zażądał stanowczo, spoglądając na Yuriego surowo. — Miał u Smutnego taką szkołę, że do tej pory ma jeszcze sporo dziur w głowie...

O „dziurach w głowie” powiedział z takim naciskiem, jakby chciał przy okazji podkreślić, że Dzikie zachował się teraz wyjątkowo lekkomyślnie.

— Smutny... — wtrącił nagle Szop, wyraźnie wzdygając się na wspomnienie tego pseudonimu. — Słyszałem pogłoski o nim. Podobno to już nawet nie jest człowiek... — wydukał tajemniczym głosem. — Jeśli używanie błędów wiąże się z utratą ciała... Osobiście bym nie zaryzykował.

— Rozumiem — odparł Pierwszy, chcąc zakończyć ten temat. — A wy? Co właściwie tu robicie? Przy krótkiej drodze raczej ciężko o okazje do zbicia dobrego interesu... — zauważył, chcąc chyba swoją wiedzą o tej stronie, zrównoważyć głupi strzał Dzikiego.

Szop po tym pytaniu popatrzył na niego przez chwilę, mrużąc przy tym oczy. Zupełnie jakby oceniał, czy powinien wyjawić prawdę.

— Zwiadowcy mogą chyba zdradzić — rzucił w końcu. — Raczej w Magistracie zarabiacie tyle, że nie oplaca się wam wygryzanie mnie z interesu — dodał, śmiejąc się pod nosem, a potem przyznał — Szukamy z Yurim nowych miejsc zaopatrzeniowych. Większość małych osiedli między siedliskami jest przeszukiwana tak regularnie, że nie znajdziesz tam nawet opakowania wykalacek. Z kolei w okolicach Dzielnicy Krzyków prawie nikt nie bywa, a z Przychodni mamy przecież do niej najbliżej.

Pierwszy pokręcił głową, jakby pomysł handlarzy nie wydawał mu się zbyt dobry.

— Budynki tam nie były szabrowane od powstania pierwszych szklarni, więc nie resetowały się od lat. Spożywka do niczego się już nie nadaje, a elektronika po tak długim czasie raczej też nie wróci do życia... — zauważył, po raz kolejny podkreślając jak dobrze zorientowany był w historii Zarzecza.

— Wiem, wiem — odparł Szop. — Ale dla nas to inwestycja „długoterminowa” — dodał znacząco. — Razem z Yurim chodzimy tam od pewnego czasu robić kipisz w domach. Może dzięki temu któryś ze zniszczonych przez nas budynków się odnowi. Magistrat szykuje się do inwazji, a co za tym idzie, towary po odnowie osiągają niebotyczne ceny. Cała centrala handlowa skupuje wszystko, co można dać naszym jako racje na drogę. Nawet jeden dom z długoterminową żywnością pozwala nieźle zarobić. A właśnie... — mężczyzna urwał nagle i spojrzał teraz na chłopaka siedzącego w rogu. — Długo jeszcze będziesz to liczył? — spytał zupełnie innym niż wcześniej, groźnym tonem. — Jeśli próbujesz ukryć, że coś zgubiłeś, to zaraz pójdziesz na zewnątrz tego poszukać.

— Jakiś problem? — wtrącił Pierwszy, widząc, że młodzik skulił się ze strachu między torbami.

— Po prostu mój cholerny tragarz nie potrafi biec, nie przewracając się na swoją durną gębę. Jebane pasożyty z roku bieżącego. Do niczego się nie nadają... — odparł mu Szop, spoglądając ponownie z pogardą na chłopaka skulonego między torbami. — Pamiętaj, że mam listę. Jak czegoś będzie brakowało, sprzedam cię w Przychodni do najdalszej szklarni...

Młodzik, słysząc to, zupełnie pobladł. Do Dzikiego dotarło natomiast, że informacja Pierwszego odnośnie podejścia do Nowoprzybyłych na Zarzeczu, była mocnym niedopowiedzeniem. Oni nie byli traktowani jak ludzie drugiej kategorii, tylko jak niewolnicy. Jeżeli w ten sposób odnosili się do

własnych ludzi, to jaki los czekał tych pochodzących z Centrum? Dziki poczuł ścisk w mostku na myśl o tym co groziło Oli.

Szop w międzyczasie rozpoczął pobieżną inwentaryzację swojego dobytku. Zauważając w końcu coś, co mu się nie spodobało, zawołał wściekle — No kurwa! Nie wierzę! — nachylił się potem nad jedną z toreb, wkładając rękę do jej wnętrza. — Yuri, spójrz! Ten gnój potłukł fiołki z antybiotykami! — dodał, wyciągając ze środka małą pokruszoną buteleczkę bez choćby śladu zawartości.

Rosjanin słysząc to poderwał się z miejsca i chwycił siedzącego chłopacka za szyję, bez trudu ustawiając go na równe nogi.

— Te towary kosztowały więcej niż będzie zapłacone za twoją skórę, psie — warknął mu prosto w twarz, pchając potem na ścianę.

— Może jak posiedzi trochę w Ciemni, nauczy się szanować cudze — dodał Szop, a Yuri ponownie złapał młodzika i pociągnął go w stronę drzwi.

W tym momencie Sznur, który przez większość czasu pochłonięty był swoimi myślami, stanął niespodziewanie naprzeciw wejścia, zagradzając je i rozciągając swój płaszcz niczym Rejtan.

— Nikogo nie zostawia się za drzwiami! — krzyknął. — Schronienie ma służyć każdemu niezależnie od roku przybycia. Takie jest prawo! — przypomniał, ale nie zrobiło to wrażenia ani na Szopie, ani na Yurim, który zawołał tylko — Zamknij się, suka! Bo zaraz ty będziesz na polu razem z nim!

— Dość! — zawołał Pierwszy chłodnym, donośnym głosem. — Nie będziemy otwierać drzwi w samym środku Ciemni! — stwierdził stanowczo. — A co, jeśli akurat pojawi się przed nimi potwór? Użyjcie trochę mózgu — wytknął na koniec.

Yuri i Szop spojrzeli na siebie, wyraźnie zmieszani. W końcu ten pierwszy ponownie pchnął chłopaka na ścianę, przez co kości w jego wątłym ciele aż zagrzechotały.

— Zwiadowca ma rację — prychnął, wracając na swój fotel. — Zresztą, martwy nie będzie nic wart...

Dziki, obserwując tę scenę, odetchnął z ulgą. Nie dlatego, że szczególnie przejmował się losem obcego chłopaka, ale widział już, że Pierwszy nie potrafił być obojętny w takich sytuacjach. Bał się, że gdyby rzeczywiście handlarze spróbowali wypchnąć swojego niewolnika za drzwi, jego kompan byłby gotów zaingerować. To zaś, zważywszy na okoliczności, było szalenie ryzykowne.

Sznur oceniając, że sytuacja nieco się uspokoiła, podszedł do leżącego na ziemi tragarza, pomagając mu usiąść. Ten oparł się o ścianę, chwytając z krzywą miną za żebra, a Szop wrócił w tym czasie do przeglądania zawartości toreb.

— Cholera, cholera... — mruczał pod nosem, dodając — Przepraszam was, że musieliście patrzeć na to żalosne przedstawienie — powiedział, ukazując tym samym, jak dwuznaczna była jego moralność. — Tylko, że to był

Metrodanizol na specjalne zamówienie szefa ochrony Przychodni — tłumaczył się dalej. — Jakiś czas temu kupili dwie dziewczyny z „Garażu”, ale obie okazały się tak syfne, że połowa strażników leży teraz, wijąc się ze spuchniętymi przyrodzeniami. Mam nadzieję, że jednak coś ocalało... może, jakby rozrobić resztki z solą fizjologiczną... — zaczął mamrotać, grzebiąc między szklami, w poszukiwaniu całej butelki.

Dziki słuchając tego, poczuł, jak ręka mu drży. Każda minuta, w której Oli przebywała w tym miejscu, napędzała go coraz większym przerażeniem i bezsilną złością. Przez chwilę pomyślał wręcz o tym, aby ukraść samochód Sznura, nawet bez pozwolenia Pierwszego. Auto stało jednak uszkodzone, a on sam raczej nie byłby w stanie go naprawić.

Szop w międzyczasie skończył przeglądać swoje rzeczy. Przerażenie i wściekłość widoczne w jego oczach, zdradzały, że nie znalazł całej butelki

— Kurwa... — wydyszał rozwścieczony, spoglądając na swojego współnika. — NIE OCALAŁA NAWET JEDNA!

Słyszając to, Dziki wiedział już, że los tragarza właśnie się przypieczętował. Nie musiał też czekać długo na potwierdzenie swojego przeczucia. Szop błyskawicznie doskoczył do opartego o ścianę chłopaka i kopnął go w głowę tak mocno, że jego potylicą aż odbiła się od muru. Po tym ciosie chłopak padł natychmiast na ziemię pozbawiony przytomności. Szop nie poprzestał jednak tylko na tym. W furii, jaka nim zawładnęła, zaczął kopać go po żebrach.

— TY SUKINSYNU! WIESZ, JAKIE KŁOPOTY BĘDĘ MIAŁ PRZECZ CIEBIE?! WIESZ?! — wołał ironicznie, katując swojego podwładnego.

Dziki dostrzegł jak pięści Pierwszego zaciskają się na ten widok. Mentalnie podsunął się do niego i chwycił go za rękę, kręcąc głową. Jeżeli chcieli pomóc Oli, nie mogli pozwolić sobie na zdemaskowanie ani niepotrzebne ryzyko. Niespodziewanie to jednak Zjawą zareagowała. Czy to dlatego, że nie mogła znieść widoku takiego okrucieństwa? Czy może chciała przypodobać się w ten sposób Pierwszemu?

— DOŚĆ! — krzyknęła, chwytając Szopa za ramię.

Mężczyzna spojrzał na nią wyraźnie zdziwiony. Najwidoczniej jego zachowanie nie było tu niczym nadzwyczajnym. Pierwsze co przyszło teraz Dzi-kiemu na myśl, to czy Szop mógł nabrać jakichś podejrzeń.

Zjawą jednak zachowała zimną krew i głosem pełnym opanowania powiedziała — Zaraz go zabijesz, a ja nie mam zamiaru siedzieć w jednym pomieszczeniu z trupem do końca Ciemni. Nie otworzymy drzwi, żeby wyrzucić truchło, więc póki jesteśmy tu uwięzieni, hamujcie się do cholery!

Szop zawahał się przez chwilę, ale w końcu spuścił głowę ze wstydem, mówiąc — Przepraszam, nigdy nie chciałem wprowadzać naszych wybawicieli w jakąś niezręczną sytuację... Po prostu, meh... Tyle problemów mi narobił...

— To nie wprowadzaj... — podkreśliła dziewczyna i odwracając się, spojrzała znacząco na Pierwszego, w którego oczach pojawiła się wyraźna aprobata.

Dziki, obserwując całą tą scenę, poczuł się dziwne zażenowany swoją osobą. Pamiętał jeszcze czasy, gdy sam rzuciłby się temu chłopakowi na pomoc bez chwili zawahania. Dlaczego więc teraz myślał, że to było głupie? Cemu w środku miał pretensje do Zjawy i Pierwszego, że się wtrącili? Czy to, co spotkało Autobus pod jego opieką, aż tak go zmieniło? Potrzęsnał jednak głową, odganiając te myśli. Chodziło przecież o Oli. To na niej powinni się skupić. Nie miał teraz czasu na pomaganie innym, zwłaszcza ludziom z Zarzecza.

Zjawą stanęła potem obok Pierwszego, a Dziki usiadł na podłodze, starając się uspokoić myśli.

Szop, wciąż zły, ale już mniej skłonny do wybuchów, wrócił do przeglądania swoich rzeczy, mrucząc pod nosem kolejne przekleństwa. W tym samym czasie Sznur podsunął się ponownie do ledwo przytomnego chłopaka. Powoli podniósł go, opierając o ścianę, a potem sięgnął do swojego płaszcza.

Yuri, widząc to, aż uniósł się z fotela.

— Nie pomagaj jemu! — warknął z pretensją.

— Znowu zaczynacie? — wtrąciła Zjawą zirytowanym tonem. — Niech pasożyty bawią się ze sobą. Siedzenie tutaj jest dostatecznie nieprzyjemne, bez waszego ciągłego przypominania o ich istnieniu.

Słyszając tę reprimendę ze strony rzekomej Zwiadowczyni, Rosjanin momentalnie spochmurniał, usadawiając się z powrotem na swoim fotelu.

Sznur zaczął tymczasem wyciągać swoje rzeczy z płaszcza. W końcu udało mu się dokopać do czegoś, co wyglądało jak mocno sfatygowane proszki przeciwbólowe.

— Połknij, będzie lepiej — wyszeptał do chłopaka, wciskając mu pokruszoną tabletkę do ust.

Ten natychmiast zaczął się krztusić, co zważywszy na to, że ledwo utrzymywał przytomność, wcale nie było szczególnie dziwne. Sznur, chcąc mu pomóc, błyskawicznie wyszarpał manierkę zza pazuchy, upuszczając jednocześnie rewolwer ofiarowany mu wcześniej przez Pierwszego.

— Popij... popij — powiedział, podtrzymując głowę chłopaka.

Yuri, zauważywszy broń leżącą na podłodze, pochylił się i wyciągnął po nią rękę.

— Ej! — zawołał w stronę Szopa. — To nie jest samoróbka... — stwierdził, podnosząc rewolwer.

Dziki wstrzymał oddech, widząc, jak Sznur podrywa się na równe nogi i krzyczy z furją w stronę Rosjanina — TO MOJE!

Opiekun schronień nie wydawał się mu na tyle zrównoważony, by darować odebranie sobie czegoś, co uważał za swoje. Dla Dzikiego ważniejsze

było jednak, czy Pierwszy i Zjawa wtrąca się w tę sytuację. Z niepokojem obserwował więc dalszy rozwój wydarzeń.

Handlarze oczywiście zlekceważyli pretensje kogoś, kogo uważali za pod-człowieka. Szop, podchodząc do Yuriego, rzucił tylko — Morda, czerwiu... — i ostentacyjnie, odepchnął Sznura na bok. — Pokaż go — polecił następnie swojemu współnikowi, wskazując na rewolwer. — Faktycznie, to prawdziwa broń... — stwierdził po chwili, a jego spojrzenie stało się wyjątkowo zawistne. — Komu ją ukradłeś? — spytał nagle, patrząc z odrazą na Sznura.

Ten zaprotestował z miejsca — Nikomu! To była uczciwa wymiana! — zawołał, a jednocześnie wciąż wyciągał rękę po swoją własność.

Szop, aż prychnął — A kto by chciał handlować z kimś takim jak ty? Chyba tylko inny pasożyt, ale to i tak znaczy, że tę broń komuś ukradliście — odparł opryskliwie, wkładając sobie rewolwer do kieszeni kurtki.

— NIE! TO MOJE! — krzyknął Sznur, rzucając się w stronę mężczyzny.

Yuri zareagował na to natychmiast i broniąc współnika, uderzył Sznura pięścią w głowę.

Opiekun schronień runął po tym potężnym ciosie na podłogę, jak rażony gromem, ale wciąż powtarzał w amoku: — Nie ukradłem! To jest moje... moje...

Pierwszy, widząc to, nie był już w stanie utrzymać nerwów na wodzy. Biorąc potężny zamach, dzielił Rosjanina w szczękę tak, że ten upadł zaraz obok Sznura.

Szop obserwował to wyraźnie zszokowany.

— Co ty wyprawiasz? — wyszeptał, tonem jakby nie dowierzał w to, co właśnie widział.

— Tę broń dostał ode mnie! — odparł Pierwszy, celując palcem w stronę handlarza. — Masz mu ją oddać... Teraz! — zażądał.

W tym samym momencie Yuri poderwał się z podłogi. W jego oczach błyskała furia, a ręce zacisnęły się w pięści. Ruszył w stronę Pierwszego, gotów do walki.

— UWAGA! — krzyknęła Zjawa, gdy Rosjanin brał zamach.

Pierwszy w ostatniej chwili uniknął sierpowego i skontrował, uderzając Ruska w podbródek. Ten runął ponownie na podłogę, tym razem jednak nie obok Sznura, a wprost na płataninę przedłużaczy i kabli.

Głośny huk i niebieskie światło momentalnie wypełniły pomieszczenie. Zwarcie, które wywołał upadający Yuri, spaliło większość wolnostojących reflektorów, oszczędzając jedynie pojedyncze w rogach oraz żyrandol przy suficie.

Szop spojrzał przerażony w stronę swojego kompana, który bał się poruszyć, chociaż o milimetr, by nie wywołać kolejnego zwarcia.

— Jak mogłeś?! — spytał z pretensją, skupiając się potem na Pierwszym. — Zaatakowałeś starego mieszkańca dla pasożyta?! Co z ciebie za Zwiądawca? — prychnął z pogardą.

Pierwszy, rzucając mu lodowate spojrzenie, odparł tylko: — Co z ciebie za człowiek?

Podnoszący się z ziemi Sznur wyszeptał z przerażeniem — Mrok się wkrada... — a jego drżący palec wskazał na drzwi.

Wszyscy w pomieszczeniu zamarli, obserwując, jak jasne plamy rzucające przez żyrandol i reflektory stają się coraz mniejsze. Nie było wątpliwości, że nawet wewnątrz schronienia, zbyt słabe źródło światła nie będzie w stanie utrzymać Ciemni na zewnątrz. Gdy po chwili w pokoju zapanował półmrok, do Dzikiego powróciło wrażenie, że jest obserwowany. Zdążył już zauważyć, że to tajemnicze uczucie nawracało za każdym razem, gdy Ciemnia była w pobliżu. Na szczęście, mrok w pewnym momencie zatrzymał się. Najwidoczniej wciąż działających lamp było jeszcze dość, by to, co najgorsze pozostało za drzwiami.

Yuri spróbował się podnieść, ale Szop widząc co zamierza, wyciągnął w jego stronę rękę, krzycząc panicznie: — NIE! Jak pójdzie kolejne spięcie, zginie my. Leż i nawet nie drgnij! — zażądał.

Kolejne sekundy mijały jak godziny. Dziki miał wrażenie, że otaczający go ludzie przestali nawet oddychać. Pierwszy oparł rękę na broni, spoglądając ku szczytowi schodów prowadzących na piętro. Sytuacja była tam dużo gorsza, bo z góry ziała absolutna ciemność. Najwidoczniej po zwarciu nie ocalało tam żadne źródło światła.

Nim Dziki zdążył pomyśleć, że zaraz coś się tam pojawi, z piętra zaczęły dochodzić dziwne dźwięki. Przez moment wydawało się, że ktoś głośno odchrząkuje. Chwilę później usłyszeli wołanie — RATUNKU! POMOCY!

— To Łapka — wyszeptał Dziki, przelęknięty nerwowo ślinę i spoglądając na Pierwszego.

Ten skinął głową, dając jednocześnie znak, by pozostali zachowali ciszę. Powoli i ostrożnie zbliżył się do schodów, z bronią w pogotowiu. Nim jednak zdążył zrobić choćby krok na górę, ogromna ręka obleczona szorstką, popękaną skórą zsunęła się po stopniach w dół.

Wszyscy unieśli wzrok z przerażeniem, obserwując, jak Niewykształcony podciąga swoje cielsko do krawędzi piętra.

Dziki po raz pierwszy widział Łapkę z tak bliska i to w całej okazałości. Przypominała starą łysą kobietę z ogromnym nosem i jeszcze większymi uszami. Jej skóra brązowego koloru marszczyła się ogromnymi fałdami na plecach, a jej ręce były tak wielkie, że bez problemu mogłyby ścisnąć dorosłego człowieka.

Niewykształcony rozejrzał się małymi, prawie niewidocznymi oczami, skupiając się na zebranych. Następnie otworzył usta i zawołał — RATUNKU! POMOCY!

Słowa te nie były jednak artykułowane w ludzki sposób. Usta potwora nie poruszały się, a głos zdawał się dochodzić bezpośrednio z jego krtani. Po kolejnym zawołaniu, istota zaatakowała. Jej dolna część ciała pozostała na piętrze, podczas gdy górna wystrzeliła jak zabawka na sprężynie.

Yuri, widząc to, w panice poderwać się do góry, ale wtedy na kablach ponownie powstało zwarcie. Ostatnie ocalałe halogeny i żyrandol zgasiły w głośnym trzasku. Całe pomieszczenie oświetlał już tylko jeden kinkiet przy ścianie.

Dziki wypatrzył w półmroku, że Łapka dopadła do młodego tragarza i próbowała wciągnąć go na górę. Sznur, chcąc go ratować, złapał w ręce swoją strzelbę, ale nim zdążył przekreślić kurek od butli, kable zaiskrzyły po raz kolejny. Kinkiet zgasił.

— Suka! — zawołał Yuri, potykając się w ciemności o przedłużacze.

Mimo iż wewnątrz wypełnił mrok, to nie był on jeszcze tą charakterystyczną gęstą mgłą Ciemni. Dziki natychmiast chwycił za latarkę, a jej światło bez problemu sięgnęło w głąb pomieszczenia. Kierując wzrok na schody, dostrzegł, że Łapka zdążyła wciągnąć chłopaka na górę.

Kilka innych latarek zapaliło się jednocześnie, gdy nagle Zjawa krzyknęła — PATRZCIE!

Dziki spojrział w stronę, w którą wskazywała dziewczyna, dostrzegając jak przez szparę w futrynie zaczyna wpływać falami Ciemnia.

— Wszyscy na górę! — zawołał Sznur. — Tam jest awaryjny pokój ze światłem!

— I Łapka... — przypomniał Dziki.

— Nie ma czasu! — warknął Pierwszy i ruszył na schody, a reszta podążyła za nim.

Łapka zdążyła w tym czasie zaciągnąć młodego chłopaka w głąb korytarza i wgryźć się w jego wnętrzości. Gdy jednak zobaczyła kolejne potencjalne ofiary wbiegające na piętro, natychmiast zawołała — RATUNKU! POMOCY! — po czym zostawiając niedokończony posiłek, wystrzeliła swój korpus do przodu.

Zjawa, dostrzegając nadlatujące cielsko, błyskawicznie uskokczyła w bok. Potwór przeleciał przez miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała, ale tuż przed lądowaniem jego masywna łapa w ostatniej chwili pochwyciła nogę Szopa.

Ogromne, pokryte szorstką skórą ręce Niewykształconego wspięły się po ciele szamoczącego się handlarza niczym macki krakena, miażdżąc i krusząc wszystko na swojej drodze. Szop wrzeszczał, próbując się wyrwać, ale chwyt potwora był nienaturalnie mocny. Pazury bestii rozdarły jego kurtkę i wbiły się w bok, ściskając żebra z tak przerażającą siłą, że z płuc mężczyzny wydobył się tylko ostry gwizd.

— Yuri, pomóż mi... — wydusił z siebie ostatkiem sił, podczas gdy Łapka metodycznie wciskała w niego swoje palce.

Sznur, dobiegł w tym czasie do jedyne go pomieszczenia na piętrze, mającego jeszcze drzwi i zawołał: — Szybko! Tutaj!

Dziki i Zjawa natychmiast popędzili w jego stronę, ale Pierwszy zawahał się. Stał przez chwilę, obserwując, jak Yuri próbuje wyrzucić Szopa ze szponów Łapki. Jednak, gdy jego spojrzenie padło na martwego tragarza w rogu, pokręcił głową i ruszył w końcu za nimi.

W awaryjnym pokoju było praktycznie pusto, nie licząc niedziałających już halogenów i dziesiątek świec, rozstawionych w każdym możliwym miejscu.

— Zapalajcie! Zapalajcie, ile możecie! — wykrzyczał Sznur, biegnąc z zapalniczką od jednej strony pokoju do drugiej.

W tym samym czasie Pierwszy zatrzasnął drzwi, które, podobnie jak zewnętrzne, były pokryte jakimś rodzajem metalu. Pomieszczenie dość szybko zaczęło wypełniać się ciepłym blaskiem płomieni. Dziki pomyślał już nawet, że są w końcu bezpieczni, gdy nagle z korytarza dobiegło do nich wołanie Rosjanina — Otwieraj! PSIE! OTWIERAJ!

Nikt jednak nie zareagował na jego krzyki. Dziki, Zjawa i Sznur rozpalali kolejne świece, a Pierwszy wpatrywał się w klamkę, która szarpana opadała raz za razem. Yuri rozumiejąc, że nie mają zamiaru go wpuścić, podjął desperacką próbę dostania się do środka siłą.

— WOZMU WAS WSECH Z SOBOJ! — wykrzyczał, a drzwi zadrgały z głośnym hukiem, gdy próbował je wyważyć.

Nie było jednak szans, aby przebił się do środka. Już po chwili uderzenia ustały.

Dziki skończył właśnie zapalać ostatni pęk świec i spojrzał na Sznura.

— One wystarczą? — spytał, pamiętając, że na dole kilka halogenów miało już spory problem, by zapewnić im bezpieczeństwo.

— Póki się palą... — odparł mu Sznur, siadając na podłodze i wypuszczając ze świstem powietrze.

Wszyscy odetchnęli, ale Dziki poczuł w tym momencie złość, której nie był w stanie opanować.

— Po co się wtrąciłeś?! O mało nie zginęliśmy! — wrzasnął na Pierwszego. Ten zerwał maskę, patrząc na niego chłodno.

— I to mówi człowiek, który ciągle się narażał, bo chciał pomagać innym? Ten świat już tak bardzo cię zmienił? — spytał z wyrzutem.

— Pamiętasz, że przyszliśmy tu po Oli? — odparł natychmiast Dziki. — Wiesz, że dla mnie najważniejsze jest jej ocalenie?!

Pierwszy westchnął ciężko, opuszczając głowę.

— Pamiętam — stwierdził. — I pamiętam, że obiecałem ci w tym pomóc. Nigdy nie powiedziałem jednak, że wyrzeknę się przez to tego, kim jestem. A ty? Co ci przyniesie ocalenie Oli, jeśli stracisz przy tym samego siebie? — spytał nagle.

Dziki nie potrafił jednak go zrozumieć.

— Uratowanie Oli jest dla mnie najważniejsze — podkreślił, czując narastającą złość. — Nie pozwolę, żeby cokolwiek stało mi na drodze!

Pierwszy popatrzył na niego krytycznie i odpowiedział tym samym chłodnym głosem co wcześniej — Jeżeli myślisz, że jak ją uratujesz, odkupisz chociaż część swoich win, to się mylisz. Cel nie uświęca środków. Każda niewinna osoba, która zginie, gdy będziemy ją ratować, obciąży twoje sumienie dodatkowo...

— Nie obciąży! — przerwał mu Dziki. — Nie dbam o ludzi z Zarzecza! Sami na własne życzenie zrobili sobie tutaj społeczeństwo pogardy. Dla mnie ważna jest tylko Oli! — zawołał już naprawdę wściekły.

Pierwszy zamyślił się przez chwilę, po czym zacytował coś, od czego Dziakiemu prawie opadła szczeka.

— Nie dbam o ludzi ze Strefy Głodu, sami na własne życzenie tu siedzą. Dla mnie liczą się tylko Bracia... Brzmisz teraz dokładnie jak Daniel.

Dziki pokręcił głową zaskoczony.

— To nie jest tak! — zaprzeczył. — Ja chcę tylko uratować moją przyjaciółkę. Niewinną dziewczynę, która nie zasłużyła, by tu być... która cierpi, bo ja nie potrafiłem...

W tym momencie poczuł, jak łzy nabiegają mu do oczu. Osunął się plecami po ścianie, pogrążając się w rozpacz. Pierwszy przyklęknął przy nim, opierając mu rękę na ramieniu.

— Popelniles bład, którego konsekwencje już ponieśli ci, którzy nie zasłużyli — wyszeptał. — Nie pozwól, by kolejni ludzie cierpieli bez potrzeby... Dziki, w tym świecie zginęła z mojego powodu masa ludzi. Niektórzy wciąż mnie prześladowają, niektórzy wciąż wracają. Pamiętaj, nie jesteś jedynym Dziakiem na świecie, który pragnie uratować swoją Oli... Zrób wszystko, co w twojej mocy, by ratując jedną Oli, kto inny nie stracił szansy ocalenia drugiej...

Dziki skrył twarz w dłoniach. To wszystko go przerastało. Tego już było zbyt wiele...

Ciemnia trwała jeszcze przez kolejne pół godziny. Gdy zaczęło ustępować, pierwsze co zauważyli to, że dopalające się świece nagle wypełniły pomieszczenie mocniejszym niż dotychczas blaskiem. Wcześniej były one wyraźnie stłumione. Najwidoczniej nawet nie dostając się bezpośrednio do pomieszczenia, tajemnicze zjawisko, ograniczało możliwość rozprzestrzeniania się światła.

Pierwszy siedzący przy wejściu, spojrzał w stronę klamki, biorąc głęboki wdech.

— Na korytarzu wciąż czeka Łapka — westchnął, wyraźnie zmęczony. — Poczekajcie tu. Ja się jej pozbędę...

— Jesteś pewien? — spytała Zjawa, podnosząc się z miejsca. — Ja też mogę. Wiesz, że łatwiej mi rozkręcić Wolę...

— Wiem... — odparł jej Pierwszy. — Ale to nie będzie potrzebne... — dodał i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi.

Z głębi korytarza prawie natychmiast dobiegło wołanie — RATUNKU! POMOCY!

Mężczyzna wyślizgnął się z pokoju, a zaraz potem padło kilka strzałów. Dźwięk opadającego ciężkiego cielska zwiastował, że zagrożenie zostało błyskawicznie zażegnane.

Nie widząc powodów, by dłużej zwlekać, Dziki wyszedł na korytarz. Tam dostrzegł na podłodze kilka plam krwi i truchło Niewykształconego. Po ciałach Szopa i jego tragarza nie było śladu. Ponieważ Łapki pożerały swoje ofiary w całości, a ta miała podczas trwającej Ciemni sporo czasu na posiłek, nie zaskoczyło go to w żaden sposób.

— Myślisz, że ten Rusek mógł przeżyć? — spytała Zjawa dochodząc do Pierwszego i spoglądając z obrzydzeniem na martwego potwora.

— Jakąś szansę zawsze miał — odpowiedział mężczyzna. — Jeśli nie, to pewnie jest w jej brzuchu... — dodał, wskazując na ciało Łapki.

Sznur, który opuścił pokój jako ostatni, zaczął z zalem oglądać schronienie. Nietrudno było zauważyć, że jego stan nim wstrząsnął.

— Wszystko spalone... Nawet nie wiem, czy to naprawiać... Może po prostu zbuduję w pobliżu inne... — mruknął pod nosem, przyglądając się okablowaniu, które zostawiło zwęglone ślady na murach.

Pierwszy podszedł do niego i z wyraźnym wstydem, powiedział — Przepraszam... Nie chciałem przysporzyć ci pracy ani kłopotów.

Wyraźnie zaskoczony Sznur zrobił minę, jakby nigdy wcześniej nie słyszał, by ktokolwiek zwracał się do niego w taki sposób.

— Nie musisz się przejmować, Czarny — stwierdził pewnie. — Taka jest moja praca, taki jest mój obowiązek. Drzwi mają być otwarte, a schronienia mają służyć wszystkim... — spoglądając jednak na Łapkę, dodał: — Chyba, że nie są ludźmi...

Dziki zignorował ich rozmowę, zastanawiając się teraz, co dalej. Czy wrócić do samochodu Sznura, żeby spróbować go naprawić? Czy może Pierwszy postanowi, że dalszą drogę pokonają na piechotę? Szpital nie był już w sumie daleko, ale jeśli kolejna Ciemnia mogła nadejść w każdej chwili, zdecydowanie lepiej byłoby tam dojechać. Nim zdążył jednak spytać, jego kompan sam podjął ten temat.

— Sznur, ile ci zajmie naprawa samochodu? To poważna usterka? Wiesz, co to mogło być? — dopytywał.

Opiekun schronień podrapał się po głowie i stwierdził: — Chyba wiem... raczej szybko to poprawię. — po chwili zastanowienia dodał też, ku uciesze Dzikiego: — Mogę was potem podwieźć dalej. Taka była przecież umowa!

Zbierając swoje rzeczy, wyszli wreszcie na zewnątrz zostawiając za sobą ruiny schronienia. Jak się okazało pancerniak stał tylko trzysta metrów od nich.

Po dotarciu do niego, Sznur od razu otworzył maskę i bez chwili zastanowienia zlokalizował luźny przewód. Usterka, która unieruchomiła ich w czasie Ciemni, musiała być więc powracającym problemem.

— Nie możesz tego poprawić tak, żeby więcej nie wypadło? — spytał zdziwiony Pierwszy, dostrzegając teraz, że problem był właściwie błahy.

— Lepiej się już nie da — odparł Sznur. — Mój pancerniak jest po tylu przeróbkach, że jak coś próbujesz poprawić, psujesz co innego...

Po naprawie pancerniaka dalsza część drogi upłynęła im wyjątkowo spokojnie. Zamknięci za stalowymi blachami pojazdu, byli chronieni zarówno przed ludźmi, jak i Niewykształconymi. Co więcej, kiedy Sznur nie musiał szarżować autem, udawało mu się całkiem dobrze utrzymywać je na równej drodze, więc nawet bez siedzeń dało się jechać w miarę komfortowo.

Niestety, ich podróż skończyła się znacznie szybciej niż by tego chcieli. Już po kwadransie przed nimi zaczął wyrastać budynek szpitala powiatowego.

— Nie wolno mi bez potrzeby przyjeżdżać do osad — wyjaśnił Sznur, gdy byli już o rzut beretem od celu podróży. — A dla was też nie byłoby dobrze, gdyby zobaczyli, że spoufalacie się ze mną... — dodał, dając im do zrozumienia, że o podwózce pod same drzwi nie było mowy.

Dziki miał cichą nadzieję, że Pierwszy spróbuje jeszcze przekonać mężczyznę, by ten zabrał ich dalej. Jednak, gdy zatrzymali się w bocznej alejce, jego towarzysz bez słowa wysiadł z pancerniaka. Zjawa podążyła zaraz za nim, zostawiając Dzikiego samego z narastającymi wątpliwościami. Nie miał nic wartościowego, co mógłby zaoferować Sznurowi w zamian za dalszą podróż. Próba odebrania pojazdu siłą nie tylko byłaby bardzo ryzykowna, ale też ostatecznie przekreśliłaby pomoc ze strony Pierwszego. Bez niego uratowanie Oli było właściwie niemożliwe.

Zrezygnowany, Dziki w końcu poddał się i również opuścił pancerniak. Na zewnątrz zauważył jednak, że Pierwszy przystanął jeszcze na chwilę, by porozmawiać ze Sznurem. Może się mylił? Może była jeszcze nadzieja i mężczyzna chciał zawrzeć kolejną umowę?

Niestety, okazało się, że chodziło mu o coś zupełnie innego.

— Twój rewolwer przepadł razem z tym cholernym handlarzem. Dam ci w zamian coś innego... — zaproponował Sznurowi.

Ten pokręcił jednak głową. — Wstawiłeś się za mną, to wystarczy. Naraziłeś się dla mnie, to więcej niż trzeba — odparł. — Żałuję, że nie mogę was zawieźć dalej. Mam nadzieję, że uda wam się odnaleźć tę, której szukacie.

Opiekun schronień wrzucił bieg, chcąc ruszać dalej, ale Pierwszy zatrzymał go jeszcze przez chwilę.

— Posłuchaj... — zaczął nerwowym głosem. — Gdy będziemy wracali, mogę zabrać cię do Raju. Nie musisz tu zostawać. Powiem ci, gdzie się ukryć po tamtej stronie, tak żeby Zwiadowcy cię nie znaleźli...

Dziki, słysząc to, poczuł spore zdziwienie. Potem jednak przypomniał sobie, że pomoc, którą zaoferował mu Pierwszy, gdy dotknął go Delimer, była równie spontaniczna i niespodziewana.

Sznur wysłuchał propozycji, ale wyraźnie nie był nią zainteresowany.

— Schronienia są potrzebne nie tylko Zwiadowcom i starym mieszkańcom — stwierdził stanowczo. — Gdy mrok nadchodzi, Nowoprzybyli również muszą mieć gdzie się ukryć. Drzwi muszą być zawsze otwarte, a ja muszę tego pilnować — dodał z nieukrywaną dumą. — Poza tym Czarny, tu nie ma tylko złych ludzi. Dla pomagania tym dobrym warto tu być...

Pierwszy spojrzał na niego przez wizjery maski, wzdychając ciężko. — Czuję, że się nie zgodzisz. Nie dałoby mi jednak spokoju, gdybym nie zaproponował.

— Może jesteś dobrym człowiekiem — stwierdził Sznur z lekkim uśmiechem.

— Zdecydowanie nie jestem — odparł Pierwszy z nutą goryczy.

Mężczyźni pożegnali się, mocno ściskając dłonie. Sznur odjechał, pozostawiając ich samych na drodze.



Rozdział IV

Miasto Przychodnia

Szpital powiatowy w Krańcowie od momentu swojego powstania dominował niepodzielnie nad niską panoramą Zarzecza. Placówka ta była uznawana w Starym Świecie za unikatową, ponieważ mimo iż znajdowała się pod administracją państwową, wyróżniała się dość nowoczesnym wyposażeniem i wysokim standardem opieki.

Dziki wiedział natomiast, że to, co pamiętał z czasów przed Błyskiem, nie będzie tożsame z tym, co zastanie tu obecnie. Jego przewidywania potwierdziły się, gdy tylko zbliżyli się do placówki.

Teren dawnego parkingu zajmowały teraz nie samochody, lecz ogromne ciepłarnie, w których pracowały istne chmary ludzi. Każdy z tych szklanych molochów połączony był siecią rur prowadzących aż do kotłowni przyszpitalnej. Sama kotłownia, otoczona hałdami węgla, stykała się bezpośrednio z dawnym oddziałem SOR, którego szklane drzwi zamieniono obecnie na potężne, pancerne wrota.

Zabezpieczenia nie ograniczały się jednak tylko do dawnego oddziału ratunkowego. W całym szpitalu jedynie pojedyncze okna wciąż posiadały szyby. Większość framug była zabita deskami lub zakryta metalowymi arkuszami. Dodatkowo, cały ten teren patrolowali strażnicy, którzy, oprócz prowizorycznej broni, nosili również stroje dawnych ratowników medycznych i ręcznie robione pancerze.

Zjawą, obserwując wyrastające przed nimi konstrukcje, pokręciła głową, a jej mina zdradzała, że nie dowierza własnym oczom.

— Co to, do cholery, jest? — spytała, spoglądając na Pierwszego.

— To drugie co do wielkości miasto na Zarzeczu — odpowiedział jej mężczyzna, sugerując przy okazji, że po tej stronie Krańcowa istnieje gdzieś jeszcze większa osada.

Zaskoczenie dziewczyny na widok szpitala nie było odosobnione. Dziki patrząc na to miejsce, poczuł się przytłoczony. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy w Nowym Świecie większe skupisko ludzi niż to, które widział w Strefie Głodu. To miejsce przerastało jednak królestwo Daniela pod każdym możliwym względem.

Zapewne dostrzegając ich zdziwienie, Pierwszy, choć nie zapytany, podjął się wytłumaczenia takiego stanu rzeczy: — Tutaj trafia większość Nowoprzybyłych — wyszeptał, gdy byli już tylko kilka metrów od najbliższej cieplarni. — Szpital znajduje się niedaleko cmentarza komunalnego przy ulicy Batalionu. Po tej stronie, tam właśnie wyrzuca ludzi w trakcie Błysku.

Dla Dzikiego nie było to jednak w pełni satysfakcjonujące wyjaśnienie. Nawet jeśli szpital, w odróżnieniu od Wspólnoty czy Armii Daniela, zbierał wszystkich możliwych Nowoprzybyłych, to i tak masa ludzi wydawała mu się zbyt duża.

— Nie wydaje mi się, że na Zarzeczu mieszkało przed Błyskiem tyle osób — zauważył, zastanawiając się, czy jego kompan będzie miał również w tej sprawie jakąś teorię.

Pierwszy przystanął na chwilę, a jego spojrzenie obieгло pobliskie szklarnie, skupiając się zwłaszcza na robotnikach.

— A mi nie wydaje się żeby to byli wyłącznie ludzie z Zarzecza — odpowiedział w końcu, wyraźnie zmieszany. — Słyszałem, że po tej stronie rzeki Strefa Zamarcia sięga daleko poza granice Krańcową sprzed Błysku. To w sumie dość logiczne, bo inaczej nie byłoby możliwe, aby populacja była tutaj tak liczna.

Dziki musiał się z tym zgodzić. Była to jedyna sensowna teoria, wyjaśniająca tak znaczną populację pierwszej napotkanej osady Zarzecza, przekraczającej ilość mieszkańców całej Wspólnoty, Armii Daniela i pewnie nawet Sojuszu Bloków razem wziętych.

Widok takiej rzeszy osób sprawił jednak, że Dzikie ponownie poczuł niepokój dotyczący wyniku potencjalnej konfrontacji tutejszych mieszkańców z Centrum. Jeśli Zarzecze miało tak ogromną przewagę liczebną, wynik starcia wydawał mu się niestety z góry przesądzony. Jego obawy rozwiały się odrobinę, gdy przeszli w końcu obok jednej z cieplarni. Przez pokryte szybami ściany zobaczył gromady wychudzonych i słabych robotników, przypominających Cherlaków ze Strefy Głodu. Wszyscy byli wycieńczeni mozolną pracą przy uprawie mizernych roślin, a po ich twarzach widać było, że marzą o chwili odpoczynku. Żaden z nich nie wydawał się być materiałem na żołnierza zdolnego do walki o Centrum.

Nagle w nozdrza Dzikiego uderzył niewyobrażalny wręcz fetor. Zjawą również musiała go poczuć, bo zasłoniła sobie twarz chustą, którą nosiła na szyi. Z początku przyspieszyła kroku, chcąc zapewne jak najszybciej wydostać się z jego zasięgu. Gdy jednak zobaczyła skrzynię pełną pomidorów, zatrzymała się przy niej zdębiała, ignorując wciąż duszący smród.

— Wcześniej myślałam, że w Nowym Świecie nic takiego nie rośnie... — wyszeptwała do Pierwszego, bo byli już zbyt blisko mieszkańców Zarzecza, aby mogli rozmawiać swobodnie. — Z tego, co pamiętam, to we Wspólnocie te całe ogródki chyba nie bardzo im wypaliły...

Mężczyzna przystanął obok niej, również przyglądając się skrzyniom pełnym warzyw.

— Nasza codzienna „szarość” ma w sobie dość dużo światła, by rośliny wzrastały — wyjaśnił. — Problemem jest temperatura. Dni w Nowym Świecie są chłodne, a noce po prostu zimne. Szklarnie, które dodatkowo dogrzewają, rozwiązują w dużej mierze ten problem.

Dziki przyglądał się teraz wszystkiemu, co ich otaczało, z pewnym wstydliwym podziwem. Zdecydowanie wolałby, żeby tak nie było, ale tutejsza infrastruktura była dobrze przemyślana i musiała powstawać latami. Nie mógł uwierzyć, że ktoś w warunkach Nowego Świata był zdolny do takiej rozbudowy. Tym bardziej, że przecież reset szpitala mógł zniweczyć całą tę pracę w ledwie kilka chwil.

— Ten szpital się nie odnawia? — spytała Zjawa, dzieląc chyba te same domysły. — Mają tu jakiś sposób, by tego uniknąć?

Pierwszy pokręcił głową, cierpliwie tłumacząc: — Nie chodzi o to, że mają jakiś własny sposób. Po prostu oprócz Prawa Trzech istnieje jeszcze jedna zasada dotycząca grupowania się ludzi. Im więcej osób znajduje się w danym miejscu, tym mniejsza szansa, że obiekt ulegnie resetowi. Miasto Przychodnia ma tylu mieszkańców, że odnowienie się szpitala jest praktycznie niemożliwe.

— H—market i Gorgor się resetują... — zaprotestował Dziki, przypominając sobie problemy, jakie Armia Daniela miała z zabezpieczaniem swoich głównych struktur.

Pierwszy miał jednak gotowe wyjaśnienie również na to: — Obrońcy tam nie mieszkają, tylko patrolują jego obrzeża. A w momencie Błysku, nikt nie zostaje w środku. Podobnie jest z Gorgorem. Daniel mógłby powstrzymać resetowanie, gdyby zgromadził tam więcej osób, ale po co? — spytał retorycznie. — Przecież odnowienie się tego miejsca zapewnia mu broń i zapasy.

Ich dywagacje na temat praw Nowego Świata przerwał strażnik, który jak znikąd pojawił się przy skrzyniach. Jego wymowne spojrzenie dało im do zrozumienia, że takie stanie przy zbiorach robi się podejrzanym, dlatego nie chcąc go prowokować, ruszyli dalej.

Dziki zauważył teraz, że Pierwszy ewidentnie prowadził ich do wejścia na teren miasta. To mocno go zdziwiło, bo przecież wiedzieli już, że Oli w nim nie ma.

— Po co właściwie tu idziemy? — spytał, chcąc dowiedzieć się czy krył się za tym jakiś głębszy plan. — Sznur powiedział, że widział Oli w Sadzie Wileńskim, a on jest już chyba gdzieś dalej... Nie?

Pierwszy pochylił się natychmiast w jego stronę i szeptem wytłumaczył: — Spróbuję zorganizować nam transport do Sadu, a może nawet do Magistratu.

Dziki słysząc to, poczuł niewyobrażalną ulgę. Nie bardzo wiedział, jaki pomysł miał jego kompan na załatwienie im kolejnej podwózki, ale jeśli by się to powiodło, ich akcja ratunkowa ponownie by przyspieszyła.

Po krótkiej przechadzce między szklarniami dotarli w końcu do dawnego oddziału ratunkowego, który pełnił obecnie funkcję głównego wejścia do miasta. Na parkingu tuż obok opancerzonych drzwi stały karetki, zabudowane w podobny sposób co SUV Sznura.

Przechodząc przez próg do dawnego budynku rejestracji, natrafili na coś, co wyglądało na punkt kontroli dla przybywających do miasta. Przy drewnianym biurku, stojącym tu jeszcze w czasach Starego Świata, siedział mężczyzna w towarzystwie dwóch strażników.

Dzkiego po raz kolejny zaskoczyło mizerne uzbrojenie tutejszych obrońców. Przebywając w Centrum, przywykł już do widoku ludzi w pełnych mundurach, z karabinami i sprzętem wojskowym. Na Zarzeczcu niewiele osób zdawało się mieć „fabryczną” broń, nie mówiąc o innym wojskowym wyposażeniu. Wartownicy mieli jedynie maczety i ubrani byli jak zwykli ratownicy medyczni. Siedzący tu urzędnik trzymał zaś na blacie samoróbkę pistoletu. Jego broń została skonstruowana na podobnej zasadzie co strzelba Sznura, z tą różnicą, że była dużo mniejsza i miała tylko jeden zbiornik na gaz.

Urzędnik, słysząc jak wchodzi do pomieszczenia, nie podniósł nawet wzroku znad kartki.

— Przynależność, rok i cel wizyty? — zapytał monotonnym, znużonym głosem.

— Czarny, rok siódmy. — powiedział Pierwszy. — Zjawia i Dziki, rok szósty. Zwiadowcy z Magistratu. — dodał, przedstawiając towarzyszy. — Szukamy transportu, by szybciej wrócić do siebie i zdać raport Smutnemu.

Mężczyzna przy biurku, słysząc, za kogo podają się przybysze, podniósł głowę, przyglądając się im bardzo uważnie.

— Dawno wróciliście? — spytał, przerywając na chwilę wypełnianie jakiegoś formularza.

— Wczoraj — odparł Pierwszy. — Ale zanim doszliśmy tutaj, Ciemnia przyblokowała nas dwa razy. Chowaliśmy się w schronieniach na krótszym szlaku.

Urzędnik spoglądał na nich jeszcze przez chwilę, najdłużej zatrzymując wzrok na Zjawie. Najwidoczniej uwierzył jednak w kłamstwo Pierwszego, bo wrócił do wypełniania papierów, zagadując ich teraz bardziej swobodnie: — Ostatnio przymusowych postojów wszyscy mamy znacznie więcej — stwierdził z żalem, podbijając jakiś dokument swoją pieczęcią. — Jakby ten świat domyślał się, że chcemy z niego wszyscy spierdolić i postanowił nam w zamian na koniec dopierdolić — skwitował, podając im jednocześnie trzy wypełnione blankiety. — Zajrzyjcie koniecznie do stołówek! Dzisiaj są placki ziemniaczane — dodał i zaprosił ich gestem w stronę drzwi prowadzących do głównego holu.

Pierwszy podziękował mu skinieniem głowy i rozdał dokumenty Dzikiemu i Zjawie. Gdy odeszli już na tyle daleko, by strażnicy przy wejściu ich nie

słyszeli, zaczął im tłumaczyć, o co chodzi z przepustkami: — Trzymajcie je na widoku i okazujcie za każdym razem, gdy ktoś poprosi. Jesteśmy wpisani jako Zwiadowcy, więc nikt nie powinien was męczyć...

Dziki przyjrzał się dokumentowi, na którym widniała jego ksywa oraz pieczętka SOR jeszcze ze Starego Świata. To wszystko wydawało się wręcz irracjonalne. Dlaczego nikt ich tak naprawdę nie sprawdzał? Dlaczego każdy od tak wierzył im na słowo? I chociaż powinien się z tego cieszyć, a nie marudzić, musiał spytać: — Mówisz wszystkim, że jesteś Zwiadowcą i każdy przyjmuje to za pewnik. Jakim cudem? — wyszeptał w stronę Pierwszego.

Mężczyzna zatrzymał się na chwilę, rozglądając się, czy nikt ich nie podsłuchuje. Gdy upewnił się, że są bezpieczni, odpowiedział: — Nosimy broń, mundury, mnóstwo rzeczy, które można znaleźć tylko po tamtej stronie. Tu nikt nie bierze pod uwagę, że ktoś od nas będzie w stanie przedostać się przez rzekę i przeżyć. Poza tym jest z nami kobieta, która nosi broń. Takie znajdziesz już tylko pracujące w Magistracie.

— O co im chodzi z kobietami — wtrąciła Zjawa, zapewne czując, że jej płeć jest tutaj jakoś szczególnie traktowana.

— O nic... — odparł Pierwszy. — Po prostu przeżyło tu ich tak mało, że albo są kimś ważnym, albo pracują jako... — tu zrobił chwilę przerwy, szukając odpowiedniego słowa. — Zabawki — rzucił w końcu lakonicznie. — Zabawce nikt nie dałby przecież broni, więc musisz być kimś ważnym... — dodał dyplomatycznie.

Dzikiego zamurowało, bo dopiero po słowach kompana uświadomił sobie, że gdy przechodzili przez szklarnie, nie widział przy pracy żadnej kobiety. Pomijając już to, że po raz kolejny poczuł, że Oli nie mogła się znaleźć w gorszym miejscu, teraz jeszcze co innego przyszło mu do głowy.

— Zaraz — wtrącił. — Przecież ty i Smutny przedostaliście się przez rzekę. Dlaczego uważają, że nikt od nas do nich nie przejdzie?

Pierwszy gestem dał mu do zrozumienia, by nieco zszedł z tonu, gdy mówi o takich rzeczach, a potem wyjaśnił: — Bo o tym, że byliśmy z Centrum, wiedzą tylko Zwiadowcy i ważniejsi członkowie Magistratu. To spotkania z nimi musimy się obawiać.

Zjawa, podlapując ten temat, spytała nerwowo: — A co będzie, jak ich spotkamy?

— Kto wie... — odetchnął ciężko Pierwszy. — Ale chyba braliście pod uwagę, że będziemy musieli wywalczyć sobie drogę ucieczki?

Po tym niezbyt optymistycznym stwierdzeniu poprowadził ich dalej w głąb miasta.

W korytarzu przy dawnej rejestracji natrafili na koczowisko namiotów i szałasów. Te rozłożone bezpośrednio na podłodze stanowiły coś w rodzaju tutejszych kwater. Z niektórych dochodziły przyciszone rozmo-

wy. Naprzeciwko dużego pomarańczowego namiotu, mężczyzna gotował ziemniaki na butli turystycznej.

Podobny widok towarzyszył im praktycznie przez całą drogę do głównej poczekalni. Mijane przez nich po drodze sale i gabinety lekarskie zajęte były w większości przez różnego rodzaju handlarzy i usługodawców. W jednym z pomieszczeń Dzik zauważył nawet fryzjera, przycinającego nożyczkami włosy jakiegoś młodego chłopaka.

Zjawa miała spore trudności, by ukryć podziw, jaki wzbudził w niej ten widok. Po postrzępionych włosach, Dziakiemu nietrudno było zgadnąć, że od dawna obcinała je i farbowała sobie sama.

— Bliżej temu do cywilizacji niż Wspólnocie... — skwitowała dziewczyna z wyraźną tęsknotą, oglądając końcówki własnych włosów z wyraźnym zawodem.

— Istnieją dużo dłużej, mieli więc czas na rozbudowę — wyjaśnił Pierwszy. — Poza tym, warunki na Zarzeczu wręcz wymuszały współpracę między ludźmi. W Centrum Prawo Trzech przekreślało przez większość czasu, próby tworzenia jakiegokolwiek dużej społeczności.

Po kilku minutach spaceru korytarzami dotarli w końcu do głównej poczekalni. Tutaj swoje stoiska mieli mniejsi handlarze, których zapewne nie było stać na posiadanie własnego lokalu. Przed ich oczami pojawiła się też pierwsza jadalnia, której kuchnia zajmowała dawną stróżówkę ochrony. Miejsce nosiło dość przyjemną nazwę „Mamunia”.

Pierwszy poprowadził ich do stolika, wyciągniętego zapewne z dawnej szpitalnej świetlicy. Gdy rozsiedli się na niewygodnych „poczekalnio- wych” krzesłach, ku ich zaskoczeniu obsłużyć przyszła ich tak niespotykana tutaj kobieta.

— Co dla was kochaniutcy? — spytała z ciepłym uśmiechem, dość przy- sadzista starsza kelnerka.

— Dwa razy placki ziemniaczane — zamówił od razu Pierwszy. — Tylko, że nie mam waluty — przyznał po chwili. — Może być wymiana towarowa?

Kobieta westchnęła, nachylając się bez przekonania nad ich stolikiem. — Zależy, co dla mnie masz, skarbie...

Pierwszy wypiął swój magazynek i wyciągnął z niego kilka nabo- i. Oczy kelnerki zaświeciły się chciwie na ich widok. Praktycznie bez słowa złapała amunicję i ruszyła w stronę kuchni.

— Sądząc po jej minie, sporo przepłaciłeś... — wtrąciła Zjawa z przekąsem, patrząc na Pierwszego jak na ostatniego naiwniaka.

Ten wzruszył ramionami, a Dzik poczuł, że znowu ogarnia go nie- powstrzymana frustracja. Mieli tutaj zdobyć transport, a nie stołować się po knajpach. Nie dość, że co chwila wstrzymywała ich Ciemnia, to jeszcze robili kolejny niepotrzebny postój.

— Naprawdę? Wstąpiłeś sobie tutaj na jedzenie? — prychnął, lypiąc spode łba na Pierwszego. — Pamiętasz, że Oli...

Mężczyzna przerwał mu jednak, uderzając pięścią w stół.

— Muszę iść porozmawiać z Szefem Ochrony, bo tylko on może wydać pozwolenie na ewentualne przewiezienie nas! — fuknął, ścisząc potem mocno głos, bo kilka osób przyjrzało im się z zaciekawieniem. — Z tego, co wiem, to dawny oficer śledczy. Więc nie zabiorę was ze sobą, bo dziewczyna w Zwiadowcach wzbudzi ciekawość i sprowokuje pytania, a ty ze swoim obecnym temperamentem zdemaskowałbyś nas w pięć minut. Dlatego poczekajcie tutaj! — wyszeptał wzburzony. — A jak będziecie grzecznie jeść, mniejsza szansa, że ktoś was przypadkowo zaczepi i wda się w dyskusję, która może nas zdradzić — podsumował, wyjaśniając, czemu właściwie się tu zatrzymali. — To już nie jest dwóch handlarzy w schronieniu, których w ostateczności moglibyśmy uwięzić albo zabić. Jesteśmy w mieście, które ma swoją policję i wiernych obywateli. Mieście, które w pięć minut obróci się przeciwko nam, jeśli ktoś będzie miał chociaż podejrzenia, że nie jesteśmy tymi, za kogo się podajemy...

Dziki po tym jak Pierwszy doprowadził go do pionu, popatrzył na Zjawę licząc, że może chociaż ona zrozumie jego zachowanie. Niestety ta również obdarzyła go teraz cierpkim spojrzeniem. Uznał więc, że zdecydowanie przesadził i spuścił głowę zawstydzony.

— Przepraszam... — burknął pod nosem. — Po prostu ciągle sprawiasz takie wrażenie, jakby nie obchodziło cię to, co stanie się z Oli. Dlatego irytuje mnie, kiedy nie wiem, co mamy robić dalej.

Pierwszy spojrzał teraz na niego, z jakąś dziwną surowością wypisaną na twarzy.

— Nie muszę robić z siebie męczennika i co chwila się samobiczować, żeby wyrazić, jak bardzo mi szkoda tej dziewczyny — rzucił obrażony. — Nie muszę użalać się nad jej losem co pięć minut, by wiedzieć, co mam robić albo jakie jest moje zadanie. Powiedziałem, że pomogę ci uratować Oli i to robię przez cały czas. Więc w końcu przestań poddawać w wątpliwość to, jak to zaplanowałem. Czekać na jedzenie i nie ruszajcie się stąd, dopóki nie wrócę.

Po tych słowach mężczyzna podniósł się i zostawił ich samych.

Gdy tylko się oddalił, Zjawą skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na Dzikiego z irytacją wypisaną na twarzy.

— Naprawdę, przestań tak na niego ciągle wskakiwać! — wyrzuciła mu dosadnie. — Zobacz, pod jaką presją on się znajduje. Nie dość, że musi utrzymać ciebie przy życiu, to jeszcze sam musi rozplanować całą tę podróż. Wiesz coś o tym miejscu? Poradziłbyś sobie tu bez niego? Dlaczego więc, zamiast być mu wdzięcznym za to, że tu z tobą jest, ciągle robisz mu jakieś dziwne wyrzuty?

Dziki westchnął. Być może to on najbardziej martwił się o Oli, ale zarówno Pierwszy, jak i Zjawa przyszli mu tu pomóc, mimo że nie mieli ku temu żadnego powodu. Przy okazji ciągle znosili jego emocjonalne rozchwianie.

— Przepraszam... — powiedział ponownie, bardzo mocno już zawstydzony. Zjawa słysząc to, wyróciła oczami.

— Nie przepraszaj mnie, tylko jego — doradziła. — A najlepiej pohamuj trochę nerwy. Wszyscy już wiemy, że żałujesz tego, co się stało, i zrobisz wszystko, by pomóc tej dziewczynie... Tylko, do cholery, zacznij ogarniać swoje wybuchy, bo zachowujesz się naprawdę jak dzieciak.

Dziki przyjął dalszą część reprimendy w skruszonym milczeniu, a do ich stolika wróciła po chwili kelnerka, kładąc przed nimi pełne talerze.

— Wasze placki i mały prezent od firmy, za hojność waszego przyjaciela — dodała, stawiając obok zamówionych dań, dwie duże szklanki soku.

Zjawa podniosła zaciekawiona swoją porcję i złapała z niej mały łyk, a zaraz potem wypila go duszkiem.

— Boże! To nie jest z kartonu. — zawołała, prawie oblizując szklankę. — Wyciskany!

Kelnerka uśmiechnęła się, widząc, że sprawiła jej tym drobnym gestem, wyraźną przyjemność.

— Nie ma tego u nas dużo... — rzuciła z żalem. — Większość handlarzy woli przywozić z Sadu alkohol niż jabłka — podkreśliła, sugerując w ten sposób, że ów napój był tutaj rarytasem. — Niemniej mam trochę układów, więc dla takich miłych klientów jak wy, zawsze się coś znajdzie.

Dziki nabral już powietrza, chcąc zapytać, jak daleko jest ten Sad, ale ugryzł się w język. Przecież Zwiadowcy powinni doskonale wiedzieć takie rzeczy. W ten sposób niemalże zdemaskował się przed Szopem.

By odwrócić uwagę od jego dziwnego zatkania, albo po prostu z ciekawości, Zjawa zagadnęła do jak mogli się już domyślić, właścicielki lokalu: — Powiedz, długo prowadzisz to miejsce?

Kobieta wzniosła oczy zastanawiając się chwilę nad odpowiedzią.

— W Przychodni to będzie trzeci rok. — zdradziła w końcu. — Wcześniej miałam jadalnię w Meblowcu. Oczywiście zanim został zniszczony. Tam było jednak zdecydowanie lepiej. Wtedy jeszcze biegł przez niego bezpieczny szlak. Mnóstwo handlarzy wpadało przeczekać Ciemnię, a ja miałam dostęp do naprawdę ogromnej puli towarów. Nawet do mięsa... — opisała z wyraźną tęsknotą, wspominając swoje dawne dzieje. — Tutaj są tylko ziemniaki i pomidory. Jak już uda się dostać smalec zamiast oleju, to prawie płacze ze szczęścia... — podsumowała gorzko.

— Prowadzisz to wszystko sama? — dopytał Dziki, pamiętając, że kobiety miały być po tej stronie miasta wyłącznie ważnymi figurami (albo czymś, o czym nie chciał teraz myśleć).

Zgodnie z jego przypuszczeniami, właścicielka machnęła rozbawiona ręką.

— A skąd! — zawołała. — Z mężami! Tomek jest kucharzem, a Grześ ma kontakty handlowe na rynku, więc zaopatruje naszą spiżarnię.

Zjawa, ewidentnie zmieszana potencjalną bigamią na Zarzeczu, dopytała półżartem: — Tylko dwóch powiadasz?

Najwidoczniej chciała się upewnić, że nie była to tylko przenośnia, związana z zażyłością, jaką kobieta obdarzała swoich pracowników. Odpowiedź właścicielki nie pozostawiała jednak wątpliwości.

— Byłby jeszcze trzeci, ale biednego Igora pożarły Wijce. Szkoda, przystojny był z niego facet — westchnęła rozmarzona. — A ty? Ilu masz narzeczonych? — spytała, zerkając zazdrośnie na Zjawę. — Taka młoda dama jak ty pewnie ciągnie za sobą niezły harem...

Weteranka, wpadając w zakłopotanie, odpowiedziała, wyraźnie blednąc na twarzy: — W tym momencie jeszcze nikogo...

— Jak to? — spytała zszokowana kobieta. — W tym Magistracie są ślepi? Dziwię się w ogóle, że ktoś pozwolił dziewczynie marnować się jako Zwiadowcy...

Dziki poczuł, że w tej rozmowie zaszli już za daleko. Nie znali Zarzecza tak dobrze, jak Pierwszy i przez to łatwiej mogli się zdemaskować, nawet w rozmowie o „niczym”. Co gorsza, Zjawa, która jak do tej pory popisowo wręcz odgrywała rolę Zwiadowcy, teraz zaczęła tłumaczyć się wyjątkowo nieporadnie.

— Mam mniej czasu na amory niż myślisz — stwierdziła nerwowo. — Wszyscy, którzy potrafią przejść przez rzekę, są eksploatowani do granic możliwości...

Na szczęście dla nich, z głośników w holu rozległ się nagle alarm, który momentalnie odwrócił uwagę właścicielki lokalu.

— **UWAGA! UWAGA! ZBLIŻA SIĘ CIEMNIA! WSZYSCY ROBOTNICY Z POWROTEM DO SCHRONIEŃ! UWAGA! UWAGA! ZBLIŻA SIĘ CIEMNIA! WSZYSCY ROBOTNICY Z POWROTEM DO SCHRONIEŃ! DRZWI ZOSTANĄ ZAMKNIĘTE ZA 7 MINUT.**

Kobieta słysząc to, westchnęła ciężko i zmieniła natychmiast temat: — Boże, znowu... nie odpuszcza nam w tym tygodniu.

— Nie było nas jakiś czas. Jest gorzej? — wtrącił Dziki, ciekawy, jak często jeszcze ich podróż zostanie przymusowo przerwana. Był też przekonany, że takie pytanie nie będzie w żaden sposób podejrzane.

— Nie przypominam sobie ostatnio dnia bez ciemnienia — stwierdziła właścicielka lokalu. — A przecież były już takie momenty, gdy wydawało się, że nie wróci. Od kiedy zaczęliście przechodzić regularnie na tamtą stronę, jakby się pogorszyło... — potem, zabierając puste szklanki, dodała: — Gdybyście czegoś potrzebowali, wołajcie.

Dziki i Zjawa zaczęli wreszcie posiłek, kątem oka obserwując rozgardiasz, jaki zapanował. Gromady ludzi wchodziły do szpitala, a strażnicy za-

słaniali okna metalowymi płytami. Już po chwili cała poczekalnia rozjaśniała w sztucznym świetle halogenów. W ciągu kilku następnych minut zrobiło się naprawdę tłoczno. Niektórzy robotnicy zatrzymywali się, by kupić coś do jedzenia, inni rozchodzili się w różne części oddziału.

— Mają z tym naprawdę przesrane — rzuciła Zjawa, zagadując Dzikiego. Ten miał jednak w tym temacie nieco odmienne zdanie.

— Przynajmniej, zamiast walczyć ze sobą, skupili się na przetrwaniu — odpowiedział, grzebiąc widelcem w kawałku placka.

Dziewczyna, która błyskawicznie pochłaniała zawartość swojego talerza, wydawała się wręcz oburzona tym jak masakrował jedzenie.

— Jest naprawdę dobry, co tak nad nim smęcisz? — spytała.

— Nie mam apetytu... — odparł Dzikie, odsuwając od siebie talerz.

W tym momencie z głośników w holu rozległa się skoczna wojskowa melodia, a zaraz po niej jakiś mężczyzna o wyjątkowo głębokim głosie odczytał komunikat:

— Obywatele kategorii drugiej. Magistrat wciąż poszukuje ochotników do walki o Centrum. Pamiętajcie, wszyscy, którzy wezmą udział w boju o Rajską ziemię, uzyskają podniesienie statusu oraz miejsce w nowo tworzącym się porządku. Centrum to koniec Ciemni! Sklepy, które wykarmią nas wszystkich oraz lepsze życie dla Nowoprzybytych! Zgłoś się już dziś, przedstawiciele Magistratu czekają we wszystkich osadach Zarzecza. Wszyscy albo nikt!

Kilka osób zatrzymało się, wsłuchując w obwieszczenie z uwagą. Niektórzy wydawali się wyraźnie podekscytowani. Inni pokręcili głowami, szepcząc między sobą, że gdyby coś miało się zmienić, zmieniłoby się już dawno.

Obok ich stolika jakaś gromada zaczęła żwawo rozprawiać o możliwościach jakie dawała inwazja:

Nie ma Ciemni... Ponoć H—market odnawia się regularnie... Moglibyśmy w końcu skończyć z tymi pieprzonymi szklarniami... Mówię wam, mam już dość tyrania jak szczur, zaciągam się dzisiaj...

Dzikiego po raz kolejny naszły obawy dotyczące nieubłaganego konfliktu.

— Wygląda na to, że szykują się na całego... — szepnął do Zjawy.

Dziewczyna skinąwszy głową, przyznała mu racje: — Ciekawe tylko, co powstrzymywało ich do tej pory...

— Dylatacja czasu — odpowiedział im niespodziewanie mężczyzna siedzący stolik za nimi.

Dzikie i Zjawa spojrzeli na siebie zaskoczeni. Nie było możliwości, żeby w całym rozgardiaszu, jaki zapanował teraz w holu, ktoś usłyszał, jak szepczą między sobą. Równie nieprawdopodobne wydawało się jednak, by ktoś tak po prostu powiedział głośno te dwa słowa akurat w tym momencie.

Obcy, który wtrącił się do ich rozmowy, podniósł się sztywno i niespodziewanie przysiadł do ich stolika. Dzikie od razu zauważył, że coś było mocno

nie tak z jego wyglądem. Mężczyzna miał ziemiście bladą skórę, puste i martwe spojrzenie, a twarz zasłaniała mu w większości czerwona chusta.

— Kawał czasu, Dziki — rzucił nagle, kierując ten pusty wzrok prosto w jego stronę.

Serce Dzikiego zamarło z przerażenia, gdy usłyszał swój pseudonim. Czyżby miał nieszczęście napatoczyć się na kogoś, kogo znał w Starym Świecie?

— Przepraszam, nie przypominam sobie, żebyśmy się spotkali. Kim jesteś? — spytał natychmiast, starając się opanować drżenie rąk.

Przybysz przekręcił głowę, która zawisła po chwili bezwładnie na boku, jakby był jakimś zombie.

— Wiem, że to nie jest coś, co robisz często, ale rusz trochę makówką — doradził kpiącym tonem. — Jak myślisz, ile osób na Zarzeczu może sobie zdawać sprawę, kim jesteś? — spytał.

Teraz dopiero Dziki dostrzegł coś jeszcze. Chusta, która zasłaniała twarz obcego, wybrzuszała się za każdym razem, gdy otwierał on usta. Te ruchy w ogóle nie zgrywały się ze słowami, jakie wypowiadał. Ten szczegół podsunął mu jedyną możliwą odpowiedź na pytanie, kto usiadł właśnie razem nimi.

— Smutny?! Jak?! Przecież to nie jesteś ty... — zawołał zaskoczony. — To nawet nie wygląda jak twoje ciało — dodał, przypominając sobie moment, gdy spotkali się za Strefą Zamarcia.

Smutny był kiedyś słomkowym blondynem o dość szczupłej twarzy, a obecnie siedział przed nim zapuszczony szatyn z głową jak piłka.

Zjawa, do której dotarło, z kim mają do czynienia, spojrzała na przybysza z niedowierzaniem. Jej dłoń powędrowała odruchowo w stronę strzelby, zamierając w końcu z palcem na spuście. Smutny w tym czasie odsłonił kurtkę, demonstrując im potężną ranę na wysokości mostka.

— Pożyczyłem sobie tego trupa, żeby zajrzeć tu na chwilę — oznajmił bez ogródek, wyjaśniając jednocześnie Dziakiemu nagłą zmianę w swoim wyglądzie. — W mojej niefizycznej formie mogą mnie usłyszeć tylko ludzie, którzy mają już przebudzoną Pierwotną Wolę, a nie każdy urzędnik osiągnął ten stan — dodał, wyraźnie zirytowany tym faktem.

Dziki nie był pewien, co właściwie mogło im grozić ze strony Smutnego. Mężczyzna nie wydawał się szczególnie zdeterminowany, by natychmiast donieść o nich jakiemuś strażnikowi, ale jednocześnie wspierał przecież Zarzecze.

— Co tu właściwie robisz? — spytał uznając, że najlepsze, co może zrobić, to wciągnąć go w rozmowę, dopóki nie wróci do nich Pierwszy. — Nie szkolileś przypadkiem Zwiadowców, czy coś?

Smutny wzruszył sztywno ramionami.

— Ogólnie, to załatwiam sprawy dla pani prezydent. To część naszej umowy o wzajemnym wsparciu — oznajmił, a jego ton sugerował, że robi to wyjątkowo niechętnie. — Zauważyłem przy okazji, że Pierwszy znowu kręci się

po tej stronie, więc przystanąłem, by się przywitać... — dodał, zdradzając, jak właściwie ich odnalazł.

Zjawia, która najwidoczniej również postanowiła grać na czas, dopytała go natychmiast: — Jakiej pani prezydent?

— Pierwszej z ocalonych, o woli, która daje nadzieję skrytym w ciemności — odpowiedział jej Smutny ze sztuczną pompą. — Tej, która przyniosła światło mieszkańcom Zarzecza i stała się ich przewodnikiem w drodze do przetrwania. Jedynej, niepowtarzalnej Natalii „Nadii” Kuszewskiej.

Po tej prezentacji trudno było określić, jaki stosunek mężczyzna miał do swojej mocodawczyni. Wypowiadał się o niej dość kpiąco, ale zdaniem Dzikiego główną cechą jego charakteru było traktowanie wszystkich z góry.

— Nie powiesz, chyba że dałeś się wrobić w rolę jej pomagiera? — zasugerował, a Smutny aż prychnął.

— W odróżnieniu od ciebie dużo myślę i już dawno zrozumiałem, że nie będę w stanie zrobić wszystkiego sam — podkreślił, wyraźnie akcentując, że uważał Dzikiego za osobę zdecydowanie poniżej swojego poziomu. — Oczywiście wolałbym, żeby Pierwszy nie był tak uparty i przyjął moją propozycję współpracy... — przyznał, wciąż wyraźnie jego odmową urażony. — Skoro jednak on jest tak oporny, ludzie z Zarzecza muszą mi wystarczyć. Niestety mają znacznie większe wymagania wobec mojej osoby niż tylko kąpanie się w blasku mojej wiedzy i umiejętności...

Smutny zamilkł nagle, gdy dostrzegł Pierwszego przeciskającego się przez tłum w oddali. Ich towarzysz był wyraźnie wściekły, co sugerowało, że jego próby załatwienia transportu nie powiodły się. Gdy w końcu dosiadł się do stolika, rzucił tylko krótkie spojrzenie w stronę Smutnego. Najwyraźniej spotkali się już wcześniej, bo zdawało się, że spodziewał się go tutaj zastać.

— Mówiłem, że się nie zgodzi... — zauważył Smutny wyniosłym tonem. — Linart to jeden z tych durnych idealistów. Nie skusisz go żadną sumą ani prezentem.

Pierwszy, słuchając tych kpin, ściągnął maskę, ukazując poirytowaną twarz.

— Powiedziałeś już Dziukiemu? — zapytał ostro.

Smutny zaśmiał się tak, że aż zadrgała chusta zasłaniająca jego twarz.

— Woląłem poczekać na ciebie — odparł złośliwie. — Ale skoro już jesteśmy w komplecie, nie omieszkam zepsuć komuś humoru — oznajmił, po czym, odwracając głowę w stronę Dzikiego, powiedział coś, od czego skóra mu ścierpła na plecach: — Twoja przyjaciółka nie dotarła z Daro do Magistratu. Sprzedał ją gdzieś po drodze...

Gdy tylko do uszu Dzikiego dotarło ostatnie zdanie, poczuł, jak serce zaczyna łomotać mu z przerażenia. Czyli dziewczyna już została czyjąś własnością. Czy była jeszcze szansa, że do tej pory nie spotkało jej coś złego? Ledwo powstrzymując drżenie głosu, spytał: — Mógłbyś z nim porozmawiać? Dowiedzieć się, gdzie jest?

Niestety, Smutny ewidentnie zdradził wcześniejszą wieść o Oli, tylko po to by się z nich trochę ponai grywać, bo odpowiedział krótkie i twardo: — Nie.

— Czemu?! — zawołał Dziki, nie będąc już w stanie utrzymać nerwów na wodzy.

To pogardliwe „nie” wzbudziło w nim taką wściekłość, że przez chwilę pomyślał o rozerwaniu Smutnego na strzępy. Jego Wola po prostu zagotowała się, pobudzona tym wyobrażeniem.

Pierwszy musiał wyczuć jej narastanie, bo pochylił się w jego stronę, jakby chciał go powstrzymać przed ewentualnym atakiem. Dziki odetchnął jednak szybko. Zdawał sobie sprawę, że nie miałby szans w tym starciu, a do tego walka ściągnęłaby uwagę strażników i prawdopodobnie zakończyła ich misję ratunkową. Sfrustrowany mógł jedynie słuchać, jak Smutny wyzośliwiał się dalej, wymieniając powody, dla których nie ma zamiaru im pomóc: — Przerzucanie jaźni do nieswojego ciała nie jest przyjemne, a ja cię nie lubię. Jesteś głupi i nie mam ochoty się dla ciebie męczyć. Może gdyby Pierwszy nie był tak upartym kretyńcem i chciał mi pomóc w moim eksperymencie, to dałoby się coś zrobić. Ponieważ jednak muszę marnować swój czas na pomaganie ludziom z Zarzecza, wy zmarnujecie swój na spacer po osadach...

Pierwszy, po wysłuchaniu tego wywodu, wydawał się naprawdę zły, ale z innego powodu niż Dziki.

— Nie będę się bawił w rozrywanie świata na strzępy tylko po to, żebyś mógł roić jakieś fantazje o przywracaniu zmarłych do życia — oznajmił twardo. — Jeżeli przez twoje eksperymenty istnienie Krańcowa zostanie zagrożone... Zniszczę cię... Tak jak obiecałem — zagroził na koniec.

Dziki, do którego dotarła ta deklaracja, doznał szoku. Chociaż w chwili uniesienia pomyślał o unicestwieniu Smutnego, doskonale zdawał sobie sprawę, że nie dałby mu rady. Dlaczego więc Pierwszy tak pewnie prowokował jeden z najsilniejszych bytów, jakie istniały w Krańcowie? Co gorsza, jego groźba została najwidoczniej wzięta poważnie, bo nagle wszystkie lampy w holu przygasły, a ludzie, którzy przeczekiwali Ciemnię, popatrzyli z przerażeniem w stronę okien.

Z sąsiednich stolików natychmiast zaczęły dobiegać zdenerwowane głosy: — Co się dzieje? Ciemnia się przebija? Przecież reflektory, one się palą? Nie powinno tak być!

Dziki wiedział jednak, że to nagłe przygaśnięcie światła nie było działaniem Ciemni. Przerażający gniew bijący od Smutnego zdawał się wypełniać całe pomieszczenie, a jego Pierwotna Wola przytłaczała niewyobrażalną mocą. Zjawą, która również musiała odczuć jej efekt, odsunęła się od stolika, jakby ten za chwilę miał eksplodować.

— A właśnie, że będę rozrywał ten świat! — wycedził Smutny, a jego głos ociekał furją. — Kawalek po kawałku! Aż w końcu zmuszę go, by mi je oddał! —

zadeklarował jak w amoku. — Nic mnie nie powstrzyma, nawet TY! — wykrzyczał na koniec, a z oczu ciała, które obecnie zajmował, popłynęła czarna krew.

Moc, która promieniowała teraz od mężczyzny, wydawała się zbyt duża, by jakakolwiek fizyczna skorupa mogła ją utrzymać. Dziki zobaczył, jak skóra na ciele, które obecnie zajmował, zaczyna pękać, a włosy po prostu wypadają mu ze skalpu.

Pierwszy wydawał się jednak niewzruszony tym widokiem.

— Więc spróbuj mnie zniszczyć! — prowokował dalej. — Mogę stanąć z tobą do walki choćby zaraz. Nie boję się...

— Boisz się — wtrącił Smutny. — I to właśnie jest problem... — wyszeptał, a jego moc zaczęła się nagle wyciszać. — Poznałem już dobrze zależność kierującą twoją Wolą. Im bardziej zagroziłbym twojemu życiu, tym niebezpieczniejszy stałbyś się dla mnie... Dlatego masz moje słowo, nigdy nie zaatakuję cię pierwszy. Z drugiej strony wiem, że ty też tego nie zrobisz, bo nie pozwoli ci na to Wola. To taka niezbywalna umowa między nami — zadeklarował niespodziewanie, a światła w mieście wróciły do normalnego poziomu mocy.

Pierwszy odetchnął, spoglądając zirytowany w ziemię, a Smutny pochylił się nad stolikiem w jego stronę.

— Nie odbieraj tego osobiście — powiedział cicho. — Wiesz dobrze, że zawsze cię szanowałem. Połączył nas ból egzystencji, to coś, co jest silniejsze od jakiegokolwiek innego zbratania. Obaj patrzyliśmy w otchłań, obaj chcieliśmy to wszystko skończyć... — wspomniął, nawiązując najpewniej do ich wspólnego pobytu w szpitalu. — Dlatego, chociaż Dziki denerwuje mnie jak mało kto, podpowiem wam coś. Linart nie odda karetek, bo to jego oczka w głowie, ale jest tutaj paru handlarzy z własnymi pancerniakami. Ja spróbowałbym coś ugrać u nich...

— Dzięki... — prychnął Pierwszy, nie zaszczycając teraz mężczyzny nawet przelotnym spojrzeniem.

Smutny wyprostował się na krześle, wyraźnie wzburzony tak nikłym docenieniem jego rady: — Tyle mogę jeszcze zrobić, nie męcząc się przesadnie — oznajmił, przerzucając teraz głowę tak, że jego oczy mimowolnie spoglądały na Dzikiego. — Gratuluję przebudzenia Pierwotnej Woli — wtrącił, zmieniając temat. — Mimo wszystko spodziewałem się, że prędzej zginiesz, niż to się stanie... zaskoczyłeś mnie. Dobra, na mnie czas, inwazja sama się nie przygotowuje — powiedział, podnosząc swoje ciało w nienaturalnie sztywny sposób.

Ostatnie zdanie ewidentnie nie spodobało się Pierwszemu, bo aż wzdrygnął się, gdy dotarło do niego, co to oznacza.

— Angażujesz się w to? — spytał zaskoczony, zapominając nawet o tym, że ewidentnie chciał już wcześniej zakończyć tę rozmowę.

— Najmniej jak to tylko możliwe — odparł Smutny znużonym głosem.

— Niemniej, nie mogę tak po prostu pokazać, że całkiem w dupie mam ich

wspólną sprawę. Dlatego czasem muszę się poświęcić i zrobić coś na boku, jak teraz — wyjaśnił, odchodząc bez pożegnania.

Gdy byli już bezpieczni, Zjawia pochyliła się w kierunku Pierwszego, szepcząc nerwowo: — To naprawdę był on? Ten Smutny, który szkoli Zwiadowców? Ten, który mógłby równać się z Danielem?

— Chyba słyszałaś i czułaś... — odparł Pierwszy, przerwał jednak swoje tłumaczenia, widząc, że właścicielka lokalu zbliża się do nich.

— Masz ochotę na coś jeszcze, skarbie? Dokładkę placka? Może sok? — zaproponowała, zerkając łapczywie w stronę broni przy jego pasie. — Twoi towarzysze już spróbowali i wydaje mi się, że im smakowało...

Pierwszy ponownie wypiął magazynek, na co oczy kobiety zabłyszczały jak złote monety.

— Który handlarz ma swojego pancerniaka i mógłby nas przewieźć do Sadu Wileńskiego? — spytał, wyciągając jedną z kul.

— Wszyscy z pasa RTG — odparła właścicielka, z lubością przyjmując od Pierwszego nabój. — To najbogatsi handlarze, mający swoje sklepy w dawnych pomieszczeniach rentgena. Nie układają się z byle kim, ale dla Zwiadowców pewnie zrobiliby wyjątek...

Mężczyzna wyciągnął drugi pocisk, ciągnąc temat dalej. — Wydajesz się rozmowna. Pewnie wiesz, który z nich byłby najbardziej skłonny do współpracy, żebym nie musiał tracić czasu, biegając od faktorii do faktorii.

Po tym pytaniu kobieta podsunęła sobie krzesło, na którym poprzednio siedział Smutny, i dosiadła się do nich.

— Od razu zignorowałabym Marka z Uzdrowiska — doradziła. — Facet trzyma rękę na zaopatrzeniu medycznym, więc ma tyle kasy, że żadna suma go nie skusi. — Potem rozważając przez chwilę, zaczęła wymieniać po kolei: — Skup to rusznikarz i fanatyk broni. Gdybyś zaoferował mu coś z uzbrojenia, pewnie by się zgodził. Tylko, że on jest tak cenny dla Przychodni, że nie może jej opuszczać bez zgody Linarta. Mógłby być problem z przekonaniem go... Bracia Łęczykowie mają sklep z wysokiej klasy żywnością poresetową i dwa własne auta, ale nie znam ich osobiście, bo oczywiście wolą „swoje” jedzenie niż moje placki. Szop i Yuri prowadzą takie „wszystko i nic”, ale ich auto chyba stoi teraz zepsute... No i jest jeszcze Elemis, facet handluje elektroniką, więc i tak sporo podróżuje w poszukiwaniu części...

Pierwszy wysłuchał jej uważnie i na koniec wręczył kolejny nabój, przez co kobieta wyglądała na naprawdę wniebowziętą.

— Dziękuję uprzejmie za pomoc — dodał. — To my już zwalnimy stolik.

Po tym, co powiedziała im właścicielka lokalu, w Dzikim ponownie przebudziła się iskra nadziei. Pierwszy bez wątpienia miał w swoim plecaku jeszcze wiele wartościowych przedmiotów. Nie miał wątpliwości, że znajdą tutaj kogoś, kto skusi się na coś z jego zawartości w zamian za transport.

Nie czekając, udali się więc do dawnej poczekalni pracowni RTG. Była to o tyle dziwna sytuacja, że każde z nich doskonale знаło drogę do tego miejsca. Wszyscy najwidoczniej zaliczyli przed Błyskiem, przynajmniej jedno prześwietlenie. Długim łącznikiem przeszli na sąsiadujący blok, a tam zastał ich zupełnie inny widok niż w poprzedniej części miasta. Nie było tu już żadnych namiotów, podłoga była zamieciona i czysta, a zza uchylonych drzwi gabinetów dochodziły przyjemne zapachy gotowanych zup i roześmiane rozmowy.

Po drodze minęli dawną świetlicę oddziału dziecięcego, która została przekształcona na klubokawiarnię. Za przeszkłonymi drzwiami grupa mężczyzn grała w karty, a młoda dziewczyna w skąpym stroju roznosiła drinki między stolikami. Kawalek dalej znajdowały się już pracownice RTG, czyli miejsce, do którego zmierzali.

Podwójne zamknięte drzwi oddziału pilnowane były przez rosnącego chłopaka o dość nieprzyjemnym i tępych spojrzeniu. Strażnik, ku przerażeniu Dzikiego, miał prawdziwą czarną strzelbę przewieszoną przez szyję. Nad jego głową widniał kolorowy napis „Centrum Handlowe Promień”.

Pierwszy zbliżył się spokojnie do pilnującego wejścia, a ten zmierzył go krytycznym spojrzeniem.

— Słucham? — spytał nieprzyjemnym głosem.

— Handel... — odparł mu mężczyzna, pokazując przepustkę wypisaną przy wejściu.

Strażnik odczytał ją, a jego oczy rozszerzyły się, najpewniej, gdy przeczytał za kogo podają się przybyli. — Oczywiście, zapraszam — powiedział, otwierając im drzwi.

Wewnętrzny korytarz praktycznie nie przypominał już pomieszczeń szpitalnych, a prawdziwą placówkę handlową. Sklepy mieściły się w licznych gabinetach dookoła poczekalni, a każdy miał swój szyld i wystawkę. Ściany przemalowane były tu ze szpitalnej bieli na przyjemny zielony kolor. Niewygodne plastikowe krzesła zostały zastąpione domowymi fotelami. Po naprawdę sporym pomieszczeniu kręciła się zaledwie garstka dobrze ubranych ludzi.

Zgodnie z poradą kelnerki, zignorowali punkt medyczny przy samym wejściu i ruszyli do składu z bronią. Na jego witrynie znajdowały się ręcznej roboty kusze, łuki oraz pistolety ciśnieniowe. Zwieńczeniem dekoracji sklepu był stary niemiecki Schmeisser, wiszący u szczytu witryny.

Skup, właściciel tej placówki, okazał się dość nadpobudliwym starszym mężczyzną, który widząc broń Zjawy i Pierwszego, prawie przeskoczył przez ladę. Niestety, zgodnie z tym, co przewidziała kelnerka, choć bardzo chętny do pomocy, stwierdził, że szef ochrony nie wypuści go z Przychodni na kilka dni przed planowaną inwazją.

Podobnie nie powiodło im się w „Rarytasie”, sklepie z żywnością braci Łęczyków. Starszy z braci, Kuba, wyjaśnił im, że oba ich pojazdy są w tym momencie na pobłyaskowym szabrze i nie wiadomo, kiedy wrócą.

Placówka „Polak i Rusek” była zamknięta, a jej witryna zasłonięta grubą żaluzją. Dziś zaś doskonale wiedział, do kogo musiała należeć, i był pewien, że nie otworzy się już nigdy. Przynajmniej nie rękami byłych właścicieli.

Docierając do pomieszczenia, w którym swoją pracownię z elektroniką miał Elemis, Dziki czuł już prawdziwy niepokój. Jeśli teraz im się nie uda, znowu czeka ich wyprawa na piechotę, a przy tych ciągłych Ciemniach, droga naprawdę mogła zająć kilka dni.

Wchodząc do środka, dostrzegli od razu właściciela przybytku. Rudowłosego mężczyzna w średnim wieku, siedział, rozkręcając starego laptopa. Na widok wchodzących gości przerwał jednak pracę i powitał ich wyjątkowo białym uśmiechem.

— Czołem, waszmościowie. Co sprowadza do jedynego porządnego ośrodka starej technologii? — spytał, rozciągając się na krześle.

Pierwszy, stając przy ladzie, oznajmił bez szczególnych nadziei: — Chcielibyśmy pohandlować.

Elemis zignorował go jednak, uśmiechając się w stronę Zjawy.

— Za całuska od tej piękności dostaniecie spory rabat — zaproponował, a jego wzrok przebiegł ostantacyjnie po ciele dziewczyny.

Weteranka, wyraźnie zirytowana takim rodzajem adoracji, skwitowała to, pokazując Elemisowi środkowy palec.

Ten nie przejął się jednak szczególnie, wzruszając ramionami i rzucił tylko: — Nie wiń gracza za to, że próbował szczęścia. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, mogę ci się nawet oświadczyć...

Zniecierpliwiony Pierwszy wtrącił się, zanim dziewczyna zdążyła odpysknąć Elemisowi: — A ile dostaniemy za pistolet maszynowy Heckler & Koch i jedną czwartą magazynka amunicji?

Elemis, słysząc, co mu oferują, aż poderwał się z krzesła.

— Żartujesz, prawda? — spytał z niedowierzaniem.

Pierwszy jednak pewnie położył broń na ladzie. Widząc to, handlarz w panice obiegł swoje biurko i doskoczył do drzwi. Pośpiesznie je zamknął, przy okazji zaciągając żaluzje.

— Cholera, cholera, cholera — wyszeptał szybko pod nosem. — To jest warte majątek! Po pierwsze, nie wiem, co mógłbyś za to chcieć. A po drugie, ludzie z Magistratu rekrutują teraz każdą lepszą broń na poczet inwazji...

— Więc ją sobie dobrze schowasz, aż przestaną — poradził Pierwszy. — I nie chcę za to nic ze sklepu, mam interes trochę innej wagi.

— Mam się rozebrać? — spytał niespodziewanie Elemis. — Błagam, powiedz, że mam się rozebrać i że chodzi o nią, a nie o ciebie...

Dziki warknął zirytowany, nie mogąc dłużej znieść tych nachalnych tekstów kiepskiego podrywacza.

— Podejdz do tego poważnie albo zaraz będziesz mógł zapomnieć o tej broni! — zagroził.

Elemis momentalnie spochmurniał, ale jednocześnie spytał poważnie:

— No dobra, to o co chodzi?

Pierwszy, przyglądając się złomowi rozrzuconemu na biurku, wyjaśnił:

— Potrzebujemy podwózki. Podobno masz własnego pancerniaka...

Właściciel sklepu, słysząc to, zmarszczył niepewnie czoło.

— No mam, ale zależy, dokąd chcecie jechać. — stwierdził bez przekonania, dodając od razu: — Do Magistratu nie pojadę. Mam tam paru wrogów...

Zjawa, spoglądając na niego ironicznie, wtrąciła: — Próbowalesz uraczyć panią prezydent swoimi adoracjami?

— Ha, ha, ha, ha — zaintonował Elemis. — Jeżeli już musisz wiedzieć, starałem się tam o posadę głównego technika, ale ktoś miał większe plecy — zaperzył się. — Dlatego nie jestem tam mile widziany, bo mogłoby się okazać, że umiem więcej niż obecny zajmujący tę funkcję.

Pierwszy popatrzył na mężczyznę rzeczowo.

— Chcemy dojechać do Sadu Wileńskiego — wyjaśnił, kończąc bezsensowne dywagacje i domysły. — Z możliwością powrotu do Garażu, jeżeli nie znajdziemy tego, czego chcemy.

— Do Garażu mówisz... — powtórzył Elemis, drapiąc się po brodzie. — W sumie mógłbym przy okazji zrobić przegląd pancerniaka... Zgoda! — zawołał, wracając z miejsca do adorowania Zjawy. — Ale „kotek” siedzi w trakcie drogi koło mnie.

Weteranka nabrała już wściekle powietrza, ale Pierwszy ubiegł ją, nie pozwalając na wszcęcie kłótni.

— „Kotek”, jak ją nazwałeś, rozrywa ludzi na strzępy, jak się wkurzy — oznajmił groźnie. — Dlatego ja usiądę obok ciebie, bo potrzebuję żywego kierowcy.

Elemis zerknął tylko zawiedziony w stronę dziewczyny.

— Ech... takie już moje szczęście. — westchnął. — Jak już się trafi jakaś naprawdę ładna, to ma trzech mężów albo jest psychopatką.

Zjawa, słysząc jego słowa, przewróciła tylko oczami, a Elemis zaczął chaotycznie zbierać swoje rzeczy. Okazało się, że ich przysły kierowca był roztrzepanym bałaganiarzem. Samo znalezienie kluczyków pośród sterty śmieci na jego biurku zajęło mu kilka dobrych minut.

— Dobra, możemy się zbierać — oznajmił, gdy tylko przełożył stertę części z jednej kupy na drugą. — Ciemnia powinna się niedługo skończyć. Do tego czasu poczekamy w garażu, a ja przy okazji przejrzę sobie autko...

Gdy Elemis wreszcie był gotowy, wyszli razem z nim na korytarz.

W Promieniu panowała niemal całkowita cisza. Ludzie albo rozeszli się do swoich domów, albo nie było akurat chętnych na zakupy. Puste korytarze wydawały się teraz dość ponure, głównie przez brak okien.

Elemis pochylił się, by zamknąć swój warsztat, kiedy nagle z głośnym szcękaniem podniosła się roleta sąsiedniego stoiska.

Dziki spojrzał odruchowo w tamtą stronę i ku swojemu zaskoczeniu oraz przerażeniu ujrzał mocno sfatygowanego Yurięgo. Jakimś cudem udało mu się nie tylko przetrwać Ciemnię, ale i dotrzeć do miasta prawie równo z nimi. Jego ubrania były podarte i brudne, twarz pokrywały liczne zadrapania i siniaki, a oczy błyszczały niebezpiecznym blaskiem.

— Siema, Yuri! — krzyknął nagle Elemis, przez co Rusek obrócił się w ich stronę. — Myślałem, że znowu zablokuje was na dłużej...

W tym momencie Dziki pobladł. Wzrok Yurięgo spoczął na ich czwórce. Po chwili wyraźnego szoku spowodowanego ich ponownym spotkaniem, Rosjanin ruszył biegiem w stronę drzwi, za którymi czekał strażnik.

Następne wydarzenia rozegrały się w przeciągu sekund. W dłoni Pierwszego zmaterializował się nóż, który błyskawicznie rzucił Zjawie. Dziewczyna, po chwili konsternacji, błysnęła do przodu i w mgnieniu oka znalazła się przy uciekinierze. Chwytając go za twarz, tak by nie mógł krzyknąć, pociągnęła mu ostrzem po szyi. Mężczyzna rzucał się jeszcze przez chwilę, ale w końcu bezwładnie osunął się w jej ramiona.

Elemis, widząc te przerażającą scenę, nabierał już powietrza, by wezwać pomoc. Nim jednak zdążył choćby pisnąć, Dziki rzucił się na niego, zatykając dłonią usta. Razem z Pierwszym wpełnęli go następnie z powrotem do jego sklepu. Chwilę później Zjawa błysnęła po raz kolejny, pojawiając się w pomieszczeniu z ciałem Yurięgo.

Wtedy z korytarza dobiegły podniesione głosy:

Co to był za błysk? Może pojawił się tu potwór? Pewnie światło przysłało! Trzeba powiadomić straż...

Pierwszy skinął porozumiewawczo na Zjawę i oboje wciągnęli ciało na zaplecze.

Dziki w tym czasie wyciągnął pistolet i wymierzył w Elemisa. Do jego uszu dobiegł odgłos zbliżających się kroków. Ktoś ewidentnie zmierzał w tę stronę. Chowając się skulony za ladą, z bronią wciąż skierowaną na właściciela placówki, wyszeptał chłodno: — Zdradź nas, a nie zdążysz nawet zrozumieć, jaki błąd przez to popełniłeś.

Chwilę później do środka wpadł jakiś mężczyzna: — Wszystko w porządku? — spytał, nie dostrzegając na szczęście Dzikiego ukrytego pod blatem. — Wydawało mi się, że coś tu wbiegało...

Elemis, spojrzał przestraszony w stronę broni, której lufa mierzyła mu teraz prosto w przyrodzenie. To sprawiło, że szybko oprzytomniał.

— Tak, tak... — potwierdził nerwowo. — Wyjrzałem na chwilę przez te błyski, a potem zapomniałem, że mam włączoną lutownicę.

Przybyły do sklepu mężczyzna, odetchnął ciężko, ale najwidoczniej nie dostrzegł nic podejrzanego.

— Cholera, znasz się na tym, to mógłbyś sam czasem spojrzeć na nasze lampy. Wiesz dobrze, że konserwatorzy się opierdalają! Ostatnie, czego nam trzeba, to potwór pojawiający się w środku Promienia... — stwierdził rozgoryczony i sądząc po oddalających się krokach, wyszedł zaraz na korytarz.

Gdy tylko zostali sami, Elemis uniósł powoli ręce, a Dzik wy dostał się spod lady. W tym samym czasie, Pierwszy i Zjawia wyszli z zaplecza.

— Wszystko ok? — spytała dziewczyna, zerkając niepewnie na Pierwszego. — Nie przeciążyłeś się? To było bardzo nagle...

Pierwszy pokręcił głową. — Przez chwilę tak bałem się o życie, że mogłem nawet uderzyć skrzydłami.

— Co z nimi zrobimy? — wtrącił Dzik, wciąż mierząc do Elemisa, który aż trząsł się ze strachu.

Pierwszy westchnął, opierając się zrezygnowany o blat lady. Jego spojrzenie utkwilo na struchlałym handlarzu.

— Kierowca jest nam potrzebny, żeby stąd wyjechać — stwierdził zrezygnowany.

Dzik zdawał sobie z tego sprawę, ale nie był przekonany, czy w tej sytuacji warto było podjąć to ryzyko. Musieliby przecież przejść pośród tłumu ludzi, do tego minąć strażnika Promienia. Elemis mógł w każdej chwili wszczać alarm, ściągając na nich pościg.

Pierwszy musiał myśleć o tym samym, bo podszedł do handlarza i ściągając maskę, spojrzał mu prosto w oczy.

— Posłuchaj, nie skończyło się to tak, jak powinno — opisał groźnym, chłodnym głosem. — Niemniej, nie mam zamiaru cię porywać ani zabijać. Jak dla mnie, nasza umowa dalej obowiązuje. Zostawię broń w twoim sklepie, tak jak obiecałem. Teraz masz dwa wyjścia: przyjmujesz nasze stare warunki, nie robisz nam problemów i uznajesz, że mieliśmy ważny powód, by pozbyć się tego gościa — podkreślił z teatralnym spokojem. — Po tym, jak dowiesz nas do celu, odjeżdżasz i zapominasz o naszym istnieniu. — zaproponował, dodając jednak po chwili. — albo, jest jeszcze druga opcja. Spróbujesz zrobić nam problemy. Jak zapewne widzisz, dobrze posługujemy się bronią i znamy kilka sztuczek, więc zdołam nie tylko cię powstrzymać, ale uznam, że stałeś się moim wrogiem... Chcesz być moim wrogiem? — spytał, a Elemis pokręcił przestraszony głową.

— Dobry wybór — powiedział Pierwszy, kładąc broń na ladzie. — Będzie tutaj czekał, jako dowód, że nie planujemy zrobić ci krzywdy. Ok?

— Ok... — potwierdził niepewnie Elemis.

Pierwszy podszedł do drzwi. — To wróćmy do tego, jak zamykałeś sklep i wszyscy razem wesoło maszerowaliśmy w stronę garażu.



Rozdział V

Los dla ścierwa

Urowadzenie Elemisa i prowadzenie go przez Przychodnie bardzo przypominało Dzikiemu, sytuacje kiedy przekradali się z Dix przez Strefę Głodu. Zasadnicza różnica polegała jednak na tym, że jego dawna ukochana nie miała najmniejszego powodu, by zdradzić ich przed Armią Daniela. Tego samego nie można było natomiast powiedzieć o Elemisie. Co prawda ich zakładnik nie wołał otwarcie „pomocy”, ale jego sztywny chód, przerażony wzrok oraz nerwowe tiki mogły wystarczyć, by zwrócić czyjąś uwagę.

Na szczęście dla Dzikiego oraz jego towarzyszy, Ciemnia wciąż nie odpuszczała. Na korytarzach roilo się z tego powodu od pracowników ciepłarni, którzy, korzystając z przymusowej przerwy, zebrali się na posiłek w tutejszych jadalniach. Ich czwórka ginęła więc w tej niekończącej się masie ludzi, a strażnicy miasta nawet gdyby chcieli, to nie mieli szans, by w maszerującym tłumie wylapać tę jedną przestraszoną twarz Elemisa.

Ich zakładnik musiał dojść do podobnego wniosku, bo szybko podjął bardziej aktywne próby zwrócenia na siebie uwagi postronnych osób. Najpierw, kiedy przechodzili przez nieco luźniejszy korytarz, łączący główną część szpitala z oddziałem ratowniczym, powiódł natarczywie wzrokiem za parą wartowników. Ci na szczęście, skupieni na rozmowie, nie zwrócili na to uwagi. Pierwszy z kolei, reagując na zachowanie Elemisa, udał, że zakłada mu po przyjacielsku rękę na kark.

— Już raz pytałem, czy chcesz, abyśmy stali się wrogami... Zmienileś może zdanie? — wyszeptał potem, przyciskając go nieco zbyt mocno do siebie.

Elemis oczywiście zaprzeczył, kręcąc przerażony głową, ale ledwie chwilę później spróbował innej sztuczki. Tym razem, gdy mijali urzędnika zapisującego ochotników do ataku na Centrum, kaszląc ciężko, spróbował zwrócić uwagę jego obstawy. Przed zdemaskowaniem uratował ich jednak tłum zaaferowanych rekrutów, który przepychał się przy biurku, przez co strażnicy zmuszeni byli pilnować porządku i zupełnie zignorowali krztuszącego się Elemisa. Choć podobnych sytuacji mieli po drodze jeszcze kilka, to szczęśliwie do garażu dla karet (a obecnie raczej pancerniaków) udało im się dotrzeć bez wszczynania alarmu.

Na widok dużych podwójnych drzwi z napisem „Tylko dla upoważnionych” Dzikiemu przyszło do głowy, że najtrudniejszy moment tego porwania może być dopiero przed nimi. Z Przychodni na pewno nie dało się tak po prostu wyjechać. Było niemal pewne, że Elemis będzie musiał wcześniej dokonać jakichś formalności, choćby podpisać bliżej nieokreślony dokument.

Dziki nie miał wątpliwości, że ich zakładnik, robiąc to, spróbuje zaalarmować jakiegoś mieszkańca miasta. Nawet gdyby jednak nie odważył się zrobić tego bezpośrednio, wystarczyłoby krótkie spojrzenie w jego przerażone oczy, by nawet najbardziej zblazowany urzędnik domyślił się, iż stojący przed nim człowiek nie wybiera się nigdzie z własnej woli.

Szczęśliwym zrządzeniem losu w garażu nie było strażników. W pomieszczeniu przebywała tylko jedna osoba – bardzo szczupły mężczyzna ubrany w kombinezon mechanika, z rzadkimi kępkami brody rozrzuconymi losowo po twarzy. Kiedy wchodzili, przyglądał się on jednej z karetek, ale słysząc nadchodzących gości, przerwał swoją pracę i wyszedł im naprzeciw.

— Czym mogę pomóc? — zapytał, a jego wzrok przebiegł po przybyłych postaciach, zatrzymując się na Elemisie.

Mężczyźni musieli się dobrze znać, bo pracownik garażu uśmiechnął się i powitał ich zakładnika dość swobodnie.

— O, cześć, El. Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakby cię za drzwiami zamknęli...

— T... tak — odparł niepewnie Elemis, a mechanik, słysząc jego drżący głos, przyjrzał mu się przenikliwie.

Dla Dzikiego był to kolejny wyjątkowo nerwowy moment. Jeżeli mężczyźni często mieli ze sobą kontakt, albo co gorsza byli kolegami, mechanik mógłby łatwiej zauważyć, że coś jest nie tak. Nie miał jednak pomysłu, co mógłby zrobić, by wybrnąć z sytuacji.

Naszcześnie Zjawa zachowała zimną krew i postanowiła zaingerować. Bez chwili wahania przełożyła rękę przez kark Elemisa, klepiąc go niezbyt delikatnie w pierś. Następnie z uśmiechem, który miał pewnie uspokoić pracownika garażu, rzuciła: — Stresuje się chłopak, bo wezwali go do Magistratu — a potem dodała jeszcze teatralnym szeptem: — Nieoficjalnie mówi się, że tamtejszy technik nie daje sobie już rady. Nie muszę chyba wspominać, że to zaszczyt, gdy do eskorty wysyłają tak liczną grupę Zwiadowców jak nasza.

Weteranka liczyła zapewne, że samo wspomnienie o ich rzekomej przynależności do zwiadu uśpi czujność mechanika. Dziki podziwiał przy okazji, jak opanowała była w tej sytuacji i jak gładko przeszło jej przez gardło to kłamstwo. Gdyby nie znał prawdy, pewnie sam uwierzyłby w jej zmyśloną historię.

Na ich szczęście kolega Elemisa był najwidoczniej podobnie łatwowierny, bo po wysłuchaniu Zjawy wyraźnie się rozluźnił.

— Cholera, El, w końcu złapałeś swoją szansę! — zawołał z dumą. Co znaczyło, że lyknał opowieść dziewczyny w całości. — Dobrze dla ciebie! Wszyscy tu wiedzieli, że zasługujesz na to miejsce. I jeszcze do tego taka eskorta! Chyba naprawdę im zależy, żebyś dotarł w jednym kawałku — dodał, przechodząc teraz w stronę biurka ustawionego przy ścianie. — Jak rozumiem, jedziesz swoim wózkiem?

— T... t... tak — wydukał ponownie Elemis.

Pracownik warsztatu zmarszczył czoło. Coś bez wątpienia nie pasowało mu w zachowaniu Elemisa. Gdy sięgał do szuflady po długopis, nie spuszczał go z oczu nawet na chwilę.

— Podpisz tylko listę — poprosił, podsuwając mężczyźnie kartkę. — Nie miałem części, żeby poprawić pompę wody, więc nadał trochę cieknie, ale do Magistratu dojedziesz bez problemu na płynie, który masz — dodał, kładąc na biurku zapasowe kluczyki.

Elemis drżącą ręką chwycił długopis leżący na blacie, a gdy się podpisywał, mechanik wciąż świdrował go wzrokiem.

— Na pewno wszystko ok? — spytał ponownie, bardzo już poważnym tonem.

Elemis skinął głową, ale tym razem zrobił to nieco zbyt entuzjastycznie, co z miejsca wydało się Dziakiemu mocno podejrzanе. Przeczuwając kłopoty, zerknął kątem oka na listę i okazało się, że trafił w dziesiątkę. Zamiast się podpisać, ich zakładnik nakreślił w wolnej rubryce słowo „Porwany”. Jedyne co ratowało ich przed zdemaskowaniem, to fakt, że pracownik garażu, skupiony na zachowaniu kolegi, nie zauważył jeszcze tego, co pojawiło się na kartce.

Dziki, chcąc odwrócić uwagę od kartki, zadał mężczyźnie pierwsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy: — Pan dba o te wszystkie karetki?

— Nie sam — odparł mu natychmiast mechanik, rozglądając się odruchowo po swoim miejscu pracy. — Poza tym, „dba” to za duże słowo. Ludzie z Garażu trzymają łapę na częściach i bardzo niechętnie nimi handlują. Nasz szef ochrony czasem wymusi na nich jakąś dostawę, żeby utrzymać karetki w jako takim stanie, ale wszelkie poważne naprawy robią sami. Mają tu monopol, jeśli chodzi o pojazdy, ale Magistratowi najwidoczniej to nie przeszkadza — dodał na koniec z wyraźnym wyrzutem.

Gdy mężczyzna zwierzał się im ze swoich problemów, Dziki znacząco trącił rękę Pierwszego. Ten spojrział przez wizjery maski na listę i orientując się w sytuacji, natychmiast pociągnął rozmowę dalej: — W Raju praktycznie nie używają pojazdów. Zastanawiam się, czy można by było naprędce naprawić jakiś, gdy będziemy już na miejscu?

Mechanik zamyślił się przez chwilę, prostując jednocześnie na krześle.

— Z tym mogą być pewne kłopoty — stwierdził w końcu, na szczęście dalej nie zerkając na listę. — Akumulatory po tak długim czasie szlag trafia,

a olej, zwłaszcza kiepskiej jakości, robi się tak gęsty, że silniki mają naprawdę ciężko się rozruszać...

Tłumacząc to, spojrzął na szafę z narzędziami, a jego mina zdradzała, że coś przyszło mu nagle do głowy.

— Ale... mam tutaj taką rzecz, która mogłaby się okazać przydatna gdybyście znaleźli coś w dobrym stanie... — stwierdził, podnosząc się z miejsca.

Razem z Pierwszym przeszli w głąb pomieszczenia, a Dziki chwycił za długopis, przerabiając pośpiesznie słowo „porwany” tak, by chociaż odrobinę przypominało „Elemis”. Tymczasem pracownik garażu wyciągnął ze swojej szafki coś, co wyglądało jak defibrylator.

— To urządzenie do awaryjnego rozruchu... — wyjaśnił Pierwszemu, który stanął obok niego tak, by jak najbardziej zasłonić sobą okolicę biurka. — Jest lżejsze i poręczniejsze niż standardowy akumulator. Powinno poradzić sobie z dostarczeniem prądu do rozruchu auta...

Zjawą, która właśnie zrozumiała, co się dzieje, rzuciła Elemisowi wściekle spojrzenie. Dyskretnie uderzyła go łokciem w brzuch, a następnie, przydużając go, odciągnęła siłą w głąb pomieszczenia. Mechanik na szczęście tego nie zauważył, bo demonstrował teraz jak działa urządzenie.

Dziki, oglądając finalny efekt swojej przeróbki, był mocno niezadowolony z rezultatu. Co prawda nie dało się już odczytać informacji o porwaniu, ale bazgroł nie przypominał nawet w najmniejszym stopniu żadnego, choćby najbardziej pośpiesznego podpisu. Nie było już jednak czasu na poprawki. Zostawiając to tak, jak jest, chwycił zapasowe kluczyki i ruszył za Zjawą oraz ich zakładnikiem.

W głębi garażu, poza zasięgiem wzroku mechanika, Weteranka przycisnęła Elemisa do ściany.

— Chcesz zginąć? Miałeś zamiar nas wydać i liczyłeś, że ujdziesz z życiem? — wyszeptała wściekła.

Elemis, przerażony, pokręcił głową, a Dziki również doskoczył do niego, pytając:

— Który jest twój?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko wskazał głową na pancerniaka w rogu. Pojazd był zdecydowanie innego typu niż ten należący do Sznura. Przede wszystkim dlatego, że zbudowany został na bazie starego kombi, a nie SUV-a. Dodatkowo jego szyby, zamiast arkuszami blachy, zabezpieczone były grubą kratą, przez co przypominał policyjne radiowozy używane podczas demonstracji.

Dziki, nie czekając, otworzył drzwi samochodu, ale nim zdążyli wsiąść do środka, coś łupnęło w głębi pomieszczenia. Wymieniając ze Zjawą zaniepokojone spojrzenia, ruszył w stronę źródła hałasu, ale nagle na drodze stanął mu mechanik. Mężczyzna wyłonił się ostrożnie zza jednej z karetek, ściskając

gotową do strzału strzelbę ciśnieniową. Broń syczała niebezpiecznie, a przez nieszczelności w rurach wydobywał się biały gaz.

— Myśleliście, że jestem głupi albo ślepy?! — zawołał, mierząc do nich ze swojej prowizorycznej broni.

Dziki nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Wpadli? I to na sam koniec? Co się stało z Pierwszym? Przecież to niemożliwe, żeby ktoś taki go po prostu obezwładnił. Czując, jak nerwy ściskają mu gardło, zawołał piskliwym głosem: — Spokojnie, to nie tak, jak myślisz!

Mechanik, słysząc jego nieporadne tłumaczenie, z miejsca wycelował mu prosto w głowę. Przypominając sobie, jakiej masakry dokonała podobna prowizoryczna broń Sznura na Ochotniczym, Dziki po prostu zastygł w osłupieniu.

Na szczęście pracownik garażu nie miał w zamiarze samemu wymierzyć im sprawiedliwości.

— Wyjaśnicie to sobie strażnikom! — zawołał, ściskając pewnie kolbę, po czym spojrzał w stronę Elemisa. — El, chodź do mnie! A wy nawet nie drgnijcie!

— USPOKÓJ SIĘ I DAJ NAM COŚ WYTŁUMACZYĆ! — zawołała wściekle Zjawa, przez co mężczyzna natychmiast skierował lufę w jej stronę.

Dziki domyślił się, że dziewczyna tylko na to czekała. Pomieszczenie natychmiast wypełniło światło jak z flesza. Wystraszony tym błyskiem mechanik nacisnął spust, a ogromna kula ołowiu przeleciała przez miejsce, gdzie jeszcze przed sekundą stała Weteranka. Ta zmaterializowała się następnie tuż przy strzelcu. Nim zdążył zareagować, rąbnęła go w głowę potężnym hakiem.

Uderzenie nienaturalnej siły odrzuciło go na jedną z karetek, po której zsunął się półprzytomny, upuszczając przy okazji strzelbę.

Elemis, korzystając z zamieszania, próbował się wyszliźnąć do drzwi, ale Dziki powstrzymał go, dobywając pistolet.

— Nawet nie próbuj... — wycodził, mierząc mężczyźnie w plecy.

Zjawa, mając teraz czyste pole, chwyciła momentalnie nóż ze swojej kabury. Przed zadaniem śmiertelnego ciosu pracownikowi garażu powstrzymało ją jednak wołanie Pierwszego: — STÓJ! Nie zabijaj go!

— Strzelił do mnie! — odpowiedziała oburzona Weteranka.

Po chwili jednak odetchnęła ciężko i schowała nóż z powrotem do kabury, a Pierwszy doszedł do niej, masując się jednocześnie po głowie.

— Chciał tylko ratować kolegę! Czy przez to, zasłużył w twoich oczach na śmierć? — spytał z wyrzutem, a dziewczyna westchnęła, krzyżując ręce na piersi.

Dziki zauważył, że w jej spojrzeniu, mimo butnej postawy, zagościł wstyd.

Pierwszy, nie czekając, aż mechanik dojdzie do siebie, złapał za taśmę klejącą, która leżała na jednej z półek. W kilka sekund spętał nią na wpół przytomnego pracownika garażu i wcisnął go na tył jednej z karetek. Zjawa ustawiła się w tym czasie za samochodem Elemisa, obserwując drzwi wej-

ściowe. przez które mogli wejść strażnicy, gdyby usłyszeli dobiegający z pomieszczenia hałas.

— Dobrze, że te ich strzelby nie są tak głośnie jak prawdziwa broń — stwierdziła, gdy po dłuższej chwili nikt się nie pojawił. — Jesteśmy praktycznie przez ścianę od tego gościa, co wypełnia przepustki...

Dziki, już spokojniejszy, przyjrzał się Pierwszemu i zauważył, że na jego masce pojawił się wyraźny chropowaty ślad.

— Co się tam właściwie stało? — spytał, gdy jego kompan zamykał właśnie drzwi od karetki.

— Zaskoczył mnie... — odparł Pierwszy, odruchowo dotykając otartego miejsca.

Dla Dzikiego taka odpowiedź była po prostu irracjonalna. Sam widział na własne oczy, jak Pierwszy walczy na równi z doborowymi członkami Defektu. Miał okazję być świadkiem, jak mężczyzna praktycznie sam rozprawił się z Ręką Olbrzyma, a teraz dał się tak po prostu obezwładnić? I to komu?

— Jak to w ogóle możliwe? — dopytał. — Jesteś w stanie uniknąć leżącej kuli, a zaskoczył cię podstarzały mechanik!?

— Dziki... — mruknął z powagą Pierwszy, poprawiając przekrzywioną maskę na twarzy. — Może ci się wydawać, że moment pozyskania Pierwotnej Woli uczynił cię jakimś herosem. Prawda jest jednak taka, że dalej jesteś tylko i wyłącznie człowiekiem. Zapytaj Zjawy, a ci to potwierdzi. Wola musi być wzbudzona, by zadziałać. Gdyby ktoś niespodziewanie pchnął cię nożem od tyłu, żaden błąd ci nie pomoże, bo umrzesz, zanim zdążysz poczuć cokolwiek. Moja Wola jest pod tym względem jeszcze gorsza, bo żeby zaczęła działać, muszę czuć, że moje życie jest zagrożone. Dlatego tak łatwo mu ze mną poszło.

Dla Dzikiego, który nie potrafił nawet na zawołanie wzbudzić Pierwotnej Woli, porównanie do herosa wydawało się w tym wypadku zupełnie nietrafione. Tak naprawdę, mimo że teoretycznie zyskał możliwość kontrolowania błędów, to od śmierci Zwiadowców nie doświadczył ani jednego momentu, w którym świadomie wykorzystałby tę umiejętność. Nawet samotne przejście przez rzekę wykraczało przecież ponad jego możliwości. W towarzystwie Pierwszego i Zjawy czuł się właściwie wybrakowany pod względem Woli.

Dotknięty obezwładniającym poczuciem bezużyteczności, Dziki bez słowa ruszył w kierunku pancerniaka i usiadł na tylnej kanapie.

Poza tym, że jako pierwszy dostrzegł „podpis” Elemisa, czym tak naprawdę wspomagał tę wyprawę? Pierwszy był jej fundamentem. Bez niego ratowanie Oli nie byłoby w ogóle możliwe. Zjawy, dzięki swoim umiejętnościom, kilkakrotnie wyciągnęła ich z krytycznych sytuacji. A on? Nie miał żadnych dobrych pomysłów, żadnych momentów, w których poczułby się potrzebny. Był tutaj najgorszym możliwym balastem...

Pogrążony we własnych myślach, Dziki dopiero po chwili zauważył, że Zjawia usiadła obok niego. Ku jego zdziwieniu, miejsce za kierownicą zajął Elemis, a Pierwszy usadowił się na fotelu pasażera.

Zjawia, również wyraźnie zaskoczona tym, że dalej ciągną za sobą dodatkową osobę, wychyliła się między przednimi siedzeniami i zapytała: — A tak w ogóle, to po co go zabieramy? Myślałam, że był nam potrzebny tylko do wyprowadzenia samochodu z tego miejsca. Mechanik jest nieprzytomny, więc gdy Ciemnia się skończy, możemy przecież ruszać sami...

Dziki zauważył, że po jej pytaniu Elemisowi nagle wrócił humor. Na jego twarzy pojawił się cień nadziei. Zapewne liczył, że podobnie jak pracownika garażu, zamkną go w karetkce i zostawią w spokoju. Niestety, Pierwszy szybko rozwiął jego oczekiwania, tłumacząc: — Znam tylko podstawowe szlaki. Nie wiem, jak poruszać się samochodem po Zarzeczu. Myślę, że on sprawniej nas przeprowadzi.

Po chwili namysłu dodał jeszcze jeden, mniej oczywisty fakt: — No i przy okazji zapłaciłem już za jego usługi.

Słyszając ostatnie zdanie, Zjawia uniosła oczy do góry, zerkając potem na Pierwszego w jednoznacznie krytyczny sposób.

— I to było głupie! Po co w ogóle zostawiłeś mu broń? — spytała.

Pierwszy, nie zważając na jej kpiący ton, odparł z powagą: — Jestem uczciwy i dotrzymuję danego słowa — podkreślił z pewną dumą, dodając jeszcze: — Chociaż rzeczywiście, te cechy nawet w Starym Świecie uchodziły za głupie...

Elemis nagle spojrzał prosto w zamaskowaną twarz Pierwszego. Dziki nie był pewien, czy mężczyzna dostrzegł coś w postawie ich towarzysza, co wzbudziło w nim zaufanie, czy może uświadomił sobie, że w jego warsztacie została bezcenna broń. Niespodziewanie jednak zadeklarował ze skrucą w głosie: — Posłuchajcie, naprawdę nie będę już sprawiał problemów. Nie róbcie mi krzywdy, a dowiozę was, dokąd tylko chcecie... Obiecuję...

— Oby — wtrącił Dziki. — Pamiętaj, że ktoś już mógł przez ciebie dzisiaj zginąć.

Po tym ostrzeżeniu, Elemis uruchomił silnik samochodu i podjechał bliżej wyjazdu z garażu. Pod bramą odczekali jeszcze kilka nerwowych minut, w trakcie, który nie mieli na szczęście żadnych niespodziewanych gości. Nie było to dla Dzikiego aż takie dziwne, bo raczej nikt nie wpadłby na pomysł, by wyjeżdżać gdzieś w trakcie Ciemni, nawet pancernikiem.

Gdy reflektory pod sufitem wreszcie zgasły, zwiastując koniec zagrożenia, Pierwszy podniósł roletę blokującą drogę i w końcu wyjechali na zewnątrz.

Dziki z wyraźną ulgą uznał, że przymusowy postój w szpitalu i nerwy związane z porwaniem Elemisa mogły im się jednak opłacić. Droga od początku zapowiadała się na dużo szybszą i pewniejszą niż w pancerniku Sznura.

Auto, którym teraz podróżowali, nie tylko nie było ruchomym warsztatem, ale dzięki normalnej widoczności z wnętrza mogli bezpiecznie rozwijać większe prędkości bez ryzyka zderzenia z najbliższym budynkiem.

Opuszczając podjazd szpitala, ruszyli drogą między zamkniętymi szklarniami w kierunku głównej trasy. Dziki, po tym co już widział na Zarzeczu, sądził, że będą trzymać się głównie gęsto zabudowanych osiedli, ale ku jego zdziwieniu, Elemis niespodziewanie skręcił w boczną drogę prowadzącą do sąsiedniej wsi.

Rozległe pola i pojedyncze, opuszczone domy, między którymi widać ich było jak na dłoni, mocno zaniepokoiły Dzikiego.

— Dlaczego jedziesz tędy? — spytał, obawiając się, że mimo wcześniejszych deklaracji Elemis mógł planować kolejny sabotaż. — Raczej niewiele tu będzie schronień...

Mężczyzna, nie spuszczać wzroku znad kierownicy, wytłumaczył: — Idąc na piechotę, musisz być cały czas w pobliżu bezpiecznych punktów, ale jak jedziesz pancernikiem, lepiej omijać główny szlak. Droga między polami jest praktycznie pusta, jeśli chodzi o potwory...

Dziki spojrzał na Pierwszego, szukając potwierdzenia tych wyjaśnień. Ten jednak milczał, wpatrzony w przednią szybę. Skoro jednak nie zanegował słów kierowcy, pewnie uznał, że można mu zaufać.

Opierając czoło o drzwi auta, Dziki spoglądał bez słowa na mijane zabudowania. Po kilku minutach jazdy zauważył jednak, że mocno zbliżają się do granicy Krańcowo. Na początku pomyślał, że ich kierowca w którymś momencie odbije po prostu z powrotem w stronę miasta, ale ten pędził dalej tą samą drogą.

Przestraszony, że zaraz ich podróż skończy się zderzeniem z błędem, chwycił odruchowo oparcie fotela kierowcy, ale nim zdążył coś zrobić, Pierwszy uspokoił go, tłumacząc: — Bez nerwów. Mówiłem ci wcześniej, że po tej stronie Strefa Zamarcia nie zaczyna się na granicy Krańcowo...

Dziki skinął głową lecz i tak nie był w stanie całkiem opanować swoich nerwów. Tak długo traktował obręb miasta jako coś osobliwego, że gdy zrównali się z pożegnalną tablicą na wyjeździe Krańcowo, poczuł, jak włosy stają mu dęba.

Gdy przecięli granice, nie stało się jednak nic niezwykłego. Nie trafili do żadnego abstrakcyjnego świata. Nie było tego dziwnego uczucia, jakie towarzyszyło mu w trakcie przejścia poprzednim razem. Pojawiło się za to podniecenie, że po raz kolejny przekroczył coś, co wydawało mu się nieprzekraczalne. Najpierw dotarł na Zarzecze, a teraz opuścił Krańcowo, które było dla nich niczym więzienie. Podekscytowany tą sytuacją, na chwilę zapomniał o ciągłym poczuciu winy i strachu o Oli.

— Jak daleko można dojechać? — spytał, pochylając się w stronę Elemisa.

— Aż do Łomnicy — odpowiedział mu mężczyzna. — Ale do samej wsi już nie wejdiesz. Za to cała Rybnica jest całkiem przejezdna.

Do zaintrygowanego sytuacją Dzikiego, zaczęły nagle wracać te same pytania, które dręczyły go od dnia, gdy obudził się na cmentarzu. Czym właściwie jest Nowy Świat? Co tak naprawdę więziło ich w Krańcowie? Czemu granice, po których mogli się poruszać, z czasem się rozszerzały? Spoglądając na kierowcę, dopytał zaciekawiony: — Tak było od zawsze?

Zaskoczony Elemis spojrział w lusterko, przyglądając się Dzikiemu i bez namysłu wyrzucił: — Skąd w ogóle te pytania? Chyba jesteście tu nie krócej niż ja...

— Pochodzimy z Centrum — sprostował Pierwszy. — Oni na Zarzecze dotarli zaledwie dwa dni temu — wyjawiał, spoglądając do tyłu na Zjawę i Dzikiego. — Ja byłem tu wcześniej, ale zbyt krótko, by poznać wszystkie niuanse...

— CO? — zawołał zszokowany Elemis, szarpiąc w szoku kierownicą. — I po kiego huja się tu ładowaliście? — spytał, prostując szybko auto na drodze, bo przez jego gwałtowną reakcję, prawie zjechali do rowu. — Chyba nie uroiło się wam nagle, żeby zamieszkać sobie w piekle na ziemi?!

Dziki nie miał ochoty tłumaczyć się z niczego mężczyźnie, więc burknął tylko w największym możliwym skrócie: — Skoro już musisz wiedzieć, Zwiadowca porwał naszą przyjaciółkę i sprzedał ją gdzieś po drodze. Próbuje ją uratować...

Elemis, słysząc to, opuścił głowę.

— Współczuję, ale tak to już tutaj jest... — powiedział tonem, który miał chyba sugerować, że wstydzi się trochę za swoich współmieszkańców. — Kobiety nie mają lekkiego życia na Zarzeczu...

— Nie chcę nawet o tym słuchać! — przerwał gniewnie Dziki, nim mężczyzna zdążył uraczyć go porcją, fałszywego współczucia. — Pytałem cię o coś wcześniej! — przypomniał.

Elemis kiwnął głową i odpowiedział, nie odrywając już wzroku od drogi: — Jak zaczęli się pojawiać pierwsi ludzie, zamierało się równiutko przy wyjeździe z Krańcowa. Do Centrum też nie mieliśmy dostępu przez wiele lat... Nasza jakby „rzeczywistość”, zaczęła się rozszerzać na całego jakieś trzy, może cztery lata temu...

Zjawa, która z uwagą przysłuchiwała się jego odpowiedzi, dopytała teraz: — Jak się w ogóle o tym dowiedzieliście? Przecież nikt nie robił sobie zawodów w wystawianiu nogi za granice miasta.

— Nasi skazańcy zniknęli — wyjaśnił Elemis, przecierając czoło, które z nerwów zaszło mu potem. — Wypchnięcie za granicę było kiedyś u nas karą za ciężkie przestępstwa. Gdy strażnicy przyszli pewnego dnia, żeby przepchnąć jakiegoś gościa, to nie dość, że jego poprzedników już nie było, to jeszcze on sam prawie im uciekł, biegnąc po strefie, którą uważali za nieprzekraczalną...

Dziki słuchając tej historii, spojrział przez szybę, pograżając się jednocześnie w myślach. Więc ich rzeczywistość nie była stała. Nowy Świat się

zmieniał, ale co te zmiany mogły przynieść? Czy któregoś dnia zyskają dostęp do reszty Polski? A może Błysk zniknie i większość ludzi umrze z głodu, bo sklepy przestaną się odnawiać? Masa pytań bombardowała mu teraz głowę. Czy skoro Zarzecze i Centrum zaczęły się scalać, to Ciemnia pojawi się również po ich stronie?

W trakcie jego rozważań wjechali na drogę biegnącą wzdłuż leżących ugiętych pól uprawnych. Wyschnięte kępy zboża ledwo przykrywały brązową, wyschniętą ziemię. Z oddali widać było pierwsze zabudowania wsi Rybnica, która sąsiadowała bezpośrednio z Krańcowem.

— Obawiam się, że będziemy mieli pewien kłopot... — rzucił nagle Pierwszy, przerywając ciszę, jaka zapanowała w samochodzie.

Dziki odruchowo rozejrzał się, szukając jakiegoś niebezpieczeństwa na drodze przed nimi. Nie wydawało się jednak, by w tym momencie zagrażało im coś z zewnątrz.

— Co się stało? — spytał w końcu, zastanawiając się, czego znowu nie udało mu się zawczasu dostrzec albo domyślić.

— Jak nie już, to wkrótce znajdą tego mechanika w karetce — wytłumaczył Pierwszy, a po jego głosie słychać było, że może im to poważnie zagrozić. — Mają tu łączność radiową, więc na pewno za jakiś czas rozejdzie się po Zarzeczu, że grupa maruderów uprowadziła handlarza z przychodni. Dlatego do następnego miasta raczej wejdę sam. Spodziewają się trójki mężczyzn i dziewczyny, więc bez was będę wzbudzał mniejsze podejrzenia.

Dziki pokiwał głową, ponownie czując, że jest tu właściwie zbędnym balastem. Miał wrażenie, że Pierwszy i Zjawa, a może nawet sam Pierwszy, poradziliby sobie lepiej bez niego. Nie potrafił jednak pogodzić się z tym, że nie mógł nic zrobić.

— A gdybyśmy poszli we dwóch? — zapytał, chcąc mieć, chociaż minimalny udział w tej sprawie. — Zjawa przypilnowałaby w tym czasie Elemisa. Przecież dwóch mężczyzn raczej nie będzie bardziej podejrzanych od jednego...

— Zobaczymy... — odparł mu bez przekonania Pierwszy, wyglądając przez okno. W samochodzie znowu nastała cisza.

Po kilku minutach jazdy, minęli kościół, który znajdował się na wjeździe do Rybnicy, i skręcili na skrzyżowaniu z powrotem w stronę Krańcowa.

Kiedy Dziki był już przekonany, że reszta drogi minie im równie spokojnie, jak na przekór Elemis uderzył niespodziewanie w hamulce. Auto stanęło w miejscu, a siła pędu wyrzuciła go do przodu tak, że ledwo uniknął uderzenia w fotel.

Siedząca obok niego Zjawa nie miała tyle szczęścia i walnęła twarzą prosto w zagłówek.

— POJĘBAŁO CIĘ! — krzyknęła natychmiast, łapiąc się za zaczerwieniony nos.

Dziki błyskawicznie otrząsnął się z pierwszego szoku. Chcąc zobaczyć, co przstraszyło ich kierowcę, wychylił się między fotelami. Wyglądając przez przednią szybę, dostrzegł zniszczony pancerniak. Auto, które zbudowane było na bazie sporego vana, stało porzucone pośrodku drogi. Jego okute blachą drzwi leżały wyrwane na asfalcie, a boczne ściany pełne były wgnieceń i dziur jak po ostrzale.

— Wiesz, czyj to pojazd? — spytał natychmiast Pierwszy, zerkając w stronę Elemisa.

Ten na widok wraku zamarł w całkowitym szoku. Na pytanie odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, przełykając przy tym nerwowo ślinę: — Braci Łęczyków. Ich zbieracze wyjechali jakiś czas temu, szukać zapasów...

Zjawa przepchnęła w tym czasie Dzikiego i wyglądając przez szybę, sama oceniła, w jak okropnym stanie był pojazd przed nimi.

— Co mogło to zrobić? — spytała zaskoczona.

Elemis, przygryzając nerwowo wargę, odpowiedział z wyraźnym obrzydzeniem: — Ścierwojady...

Dziki nie chciał nawet myśleć, jak silni musieli być ci Niewykształceni, którzy dokonali takiego spustoszenia. Co innego wyprowadziło go jednak z równowagi o wiele bardziej, niż widok zniszczonego pojazdu.

— Mówiłeś, że nie ma tu potworów! — wypomnił, bo był to główny powód, dla którego nakładali przecież drogi.

Elemis, słysząc to oskarżenie, spojrzał na niego wciąż wyraźnie wystraszony i zaczął tłumaczyć: — Ścierwojady to nie potwory! Tylko ludzie... Tak jakby...

— Jacy znowu ludzie? Bandyci? Coś w tym stylu? — wtrąciła Zjawa, rozsiadając się z powrotem na swoim miejscu.

— Bandyci, dezterterzy, banici, którzy nie godzili się na panujące tu zasady i uciekli — wymienił Elemis, dodając: — Cholera, nigdy nie było ich w tej okolicy...

Potem obserwując z lękiem teren dookoła, ruszył swoim autem powoli do przodu, okrążając zniszczonego pancerniaka przesadnie szerokim łukiem.

Podczas przejazdu Dzikiego zauważył, że we wraku ciągle widoczne były plamy krwi, pozostałe po kierowcy. Oprócz tego dostrzegł też policyjną koltatkę, która wkręcona w koła pancernia, posłużyła do jego unieruchomienia.

Elemis musiał obawiać się, że podobnych pułapek może tu być więcej, bo nie ośmielił się rozpedzić auta ponad prędkość szybkiego marszu i przez cały czas nerwowo obserwował drogę. Dopiero gdy znacznie oddalili się od miejsca ataku, zaczęli w końcu nabierać prędkości.

Pierwszy, widząc, że ich kierowca nieco się uspokoił, zagadnął do niego z wyraźnym zaciekawieniem: — Nie sądziłem, że na Zarzeczu jest jakakolwiek grupa przeciwna Magistratowi. Kim oni są?

Elemis zmarszczył czoło i z wyraźną niechęcią, zaczął opowiadać: — Cztery lata temu grupa z obozu pracy Meblowiec się zbuntowała. Zabili większość strażników i uciekli gdzieś w głąb Zarzecza. Ich akcja odbiła się u nas głośno, zyskując o dziwo spore poparcie wśród mieszkańców drugiej kategorii. Całe tabuny robotników uciekały do nich nocami, bo obiecywali, że obalą stary porządek i wprowadzą równe prawa dla wszystkich. Szybko jednak zaczęli mieć problemy. Na Zarzeczu mamy ogólnie mało żarcia, a duże osady trzymają łapy na jego źródłach. Zdesperowani buntownicy napadali więc na konwoje i osady, a sprowokowany Magistrat rozpoczął z nimi regularną wojnę. W pół roku większość została wytrzebiona, a ci, którzy przeżyli, zachorowali i postradali zmysły...

Mówiąc ostatnie zdanie, mężczyzna wyraźnie otrząpał się z obrzydzeniem.

— Od czego zachorowali? — spytała Zjawa, domyślając się zapewne, że nie była to zwyczajna choroba.

Elemis popatrzył przelotnie na jej odbicie w tylnym lusterku.

— Ci, którzy przetrwali walkę z Magistratem, zaczęli głodować. By jakos przetrwać, żarli potwory. — opisał z grozą.

— Chyba sobie jaja robisz! — wtrącił Dzik

— To szczerza prawda — zaperzył się Elemis, z wyraźnym wstętem w głosie, dodając: — Od tego całkiem im się poprzewracało w głowach. Prawie nie zachowują się już jak ludzie. W ogóle nie idzie się z nimi dogadać... — opisywał dalej w nerwach. — Strażnicy, którzy odpierali ich późniejsze ataki, brali czasem jednego czy dwóch jako jeńców. Myśleli, że uda im się dowiedzieć gdzie mają bazę i ostatecznie się z nimi rozprawić, ale oni już nawet nie mówią jak...

Słowa mężczyzny utonęły nagle w tajemniczym ryku, który wypełnił okolicę. Wszyscy siedzący w pancerniaku rozejrzeli się zaskoczeni, szukając źródła tego przerażającego dźwięku. Ten narastał, odbijając się coraz głośniejszym echem między zabudowaniami.

W pewnym momencie Dzik dostrzegł jakiś ruch w prześwitach budynków.

— Tam! — krzyknął, wskazując palcem na drogę biegnącą równolegle do nich.

Pierwszy pochylił się do bocznej szyby i nagle krzyknął: — Hamuj!

Elemis momentalnie nacisnął pedał hamulca, a pancerniak stanął dęba tuż przed wjazdem na skrzyżowanie. W tym samym momencie drogę przed nimi przecięła ogromna wywrotka. Stary Jelcz, aż pomarańczowy od rdzy, minął ich o zaledwie metr, pędząc dalej ulicą z hukiem rozklekotanych części.

Dzik zdążył jedynie zauważyć, że na jego pace stała gromada ludzi w nędznie wyglądających strojach. Po bronii w ich rękach i krzykach dochodzących z auta trudno było przypuszczać, że mieli pokojowe zamiary.

Jelcz musiał mieć naprawdę słabe hamulce, bo zwalniał z trudem przez jakieś sto, może nawet dwieście metrów. Gdy w końcu jednak udało mu się zatrzymać, zaczął natychmiast zawracać, rycząc silnikiem i wyrzucając kłęby czarnego dymu z rury wydechowej.

Elemis, o włos unikając zderzenia, doznał takiego szoku, że zamiast uciekać, wpatrywał się w kierownicę jak zahipnotyzowany. Jego twarz pobladła, a dłonie drżały niekontrolowanie.

— MIEJSCE! — krzyknął Pierwszy, praktycznie wyciągając mężczyznę z fotela kierowcy.

Przejmując prowadzenie, natychmiast wrzucił wsteczny bieg i, szarpnięc gwałtownie pancerniakiem, obrócił pojazd tyłem do zagrożenia. Silnik zawył potężnie, a koła zabuksowały na asfalcie, wyrzucając kłęby kurzu i drobnych kamieni. Już po chwili wystrzelili jak z procy przed siebie, oddalając się od skrzyżowania.

W tym czasie Jelcz mozolnie odkręcał się w ich stronę, po czym ruszył ponownie w pościg. Absurdalnie głośny ryk jaki dobiegał do Dzikiego, świadczył, że kierowca nie oszczędza silnika. Na szczęście znacznie lżejszy pancerniak nabierał prędkości dużo szybciej, więc już po chwili zaczęli oddalać się od wywrotki, zostawiając za sobą jedynie rosnącą smugę pyłu.

W ciągu kilku minut wrócili z powrotem do centrum Rybnicy. Płoty budynków mijały za szybko jak oszalałe, a w oddali rosła już dzwonnica tutejszego kościoła. Pierwszy gwałtownym łukiem minął zniszczony pancerniak, który widzieli wcześniej.

— Tym starym pudłem nie wyciągną zbyt dużo — rzucił, nieco spokojniejszy. — Musimy objechać wioskę i przebić się z powrotem jakąś boczną drogą.

Dziki pomyślał już, że cudem udało im się uniknąć zagrożenia, ale wtedy z podwórka przed nimi wypadła jakaś postać. Mężczyzna w żółtym kombinzonie, wyglądający jak pracownik laboratorium chemicznego, rzucił przed ich maskę siatkę najeżoną kolcami. Pierwszy zdążył jeszcze tylko skrócić kierownicą, tak że najechali na nią połową auta.

Opony po prawej stronie pancerniaka eksplodowały z hukiem, który zmroził Dzikiego krew w żyłach, a całym pojazdem szarpnęło gwałtownie na bok. Pierwszemu z trudem udało się opanować kierownicę i nie wbić ich w żadne ogrodzenie. Następnie przez jakiś czas walczył jeszcze, by mimo uszkodzeń ujechać jak najdalej. Niestety przeciążony pojazd, który już po chwili jechał właściwie na samych felgach, okazał się niemożliwy do utrzymania na drodze i finalnie ugrzęzł na poboczu.

Dziki spojrzał natychmiast do tyłu. Serce uderzyło mu jak młot, a dłonie zadrżały. Chociaż po rzucającej kolczatkę postaci nie było śladu, to dostrzegł w oddali tuman kurzu, który świadczył o tym, że ścigający ich Jelcz nie odpuścił.

— Musimy uciekać! — krzyknął, łapiąc za ramię Pierwszego, który zamarł w szoku po kaskaderskiej jeździe, jaką przed chwilą wykonał.

Trącony mężczyzna błyskawicznie doszedł do siebie.

— Tak... TAK! DO JAKIEGOŚ BUDYNKU! — zarządził.

Całą gromadą wyskoczyli z auta i wbiegli na najbliższe podwórze, otoczone starym, płotem ze sztachet. Większość placu zajmowała ogromna wiata, pod którą rdzewiały porzucone maszyny rolnicze, oraz stodoła o masywnych, drewnianych wrotach. Tuż przy ogrodzeniu stał dużo mniejszy, klockowaty budynek z czerwonej cegły, z oknami zasłoniętymi firankami, które wyglądały, jakby żółkły w nich od dekad.

Pierwszy szarpnięciem otworzył drzwi budynku i wyciągając z kabury pistolet, wbiegł na wyłożony gumolitem korytarz. W środku unosił się zapach stęchlizny i kurzu, a wyposażenie wyglądało jak z przed wojny i to nie tej dru-giej. Dziki podążył zaraz za nim, razem z Elemisem i Zjawą.

Mijając biegiem kolejne pomieszczenia pełne ikon i dewocjonaliów, wpadli do salonu, z którego mogli sprawdzić co dzieje się na głównej drodze. Całą grupą dopadli do okna.

Minęły co najwyżej dwie minuty, a przez firanki dostrzegli Jelcza, który wbił się z impetem w ich pancerniaka, zgniatając całkiem jego tył i przesuwając wrak o kilkanaście metrów. Huk uderzenia odbił się echem w całym pokoju, a wstrząs Dziki poczuł nawet w budynku.

Z krypy przybyłego pojazdu błyskawicznie wyskoczyły postacie ubrane w niebieskie kombinezony robotników drogowych. Wszyscy napastnicy mieli twarze skryte pod chustami i arafatkami.

— Ścierwojady! — zawołał na ich widok przerażony Elemis. — Zabijają nas i zjedzą... Kurwa mać, dlaczego, dlaczego...

Oczy mężczyzny otworzyły się szeroko z przerażenia, a oddech stał się płytki i szybki, jakby zaraz miał dostać ataku paniki. Pierwszy odciągnął go od okna, a sam przykleknął pod parapetem, wychylając się delikatnie, aby nie zostać zauważonym.

Dziki i Zjava, naśladując go, skulili się po obu stronach ściany. Przez chwilę obserwowali, jak przybyła gromada rozpierzchała się po okolicy, poszukując pasażerów pancerniaka.

Zdecydowana większość Ścierwojadów uzbrojona była w siekiery i kuszki robione z samochodowych resorów. Kilku z nich trzymało ogromne wyrzutnie ciśnieniowe, większe nawet niż strzelba, którą posługiwał się Sznur.

Elemis, który po raz kolejny postanowił wyjrzeć przez okno, zawył na ten widok przerażony: — Boże, Jezu, Chryste nie... kurwa, tylko niech nas nie gotują żywcem!

Pierwszy, rozumiejąc chyba, że nie będzie miał z niego żadnego pożytku, złapał go za kark i pociągnął w stronę ogromnej drewnianej szafy.

— Właż tu i nawet nie drgnij! — rozkazał twardym tonem.

Elemis, choć wstrząsany dreszczami, posłusznie wsunął się do środka. Pierwszy zamknął za nim drzwi, ale nim zdążył wrócić pod okno, Dziki dostrzegł, jak trójka Ścierwojadów wbiega na podwórze domu, w którym się ukrywali.

— Idą tu! — wyszeptał w stronę kompana.

Zaalarmowany Pierwszy zamiast pod okno, doskoczył w stronę wejścia, przyklejając się do jego bocznej ściany z bronią w pogotowiu. Zjawą ustawiła się zaraz za nim, a Dziki doczłapał się do nich, starając się uspokoić swoje rozdygotane nerwy.

Gdy byli już obok siebie, Pierwszy wyszeptał: — Spróbujmy po cichu, niech pozostali nie wiedzą, gdzie jesteśmy.

Po tych słowach odłożył pistolet i wyciągnął nóż.

Dziki uczynił podobnie, z tą różnicą, że jego ręka zadrżała niemal natychmiast, gdy ścisnął rękojeść. Gdzie była teraz jego Wola? Cemu zamiast chęci zabicia czuł strach? Przecież sposób, w jaki otworzył się na błędy, zdawał się być wręcz idealny do takich sytuacji. Cemu więc nie czuł teraz niczego, co mogłoby go rozbudzić? Usłyszał, jak Zjawą szepcze coś do siebie. Wiedział, że dziewczyna się nakręca, starając się wzbudzić w sobie gniew. Dlaczego uważała swoją Pierwotną Wolę za słabą, skoro tak łatwo ją przywoływała? Dlaczego on nie mógł poczuć tej chęci zabijania, której tak bardzo teraz potrzebował? Starał się powtarzać w głowie, że musi zabić napastników, zniszczyć, zamordować. Czuł jednak kompletną pustkę.

Zacisnął przez chwilę oczy, starając się skupić na przebudzeniu Woli, gdy nagle usłyszał kroki w korytarzu. Jego serce zadrżało przestraszone. Dlaczego? Dlaczego, nawet teraz, gdy mógł posługiwać się błędami, ciągle się bał?

W tym momencie przez próg przebiegł Ścierwojad. Wysoki mężczyzna, ubrany w brudny, niebiesko-zielony kombinezon, trzymał w rękach domowej roboty włócznię, która wyglądała jak oderwany kawałek ogrodzenia ze sztycą na końcu.

Pierwszy w okamgnieniu doskoczył do niego, wbijając mu nóż w mostek. Ostrze przebiło się przez ubranie i skórę, a Ścierwojad wydał z siebie krótki, zduszony krzyk, zanim upadł na podłogę z ostrzem wciąż tkwiącym w ciele. Krew zaczęła powoli sączyć się z jego rany, tworząc na podłodze czerwony kałużę.

Nie minęła nawet chwila, jak do pomieszczenia wpadł kolejny napastnik. Zjawą, nie czekając, błysnęła prosto w niego i oboje znaleźli się nagle pośrodku pokoju. Dziewczyna zniknęła i pojawiała się raz za razem.

Po każdej materializacji wyprowadzała cios w inną część ciała całkiem zdezorientowanego Ścierwojada. Jej ataki były tak szybkie, że przeciwnik nie miał właściwie szans na obronę. Po kilku ciosach, Zjawą, osiągnąwszy chyba kulminację złości, złapała wroga za głowę i ze stłumionym krzykiem przebłysnęła się po raz ostatni. Ścierwojad runął bez skalpu na czaszce, a w dłoni Zjawy,

która pojawiła się w rogu, pozostał kawałek jego głowy, który strzepnęła z łoskotem na podłogę.

Tymczasem Ścierwojad ugodzony przez Pierwszego nie miał zamiaru się jeszcze poddać. Mimo rany poderwał się z podłogi i pchnął mężczyznę w głąb pokoju, uderzając jego plecami o stary kineskopowy telewizor, który ledwo utrzymał się na szafce. Pierwszy, broniąc się, złapał za wbity w tors napastnika nóż. Wykręcając ostrze w bok, pogłębił ranę i sprawił, że Ścierwojad wrzasnął jak oparzony.

Dziki, obserwując oboje kompanów, nie widział nawet momentu, w którym mógłby wkroczyć. Dopiero gdy do pomieszczenia wbiegł kolejny napastnik, trzymający w rękach broń ciśnieniową, poderwał się, celując nożem w jego szyję. Niestety mężczyzna zdołał się uchylić i odpowiedział, uderzając go kolbą-butlą swojej broni.

Zęby Dzikiego aż zadźwięczały po tym ciosie. Mimo że nie był on dość mocny, by go powalić, usłyszał w głowie szum, a w ustach poczuł smak krwi. Oszołomiony spróbował zaatakować po raz kolejny, wykonując wymach. Niestety, Ścierwojad bez problemu uniknął tego zbyt powolnego ataku i uderzył go butlą po raz drugi. Dziki Wiedział już, że kolejnego ciosu nie przetrzyma. Gwizd w jego głowie narastał, a oczy zachodziły łzami i mgłą. Wypuszczając nóż, z przygarbionej pozy ruszył prosto w nogi przeciwnika i bez problemu poderwał go do góry. W tamtym momencie wydawało mu się, że pod grubym roboczym ubraniem podnosi właściwie tylko skórę i kości. Bez trudu rzucił Ścierwojadem o podłogę, sprawiając, że ten aż odbił się od desek i wypuł z siebie powietrze.

Nie czekając, aż przeciwnik zdąży się otrząsnąć, wskoczył na niego, okładając gromadą ciosów. Jego pięści uderzały w furii, ale umysł zaczęły ponownie przyszywać niespodziewane wątpliwości. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego Wola nie działała? Czemu nawet w tej sytuacji nie mógł wzbudzić w sobie tak potrzebnej chęci zabicia swojego wroga? Na samą myśl, że mógłby przebić jego czaszkę, tak jak zrobił to z Modrzewem, poczuł tylko obrzydzenie, które paraliżowało jego moc.

Tuż za jego plecami, Pierwszy wciąż zmagał się ze swoim Ścierwojadem. Zjawą, dostrzegając, że mężczyzna ma kłopoty, ruszyła mu z pomocą. Najwidoczniej nie miała już jednak w sobie dość Woli na teleportację, bo po prostu przebiegła przez pokój.

Niestety, Ścierwojad najpierw zręcznie wyminął cios Pierwszego, a potem, mimo ran, przebił się przez Weterankę, dobiegając do okna. Tam, zrywając zasłony, uderzył ręką w szybę, roztrzaskując ją na kawałki.

— BUADADRADADGA! — wykrzyczał, a z podwórka natychmiast dobiegły do nich oddalone krzyki.

Pierwszy zdecydował, że po tym nie ma już sensu się ograniczać. Chwycił natychmiast za swój pistolet i wypalił kilka razy w plecy Ścierwo-

jada. Strzały w zamkniętym pomieszczeniu były tak głośne, że aż odbiły się w płucach Dzikiego.

Martwy Ścierwojad osunął się na podłogę, grzęznąc w kałuży krwi, a Pierwszy zawołał: — Zaraz tu będą! Łapcie za broń

Dziki oderwał się od swojego przeciwnika, który już od dobrych kilku ciosów był całkiem nieprzytomny, i łapiąc za pistolet, dobiegł do okna. Tam dostrzegł kolejne postacie zmierzające pędem na podwórze.

Nim jednak zdążył wziąć na cel którąś z nich, zobaczył, jak stojący przy Jelczu Ścierwojad mierzy w dom z ogromnej broni ciśnieniowej. Natychmiast padł na podłogę, a ledwie chwilę później do pomieszczenia wleciała z szybkością rakiety śruba kolejowa. Ciężki kawał metalu wbił się z impetem w ścianę, robiąc w niej ogromne wgniecenie.

— Głowy nisko! — przestrzegł Pierwszy, a Dziki po prostu zamarł pod parapetem.

W międzyczasie zobaczył, jak Zjawa zdejmuje z pleców swoją dwururkę i skulona mierzy z niej w korytarz. Gdy tylko sylwetki Ścierwojadów śmignęły w drzwiach, nacisnęła spust. Huk wystrzału był po prostu ogluszający, a cała sień pokryła się chmurą śrutu. Ścierwojady, które miały pecha znaleźć się w zasięgu tej pożogi, padły zmasakrowane na ziemię, a cały korytarz wypełnił się krzykami bólu.

Dziewczyna cofnęła się, by przeładować broń, a wtedy Pierwszy, przetoczył się do wejścia. Dostrzegając kolejnych przeciwników. Ostrzelał korytarz, opróżniając magazynek pistoletu.

Przez chwilę zrobiło się cicho. Z zewnątrz dobiegały jedynie pojedyncze jęki rannych.

— Co się dzieje? Dlaczego nie idą? — spytała niepewnie Zjawa, drżącymi ze zmęczenia dłońmi, wsuwając ogromne pociski do komór swojej broni.

Pierwszy podsunął się pod ścianę i przeładowując pistolet, odparł: — Wiedzą już, że mamy broń i sporo amunicji. Raczej spróbują nas przeczekać...

Po tym stwierdzeniu, podsunął się na klęczkach do najbliższego Ścierwojada i ściągnął mu z twarzy arafatkę. Martwy bez wątplenia chorował na jakąś formę defektu, ale nie taką, jaka zazwyczaj występowała po ich stronie rzeki. Jego głowa pełna była gładkich plam, co od razu przypominało Dziemu Dix i dziwną odmianę defektu, na którą cierpiała. Tylko że w wypadku dziewczyny plamy nie ujawniały się na twarzy.

— Więc tak kończą ci, którzy zapominają, że Niewykształceni w większości byli kiedyś ludźmi — podsumował Pierwszy, zakrywając z powrotem twarz trupa.

W tym momencie z szafy dobiegło do nich wołanie Elemisa: — Czy już jest bezpiecznie?

— Nie, ale wyjdź — odparł mu Pierwszy. — Nie możemy tu zostać! Trzymaj tylko głowę nisko!

Elemis otworzył niepewnie szafę i, padając na podłogę, przeczołgał się w ich stronę.

— Co się dzieje? — spytał, rozglądając się w panice po pomieszczeniu.

Pierwszy, zerkając w stronę wybitego okna, odpowiedział mu: — Wystraszyliśmy ich na tyle, że raczej nie spróbują wejść tu po raz kolejny. Ale stracili już kilku swoich, więc nie wydaje mi się, żeby nam po prostu odpuszcili...

— To co teraz? — spytał Dzik, czując, że i tak nie było szans na uniknięcie dalszej walki.

Pierwszy, nim odpowiedział, ściągnął maskę, biorąc kilka głębokich wdechów.

— Pancerniak Elemisa już na pewno nie ruszy — stwierdził z wyraźną zgryzotą. — Ten wrak, który spotkaliśmy na początku, jest już raczej ograbiony ze wszystkiego, łącznie z paliwem. Musimy zdobyć tego Jelcza...

— Po co? — wtrąciła Zjawa. — Nie lepiej poczekać, aż zrezygnują? Ewentualnie odeprzeć kolejny atak tutaj? — zapytała, przyglądając się niepewnie Pierwszemu.

Ten westchnął tylko.

— Po naszej stronie tak byłoby najrozsądniej — rzucił ponuro. — Tylko że jesteśmy daleko od głównych schronień. Jak teraz się ściemni, bez samochodu zginiemy...

— Zgasło praktycznie dwa razy pod rząd! — zauważył Elemis. — Może kolejnego ciemnienia już nie będzie przez kilka dni.

Pierwszy przyjrzał mu się, wyraźnie rozważając możliwe opcje.

— Może... — odparł. — A może kolejne będzie za dziesięć minut — dodał z grozą w głosie.

— Więc będziemy atakować? — spytał retorycznie Dzik, wiedząc, że i tak nie mają innego wyboru.

— Ja pójdę — zarządził Pierwszy, wsuwając z powrotem maskę. — Wy poczekajcie tutaj...

— Chyba oszalałeś, idę z tobą! — wtrąciła Zjawa.

Pierwszy słysząc propozycję Weteranki, spojrzał na nią w sposób, który Dzikiemu naprawdę trudno było ocenić. Przez chwilę w jego zwykle ponurych oczach przebił się jakiś niespotykany wcześniej spokój.

— Zjawa, wiesz, że bardzo dobrze walczysz? — zauważył, ale szybko okazało się, że nie powiedział tego tylko po to, by pochwalić dziewczynę. — Z tego powodu przy tobie czuję się bezpieczny. Moja Wola strasznie przez to szwankuje — wyjawiał niespodziewanie. — Dlatego zostaniesz tu razem z Dzikim. Zresztą, gdyby coś mi się stało, tylko ty możesz mu pomóc ocalić tę dziewczynę...

Zjawa spróbowała zaprotestować, ale Pierwszy nie czekając na jej reakcję, podniósł się i ruszył korytarzem.

Weteranka, mimo zakazu, chciała już podążyć za nim, ale Dziki powstrzymał ją, łapiąc za kurtkę.

— On wie, co robi. Nie zapominaj, jaka jest jego Pierwotna Wola — przypomniał.

Dziewczyna przygryzła nerwowo wargę, ale najwidoczniej zrozumiała, że nie powinna teraz ingerować. Z twarzą, która zapewne przez pochwałę ze strony Pierwszego, zrobiła się czerwona, podsunęła się ostrożnie do okna. Dziśki podczołgał się zaraz za nią i wychylił powoli, żeby zobaczyć, co dzieje się na podwórku.

Jego oczom ukazał się widok jak z filmów akcji. Pierwszy wyłonił się zza winkła budynku, przebiegając w stronę furtki. Ścierwojady stojące przy wywrotce niemal natychmiast go dostrzegły i zaatakowały całą chmarą. Dzięki temu ponownie zobaczył swojego kompana w pełni „mocy”. Mężczyzna ruszył do przodu, nie sięgając nawet po pistolet. W jego dłoniach błyskawicznie pojawiła się para noży, którymi cisnął w dwóch nadbiegających napastników. Ci zostali po prostu zwaleni z nóg siłą, jaka włożona była w lecące ostrza. Kolejne noże, które pojawiały się w dłoni Pierwszego nie wylatywały już mu z dłoni z podobną mocą, ale i tak momentalnie obezwładniały ranionych napastników.

Pierwszy Ścierwojad, któremu udało się dobiec do mężczyzny, zamachnął się toporkiem, ale ten z nadludzką szybkością omijał każdy kolejny nadlatujący cios. Jego ruchy były tak płynne, że wydawało się, jakby wykonywał jakiś taniec. Finalnie złapał atakującego za rękę i wykręcając ją, wytrącił mu broń. Następnie, podnosząc swoją otwartą dłoń, przyciągnął upuszczony przez Ścierwojada toporek niczym magnesem. Przejętą bronią uderzył jej dawnego właściciela w głowę, pozbawiając go natychmiast życia.

Ledwie kawałek dalej, kolejny napastnik panicznie odkręcał zawory w butli pod swoją bronią. Jego ręce drżały, a oczy rozszerzyły się ze strachu. Nagle stało się coś dziwnego; broń po prostu eksplodowała, odrywając właścicielowi palce. Ścierwojad upadł na kolana z opętańczym wrzaskiem i krwią tryskającą z jego okaleczonych dłoni. Pierwszy przechodząc obok niego, wbił mu topór w głowę.

Pozostała grupa na ten widok rzuciła się do panicznej ucieczki, rozumiejąc chyba, że nie mają szans w tym starciu.

Dziki, widząc to wszystko poczuł przypływ radości i ulgi.

— Udało mu się! Załatwił wszystkich! — krzyknął z entuzjazmem do Zjawy, po czym wybiegł korytarzem na zewnątrz.

Dziewczyna natychmiast ruszyła za nim, a jej śladem podążył Elemis.

Gdy całą grupą wypadli na podwórze, a potem za budynek, ich spojrzenia przyciągnął Pierwszy, który jak gdyby nic przed chwilą nie miało miejsca, oceniał stan Jelcza.

Zjawa, wyprzedzając teraz pozostałych, dobiegła do Pierwszego i podekscytowana zawołała: — To było niesamowite! Zwłaszcza jak wysadziłeś mu broń!

— To nie byłem ja... — zaprotestował, zdziwiony. — Ona po prostu wybuchła...

Elemis, który doszedł do nich razem z Dzikim, wyjaśnił ten fenomen: — To się akurat cholernie często zdarza. Zwłaszcza, jak broni się dobrze nie konserwuje. Ciśnienie w tych zbiornikach jest naprawdę ogromne. Czasem cała obudowa nie wytrzymuje...

— Dobra, nie ma na co czekać — stwierdził Pierwszy, przerywając mężczyznę. — Zobaczmy, czy da radę jechać tym kawałkiem rdzy.

Dziki przyjrzał się teraz Jelczowi. Ciężarówka już z daleka wyglądała, jakby przejechała przez piekło i z powrotem. Rdza pożerała praktycznie każdy jej element. Pajęczyny na przedniej szybie były tak gęste, że trudno było przez nie cokolwiek zobaczyć. Spod silnika na drogę wyciekał olej, tworząc brudną, bordową plamę. Jednak, skoro ścigający ich ludzie jakoś dotarli tutaj tym pojazdem, musiał on być przynajmniej na chodzie.

Elemis otworzył drzwi od strony kierowcy, które zaskrzypiały przeraźliwie, jakby zaraz miały odpaść. Wnętrze pojazdu było po prostu obleśne. Siedzenia porwane, a kokpit pokryty grubą warstwą tłuszczu i kurzu. Co gorsza, ze środka buchnął niewyobrażalny odór stolca, przez który oczy Dzikiego aż załzawiły, a żołądek zaczął się przewracać.

— Jadę na krypie — stwierdził Pierwszy, wspinając się z miejsca na bok auta.

— Ja też! — zawtórowała mu Zjawa z obrzydzeniem.

Dziki, skazany na podróż w środku, by pilnować Elemisa, westchnął ciężko.

— To pożycz chociaż maskę... — rzucił z rezygnacją, zasłaniając nos i usta rękawem.

Następne wydarzenia rozegrały się w przeciągu sekund.

Ogromny huk wypełnił okolicę, a trzy śruby do skręcania torów uderzyły w Pierwszego, wspinającego się na tył Jelcz. Dwie trafiły w kamizelkę kuloodporną i plecak, praktycznie zrywając je z mężczyzny. Trzecia trafiła w hełm na jego głowie, wgniatając go z przerażającą siłą. Pierwszy odpadł od wywrotki, lądując bez świadomości na ziemi, a jego ciało rozciągnęło się bezwładnie na twardym podłożu.

Dziki odwrócił się, dostrzegając Ścierwojada z ogromnym miotaczem. Mężczyzna miał na plecach dwie duże butle, jak nurkowie przy swoich kombinizonach, a rury od nich odchodzące, łączyły się z korpusem broni o absurdalnie wielkiej lufie.

Zjawa krzyknęła przestraszona, a Ścierwojad nacisnął spust po raz kolejny. Dwie śruby poleciały w stronę dziewczyny, która ledwo zdążyła od-

błysnąć się na bok. Zamiast jednak ruszyć potem do ataku, padła na kolana, łapiąc się za głowę z miną, jakby nagle dostała kłasterowego bólu.

Dziki błyskawicznie uświadomił sobie, co to oznacza. Dziewczyna musiała być w momencie użycia błędów, przestraszona, a nie wściekła. To doprowadziło do ataku, bo nie było zgodne z jej Pierwotną Wolą.

Zostając jako ostatnia linia obrony, Dziki złapał natychmiast za broń. Ręka mu zadrżała, a serce łopotało jak szalone. Znowu nie było to, czego oczekiwał. Gdzie była jego Pierwotna Wola? Dlaczego nie budziła się, kiedy tak jej potrzebował? Chciał zabić tego Ścierwojada. Wiedział to. Nagle poczuł to charakterystyczne drgnięcie we wnętrzu, ale nie umyślało się ono w najmniejszym stopniu do tego, co czuł pod autobusem. Wtedy dotarło do niego, że za długo wszystko rozważał, zamiast po prostu atakować...

Nim zdążył nacisnąć spust, Ścierwojad wystrzelił pierwszy. Śruba kolejowa leciała w kierunku jego głowy. Cała jego Wola, jaką zdążył zgromadzić, robiła wszystko, by zmienić tor jej lotu. Metalowy walec co prawda odchylił się, ale i tak trafił Dzikiego w ucho.

Ignorując eksplodujący z boku głowy ból, sam również nacisnął spust. Jego pocisk trafił w strzelca, a ten runął na ziemię, przeważony ciężarem zbiorników na gaz.

Dziki, przekonany, że to koniec, doskoczył natychmiast do wijącej się po ziemi towarzyszki.

— Zjawa! Zjawa! Wytrzymaj! Skup się, dasz radę! — wołał, próbując utrzymać ją w miejscu.

Do dziewczyny jednak nic nie docierało. Miotła się jak w ataku padaczki, a jej ciało wyginało się w nienaturalnych pozach. Trwało to dłuższą chwilę, nim w końcu straciła przytomność. Dziki z trudem przełknął ślinę, wpatrując się w jej bladą twarz, która na szczęście wciąż była wyraźna i nierozmyta.

Zostawiając ją, ruszył w stronę Pierwszego. Umysł wypełniały mu teraz najczarniejsze myśli, bo jego kompan leżał jak bez życia. Najdelikatniej jak potrafił, rozpiął mu hełm, którego metalowa powierzchnia była wyraźnie wgnieciona. Następnie zsunął z niego kamizelkę, która teraz wydawała się być cięższa niż kiedykolwiek wcześniej. Oddech Pierwszego był płytki i nieregularny, a z ust wylewała mu się krew.

Nagle Dziki usłyszał odgłos kroków, które zbliżały się do niego z przerażającą szybkością.

— UWAŻAJ! — krzyknął Elemis, ale było już za późno.

Nim Dziki zdążył zareagować, dwa Ścierwojady dopadły do niego. Jeden chwycił go natychmiast za rękę, zaciskając palce jak stalowe imadło, a drugi przycisnął go brutalnie do boku samochodu. Chociaż Dzikiemu udało się utrzymać pistolet w zaciśniętej dłoni, to nie miał szans na wycelowanie.

Pierwszy z napastników zaczął uderzać go kolanem w brzuch, a jego towarzysz ciągle blokował mu rękę, starając się wyrwać broń.

Dziki czuł, jak po każdym kolejnym ciosie zatyka go coraz mocniej. Wiedział, że nie ma szans. Był już pewien, że zaraz odpłynie. Wtedy usłyszał strzał.

Bok jednego ze Ścierwojadów rozerwało na strzępy. Drugi, widząc to, puścił rękę Dzikiego i rzucił się do ucieczki. Elemis wyskoczył do przodu, celując z należącej do Zjawy strzelby i nacisnął spust. Biegącego Ścierwojada prawie okręciło w powietrzu, gdy chmara śrutu uderzyła w jego plecy.

Pokonując napastników, mężczyzna odetchnął ciężko, opierając strzelbę na barku: — Chłopie, musisz się bardziej rozglądać... — wypomnił Dzikie-mu, nerwowym głowem.

Ten skinął głową, spoglądając niepewnie na broń w rękach Elemisa. Strzelba miała tylko dwie komory, więc nie było w niej amunicji. Mogła co najwyżej służyć teraz jako niezbyt poręczna pałka. Nieco spokojniejszy, podsunął się ponownie do nieprzytomnego Pierwszego, kątem oka wciąż obserwując, czy Elemisowi nie przyjdzie nagle do głowy go zaatakować.

Mężczyzna najwyraźniej nie miał tego w planach, bo stanął natychmiast obok, nachylając się nad Pierwszym.

— Bardzo z nim źle? — zapytał.

— Mocno oberwał, nie wiem nawet, jak mu pomóc... — wyszeptał Dzikie, pełen przelewającej się frustracji. — Cholera, jasna! — krzyknął w końcu, z bezsilnej złości.

Zjawy słysząc to, zajęczała, wyraźnie wracając do świadomości.

Elemis podbiegł do niej natychmiast. Podniósł jej głowę. Jego ruchy były delikatne, jakby bał się, że może przypadkiem zrobić jej krzywdę.

— No już, już, ślicznotko. Nikt cię nie skrzywdzi, póki tu jestem — stwierdził, po czym spoglądając się na Dzikiego, spytał: — Co właściwie jej się stało? Przecież zdążyła odskoczyć...

— Nadużyła błędów... — wyjaśnił Dzikie, rozglądając się po okolicy. — Nie możemy tu zostać, musimy ich stąd zabrać...

Elemis skinął głową i podnosząc dziewczynę, przyciągnął ją do drzwi szoferki. Dzikie ruszył od drugiej strony kabiny i pomógł wciągnąć Weterankę do środka. Potem we dwóch unieśli delikatnie Pierwszego i wsunęli go na krypę.

Na tym niestety pomysły Dzikiego się kończyły. Zastanawiał się, czy nie powinni spróbować jakoś wrócić do Centrum, gdy nagle Elemis zaproponował: — Zostań z Pierwszym na pace. Ja zawiozę nas do lekarza...

Dziękmu ta propozycja wydała się niemal natychmiast podejrzana.

— Dlaczego miałbyś to zrobić? — spytał zdziwiony. — Dlaczego w ogóle mi pomagasz? Przecież mogłeś dać im mnie zabić i uciec? Przecież cię porwa-

liśmy! — zauważył, nie mogąc uwierzyć w dobrą wolę swojego niedawnego zakładnika.

— Bo twój kumpel to w porządku gość — stwierdził niespodziewanie Elemis. — Nie pozwolił zabić Huberta, zostawił mi broń tak, jak obiecał... Jak dla mnie nasza umowa dalej obowiązuje — wyjaśnił, patrząc Dzikemu prosto w oczy, jakby chciał w ten sposób potwierdzić, że można mu ufać.

— Jakiego Huberta? O kim ty mówisz? — spytał zdezorientowany Dzik.

Elemis opuścił głowę, tłumacząc: — O gościu z garażu. To jedyny prawdziwy kumpel, jakiego mam w tym świecie. A teraz siadaj, nie chcemy tu dłużej stać...

— Dokąd w ogóle chcesz jechać? — spytał Dzik, wciąż niepewny czy powinien zaryzykować.

— Najbliżej mamy do sadu, ale tam nie mają prawdziwego lekarza, tylko jakiegoś łapichuja — stwierdził Elemis. — Okręcimy trochę drogę i pojedziemy do „Garażu”. Mają tam najlepszego doktora na Zarzeczu.

Dziki oddałby wszystko, by znalazło się jakieś inne rozwiązanie. Niestety, o ile jeszcze w Centrum pewnie udałoby mu się zorganizować jakąś pomoc dla kompanów, tak tutaj... Naprawdę nie miał pojęcia, co robić dalej. Skinął więc głową, przyjmując pomoc od byłego zakładnika, a potem wskoczył na krypę.

Elemis wszedł do szoferki i odpalił silnik. Całą okolicę wypełnił ryk starego diesla. Najprawdopodobniej mężczyzna nigdy nie prowadził tak dużego pojazdu, bo najpierw bardzo długo nie mógł nim ruszyć, a gdy już mu się to udało, miał spore problemy z utrzymaniem go na drodze.

Dziki, ściskając nerwowo pistolet, obserwował okolicę. Czy wszystkie Ścierwojady były już martwe? Czy to był jedyny sprawny samochód, jaki mieli? Czy dałby radę obronić ранnego Pierwszego i nieprzytomną Zjawę, gdyby znowu ich zaatakowali? Myśli krążyły mu po głowie, a oczy błędziły między budynkami w poszukiwaniu niebezpieczeństwa.

Jakby nie miał dość problemów, w tym momencie do głowy przyszedł mu słowa Modrzewa: „Nikogo nie zdołasz ocalić”.

To krótkie stwierdzenie odbijało się echem w jego umyśle, wpędzając w coraz większe poczucie winy i bezradności. Zsuwając się po burcie krypy, poczuł, jak łzy cieką mu po policzkach. Dlaczego tak późno zdał sobie sprawę ze swojej beznadziejności? Dlaczego przez tak długi czas udawał, że może być strażnikiem autobusu? Miał teraz na sumieniu tyle osób, a za chwilę mogły dojść kolejne. Kolejne ofiary jego durnych decyzji. Przez głowę przebiegła mu myśl o ucieczce przed Delimerem.

— Powinienem był wtedy zginąć... — wyszeptał, a jego wzrok skupił się na nieprzytomnym Pierwszym. — PO CO? PO CO MNIE WTEDY RATOWAŁEŚ?! POWINIENEM BYŁ UMRZEĆ! — wykrzyczał.

— Ja też... — wyszeptał Pierwszy, na co Dzikemu odebrało mowę.



Rozdział VI

Doktor

Pogrążony w myślach, Dzik siedział oparty o pordzewiałą burtę Jelcza. Ciężarówką szarpało tak, jakby za chwilę miała się rozpaść. Z silnika wydobywał się nieustanny metaliczny warkot, a z rury wydechowej, co chwilę wystrzeliwały kłęby czarnego dymu. Zważywszy na stan ciężarówki, to był właściwie cud, że wciąż jeszcze jechali. Dla Dzikiego było to jednak w większości bez znaczenia. Jego myśli zaprzętała teraz kwestia, która przyćmiewała wszystko inne — To był właściwie koniec ich ratunkowej wyprawy.

Pierwszy, jedyna osoba, która wiedziała cokolwiek o tej części miasta, został ciężko ranny i być może minuty dzieliły go od śmierci. Co gorsza, nawet gdyby udało im się zorganizować dla niego jakąś opiekę medyczną, to bez jego pomocy Dzik i Zjawa nie mieliby praktycznie żadnych szans na odnalezienie i uratowanie Oli. Oczywiście, sama Weteranka musiałaby wcześniej dojść do siebie, ponieważ po niespodziewanym ataku ze strony Ścierwojadów nadużyła swojej Woli do tego stopnia, że nie tylko straciła przytomność, ale i zapewne o włos otarła się o defekt.

Jakby tych wszystkich nieszczęść było mało, za kierownicą ciężarówki, którą podróżowali, siedział teraz ich niedawny zakładnik. Co prawda wcześniej, zupełnie niespodziewanie, uratował on Dzikiego i obiecał mu dalszą pomoc, ale jego zachowanie zakrawało o jakieś kuriozum. Nawet gdyby jakimś cudem okazało się, że nie jest to podstęp i mężczyzna z powodu skrajnego syndromu sztokholmskiego nie miał zamiaru ich wydać w najbliższym mieście, to wieść o jego porwaniu na pewno już rozeszła się po Zarzeczu. Byłby to cud, gdyby przed bramą Dzikiego i jego kompanów nie przywitały lufy ciśnieniowych strzelb. Myśl o tym ścisnęła mu żołądek.

Załamany Dzik próbował wymyślić cokolwiek, co mogłoby choć trochę wyciągnąć ich z tego bagna, w którym się znaleźli. Niestety, żadna sensowna myśl nie przychodziła mu obecnie do głowy, bo sama sytuacja zdawała się być po prostu bez wyjścia. Czując, jak poczucie winy i beznadziejności znów przejmują nad nim kontrolę, zacisnął wściekle pięść i uderzył nią z całej siły w krypę samochodu. Ból rozlewający się po kościach przyniósł mu chwilowe zapomnienie. Gdy miał już zamiar uderzyć po raz kolejny, przed jego oczami coś błysnęło.

Zjawą pojawiła się niespodziewanie, materializując się w powietrzu nad jadącą ciężarówką. Jelcz momentalnie uciekł jej przez to spod nóg, tak że pofrunęła do tyłu, uderzając plecami o jego burtę.

Mimo upadku, jakiego doświadczyła dziewczyna, sam fakt, że wróciła do przytomności, przyniósł Dziakiemu ogromną ulgę.

— Obudziłaś się! — zawołał uradowany i podsunął się natychmiast, by pomóc się jej podnieść.

Zjawą, chwytając go za rękę, poprawiła się, po czym usiadła na skraju pojazdu. Jej dłonie drżały z nerwów, ale starała się ukryć to przed Dziakiem.

— Cholera, teraz chyba się nie dziwisz, że staram się ciągle chodzić wkurwiona — wyrzuciła z siebie z irytacją, rozmasowując plecy. — To jedyny sposób na uniknięcie takich niespodzianek — dodała, rzucając potem szybkie spojrzenie na nieprzytomnego Pierwszego. — Co z nim?

Dziki nie odpowiedział od razu, tylko usiadł obok dziewczyny, skrywając twarz w dłoniach.

— Naprawdę nie wiem — wydukał z żalem. — Jak te śruby w niego walczyły, myślałem, że na miejscu go zabiły... — dodał, nie czując w sobie dość sił, by próbować opisać to delikatniej.

Zjawą przez chwilę przyglądała się, jak ich kompan ciężko oddycha. Chociaż jej twarz pozostała skupiona, to przejęte spojrzenie zdradzało, że naprawdę obawia się o jego stan.

— Dokąd właściwie jedziemy? — spytała w końcu, odruchowo wyglądając za burtę samochodu. — I czemu to nasz zakładnik prowadzi? — dopytała o wiele poważniejszym tonem.

Dziki odetchnął ciężko, zdając sobie sprawę, jak głupio zabrzmiało to, co teraz powie: — Do jakiegoś lekarza. Przynajmniej tak twierdzi Elemis...

Zjawą, słysząc kto przejął kontrolę nad wyprawą, zrobiła minę, jakby jej się to wszystko śniło.

— I niby po tym, jak go porwaliśmy, postanowił nam pomóc? — spytała ironicznie. — Naprawdę w to wierzysz? Czy też dostałeś śrubą w głowę?

Dla Dziakiego odpowiedź była oczywista, jasne że nie wierzył. Tylko czy mieli w tej chwili jakiś inny wybór? Spoglądając na Weterankę, spróbował przekonać ją, że miało to przynajmniej odrobinę sensu, bo naprawdę nie chciał teraz słuchać o tym, że jest łatwowiernym idiotą: — Kiedy byłaś nieprzytomna, miał okazję mnie zabić i uciec, ale tego nie zrobił... A tak poza tym, co innego możemy teraz zrobić?

Jego pytanie nie było jednak czysto retoryczne. W duchu miał nadzieję, że Zjawą wpadnie na jakieś rozwiązanie, którego on po prostu nie dostrzegał.

Dziewczyna podniosła się po chwili, obserwując kominy zakładów chemicznych, które, co dziwne, były widoczne nawet z tak odległej części miasta. Jej puste spojrzenie zdradzało, że próbuje coś wymyślić.

— Moglibyśmy wrócić do nas — zasugerowała w końcu, ale nie powiedziała niczego, o czym Dziki nie pomyślałby wcześniej. — Mam sporo odłożonych biletów na czarną godzinę — dodała coraz pewniejszym głosem. — Opłacilibyśmy Pierwszemu pobyt we Wspólnocie i lekarza z prawdziwego zdarzenia. On dochodziłby do siebie, a my moglibyśmy tu wrócić nawet we dwoje i...

— Zjawia... — wtrącił Dziki, czując, że kolejne zdanie ledwo przechodzi mu przez gardło. — Ja wątpię, że on przeżyje taką podróż....

Po tym stwierdzeniu Weteranka spojrzała ponownie na Pierwszego. Jego twarz była blada, usta sine, a oczy zamknięte tak mocno, jakby miały się już więcej nie otworzyć. Wszystkie te objawy, które mogli zobaczyć, były jednak zapewne niczym w porównaniu z obrażeniami wewnętrznymi, jakich ich kompan doświadczył. Śruba wgniotła przecież jego hełm jak plastelinę.

Do Zjawy musiało w końcu dotrzeć, jak realna jest perspektywa, że mogą wkrótce stracić Pierwszego. Jej oczy zrobiły się puste, jakby zupełnie uszło z nich życie. W jej twarzy Dziki wyczytał coś, czego wolałby w tej sytuacji nigdy nie zobaczyć, akceptację nieuniknionej.

Nie chcąc katować się tym widokiem, odwrócił się od Weteranki i wyrzwał na drogę. Pola powoli ustępowały miejsca coraz gęstszej miejskiej zabudowie. Popękane chodniki, pordzewiałe płyty i odpadające tynki znów zaczęły dominować w widoku okolicy. Każdy dom, który mijali, wyglądał, jakby miał się zaraz rozsypać. Cała ta część miasta sprawiała wrażenie jednego wielkiego poligonu. W opinii Dzikiego świadczyło to głównie o tym, że podobnie jak osiedle przy rzece, to miejsce też nie podlegało resetowi.

Po tym, jak minęli tablicę powitalną — „Witaj w Krańcowie, chemicznym centrum Polski” — Jelcz zatrzymał się z nagłym szarpnięciem.

Dziki poczuł przez to, jak serce mu przyspiesza.

— *Co się mogło stać? Czyżby Elemis zmienił zdanie? Albo może miał właśnie zamiar przyznać, że nie dadzą rady pomóc Pierwszemu?* — pomyślał, coraz bardziej rozgoryczony.

W międzyczasie ich dawny zakładnik wyszedł z szoferki, przywołując ich do siebie machnięciem ręki. Dziki razem ze Zjawą zeszli bez słowa na dół, czekając na to, co ma im do powiedzenia. Oboje musieli mieć przy tym nietęgę minę, bo mężczyzna spytał natychmiast: — Musi być z nim kiepsko, co?

— Na pewno... — odparł Dziki, spoglądając w stronę Elemisa. — To co teraz robimy? Czemu w ogóle stanęliśmy? — spytał, nie będąc już w stanie ukryć coraz bardziej narastającego zdenerwowania.

Mężczyzna kopnął przed nim w ziemię, podnosząc tuman kurzu, który uniósł się w powietrze.

— Musimy obgadać jedną rzecz — zaczął tłumaczyć głosem pełnym napięcia. — Przychodnia na pewno dała już przez radio sygnał, że zostałem

porwany. Trzeba będzie naprawdę dobrej ściemy, żeby waszemu kumpłowi w Garażu pomogli, a was nie zamknęli...

Zjawia, która od początku rozmowy spoglądała na mężczyznę bardzo podejrzliwie, nie wytrzymała i wtrąciła: — Nie potrafię zrozumieć, czemu w ogóle nam pomagasz. Co to w ogóle za gra?

Elemis popatrzył na nią, uśmiechając się sztywno.

— Może liczę, że na koniec się we mnie zakochasz i zabierzesz do Centrum — rzucił nagle, spoglądając uwodzicielskim wzrokiem na dziewczynę. Ponieważ jego „czar” nie wzbudził entuzjazmu, wytłumaczył się już poważnie: — Słuchajcie, mógłbym teraz zacząć opowiadać wam historie, że w sumie to mnie nie porwaliście, tylko przymusiliście do współpracy. Mógłbym wciskać kit, że polubiłem waszego kolegę, chociaż tu akurat jest ciut prawdy, bo wydaje się spoko gościem. Mógłbym opowiedzieć, że nie lubiłem Yuriego, bo był starzowym-nazistą i zasłużył na śmierć... Prawda jest taka, że gdy tylko usłyszałem, skąd jesteście, myślę tylko o tym, jak was przekonać, byście mnie zabrali ze sobą...

Dziki, słysząc to wyjaśnienie, był z początku naprawdę zaskoczony, ale po chwili poczuł znaczną ulgę. Ukryty interes był czymś, w co był w stanie uwierzyć o wiele mocniej niż w nagłe przekonanie się Elemisa do ich sprawy. Mimo to, patrząc niepewnie na mężczyznę, spytał: — Nie wierzysz w zwycięstwo Zarzecza? Co z waszą zasadą: wszyscy albo nikt?

Elemis wsadził ręce do kieszeni i kopnął w ziemię jeszcze mocniej, jakby próbował wyładować swoją frustrację.

— Cholera, tak szczerze to nawet bym tego zwycięstwa nie chciał. Mam swoje powody, dla których to miejsce nie jest dla mnie specjalnie miłe... — wyznał, tak przekonująco, że nawet Dzikemu wydało się to szczerze.

Zjawia wciąż jednak patrzyła na niego z niedowierzaniem i zauważyła coś, na co Dziki, nie zwrócił uwagi.

— Jesteś handlarzem w elitarnym butik! Oplýwasz tutaj w luksusy! Jak to miejsce może nie być dla ciebie „miłe”? — spytała, świdrując Elemisa wzrokiem.

Ten westchnął ciężko, unikając jej spojrzenia, a na jego twarzy pojawił się kpiący uśmiech.

— Jestem przede wszystkim oszustem... — przyznał, opierając się z zamachem o Jelcza. — Do tego kiepskim, bo już dawno zostałem zdemaskowany. Linart dowiedział się, że tak naprawdę jestem tu dopiero cztery lata. Od tej pory jestem właściwie jego niewolnikiem...

Dziki ze wszystkich sił chciał wierzyć, że opowieść mężczyzny była prawdziwa. Jeśli rzeczywiście miał powód, by uciec z Zarzecza, szansa, że ich nie wyda, była jeszcze większa.

Zjawia najwyraźniej doszła do tego samego wniosku lub pogodziła się z faktem, że nie mieli innego wyjścia niż zaufać Elemisowi. Postanowiła więc szybko i jasno ustalić zasady ich współpracy.

— Dobrze, pomóż nam z Pierwszym, a przeniosę cię do Centrum choćby na własnych plecach — zaproponowała, a jednocześnie jej surowe spojrzenie zdradzało, że jeśli mężczyzna spróbuje nie dotrzymać umowy, przypłaci to czymś więcej niż życiem. — Masz jakiś konkretny plan, jak przekonać gości z tego Garażu, by mu pomogli? — spytała, stając przed nim ze skrzyżowanymi rękoma.

Elemis, ewidentnie zaskoczony jej nagłą ofertą, zbierał przez chwilę myśli. W końcu, odwracając się od Zjawy i spoglądając na Dzikiego, zaczął opowiadać o tym na co wpadł: — Ciebie i Pierwszego przedstawimy jako zbieraczy braci Łęczyków. Prawdziwi zbieracze zapewne już są przerobieni na lasagne, więc nikt nas nie zdemaskuje. Powiem, że natknęliście się na mnie i moich porywaczy podczas walki ze Ścierwojadami, a potem uratowaliście... Niestety, w trakcie tego wszystkiego, jeden z was został ranny.

— Uwierzą w to? — wtrącił nieprzekonany Dzik. — Przecież ludzie w Garażu mogli znać zbieraczy...

Elemis miał jednak zdecydowanie inne zdanie na ten temat i machnęła tylko ręką, jakby odganiała natrętą muchę.

— Nawet jeśli znali poprzednich, to Łęczykowie ciągle zatrudniają nowych — stwierdził pewnie. — To niebezpieczne zajęcie, po dwóch, trzech razach nikt nie chce tego więcej robić. No i oczywiście ja, rzekomo „wyzwolony”, potwierdzę tę wersję.

Mimo że mężczyzna wydawał się mieć wszystko przemyślane, Dzik nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego plan miał spore luki i opierał się głównie na szczęściu.

— No dobra, ale co ze mną? — wtrąciła Zjawa, przerywając ich rozmowę.

Oczywistym było, że plan Elemisa nie uwzględniał zabrania ze sobą dziewczyny. Dzik czuł to od początku. Nawet Pierwszy, gdy rozmawiał z nimi w samochodzie, stwierdził, że Zjawa, jako zbyt charakterystyczna, nie powinna wejść z nimi do następnego miasteczka.

— Ty będziesz musiała się ukryć — przyznał w końcu Elemis, gdy zebrał w sobie dość odwagi, by powiedzieć o tym dziewczynie. — Nikt nie uwierzy, że Łęczyk, zamiast zatrzymać taki cud obok siebie, wysłał cię do pracy.

Zjawa nie wyglądała na przekonaną, ale Dzik zauważył, że nie dała już rady zignorować kolejnego komplementu. Na jej policzkach pojawiły się delikatne czerwone plamy. Nie spoglądając więcej na Elemisa, rzuciła tylko pod nosem: — Gdzie mam się niby ukryć? Nie znam tego miejsca...

Elemis podrapał się po głowie, rozglądając po okolicy.

— Zabierzemy cię do jakiegoś schronienia możliwie blisko Garażu... — powiedział w końcu nieszczerze entuzjastycznym tonem. — Tylko, że jeśli w tym czasie przyszlaby Ciemnia, możesz tam mieć gości... Niekoniecznie miłych gości...

Dziki z niepokojem obserwował reakcję Zjawy na te propozycje. Jeśli dziewczyna nie zgodziłaby się zostać sama, wróciliby do punktu wyjścia, czyli braku planu. Na szczęście musiała zrozumieć, że tylko w ten sposób Pierwszy może mieć jakąś szansę, i mimo że było to cholernie niebezpieczne, zaakceptowała konieczność rozdzielenia.

— Uwierz mi, że z nieproszonymi gośćmi to akurat sobie poradzę — oznajmiła, strzelając kostkami.

O dziwo, to na twarzy Elemisa, który zaproponował to wszystko, zagościło zwątpienie. Dziki miał wrażenie, że naprawdę nie chciał zostawiać Zjawy z tyłu. Jego mina zdradzała, że próbuje jeszcze coś wymyślić na ostatnią chwilę, ale podobnie jak Dziki, musiał dojść do wniosku, że nie mają żadnej alternatywy. Z wymuszonym uśmiechem mężczyzna stwierdził więc: — A wiesz, że jestem w stanie uwierzyć... — potem, łapiąc za drzwi Jelcza, dodał: — To wsiadajcie! Tym padłem czeka nas jeszcze kilka minut drogi.

Dziki razem ze Zjawą wrócili na krypę. Po chwili ciężarówka ruszyła dalej, kopiąc przy tym, jakby miała zamiar przemienić się w parowóz.

Rozmowa z Elemisem dała im przynajmniej minimalną nadzieję. Do Dzikiego dotarło natomiast, że nadal nie miał pojęcia, co powinien zrobić dalej. Nawet jeśli cały ten plan jakimś cudem wypali i w Garażu pomogą Pierwszemu, zamiast go zabić, to jak długo będzie on dochodził do siebie? Czy zamiast czekać na jego powrót do zdrowia, nie powinni raczej ruszyć dalej ze Zjawą, by odnaleźć Oli? Jakie miałby jednak szanse bez przewodnika w tym świecie? No i czy jego towarzyszka zgodziłaby się na takie rozwiązanie?

Przez te wszystkie pytania, na które nie mógł sobie odpowiedzieć, poczuł się, jakby głowę wypełniła mu masa ciężkich kamieni. To z kolei musiało odbić się na jego mimice, bo Zjawa, myśląc chyba, że po raz kolejny się załamała, poklepała go po ramieniu.

— Głupku, damy radę... — powiedziała, próbując go pocieszyć. — Niech tylko opatrzą Pierwszego. Może moglibyśmy dać jakoś znać temu Smutnemu, że on tu jest? Wydawało mi się, że nasz maruda był dla niego ważny. Raczej nie odmówiłby mu pomocy...

— Zobaczmy... — odparł Dziki, ucinając temat. Naprawdę nie miał w tym momencie ochoty na gdybanie.

Przez kilka kolejnych minut skupił się na drodze, a jedyna neutralna myśl, jakiej był w stanie się złapać, to rozważanie, gdzie właściwie znajduje się „Garaż”. Nie przypominał sobie, by w okolicy były jakieś duże budynki albo warsztaty samochodowe. Nazwa osady wyraźnie sugerowała, że musiało być to jakieś miejsce związane z mechaniką pojazdową.

W tymczasie wyjechali na główną drogę, która w prostej linii prowadziła do zawalonego mostu i Centrum. Tu Elemis zrobił niespodziewanie kolejny postój, zatrzymując pojazd w pobliżu schronienia, w którym zapewne chciał zostawić Zjawę.

— Nie podoba mi się to — stwierdziła dziewczyna, wychylając się z krypy, by przyrzeć się budynkowi, przy którym stanęli. — A jeżeli on jednak planuje nas wydać? Chce nas rozdzielić, żeby strażnicy mieli z nami większe szanse? Myślałeś o tym? — szepnęła do Dzikiego.

Ten opuszczył głowę, która nagle wydała mu się jakby zrobiona z ołowiu.

— Tak, przez cały czas... — wyjął zrezygnowany. — Tylko że to jest jedyna szansa dla Pierwszego — podkreślił, dodając na koniec: — Posłuchaj. Gdy już odjedziemy, nie będę miał nawet radia, żeby cię ostrzec. Gdyby coś poszło nie tak, może zamiast czekać, spróbuj wrócić do Centrum?

Zjawa zamyśliła się przez chwilę, spoglądając w niebo.

— Mogłabym, ale nie chcę — stwierdziła pewnym głosem. — Zostawiając was tutaj, czułabym się jak zdrajca... Zrobiłabym dokładnie to samo, co zrobiono mi... Poczekam na ciebie — obiecała, proponując na koniec coś naprawdę niezwykłego: — Jak nie będziesz przez dłuższy czas dawał znaku życia, poszukam tej twojej Oli na własną rękę. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

— Dziękuję... — powiedział Dzikie, zerkając ze wzruszeniem w stronę dziewczyny. To, co powiedziała na pożegnanie, chociaż mało optymistyczne, było najlepszym, co mógł w tej sytuacji usłyszeć.

Garaż, siedlisko mechaników z Zarzecza, mieścił się w dawnej remizie ochotniczej straży pożarnej. Remiza, choć już od lat nie służyła swojemu pierwotnemu przeznaczeniu, nadal wyglądała, jakby wycięto ją ze Starego Świata. Solidna, ceglasta budowla z charakterystyczną, czerwoną wieżyczką na dachu, na pierwszy rzut oka nie zmieniła się niemalże wcale. Tego samego nie dało się natomiast powiedzieć, o otaczającym ją terenie. Plac wokół remizy oraz kilka sąsiednich domostw zostało oddzielonych od reszty miasta wysokim murem zbudowanym z euro palet i falowanej blachy. Na szczycie prowizorycznych obwarowań stali strażnicy w robotniczych kombinezonach, którzy z miejsca obruszyli się na widok nadjeżdżającej ciężarówki.

Dzikie, stojący na jej krypie, przełknął nerwowo ślinę, obserwując, jak mężczyźni wymierzali w jego stronę ciśnieniowe strzelby.

Elemis wyhamował Jelcza ledwie kilka metrów od płotu, następnie opuszczył szoferkę i przeszedł z podniesionymi rękami w stronę bramy. Strażnicy musieli go znać, bo natychmiast opuścili broń. Mimo to wciąż zerkali z nietęgimi minami w stronę pojazdu, którym mężczyzna przybył.

Moment ten był dla Dzikiego najbardziej stresujący. Gdyby Elemis planował ich wydać, nie miałby już możliwości, by temu zapobiec. Zaciskając palce na ukrytym za burtą pistolecie, obserwował, jak jeden ze strażników podchodzi do niego, a potem uważnie wsłuchuje się w pośpieszne tłumaczenia.

Strażnik ten, zdecydowanie wyróżniał się spośród innych. Miał na sobie strój, który składał się z ciężkiego skórzanego pancerza, wzmocnionego metalowymi płytkami, strategicznie rozmieszczonymi na klatce piersiowej, ramionach i nogach.

— *I jak to będzie?* — pomyślał Dziki, widząc, jak mężczyzna kiwa głową, wsłuchując się w opowieść Elemisa. Czy ich dawny zakładnik naprawdę chciał im pomóc? A może właśnie zdradzał, kto tak naprawdę znajduje się w ciężarówce?

Po krótkiej wymianie zdań wzrok strażnika padł na krypę Jelcza. Prawie natychmiast podniósł radio i wydał jakąś krótką komendę.

Czy z jego ust padło słowo „alarm”? Czy za chwilę wyskoczy na nich banda uzbrojona po zęby?

Dziki poczuł, że głowa zaraz eksploduje mu z nerwów. Kątem oka spojrzął na nieprzytomnego Pierwszego. Nieważne, co by się teraz nie stało, nie miał zamiaru go porzucić. Liczył tylko, że jeśli dojdzie do walki, jego Pierwotna Wola chociaż raz nie zawiedzie.

Na szczęście, zamiast oddziału szturmowego, zza bramy wypadło dwóch ratowników z noszami. Przebiegli obok strażnika, zachodząc od tyłu wywrotki. Jeden z nich natychmiast wskoczył na krypę i dostrzegając Pierwszego, spytał: — Bardzo z nim źle?

— Nie mam pojęcia! — odparł Dziki, obserwując, jak po chwili drugi ratownik również wdrapuje się na górę. — Dostał śrubami kolejowymi w głowę... — dodał nerwowo.

Przybyli na pomoc pracownicy Garażu natychmiast ułożyli rannego Pierwszego na noszach, a potem najdelikatniej, jak tylko mogli, ściągnęli go z auta.

— Zabierzemy go do kliniki, a ty idź lepiej pogadać z Adim — poradził jeden z nich.

Potem nie czekając, ratownicy pobiegli z Pierwszym w kierunku bramy i już po chwili zniknęli gdzieś za plotem.

Dziki nie mając innego wyjścia, zeskoczył z krypy i ruszył w stronę Elemisa oraz strażnika, z którym ten rozmawiał przed wejściem do osady. Strażnik musiał być co najmniej szefem ochrony, bo nosił nie tylko wyróżniający się kombinezon, ale miał także prawdziwy pistolet w kaburze przy pasku. To jak na standardy Zarzeczca wydawało się już czymś naprawdę nobilitującym.

Gdy tylko Elemis zauważył zbliżającego się Dzikiego, od razu przedstawił go fałszywym pseudonimem: — To Timon, rok ósmy. Dopiero co zatrudnił się u Łęczyków...

Być może przez nerwowe zachowanie handlarza z Przychodni, strażnik przyjrzał się potem Dzikiemu bardzo uważnie.

— Jestem Adi — przedstawił się, wyciągając jednocześnie rękę na powitanie. — Jeżeli jakimś cudem tego nie wiesz, to ja odpowiadam za ochronę tego

miejsca i jego mieszkańców — wyjaśnił, potwierdzając wcześniejsze domysły Dzikiego. — Chyba nie mieliśmy okazji się poznać? — spytał na koniec.

Dziki skupił całą swoją wewnętrzną siłę, by zachować po tym pytaniu spokój. Nie było wątpliwości, że historia, którą wymyślił Elemis, była sztytą grubymi nićmi. Szef ochrony pewnie zamierzał ocenić jej wiarygodność, rozmawiając teraz z nim. Nie miał innego wyjścia, jak tylko spróbować grać w tę grę. Problem w tym, że nie wiedział, w jakim momencie partii dołączył i jak wygląda sytuacja na stole. Jedyne, czego był pewien to, że jeśli będzie zbyt długo zwlekał z odpowiedzią na każde pytanie, Adi nabierze jeszcze więcej podejrzeń.

— Nie sądzę — zaczął, starając się brzmieć pewnie. Potem, wykorzystując tyle wiedzy o Zarzeczu, ile tylko miał, zaczął zmyślać swoją biografię: — Chyba że bywałeś często w Przychodni. Przez większość czasu stałem przy najdalszej cieplarni jako cieć. Dopiero niedawno Linart zgodził się, żebym zaczął się czymś innym.

Szef ochrony, wsłuchując się w jego słowa, uniósł znacząco jedną z brwi.

— O, więc byłeś wcześniej pod Linartem? Ciekawe... A powiedz, co się stało z waszym Pancernikiem? Łęczykowie raczej nie przerzucili się na to coś... — w tym momencie wzrok mężczyzny skupił się na Jelczu.

Dziki westchnął tylko, udając zmartwionego.

— Ścierwojady go roztrzaskały — oznajmił z żalem. — Z naszego transportera nie zostało nic, co można by odzyskać... Tak samo zresztą, jak z jego ładunku. Tyle wysokiej klasy żarcia szlag trafił! I to tuż przed inwazją...

Dziki najpewniej nie odegrał tym wywodem roli swojego życia, bo Adi spoglądał na niego bez większego przekonania.

— Elemis wspominał, że z porywaczami była kobieta. Szkoda jej trochę... Jak zginęła? — drążył dalej, wyraźnie analizując zachowanie Dzikiego.

Ten natomiast zupełnie zeszytniał. To był bez wątpienia test. Adi sprawdzał, czy jego wersja będzie się zgadzała z tą Elemisa. Tylko co teraz? Jakiego rodzaju kłamstwo mógł wymyślić mężczyzna? Raczej nie kombinował przesadnie, ale jakie były szanse, że obaj wpadną akurat na to samo? Zamiast ryzykować udzielenia odpowiedzi, spróbował czegoś innego i udał, że od tego przesłuchania nagle puściły mu nerwy.

— Jasne, że szkoda! — zawołał szczerze rozwścieczonym głosem, bo to, co za chwilę miał powiedzieć, wprawiało go w obrzydzenie do samego siebie. — Przydałaby wam się jakaś świeżynka! Co?! Po tych syfiarach, które wcisnęliście do Przychodni, sam przez tydzień leczyłem trypa z kutasa!

Adi, słysząc to oskarżenie, otworzył szeroko usta. Jego oczy, z niezrozumiałego powodu, zdradzały teraz najprawdziwsze zakłopotanie.

— To nie było celowe! — zaprzeczył wyraźnie zdenerwowany. — Kiedy dobijaliśmy z Linartem targu, mówiłem, że one są do „obserwacji”, a nie do natychmiastowego brania... Jest, jak jest! Wszyscy mają potrzeby, a zaraza

łatwo się przenosi! — Najwidoczniej Dzik uderzył przypadkowo w jakieś wyjątkowo czułe struny, bo szef ochrony pochylił się nagle do niego i wyszeptał, wciąż rozgniewany: — Możecie wejść! Tylko o tych dziewczynach więcej nikomu ani słowa! Jak się dowiem, że któryś był za bardzo rozmowny, to sobie zaraz będziecie pomocy szukać gdzie indziej!

Potem, wsadzając ręce do kieszeni płaszcza, Adi ruszył gniewnym krokiem w stronę bramy, zupełnie zapominając o całym wcześniejszym przesłuchaniu. Dla pozostałych strażników był to zapewne sygnał, że przybyli goście są w porządku, bo wrócili momentalnie do swoich spraw.

Jak tylko zostali sami, Elemis pochylił się do Dzikiego, szepcząc: — Skąd o tym wiedziałeś?

— Nieważne... — stwierdził Dzik, zupełnie zaskoczony tym, jak potoczyły się sprawy. — Powiedz lepiej, co go tak wkurzyło i dlaczego odpuścił?

Elemis rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie stoi na tyle blisko, by ich usłyszeć, a potem wyjaśnił pół głosem: — Garaż utrzymuje się z dwóch rzeczy: naprawy samochodów i sporego przybytku uciech. Gdyby się okazało, że ich dziewczyny sprzedają „swędzące gratisy”, to pieniądze z tego źródła mogłyby się mocno uciąć. Temat tych dziewczyn, które sprzedali do Przychodni, Linart zamiótł pod dywan w zamian za sporą dostawę części. O całej sprawie wiedziały tylko ofiary, bo nawet antybiotyki załatwiali jakąś pokątną drogą. Więc swoją historię o chorym praciu potwierdziłeś, że pracowałeś dla Linarta.

Dzik odetchnął z ulgą. Nigdy nie przypuszczał, że ta obrzydliwa historia zasłyszana przypadkiem od handlarza Szopa ocali mu kiedyś skórę. Niestety, chociaż zagrożenie zdemaskowaniem zostało odsunięte, wciąż wisiała nad nimi sprawa Pierwszego i jego stanu.

— Gdzie tutaj jest lecznica? — spytał, spoglądając na widoczną za prowizorycznym murem wieżę remizy.

— Zaprowadzę cię — stwierdził Elemis i ruszył przodem w kierunku bramy.

Pierwsze, co rzuciło się Dzikemu w oczy po wejściu do środka osady, to kilka wyjątkowych pancerniaków, stojących niemal na placu. Niegdyś musiały to być spore terenówki, ale teraz przekształcono je w istne fortyfikacje na kołach. Blacha pancerna objiała całe ich nadwozia, nadając im wygląd prawdziwych wojskowych transporterów. Dzik nie mógł się wręcz nadziwić ich znakomitemu stanowi. W porównaniu do innych pojazdów, które widział na Zarzeczu (łącznie z karetkami miasta Przychodni i autem Elemisa), te pancerniaki wyglądały niemal jak auta z salonu. Oczywiście pod warunkiem, że jakkolwiek salon sprzedawałby wojskowe pojazdy. Karoserie pancerniaków były starannie pomalowane zieloną farbą, a opony, chociaż masywne i wzmocnione, wyglądały, jakby dopiero co je odlano. Było jasne, że mechanicy z Garażu wkładali wiele pracy w utrzymanie aut w tak perfekcyjnym stanie.

Dalej, z boku remizy, znajdowały się duże, dwuskrzydłowe drzwi garażowe, przez które w przeszłości wyjeżdżały wozy strażackie. Wewnątrz, w miejscu dawnych boksów dla pojazdów pożarniczych, ustawiono stoły warsztatowe z narzędziami, półki z częściami zamiennymi oraz porozrzucane elementy silników i karoserii. W rogu stała stara, poplamiona olejem tablica ogłoszeń, na której wisiały jeszcze pożółkłe plakaty informacyjne i listy dyżurów sprzed lat.

Powyżej wejścia, w niewielkich oknach na piętrze, znajdowały się kwatery, gdzie niegdyś odpoczywali strażacy. Teraz były one zamieszkane przez mechaników, a z niektórych parapetów zwisały suszące się ubrania i narzuty.

Wokół budynku, na placu, porozstawiano różne prowizoryczne konstrukcje: blaszane szopy, namioty, a nawet parę przyczepek kempingowych, które służyły jako dodatkowe warsztaty lub magazyny. Teren był chaotyczny, ale najwidoczniej nie przeszkadzało to mieszkańcom Garażu.

Dziki razem z Elemisem przecisnęli się między tym bałaganem by dotrzeć na plac, który w Starym Świecie sąsiadował z remizą. Jego większą część zajmował średniej wielkości parterowy budynek, przerobiony obecnie na punkt medyczny. Mieszkańcy tego miejsca pokusili się nawet o przemalowanie go na białe i oznaczenie czerwonymi krzyżami.

— Dobra. Zobacz, co z twoim kumplem — rzucił Elemis, wskazując na budynek. — Ja się trochę pokręcę po Garażu. Gdyby ktoś zaczął nabierać podejrzeń, dam ci znać...

Dziki skinął w podzięcie głową i nie czekając, ruszył w kierunku drzwi. Kiedy jednak wyciągał rękę w stronę klamki, zamarł nagle, jakby dostał katatonii. Pierwszy otrzymał już pomoc, udało im się dostać do środka osady, przejść pierwszą kontrolę przy bramie. Tylko jak długo byli w stanie ciągnąć to przedstawienie? Jak długo potrwa, zanim do Garażu przyjedzie ktoś, kto będzie znał prawdziwych pracowników braci Łęczyków? Podróżowanie nie było tu łatwe, ale przecież handlarze tacy jak Szop krążyli między osadami przez cały czas. Ile mogli mieć czasu? Dzień? Dwa? Pierwszy na pewno nie wydobrzeje tak szybko, ale może ustabilizują go na tyle, by dało się go gdzieś zabrać? To było chyba jedyne sensowne wyjście.

Wracając do siebie, Dziki otworzył w końcu drzwi i wszedł do lecznicy.

W środku czekało go niemałe zaskoczenie. Tuż obok wejścia, przy niewielkim biurku, siedział najprawdziwszy starzec. Mężczyzna mógł mieć jakieś siedemdziesiąt, a może nawet osiemdziesiąt lat. Jego białe, rzadkie włosy były starannie przyczesane, a okrągłe okulary osadzone na haczykowatym nosie nadawały mu wygląd dostojnego profesora z dawnych akademii.

Dla Dzikiego, który od dawna nie widział nikogo w tak podeszłym wieku, postać wydała się fenomenem. Starzec z kolei, w ogóle nie wydawał się zaskoczony jego przybyciem.

— Pewnie przyszedłeś do kolegi? — spytał, podnosząc się powoli i z trudem ze swojego krzesła. — Cieszę się, że nie trzymali cię przy bramie zbyt długo. Czekalem z podjęciem dalszych kroków, żeby móc z tobą porozmawiać — oznajmił tajemniczo, zapraszając Dzikiego gestem dłoni, by przeszedł z nim dalej.

Dziki nie protestował. Chciał jak najszybciej zobaczyć Pierwszego i dowiedzieć się czegoś o jego stanie. Zastanawiał się tylko, kim był ten sędziwy człowiek, który go prowadził? Po tym, co powiedział, nasuwało się, że pełnił tu co najmniej funkcję ordynatora albo głównego lekarza. W takim wypadku, z jaką decyzją czekał on na Dzikiego? Czy Pierwszy miał przejść jakąś operację? Potrzebne było potwierdzenie, że ktoś pokryje jej koszty? Jeśli rachunek za usługi medyczne należało tu opłacić z góry, mogłoby to oznaczać kłopoty. Poza pistoletem, amunicją i niewielkimi zapasami żywności oraz podstawowych leków, Dziki nie miał przy sobie właściwie nic cennego. Co prawda, reliktyczny plecak Pierwszego mógł skrywać sporo wartościowych przedmiotów, ale niestety tylko jego właściciel wiedział, jak dobrać się do jego zawartości.

Tymczasem staruszek zaprowadził Dzikiego do pomieszczenia, które okazało się główną częścią lecznicy i słowo „lecznica” nie było tu na wyrost. Wszystko w środku przypominało prawdziwy szpital: białe ściany, wieszaki na kroplówki, charakterystyczne metalowe łóżka na kółkach. Całe wyposażenie sprawiało wrażenie, jakby pochodziło bezpośrednio z placówki medycznej, a sądząc po intensywnym handlu między osadami, najprawdopodobniej tak właśnie było. Jedynym szczegółem zaburzającym ten obraz, były reflektory chroniące przed Ciemnią. Ich ogromne ilości stanowiły nieodzowny element każdego zamieszkanego miejsca na Zarzeczu. Co ciekawe, ponieważ leki trzeba było gdzieś trzymać, a w dużych zamkniętych szafach mógł pojawić się Niewykształcony, wszystkie meble w pomieszczeniu miały przeszkłone drzwiczki.

Dziki zauważył, że nie licząc Pierwszego, placówka nie miała w tym momencie innych pacjentów. Jego kompan leżał pod ścianą, przykryty białą czystą kołdrą. W jego dłoni tkwił wenflon, przez który podawano mu dożylnie jakieś leki. Dziki zbliżył się natychmiast do łóżka, pytając doktora: — Jak bardzo jest z nim źle?

— Ma liczne obrażenia wewnętrzne, pęknięte co najmniej jedno żebro i wstrząśnienie mózgu... — odpowiedział staruszek, siadając po chwili w nogach Pierwszego.

Dziki, chociaż spodziewał się, że Pierwszy jest w okropnym stanie, to słysząc to z ust kogoś, kto naprawdę znał się na rzeczy, poczuł się jeszcze bardziej przybity. Oczywiście, obserwując, jak profesjonalnie wyglądało tu wszystko, mógł jeszcze mieć nadzieję, że jego ranny kompan dojdzie do siebie pod opieką tutejszych lekarzy. Był w tym wszystkim natomiast kluczowy problem. Obaj byli intruzami w tym świecie. Nie mogli więc nawet marzyć o długim leczeniu.

— Jest pan w stanie go jakoś ustabilizować? — spytał, próbując wybać, czy wspólna ucieczka będzie w ogóle możliwa.

— Postaram się... — odparł doktor, spoglądając niezmaconym spokojem na rannego Pierwszego. — Ale nim zrobię cokolwiek, muszę wpiery wiedzieć jedną rzecz. Czy twój towarzysz ma może obudzoną Pierwotną Wolę?

Zaskoczony Dziki zerknął badawczo na doktora. Nie był pewien, czy mógł powiedzieć prawdę. Posiadanie kontroli nad błędami mogłoby natychmiast powiązać ich ze Zwiadowcami, czego teraz chcieli za wszelką cenę uniknąć, bo przed porwaniem Elemisa podali się za członków tej grupy.

— Czemu to ważne? — spytał, starając się zyskać trochę czasu na przemyślenie sytuacji.

Doktor, wyczuwając zapewne, że unika odpowiedzi, przyjrzał mu się badawczo. W końcu, wdychając, wyciągnął z kieszeni szmatkę i zaczął wycierać swoje okulary.

— Leczenie pękniętego żebra jest bardzo długie i bolesne — opisał rzeczowo, skupiając się na polerowaniu szkieł. — Objawy wstrząśnienia mózgu też będą utrzymywać się przez co najmniej kilka tygodni. Gdyby twój przyjaciel posiadał Pierwotną Wolę, moglibyśmy to znacznie przyspieszyć. Oszczędzić mu bólu, potencjalnych powikłań, a wam obu pieniędzy... — po namyśle dodał zaś coś, od czego Dziakiemu prawie zatrzymało się serce: — Wiem, że zastanawiasz się, czy powinienś powiedzieć mi prawdę. Niemniej, gdybym chciał was wydać, zrobiłbym to, zanim podczepiłem mu kropłówkę.

— Wydać? Dlaczego wydać? Nie rozumiem! — skłamał Dziki, ale jego głos zabrzmiał w tym momencie zbyt nerwowo, by uznać ten wybuch za szczere zdziwienie.

— Niedawno przechodziliście przez rzekę — stwierdził spokojnie doktor. — Nietrudno się domyślić, że Zwiadowcy nie pracują dla handlarzy żywnością.

Dziki czuł coraz większe przerażenie obecną sytuacją. Stary medyk bezbłędnie ich rozgryził. Nie miał tylko pojęcia, jak. Czy Elemis ich zdradził? Przecież dopiero przed chwilą rozstali się przy wejściu, nie było więc takiej możliwości.

— Skąd pan to wie? — spytał w końcu, uznając, że i tak nie ma sensu dalej ukrywać prawdy.

Staruszek schował szmatkę z powrotem do kieszeni, założył okulary na nos i odsłonił nogę Pierwszego, prezentując jego czarne bojówki.

— Widzisz te małe wypalenia? — powiedział, wskazując długim palcem na szare plamki rozsiane po nogawce. — Gdy przejdzie się przez rzekę, większość Zwiadowców utrzymuje kontrolę nad kwasem, aż poczuje, że ich ubranie jest suche od wewnętrznej strony. Zapominają przy okazji, że wilgoć dłużej utrzymuje się na zewnątrz, gdzie nie ogrzewa nogawki ciepło ciała...

— Rozumiem... — powiedział Dzik, starając się nie zdradzać niepokoju w głosie. Niemniej czuł się teraz jak w potrzasku. Co powinien zrobić? Obezwładnić lekarza? Z tym, zważywszy na jego wiek, nie powinien mieć raczej problemów, ale co wtedy z Pierwszym? Potrzebował on pomocy i to kogoś, kto wiedział, jak mu pomóc. Staruszek nie wydawał się nieprzychylnie do nich nastawiony, może udałoby się go jednak przekonać, by ich nie wydał? Na początek musiał jednak zrozumieć jego intencje.

— Czemu w takim razie jeszcze nie wezwał pan straży? — spytał, czując, że odpowiedź na to pytanie będzie kluczowa dla jego przyszłości.

— Bo nie lubię podejmować pochopnych decyzji — odpowiedział mu doktor, przykrywając nogę Pierwszego z powrotem. — Gdy już pomogę twojemu przyjacielowi, będę miał jeszcze dość czasu, by ocenić, czy wydać strażnikom, kim tak naprawdę jesteście. Teraz spytam ponownie, już bez ogródek. Czy twój kompan ma Pierwotną Wolę, która byłaby w stanie pomóc mu w leczeniu?

Odpowiedź na to pytanie była dla Dzikiego dość prosta. Pierwszy użył opisu swojej Pierwotnej Woli jako przykładu, gdy tłumaczył mu, jak ma odgadnąć swoją własną. Miał też wrażenie, że akurat Wola Pierwszego, jak żadna inna, mogła mu pomóc w tej sytuacji.

— Z tego, co wiem, jego moc napędza lęk przed śmiercią... — nakreślił najlepiej jak potrafił.

Zgodnie z domysłami Dzikiego, doktor pokiwał głową, wyraźnie zadowolony.

— To dobrze. Taka specyficzna Pierwotna Wola może okazać się bardzo pomocna — stwierdził, poprawiając okulary. Następnie podniósł się i ruszył w głąb gabinetu do oszklonej szafki, gdzie schowane były leki. Spośród różnych ułożonych we wnętrzu medykamentów wyciągnął małą buteleczkę i strzykawkę.

— Co ma pan zamiar zrobić? — spytał Dzik, widząc, jak staruszek naciągnął mętny płyn, który przypominał mu nieco Remedium Kuby.

— Spróbuję chociaż na chwilę wybudzić twojego druha — wytłumaczył doktor, krocząc z lekarstwem w stronę łóżka. — Żeby Pierwotna Wola wspomogła leczenie, musi się aktywować. A to twój przyjaciel musi zrobić przynajmniej częściowo świadomie — dodał i drżącymi rękoma wcisnął zawartość strzykawki przez wenflon w dłoń Pierwszego.

Po kilku sekundach mężczyzna otworzył oczy. Jego twarz natychmiast przeszył grymas niewyobrażalnego bólu. Lekarz położył mu wtedy rękę na czole, szepcząc: — Jesteś ranny, ciężko ranny. Podałem ci mieszankę leków, wśród których znajdują się substancje, które będą w stanie aktywować Pierwotną Wolę. Rozbudź ją! Wycuj je! Dzięki temu wrócisz do siebie raz-dwa...

Pierwszy dyszał przez chwilę ciężko, błędząc nieprzytomnie oczami po suficie. Po jakiejś minucie ciężkiej walki z bólem znowu odpłynął.

— Udało się? — spytał Dziki, choć wiedział, że odpowiedź może być w tym wypadku bardziej skomplikowana niż zwykle „tak” lub „nie”.

— Trzeba mieć nadzieję, że moje słowa do niego dotarły i że zdążył aktywować swoją Wolę... — odparł staruszek, odchodząc od łóżka. — Chodź ze mną... — poprosił idąc w stronę drzwi.

Dziki wiedział, że w obecnej sytuacji i tak nie może odmówić, więc posłusznie przeszedł za doktorem do kolejnego pomieszczenia. To nie było już częścią lecznicy, a po prostu dobrze wyposażoną kuchnię. Po ilości osobistych rzeczy, jakie się w niej znajdowały, można było przypuszczać, że staruszek spędzał w niej większość swojego wolnego czasu.

Zatrzymując się w progu, Dziki obserwował, jak podchodzi on powoli do wiekowej kuchni gazowej i zapala ogień pod czajnikiem. Wciąż nie był pewien, o co w tym wszystkim chodziło. Czy to była jakaś gra? A jeśli tak, to jaki był jej cel? Od tych wszystkich niewiadomych zaczynała już boleć głowa.

— Napijesz się herbaty? — spytał go nagle doktor, a jego głos był przy tym bardzo uprzejmy i ciepły.

Zaskoczony, Dziki pokręcił głową.

— Nie. Podziękuję panu.

Staruszek musiał wyczuć jego niepewność, bo uśmiechnął się łagodnie, jakby chciał dodać mu otuchy.

— Wiem, że masz wiele pytań i że sytuacja jest trudna — zaczął, sięgając po dwie filiżanki. — Ale czasem, żeby podjąć najlepsze decyzje, trzeba się trochę uspokoić. Herbata zawsze pomaga mi oczyścić umysł i spojrzeć na wszystko z dystansu. Pamiętaj też, że nie jestem twoim nieprzyjacielem. W każdym razie jeszcze się nim nie stałem...

Dziki był właściwie chodzącym kłębkim nerwów, więc ostatnie, na co miał ochotę, to popijanie herbaty. Chyba, że ta składałaby się w większości z melisy. Uznał jednak, że lepiej nie urazić swojego gospodarza.

— Dobrze, niech będzie herbata — zgodził się w końcu, ale czuł, że raczej niewiele przejdzie mu w tym momencie przez gardło.

— Cieszę się — stwierdził o wiele weselszy doktor. — Muszę przyznać, że masz w sobie odrobinę kultury — pochwalił Dzikiego. — Dawno już nie słyszałem, by ktoś zwracał się do mnie tak grzecznie. Po tej stronie rzeki o wiele ważniejszy jest rok, w którym się pojawiłeś, niż urodziłeś — westchnął, sięgając po pojemnik z herbatą.

— Dlaczego mi pan to tłumaczy? — spytał Dziki, obserwując, jak doktor wlewa wrzątek do filiżanek i dodaje do niego liście herbaty.

— Bo nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę. W końcu nie jesteś z naszej strony rzeki... — wyjaśnił staruszek, przechodząc następnie z parującymi naczyniami do stołu.

Dziki poczuł, jak usta mimowolnie otwierają mu się po tej odpowiedzi.

— Skąd ten pomysł? — spytał, starając się wyglądać na zaskoczonego.

Doktor, wyraźnie zadowolony ze swojej dedukcji, aż uśmiechnął się pod nosem.

— W młodości oglądałem taki amerykański serial. Można by rzec, że jak pewien nierozgarnięty detektyw włoskiego nazwiska, bardzo lubię zwracać uwagę na szczegóły — tłumaczył, stawiając na stoliku nie tylko filiżanki, ale również cukiernicę. Następnie zaprosił Dzikiego gestem, by ten zajął wolne miejsce.

Gdy Dzikiego usiadł już na krześle, doktor uniósł do góry swoją filiżankę, a następnie wziął z niej spory łyk.

— Za mało słodka... — westchnął, dosypując sobie kilka łyżek cukru.

Dzikiego wpatrywał się w gospodarza ze skonsternowaną miną. Co to było za porównanie z detektywem? I dlaczego, skoro wiedział już, że on i Pierwszy pochodzą z Centrum, nie wezwał straży? Może nie był pewien i szukał dowodów? A może to była zwykła ciekawość i miał zamiar wydać ich po jej zaspokojeniu? Dzikiego coś w tym ewidentnie nie pasowało. Jeśli ludzi z Centrum traktowano tu jako wrogów, czemu doktor marnował swoje leki, żeby pomóc Pierwszemu? A może wcale mu nie pomógł? Może tak naprawdę przebudził jego kompana, by przyspieszyć jego agonię?

Przerażony spojrzał w stronę otwartych drzwi, za którymi leżał Pierwszy. Chciał już się podnieść i sprawdzić, czy mężczyzna żyje, gdy usłyszał, jak doktor siorbie herbatę i mówi: — Teraz jest dobra — potem jak gdyby nigdy nic wrócił do głównego tematu ich rozmowy. — Pewnie zastanawiasz się teraz, co cię właściwie zdradziło? — spytał.

Dzikiego potwierdził skinieniem głowy, ciągle rozważając, co powinien teraz zrobić.

— Oczywiście — wyjął doktor po chwili dramatycznej pauzy. — Leczyłem w swojej karierze wielu Zwiadowców. Niektórzy wracali z waszej strony w naprawdę potwornym stanie. Dzięki ich opowieściom mogłem dowiedzieć się masy rzeczy o tym, jak wygląda życie w Centrum. Wiem na przykład, że nie ma tam nikogo tak starego jak ja. Twoje spojrzenie, kiedy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy, ono powiedziało mi wszystko...

Dla Dzikiego było nie do pomyślenia, że coś takiego mogło go zdradzić. Niemniej już po chwili okazało się, że doktor miał jeszcze jedną, znacznie cenniejszą wskazówkę.

— Oczywiście celowo nie wspominałem na początku, że doskonale znam twojego przyjaciela, który leży teraz na łóżku. I wiem, że w Starym Świecie nie pochodził z tej strony rzeki...

— Zna pan Pierwszego? — wtrącił zszokowany Dzikiego.

Doktor, słysząc pseudonim mężczyzny, aż uśmiechnął się znad filiżanki.

— Więc tak go teraz tytułują? — spytał retorycznie, biorąc kolejny łyk herbaty. — Moja droga małżonka była ordynatorem oddziału psychiatryczne-

go, na którym twój druh spędził kilka miesięcy. W czasie wieczornych rozmów przy herbatce często opowiadała mi o nim. Wyjątkowy przypadek... — opisał, odstawiając potem na chwilę filiżankę.

Dziki spojrzał zmieszany na swoje nietknięte naczynie.

— Rozumiem, więc wiedział pan od początku...

— Od kiedy tylko zobaczyłem twarz mojego nowego pacjenta... — wtrącił doktor, zerkając w głąb kuchni na stary kredens.

Dziki zauważył, że stało na nim czarno-białe zdjęcie, przedstawiające elegancką kobietę w okularach. Kiedy spojrzenie doktora zatrzymało się na fotografii, zrobiło się nagle tak tęskne, jak mogło być tylko wtedy, gdy patrzyło się na bliskiego, który odszedł.

Doktor wrócił po chwili ciszy ze świata swoich wspomnień i popatrzył na Dzikiego, uśmiechając się szeroko.

— Ale przyznaj, że przynajmniej przez chwilę zaimponowałem ci dedukcją po oczach — zażartował, dosypując sobie kolejną łyżkę cukru. W tym momencie w jego filiżance musiało być już go o wiele więcej niż samej herbaty. — No dobrze, to teraz czekam na twoją historię i nie ukrywam, że wołałbym, aby była szczerą — stwierdził, unosząc „ulep”. — Chociaż i tak pewnie ukryjesz przede mną część faktów, to nieuniknione — dodał, nieco przygnębiony. — Powiedz na początek, co właściwie sprowadza cię do piekła na ziemi.

Dziki westchnął. Nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Jak opowiedzieć historię, by siedzący przed nim senior uznał, że warto mu pomóc?

Zaciskając oczy, wspomniął najpierw o autobusie, którego był strażnikiem. Opisał jego mieszkańców, w tym Oli, najmilszą dziewczynę na świecie. Opowiedział o tym, jak Zwiadowcy napadli na niego i wymordowali większość towarzyszy. Streścił moment, gdy razem z Pierwszym przedostali się przez rzekę, celowo pomijając obecność Zjawy, by chociaż ona była w razie czego bezpieczna. Opowiedział o drodze do Przychodni, o tym, jak spotkali Sznura. Potem w kolejnym schronieniu Szopa i Yuriego. Wspomniął, jak ten drugi pojawił się w Przychodni, niemal wydając ich, przez co zmuszeni byli „porwać” Elemisa, aż w końcu doszedł do momentu, gdy trafili na Ścierwojady i Pierwszy został ranny.

Lekarz przysłuchiwał się całej opowieści, sącząc powoli herbatę, a jego twarz wyraźnie posmutniała.

— Teraz wszystko rozumiem... — wyszeptał na koniec, odkładając w końcu filiżankę, która aż lepiła się od rozpuszczonego cukru. — Cieszę się, że najpierw cię wysłuchałem. Tego chyba człowiek uczy się z wiekiem. Nie działać pod wpływem chwili. Więc twój kompan wstawił się za Sznurem? To dobrze o nim świadczy...

Dziki odetchnął z ulgą. W głosie doktora trudno było doszukiwać się obłudy albo podstęp. Łapiąc łyk zimnej już herbaty, popatrzył na staruszkę,

który odpłynął teraz gdzieś myślami. Dopiero gdy odchrząknął cicho, zwrócił on z powrotem na niego uwagę.

— Przepraszam, zamyśliłem się — wyszeptał zawstydzony. — Posłuchaj chłopcze, podejrzewam, że nie masz przy sobie złamanego grosza, więc możesz przespać się tutaj. W tym momencie lecznica i tak jest pusta...

Dziki skinął głową. — Dziękuję bardzo.

— To żaden problem — stwierdził staruszek, podnosząc się z krzesła, by wstawić filiżankę do zlewu. — Oczywiście pamiętaj, że mimo tego, iż to nie twój świat, wciąż obowiązują cię zasady dobrego wychowania... — dodał, grożąc znacząco długim palcem.

— Nie sprawię kłopotów — obiecał Dziki, który tak naprawdę chciał już tylko dwóch rzeczy: pomóc Pierwszemu i ocalić Oli.

Nie miał też zamiaru ścigać Daro, chociaż musiał przyznać, że gdyby spotkali go przypadkiem, pewnie nie odpuściłby mu tego, co zrobił. Zemsta nie była jednak jego priorytetem.

Doktor, patrząc w jego smutną twarz, pokiwał tylko głową.

— Wierzę w to — stwierdził, dodając jednak jakimś wyjątkowo niepewnym tonem. — Przynajmniej przez jakiś czas...

— Przepraszam, że spytam — wtrącił nagle Dziki, który nieco spokojniejszy, mógł pozwolić swojej pierwotnej ciekawości na powrót do głosu. — Skąd pan właściwie wiedział, jak pomóc Pierwszemu?

Doktor oparł się o krzesło, zagłębiając się przez chwilę w myślach. — Leczyłem wielu ludzi posługujących się błędami. W dodatku sam mam rozbudzoną Pierwotną Wolę. Znam więc problem, że tak powiem, od podszewki... — wyjął.

Dziki słysząc to, najpierw był nieco zaskoczony, ale potem wydało mu się to wręcz oczywiste. Jego dobroczyńca nie był przecież ani tak sprawny, ani tak silny, jak młodszy od niego mieszkańcy Zarzecza. By przetrwać w tak nieprzyjaznym świecie, potrzebował czegoś, co mogło zapewnić mu przewagę.

— Teraz i dla mnie coś jest jasne... — stwierdził Dziki, kończąc herbatę.

— To znaczy? — spytał zaciekawiony doktor, zerkając na niego znad okularów.

— Jak udało się panu przetrwać... — wyjaśnił, na co staruszek zaśmiał się szczerze.

— To akurat nie Pierwotna Wola, tylko zawód, jaki pełniłem w Starym Świecie — sprostował, wskazując na błąd w myśleniu Dzikiego. — Od momentu swojego pojawienia się na cmentarzu, obchodzą się za mną jak z jajkiem, bo lekarze są po prostu cenni. Do tego jestem chirurgiem. Przyznam ci się też, że moja Pierwotna Wola opiera się na pomaganiu innym, więc kiepsko u mnie jeśli chodzi o walkę i przetrwanie.

Dziki słysząc to, spojrzał na swojego rozmówcę szczerze zdziwiony. — Przecież Pierwotna Wola to coś, co łamie charakter człowieka. Sprawia, że wy-

dobytą się z niego najgorsze możliwe cechy. Jak można mieć taką, która jest oparta na pomaganiu komuś?

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to, co powiedział, mogło być naprawdę nietaktowne. Przecież wprost zasugerował właśnie komuś, kto mu pomagał i ugościł, że jest jakimś zwyrodnialcem. Na szczęście doktor, zamiast się obrazić, postanowił wyjaśnić fenomen swojej woli, chociaż ewidentnie spochmurniał, gdy to robił.

— Wiesz, co to jest znieczulica lekarska? — spytał Dzikiego retorycznie i natychmiast sam udzielił odpowiedzi. — Każdy pracownik służby zdrowia przez to przechodzi. Gdy nie udaje ci się pomóc pierwszej osobie, rozpaczasz. Gdy na twoich rękach umiera druga, czujesz, że mogłeś zrobić dla niej więcej. Gdy zaczynają pojawiać się kolejni, po prostu w którymś momencie się na to uodparniasz. Uświadamiasz sobie, że nie zawsze i nie każdemu można pomóc. Działasz więc dalej wedle sztuki. Ludzie przestają być ludźmi, a zaczynają być zadaniami, które rozwiązujesz wedle schematu. To jedyny sposób, by przetrwać w tym zawodzie i nie oszaleć. Gdy pojawiłem się tutaj wszystko się zmieniło. Nie pomagałem obcym ludziom, tylko przyjaciółom i towarzyszom. Chciałem ich ratować. Nie dlatego, że byłem lekarzem, ale dlatego, że byłem z nimi związany. Gdy mi się nie udawało, znowu wracała rozpacz... taka sama, jak przy pierwszych pacjentach. To wystarczyło.

— Rozumiem — odparł Dzik, któremu przyszło teraz do głowy inne pytanie. — Więc nawet gdyby Pierwszy się nie obudził, mógłby mu pan pomóc?

— To tak nie działa, chłopcze — stwierdził doktor, wracając do normalnego, życzliwego tonu. — Żeby użyć błędów do leczenia ludzi, musi mi na nich zależeć. Dla mnie przed pół godziną byliście jeszcze obcymi personami. Teraz jednak, gdy opowiedziałeś mi waszą historię, wierzę, że twój kompan zasłużył na moją pomoc...

Dziki słysząc to, pomyślał, że może w końcu uśmiechnęło się do nich szczęście.

— To znaczy, że podjął pan już decyzję? — spytał, licząc, że usłyszy potwierdzenie, iż doktor nie wyda ich straży. Odpowiedź jaką usłyszał, miała jednak w sobie coś dziwnego.

— Ja tak i mam nadzieję, że zmotywuję cię tym, byś sam nie podejmował ich pod wpływem chwili.

— Nie rozumiem — stwierdził szczerze Dzik, ale doktor nie wyglądał już na skorego do ciągnięcia tematu dalej.

— Posłuchaj, muszę się chwilę zdrzemnąć. W moim wieku nawet prosta rozmowa potrafi wykończyć — wytłumaczył się. — Posiedź chwilę ze swoim kompanem. Gdyby działo się coś złego, nie wahaj się mnie obudzić.

Dziki miał wrażenie, że doktor kłamie. Nie wyglądał na zmęczonego, mimo to skoro przynajmniej na razie im sprzyjał, nie chciał wystawiać jego

cierpliwości na próbę. Dziękując za herbatę, skłonił się delikatnie i miał już udać się do wyjścia, ale staruszek zatrzymał go jeszcze przez chwilę, pytając: — Powiedz, jak właściwie na ciebie wołają?

— Dziki — odparł natychmiast.

— A twoje prawdziwe imię? — dopytywał dalej.

Odpowiedź na to pytanie nie była aż tak prosta. Po stronie Centrum prawie nikt nie używał dawnych imion. Dziki swoje prawdziwe imię pogrzebał razem z dawnym życiem, do którego nie miał już szans wrócić. Być może przez to nie chciał go zdradzać tak po prostu.

— Czy to ważne? I tak nie używam go w tym świecie... — odparł.

— Rozumiem — westchnął doktor, siadając w końcu na krześle. — Ja jestem Bronek, ale często wołają na mnie Biały.

— Przez włosy? — zapytał Dziki.

— Bo jestem w stanie oddać wszystkie pieniądze za cukier do herbaty... — wyjaśnił staruszek, zamykając oczy i dając w ten sposób sygnał, że chce już skończyć rozmowę.

Dziki zostawił go w spokoju, wychodząc do sali.

Dziki czuwał przy łóżku Pierwszego aż do wieczora. Niestety, stan jego kompana nie poprawił się ani o jotę. Pierwszy nie odzyskał przytomności nawet na chwilę, jego oddech pozostał płytki i nierówny, a twarz bez wyrazu życia. Dla Dzikiego, desperacko szukającego jakiegokolwiek nadziei, była to sytuacja wręcz załamująca.

Po rozmowie z doktorem, który wspomniał, że Pierwotna Wola może wspomóc leczenie, Dziki wierzył (choć irracjonalnie), że los znowu się do nich uśmiechnie. Myślał, że Pierwszy, który doskonale radził sobie z błędami, zacznie zdrowieć w oczach i w ciągu kilku godzin będą mogli opuścić to nieprzyjazne miejsce, wracając do poszukiwania Oli.

Nic takiego się jednak nie stało i nic nie wskazywało na to, że może się stać.

Doktor Bronek, który odwiedził Pierwszego kilka razy, nie podejmował więcej żadnych szczególnych prób leczenia. Ograniczał się jedynie do sprawdzania ogólnego stanu mężczyzny, a na pytania Dzikiego co dalej, stwierdzał tylko, że „czas pokaże”.

Dziki nie zauważył, by oprócz niego ktoś jeszcze przebywał w klinice. Albo Bronek odpowiadał tutaj za całość opieki medycznej, albo ze względu na brak pacjentów resztę pracowników odesłano tam, gdzie byli bardziej potrzebni. W miejscu takim jak Garaż raczej nie brakowało zajęć, więc trzymanie całej drużyny medyków, gdy w klinice nie było pacjentów, nie wydawało się zbyt rozsądne.

Przed samym zmrokiem do lecznicy zajął jeszcze Adi, kurtuazyjnie sprawdzić, co z Pierwszym. Oczywiście, nie znał on prawdziwego imienia mężczyzny, bo Elemis przedstawił go jako drugiego z poszukiwaczy Łęczyków. Gdy Dzik usłyszał więc: „Co u Bartka?”, tylko odrobina refleksu i zdrowego rozsądku uratowała ich przed zdemaskowaniem.

Szef ochrony na szczęście nie dręczył go kolejną serią przesłuchań. Po ocenieniu stanu Pierwszego wrócił do siebie. Dzik zastanawiał się, czemu mężczyzna tak szybko odpuścił, ale zanim zdążył coś wymyślić, odwiedził go Elemis, przynosząc odpowiedź na to pytanie.

— Adi skontaktował się z Przyrodną przez radio... — wyjął niespodziewanie, na co Dzik z początku osłupiał.

Gdy tylko dotarło do niego, co mogło to oznaczać, poderwał się i złapał za kaburę z pistoletem, przekonany, że za chwilę lecznica zostanie wzięta szturmem przez strażników. Elemis, widząc jego reakcję, szybko wyciągnął ręce i łapiąc go za kurtkę, posadził z powrotem na stołku obok łóżka Pierwszego.

— Spokojnie, nie wyszło to wcale najgorzej... — oznajmił pewnie, próbując uspokoić Dzikiego. — Wygląda na to, że Adi przekazał wasze rysopisy tak „dokładnie”, że jeden z Łęczyków jakimś cudem potwierdził, że to wy... no rozumiesz, wzięli was za Timona i Bartka.

Dzik skinął głową, nieco spokojniejszy, a Elemis, co dziwne, przekazał teraz kolejne dobre wieści: — Ogólnie, starszy Łęczyk obiecał zapłacić za wasz pobyt w Garażu, więc nikt nie powinien się was więcej czepiać. Jedyne na co musimy uważać, to gdyby w mieście pojawił się jakiś handlarz... — dodał, ścisząc odruchowo głos. — Oni mogliby was zdemaskować. Będę starał się wylapać, gdyby ktoś taki się tu pojawił — obiecał, dodając po chwili pewną sugestię. — Ale ty też, na wszelki wypadek, lepiej nie włócz się po placu.

Dzikemu nie trzeba było tego powtarzać. Każde spotkanie z miejscowymi było dla niego niezwykle stresujące. Miał tak szczątkową wiedzę o Zarzeczcu, że każda, przypadkowa rozmowa, mogła dla niego oznaczać wpadkę. Prawda była natomiast taka, że jedną, chociaż nie z własnej winy, zaliczył już wcześniej: — Doktor wie, że nie jesteśmy stąd — wyjął Elemisowi. — Ale na razie dalej nam pomaga...

Elemis na wieść o tym nie wyglądał na wstrząśniętego. Co najwyżej na lekko zaniepokojonego.

— Linart uważa Bronka za element „wywrotowy” — oznajmił, ściskając w zamyśleniu czoło. — Dlatego wydaje mi się, że on musi być w porządku — stwierdził po chwili, a po jego głosie można było wnioskować, że jest to jego szczerza ocena. — Trochę znajomych opowiadało mi, że był on ogromnym przeciwnikiem wprowadzenia zasady wieku. Dlatego zresztą wykopali go z Magistratu i skończył tutaj. Pewnie gdyby nie to, że jest właściwie nie do za-

stąpienia, już dawno by go zamkneli za drzwiami. Skoro zamiast sprzedać was Adiemu, dalej pomaga Pierwszemu, to chyba nie musimy się na razie martwić.

Dziki odnosił podobne wrażenie. Doktor Bronek wydawał mu się naprawdę przyzwoitym człowiekiem i po rozmowie, którą odbyli, raczej wątpił, by nagle pobiegł na nich donieść.

— Nie sądzę, żeby robił nam problemy — stwierdził, po czym upewniając się, że nikt nie nadchodzi, wyszeptał do Elemisa: — Nic mu nie wspominalem o Zjawie. Bardzo chciałbym dać jej jakoś znać, że na razie wszystko u nas w porządku...

Elemis skinął głową ze zrozumieniem.

— Też mi to chodziło po głowie. Tak myślę, że jak zaczniesz się nocna zmiana, wykradnę się przez bramę i zrobię sobie do niej mały spacer...

— To chyba niebezpieczne... — wtrącił zdziwiony Dziki, ale Elemis wydawał się niespecjalnie przejęty.

— Wiesz, że wszyscy po tej stronie rzeki jesteśmy dobrymi biegaczami? Słabi biegacze po prostu nie zdążają do kryjówki. Będę u niej w piętnaście minut, nawet jakby w połowie drogi złapała mnie Ciemnia, bez problemu zdążę. Najwyżej zwinę im z zapasów parę świec, na wszelki wypadek...

Gdyby chodziło o kogoś innego, Dziki pewnie protestowałby bardziej. Elemisa znał jednak krótko i chociaż zawdzięczał mu już całkiem sporo, to zdecydowanie wolał, by Zjawia rozeznała się w sytuacji. Nawet jego kosztem.

— Dobra... tylko uważaj na siebie — poprosił, dodając po chwili coś na zachętę: — I chciałbym, żebyś wiedział... Dotrzymamy słowa... zabierzemy cię tam...

— Wiem — stwierdził pewnie Elemis, patrząc mu prosto w oczy. — No, może tobie bym w tej kwestii nie zaufał... Bez obrazy! — dodał z uśmiechem, próbując złagodzić swoje słowa. — Ale piękna wydaje mi się naprawdę godna zaufania. Dlatego nie chcę, żeby się martwiła. Tymczasem oby Pierwszy szybko wydobrzeał... — zakończył, spoglądając w stronę drzwi i żegnając się z Dzikim.

Na dworze zrobiło się w międzyczasie całkiem ciemno. Dziki rozłożył się z powrotem na krześle, obserwując Pierwszego. Po jakimś kwadransie doktor Bronek przyszedł na kolejny obchód.

— Najważniejsze, że wciąż jest stabilny — powiedział, sprawdzając odczyty na urządzeniu, którego nazwy Dziki nawet nie znał. — Nie chciałbym forsować go kolejnym sztucznym wybudzeniem, na razie niech dojdzie trochę do siebie naturalnymi metodami — wyjaśnił, spoglądając znad okularów na swojego pacjenta. — Podaję mu leki przeciwzakrzepowe, przeciwbólowe i zmniejszające opuchliznę. Gdy wróci do przytomności i użyje Pierwotnej Woli, wszystko gwałtownie przyspieszy. Trzeba czekać — tłumaczył, chcąc chyba pocieszyć nieco Dzikiego.

Ten, wsłuchując się w jego słowa, uśmiechnął się krzywo pod nosem. — *Oby niezbyt długo* — pomyślał, a Doktor, widząc jego nietęgą minę, powie-

dział wyraźnie zmartwiony: — Powinieneś coś zjeść. Siedzisz tu już od tylu godzin, a nie widziałem, żebyś sięgnął chociaż po wodę.

— Mam coś w plecaku, zaraz zjem... — odparł Dziki, a doktor popatrzył na niego, marszcząc nieprzekonany czoło.

— Byłoby mi miło zjeść od czasu do czasu w jakimś towarzystwie — rzucił, spoglądając na Dzikiego z wyraźnym współczuciem. — Może rozważyłbyś przyjęcie zaproszenia na kolację?

Dziki był nieco zaskoczony, ale nie widział powodu, by nie przyjąć takiej propozycji. Nie tylko nie chciał urazić doktora odmową, ale jego czuwanie przy łóżku i tak niewiele pomagało Pierwszemu.

— To bardzo miłe z Pana strony, dziękuję... — powiedział, kłaniając się lekko.

Potem razem z gospodarzem przeszedł do kuchni, w której wcześniej pili wspólnie herbatę. Zajmując po raz kolejny miejsce przy stole, miał wyjątkową okazję ocenić, z jakimi przywilejami wiązała się praca medyka w Garażu. Doktor ugościł go między innymi: talerzem pełnym wędlin, pomidorami z miasta przychodni, masłem pochodzącym z szabru, a nawet własnoręcznie wypiekany i wciąż chrupkim chlebem.

Dzikiemu na ten widok aż pociekła ślinka i, mimo że wcześniej nie był pewien, czy cokolwiek przejdzie mu przez gardło, teraz marzył tylko o spróbowaniu czegoś z tych frykasów. Doktor Bronek nie pozwolił jednak zacząć posiłku, dopóki nie przygotował im po herbacie. Sam też nie był chyba szczególnie głodny, bo gdy Dziki pałaszował z zachwytem kolejne kanapki, nie jadł zbyt wiele, rozkoszując się głównie przesłodzonym do granic absurdu, gorącym napojem.

Gdy Dziki nasycił już głód i w milczeniu obserwował popijającego gospodarza, zaczął jednocześnie zastanawiać się, co z wyprawą Elemisa. W Garażu nie ogłoszono alarmu, więc pewnie udało mu się uciec za mury bez problemu. Teraz miał tylko nadzieję, że podróż do kryjówki Zjawy będzie dla niego równie łatwa.

— Martwisz się czymś? — spytał nagle doktor, przygotowując sobie dolewkę herbaty.

Dziki nigdy nie miał utrzymać pokerowej twarzy, więc to pytanie nie szczególnie go zaskoczyło. Oczywiście nie mógł powiedzieć prawdy, ale tym razem miał pod ręką proste i wiarygodne kłamstwo: — Dziwi się Pan? To dla mnie nowe, wrogie miejsce, w którym mój jedyny towarzysz i zarazem przewodnik został ranny, a ja jestem zdany na łaskę obcych ludzi. Ludzi, którzy zadeklarowali się jako nasi wrogowie... — odparł zdawkowo.

Bronek mieszał przez chwilę herbatę w swojej filiżance, obserwując Dzikiego z wyraźnym zakłopotaniem.

— Nigdy nie deklarowałem się jako wróg Centrum — stwierdził nagle, odkładając z brzdękiem łyżeczkę. — Zresztą prywatnie uważam, że zaczynanie

wojny to głupota. Ci, którzy tak hucznie ogłaszają walkę o miejsce do życia dla Zarzeczan, zapominają chyba, że po tamtej stronie wciąż mogą być ich znajomi, przyjaciele i rodziny sprzed tego chaosu. — Jego surowy ton nie pozostawiał wątpliwości, że ma do całego pomysłu inwazji jednoznacznie krytyczny stosunek. — Ciekawe, czy będą tak mądrzy, gdy przyjdzie im walczyć na śmierć i życie ze swoimi bliskimi z poprzedniego życia — dodał na koniec, jakby na podkreślenie swojego sceptycyzmu.

Dziki rozumiał, co chciał przekazać doktor Bronek, ale nie do końca zgadzał się z jego tokiem rozumowania.

— Myślę, że dla wielu więzy ze Starego Świata nie mają już takiego znaczenia. Nowy Świat niszczy, a przystawieni do muru ludzie są zdecydowanie gotowi poświęcać rodzinę i przyjaciół.

— Oni już od dawna nie są przystawieni do muru — zaprzeczył nie spodziewanie Bronek, szczerze zaskakując tym stwierdzeniem Dzikiego. — Zarzecz jest niebezpieczne, ale nauczyliśmy się w nim żyć — dodał pewnie, wyjaśniając po chwili, co według niego było główną przyczyną nadchodzącego konfliktu. — Według mnie chodzi tylko i wyłącznie o wygodę. Po waszej stronie można po prostu brać to, co daje świat. Nie trzeba wносить do niego własnej pracy, by przetrwać...

Z jakiegoś powodu ta rozmowa wciągnęła Dzikiego na tyle, że postanowił podzielić się swoją opinią w kwestii połączenia Krańcowo.

— Zastanawiam się, jak długo jeszcze? — zaczął retorycznie. — Widzę, że Nowy Świat nie jest stały. Zarzecz się zmieniało i Centrum też się zmienia — opisał, wspominając to, o czym opowiadał Elemis. — Zastanawiam się, co się stanie, gdy bariera między naszymi częściami miasta ostatecznie zniknie. Boję się, że możemy skończyć z połączeniem wszystkich negatywnych cech naszych stron... — podsumował niepokojącą prognozą.

Bronek słuchał go z uwagą, a na koniec pokiwał głową, jakby w pełni zgadzał się z tym, co usłyszał.

— Jest to jeden z głównych argumentów przeciwników inwazji — powiedział, podkreślając, że po tej stronie jest więcej ludzi, którzy sprzeciwiają się nadchodzącym wydarzeniom. — Po co zaczynać konflikt z Centrum, jeśli za chwilę może się okazać, że będziemy jechać na jednym wózku?

— A Pan uważa, że tak się stanie? — dopytał zaciekawiony Dzik.

Bronek poprawił okulary na nosie, zastanawiając się nad odpowiedzią. — Cóż, to wielka niewiadoma. Mogę tylko trzymać kciuki, by to wasza strona zaraziła zasadami naszą, a nie odwrotnie. Doświadczenie podpowiada mi jednak, że prędzej stanie się to, o czym wspominałeś. Wymieszanie negatywnych cech...

— Świat nas nie oszczędza... — podsumował jego wypowiedź Dzik, sięgając teraz po herbatę.

Doktor przyglądał mu się w tym czasie, mocno się nad czymś zastanawiając. W końcu, po długiej chwili przygotowań, spytał: — Powiedz mi, co zrobisz, gdy już odnajdziesz swoją przyjaciółkę?

— To oczywiście, zabiorę ją do Centrum — odparł bez zastanowienia Dziki.

Doktorowi najwyraźniej nie chodziło o taką odpowiedź, bo drążył ten temat dalej.

— Zdajesz sobie sprawę, że nikt nie odda ci jej tak po prostu. To przykre, co powiem, ale po tej stronie jej ciało ma olbrzymią wartość. Znajdą się tacy, którzy będą chcieli cię powstrzymać...

Dziki nie wiedział, czemu właściwie miało służyć to stwierdzenie, ale nie miał zamiaru okłamywać ani siebie, ani nikogo innego.

— Zrobię wszystko, by ją stąd zabrać... — wyszeptał stanowczo.

Bronek, słysząc jego odpowiedź, westchnął ciężko. — Tego właśnie się obawiam..., że spróbujesz ją wyrwać, nie bacząc na koszt i ludzkie życie...

Dziki, gdy dotarło do niego, co sugerował doktor, poczuł nagle narastającą złość.

— Czy to nie jest oczywiście? Ona jest moją przyjaciółką, której dzieje się tutaj... KTÓREJ DZIEJE SIĘ TUTAJ KRZYWDA! — krzyknął w gniewie, ale zawstydzony swoim wybuchem, rzucił zaraz pod nosek: — Przepraszam...

Doktor nie wyglądał jednak na obrażonego. — Wiem... — wyszeptał z żalem, dając do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę, co przeżywa tutaj Oli. — Nim jednak zezłosisz się na mnie ponownie, pozwól, że wrócę na chwilę pamięcią do historii, którą mi opowiedziałeś — dodał, spoglądając na Dzikiego surowo.

Dziki zdał sobie sprawę, że powinien się bardziej hamować. Doktor może i był bardzo prawym człowiekiem, ale dalej jego domem było Zarzecze. Sugerowanie, że Dzikemu obojętny był los mieszkańców tej strony, było zdecydowanie nienajlepszym pomysłem.

Bronek, nim rozwinął myśl, podsunął sobie kolejną herbatę, a gdy filiżanka pojawiła się już w jego dłoni, spojrzał na Dzikiego przenikliwie znad swoich okularów.

— W tym, co mi opowiedziałeś o Autobusie do Wolności, pominąłeś kilka szczegółów — zaczął poważnym tonem. — Między innymi dlaczego Zwiadowcy go zaatakowali, ryzykując zdemaskowanie...

Dziki poczuł teraz, jak przeszywa go zimny prąd. Doktor już przy ich pierwszym spotkaniu zasugerował, że nie usłyszał od niego całej prawdy. Czyżby znał on wcześniej historię Modrzewa? Teraz wydawało się to wręcz oczywiście. Skoro był tu najlepszym medykiem, na pewno pomagał również Zwiadowcom, a Michał dość głośno deklarował swoją zemstę.

Okazało się jednak, że doktor nie musiał nawet słuchać plotek, bo miał informacje z pierwszej ręki.

— Musisz wiedzieć, że leczyłem Michała Modrzewa po tym, jak uciekł od Siwego — oznajmił, wprawiając tym Dzikiego w osłupienie. — Po powrocie na Zarzecze był w naprawdę potwornym stanie: wychudzony, wymęczony, z rozerwanymi musculus sphincter ani internus i musculus sphincter ani externus — wtrącił łacińskie nazwy, a Dzikie nie miał trudności, by domyślić się, co one oznaczają i co Siwy rozerwał mu w trakcie niewoli. Doktor nie rozводził się jednak nad tym faktem, tylko cierpliwie tłumaczył dalej. — Przez cały czas nie mówił też o niczym innym, jak tylko o tym, by zemścić się na człowieku, przez którego został tak upodlony. Zemścić się na tobie — rzucił dosadnie na koniec, a jego spojrzenie spadło surowo na Dzikiego, który opuścił tylko głowę ze wstydu.

— To też Pan wiedział... — wyszeptał pod nosem.

Doktor Bronek odwrócił na chwilę wzrok, spoglądając w stronę krendensu i skupiając się na zdjęciu swojej żony.

— Tak jak powiedziałem na początku, wiedziałem, że pominiesz w swojej historii kilka szczegółów — stwierdził, przenosząc spojrzenie z powrotem na Dzikiego. — Szczegółów, które stawiałyby twoją osobę w złym świetle. Nie o to mi jednak chodzi. Uważam, że za to, co zrobiłeś, Michał miał prawo zemścić się na tobie... — Dzikie nabrał w tym momencie powietrza, by się wytłumaczyć, ale Bronek nieprzerwanie kontynuował — ...ale na TOBIE i tylko na TOBIE. Fakt, że przez wasz konflikt ucierpiały tak dotkliwie postronne osoby, uważam za niedopuszczalny i dlatego ciągle was nie wydałem.

— Dziękuję... — westchnął Dzikie, wypuszczając z ulgą powietrze.

Bronek popatrzył jednak na niego surowo.

— Nie ma potrzeby — stwierdził pewnie. — Współczuję twojej przyjaciółce szczerze i z całego serca — dodał znacznie łagodniejszym tonem. — Cieszę się, że masz w sobie dość honoru, by jej nie porzucić. Niemniej ja też mam po tej stronie przyjaciół, ludzi, na których mi zależy... — podkreślił, ponownie zerkając na Dzikiego surowo. — Nie chciałbym, aby ucierpieł, gdy ty będziesz naprawiać konsekwencje swoich decyzji!

Dzikie zrozumiał teraz, o co chodziło z tą całą grą doktora dookoła jego osoby.

— Chcę tylko uratować Oli... — podkreślił, podnosząc w końcu głowę. — Brałem pod uwagę to, że będę musiał wywalczyć jej wolność. Nie ukrywam jednak, że wołałbym zrobić to bez rozlewu krwi — przyznał, nie mając nawet powodu by w tym względzie kłamać. — Nie jestem mordercą, a moja Pierwotna Wola jest tego najlepszym dowodem!

— To znaczy? — spytał Bronek, wyraźnie zainteresowany.

— Moją Pierwotną Wolą jest chęć zabicia... — wyjął Dzikie, chcąc podkreślić w ten sposób, że naprawdę uważał się za kogoś, komu daleko było do socjopatów. — A nie potrafię jej w sobie wzbudzić, nawet w krytycznych sytu-

acjach... — przyznał nieco rozżalony. — Nawet gdy zaatakowały nas Ścierwojady, nie potrafiłem jej użyć.

Słyszac to, Bronek odsunął się delikatnie od stołu, krzyżując ręce na piersi.

— Świadczy to jedynie o tym, że nie jesteś w stanie zabić nikogo z własnego powodu — powiedział, wyrażając jasno swoją opinię na ten temat. — Niemniej twoja Pierwotna Wola przebudziła się w ten wyjątkowy sposób na skutek pewnych wydarzeń. Jak się domyślam, w trakcie walki z Modrzewem pod autobusem, gdy krzywdził on twoich bliskich. Tym bardziej mnie to martwi...

— Czemu? — wtrącił zaskoczony Dziki. — Przecież obiecałem, że jeśli mi się uda, uratuję ją bez rozlewu krwi...

— Obyś o tym pamiętał — podkreślił doktor, ale w jego głosie brakowało choćby odrobiny wiary. — W każdym razie robi się już późno — stwierdził, wyglądając przez okno. — Przede mną jutro pracowity dzień, a ty też pewnie jesteś już zmęczony. Skorzystaj proszę z któregoś łóżka w sali, na szczęście oprócz twojego druha, nie mam obecnie innych pacjentów. Będziesz mógł przy okazji mieć nad nim pieczę. Gdyby coś się działo, pamiętaj, że śpię w pokoju obok — dodał już nieco spokojniejszy.

— Jeszcze raz Panu dziękuję — powiedział Dziki, podnosząc się.

Idąc w stronę drzwi, nagle przystanął. Dotarło do niego, że był jeszcze jeden szczegół, który mógł zdradzić jego pochodzenie. — Pierwotna Wola... — wyszeptał.

— Słucham? — spytał zaskoczony doktor.

— To określenie pochodzi z naszej strony miasta... — wyjaśnił Dziki. — Skąd Pan je zna? Od Zwiadowców? To, że ja je znałem, było kolejnym dowodem, że nie jestem z tej strony rzeki?

— To określenie spopularyzowali Zwiadowcy po szkole Smutnego — sprostował doktor Bronek. — Wcześniej sama Pierwotna Wola nie miała u nas własnej nazwy. Mówiono na to moc, cud, czary, jak się komu podobało...

Dziki skinął głową, żegnając się. Po czym wyszedł z kuchni.

Przy tylu nerwach i niepewności co do tego, co przyniesie kolejny dzień, spokojny sen był dla Dzikiego nieosiągalnym celem. Mimo ciepłego, stosunkowo wygodnego łóżka i sytej kolacji, nie był w stanie zmrużyć oka nawet na chwilę. Wsłuchiwał się tylko w ciężki oddech Pierwszego, zastanawiając się, czy Elemis bezpiecznie dotarł do schronienia Zjawy. Po kolejnym już w ciągu tej nocy rozważaniu nieprawdopodobnych scenariuszy i ocenianiu czyhających zagrożeń, wrócił na chwilę myślami do rozmowy, jaką odbył z doktorem Bronkiem. Zwłaszcza do jej ostatniej części.

Jaki właściwie miał być jej skutek? Dziki miał ograniczyć liczbę ofiar, gdy będzie ratował Oli? Przecież to nie on będzie decydował o tym, kto i jak stanie mu na drodze. Tak naprawdę to wołałby w ogóle nie decydować. Ciągłe liczył na to, że Pierwszy się przebudzi i znowu zaczną realizować jego plan... Bo on sam... on sam nie miał żadnego...

Z rozważań wyrwał go nagle dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Zaraz potem ktoś pośpiesznie wbiegł do sali chorych, potykając się w ciemności o jedno z pustych łóżek. Na pewno nie był to doktor Bronek. Kroki przybyśa były zbyt żwawe i szybkie.

Dziki odruchowo sięgnął po pistolet, który skrył wcześniej pod poduszką i nasłuchiwał dalej.

Przybyła postać, sądząc po ciężarze chodu mężczyzna, skierowała się w stronę pokoju doktora Bronka i cicho zapukała w drzwi. Przez dłuższą chwilę nie słychać było żadnego odzewu. Najpewniej doktor spał teraz w najlepsze, a z racji wieku sen miał raczej twardy.

Po chwili jakiś głos odezwał się w ciemności: — Bronek! Wstawaj, jesteś pilnie potrzebny!

Dziki, słysząc to, odetchnął z ulgą. Czyli przybyszowi nie chodziło o niego, ani o Pierwszego.

— *Może ktoś w Garażu właśnie zasłabł?* — pomyślał i zaciekawiony nadstawił uszu, by wyłapać jakikolwiek szczegół.

Zaraz po kolejnym łomotaniu w drzwi, usłyszał, jak sprężyny w łóżku doktora skrzypią, a potem dobiegł go jego zaspany głos: — Co się stało?

— Ta mała dziwka znowu poderżnęła sobie żyły — wyszeptał zdenerwowany przybysz.

— Już biegnę, niech uciskają rany! — zawołał Bronek pełnym głosem, ignorując fakt, że w sali były jeszcze „śpiące” osoby.

Przybyły mężczyzna natychmiast wybiegł na zewnątrz, a doktor zaczął pośpiesznie zbierać swoje rzeczy. Robił to naprawdę głośno, przez co Dziki miał przez chwilę wrażenie, że specjalnie chce go w ten sposób obudzić. Szybko odrzucił jednak tę myśl, stwierdzając, że w sytuacji zagrożenia życia beziemiennej raczej po prostu o nim zapomniał.

Już po chwili doktor opuścił lecznicę i w budynku znów zapanowała cisza.

Dzikięgo naszło w tym momencie jakieś niepokojące przeczucie. Najpewniej przez sposób, w jaki przybysz nazwał potencjalną samobójczynię: „mała”. Gdy słyszał to określenie, nie przychodził mu do głowy nikt inny, jak właśnie Oli. Tylko że przecież nie mogło jej tutaj być...

— *Tylko czemu?* — pomyślał nagle. Przecież nie dotarła do Magistratu. Daro zostawił ją gdzieś po drodze. Czy może Garaż był tym „po drodze”? Zaciskając oczy, próbował przypomnieć sobie mapę na billboardzie, ale nie potrafił jej rozczytać nawet, gdy miał ją naprawdę przed oczami, a tym bardziej teraz, z roz-

mytych wspomnień. Już po chwili zgañił się za to, o czym teraz myślał. To było niemożliwe, żeby Oli sprzedano akurat tutaj. Na pewno by ją przecież spotkał...

— *Ale czy na pewno?* — zastanowił się głębiej. Wiedział już, że w Garażu był ogromny dom uciech, ale przecież nawet się do niego nie zbliżył. Tak naprawdę, od przybycia nie opuścił nawet lecznicy. Czując, że zaczyna popadać w obłąd, wyszeptał pod nosem: — Przestań... przestań to sobie wmawiać... — jednocześnie wcisnął twarz w poduszkę.

Oczywiste było, że ponieważ jego misja ratunkowa chwilowo stanęła. Dręczące go sumienie po prostu nie mogło pogodzić się z tą beczynnością. Chciało, żeby zrobił cokolwiek, choćby było to zupełnie irracjonalne i niebezpieczne. Doktor Bronek wiedział przecież o Oli i zdecydowanie pochwalał to, że Dziki wyruszył jej z pomocą.

— *Przecież znał powód, dla którego tu jestem! Powiedziałby mi...* — przekonywał sam siebie dalej, szepcząc jednak po chwili: — Ale nie kosztem swoich ludzi...

Może doktor chciał wyznać Dziakiemu prawdę, ale gdy dowiedział się, jaka jest jego Pierwotna Wola, stchórzył w ostatniej chwili? Może stwierdził, że najpierw go trochę rozmiękczy, żeby w Garażu nie doszło do mordu? Dziki wiedział już, że nie da rady tego powstrzymać. Jeżeli nie sprawdzi, kim była tajemnicza „mała”, po prostu oszaleje. Zrzucając kołdrę, usiadł na łóżku, wsunął buty na stopy i już po chwili ruszył w ciemności śladem doktora.

Wychodząc na korytarz, musiał poruszać się praktycznie po omacku. Światło w całej lecznicy było wyłączone, zapewne uruchamiano je tylko w czasie Ciemni, by oszczędzać paliwo w generatorach. Na zewnątrz sytuacja była nieco lepsza, bo plac oświetlały w wielu miejscach lampy sodowe. W ich rdzawym blasku bez trudu dostrzegł doktora Bronka. Staruszek, tak szybko jak pozwalał mu na to jego podeszły wiek, zmierzał w stronę dawnego budynku administracji tuż przy remizie.

Dziki odczekał chwilę, aż zniknie on za drzwiami, po czym zaczął przekradać się w jego stronę. Nie było to szczególnie trudne, bo większość strażników stojących na murze obserwowała teren poza Garażem. Nie zwracali większej uwagi na to, co działo się na placu, bo zagrożenia spodziewali się wyłącznie z zewnątrz.

Gdy Dziki doszedł do budynku, w którym zniknął doktor, pierwszym, co rzuciło mu się w oczy, był kolorowy szyld „Mokry Sen”. Drżąc z nerwów dłonią delikatnie otworzył drzwi wejściowe i zajrzał do środka tego obrzydliwego przybytku.

Wnętrze wręcz tonęło w czerwieni. Wszędzie były ułożone dywany, sofy i fotele w szkarłatnym kolorze, a w powietrzu unosił się duszący zapach damskich perfum. Ściany pokryte były ciężkimi, aksamitnymi zasłonami, które nadawały temu miejscu intymnego, ale jednocześnie przytłaczającego cha-

rakteru. Na suficie wisiała atrapa kryształowego żyrandola, a w kątach stały wysokie, rzeźbione lampy, które rzuciły słabe światło, pozostawiając niektóre zakamarki pomieszczenia skryte w półmroku.

Widok ten ścisnął Dzikiemu żołądek. Miejsca takie jak to znał tylko z opowieści i zdecydowanie nigdy nie przestąpiłby ich progu, gdyby nie musiał.

— *Robię teraz straszną głupotę...* — pomyślał, zamierając w półotwartych drzwiach. — *Gdyby mnie teraz przyłapali...* *No właśnie?* — zastanowił się po chwili. — *Co by się właściwie stało?*

Przecież mógł skłamać, że nie był świadomy zamknięcia przybytku albo że liczył na jakiś „numerek” po godzinach. Ręka zatrzęsała mu się na klamce, ale wiedział, że nie da rady odpuścić. Musiał wiedzieć. — No rusz się Dziki! — zganiał się w myślach i wkradł w końcu do środka, stawiając pierwsze kroki po puchowym dywanie.

Natychmiast po przekroczeniu progu, do jego uszu dobiegły niewyraźne głosy. Słyszając je, zamarł, bojąc się, że nie zauważył kogoś siedzącego w ciemności i za chwilę zostanie nakryty. — *Co robić?* — pomyślał przestraszony, szukając wzrokiem miejsca, z którego dochodziła rozmowa. Okazało się jednak, że parter był całkiem pusty. Najpewniej dźwięki przebijały się z piętra, gdzie musiały sypiać (i niestety również pracować) dziewczyny.

Zbliżając się do schodów prowadzących na górę, Dziki słyszał coraz wyraźniej nerwową wymianę zdań, aż w końcu usłyszał doktora Bronka: — Jak długo jest nieprzytomna? — spytał wyraźnie poruszony.

— Nie wiem! Daria znalazła ją, jak kładła się spać... — odparła mu jakaś równie roztrzęsiona kobieta.

Zaraz potem odezwał się jeszcze mężczyzna, którego głosu Dziki nie znał. Był on wyjątkowo nieprzyjemny i oschły: — Białe, nie pierdol, tylko rób te swoje czary-mary! Ratuj towar!

Doktor tłumaczył się jednak nerwowo: — Nie mogę teraz tego zrobić! To już trzeci raz, jak ta dziewczynka próbuje się zabić. Mam wewnętrznie wątpliwości, czy pomagając jej, robię dobrze...

— Jakie wątpliwości! Zapłaciłem za tę dziewczynę majątek! Ona ma żyć! — zawołał wściekle obcy mężczyzna.

Wtedy odezwał się ktoś jeszcze.

— Niech Pan mi nie pomaga, błagam... — poprosiła jakaś dziewczyna słabym, smutnym głosem.

Dziki słysząc go, poczuł jak zmroziło mu całe ciało. Teraz nie miał już wątpliwości. Nie mógł się pomylić. Znał ten głos zbyt dobrze... Słyszał go zbyt wiele razy, by mieć wątpliwości.

Dziewczyną, która chciała pozbawić się życia, była jego Oli.

Oszołomiony, zacisnął pięści tak mocno, że poczuł, jak paznokcie rozcinają mu skórę. Jego serce zaczęło bić z taką siłą, że już po chwili czuł, jak-

by ktoś walił mu w mostek młotem kowalskim. W pulsującym od adrenaliny umyśle zaczęły pojawiać się rozbłyski furii, które podsycane były przez kolejne słowa padające z góry.

— Cholera jasna, mówiłem wam, że powinniście dać jej więcej czasu... — tłumaczył wyraźnie oburzony Bronek. — Ona nigdy wcześniej nie była z mężczyzną. A wy puściliście na nią tę wygłodniałą watahę...

— TAM STOJĄ LUDZIE Z PIENIĘDZMI, BIAŁY! — przerwał mu wściekłe właściciel oschłego głosu. — Nie będę ich odsyłał z kwitkiem tylko dlatego, że jej rajska dupa nie nawykła do jebania!

— Mówię tylko, że powinienś dać jej trochę czasu! — tłumaczył dalej doktor, a w jego głosie słychać było wyraźną pogardę dla rozmówcy. — Pozwolić, na ile to możliwe, pogodzić się z sytuacją — mówił dalej, ciągle oburzony. — O ile to w ogóle możliwe...

— Czasu? CZASU?! — prychnął ironicznie obcy mężczyzna. — Pół Gаразу wpisało się już na listę, żeby się po niej przejechać, a ta po każdym numerku odpierdala samobója!

Dziki nie mógł już dłużej tego wytrzymać. Popędził na górę po schodach. Wiedział, że nie ma już odwrotu. Jego wściekłość osiągnęła punkt kulminacyjny. W uszach słyszał jeden wielki gwizd, a obraz przed oczami falował mu, jakby był pijany. W ustach czuł smak krwi, ale to nie miało znaczenia, bo za chwilę ktoś inny miał się zalać krwią...

W tym czasie, nieświadomy nadchodzącej śmierci, oprawca Oli zaczął wylewać na niej swoją frustrację:

— SŁYSZAŁAŚ MNIE!!! — wrzeszczał jak jakieś zwierzę. — NA NIKIM TU NIE ZROBISZ WRAŻENIA! NIE MA TU TWOJEJ MAMUSI, KTÓRA ZA-PLACZE NAD KRWAWIĄCĄ CÓRECZKĄ!

W tym samym momencie z góry dobiegł odgłos szamotaniny.

— Puść ją! — zażądał stanowczo Bronek, ale został za to momentalnie zrugany.

— Morda i bierz się do roboty! ONA MA ŻYĆ! I niech nie myśli, że dzisiejszy wieczór coś zmienia. Jutro będą ją jebać, aż pizda spuchnie jej tak, że nikt tam nie da rady wepchnąć fiuta...

Dziki, bombardowany tymi słowami, momentalnie przebiegł korytarz na piętrze i szarpnięciem otworzył drzwi do ogromnego pokoju. Pomieszczenie było tak duże, że z początku nikt nie zauważył nawet jego wtargnięcia. Ciemne, drewniane ściany, ozdobione zakurczonymi plakatami nagich modelek, kontrastowały z białymi, skrzypiącymi materacami na kilkunastu drewnianych łóżkach ustawionych równiutko w rzędach.

Na końcu pomieszczenia, przy jednym z łóżek, zgromadziła się grupa osób. Doktor Bronek, z zacisniętymi w skupieniu powiekami, trzymał w dłoni wychudłą, bladą rękę Oli. Obok niego stała starsza kobieta o matowych, farbo-

wanych na blond włosach. Tuż obok górował wysoki, muskularny mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu — bez wątpienia właściciel oschłego głosu, którego echo wciąż dźwięczało w uszach Dzikiego.

Wszyscy wpatrywali się jak zahipnotyzowani w łóżko, na którym w kałuży krwi leżała Oli. Dziewczyna była biała jak kreda, a w jej oczach ledwo tliło się życie. Doktor Bronek musiał używać jakiegoś błędu, by ją ratować, bo rozcięty nadgarstek świecił jej delikatnym, pulsującym zielonkawym światłem, a rana zdawała się pomniejszać z każdą sekundą, zasklepiając się w sposób, który przeczył wszelkim znanym zasadom medycyny.

Dziki poczuł, jak coś po prostu w nim eksploduje. To nie było jednak zwykle uczucie gniewu. Przewyższało zupełnie moment, gdy walczył z Modrzewiem. Przewyższało wszystko, co czuł do tej pory w swoim życiu. Jego Pierwotna Wola karmiła się tym jak wściekła, jakby do rozgrzanego do czerwoności pieca ktoś ciągle dosypywał węgiel. Niemalże słyszał, jak krew szumi w jego uszach, a serce bije w rytm bojowego bębna.

Kolejny krok jaki dał do pokoju był tak ciężki i przepełniony mocą, że wszyscy odwrócili się jednocześnie w jego stronę. Doktor Bronek pokręcił delikatnie głową, a stojący obok niego mężczyzna otworzył w szoku usta. Nim jednak zdążył wypowiedzieć choćby słowo, Dziki uderzył. Niczym Zjawia przenikając przez pokój, wbił swoją dłoń w brzuch mężczyzny. Ta przeszła jego skórę, kości i tłuszcz jak galaretkę. Obcy odchrząknął tylko krwią, nie będąc nawet w stanie się poruszyć. Stojąca przy nim kobieta krzyknęła przerażona, a doktor Bronek uniósł przerażony brwi.

Dziki poczuł, jak jego palce sięgają kręgosłupa. Chwycił go więc ze wszystkich sił i po chwili połamał niczym suchą gałąź. Jego ofiara runęła natchmiast na ziemię, pozbawiona władzy nad własnymi nogami.

Co dziwne mimo tej ogromnej rany, mężczyzna ciągle żył. Krztusząc się krwią, próbował z wysiłkiem zaczerpnąć powietrza, a jego dłonie ścisnęły w amoku dywan na podłodze. Dziki pochylił się nad nim, czując, jak zbiera mu się na kolejny wybuch.

— To była najmiłsza, najbardziej niewinna, najszlachetniejsza dziewczyna, jaka kiedykolwiek stanęła w tym kurewskim świecie... — wyszeptał głosem ociekającym od furii. — A TY POTRAKTOWAŁEŚ JĄ JAK JEBANY PRZEDMIOT! — ryknął i chwycił pracownika burdelu oburącz za głowę.

Czując przepełnienie mocą, ścisnął ją ze wszystkich sił. Mężczyzna wydał z siebie zduszony krzyk, wypływając jednocześnie stróżki krwi. Już po chwili jego czaszka nie wytrzymała nacisku i pękła jak arbuz, oblewając Dzikiego posoką i resztkami mózgu.

Kobieta stojąca w przy łóżku wybiegła z wrzaskiem na ten widok, wołając jednocześnie o pomoc. Doktor Bronek opuścił rękę Oli, spoglądając błagalnie na Dzikiego. Ten czuł, już tylko jak żądza mordu przelatuje przez jego ciało.

— UCIEKAJ! STAĆ!!! — ryknął wściekle w stronę doktora.

Halogeny rozświetliły cały plac Garażu, jakby za chwilę miała rozpocząć się Ciemnia. Gęste cienie rozciągały się w każdym zakątku, a głośny alarm roznosił się echem po okolicy, wibrując w powietrzu i siejąc strach wśród mieszkańców.

Strażnicy zbiegali się zewsząd, opuszczając swoje dotychczasowe stanowiska i formując linię przed budynkiem Mokrego Snu. Adi, który stanął na ich czele, wyciągnął policyjny pistolet i machając nim jak oficer, wykrzyczał: — TO TYLKO JEDEN CZŁOWIEK! POSŁUGUJE SIĘ BŁĘDAMI CZY NIE! ZROBIMY Z NIM PORZĄD...

Jego słowa urwały się nagle, gdy z hukiem przez okno Mokrego Snu wypadło pół korpusu. Światło halogenów oblało niekompletne ciało rdzawym blaskiem, uwidaczniając krew rozlewającą się powoli na betonową posadzkę.

Wszyscy zebrani strażnicy patrzyli na to, zamierając w szoku. Ich twarze bledły w miarę, jak uświadamiali sobie, co widzą przed sobą. Kilka osób nie wytrzymało i porzygało się pod własne nogi. Zbiegło się to z chwilą, gdy ucichły syreny, więc odgłos tylko podkreślił groteskowość tej sceny.

— Na co czekacie... — krzyknął Adi, starając się zachować zimną krew, jak przystało na dowódcę. — DO ATAKU!

Nim jednak ktokolwiek zdążył się ruszyć, drzwi Mokrego Snu otworzyły się z głośnym skrzypieniem, które przerwało ciszę jaka zapadła. Strażnicy cofnęli się o krok, przerażeni tym, co po chwili zobaczyli.

Dziki wyłonił się z budynku, skąpany we krwi. Jego ubrania były prześiknięte posoką do tego stopnia, że kapłała mu ona z rękawów, tworząc szkarłatne kałuże na ziemi. Oczy miał nieludzko chłodne i puste, a twarz nie przejawiała żadnych emocji. Nawet światło zdawało się przygasać w obliczu jego przerażającej obecności.

— TY SUKINSYNU JESTEŚ JUŻ MARTWY! — zagroził Adi, wyrывая się z szoku.

Dziki tylko popatrzył na niego z pogardą. Gwałtownym ruchem wyrwał klamkę z drzwi i cisnął nią w dowódcę strażników z siłą armaty. Kawałek metalu przebił ze świstem powietrze, wbijając się w mostek Adiego z głuchym hukiem.

Raniony mężczyzna opuścił broń i spojrzał z otwartymi ustami na dołek, jaki powstał w jego piersi. Drżącymi coraz mocniej dłońmi próbował wyciągnąć z siebie klamkę, ale nim zdążył ją choćby odnaleźć pod pancerzem, śmierć upomniała się o niego. Z osłupieniem zastygłym na twarzy, osunął się martwy na ziemię.

Część strażników, widząc jak ich dowódca poległ, rzuciła się do panicznej ucieczki, a ich krzyki rozbrzmiały echem po placu. Ci, którzy odważyli się zostać, potraktowali śmierć Adiego jako impuls do natychmiastowego ataku.

Pierwszy z nich, który dobiegł do Dzikiego, zamachnął się najeżoną kolcami pałąką. Dziki nawet nie unikał jego ciosu. Zasłonił po prostu głowę ręką. Kilkunastocentymetrowe metalowe bolce przeszły mu przedramię, dziurawiąc je jak sito. Nie czuł jednak żadnego bólu. Bez wysiłku wyrwał strażnikowi broń, obrócił ją w rękę i, biorąc krótki zamach, huknął go w głowę jego własną bronią.

Kolce wbiły się w skroń strażnika tak, że natychmiast osunął się martwy na ziemię.

Kolejny atakujący, widząc brutalny koniec swojego kompana, zawahał się przed atakiem zamierzając tuż przed Dzikim. Ten nie miał jednak podobnych rozterek. Z niewyobrażalną siłą rąbnął napastnika w brzuch. Łapiąc następnie za jego potylicę, uderzył jego twarzą w kostkę brukową.

Nawet gdyby czaszka strażnika ocalała po tym ciosie, to jego kręgosłup, nie mogąc znieść skrajnego naprężenia, pękł z głośnym trzaskiem.

Nikt więcej nie odważył się podejść do Dzikiego, za to cała seria wystrzałów z prowizorycznej broni padła w jego kierunku. Śrut, gwoździe, śruby i ołowiane kule wypełniły powietrze niczym chmara wściekłych os. Mimo natężenia ognia, żaden z pocisków nie sięgnął jednak swojego celu. Wszystkie rozleciały się dookoła, roztrzaskując pobliskie okna i wyrывая kawały drewna i gruzu z fasad budynków. Plac Garażu wypełnił się odgłosami wybuchów i trzaskających szyb, a dym i kurz uniosły się w powietrzu.

Spanikowani strażnicy zaczęli pośpiesznie przeładowywać swoje bronie. Dziki, nie dając im czasu, wyskoczył w stronę najbliższego niczym wściekły goryl. Całym ciężarem ciała upadł na jego tors, przygważdżając go do ziemi. Następnie, wbijając pokrwawione palce w podłogę, wyrwał z niego dwa kawałki bruku. Uderzając nimi z obu stron, zmiażdżył głowę strażnika. Krew i fragmenty czaszki rozprysły się na wszystkie strony.

Stojący najbliżej zabitego inny członek straży, wymierzył w głowę Dzikiego z broni, którą ledwo zdążył przeładować. Dziki spojrzał tylko w stronę lufy, a wylatujący pocisk rykoszetował niewyobrażalnym łukiem, przebijając następnie szyję strzelca. Raniony mężczyzna padł na kolana, chwytając się za gardło. Przez jego palce wylewała się strugami spieniona krew.

Pozostali strażnicy zrozumieli w tym momencie, że to ich przerasta, więc rzucili się do ucieczki.

Dziki ruszył natychmiast za nimi. Dobiegając do pierwszego z uciekinierów, podrzucił go do góry jak piłkę. Mężczyzna wystrzelił z krzykiem na kilkanaście metrów, po czym runął na parking z łoskotem, łamiąc przy upadku większość kości. Uderzenie było zbyt słabe, by go zabić. Dziki złapał go więc ponownie i cisnął jego ciałem jeszcze wyżej. Tym razem strażnik nawet nie krzyczał. Niczym bezwładna, szmaciana lalka okręcił się w powietrzu i runął na ziemię ponownie, tracąc przy tym życie. Kilku jego kolegów, spotkał w ciągu kilku sekund podobny los.

Ocaleni strażnicy i przestraszeni mieszkańcy Garażu zabarykadowali się w remizie. Dziki nie miał jednak zamiaru im odpuszczać. Skierował swoje kroki prosto do ich schronienia, gdy na drodze stanęła mu najmniej spodziewana osoba. Doktor Bronek wyszedł przed budynek, trzymając ręce w kieszeniach swojego kitla, blokując jednocześnie drogę do drzwi.

Dziki zatrzymał się, patrząc na skrytego w półmroku starca z mieszaną złości i niepewności.

— Ciebie nie chcę zabijać! Zejdź mi z drogi! — zażądał.

Doktor spojrział na niego przez swoje okulary, biorąc głęboki oddech. Jego twarz była spokojna, ale oczy zdradzały głębokie zmartwienie.

— A kogo jeszcze chcesz? — spytał. — Czy już nie wystarczy? Zabijeś właściciela i nadzorców Mokrego Snu, szefa straży i wielu jego podkomendnych. Wśród nich Krystiana, bardzo moralnego chłopaka, który nigdy nie skrzywdziłby kobiety i gardził szczerze tym, do czego tu dochodziło... — opisał z wyraźnym wyrzutem.

Dziki był tak wściekły, że słowa Bronka w ogóle do niego nie docierały.

— Ja zadecyduję, kiedy będzie dość! — krzyknął. — Jeżeli z tego miejsca ma zostać chociaż gruz, niech wszyscy mężczyźni wyjdą teraz przed budynek! — zawołał bardziej w stronę remizy, niż stojącego przed nim Doktora.

Ten, spytał tylko tym samym spokojnym głosem:

— Masz zamiar grać rolę ich sędziego i kata? — dopytał tym samym spokojnym tonem. — Chcesz jakoś dowiedzieć się, kto tak naprawdę skrzywdził twoją przyjaciółkę? Czy po prostu zabijesz każdego, kto ci się nie spodoba?

— Nie inaczej! — potwierdził Dziki.

— Nie pozwolę ci na to — stwierdził pewnie Bronek i wyciągając ręce z kieszeni przybrał postawę, która miała dać do zrozumienia, że będzie bronił mieszkańców.

Dziki, mimo całego szacunku jaki miał wcześniej do niego, nie zdołał opanować złości.

— Powiedziałem, że nie chcę cię zabijać. Co nie znaczy, że tego nie zrobię! — zagroził, zaciskając pięści.

Doktor pokiwał tylko głową i popatrzył na niego z pogardą.

— Myliłem się jednak co do ciebie! — zawołał szczerze rozczarowany. — Nie pozwolę ci przejść! Nie skrzywdzisz już nikogo więcej!

— DOŚĆ! — ryknął Dziki, biorąc potężny zamach.

Siła tego ciosu rozbila powietrze, tworząc falę jak przy startującym odrzutowcu.

Wydawało się, że wątki doktor zostanie zmieciony razem z drzwiami, murem i wszystkimi, którzy znajdowali się w remizie. Stało się jednak coś zupełnie innego. Bronek przechwycił uderzenie, zatrzymując je pomarszczoną,

chudą ręką i bez wysiłku amortyzując całą jego siłę. Dłoń drżała mu potem lekko, ale wciąż pewnie trzymała pięść Dzikiego.

— Tak jak mówiłem, nie pozwolę... — wyszeptał doktor, starając się ukryć, że głos zadrżał mu z nerw.

Rozwścieczony, Dziki natychmiast zmienił taktykę i runął w stronę Bronka z gromadą ciosów. Doktor poradził sobie jednak i z tym, bez trudu przechwytyjąc kolejne nadlatujące uderzenia, zupełnie jakby grał ze swoim wnuczkami w łapki.

Dziki, widząc, że nic nie wskóra, odskoczył do tyłu, chwytając za broń. Gdy tylko wysokie czoło doktora pojawiło się w szczyrbince, nacisnął spust. Kula wyleciała z komory wzmocniona dodatkowo siłą Pierwotnej Woli. Jej moc rozbila powietrze, wyrывая z lufy niewyobrażalną ilość dymu. Huk strzału wstrząsnął całą okolicą, jakby wypalił nie pistolet, a artyleria okrętowa.

Bronek spojrzał w stronę lecącego naboju, który momentalnie zaczął wytracać prędkość. Tuż przed jego okularami leciał co najwyżej z szybkością lotki do badmintona. Mimo włożenia całej swojej siły, nie zdołał jednak zatrzymać ani odchylić pocisku. W ostatniej chwili uskokzył na bok, a nabój, nabierając natychmiast prędkości, przebił się przez drzwi za nim, tworząc w nich okrągły otwór.

Dziki spróbował wystrzelić po raz kolejny, ale jego błędy nie wzmocniły kolejnych pocisków. Kule rykoszetowały więc dookoła doktora, tworząc iskrzące ślady na wszystkim w co trafiły.

— Odupuść... — wyszeptał po tej serii Bronek, dysząc ciężko.

Używanie błędów było dla niego wyraźnie wyczerpujące. Jego twarz pobiadła, a oczy przeszklily się z wysiłku.

— Nigdy! — krzyknął Dziki, a do głowy przyszła mu przerażająca myśl. Przypomniał sobie Pierwszego, który walcząc z Dix, użył czegoś, co nazwano „Skrzydłami Motyla”. Zarzucając ręce na plecy, jak jego kompan zrobił w trakcie tamtego starcia, przypomniał sobie mężczyznę, który nazwał Oli szmatą. Przypomniał sobie jego słowa. O tym, jak dziewczyna będzie jebana przez polowę Garażu.

Jego Wola eksplodowała podjudzona tym wspomnieniem. Dłonie na plecach po prostu mu zamrowiły od siły, jaka się w nich zgromadziła.

Strażnicy i mieszkańcy, obserwujący to starcie, patrzyli z przerażeniem przez okna. Mrok wokół Dzikiego zdawał się gęstnieć.

— Nie... — zająknął się lekarz, widząc co się przed nim szykuje. — Proszę, nie...

Dziki wyciągnął ręce, a siła jego Woli skupiła się w nich, gotowa do wybuchu. Powietrze wokół niego zaczęło drżeć, a ziemia pod jego stopami pękała od niesamowitej mocy, która się w nim skumulowała. Skrzydła uderzyły, lecąc w stronę doktora z niewyobrażalną siłą. Bronek patrzył z przerażeniem, wiedział, że nie ma szans na obronę przed tym atakiem.

Wtedy, jak spod ziemi, przed Dzikim pojawił się Pierwszy. Z impetem odbił falę uderzeniową, która rąbnęła w ogrodzenie, roztrzaskując je na kawałki. Oświetlone przez halogeny szczątki poleciały we wszystkie strony, jakby wyrzucone przez eksplozję.

— DOŚĆ, DZIKI! — wykrzyczał wściekle mężczyzna, stając przed doktorem i remizą niczym tarcza.

— ZEJDŹ MI Z DROGI, PIERWSZY! — odwarknął natychmiast Dzik i nie czekając na reakcję kompana, wyprowadził potężny hak.

Jego pięść o włos minęła głowę Pierwszego, który, kontrując to uderzenie, rąbnął Dzikiego w brzuch. Po tym pozbawiającym tchu ciosie, Dzik osunął się na kolana. Pierwszy wykorzystał chwilę jego oszołomienia i spróbował jeszcze raz przemówić mu do rozumu: — NADUŻYWASZ BŁĘDÓW! ZARAZ SIĘ ROZMYJESZ, IDIOTO! — zagroził.

— CHUJ Z TYM! — krzyknął Dzik i podrywając się na nogi, odwinął się pięścią, która wylądowała na podbródku Pierwszego.

Uderzenie było tak potężne, że mężczyzna potoczył się po ziemi. Dzik pewny, że pozbawił go świadomości, ruszył następnie z powrotem w stronę remizy.

Pierwszy wytrzymał jednak ten cios. Po chwili oszołomienia poderwał się z ziemi i chwytając Dzikiego od tyłu, założył mu pełnego nelsona.

— JUŻ STARCZY! PRZYSZEDŁEŚ TU PO OLI! TO BYŁO TWOIM CELEM. PAMIĘTASZ? URATOWAĆ JĄ! — wykrzyczał mu do ucha.

— WIDZIAŁEŚ, CO ONI JEJ ZROBILI! ONA CHCIAŁA SIĘ ZABIĆ, BO NIE MOĞŁA ZNIEŚĆ TEGO, JAK JĄ... JAK JĄ... — Dzik poczuł, jak język grzęźnie mu w gardle, a żądza mordu po raz kolejny eksplodowała w nim z nieludzką siłą. Jego oczy stały się dzikie, a oddech przyspieszył, jakby każda chwila była dla niego walką o życie.

Pierwszy oderwał się w tym momencie od jego pleców, jakby został porażony ładunkiem elektrycznym. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu i zaskoczenia.

Dzik, nieskrępowany, ruszył z powrotem w stronę remizy, gotów przejść do jej środka choćby po trupie swojego kompana. Jego kroki były ciężkie i pewne, a każdy z nich zdawał się wstrząsać ziemią.

Pierwszy wciąż jednak nie odpuszczał. Doskoczywszy do Dzikiego, pchnął nim jak nic nieważącym manekinem. Dzik potoczył się po placu i uderzył w jedną ze stojących na nim przyczep kempingowych. Jej bok wgniół się, jakby uderzył w nią samochód, a kawałki odpryskującej farby posypały się mu na głowę.

Pierwszy, wykorzystując moment, gdy Dzik zbierał się z ziemi, zawołał do niego wściekle: — JESTEŚ IDIOTĄ, DZIKI! Moja Pierwotna Wola to zachowanie życia! Ktoś, kim kieruje tak prymitywna emocja jak twoja, może tylko uczynić mnie jeszcze silniejszym! Nigdy nie będziesz w stanie mnie pokonać!

— Dix się udało, mi też się uda — warknął Dziki, stając na nogi, a jego ciało drżało z wysiłku i gniewu.

— Wola Dix została stworzona przeze mnie! — zawołał Pierwszy. — Mogła używać błędów z pełną mocą tylko dlatego, że walczyła ze mną. A MIMO TO, WYGRAŁA TYLKO DLATEGO, ŻE JA NIE CHCIAŁEM JEJ ZABIĆ! — wykrzyczał na koniec, ruszając w stronę Dzikiego.

Mężczyźni chwycili się za barki. Siłując się przez chwilę, zaczęli uderzać swoimi plecami o wszystko, co znajdowało się na placu. Metal skrzypiał, a drewno pękało pod siłą ich uderzeń.

W pewnym momencie Dzikemu udało się odrzucić od siebie Pierwszego. Dając sobie odrobinę przestrzeni, natychmiast zarzucił ręce na plecy, przygotowując się do ostatecznego ataku.

— NIE RÓB TEGO! — krzyknął Pierwszy, widząc do czego to zmierza.

— TRZEBA BYŁO NIE WCHODZIĆ MI W DROGĘ! — odparł Dziki, a oczy zaszyły mu łzami z wysiłku. Sylwetka Pierwszego zanikała mu za mgłą, gdy nagle z jego ust padło ostatecznie ostrzeżenie:

— Ty idioto! NIE ZMUSZAJ MNIE, BYM CIĘ ZABIŁ!

Dziki nie słuchał, skrzydła motyla były gotowe. Wyrzucił do przodu obydwie dłonie, a cała jego żądza mordy przeleciała przez nie w stronę Pierwszego. Mężczyzna nie pozostał mu dłużny i błyskawicznie skontrował tym samym.

Fale uderzeniowe nie zderzyły się. Przeniknęły przez siebie niczym dwa przeciwległe wiatry. Powietrze wokół nich zafalowało, a ziemia pod ich stopami zaczęła pękać.

Dziki poczuł nagle, że umiera. Jego ciało po prostu się rozpadało. Jedynie Pierwotna Wola utrzymywała je w kupie, ale już po chwili żądza mordy zaczął zastępować strach. Jego skóra zaczęła się kruszyć, a krew tryskała na wszystkie strony.

— *To koniec* — pomyślał. — *Dotarłem aż tutaj, tylko po to, by umrzeć.* — bezsilny osunął się na ziemię.

— Dlaczego? Dlaczego musiałeś być tak uparty... — westchnął Pierwszy, stając nad nim.

Dziki spojrzał na niego z półprzymkniętymi oczami.

— Po prostu mnie zabij, mam już dość — odparł.



Rozdział VII

Duchy nad rzeką

— *Boże, jaka ja jestem głupia...* — pomyślała Zjawia, trącąc palcem pustą konserwę.

Metalowy pojemnik, jeszcze niedawno kryjący resztki jej skromnego posiłku, ześlizgnął się po chropowatej powierzchni zniszczonego stołu i z brzękiem uderzył o betonową podłogę.

Zjawia westchnęła ciężko, przymykając na chwilę oczy. Jej myśli były pełne żalu i frustracji. Ostatnie wydarzenia przetoczyły się przez jej umysł jak burza, pozostawiając po sobie jedynie niepewność. Przez moment zastanawiała się, czy mogła zrobić coś więcej. Zapobiec jakoś temu, co stało się z Pierwszym. Niestety, teraz było już za późno by coś zmienić. Nie było więc sensu, ciągle tego rozważać.

Wyrывая się z gonitwy myśli, dziewczyna rozejrzała się po ciemnym wnętrzu kuchni. Odpadającą ze ścian farba, odsłaniała fragmenty surowego betonu. Z sufitu zwisały postrzępione kable, a w kątach zalegał kurz i opuszczone przez pająki, pajęczyny. Lampy były wyłączone, bo energię do ich zasilania dziewczyna musiałaby wytworzyć za pomocą generatora w piwnicy, a nie miała ochoty znosić jego ciągłego warkotu.

Jedynym źródłem światła pozostawała więc jej latarka ustawiona pionowo na stole. Słaby, migotliwy blask rzucał upiorne cienie na obdrapane ściany, tworząc iluzję poruszających się postaci, co tylko potęgowało poczucie opuszczenia, które coraz mocniej ją ogarniało.

— Dlaczego! Dlaczego praktycznie dałeś się zabić, kretynie! — wykrzyczała w końcu, uderzając pięścią w blat, aż latarka zachwiała się niebezpiecznie. — I dlaczego ja to obiecałam... — westchnęła ciężko, przypominając sobie, że gdyby jej towarzyszym nie udało się przetrwać wizyty w Garażu, zobowiązała się poszukać Oli na własną rękę. — Przecież ja też tutaj zginę... — wyszeptała, chowając zrezygnowana twarz w dłoniach.

Zjawia siedziała przez chwilę w stanie absolutnej apatii, wsłuchując się w nierówny rytm własnego oddechu. Uczucie bezsilności przytłaczało ją niczym ciężki kamień spoczywający na piersi. Jednak z każdą sekundą, to paraliżujące uczucie zaczęło ustępować miejsca narastającemu gniewowi. Oddech dziewczy-

ny stawał się coraz głębszy i szybszy, a serce zaczynało bić jak oszalałe. Dłonie ścisnęły jej twarz tak mocno, że paznokcie prawie przebiły się przez skórę.

— Nie... — wyszeptwała, głosem gotującym się z wściekłości. — NIE! — powtórzyła dużo głośniejszym głosem, podnosząc się gwałtownie ze stołka. — PRZETRWAŁAM KRAŃCOWO. PRZETRWAŁAM LANCA. PRZETRWAŁAM BITWĘ POD CEGIELNIĄ! NIE JESTEM ŻADNĄ ZASZCZUTĄ DZIEWCZYNKĄ, KTÓRA POTRZEBUJE CZYJEJŚ POMOCY!!!

Dając upust frustracji, Weteranka skupiła się na swojej mocy. Nagle przebłysnęła się przez stół, a jej ciało na moment rozpadło się na tysiące świetlistych drobinek, by po chwili scalić się po drugiej stronie. Uczucie rozpadania się na atomy i ponownego zjednoczenia było dla niej źródłem euforii, której teraz tak bardzo potrzebowała. Błyskała więc dalej, pojawiając się i znikając w różnych miejscach schronienia. Cały pokój rozświetlał się na ułamek sekundy ostrym blaskiem, a cienie tańczyły dziko na ścianach, jak w jakimś indiańskim rytuale.

Ten intensywny wybuch energii trwał może pół minuty, aż w końcu dziewczyna opadła na podłogę, opierając się plecami o zimną ścianę. Jej ciało drżało z wyczerpania, a pot spływał po skroniach. Oddech wciąż miała ciężki i urywany, ale teraz już nie z powodu gniewu, lecz zwyczajnie ze zmęczenia.

— Po prostu przeżyj, kretynie... — mruknęła pod nosem, wracając myślami do Pierwszego.

Mimo wszystko nie mogła przestać się o niego martwić.

Nagle ciszę, jaka ponownie zapanowała w schronieniu, przerwał odgłos łomotania w drzwi. Zjawą drgnęła zaskoczona, ale niemal natychmiast poczuła, jak gniew ponownie wzbiera w jej wnętrzu.

— O, gościu... — fuknęła pod nosem, a na jej twarzy pojawił się cień zło-wrogoego uśmiechu. — Nie wiesz nawet, w co się pakujesz... — dodała, podrywając się z podłogi i ruszyła z impetem w stronę wejścia do schronienia.

Walenie w drzwi wciąż nie ustawało. Komuś po drugiej stronie naprawdę zależało, by dostać się do środka. Gotowa do walki Weteranka stanęła przed wejściem, zaciskając prawą pięść tak mocno, że jej knykcie pobielały. Szybkim ruchem otworzyła zamek i ledwo zdążyła odsunąć się od drzwi, bo te otworzyły się z hukiem, niemal wypadając z zawiasów.

Do środka, ku jej zdumieniu, wpadł Elemis. Mężczyzna wyglądał niczym maratończyk na ostatnich metrach biegu. Jego twarz była blada i zlana potem, a oczy szeroko otwarte z przerażenia. Dyszał ciężko, jakby brakowało mu tchu, a włosy poprzylepiały się mu do spoconego czoła.

— Cholera... — wysapał, opierając się drzwi. — Chyba coś mnie gonilo... — dodał, zatrzasnąwszy je natychmiast za sobą i przekręcając zamek z powrotem.

Jego ręce drżały, a spojrzenie co chwilę uciekało w stronę okien, jakby spodziewał się, że zaraz pojawi się w nich Niewykształcony.

Zjawa obserwowała go przez chwilę całkiem zaskoczona. Przecież mężczyzny nie powinno tutaj w ogóle być. Czyżby coś poszło nie tak?

— Co tu robisz? — spytała nerwowo, unosząc brew. — Gdzie Pierwszy i Dziki?

Przez głowę przemknęła jej myśl, że jej kompani mogli zostać zdemaskowani albo zdradzeni. Może Elemis ściągał na nią właśnie grupę strażników z Garażu? Zaciśnęła pięści, gotowa w razie potrzeby wyciągnąć z niego prawdę siłą, ale zanim zdążyła przycisnąć mężczyznę, ten zaczął się tłumaczyć bez wyraźnego przymusu.

— Nie chcieliśmy, żebyś została bez żadnych wieści... — wysapał, wciąż próbując uspokoić oddech. — Dlatego wykradłem się z Garażu, żeby ci powiedzieć... co i jak.

Zjawa spojrzała na niego pytająco, a Elemis widząc to, kontynuował swoją relację: — Strażnicy lyknęli moją historię... Pierwszy jest już leczony, a Dziki czuwa przy nim... Jest dobrze...

Zjawa odetchnęła z ulgą, choć nie pozwoliła, by emocje zbyt mocno uwidoczniły się na jej twarzy.

— Przynajmniej jedna dobra wiadomość... — stwierdziła, ale natychmiast w jej głowie zrodziła się nowa obawa. — Nie będziesz miał problemów? — spytała nerwowo. — Albo w Garażu nie będą czegoś podejrzewać, skoro tak nagle zniknąłeś? Mogłam przecież poczekać! — dodała na koniec, choć w duchu naprawdę cieszyło ją, że nie musiała dłużej trwać w niepewności o stan towarzyszy.

Elemis uśmiechnął się słabo, a jego twarz przybrała wyraz, który chyba miał nadać mu powagi. Otarł pot z czoła, prostując się w końcu, jakby usilnie chciał zademonstrować, że odzyskał już siły po tym męczącym biegu.

— Spokojnie! — stwierdził, próbując zabrzmieć beztrudno. — Nie jestem pod jakimś szczególnym nadzorem — wyjaśnił pewnym tonem, choć skrywane drżenie w jego głosie wcale tego nie potwierdzało. — Jutro nad ranem wkradnę się z powrotem. Tutaj ochrona nie jest zbyt czujna, bo nie walczy z ludźmi. Potwory raczej nie przekradają się subtelnie do miast. Co najwyżej walą głowami w bramę główną...

Zjawa skinęła z ulgą, ale spoglądając na uśmiechającego się teraz głupekowato mężczyznę, uświadomiła sobie kolejną rzecz. Jego teatralnie swobodna postawa i ten nieco zbyt zadowolony wyraz twarzy, wzbudziły w niej pewne podejrzenia.

— Zaraz! — rzuciła oskarżycielskim tonem. — Skoro byłeś w stanie tu przybiec, to znaczy, że Garaż jest naprawdę blisko. Mogłeś wykraść się nad ranem i wrócić po chwili bez narażania! Po co przylaziłeś tu w środku nocy?

Elemis opuścił głowę, unikając jej spojrzenia, a na jego twarzy zagościł głupekowaty uśmiech.

— Bo pomyślałem, że będziesz tak tu siedzieć sama... — zaczął z udawaną troską, próbując ponownie przybrać poważny wyraz twarzy.

Zjawa przerwała mu głośnym westchnieniem. Przewróciła oczami i, zostawiając mężczyznę w korytarzu, ruszyła z powrotem w głąb schronienia.

— Czy granie desperata naprawdę zapewniło ci kiedyś sukces u jakiejś kobiety? — spytała sarkastycznie przez ramię, nie zatrzymując się ani na moment.

— Raz! — stwierdził pewnie Elemis, przyspieszając kroku, by ją dogonić. — Tak poznałem moją żonę...

Zaskoczona Zjawa wróciła do kuchni, ciągle oświetlanej jedynie coraz słabszym blaskiem jej latarki. Po tym jak usiadła przy pustym blacie, skrzyżowała ramiona na piersi.

— Ty miałeś żonę? Co się z nią stało? — rzuciła bez namysłu.

Elemis nie odpowiedział od razu. Siadając naprzeciw dziewczyny, nagle całkiem spoważniał. Jego dotychczasowy beztroski uśmiech zniknął bez śladu, a oczy nabrały głębokiego, niemal melancholijnego wyrazu. W półmroku jego twarz wydawała się teraz starsza i jakby bardziej zmęczona.

— Umarła... — wyszeptał w końcu pod nosem, spuszczać wzrok na swoje splecione dłonie.

Dopiero teraz Zjawa uświadomiła sobie, że odpowiedź mogła być przecież tylko jedna. Poczula ukłucie wstydu. Swoim tonem zasugerowała przecież, że ktoś zachowujący się jak Elemis nie miał prawa do normalnego związku.

— W tym świecie? — zapytała cicho, starając się ukryć swoje zmieszanie.

Elemis odwrócił wzrok, a jego twarz wydawała się teraz jeszcze smutniejsza.

— Nie... — odpowiedział przygnębiony, po naprawdę długiej pauzie. — Miała raka...

Słowa mężczyzny wstrząsnęły Zjawą wyjątkowo mocno. W Nowym Świecie ciągle spotykała się ze śmiercią, ale nikt nie umierał już z powodu chorób takich jak rak. Ludzie ginęli zabici przez potwory, bandytów czy błędy, ale nie z przyczyn tak „prozaicznych”.

— Współczuję... — powiedziała wyjątkowo szczerze, jak na kondolencje wobec osoby, której praktycznie nie знаła.

Elemis milczał przez chwilę, a cisza między nimi zdawała się ciągnąć w nieskończoność. W końcu na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

— To było wiele lat temu. Licząc, jak to ładnie nazwałaś, Nowy Świat, jeszcze więcej — stwierdził z lekkim westchnieniem. — Pogodziłem się, ale naprawdę mi jej brakuje... w ogóle kogoś... Jedyna kobieta, z jaką rozmawiałem w Przychodni, to właścicielka knajpy w poczekalni...

— Chcesz powiedzieć, że nie chadzałeś do przybytków? — spytała zaskoczona Zjawa, unosząc brew w geście niedowierzania.

W rzeczywistości niewiele ją to interesowało, ale chciała jak najszybciej odejść od tematu śmierci jego żony.

Elemis na to nieco zbyt otwarte pytanie zmarszczył czoło, zastanawiając się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Nie brakuje mi seksu, tylko bliskości — oznajmił nieco zbyt szczerze, patrząc jej prosto w oczy. — Wiesz, z brakiem pożycia samotni mężczyźni akuraty dobrze sobie radzą...

— FUJ! — wtrąciła Zjawa, krzywiąc się z obrzydzeniem.

Elemis popatrzył na nią krytycznie, krzyżując ręce na piersi.

— Sama zaczęłaś, pytając o takie rzeczy... — wytknął.

Zjawa, nie mając kontrargumentu, odwróciła głowę zawstydzona. Czuła już, że ta rozmowa zaczyna wymykać się jej spod kontroli.

— Przepraszam — stwierdziła, zerkając kątem oka na mężczyznę. — Po prostu sprawiasz wrażenie...

— Burdelowca? — wtrącił zaskoczony Elemis. — Przestań! Jak już spotkasz kobietę, z którą planujesz iść przez życie, współżycie bez uczucia strasznie się dewaluuje.

Zjawa przez chwilę milczała, wpatrując się w zniszczony blat stołu.

— No dobra, przyznaję, że mnie zaskoczyłeś — wyznała zmieszana, podnosząc na niego wzrok. — Ale nie dziw się! Sam wiesz, jak się zachowywałem przy naszym spotkaniu — wypomniła, przypominając sobie jego wcześniejsze chamskie uwagi.

Tym razem to Elemis nie był już w stanie się wytłumaczyć, bo westchnął tylko ciężko, opierając łokcie na stole.

— Wiem... ale ty też mi się nie dziw. Jesteś śliczna jak z obrazka! — rzucił mimowolnym komplementem, a na jego twarzy znowu pojawił się głupkowaty uśmiech. — Zdecydowanie poza moim zasięgiem... Może dlatego tak jechałem po bandzie. Bo wiedziałem, że i tak nie mam szans...

Zjawa prychnęła pod nosem, kręcąc głową z niedowierzaniem. Nie uważała się za śliczną ani tym bardziej za tak płytką, jak sugerował.

— I tu się mylisz — stwierdziła pewnie. — Bo wydaje ci się, że skreśla cię u mnie wygląd, ale tak naprawdę przegrywasz właśnie tym pajacowaniem.

Elemis rozważał przez chwilę jej słowa, głaszcząc się ostentacyjnie po brodzie. Jego spojrzenie stało się nagle bardziej skupione.

— Lubisz poważnych mężczyzn, co? — spytał nagle, przekrzywiając głowę i natychmiast dodał kolejne pytanie, od którego Zjawa aż poczerwieniała: — Więc Pierwszy to pewnie twój chłopak...

— Oszalałeś?! — krzyknęła, czując, jak jej twarz mimowolnie się rumieni. — Ja i Pierwszy... my... my to chyba nawet się nie kolegujemy...

Elemis spojrzał na nią z rozbawieniem, unosząc brwi.

— Ale chciałabyś? — drążył dalej. — I nie mówię tu o koleżeńskim stopie...

Zjawa skrzywiła się, czując coraz mocniejszą narastającą irytację.

— On jest stary! To znaczy dużo starszy niż ja... — rzuciła jako argument, próbując zbyć temat.

Niestety, Elemis nie dawał za wygraną.

— Podobno kobietom to nie przeszkadza... — zasugerował z szelmowskim uśmiechem, świdrując ją wzrokiem.

Zjawa wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić.

— Może niektórym, ale to nie twoja sprawa! — stwierdziła dobitnie, ucinając temat.

Elemis najwyraźniej wyczytał z jej twarzy, że dalsze poruszanie podobnych kwestii może się dla niego źle skończyć. Westchnął więc i momentalnie postanowił zmienić kierunek rozmowy: — Nie kłamałaś, gdy mówiłaś, że mnie stąd zabierzecie?

— Dałam ci słowo... — powiedziała twardo Zjawa, czując, że nerwy powoli opuszczają jej ciało. — Tylko, że ja to raczej przeniosę na plecach Oli. Ciebie weźmie Pierwszy... — dodała, przewidując, że Elemis poruszy tę kwestię.

Wcześniej przy Jelczu obiecała mu (oczywiście w przenośni), że sama przeniesie go przez rzekę. Zgodnie z jej przewidywaniami, mężczyzna westchnął rozczarowany, że nie traktowała swoich słów bardziej dosłownie i odparł z rozmarzonym uśmiechem — Szkoda, bo chętnie bym się dał ponieść na twoich ramionach.

Zjawa przewróciła oczami, ale nie miała już siły się dłużej bronić przed głupotą mężczyzny. Zwłaszcza, że ten niemal natychmiast zadał pytanie, które całkowicie ją rozbroiło — A zabierzecie mnie potem ze sobą?

Szczera odpowiedź była dla niej wyjątkowo trudna, ale nie z powodu niechęci do Elemisa. Po prostu sama nie była pewna, co przyniesie przyszłość.

— Ja nie wiem, czy jak wrócimy, będziemy dalej trzymać się razem — przyznała, wzdychając ciężko. — Wydaje mi się, że Dzik wróci z Oli do pozostałych mieszkańców autobusu, a Pierwszy odejdzie sam. Jak zawsze...

— O... — szepnął nieco zaskoczony Elemis, rozważając jej słowa i po chwili wyłapał w tym swoją szansę. — To w razie czego, mogę dołączyć do ciebie?

— Co? — spytała zaskoczona Zjawa, nie mogąc uwierzyć, że takie pytanie w ogóle padło. — Niby dlaczego?

— Żebyś nie była sama! — stwierdził, a jego ton stał się nagle poważniejszy. — No i ja nie znam tamtej strony, więc chociaż jest bezpieczniejsza, to pewnie zginę tam po kilku dniach. Chcesz mnie mieć na sumieniu? — spytał, wyraźnie ją szantażując.

Zjawa westchnęła ciężko, opierając głowę na dłoni. Nie chciała tego przyznać otwarcie, ale miała zdecydowanie dość samotnych podróży. Tylko czy była tak zdesperowana, by ciągnąć ze sobą kogoś takiego?

— Zastanowię się... — stwierdziła w końcu, starając się brzmieć na tyle stanowczo, by nie pozostawiać pola do dalszej dyskusji. — A na razie, póki to możliwe, pójdę się zdrzemnąć. Jestem wykończona... — powiedziała, wstając powoli od stołu.

Elemis otworzył już usta, chcąc pewnie rzucić jakąś dwuznaczną propozycję odnośnie wspólnej nocy, ale Zjawą ubiegła go dodając— Możesz tu zostać, nie wykopię cię za drzwi. Ale śpimy w różnych pokojach! A jakby ci się w nocy „pomyliły” łóżka, skończysz bez zębów! — stwierdziła dobitnie, posyłając mu ostrzegawcze spojrzenie.

Mężczyzna uśmiechnął się tylko słabo, podnosząc ręce w geście poddania.

— Rozumiem, nie kombinuje! — obiecał, dodając ciche — Dobranoc...

W środku nocy tajemnicze uczucie wyrwało Zjawę ze snu. Dziewczyna otworzyła gwałtownie oczy, wpatrując się w gęstą ciemność, która ją otaczała. Serce biło jej jak oszalałe, a zimny pot spływał po skroniach. Leżała przez chwilę nieruchomo, nasłuchując jakichkolwiek dźwięków w pustym pokoju. Wokół panowała jednak głucha cisza.

Z każdą kolejną sekundą spędzoną w bezruchu coraz bardziej uświadamiała sobie, że to, co poczuła, nie było jedynie snem czy paraliżem przysennym. To uczucie było zbyt realne, zbyt namacalne. Nagle, niczym tona kamieni spadająca na klatkę piersiową, uderzyła w nią czyjaś Pierwotna Wola. Uczucie było mordercze, wręcz apokaliptyczne. Głód krwi i przemocy kipiał jej w uszach, pulsując jak wojenne bębny.

Zjawą poczuła, jakby cały jej organizm został porwany przez falę czystej, nieokielznanej wściekłości. Uczucie było tak intensywne, że na moment straciła dech.

— Smutny? — wyszeptała przestraszona, próbując zebrać myśli, by zrozumieć, co się dzieje. Przez moment wydawało jej się, że to może być on, ale coś w tym nie pasowało. — Nie... — wyszeptała po chwili, gdy dotarło do niej, co kipiało najmocniej pośród tych wszystkich emocji, które teraz przepływały przez jej podświadomość. Wyraźnie czuła żądzę odbierania życia, żądzę krwi tak intensywną, że niemal namacalną.

— To Dziki! — zawołała nagle, unosząc się na łokciach. Jej serce przyspieszyło jeszcze bardziej, a zimny dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa.

Była po prostu wstrząśnięta. Sama nie miała teraz rozbudzonej Pierwotnej Woli. W czasie snu pozostawała przecież wyciszona i spokojna. Właściwie niemożliwe było, żeby wyczuła w tym stanie kogokolwiek. Chyba że ten ktoś zostałby pochłonięty przez błędy w jakiś absurdalny sposób, którego wcześniej nie doświadczyła. Przerazenie wstrząsnęło nią dogłębnie, bo to mogło oznaczać tylko jedno: w Garażu działo się coś niewyobrażalnie złego.

Poderwała się błyskawicznie z posłania, czując przypływ adrenaliny. Jej dłonie drżały, gdy zaciągała na nogi buty. W locie porwała kurtkę wiszącą na oparciu krzesła, niemal przewracając mebel.

Po omacku przebiegła przez korytarz do sąsiedniego pokoju, w którym drzemał Elemis.

— Wstawaj! Mamy kłopoty! — zawołała, budząc go szarpnięciem za ramię.

Mężczyzna zerwał się z łóżka, zdezorientowany i jeszcze półprzytomny.

— Co? Co się dzieje? — zapytał drżącym głosem, zapalając latarkę, którą musiał mieć schowaną przy łóżku. — Ciemnia? Potwory? — dopytywał, rozglądając się panicznie po pomieszczeniu.

— Coś dzieje się w Garażu! — wyjaśniła pośpiesznie Zjawą, czując, jak jej ciało przeszywają kolejne fale obcej Pierwotnej Woli. — Musisz mi powiedzieć, jak tam dotrzeć!

Twarz Elemisa w mdłym świetle latarki zmarszczyła się z niedowierzaniem.

— Jak to coś dzieje się w Garażu? Miałas chyba koszmar... — stwierdził, wzdychając ciężko i przecierając oczy.

— Czuję Pierwotną Wolę, rozumiesz? — krzyknęła na niego dziewczyna, ledwo powstrzymując gniew. — Dziki na pewno z kimś teraz walczy... Nie — dodała nagle, doświadczając czegoś, co przypominało lodowate noże przeszywające skórę. — Tam dochodzi do masakry! — powiedziała, drżąc mimowolnie.

Elemis najpewniej nie zrozumiał, o co chodziło z wyczuwaniem Pierwotnej Woli, ale przynajmniej miał dość rozsądku, by uwierzyć jej na słowo, że wie, co robi.

— Garaż jest w dawnej remizie OSP przy głównej drodze na most. Zaraz obok był kiedyś ten duży sklep z farbami — wytłumaczył, a jego głos stał się teraz o wiele bardziej przytomny.

Weteranka skinęła głową. Pamiętała to miejsce ze Starego Świata. Bez chwili zawahania ruszyła korytarzem na zewnątrz, włączając po drodze swoją latarkę. Elemis dołączył do niej natychmiast, poprawiając w marszu pośpiesznie zaciągnięte buty.

— Idę z tobą! — oznajmił stanowczo, starając się za nią nadążyć.

Zjawą skrzywiła się tylko bez słowa. Zdecydowanie wołałaby, żeby mężczyzna został w schronieniu, ale nie chciała teraz tracić czasu na kłótnie. Szarpnięciem otworzyła drzwi kryjówki, a chłodne nocne powietrze uderzyło ją w twarz, rozbudzając w pełni. Razem z niechcianym towarzyszem, wybiegła na skrytą w mroku ulicę.

Świecąc latarką po zniszczonych budynkach, dziewczyna określiła w końcu odpowiedni kierunek i ruszyła pędem w stronę Garażu. Przez kilka minut starała się skupić na biegu, ignorując pulsujący ból wciąż sztywnych po drzemce mięśni. Każdy krok stawiany na nierównym bruku wywoływał u niej

potężny dyskomfort, ale krążąca w żyłach adrenalina nie pozwalała jej zwolnić nawet odrobinę. W czasie biegu ciągle myślała o tym, co mogło się wydarzyć...

— Muszę tam dotrzeć, zanim będzie za późno... — powtarzała sobie w duchu, starając się zapanować nad nerwami.

Nagle uderzyła w nią kolejna fala emocji. Ta była zupełnie inna niż wcześniej. Chłodna, przerażona, skupiona na przetrwaniu. Uczucie to przeszło ją niczym lodowaty sztylet, powodując, że na chwilę zabrakło jej tchu.

— Pierwszy... — wyszeptała, zatrzymując się gwałtownie. Jej oczy rozszerzyły się ze strachu, a spojrzenie nabrało ostrości. Odwróciła się w stronę Elemisa, który z trudem już nadągał za jej tempem. — Złap mnie za rękę! — zażądała, wyciągając do niego drżącą dłoń.

— Co?! — spytał zadyszany mężczyzna, zaskoczony jej nagłym żądaniem.

— Po prostu łap! — nakazała ponownie, głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Gdy tylko dłoń mężczyzny zetknęła się z jej palcami, Zjawy zamknęła oczy, skupiając się na wzbudzeniu w sobie Pierwotnej Woli. Przypomniała sobie Lanca. To był dla niej zawsze niezawodny sposób, by momentalnie rozbudzić gniew. Jego pajacowaty uśmiech, fałszywe komplementy, słowa pełne obłudy... Pomyślała, jak bardzo przypominał pod tym względem Elemis, który teraz stał obok niej.

— Pieprzony! — ryknęła, gdy jej furia osiągnęła kulminację.

Nagle świat wokół nich rozmył się w oślepiającym blasku. Ciało dziewczyny pochłonęła jasność, która zdawała się rozkładać ją na atomy. Czuła, jak każda cząstka jej istnienia rozpada się i przemieszcza z niewyobrażalną szybkością. Tylko jaźń Weteranki pozostawała skupiona, prowadząc ich przez ten nieznany wymiar. Ulica wokół rozciągała się i związała, budynki zamieniały się w smugi kolorów, a czas zdawał się tracić znaczenie.

Już po chwili Zjawy zmaterializowała się ponownie, a za nią wylądował oszołomiony Elemis. Mężczyzna potknął się, ledwo unikając upadku.

— O kurwa mać! — wykrzyknął zszokowany, ciągle trzymając ją za rękę.

Jego twarz była biała jak kreda, a oczy szeroko otwarte. Oddychał ciężko, próbując zrozumieć, co właśnie się stało. Zjawy natomiast liczyła w myślach, starając się ocenić, jak daleko się przenieśli.

— Ile zyskałimy? Dwieście? Trzysta metrów? — zastanawiała się gorączkowo.

Czuła, że musi się bardziej skupić, jeśli chce dotrzeć na czas.

— Trzymaj się! — krzyknęła, ściskając mocniej dłoń towarzysza.

Nim Elemis zdążył zareagować, błysnęło po raz kolejny. Jaźń Zjawy płynęła razem ze światłem. Tym razem trwało to absurdalnie długo. Dziewczyna nigdy wcześniej nie przenosiła się na taką odległość. Przestrzeń wokół niej wydawała się być nieograniczona, pełna wirujących barw i kształtów bez sensownej formy, jakby znalazła się w kalejdoskopie. Przez chwilę miała na-

wet wrażenie, że nie uda jej się więcej scalić ponownie. Lęk przed tym ścisnął jej serce, ale na szczęście uczucie nie okazało się prawdziwe. Mimo oporu jej atomy zbiegły się w całość, aż w końcu poczuła twardy grunt pod stopami. W głowie zawirowało jej po tym, jakby była pijana, ale to Elemis zniósł te przenosiny, o wiele gorzej. Po pojawieniu się zasłonił usta, bo ewidentnie zbierało mu się na mdłości.

— Boże, nie, proszę! Nie rób tego więcej! — zawołał, w przerwach między odruchem wymiotnym.

Zjawa zignorowała jednak jego stan, skoro chciał iść razem z nią, powinien być gotowy na konsekwencje.

— Jeszcze raz! — rzuciła stanowczo, nie puszczając ręki mężczyzny, a światło okryło ich ponownie.

Po kolejnej materializacji wyładowali praktycznie przed wrotami Garażu, które, co dziwne, były szeroko otwarte. Widok ten sprawił, że Zjawa poczuła się zdezorientowana. Nikt przecież nie zostawiłby bramy otwartej na noc, choćby z obawy przed Niewykształconymi. Nie była pewna, co zastanie po drugiej stronie, ale cisza, jaka panowała w tym miejscu, podpowiadała jej, że na pewno nic dobrego.

— Poczekaj tu chwilę... — rzuciła odruchowo w stronę Elemisa, który i tak nie wybierał się nigdzie, bo na kolanach walczył z kolejnymi falami mdłości.

Weteranka ruszyła więc powoli w kierunku wejścia, wyłączając latarkę. Dzięki temu jej sylwetka była ledwo widoczna, gdy w mroku przekradała się przez bramę.

Wewnątrz panował chaos. Zbite szyby, roztrzaskane tynki i porzucona prowizoryczna broń biała świadczyły o niedawnej walce, jaka musiała mieć tu miejsce. Zjawa z trudem przełknęła ślinę, starając się opanować nerwy.

Powoli przesunęła się wzdłuż prowizorycznych zabudowań, nasłuchując odgłosów, które mogłyby świadczyć o obecności innych ludzi albo o wciąż trwającym starciu. Nie dochodził jednak do niej nawet najłżejszy szmer. Otaaczała ją wręcz martwa cisza.

Gdy dziewczyna zbliżyła się do centralnej części osady, jej oczy rozszerzyły się w szoku. Na ziemi leżały ciała strażników, w naprawdę przerażającym stanie. Jeden z nich miał zgniecioną czaszkę, a krwawa, galaretowata masa była rozmazana wokół jego głowy. Inny mężczyzna leżał z pałąk wbity w głowę.

Mijając pobojuwisko, Zjawa ostrożnie stawiała stopy na popękanej ziemi, starając się nie wydać żadnego dźwięku. Wokół panowała taka cisza, że najłżejsze potknięcie mogłoby zwrócić na nią uwagę. Powoli zbliżyła się do jednej z przyczep kempingowych, której bok był wgnieciony tak mocno, jakby przetrwała czołowe zderzenie z ciężarówką. Blacha zwisała poszarpanymi krawędziami, a przez powstałą dziurę można było dostrzec wnętrze, pełne porzuconych mebli.

Wychylając się zza przyczepy, dostrzegła w oddali Pierwszego. Fala ulgi przeszła przez jej ciało. Mężczyzna żył i wydawało się, że odzyskał siły. Dlaczego jednak nie było z nim Dzikiego? Tuż obok niego stał tylko jakiś starzec w białym kitlu lekarskim. Obaj pochylali się nad leżącą na ziemi nieruchomą postacią, rozmawiając o czymś nerwowo. To sprawiło, że Zjawę ponownie ogarnęły złe przeczucia.

Zbliżyła się powoli do mężczyzn, czując jak narastający lęk ściska jej żołądek. Wyciągając rękę w stronę kompana, wyszeptala — Pierwszy...

Nim jednak zdążyła dokończyć zdanie, jej wzrok skupił się na leżącym na ziemi mężczyźnie. Ten dotknięty był ciężkim defektem. Włosy i brwi spadały mu samoistnie na ziemię, tworząc wokół głowy groteskową aureolę. Rysy twarzy zanikły zupełnie, skóra była gładka i bezkształtna niczym topniejący воск, a nos wchłaniał się powoli w głąb czaszki, pozostawiając po sobie jedynie płaską powierzchnię. Widok ten był tak ohydny, że dziewczyna mimo tego co już widziała w Nowym Świecie, poczuła mdłości.

Stary doktor stojący obok Pierwszego przyjrzał się jej z zaciekawieniem. Po chwili zdjął z nosa okulary, przetarł je chusteczką i wrócił do tego, o czym musieli rozmawiać wcześniej — ...tak jak wspomniałem, w całej mojej historii nie widziałem nikogo, kto tak skrajnie nadużyłby swojej mocy. Rozmycie zabierze go w ciągu kilku minut.

Pierwszy skinął ponuro głową, a w jego spojrzeniu malowała się bezsilność. Zjawą jeszcze raz przyjrzała się postaci leżącej na ziemi. Tylko po charakterystycznej kamizelce z podpisem była w stanie w końcu rozpoznać, kim ona jest. Jej serce zamarło.

— Boże! — zawołała, zasłaniając ręką usta, a jej głos drżał od szoku i niedowierzania. — To Dzik! Jak? Dlaczego? — spytała, spoglądając to na Pierwszego, to na doktora, oczekując wyjaśnień.

— Odnalazł swoją Oli... — wyjaśnił pokrętnie Pierwszy, wzdychając przy tym ciężko. — I dał się w pełni pochłonać drzemiącym w nim demonom... — stwierdził z wyraźnym wyrzutem, jakby oskarżał Dzikiego o największą zdradę.

Zjawą pokręciła przestraszona głową, rozglądając się po placu. Zewsząd otaczała ją pustka i zniszczenie. Ponieważ nie dostrzegła nigdzie dziewczyny, przyszła jej do głowy kolejna przerażająca myśl — Boże... czy ona... — zaczęła, bojąc się dokończyć zdanie.

— Żyje... — wtrącił Pierwszy, uspokajając ją nieco. — Jeśli możesz, przyprowadź ją, jest w tym budynku... — poprosił, wskazując głową na boczną część Remizy.

Zjawą przytaknęła i ruszyła w stronę wskazanego miejsca, choć jej nogi nagle zesztyniały, jakby były odlane z ołowiu. Przed oczami ciągle miała obraz konającego Dzikiego. Różne przykre myśli kotłowały się w jej głowie, ale

wszystkie sprowadzały się do tego, że chłopak był gotów poświęcić wszystko, by uratować swoją przyjaciółkę.

— *Pewnie nawet nie będzie mu dane się z nią pożegnać...* — pomyślała i zrobiło jej się z tego powodu naprawdę źle. — *A byli przecież „tylko” przyjaciółmi...* — podkreśliła w swojej głowie, jeszcze gorzej oceniając teraz zachowanie Lance’a.

Podchodząc do witryny oznaczonej szyldem „Mokry Sen”, Zjawa poczuła lekki dreszcz przebiegający wzdłuż ciała. Odruchowo chciała chwycić za klamkę, ale okazało się, że ta była wyrwana. Drzwi do budynku chygotały się lekko uchylone, skrzypiąc przy każdym ruchu na wietrze. Zza nich unosił się odór wielu nakładających się na siebie rodzajów perfum, tworząc duszącą mieszaninę, która przyprawiała ją o zawrót głowy. Odurzona zapachem, weszła do środka i powoli przeszła przez puchowy dywan. Nagle usłyszała delikatny szelest i zamarła, nasłuchując, skąd dochodzi. Serce podskoczyło jej do gardła. Szukając wzrokiem źródła dźwięku, dostrzegła Oli schodzącą powoli po schodach. Dziewczyna była bardzo słaba i w całości wspierała się na poręczu. Jej ciało drżało z wysiłku, a oczy miała przymknięte z wyczerpania.

Zjawa, obawiając się, że upadnie, natychmiast podbiegła do niej.

— Hej... hej... spokojnie, siostrzyczko. Jestem przy tobie — powiedziała cicho, chwytając dziewczynę pod ramię, by pomóc jej zejść na dół.

— Pamiętam cię... — wyszeptała Oli słabym i drżącym głosem. — Ty jesteś Zjawa... Gdzie jest Dziaki? Powiedz... proszę...

Po tym pytaniu głos uwiązł Zjawie w gardle. Nie czuła w sobie siły, by zdradzić dziewczynie w jakim stanie był teraz jej przyjaciel.

— Idziemy do niego... — szepnęła tylko drżącym głosem i poprowadziła Oli dalej, aż do drzwi.

Na zewnątrz Pierwszy i staruszek w kitlu wciąż wpatrywali się w nieprzytomnego Dziakiego.

Jeden ubrany cały na czarno, a drugi cały na biało, przywodzili Zjawie na myśl obraz demona i anioła, którzy czekali, by zabrać duszę chłopaka do należącego mu miejsca. Ich postacie kontrastowały ze sobą tak mocno, że sceneria wydawała się jak z komiksu.

Zjawa miała tylko nadzieję, że któryś z nich zdejmie z niej ten ciężar i uświadomi Oli, że Dziakiemu nie zostało już dużo czasu. Jakikolwiek tłumaczenie okazały się jednak niepotrzebne. Dziewczyna wyrwała się spod jej ręki i podbiegła z płaczem do leżącego na ziemi chłopaka. Jakimś cudem od razu rozpoznała w nim swojego przyjaciela. Może serce podpowiedziało jej prawdę?

Jej skowyt po tym, gdy go zobaczyła, rozbił się echem po okolicy. Był to przerażający odgłos czystej rozpacz i bólu, który przeszył na wskroś wszyst-

kich obecnych na placu. Układając jego zniekształconą głowę na kolanach, Oli przez chwilę zupełnie się załamała. Łzy spływały po jej policzkach, tworząc mokre ścieżki na zabrudzonej twarzy.

Pierwszy, natychmiast odwrócił się od niej i wbił spojrzenie w ziemię. Doktor przymknął natomiast oczy, z twarzą pełną smutku.

— Dzik! DZIKI! — krzyczała dziewczyna, głaszcząc przyjaciela po tym, co kiedyś było jego twarzą. Jej palce delikatnie dotykały gładkiej skóry, jakby próbowała przywrócić mu dawne rysy. — Obudź się, proszę... proszę...

Zjawa patrzyła na Oli z bólemserca. Wiedziała, że żadne słowa nie są w stanie ukoić takiego cierpienia, dlatego nawet nie próbowała nic powiedzieć. Ta przygnębiająca scena zdawała się trwać wiecznie. Czas jakby złośliwie zatrzymał się w miejscu. W końcu doktor zbliżył się do załamanej dziewczyny i z ciężkim sercem szepnął — Przykro mi, ale on się już nie obudzi...

— Nie... — załkała Oli, przebiegając wzrokiem od staruszka do Pierwszego. — Pierwszy, proszę, zrób coś... Błagam! Pomóż mu!

Mężczyzna odwrócił wzrok, a jego ramiona opadły bezwładnie. Głos, który wydobył się z jego ust, był pusty i beznadziejny — Nie mogę...

Oli rozpląkała się jeszcze mocniej, przyciskając swoje czoło do czoła Dzikiego.

Zjawa, nie mogąc znieść dłużej tego widoku, cofnęła się, chowając w cieniu budynku. Mimo że знаła ich bardzo krótko i słabo, serce krwawiło jej od samego patrzenia na nich. Czuła się bezsilna i przytłoczona. Skryta w ciemności dostrzegła nagle mieszkańców Garażu wyglądających niepewnie zza budynków. Nikt jednak nie odważył się wyjść na plac.

— Do czego tu doszło? — spytała w myślach, czując się coraz bardziej zdezorientowana i wtedy nie wiadomo skąd, pojawił się przy niej Elemis.

— Szkoda... — powiedział cicho, stając obok. — Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, że dziewczyna jest tutaj...

W tym samym czasie zaszlochana Oli zwróciła się do doktora — Panie Bronku... Pan... Pan mógłby mu pomóc... Pan mógłby... na pewno. — wyszeptała błagalnie, chwytając jego rękę jak ostatnią nikłą nadzieję.

Doktor westchnął jednak ciężko, kręcąc głową.

— Nie mogę... — zaprzeczył drżącym głosem. — Nie po tym... Nie po tym, co on zrobił...

Pierwszy natomiast obrócił się teraz w jego stronę, a po jego twarzy widać było, że chce powiedzieć coś trudnego.

— Doktorze, ja wiem... — zaczął tak błagalnym tonem, na jaki było go w tych okolicznościach stać. — I gdyby chodziło tylko o niego, nigdy bym o to nie poprosił... Zasłużył na śmierć... — stwierdził z głębokim przekonaniem.

Zjawa, słysząc te deklaracje, aż otworzyła z niedowierzaniem usta. Oli z kolei dostała po prostu szału. Momentalnie poderwała się, chcąc chyba ude-

rzyć Pierwszego, ale była na to zbyt słaba. Nogi ugięły się pod nią tak, że osunęła się z powrotem na ziemię.

Doktor Bronek podszedł do niej powoli i pomógł jej usiąść.

— Nie forsuj się, kochanie... sama jesteś w złej kondycji... — poprosił delikatnie, a jego głos pełen był troski, jakby rozmawiał ze swoją wnuczką.

Pierwszy wylapując najpewniej ten moment jako chwilę jego słabości, dokończył swoją prośbę — Ona nie ma nikogo poza nim — stwierdził z bólem. — Ja ani Zjawą nigdy nie zapewnimy jej takiego bezpieczeństwa, jakie on będzie w stanie. Mówię to jako człowiek, który powstrzymał go i którego chciał on również pozbawić życia... Niech Pan mu pomoże. Ze względu na nią... Mimo, że byłem nieprzytomny, czułem bijącą od Pana moc. Jeśliby Pan tylko chciał, mógłby Pan cofnąć ten defekt — przekonywał.

Oli w ramionach doktora powtarzała tylko jedno słowo: „proszę”. Ten jednak wciąż kręcił głową.

— Kochana, ja nie mogłem znieść tego, co z tobą zrobiono... — przyznał, a łzy pociekły mu po pomarszczonych policzkach. — Biję się w pierś za każdym razem, gdy o tym myślę. Żałuję, że nie miałem dość siły, by ich powstrzymać... — zapewniał, a jego głos łamał się od nadmiaru żalu. — Ale nie mogę... W tym chłopaku drzemało coś bardzo złego, co już wydostało się na wierzch. Jeśli mu pomogę, on zabije jeszcze wielu ludzi. Jestem tego pewien. Ich krew będzie na moich rękach... — zakończył twardo, ocierając łzy.

— Nie zabije! — zaprzeczył Pierwszy. — Bo jeśli tylko spróbuje, ja zabiję jego!

Oli popatrzyła na Pierwszego spojrzeniem pełnym gniewu, a doktor spytał zdumiony — Dlaczego?

— Uratowałem kiedyś temu chłopakowi życie — wyjął Pierwszy ciągle tym samym chłodnym głosem. — Od tego momentu każda osoba, którą zabił, to krew również na moich rękach. Nie zniosę jej już więcej... — przyznał z goryczą, a jego twarz zamarła.

Doktor przyglądał się mu przez dłuższy czas, w akompaniamencie przerywanych szlochów Oli. W końcu jednak odetchnął ciężko i skupiając wzrok z powrotem na dziewczynie, powiedział — Dobrze, skarbie, ze względu na całe współczucie, jakie mam do ciebie... Mam nadzieję, że mi kiedyś wybaczysz... — wyszeptał i wypuścił dziewczynę z ramion.

Zjawą pochyliła się, opierając dłonie o kolana, by lepiej widzieć to, co działo się przed nią. Powietrze momentalnie stało się ciężkie i naelektryzowane, jakby zaraz miała uderzyć burza. Doktor Bronek, zgarbiony pod ciężarem lat, powoli zbliżył się do leżącego Dzikiego i uniósł nad nim swoje pomarszczone dłonie. Nie spojrzał jednak na chłopaka ani na chwilę. Jego oczy, były w całości skupione na Oli, która klęczała obok. Po policzkach spłynęło mu kilka łez.

Nagle Pierwotna Wola znów wypełniła Garaż, nasycając powietrze zielonym, pulsującym światłem. Energia była niemal namacalna, wprawiając w drżenie drobne przedmioty leżące w pobliżu. Zielona poświata otoczyła sylwetkę Dzikiego, którego ciało, wcześniej bezkształtne i zdeformowane, zaczęło powoli odzyskiwać ludzką formę. Wyglądało to, jakby niewidzialna dłoń starannie rzeźbiła rysy na plastelinowym ludziku. Kontury twarzy stawały się coraz wyraźniejsze. Pojawił się nos, kości policzkowe nabrały kształtu, a usta odzyskały naturalny wygląd. Skóra przestała być gładką, pozbawioną cech powierzchni. Powróciły pory, drobne pieprzyki i blizny. Choć włosy i brwi nie odrosły, miejsca, gdzie powinny się znajdować, wyraźnie się odznaczyły, nadając twarzy bardziej normalny wygląd.

Proces ten trwał krótko, około dwóch, trzech minut, choć dla Zjawy wydawał się wiecznością. Doktor w końcu opuścił dłonie, które drżały z wyczerpania. Jego ramiona bezwładnie opadły wzdłuż ciała, a on sam lekko się zachwiał, zmuszony oprzeć się o pobliską ścianę.

— Zrobiłem, ile mogłem... — oznajmił zmęczonym głosem, dysząc ciężko i opadając do tyłu. — Udało mi się cofnąć jego chorobę, ale wyleczyć tak ciężkiego defektu całkowicie... nie dałem rady... — dodał zupełnie wyczerpany.

Oli przycisnęła się natychmiast do Dzikiego, obejmując go delikatnie.

— Dziękuję, dziękuję Panu... Boże, Dzikim... dziękuję Panu... — szeptała, nie odrywając wzroku od twarzy przyjaciela.

Pierwszy stał nieco z boku, obserwując scenę z ponurym wyrazem twarzy. Nagle odwrócił się i rzucił cicho w stronę Zjawy — I niech ktoś powie, że to jest sprawiedliwe...

Ta zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc w ogóle, co mężczyzna miał na myśli. Co tu się wcześniej wydarzyło? Dlaczego stosunek Pierwszego do Dzikiego zmienił się tak drastycznie?

Chciała już poprosić o jakieś wyjaśnienie, ale nie zdążyła, bo w słowo wszedł jej doktor — Zwiadowcy i strażnicy z sąsiednich miast już tu na pewno jadą... — ostrzegł ich, spoglądając w stronę bramy. — Powinniście uciekać! Najlepiej od razu na swoją stronę.

— Jest środek nocy — zauważył Pierwszy, spoglądając w niebo. — Na pieszo na pewno nie damy rady...

Słyszac to, Elemis zbliżył się do nich szybkim krokiem.

— Garaż ma najlepsze pancerniaki na całym Zarzeczu — zasugerował nerwowym głosem, wskazując jednocześnie na stojące w oddali maszyny. — Przebić się nimi można praktycznie przez wszystko! Bez problemu dojechali byśmy do rzeki w kilka minut.

— Ty? — spytał zaskoczony Pierwszy, zwracając się do mężczyzny, a jego oczy zwięziły się podejrzliwie. — Doktor Bronek powiedział, że nam pomagaleś. Dlaczego?

— Obiecałam zabrać go na naszą stronę! — wyjaśniła Zjawa, stając obok Elemisa i kładąc dłoń na jego ramieniu. — Facet jest tu spalony... — dodała, patrząc Pierwszemu prosto w oczy i licząc, że ten zaufa jej intuicji.

Pierwszy przyglądał się Elemisowi przez chwilę, ale w końcu odechnął ciężko.

— Dobrze niech jedzie — potwierdził.

Nie tracąc ani chwili, Zjawa, Pierwszy i Elemis ruszyli szybko w stronę placu, by wybrać jeden z pancerniaków do ucieczki. Po chwili oględzin, zdecydowali się na czarnego kolosa, obitego grubymi metalowymi płytami i z potężnymi terenowymi oponami. Głównym kryterium był jednak nie rozmiar pojazdu, a fakt, że tylko w nim jakiś nierozważny mechanik pozostawił kluczyki w stacyjce.

Co dziwne, maszyna, choć z zewnątrz wyglądała topornie i groźnie, miała zaskakująco wygodne wnętrze. Skórzane fotele były miękkie i dobrze wyprofilowane. Deska rozdzielcza wypełniona była nowoczesnymi, choć nieco podniszczonymi wskaźnikami, które migotały w przytłumionym świetle kabiny. Obszerna przestrzeń mogła pomieścić ich wszystkich, łącznie z nieprzytomnym Dzikim, którego po wybraniu pojazdu delikatnie ułożyli za tylną kanapą, w części bagażowej.

— Powodzenia... — powiedział Doktor, stojąc w cieniu pojazdu, gdy tylko skończyli przygotowania do ucieczki.

— Jest Pan pewien, że chce tu zostać, doktorze? — spytał Pierwszy, ścisnąc staruszkowi dłoń. — Mieszkańcy widzieli, że pomógł pan Dzikiemu... Możemy Pana zabrać...

Doktor uśmiechnął się tylko krzywo, a w jego oczach błysnął cień ironii.

— Obawiam się, że ze względu na moje umiejętności jestem tu jakby niezastąpiony i nietykalny — stwierdził z pewną butą w głosie. — Poza tym, ci sami mieszkańcy widzieli też, że stanąłem do walki z Dzikim i uratowałem im życie. To, co stało się potem... Do tego mogliście mnie przecież zmusić... — dodał, wzruszając lekko ramionami.

Pierwszy skinął głową, akceptując jego decyzję, i jeszcze raz ucisnął mu dłoń na pożegnanie.

— Dziękuję za wszystko — powiedział krótko, po czym odwrócił się i wrócił do pancerniaka.

Oli i Elemis usadowili się w tym czasie na tylnej kanapie, a Zjawa usiadła obok Pierwszego, który zajął miejsce za kierownicą. Gdy mężczyzna przekręcił kluczyk, silnik zamruczał cicho, a wibracje delikatnie przeniosły się na podłogę. Wnętrze pojazdu okazało się dobrze wygłuszone. Z zewnątrz docierał do nich jedynie stłumiony pomruk.

Kiedy pancerniak ruszył, przekraczając wrota Garażu, Zjawa poczuła, jak w jej brzuchu rozlewa się jej przyjemne uczucie ulgi.

— *Wracamy! Udało się!* — pomyślała radośnie, czując, jak wreszcie zaczyna ogarniać ją spokój. Spoglądając jednak na Pierwszego i jego ponurą minę, miała wrażenie, że mimo uratowania Oli, ponieśli ogromną porażkę. Pytanie o to, co mogło wydarzyć się w Garażu, nie dawało jej spokoju.

— Pierwszy... — zaczęła niepewnie, przerywając ciszę, która zapanowała w kabinie. — Powiesz mi, o co chodzi?

Mężczyzna milczał przez dłuższą chwilę, skupiony na drodze przed nimi. Jego twarz była jak z kamienia, a oczy skupione w światłach rzucanych przez lampy. Dopiero po chwili odetchnął głęboko i spojrzał w lusterko na Oli. Dziewczyna, zwinęta w kłębek na obszernym tylnym siedzeniu, chowała głowę między kolanami.

Zjawa zrozumiała, że Pierwszy coś ukrywa ze względu na nią. Przysunęła się więc tak blisko niego, jak mogła, i bezgłośnie spytała — Co jest?

Mężczyzna jeszcze raz upewnił się, że Oli na nich nie patrzy, nachylił się do Zjawy i wyszeptał tak cicho, że ta ledwie to słyszała — Zaatakował mnie...

Weteranka zrobiła natychmiast szerokie oczy, a serce забиło jej mocniej. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Dziki miałby zaatakować Pierwszego? Może uważała go za lekkomyślnego, ale nigdy za kogoś zdolnego do takiego wariactwa.

— Dlaczego? — spytała ponownie bezgłośnie, układając usta w taki sposób, by Pierwszy mógł odczytać pytanie z ruchu jej warg.

Mężczyzna pochylił się bliżej i najciszej, jak mógł, wyjaśnił — Wpadł w amok po tym, jak zobaczył, do czego zmusili Oli. Oni... — tu przerwał na chwilę, patrząc znacząco w lusterko.

Zjawa szybko zrozumiała, co miał na myśli. To, w jakim celu porwano dziewczynę, było dla niej oczywiste od samego początku. Nie wspominała o swoich domysłach, tylko dlatego, by nie sprawiać przykrości Dziakiemu i nie pogarszać jego i tak już kiepskiego stanu. Mimo to miała wrażenie, że od początku to, co mogło spotkać Oli, było dla całej ich trójki tajemnicą poliszynela.

Pierwszy, rozumiejąc, że nie musi wdawać się w szczegóły, kontynuował szeptem — Potem chciał wymordować cały Garaż...

— I dobrze! — wypaliła Weteranka półgłosem.

Kompan jednak z jakiegoś powodu zgał ją spojrzeniem. Choć jego twarz pozostała niewzruszona, to w oczach pojawił się cień dezaprobaty.

— Tam nie mieszkali tylko zwyrodnialcy... — przypomniał cicho. — Choćby doktor, któremu zawdzięczam życie, a którego Dziaki również chciał zabić...

Zjawa poczuła wstyd z powodu swojej pochopności w skazywaniu wszystkich na śmierć. Skinęła przepaszajaco głową i wyjrzała przez szybę, obserwując trasę. Przy obecnym tempie, od rzeki dzieliło ich co najwyżej kilka minut. Pościg pewnie nawet nie zdąży dotrzeć za nimi, a będą już po drugiej stronie.

Nagle z tyłu pojazdu usłyszeli ciche jęknięcie. Zjawa odwróciła się gwałtownie, spoglądając na leżącego w bagażniku Dzikiego. Jego ręce zaczęły lekko drgać, a oczy poruszyły się pod zamkniętymi powiekami.

— Pierwszy... — szepnęła, delikatnie szturchając kierowcę w ramię. — Budzi się.

Mężczyzna szybko spojrział w lusterko. Jego twarz pozostała obojętna, ale w oczach pojawił się cień niepokoju. Oli z kolei przechyliła się przez oparcie kanapy.

— Dziki, słyszysz mnie? — zapytała cicho, delikatnie kładąc dłoń na jego policzku.

Chłopak mruknął coś niezrozumiałego, próbując otworzyć oczy. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu, ale odzyskiwał świadomość.

Przyjaciółka natomiast szeptała do niego dalej — Dziki, to ja. Jesteś już bezpieczny...

— Gdzie..., gdzie ja jestem? — spytał, zupełnie zdezorientowany.

— Jesteś w pancerniaku — odparła Oli. — Wywozimy cię do bezpiecznego miejsca — dodała i przeszła przez oparcie fotela, siadając obok niego w bagażniku.

Zjawa zauważyła, że Pierwszy ścisnął teraz kierownicę tak mocno, że aż poczerwieniały mu palce. Najpewniej to, co Dziki próbował zrobić, nie dawało mu spokoju. Zastanawiała się, czy chłopak spróbuje chociaż przeprosić, ale po pierwszym pytaniu nie powiedział już więcej ani słowa. Leżał tylko z otwartymi oczami, wpatrując się w dach samochodu, a Oli głaskała go po głowie.

W pancerniaku zapanowała cisza. Zjawa czuła, jak atmosfera gęstnieje z każdą chwilą. Na szczęście przed ich oczami, zaczynał majaczyć zawalony most nad Wiślinką. Od granicy Zarzecza dzieliło ich może pół kilometra.

Niestety, odczucie rychłego zakończenia ich przygody rozwiało migające czerwonej lampki na kokpicie samochodu.

— *Co jeszcze, kurwa, może się zepsuć...* — pomyślała sfrustrowana Zjawa, zaciskając pięści.

Pierwszy spojrział na Elemisa i zapytał — Co to oznacza?

Elemis wychylił się między siedzeniami i przyjrzał kontrolce.

— Zbliży się Ciemnia... — wyjaśnił, patrząc przez przednią szybę.

Zjawa podążyła za jego wzrokiem zauważając, jak horyzont zaczyna spowijać gęsta, mroczna mgła. Bez zastanowienia chwyciła Pierwszego za ramię i ignorując jego mimowolne wzdrygnięcie, syknęła — Nie możemy ryzykować! Schowajmy się gdzieś i wróćmy później, gdy będzie bezpieczniej!

Przez jej myśli przemknęło, że Dziki nie był pewien co do przeprawy przez rzekę. Istniało ryzyko, że potrzebował będzie dłuższego przygotowania, by przejść sam, a przecież mieli ze sobą dwóch dodatkowych pasażerów, którzy bez względu na wszystko, nie byli w stanie przekroczyć Wiślinki o własnych siłach.

Pierwszy przygryzł nerwowo wargę, spoglądając ponownie na Elemisa. W jego oczach widać było, że gorączkowo kalkuluje ryzyko. Po chwili ciszy zapytał — W pobliżu rzeki nie ma żadnych kryjówek, prawda?

Jak można się było spodziewać, Elemis pokręcił głową.

— Nie — odpowiedział z niepokojem, spoglądając na drogę przed nimi. — I boję się, że jeśli zawrócimy, możemy natknąć się na goniących nas Zwiadowców.

Pierwszy, podejmując naprędce decyzję, zawołał — Trzymajcie się! — i szarpnął nagle kierownicą.

Samochód gwałtownie skręcił, zjeżdżając z drogi w kierunku brzegu Wiślinki. Zjawa podskakiwała na siedzeniu, gdyż koła pancerniaka z trudem utrzymywały przyczepność na stromej, szrutowej ścieżce. Kamienie i żwir sypały się spod opon, uderzając o podwozie z metalicznym brzękiem. Do kabiny natychmiast zaczął wdierać się duszący zapach kwasu, który stawał się coraz bardziej intensywny, im bliżej byli koryta rzeki.

Pierwszy nie zatrzymał się pod mostem, jak sądziła na początku, ale jechał dalej wzdłuż brzegu. Popatrzyła na niego zdeorientowana. Czy naprawdę nie mogli przekroczyć rzeki tutaj? W takim razie jak zamierzał znaleźć odpowiednie miejsce do przeprawy? Dla niej cała okolica wyglądała tak samo. Czarne, poskręcane drzewa, spalona trawa i zielonkawo-żółta, bulgocząca jak wrzątek rzeka.

Czy Pierwszy miał jakiś ukryty plan, czy po prostu improwizował?

W końcu mężczyzna zatrzymał pancerniaka tuż obok niewyróżniającego się niczym kawałka brzegu. Bez chwili zwłoki uruchomił reflektory na dachu pojazdu. Zrobił to dosłownie w ostatniej chwili, bo w ciągu kolejnych sekund ciemność zaczęła ich zalewać ze wszystkich stron.

— Nie ma czasu! — zawołał, otwierając drzwi. — Na zewnątrz, już! — dodał stanowczo.

Zjawa posłusznie wyskoczyła z samochodu na spaloną ziemię i z bronią w pogotowiu, obróciła się, czekając na pozostałych. Elemis dobiegł do niej niemal natychmiast, błąd na twarzy i z szeroko otwartymi ze strachu oczami. W tym czasie Oli pomaga Dziakiemu wydostać się z bagażnika.

Pierwszy zostawiając ich na chwilę, stanął prawie nad samym korytem rzeki i pochylił się, potakując do siebie — Tak, tu jest dobrze! — stwierdził, obracając się w końcu do reszty. — Zjawa, ty przeniesiesz Oli! Jest najszcziplejsza, dasz radę. Ja wezmę Elemisa! Dziaki, musisz przejść sam... — zarządził, spoglądając na chłopaka wyjątkowo surowo.

Dziki, słysząc co ma zrobić, pokręcił głową i zaczął się tłumaczyć — Ale ja nie...

Pierwszy, nie czekając aż skończy, podbiegł do niego i wściekle chwycił go za kurtkę.

— Jeśli powiesz mi, że po tym, co zrobiłeś w Garażu, nie dasz rady przejść przez rzekę... , to na wszystko co święte, przysięgam, wepchnę cię do niej! — zagroził.

Zaskoczony Elemis popatrzył na Zjawę.

— Co jest? Co się dzieje? — spytał zdezorientowany.

— Ciebie i Oli musi przenieść ktoś z Pierwotną Wolą — wyjaśniła pośpiesznie. — Dziki musi wybudzić swoją, żeby przejść sam. A ma z tym problemy... — dodała, obserwując jak Pierwszy próbuje wycisnąć z ich kompana odrobinę złości.

— Byłeś gotów wymordować tam wszystkich ludzi! A teraz nie masz w sobie nic, by przejść przez rzekę? — prychnął głosem pełnym pogardy, popychając jednocześnie Dzikiego.

Oli natychmiast stanęła w obronie chłopaka, krzycząc na Pierwszego, żeby przestał. Ten ignorując ją, prowokował Dzikiego dalej.

— Gdzie jest sędzia i kat, za którego się miałeś? Co? Gdzie? — krzyczał z wściekłością, a jego twarz czerwieniała z każdą chwilą.

Dziki, kręcił tylko głową jak w amoku, cofając się coraz bardziej, aż w końcu oparł się plecami o pancerniaka. Tymczasem Ciemnia dookoła nich narastała. Przestraszona Zjawa zauważyła, jak plamy światła rzucane przez reflektory robiły się z każdą chwilą mniejsze.

— Dziki! Skup się, cholera! — krzyknęła zdesperowana. — Wyobraź sobie coś złego! Tak, jak ja to robię!

Chłopak drżącymi rękoma złapał się za głowę, a po chwili marszczenia czoła wykrzyczał — Nie mogę! PO PROSTU NIE MOGĘ! JA NIC NIE CZU...

W tym momencie Pierwszy niespodziewanie wymierzył mu cios w twarz, tak że Dziki runął na ziemię z czerwonym policzkiem.

— Chciałeś mnie zabić! NIE MASZ JUŻ NA TO OCHOTY? NIE CHCESZ JUŻ ZE MNĄ WALCZYĆ?! — krzyczał w furii.

Oli próbowała odepchnąć Pierwszego, ale była na to zbyt słaba. Z wysiłku osunęła się na ziemię, prawie tracąc przytomność.

Pierwszy, widząc, że sytuacja jest beznadzieja spojrzał teraz na Zjawę.

— Zabierz ją stąd! Ja to ogarnę! — rozkazał.

Zjawa ruszyła w stronę dziewczyny, chcąc ją podnieść, ale jej wzrok mimowolnie przyciągało to, że Wiślinki już nawet nie było widać. Stali w niewielkiej plamie światła rzucanej przez reflektory na dachu pancerniaka.

— Cholera! — zawołał Elemis, całkowicie spanikowany. — Pośpieszcie się! Zaraz zaczną się materializować potwory! — ostrzegł, błędąc jak papier.

Pierwszy poderwał Dzikiego z ziemi i mimo protestów Oli ponownie uderzył go w twarz.

— NO CO, DZIKI! NIE CHCESZ MNIE ZABIĆ?! — wrzeszczał, trzęsąc chłopakiem.

Dziki tylko kręcił głową. Oli, choć ledwo trzymała się na nogach, odepchnęła Zjawę i stanęła między nimi. Pierwszy, widząc lzy na jej twarzy, zawałał się, a w tym momencie. Elemis zawołał — Dobra, słuchajcie! Przejdźcie we czwórkę, ja się schowam w pancerniaku!

Zjawa, spojrzała na niego, marszcząc brwi. Ostatnia rzecz, na jaką by pozwoliła po tym, co sama przeżyła, to pozostawienie kogoś z tyłu.

— Nie! Nie zostawimy cię tutaj! Obiecałam! — powiedziała stanowczo.

— Spokojnie! Dam radę! — stwierdził Elemis, mrugając do Weteranki, jakby chciał dodać jej otuchy, ale nie zmieniał to faktu, że jego głos drżał ze strachu. — Przecież wrócisz po mnie... — dodał, z krzywym uśmiechem.

— NIE! — zawołał Pierwszy. — Wszyscy do pancerniaka! Jest wystarczająco mocny! Przeczekamy to w środku! — nakazał, po czym przepchnął Dziokiego do drzwi. — Rusz się!

Elemis doskoczył do tyłu auta, chwytając za klamkę. Próbował desperacko otworzyć ciężkie drzwi, ale nim zdążył, z ciemności wypadł Wielopies. Niewykształcony stwór miał posturę owczarka niemieckiego. Jego jedna, duża głowa była pozbawiona warg, przez co cały czas ukazywała ostre, żółte zęby, a druga, mniejsza, martwo zwisała z boku szyi.

Zjawa poczuła zimny dreszcz przebiegający po plecach, gdy zobaczyła, jak potwór rzuca się na Elemisa. Potężne szczęki zacisnęły się na jego barku, a po chwili, zaatakowany przez Niewykształconego stwora mężczyzna, runął na ziemię.

Chcąc go ratować, Weteranka wymierzyła ze strzelby, ale w tej samej chwili z ciemności wyłoniły się dwa kolejne Wielopsy. Jeden z nich przypominał bernardyna bez futra, z jedną dużą głową i czterema mniejszymi, zdeformowanymi. Drugi wyglądał jak owczarek o dwóch głowach, z których każda warczała i ociekała śliną. Potwory pochwyciły Elemisa i nim zdążyła oddać strzał, błyskawicznie pociągnęły go w ciemność.

Pierwszy rzucił się na pomoc, ale Zjawa ubiegła go, teleportując się w sam środek ciemności. Światło, które towarzyszyło jej przeniesieniu, uniemożliwiło zmaterializowanie się kilku kolejnych potworów czających się w mroku. Przez krótką chwilę zobaczyła Elemisa leżącego na ziemi i osłaniającego się rękoma.

— *Wyceluj dobrze! Wyceluj dobrze!* — powtarzała w myślach, czując, jak każdy mięsień jej ciała napina się do granic możliwości.

Minęła sekunda i błysnęła po raz kolejny. Znalazła się tuż nad Elemisem. Ten wrzeszczał, cały we krwi, a Wielopsy szarpały mu ciało jak oszalałe. Ich zęby zanurzały się w jego mięsie, a krew bryzgała na wszystkie strony.

— Chwyć mnie za rękę! — krzyknęła, próbując przebić się przez jego agonię.

Elemis, mimo bólu przestał krzyczeć i uśmiechnął się krzywo. Z trudem złapał jej dłoń, palcami zimnymi i lepкими od posoki. Zjawa, zacisnęła oczy i błysnęła w kierunku, gdzie, jak jej się zdawało, znajdował się pancerni-

niak. Czuła, jak jej ciało rozpada się na atomy, ale tym razem odbyło się to inaczej. Proces rozpadania się trwał wieczność, a jej umysł walczył, by utrzymać jaźń w całości. Czy to przez to, że mężczyznę trzymały potwory?

Gdy dziewczyna scalała się pod pancerniakiem, poczuła ulgę, choć jej serce nadal biło jak oszalałe. Ciągłe trzymając dłoń Elemisa, wyszeptala: — Udało się... wchodzi do środka...

Mówiąc to, odwróciła głowę i jej twarz zamarła. Trzymała w ręku dłoń mężczyzny... I tylko ją... Oderwaną na wysokości nadgarstka. Zjawą poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Pokręciła głową, a jej umysł ogarnął szok. Podebrała się z ziemi, chcąc wrócić w ciemność, ale wtedy dopadł do niej Pierwszy.

— Nie żyje! Chowaj się! — zarządził stanowczo.

— NIE! ON TAM JEST! — zawołała z rozpaczą. — OBIECAŁAM MU!

Pierwszy spojrzał na nią pustym wzrokiem. — Nie słysząc już, żeby krzyczał...

Dziesięć minut, tylko krótkie dziesięć minut dzieliło kulminację Ciemni od jej zakończenia. W ciągu całej wyprawy, jaką Zjawą, Pierwszy i Dziki odbyli na Zarzecze była to zaledwie, krótka chwila. Wystarczyła jednak, by Elemis stracił życie.

Gdy Ciemnia wreszcie zaczęła ustępować, a mrok wokół nich powoli się rozpraszal, Zjawą wciąż siedziała w pancerniaku, przyciskając dłoń do ust, jakby próbowała stłumić niewypowiedziany krzyk. Nie mogła uwierzyć, że jej się nie udało. Czuła jego rękę! Gdy rozpoczynała przeniesienie, Elemis wciąż żył... Co poszło nie tak? To pytanie powracało jak echo, odbijając się od jej umysłu.

Odpowiedzi było jednak zbyt wiele, by którąkolwiek z nich mogła uznać za właściwą. Tak naprawdę mogła z nich wybierać. Każda wydawała się możliwa. Każda przerażająca na swój sposób. Przenoszenie samej siebie było dla niej czymś naturalnym, umiała robić to bezbłędnie w każdych warunkach, niemal instynktownie. Ale przenoszenie się z innymi? To było coś, z czym nie miała doświadczenia. W nerwach mogła popełnić błąd, który kosztował życie Elemisa.

Zdecydowanie wołała jednak wierzyć, że to efekt Ciemni, że to ten dziwny, zły fenomen z Zarzecza, który sam w sobie był jakimś rodzajem błędu, zakłócił jej umiejętności. Tak, to brzmiało logicznie, ale czy to była wystarczająca wymówka dla jej sumienia? Mogła również obwiniać Wielopsy, które trzymały Elemisa. Mogły one zaburzyć cały proces przeniesienia, bo były przecież Niewykształconymi. Nie zmieniał to natomiast faktu, że mężczyzna nie żył, a Zjawą nie potrafiła się z tym pogodzić. Musiała przyznać, że zaczynała go nawet lubić. Wiedziała, że gdyby Dziki nie był tak beznadziejny, gdyby Pierwszy od początku zdecydował, że przeczekają Ciemnię w pancerniaku, mężczyzna wciąż by żył.

Do Pierwszego miała jednak najmniejsze pretensje. Rozumiała, że decyzje podejmował pod presją, minimalizując ryzyko. Nie wiedzieli, jak długo potrwa Ciemnia, jakie potwory się pojawiają w jej trakcie. Gdyby zmateriałizował się przy nich jakiś odpowiednik Delimera, pancerniak niewiele by im pomógł. Ryzyko było więc na swój sposób uzasadnione. Tylko że pojawiły się Wielopsy, nic więcej. Zbyt słabe, by w jakikolwiek sposób zagrozić pojazdowi. Co jednak z tego? To wszystko było już po fakcie. Czasu nie dało się cofnąć...

Gdy Ciemnia wreszcie się skończyła, przeszli przez rzekę już bez większych problemów. Nie licząc oczywiście tego, że Dziki ponownie skończył na barkach Pierwszego.

Po drugiej stronie mężczyzna nie pozwolił swoim kompanom nawet na chwilę odpoczynku. Czas miał teraz kluczowe znaczenie. Przy pomocy zegarków ocenił, że przechodząc przez rzekę, zgubili około trzech dni. Istniało więc ogromne ryzyko, że Zwiadowcy mogli ich wyprzedzić i zostawić w pobliżu przejścia pułapkę.

Wycieńczeni psychicznie i fizycznie Zjawą, Dziki i Oli zdobyli się na ostatni wysiłek i poganiani przez Pierwszego, dotarli do jednego z blokowisk niedaleko Bajkolandii. Tam, znajdując pozbawioną Gospodarzy klatkę, w końcu mogli nieco odetchnąć. Podróżowali jednak we czwórkę, co już narażało ich na działanie Prawa Trzech. By zniwelować jego moc, Oli razem z Dzikim poszli spać na ostatnie piętro bloku, a Zjawą z Pierwszym zostali na dole.

Po zabarykadowaniu drzwi od klatki, zajęli jakieś mieszkanie na parterze – całkiem nowoczesne, przytulne, stosunkowo czyste. Dopiero wtedy mogli naprawdę odpocząć, rozkładając się na podłodze salonu.

Zjawą nie spała jednak zbyt długo. Miała właściwie wrażenie, że nie spała wcale, ciągle czując dziwny ciężar na swoich barkach. Jakby wszystkie wydarzenia z Zarzeczca przygniatały ją w nieokreślony, fizyczny sposób.

Bez słowa poszła do kuchni. Po chwili wróciła z dwoma kubkami w dłoniach, z których jeden wręczyła również niemogącemu zasnąć Pierwszemu.

— Trzymaj... — powiedziała. — Prawie pół na pół... Tak jak lubisz — dodała, wiedząc, że mężczyzna nie pije niczego, co nie zabiłoby normalnego człowieka.

Sama usiadła potem na dywanie i oparta plecami o sofę, odetchnęła ciężko. Próbowwała się rozluźnić, ale sumienie ciągle nie dawało jej spokoju.

Pierwszy przyglądał jej się przez chwilę. W jego oczach widziała z jakiegoś powodu szczere współczucie.

— Przykro mi z powodu śmierci Elemisa... — stwierdził niespodziewanie, zanim zdążył choćby spróbować kawy. — Wydaje mi się, że to, co się z nim stało, szczególnie cię dotknęło...

Zjawą skrzywiła się, mieszając łyżeczką w kubku trochę zbyt głośno. Jakby próbowała nieprzyjemnym dźwiękiem odegnąć złe myśli.

— To nie tak, że zdążyliśmy się jakoś mocno zżyć. Po prostu wydawał się w porządku. A ja dałam mu słowo, że go ze sobą zabierzemy... — wyjaśniła szczerze to, co czuła. — Jest mi z tym podwójnie źle, bo mam wrażenie, że miałam szansę go uratować... — dodała po chwili, wpatrując się w parę unoszącą się znad kubka.

Pierwszy spojrział na nią z czymś w oczach, co mogło być uważane za uznanie. Zjawą poczuła przez to, jak dziwne, przyjemne ciepło rozlewa się po jej wnętrzu, choć dalej dławiała ją gorycz.

Jej kompan stwierdził w tym czasie — Jeżeli szanujesz dane słowo, jesteś naprawdę wartościowym człowiekiem, w mojej ocenie...

Potem, wziął w końcu łyk kawy, rozkoszując się smakiem, który dla innych byłby pewnie wstępem do ataku serca.

— Dzięki... — odpowiedziała Zjawą, również biorąc łyk ze swojego kubka. — To skoro zasłużyłam chociaż trochę na twój szacunek, mogę cię o coś spytać? — dodała, podnosząc wzrok na Pierwszego.

Mężczyzna skinął głową.

Zjawą przez chwilę układała sobie w głowie słowa. Nie chciała by jej pytanie zabrzmiało jak wyrzut, choć czuła, że może to być trudne biorąc pod uwagę jego charakter.

— Chwile po tym, jak zginął Elemis i siedzieliśmy otoczeni w pancerniaku przez te psy, pomyślałam sobie, że byłoby dużo lepiej, gdyby nie było z nami Dzikiego... — stwierdziła, cicho, ale wyraźnie. — Nie to, że żałuję, że przeżył. Ale zastanawiałam się... Po co w ogóle go zabrałeś na tamtą stronę? Bez niego poradzilibyśmy sobie o wiele lepiej. Sam poradziłbyś sobie lepiej! On był tam tylko ciężarem, do tego grającym ci na nerwach — dodała, patrząc na Pierwszego z poważną miną.

Mężczyzna wziął kolejny łyk kawy, poczym odwrócił się spoglądając w ciemność za oknem. — Wiem... — potwierdził, ale zrobił to niemal szeptem jakby się czegoś wstydził. — Ale ja chciałem go ocalić... — dodał, a jego słowa zawisły przez chwilę w powietrzu.

— Co? — rzuciła Zjawą, zupełnie nie rozumiejąc tego stwierdzenia. — W jaki niby sposób? — spytała, przysuwając się bliżej Pierwszego, ale na szczęście tym razem nie musiała namawiać go, by rozwinął myśl.

Mężczyzna chyba sam potrzebował się uzewnętrznzić, bo zaczął z miejsca tłumaczyć — Jak tylko poznałem, czym jest jego Pierwotna Wola, wiedziałem, że rodzi się w nim potwór... — stwierdził tak dobitnie, jakby odczytywał czyjś wyrok. — Wiedziałem, że sprawa Autobusu go złała i że nie może się po tym pozbierać. Miałem nadzieję, że jeśli weźmie udział w ratowaniu Oli, a planowałem, żeby to on zrobił ostatni krok, wyrwał ją z Zarzecza, wyniósł stąd na własnych plecach... Myślałem, że zdoła sobie chociaż trochę wybaczyć..., że dla niej wróci ten dawny Dzik...

Zjawa słuchając tego, była naprawdę zaskoczona. Pierwszy, człowiek, który wydawał się zawsze chłodno kalkulujący i skupiony na celu, utrudnił sobie wszystko, bo chciał nie tylko uratować Oli, ale także pomóc Dziukiemu uporać się z jego wewnętrznymi demonami.

— Szkoda, że to nie wypaliło... — westchnęła ze współczuciem.

— Nie wypaliło, bo nie umiem współpracować z ludźmi... — potępił się gorzko Pierwszy. — Moja Pierwotna Wola najlepiej działa, gdy jestem sam. Najlepiej myślę, gdy jestem sam. Najlepiej sobie ze wszystkim radzę samemu. Bo prawie zawsze byłem sam... — co dziwne, jego słowa nie brzmiały jak wyrzut. Po prostu stwierdzał fakt.

Zjawa, słysząc to, domyśliła się, że jej plan zabrania się z Pierwszym, nie ma żadnych szans na powodzenie.

— Więc zabranie mnie jako ogona, nie wchodzi w grę? — spytała retorycznie, chcąc mieć to już za sobą.

— Nie... — odparł Pierwszy, ale powód jaki podał, był naprawdę zaskakujący i jednocześnie brutalnie szczery. — Jesteś bardzo dobrą, bardzo doświadczoną Weteranką. Do tego świetnie walczysz, co już wspomniałem. Czuję się przy tobie tak bezpieczny, że właściwie pozbawiasz mnie Pierwotnej Woli...

— Cholera... — zaśmiała się Zjawa, patrząc na niego z mieszaniną smutku i ironii. — Nigdy nie pomyślałam, że będę „za dobra”, by ktoś mnie zabrał ze sobą...

Pierwszy przyglądał się jej przez chwilę badawczo, a jego spojrzenie było przenikliwe, jakby próbował zobaczyć coś, czego ona sama jeszcze nie dostrzegała. Cisza w pokoju stawiała się coraz cięższa. Zjawa czuła się coraz bardziej nieswojo, gdy świdrował ją wzrokiem. W końcu, kiedy chciała się odezwać, mężczyzna przemówił pierwszy — Powinnaś wrócić do Sojuszu Bloków...

To zdanie wytrąciło ją z równowagi tak bardzo, że nie wiedziała właściwie co powiedzieć.

— Co? — wtrąciła tylko, jakby nie dosłyszała.

— Próbujesz udawać kogoś takiego jak ja, ale nie jesteś jak ja — stwierdził z niepodważalną pewnością w głosie. — Lubisz ludzi, lubisz społeczność. Zgrywasz samotnika, ale gdy Wilk zwoływał Kod Weterana, zgłosiłaś się jako jedna z pierwszych. Kiedy pracowałaś dla Siwego, pomagałaś w obronie murów Wspólnoty, chociaż nie musiałaś. Byłaś pod cegielnią z Weteranami. Razem z nami poszłaś ratować Oli — opisywał dalej, a w jego oczach błyszczało teraz coś, czego Weteranka nie mogła zignorować. — Potrzebujesz być częścią społeczności, którą możesz wspierać i która wesprze ciebie... — podsumował na koniec.

Słyszac ostatnie zdanie, Zjawa prychnęła i odstawiła kawę z niechęcią, jakby sam smak napoju nagle ją odrzucił. Skrzyżowała potem ręce na piersi próbując zapanować nad emocjami, które zaczynały w niej wrzeć.

— W Sojuszu jest Lance... — przypomniała, a jego imię wybrzmiało jak kwas przeżerający jej krtań.

— I dobrze! — odparł stanowczo Pierwszy. — To twój demon, z którym musisz się zmierzyć. Musisz wrócić tam i pokazać, że on cię nie zniszczył, tylko uczynił kimś lepszym i silniejszym. Udowodnić mu, że ten świat bardziej potrzebuje ciebie niż jego...

Zjawa spojrzała na Pierwszego zaskoczona. Jej oczy rozszerzyły się, jakby dopiero teraz dostrzegła głębię tego, co mówił. Jego słowa wydawały się szczere. Nie miała poczucia, że chce ją zbyć, by nie zadręczała go prośbami o dalszą wspólną podróż. Wręcz przeciwnie, czuła, że mężczyzna naprawdę wierzył w to, co mówił, że naprawdę próbował wybrać dla niej to, co uważał za najlepsze. To było zaskakujące, nieoczekiwane, a jednocześnie wzruszające w swojej prostocie.

— Boruta chciał, żebym wróciła... — szepnęła, jakby te słowa były zbyt kruche, by mogła wypowiedzieć je głośnie. Opuszczając ręce, poczuła, jak ciężar decyzji zaczyna z niej spadać, bo ta została już właściwie za nią podjęta. — Miejsce podobno na mnie cały czas czeka... — dodała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że powrót do Sojuszu jest czymś realnym.

Pierwszy skinął głową.

— Skorzystaj z niego! — powtórzył z naciskiem. — Ale zanim to zrobisz, czy ja mógłbym mieć do ciebie prośbę? — spytał niespodziewanie.

— O co chodzi? — zapytała zaskoczona Zjawa.

Pierwszy przez chwilę milczał, jakby ważył swoje słowa.

— Odprowadzisz Dzikiego i Oli na Zatorze? — spytał w końcu, nieco nerwowo. — Tam jest jego znajomy Mike. Weźmie go pod opiekę...

— A ty? — wtrąciła Zjawa, unosząc brew. — Co masz zamiar zrobić? Chyba nie masz szczególnie dużo zajęć... — podsumowała, chcąc dowiedzieć się, jakie plany ma Pierwszy.

Mężczyzna spojrzał na nią twardo. Jego odpowiedź była szybka, jakby przygotowywał ją od dawna.

— Wrócę na Zarzecze i zabiję Daro... — odparł z zimnym spokojem.

Te słowa wstrząsnęły Zjawą, tak że aż otworzyła usta ze zdziwienia.

— Nigdy nie wydawałeś mi się typem mściciela... — zaczęła, próbując zrozumieć, co mogło skłonić Pierwszego do podjęcia tak drastycznego kroku.

Mężczyzna przerwał jej w pół zdania, jakby nie chciał, by jej wątpliwości zakłóciły to, co sobie wcześniej postanowił.

— Nie chodzi o to, co zrobił... — wyjaśnił, biorąc głęboki oddech, jakby zbierał siły, by wyrazić to, co go dręczyło. — Oli została skrzywdzona. Tak skrzywdzona, że nie pozbiera się po tym w tydzień czy miesiąc. Na razie w kupie trzyma ją jeszcze euforia tego, że została uratowana. To szybko jednak minie. Jak tylko wrócą do siebie, załame się, popadnie w depresję i pęknie...

— tłumaczył z goryczą. — Dziki nie będzie w stanie w końcu tego znieść i ucieknie, wykorzystując zemstę na Daro jako wymówkę. Zostawi dziewczynę pod opieką swoich przyjaciół, a to tylko pogorszy jej stan. Poczuj, że ostatnia osoba, na którą liczyła, zostawiła ją. Dlatego muszę go ubiec. Muszę odebrać mu sprawiedliwienie, by mógł uciec... — zakończył wyraźnie rozbity.

Zjawa przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, próbując przetrwać to, co właśnie usłyszała. Była zaskoczona, jak głęboko sięgała analiza Pierwszego.

— Dlaczego po prostu z nim nie porozmawiasz? — spytała zaskoczona.

— Nie powiesz mu tego wszystkiego?

Pierwszy spojrzał na nią ironicznie, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

— Jak myślisz? Posłucha? — zapytał retorycznie.

Zjawa zastanowiła się przez chwilę, a potem powoli pokiwała głową.

— Nie... — przyznała.

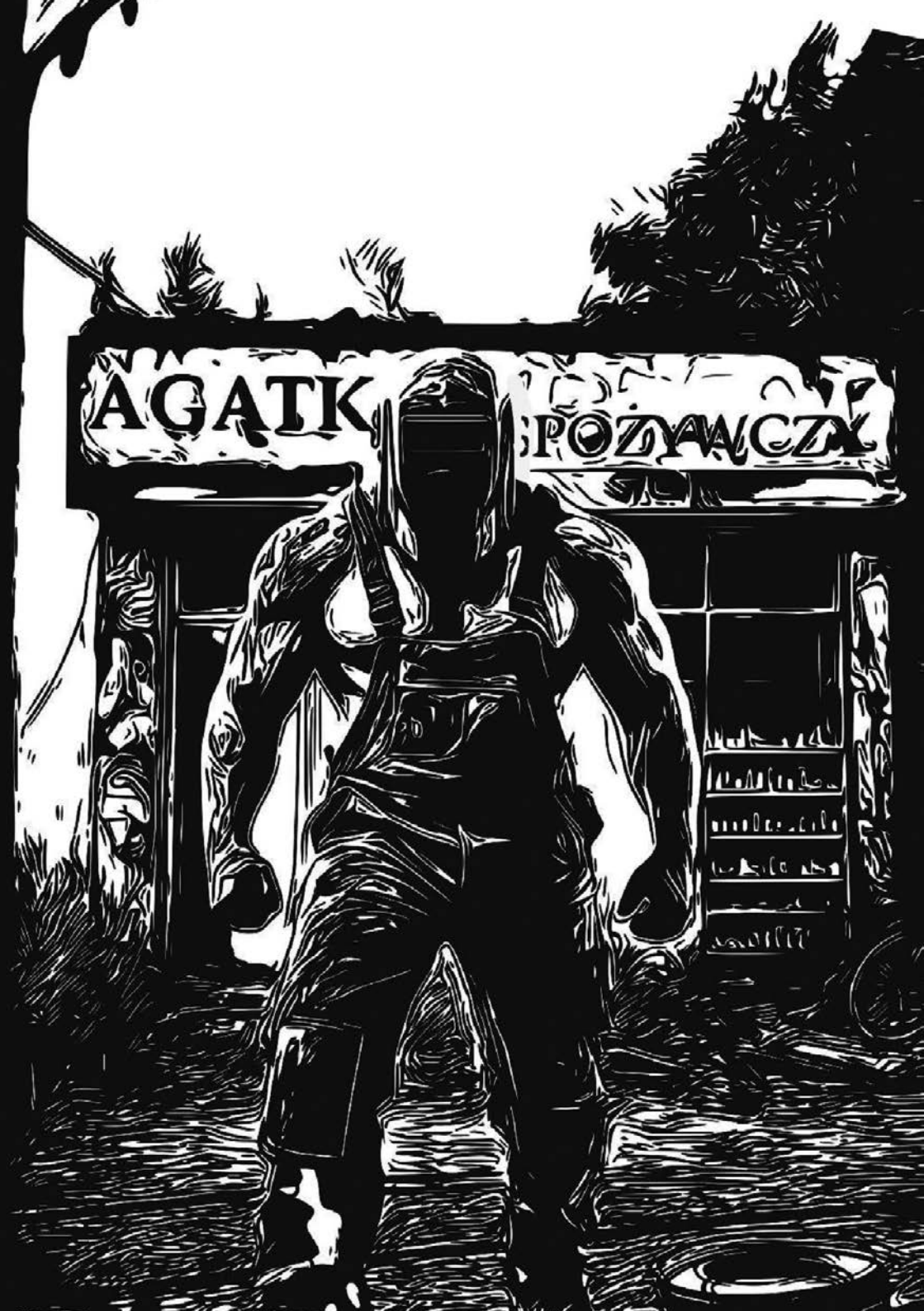
Pierwszy skinął, biorąc kawę z powrotem do ręki.

— No właśnie...

— Dobrze, zabiorę ich do Mike'a, a potem wracam do Sojuszu — stwierdziła w końcu Weteranka, ale wciąż pełna była wątpliwości. — Chciałabym jednak żebyś wiedział... — zaczęła, a jej głos zadrżał. — Ta podróż była dla mnie bardzo cenna... Ta rozmowa była dla mnie bardzo ważna... ja... — urwała, nie potrafiąc określić tego, co teraz czuła.

— Nie lubię wielkich słów — przerwał jej Pierwszy. — Ale też nie będę więcej w tym życiu traktował cię obojętnie. Jeśli coś złego by ci zagrażało, chcę żebyś wiedziała, że możesz liczyć na moją pomoc.

— Dziękuję... — szepnęła Zjawa, zamykając oczy, a w jej głowie pojawiła się myśl, której nie mogła się pozbyć. — *Dobrze, że z nimi poszłam...*



Rozdział VIII

Ból egzystencjalny

Mike powoli uchylił drzwi i spojrzał w głąb korytarza. Na pierwszy rzut oka dom wydawał się pusty, ale uszy Weterana już po chwili wyłapały ciche szmery, które nie pozostawiały wątpliwości – w środku był co najmniej jeden Niewykształcony. Ciężkie mlaskanie i chrapliwy oddech niosły się cicho gdzieś od strony piętra.

Zostawiając za sobą otwarte wejście, przekradł się do środka, do dużego salonu z półotwartą kuchnią. Pomieszczenie przesiąknięte było zapachem krwi i zgnilizny, co było raczej typowe dla miejsc zajmowanych przez Gospodarzy. Pomijając „makabryczny aromat”, wnętrze było w bardzo dobrym, niemal w porzeczowym stanie. Co najważniejsze szafki i półki wyglądały na nieknięte ręką szabrowników, a to dawało nadzieję na spory łup.

Podchodząc powoli w stronę kontuaru, Mike zauważył duże drewniane pudełko, wypełnione przyprawami. Stało ono na blacie, jakby ktoś zostawił je tam specjalnie dla niego. Czy aż zaświeciły mu się na ten widok.

— Weronika się ucieszy... — wyszeptał pod nosem, sięgając po swoje trofeum.

W tym samym momencie z sąsiedniego pokoju wypadł Gospodarz. Miał ogromny, wypukły brzuch i nogi tak cienkie, że ledwo dźwigały ciężar jego torsu. Z charakterystycznym dla swojego gatunku „Wynoś się!” rzucił się na Mike’a, wpadając na niego swoim olbrzymim cielskiem.

Siła uderzenia w połączeniu z ciężarem Niewykształconego sprawiła, że zaskoczony Weteran został przygwożdżony do blatu, ledwo mogąc złapać powietrze.

— Ty sukinsynu... — sapnął tylko w pierwszym odruchu.

Szybko jednak się otrząsnął i odepchnął dużo słabszego od siebie Gospodarza. Niewykształcony runął do tyłu, robiąc przy tym niezgrabnego fikołka, a jego brzuch zafalował wręcz groteskowo.

— No dawaj! — rzucił potem Mike, przybierając bokerską postawę.

Sprowokowany Gospodarz poderwał się z podłogi, wydając przy tym dźwięk przypominający warczenie, a Weteran, korzystając z chwili, wymierzył mu potężny cios lewą ręką. Hak trafił prosto w skroń potwora, który niemal

okręcił się wokół własnej osi od siły uderzenia. Dla Mike'a było to jak woda na młyn. Uśmiechnął się z satysfakcją i natychmiast wyprowadził drugi, o wiele bardziej precyzyjny cios z prawej. Ten wbił Niewykształconego na stół w jadalni.

Gospodarz, choć oszołomiony uderzeniami, szybko zebrał się do kolejnego ataku. W jego oczach błyszczała dzika furia, a z ust zaczęła wylewać się litania przekleństw: — PIEPRZONY BĘKARCIE! WYNOŚ SIĘ Z MOJEGO DOMU! WYNOŚ!

Nim jednak zdążył zaatakować, Dziki doskoczył do niego od tyłu i wbił mu nóż w skroń. Ostrze zagłębiło się z tępym dźwiękiem, a potwór zamarł na chwilę, jakby próbując zrozumieć, co się stało. Chłopak wyciągnął szybko ostrze, a potem, nie dając Gospodarzowi żadnej szansy, wbił je ponownie, by przerwać odroczenie. Krew potwora trysnęła na podłogę, a ciało osunęło się bezwładnie na ziemię.

Chowając nóż z powrotem do pokrowca, Dziki popatrzył na Mike'a zupełnie rozbrojony jego lekkomyślnym zachowaniem.

— Przystaniesz się w końcu wygłupiać! — syknął, próbując doprowadzić przyjaciela do porządku.

— Cholera jasna, chyba się starzeję... — skwitował reprimendę Mike, łapiąc się za obite uderzeniem o biał, plecy. — Normalnie rozprawilibym się z nim, zanim byś tu wlał — dodał żartobliwie.

Dziki wzniosł tylko oczy ku sufitowi i rzucił gniewnie — Zaczynj do tego podchodzić poważnie, bo przez te wygłupy w końcu zginiesz...

Mike zignorował zupełnie jego przestrogę, rozglądając się teraz chciwie po pomieszczeniu. — Wygląda na to, że Gospodarz wprowadził się już po resecie. Dom wygląda na całkiem bogaty, może znajdziemy tu coś ciekawego...

— Bierz tylko jedzenie i to, co można opchnąć we Wspólnocie — polecił Dziki, dobierając się do szafek.

Każdy zbędny kilogram był w jego mniemaniu niepotrzebnym ryzykiem, gdyby przyszło im nagle uciekać. Mike jednak nie podchodził do tego tak rygorystycznie.

— Dobrze, mamusiu, rączki też mam umyć przed szabrem? — odparł z kpina, naśladując dziecięcy głos.

Dziki nie miał zamiaru marnować czasu, by odpowiadać na tę zaczepkę. Szybko przeglądał kolejne półki, wybierając to, co uznał za przydatne: mąka, cukier, makarony, witaminy w blistrach, owoce i warzywa w puszkach. Robił takie rzeczy już setki razy, więc przebiegając znalezione fanty, działał w zasadzie jak automat. W szafce pod zlewem trafił na kilka piw, które stały tam, jakby czekały na lepsze czasy. Bez wahania zaczął je wyrzucać na podłogę, chcąc sprawdzić, czy coś wartościowego nie kryje się może za nimi.

— Ej, ale tego to nie marnuj! — zawołał oburzony Mike, rzucając się do jednej z toczących się po podłodze butelek.

Dziki nawet się nie obejrzał.

— Są ciężkie, a odkąd we Wspólnocie jest bimbrownia, ceny alkoholu po szabrowego spadły. Nie marnuj miejsca w plecaku — polecił chłodno, zostawiając po sobie pustą szafkę.

Mike miał jednak zupełnie inne plany niż zabieranie piwa ze sobą, bo szybko otworzył butelkę o stolik. Słyszając charakterystyczne syknięcie, Dziki poderwał się z miejsca i nim jego przyjaciel złapał choćby łyk, powstrzymał go, chwytając za nadgarstek.

— Nie w trakcie szabru! — rzucił ostro, już i tak zirytowany wcześniejszym infantylnym zachowaniem przyjaciela.

— O Boże! Ty jesteś już gorszy od Krzaka — wykrzyknął podburzony Mike, odstawiając butelkę na stół.

Dziki popatrzył na niego z politowaniem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego mimo tak długiego czasu spędzonego w tym świecie, jego przyjaciel ciągle zachowywał się tak lekkomyślnie?

— A jakby teraz błysnęło? — spytał retorycznie, próbując nie po raz pierwszy, przemówić Mike'owi do rozumu. — Alkohol plus kac po-Błyskowy. Chciałbym zobaczyć, jak czołgasz się do Zwrotnicy...

Mike tylko pokręcił na to głową.

— Oj, bo zaraz będzie błyskało — cmoknął niezadowolony, wciąż zerka-
jąc łapczywie na odłożoną butelkę.

Dla Dzikiego głupoty Mike'a było już za wiele. Przez takie nieodpowiedzialne zachowanie jego przyjaciel narażał nie tylko siebie, ale również wszystkich w Zwrotnicy. Postanowił więc z miejsca ustawić go do pionu używając ostatecznego argumentu.

— Jak chcesz sobie chlać w czasie szabru, to następnym razem idź z Pietrasem albo Romciem. Ja nie mam zamiaru tłumaczyć Weronice, że już więcej nie wrócisz, bo chodziłeś przy mnie najebany...

Mike, który od niedawna chodził z dziewczyną, był na jej punkcie bardzo wyczulony. Wspominając o niej, Dziki był pewien, że jego przyjaciel przynajmniej trochę weźmie sobie jego naganę do serca, a nie zignoruje ją całkiem, tak jak miał w zwyczaj.

Zgodnie z oczekiwaniem, chłopak aż zgrzytnął zębami, a jego twarz poczerwieniała.

— Powiedz, Pierwszy nie upuścił cię na chwilę do rzeki? Bo pod dekle-
m to ci się naprawdę nieźle odjechało — rzucił złośliwie, ale po jego minie widać było, że odeszła mu wreszcie ochota na pajacowanie.

Po tej małej sprzeczce obaj wrócili do przeszukiwania domu w stosownym dla Dzikiego skupieniu. Już po kilkunastu minutach wyruszyli w drogę z plecakami ciężkimi od zapasów i wszystkiego, co uznali za przydatne.

Pora była jeszcze bardzo wczesna. Nietknięty dom znaleźli tego dnia naprawdę szybko. Nie mieli więc powodów, żeby się śpieszyć z powrotem. Spokojnym tempem kluczyli więc wzdłuż torów, które wiodły wprost do ich bazy.

— Weronika będzie przeszczęśliwa — stwierdził w trakcie drogi Mike, zupełnie zapominając o ich sprzeczce sprzed kilku minut. — Od dawna prosiła, żebym znalazł jakieś przyprawy. W końcu będziemy mogli urozmaicić tę naszą nędzną kuchnię — powiedział, oglądając z dumą drewniane pudełko, zabrane z kuchni.

Dziki aż westchnął.

— Powinniśmy się cieszyć, że w ogóle mamy co jeść — zauważył, pamiętając, że od dawna są zamknięci wyłącznie na terenie Zatorza, gdzie ilość miejsc do szabru była mocno ograniczona. — Zważywszy na to, że zaczynamy wybrzydząć, można by odnieść mylne wrażenie, że zaczęło nam się przelewać — dodał, myśląc o tym, że ich dobra passa musi się kiedyś skończyć.

Mike spojrział przez to na niego z wyraźnym przekąsem.

— A źle mamy? — spytał z lekką ironią, jakby uważał, że Dziki fatalizuje.

Ten nie miał już siły tłumaczyć przyjacielowi, ile rzeczy mogłoby się teraz zepsuć, więc przez kilka kolejnych minut szli obok siebie w milczeniu. Ciszę przerywało jedynie niekończące się buczenie torów.

Mike'owi najwyraźniej przeszkadzał brak konwersacji, więc spróbował zagadnąć go ponownie — Nie wspominałem ci, ale kiedy ostatnio handlowałem u Siwego, minąłem się na mieście z Kubą — powiedział, zerkając na Dzikiego, jakby chciał wyczytać z jego twarzy reakcję na tę wiadomość.

Dziki, słysząc imię swojego dawnego lidera, tylko wzruszył ramionami. Nie miał ochoty poruszać jego tematu, bo wiedział, że mogą mu przez to tylko puścić nerwy. Niestety Mike, wyraźnie zirytowany brakiem słownej odpowiedzi, kontynuował swój monolog.

— Ludzie już wiedzą, że wróciliście — oznajmił dosadnym tonem. — Tego nie dało się ukryć. Oczywiście nikomu nic nie potwierdziłem, nawet Kubie. Wspominałem jedynie, że prawdopodobnie ukrywacie się gdzieś razem z Pierwszym.

— I bardzo dobrze. Im mniej osób wie, gdzie jesteśmy, tym lepiej — wtrącił pewnie Dziki, ciesząc się, że jego przyjaciel przynajmniej w tym względzie, wykazał się zdrowym rozsądkiem.

Mike przystanął nagle, żeby napić się wody, a Dziki w tym czasie wspiął się bliżej nasypu, obserwując okolice. Byli już o rzut beretem od swojej bazy i dlatego musieli być szczególnie ostrożnie. Gdyby ktoś ich teraz zauważył, mógłby łatwo odkryć, gdzie znajduje się ich kryjówka. Podnosząc lornetkę, przyjrzał się uliczkom między okolicznymi budynkami. Na szczęście po obu stronach torów okolica wydawała się całkiem opustoszała.

— Trochę dręczy mnie jedna rzecz... — stwierdził nagle Mike, przerywając ciszę, która ponownie zapadła między nimi. Dołączając do Dzikiego, po-

dał mu menażkę, tłumacząc jednocześnie:— Kuba błagał mnie, żebym dał mu znać, jeśli dowiem się czegoś o Oli...

Dziki wziął łyk wody i rzucił swojemu przyjacielowi wyjątkowo surowe spojrzenie.

— I czemu cię to dręczy? — spytał, obawiając się, że mężczyźni odezwali się wyrzuty sumienia wobec skrajnie niewłaściwej osoby.

— Romcio nasłuchuje ciągle radio — odpowiedział Mike. — Podobno codziennie słyhać, jak Kuba prosi o jakąkolwiek informację, co z tą małą. Wydaje mi się, że naprawdę się o nią martwi... — stwierdził, nie wiedząc jaki błąd ten sposób popelnia.

Dziki poczuł nagle, jak coś w nim pęka. Jego serce przyspieszyło, a w uszach zaczęło szumieć. Niespodziewanie ogarnęła go fala gniewu, tak silna, że zdawało się, iż zaraz wybuchnie.

— ON SIĘ O NIĄ MARTWI?! — wrzasnął, ignorując fakt, że jego krzyki i ich echo mogły zwrócić na nich uwagę. Twarz miał czerwoną ze złości, a oczy płonęły dzikim gniewem. — On już pokazał, jak się o nią martwi! Pieprzony, zakłamaný tchórz, który nosa nie wyściubił z autobusu! NIECH SIĘ PIERDOLI! — ryknął, a w tym momencie jego Pierwotna Wola wybuchła z siłą, jakiej dawno już nie czuł.

Tory przed nimi nagle wystrzeliły kanonadą iskier, przeskakujących między semaforami. Powietrze wypełniło się ostrym zapachem ozonu, a ziemia lekko zawibrowała pod podkładami.

Dziki poczuł natychmiast przeraźliwy ból, eksplodujący w jego czaszce niczym granat. Kolana ugięły się pod nim. Upadł na ziemię, czując, że ciało odmawia mu posłuszeństwa. Widząc to Mike, przykleknął obok niego z przeżeniem malującym się w oczach.

— Stary! Uspokój się... chłopie, już wszystko jest ok...

— Nie jest ok... — odparł Dziki, dysząc ciężko.

Ból głowy zniknął na szczęście tak nagle, jak się pojawił, pozostawiając jedynie przejmujące ośpienie. Przez ciało Dzikiego przetaczała się teraz fala niemocy, którą starał się pokonać, stając na równe nogi.

— Chodźmy, już przeszło... — skłamał, zmuszając się do kontynuowania marszu w stronę Zwrotnicy.

Mike przyglądał mu się niepewnie, ale bez słowa podążył w końcu za nim.

Znów szli w milczeniu. W oddali rysował się już wielorodzinny budynek, który grupa Mike'a zamieniła w swoją bazę po ucieczce ze Wspólnoty.

Był to solidny dom, należący w Starym Świecie do pewnego ekscentrycznego, nowobogackiego małżeństwa. Ludzie ci mieli wręcz absurdalne podejście do kwestii bezpieczeństwa i prywatności. Cały plac dookoła ich działki otaczał wysoki, gruby mur, który wyglądał jakby mógł zatrzymać czołg. Wszystkie okna na parterze były zwieńczone ozdobnymi, lecz solidnymi krata-

mi. Drzwi wejściowe z kolei mogły spokojnie zastępować wrota do sejfu w małym banku. To właśnie miejsce nazywali potocznie Zwrotnicą, i tutaj Dziki mieszkał razem z Oli, odkąd wrócili z Zarzecza.

Stając przed bramą, Mike sięgnął do kurtki, by wyciągnąć klucze. Z jakiegoś powodu strasznie się jednak przy tym guzdrał, co natychmiast zwróciło uwagę Dzikiego.

— Co jest? — spytał, patrząc w wyraźnie skonfundowaną twarz przyjaciela.

Ten odłożył na chwilę pęk z kluczami i spojrzał na niego, ewidentnie ważąc swoje kolejne słowa.

— Stary, tylko się nie złość... ale martwię się, i ogólnie, trochę mnie to niepokoi... Czemu w ogóle takie coś się z tobą dzieje? — spytał w końcu zaniepokojony.

Dziki wypuścił ciężko powietrze, zamykając na moment oczy, żeby zebrać myśli.

— Przemyciłeś to piwo, prawda? — spytał, spoglądając po chwili na Mike'a.

Ten uśmiechnął się głupio, jak dziecko złapane na psoceniu. Sięgnął jednocześnie za pazuchę kurtki i wyciągnął dwie butelki. Dziki bez słowa złapał za jedną z nich i usiadł na skwerku przed bramą, tuż obok torów. Miejsce to nie było widoczne od strony miasta, a buczenie nasypu zagłuszało potencjalne odgłosy rozmów.

Mike dosiadł się obok, otwierając swoją butelkę. Mężczyźni stuknęli się denkami, a Dziki złapał łyk gorzkiego, niezbyt dobrego piwa, tłumiąc w sobie nie mniejszą gorycz życia.

— Kiedy byłem na Zarzeczu, nadużyłem Pierwotnej Woli — wyznał, czując się teraz wyjątkowo zmęczony. — Praktycznie już się rozmywałem. Gdyby nie Pierwszy i pewien doktor, który mieszkał po tamtej stronie, już dawno umarłbym od defektu. Jeśli znowu przesadzę z błędami, to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię — dodał na koniec.

— Cholera... — skwitował Mike, upijając spory łyk ze swojej butelki. — Kuba ma naprawdę przejebane, skoro na samo wspomnienie o nim rozpala się w tobie ta cała Wola...

— Nie chcę nawet o nim słyszeć — wtrącił Dziki. — Bez wahania zamieniłbym jego skórę na życie każdego, kto zginął tamtej nocy... — mówiąc to, znowu poczuł palącą gorycz. Chcąc ją jakoś zadusić, przechylił butelkę i opróżnił ją jednym haustem.

Mike, pijąc o wiele spokojniej, najpewniej zauważył, że poruszanie kwestii Kuby tylko pogarszało nastrój Dzikiego. Szybko więc zmienił temat.

— Wiesz, że Zjawia wróciła do Sojuszu Bloków? — spytał.

— Chyba kpisz? — odpowiedział Dziki, całkiem zaskoczony.

Od samego początku, jedną z jej najbardziej wyróżniających się cech była nienawiść do swojego byłego domu. Chociaż, gdy zastanowił się nad tym

przez chwilę, wynikało to raczej z jej wrogości wobec Lanca, którego z tym domem utożsamiała.

Mike skinął tylko głową, potwierdzając swoje słowa.

— Też się zdziwiłem, jak Krzak mi o tym powiedział... — dodał, po raz kolejny zaskakując Dzikiego, który spytał tylko — Gadałeś z Krzakiem? Kiedy?

— Kilka dni temu przez radio — przyznał Mike, wracając do tematu Zjawy. — Lance miał przez jej powrót totalnie przechlapane. Zrobili pokazowy proces i skazali go za porzucenie jej w trakcie szabru — wyjaśnił, tłumiąc beknienie po ostatnim łyku piwa. — Nie wyrzucili go co prawda, ale pracuje teraz przy usuwaniu sraki z kibli...

Dziki uśmiechnął się krzywo. Kara dla mężczyzny za to co zrobił, nie wydawała mu się adekwatna, ale w tym świecie wymierzenie jakiegokolwiek sprawiedliwości było właściwie cudem. Kończąc piwo, rozejrzał się, czy nikogo nie ma po drugiej stronie, po czym rzucił butelką o tory, roztrzaskując ją na kawałki. Głośny dźwięk rozbijającego się szkła odbił się echem od metalowych szyn, a buczenie, które towarzyszyło im przez całą drogę, na chwilę nabrało na sile.

— Ciekawe, czemu Borucie aż tak zależało — rzucił potem retorycznie, przyglądając się resztkom butelki.

— Czy to nie jasne? — spytał Mike, podnosząc się z miejsca. — Chodzi o Zarzecze. Teraz, gdy inwazja jest właściwie na dniach, każdy człowiek jest na wagę złota. Zwłaszcza człowiek posługujący się błędami. Nawet Armia Daniela zapowiedziała amnestię dla Weteranów „walczących o wspólną sprawę” — stwierdził z przekonaniem. Po czym, biorąc duży zamach, rąbnął swoją pustą butelką w semafor.

Dzikiego, rozglądającego się po okolicznych budynkach, zastanowiła przez chwilę ta nagła zmiana podejścia Daniela do Weteranów. Wcześniej wódz Armii wydawał się zdeterminowany, by nie korzystać z ich pomocy bez względu na koszt.

— Ciężko uwierzyć... — skwitował w końcu.

— A jednak... — odparł Mike, sięgając do kieszeni kurtki. Po chwili grzebania wyciągnął z niej złożoną kartkę, którą powoli rozwinął, podając ją następnie Dzikiemu. — Takie plakaty rozlepiają po całym mieście.

Dziki przyjrzał się uważnie papierowi, na którym widniała podobizna Daniela — postać nienaturalnie wyolbrzymiona, z uniesioną głową, sprawiała wrażenie, jakby spoglądała na każdego z góry. Nad jego głową wielkimi literami wypisane było hasło „WALCZ ZE WSPÓLNYM WROGIEM”, a tuż pod sylwetką wodza wylewała się litania słów:

„Wolni Weterani i wszyscy mieszkańcy Nowego Świata bez zadeklarowanej przynależności. Nastął dzień, w którym nasz wspólny koszmar stał się jeszcze mroczniejszy. Na horyzoncie zawisło nowe zagrożenie

nie, któremu na imię „Zarzecz”. Jego mieszkańcy ostrzą sobie pazury na to, co zdołaliśmy przez ostatnie pięć lat zbudować. Chcę odebrać nam nasze miejsce, sklepy i życie. Choć nie wszystkim nam było zawsze po drodze, w obliczu tego nowego zagrożenia Armia Daniela oferuje w swych szeregach miejsce każdemu chętnemu do wspólnej walki. Ci, którzy wspomogą naszego wodza w niewątpliwym zwycięstwie, zostaną sowicie wynagrodzeni. Niektórzy otrzymają wyjątkową szansę, która zmieni ich życie na zawsze. Nie czekaj jak tchórz, nie licz na to, że inne frakcje wygrają walkę za ciebie. Stań po jedynej słusznej stronie i maszeruj z przyszłymi zwycięzcami...”

Dziki, kończąc odczytywanie tego propagandowego bełkotu, złożył plakat na pół i podał go Mike’owi. — Martwi mnie jedna rzecz — stwierdził po chwili, spoglądając w twarz przyjaciela.

— To znaczy? — spytał Mike, marszcząc czoło.

— Po co w ogóle to ze sobą wzięłeś? — spytał retorycznie. — Nie gadaj, że chciałeś sobie powiesić gębę Daniela nad łóżkiem... — rzucił wymuszonym żartem, siląc się nawet na uśmiech.

Mike wnioskując, że jego przyjaciel odzyskał nieco humor, zaśmiał się.

— Tak właściwie, to chciałem sobie zrobić z jego gęby tarczę do rzutek...

Dziki miał nadzieję, że napięcie między nimi w końcu trochę się uspokoiło. Skinął głową i ruszył w kierunku bramy.

— Dobra, choć już do domu, bo Weronika zaraz się zacznie martwić. Nie ma nas już ponad cztery godziny — ponaglił przyjaciela.

Wnętrze Zwrotnicy można było opisać jednym słowem — chaos. Głównie dlatego, że każdy z mieszkańców ścigał do bazy to, co uznawał za przydatne lub co mu się po prostu spodobało. Efekt tej zbieraniny był daleki od jakiegokolwiek harmonii i bardziej przypominał muzeum osobliwości niż uporządkowaną przestrzeń do życia. Już od samego wejścia, prowadzącego wprost do salonu, można było zobaczyć kilka wygodnych, lecz zupełnie różnych od siebie foteli. Ściany obwieszane były plakatami przedstawiającymi wszystko, co tylko można sobie wyobrazić — od zdjęć zwierząt, przez sportowe samochody, aż po nagie kobiety w erotycznych pozach. Wejście na piętro było zaś udekorowane tablicami rejestracyjnymi i samochodowymi emblematami, które zebrane z różnych modeli pojazdów, utworzyły swego rodzaju mozaikę. Na olbrzymim jadalnianym stole rozstawiona była siatka do ping-ponga, a przy wejściu do kuchni stała cała torba kijów do golfa.

— Nareszcie w domu! — zawołał Mike z ulgą, opadając na swój skórzanym, czarnym fotel.

W tym samym momencie z kuchni wyszła Weronika. Dziewczyna miała na sobie fartuszek kucharski, ledwie zakrywający jej biodra, a swoje kręcone włosy spięła ciasno z tyłu głowy, nadając sobie wygląd domowej gospodyni. Na widok Mike'a uśmiechnęła się szeroko. Niemalże dobiegła do jego fotela i rzuciła mu się na szyję, obejmując go mocno.

— Majuś! Nareszcie! Bałam się, że nie zdążycie na obiad — powiedziała z wyraźną ulgą w głosie.

Mike z uśmiechem wciągnął dziewczynę na kolana, a ta zaczęła bawić się jego czarnymi włosami.

— W sumie, to w tym fartuszkuku mógłbym schrupać ciebie — rzucił zaczepnie, a Weronika przycisnęła się do niego jeszcze bardziej, jakby prowokując go do dalszych czułości.

— Bosze... — westchnął Dziki, udając, że wymiotuje, odwracając wzrok od tej sceny. — Jesteście gorsi od nastolatków — dodał z nutką żartobliwej ironii.

Mike, obejmując Weronikę w pól i ignorując docinki przyjaciela, rzucił tylko z przekąsem — Za to ty jesteś jak zły brat bliźniak Kupidyna: Impotent-Strzała. Daj miłości kwitnąć!

Dziki popatrzył teraz na nich z pruderyjną wyższością.

— To, co robicie, nie ma z miłością nic wspólnego — odparł. — To jest zjadanie sobie nawzajem twarzy... ku ogólnemu obrzydzeniu, zresztą — dodał, krzywiąc się z niesmakiem.

— Zazdrość straszna rzecz... — westchnął Mike, ponownie całując Weronikę, jakby chciał jeszcze bardziej zirytować Dzikiego. — Zresztą, przeszkadza to tylko tobie — dodał zadowolony z siebie, kontynuując czułości.

— Nieprawda, mi też! — zawołał nagle męski głos z kuchni.

— MORDA PIETRAS! NIKT CIĘ NIE PYTAŁ O ZDANIE! — krzyknął Mike, wyraźnie rozbawiony.

Dziki pokręcił tylko głową i wzdychając ciężko, ruszył w stronę korytarza.

— To ja pójde rozładować rzeczy do spiżarni — stwierdził, łapiąc za plecaki, które wcześniej zostawili w przejściu.

— Poczekaj! — zawołał Mike. Wydostając się spod Weroniki, podszedł, żeby wyjąć pudełko przypraw. — Dla ciebie, wiewióreczko — powiedział potem dumnie, wręczając dziewczynie drewniane opakowanie.

Weronika przyjmując je, zrobiła minę jakby dostała co najmniej pierścioneńkę zaręczynową.

— Mike, cudnie! — zawołała uradowana. — W końcu będę mogła ugotować coś normalnego...

Dziki chciał już zostawić zakochanych samym sobie, ale dziewczyna złapała go nagle za ramię. Po samym wyrazie jej twarzy wiedział, że nie może spodziewać się dobrych wieści.

— Oli ciągle nie chce jeść — powiedziała przyciszonym tonem, wyraźnie zmartwiona. — Ugotowałam dziś rano zupę, może przekonałbyś ją jakoś, żeby chociaż spróbowała... — poprosiła. — Przecież ona się nam zaraz zagłodzi.

Dziki westchnął ciężko, czując, jak przeszywa go zimny dreszcz. To, co obecnie działo się z Oli, było jak cień, który rzutował na całe ich życie w Zwrotnicy. Chociaż rany dziewczyny zupełnie się zagoiły, jej stan psychiczny wciąż pozostawał dramatyczny. Co gorsza, od momentu powrotu zdawał się z każdym dniem pogarszać, zamiast poprawiać.

Dla Dzikiego było to przytłaczające, bo naprawdę chciał jej jakoś pomóc. Próbował z nią kilka razy rozmawiać, ale za każdym razem Oli zamykała się w sobie jeszcze bardziej. Nie mógł jednak pozwolić na to, by nie jadła wcale.

— Dobrze, spróbuję ją nakarmić — obiecał Weronice, starając się, by jego głos zabrzmiał pewnie.

Odkładając plecak, ruszył do kuchni.

W pomieszczeniu zastał Pietrasa, który siedział przy stole z rozłożonym przed sobą starym czasopiśmie. Popijając kawę, przeglądał pożółkłe strony, z relacjami starych meczów piłkarskich. Słyszając jednak Dzikiego wchodzącego do kuchni, oderwał na chwilę wzrok od gazety.

— Siema! Udany połów? — spytał zaciekawiony.

— Standardowo — odparł Dziki, biorąc z szafki czystą miskę. — Trochę maki, makaronu, cukru, jakieś przetwory, ale nie braliśmy wszystkiego, bo i tak mamy tego od cholery.

Pietras przekreślił stronę czasopisma, jednocześnie biorąc kolejny łyk kawy.

— Klusek mamy już całą piwnicę... Tak samo ogórków konserwowych. Jak przyjdzie nam się kiedyś zabunkrować na kilka tygodni, to na tej diecie wszyscy się zasramy na śmierć... — stwierdził z ironicznym uśmiechem.

Dziki skomentował to tylko skinieniem głowy, nalewając zupę do miski. Z gotowym daniem ruszył na piętro po skrzypiących, drewnianych schodach. Stając przed drzwiami jednej z sypialni na górze, przez kilka minut walczył ze sobą, by w końcu nacisnąć klamkę. Nie miał jednak wyjścia. Musiał to zrobić.

Pokój, do którego wszedł, był przed Błyskiem największym pomieszczeniem w tym domu, nie licząc salonu. Bez problemu zmieścili w nim cztery małe łóżka, bo oprócz Oli spały tu jeszcze Laura, Beata oraz, przed romansem z Majkiem, Weronika.

Oli leżała w swoim łóżku, schowana pod kołdrą. Dziki wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić. Następnie, kładąc miseczkę na jej szafce nocnej, usiadł na materacu obok dziewczyny.

— Hej, Oli... — powiedział cicho, ale nie usłyszał nic w odpowiedzi.

Spoglądając na wyrzuszenie pod kołdrą, gdzie ukrywała się jego przyjaciółka, poczuł, jak serce mu się ściska. Delikatnie zsunął pościel, odsłaniając

twarz dziewczyny. Jej oczy były otwarte, wpatrzone w jeden punkt na ścianie, jakby próbowała uciec od rzeczywistości. Usta miała suche, a jej skóra wydawała się biała i pozbawiona życia.

— Przyniosłem ci zupeł... — wyszeptał, kładąc rękę na jej ramieniu.

Ciało dziewczyny momentalnie zeszytniało pod jego dotykiem. Natychmiast cofnął więc dłoń, bojąc się, że jakikolwiek gest może tylko pogorszyć sytuację.

Oli milczała przez dłuższą chwilę, aż w końcu, po ciężkim westchnieniu, rzuciła cicho — Nie jestem głodna...

Dziki obawiał się takiej odpowiedzi, nie miał jednak zamiaru po prostu odpuścić.

— Musisz coś zjeść. Chociaż łyżkę... Proszę — nalegał przymilnym głosem.

— Nie chcę... — odparła ponownie Oli, próbując zasłonić się kołdrą. Dziki złapał jednak jej róg tak, że dziewczyna nie mogła się przed nim ukryć.

— Ale... — zaczął, chcąc jeszcze raz podjąć próbę przekonania jej do posiłku, gdy nagle dziewczyna poderwała się gwałtownie, strącając jednocześnie miskę z zupą na podłogę.

— POWIEDZIAŁAM, ŻE NIE CHCĘ! — krzyknęła histerycznie.

Błyskawicznie wyszarpała Dzikiemu kołdrę z ręki i skryła się pod nią, zalewając łzami.

Dziki czuł, jak rozlewa się po nim obezwładniające uczucie bezsilności. Jakby wszystko, co zrobił i próbował robić dla Oli, nie miało żadnego znaczenia. Praktycznie wybiegł z pokoju, wściekły na siebie, na te sytuacje, na wszystko, czego nie mógł już naprawić.

Mijając na dole obściskujących się Mike'a i Weronikę, złapał za swój plecak i otworzył gwałtownie drzwi.

— Dokąd to?! — zawołał za nim Mike, widząc, że Dziki wychodzi.

Ten odparł mu tylko krótko — Na szaber! — i wypadł na podwórko.

Mike po chwili wybiegł za nim, nie wkładając nawet butów.

— Chłopie, czekaj! Dopiero co wróciliśmy! Daj trochę odpocząć!

— Idę sam! — odparł Dziki, maszerując w stronę bramy, bo i tak nie planował zabierać nikogo ze sobą.

Teraz potrzebował tylko uciec, chociaż na chwilę od tego wszystkiego. Uciec od bólu, którego nie mógł znieść. Uciec od poczucia winy, które go dusiło.

Niestety Mike wyprzedził go i zablokował furtkę, jak bramkarz przed klubem.

— Nie! — rzucił stanowczo. — Jesteś wściekły i zaraz zrobisz coś głupiego...

Dziki spojrzał w twarz przyjaciela, a w jego oczach dostrzegł strach. To nieco go ostudziło. Nie miał ochoty dręczyć kolejnej osoby, dlatego przyznał po prostu — Mike, muszę iść! Muszę na chwilę wyjść z tego domu...

Zrezygowany Mike opuszczył tylko głowę.

— To poczekaj, pójdę z tobą... — westchnął, dodając — Ktoś musi cię przecież pilnować...

Dziki i Mike stali pod obwodnicą, obserwując przez lornetki Delimera kręcącego się po osiedlu. Niewykształcony snuł się powoli wzdłuż ogrodzeń, niedaleko osiedlowego sklepu Agatka. Jego masywna sylwetka przesuwiała się ociężale, niczym goryl chodzący po klatce.

— Myślisz, że to ten sam? — spytał prawie szeptem Mike, przyglądając się z uwagą potworowi.

Oczywiście Delimer był zbyt daleko, by ich usłyszeć, nawet gdyby mówili normalnie, ale ten rodzaj Niewykształconego budził takie przerażenie, że przezorność była tu jak najbardziej zrozumiała.

Dziki, nie mogąc oderwać myśli od Oli i jej stanu, nie do końca zrozumiał, o co chodziło Mike'owi. Dopytał nieskładnie — Który ten sam?

— No ten, co zabił tego banderowca, gdy ganiałimy po Zatorzu za Modrzewem — wyjaśnił mu przyjaciel, odkładając lornetkę i spoglądając na niego z ukosa.

Dziki podrapał się po głowie, próbując przypomnieć sobie tamten moment.

— Prawdopodobnie — stwierdził w końcu. — Pewnie zrobił sobie tu nowy obszar patrolowy...

Mike podniósł jeszcze raz lornetkę do oczu.

— Dobra, chyba odchodzi... — zauważył z ulgą w głosie. — Możemy powoli iść sprawdzić...

Po odejściu potwora, przeszli bez pośpiechu pod wiaduktem obwodnicy i ruszyli prosto w kierunku sklepu. Miejsce to dla nich obu pełne było wspomnień. Ledwie rok wcześniej wyszabrowali stąd zapasy, które zagwarantowały Dziukiemu miejsce w budującej się Wspólnocie.

— Szkoda, że nie wybiliśmy wtedy szyb — westchnął Mike. — Można by z daleka ocenić, czy się zresetował — stwierdził, ciągle próbując nawiązać jakąś rozmowę.

— Tym razem wybijemy — potwierdził Dziki, gdy stanęli obok zniszczonego ogrodzenia. — Cholera, już stąd widzę, że pusto... — dodał po chwili zrezygowany, zaglądając przez zakurzone okna.

Mimo tak długiego czasu i kilkunastu Błysków, które miały miejsce, sklep wciąż nie odnowił się po ich wizycie. Obaj chwycili po kawałku gruzu i cisnęły nimi w witrynę, która rozsypała się z brzękiem na kawałki.

Dziki kiwnął głową, jakby odwalili kawał dobrej roboty, po czym stwierdził — Niemniej trzeba tu będzie zaglądać co jakiś czas. W końcu musi się odnowić...

— Trzeba, trzeba... — potwierdził Mike, wychodząc na drogę. — Dziki? — zagadnął nagle, zerkając w jego stronę.

Po jego minie widać było, że chce zadać jakieś trudne pytanie.

Dziki, siadając na chodniku, mruknął tylko — Mhm? — starając się jednocześnie zachować spokój.

— Nie chcesz już tam wracać, prawda? — spytał Mike, stając natychmiast nad nim, jakby próbował zmusić go w ten sposób do większej szczerości.

Dziki zamilkł na chwilę, jego oczy utkwiły w rozbitym kawałku szkła na ziemi, które z jakiegoś powodu odebrał jako alegorię swojego zniszczonego umysłu. Jego myśli były teraz dokładnie jak te fragmenty — rozproszone i niepodobne do tego, czym były wcześniej.

— Daro ciągle żyje — powiedział w końcu, a w jego głosie było coś więcej niż gniew. Była to głęboka, paląca wściekłość, która trawiła go od środka niczym kwas. Ściskając do bólu pięści na kolanach, dodał — Nie podaruję mu tego, co zrobił. Jeżeli Oli się poprawi... jak tylko Oli się poprawi, wracam na Zarzecze...

Mike pokręcił głową, patrząc na Dzikiego z wyjątkową jak na siebie powagą.

— Jesteś jedyną osobą, z którą ta dziewczyna w ogóle rozmawia — przekonywał, starając się ubrać Oli w argument, by powstrzymać go przed opuszczeniem Zwrotnicy. — Straciła już tylu bliskich, nie każ jej znosić tego ponownie...

Dziki uśmiechnął się ironicznie, przypominając sobie „rozmowę” z dziewczyną sprzed godziny. W jego umyśle znowu pojawił się obraz jej twarzy, wykrzywionej w rozpacz.

— Mike, ona mnie nienawidzi... — powiedział, biorąc do ręki kamień i rzucając nim z frustracją w drogę.

— Nieprawda! — zaprzeczył z miejsca Mike. — Potrzebuje tylko czasu, żeby... — zaczął tłumaczyć, ale Dziki przerwał mu raptownie, mając już dość kłamstw.

— Przestań pierdolić stary! — ryknął, bo zbyt długo już tłumił w sobie to, co naprawdę myślał. Musiał dać temu upust. — Czasu na co? — spytał ironicznie. — Żeby zapomnieć, jak ją zniszczyli? Albo wypchnąć z pamięci, że to ona przekonała cały autobus, aby mnie nie wyrzucali? Zawierzyła mi. Przez to jej bliscy nie żyją, a ją spotkało to wszystko...

Mike’owi najwyraźniej zabrakło argumentów. Bezradność na jego twarzy stawała się coraz bardziej widoczna. Zrezygnowany usiadł obok Dzikiego. Nie odzywali się przez dłuższą chwilę.

— I dlatego masz zamiar dać się zabić? — spytał w końcu.

Dziki spojrzał na Mike’a, przez chwilę wahając się, czy powiedzieć prawdę. Poczuł jednak, że ma już dość ukrywania.

— Chcę, żeby przed moją śmiercią flaki Daro wytarły asfalt — stwierdził chłodno. — Potem mam w dupie, co się ze mną stanie...

Mike słysząc tę odpowiedź, odetchnął ciężko.

— Nie wiem nawet, jak z tobą teraz rozmawiać. Brakuje mi słów... — przyznał z bezsilnością.

— Bo to są rzeczy, na które nie ma porad ani lekarstwa — odparł Dziki, głosem pełnym goryczy. — Stało się już za dużo. Po człowieku, którym byłem, nie został już nawet ślad...

Mike popatrzył na niego z niepokojem, ale nie próbował już tłumaczyć czegokolwiek. Siedzieli w milczeniu, a cisza wisiała między nimi niczym zły omen. Przerwał ją dopiero trzeszczący głos Romcia, dobiegający z radiostacji na piersi Mike'a — Dziki, Mike, zgłoście się!

— Co się dzieje, bydlaku? — spytał Mike, podnosząc z miejsca radiostację.

— Na głównym kanale ktoś próbuje wyłapać Dzikiego. Pewnie tego nie słyszycie, bo siedzicie na naszym... — odpowiedział Romcio.

Dziki wywrócił tylko oczami z niesmakiem.

— To na pewno Kuba! Niech mnie pocałuje w dupę... — rzucił, biorąc od Mike'a radiostację by przekazać to Romciowi.

O dziwo, chłopak zaprzeczył natychmiast — To nie Kuba. Jego serenady o tęsknocie do Oli słucham codziennie od waszego powrotu. To ktoś inny. Przedstawił się ksywą Klucz. Chyba jeździł kiedyś z wami autobusem...

Dziki i Mike popatrzyli na siebie zszokowani. Klucz został ranny jeszcze przed zniszczeniem Autobusu do Wolności i leczył się w szpitalu Wspólnoty w trakcie ataku. Zoidberg, wspólnotowy łapiduch, nie dawał mu praktycznie żadnych szans, a jednak chłopak doszedł do siebie. Dziki, który miał ostatnio inne rzeczy na głowie, nawet nie pomyślał, by spotkać się z dawnym kompanem lub sprawdzić, co u niego słychać.

— No proszę, mamy więc przynajmniej jedną dobrą wiadomość — stwierdził uradowany Mike, a jego uśmiech po raz pierwszy tego dnia był naprawdę szczery.

Nawoływanie się przez radio było problematyczne. Zwłaszcza na ogólnym kanale, gdzie rozmowy Weteranów nieustannie mieszały się z zakłóceniami wywołanymi przez błąd na torach. Słyszalność była fatalna, a każde słowo musiało walczyć o przebicie się przez trzaski i echo, które wypełniało eter. Dziki i Mike po kilkunastu frustrujących minutach zdołali jednak skontaktować się z Kluczem.

Były mechanik z Autobusu do Wolności nalegał na szybkie spotkanie, twierdząc, że ma sprawę, której nie chciał omawiać przez radio.

Dziki od razu wyczuł w tym coś podejrzanego.

Ta nagła i niespodziewana prośba mogła być częścią jakiegoś planu Kuby. Dawny lider zdawał sobie sprawę, że bezpośrednio od Dzikiego nigdy nie uzyska żadnych informacji o Oli. Teraz więc mógł próbować wykorzystać ich wspólnych znajomych, aby dotrzeć do dziewczyny. Lista osób, do których miał dostęp, była jednak krótka. Obejmowała tylko tych, którzy cudem ocalili po ataku na autobus: Janka, Edka, Greena i właśnie Klucza.

Jako że Janek i Edek podróżowali z Kubą od dawna, Dziki nigdy nie zdradziłby im żadnych szczegółów związanych z dziewczyną. Było to zbyt oczywiste. Green natomiast już dawno temu wyrwał się Kubie spod kurateli i po tym, co wydarzyło się pamiętnej nocy, żywił do niego niechęć porównywalną do Dzikiego.

Z Kluczem sprawa miała się jednak zupełnie inaczej. Dziki miał wobec niego ogromne wyrzuty sumienia. To przez jedną z wielu jego błędnych decyzji mechanik znalazł się na skraju śmierci. Ta myśl przeważała nad wszelkimi obawami, dlatego mimo niepokojących przeczuć, zgodził się na spotkanie. Przeczornie wybrał jednak miejsce po drugiej stronie torów z dala od ich kryjówek.

Zbliżało się południe, kiedy Dziki i Mike ruszyli w stronę umówionego punktu. Wcześniej przekazali tylko przez radio do Zwrotnicy, że idą na spotkanie z Kluczem. Potem, przez kładkę ukrytą w pobliżu Krańcowskich Zakładów Chemicznych, przeszli na stronę miasta.

Droga w okolicy Wspólnoty nie była szczególnie niebezpieczna, ponieważ zaludniona osada ściągała wszelkich wędrownych Niewykształconych.

Dotarłszy bez przeszkód na umówione miejsce. Dziki i Mike skryli się w ruinach wyszabrowanego do granic możliwości minimarketu. Z jego wnętrza mieli idealny widok na okolicę, sami pozostając w ukryciu przed ewentualnymi wędrowcami. Czekali tam około pół godziny, nim ciszę panującą w okolicy przeciął odgłos silnika.

Dziki spojrzał na Mike'a, który podniósł lornetkę, przyglądając się przez strzaskaną witrynę asfaltowej drodze.

— Cholera, samochód — powiedział Mike, a jego głos zadrżał z niepokojem. — A powiedz, co zrobimy, jeśli z Kluczem naprawdę przyjedzie Kuba? — spytał, patrząc znacząco na Dzikiego.

Dziki zacisnął tylko zęby.

— W najlepszym wypadku napluję mu w morde. W najgorszym... — nie zdążył dokończyć, bo już po chwili na dawnym parkingu sklepu zatrzymało się niebieskie sportowe auto.

Klucz siedział za kierownicą, a na siedzeniu pasażera i z tyłu pojazdu na szczęście nikogo więcej nie było. Wysoki chłopak wysiadł natychmiast z samochodu i dostrzegając Dzikiego oraz Mike'a skrytych w ruinach, machnął do nich drżącą ręką.

Dziki wyszedł przez dziurę, jaka została po drzwiach, żeby przywitać się z dawnym kompanem, a Mike ruszył za nim.

Gdy tylko się zbliżyli, Klucz wyciągnął rękę i ścisnął im obu dłonie, zwracając się w końcu do Dzikiego.

— Dobrze cię widzieć! — Choć ton jego głosu wcale tego nie potwierdzał. — Dziękuję, że zgodziłeś się na spotkanie. Wiem już, że Kuba nie miał tyle szczęścia...

Dziki ograniczył się po tym stwierdzeniu tylko do krótkiego komentarza — Gdybyś wiedział, jak udało mu się przeżyć, sam nie miałbyś ochoty na rozmowę z naszym byłym liderem.

— No tak... — westchnął Klucz, opuszczając głowę. — Wiem, że Janek i Edek są razem z nim. A co z dziewczynami? — spytał. — Oczywiście to tylko dla mojego spokoju ducha. Nikomu tego nie przekażę... — obiecał.

— Są bezpieczne i niczego im nie brakuje — odparł Dziki, nie chcąc zdradzać żadnych szczegółów. — A ty? Jak sobie radzisz? — dodał, próbując natychmiast skierować rozmowę na inny temat.

Klucz popatrzył na samochód, którym przyjechał, opierając na nim rękę.

— Dopiero niedawno stanąłem w końcu na nogi — odparł. — Musiałem odpracować trochę swój pobyt, bo pensja Greena ledwo pokrywała moje utrzymanie. Potem dostałem ofertę pracy jako monter we Wspólnocie, ale odmówiłem. Wróciłem do swojego domu ze Starego Świata, odpaliłem moje auto sprzed Błysku i ruszyłem w drogę. Chcę spróbować szczęścia jako samotnik, ale przyzwyczajenia sprawiają, że nie mam zamiaru podróżować pieszo...

— Takim to i ja bym pojeździł — wtrącił Mike, którego oczy aż błyszczały, gdy oglądał samochód.

Klucz zaśmiał się, choć w jego śmiechu było coś nienaturalnego, jakby próbował nim ukryć swoje zdenerwowanie.

— Właśnie to auto jest tu problemem — stwierdził, skupiając się ponownie na Dzikim. — Moja stara coupeta nie nadaje się za bardzo na „postapokaliptowóz”. Za to mój sąsiad miał całkiem spoko terenówkę. Wysoka, pojemna, niezawodna. Dołożyłbym do niej trochę zabezpieczeń i byłbym ustawiony — wyjaśnił wyjątkowo szczegółowo.

Dziki był już niemal pewien, że chłopakowi chodziło o coś więcej niż tylko sprawdzenie co u dawnych mieszkańców autobusu.

— Co cię blokuje? — spytał, czując, że nie usłyszał wcześniej o planach Klucza bez powodu.

— Sąsiad we własnej osobie — odparł chłopak. — Zamienił się w Gospodarza i siedzi w chałupie, a że kawał był z niego chłopca za życia, bez prawdziwej broni nie bardzo mam do niego podejście. Dlatego chciałem się z wami spotkać. Nie bardzo mam kogo poprosić o pomoc... a dla was to byłby tylko jeden strzał...

Dziki zamyślił się przez chwilę. Nie miał zbyt wielkiej ochoty ruszać się na razie poza Zatorze. Pewnie, gdyby chodziło o kogoś innego, odmówiłby od razu. Jednakże przypominając sobie, że to on właściwie pozbawił Klucza domu, uznał, że tym razem nie da rady się nie zgodzić.

— Cóż, to chyba nie będzie duży problem... — stwierdził, choć z pewnym oporem. — Daleko to?

— Kawalek, ale pojedziemy autem i oczywiście wrócimy autem. Odstawię was, gdzie tylko będziecie chcieli — obiecał Klucz, a jego głos zupełnie się zmienił. Widać było, że potencjalna zgoda Dzikiego przyniosła mu sporą ulgę. — To jak? Mogłbym prosić o tę małą przysługę, dawny strażniku? — spytał już znacznie pewniej, chcąc chyba potwierdzić, że udało mu się go przekonać.

Dziki skinął głową.

— Spoko, ale na pewno chcesz się włóczyć samemu? — zapytał, próbując zrozumieć, dlaczego Klucz wybrał dla siebie taką drogę. — Teraz wszędzie szukają chętnych. Ktoś z twoimi umiejętnościami znalazłby sobie miejsce nawet u Siwego.

Klucz słysząc to, zmarszczył tylko czoło.

— To już postanowione... — odetchnął. — Po autobusie... po tym wszystkim nie mam ochoty wiązać się znowu z jakąś dużą grupą...

Mike, spoglądając na zegarek, wtrącił — To dawajcie, ruszamy! Nie chcę, żeby Wiewióreczka czekała z kolacją... — a spoglądając na samochód, dodał natychmiast: — Tylko stawiam tu pewien warunek!

— Jaki? — spytał Klucz, patrząc na niego z wymuszonym uśmiechem.

— Ja prowadzę — rzucił Mike, zacierając ręce z miną, która jasno pokazywała, że czekał na taką okazję od momentu, gdy tylko zaczęli rozmowę.

Droga do dawnego domu Klucza mijała szybko i to mimo mizernych umiejętności Mike'a za kierownicą. Sportowy, delikatny samochód nie do końca chciał z nim współpracować. Mike zresztą tej współpracy wcale nie ułatwiał, bo zapominał o zmianie biegów, a czasem próbował zrobić to bez użycia sprzęgła.

Klucz, który siedział na miejscu pasażera, nie komentował umiejętności Mike'a ani słowem, ale po jego minie widać było, że cierpi za każdym razem, gdy auto wydawało metaliczny zgrzyt ze skrzyni.

Dziki, siedząc z tyłu, myślał z kolei tylko o tym, że chce mieć tę sprawę już za sobą i wrócić jak najszybciej do domu. Musiał przecież jeszcze jakoś zmusić Oli, żeby zjadła kolację. Tym razem nie miał jednak zamiaru iść do niej sam. Planował poprosić o pomoc Laurę albo Beatę...

Po kwadransie szarpanej jazdy cudem dotarli przed dawny dom Klucza. Na podwórku, gdzie kiedyś znajdował się warsztat samochodowy jego ojca, czas zdawał się na swój sposób zatrzymać. Szylt „Mechanika Samochodo-

dowa” wiszący na bramie był wyblakły, ale sam budynek oraz garaże wyglądały na zaskakująco dobrze zachowane, jak na te okolice. Reszta pobliskich domów, klockowatych, z ogródkami pełnymi wyschniętych drzew, prezentowała się zdecydowanie gorzej.

Dziki, wodząc spojrzeniem po okolicy, starał się wypatrzyć terenówkę, która była ich głównym celem, ale na żadnym podwórku nie dostrzegł takiego samochodu.

— Który to? — spytał w końcu.

— Tamten — odpowiedział Klucz, wskazując na drugi w kolejności budynek, licząc od swojego domu. — Auto jest w garażu. Kluczyki muszą być gdzieś w środku, a w najgorszym wypadku sąsiad ma je przy sobie — stwierdził nerwowo.

Mike skinął głową i zatrzymał auto przy chodniku. Zrobił przy tym tak triumfalną minę, jakby zaliczył właśnie arcytrudny manewr.

— Dobra, nie będziemy się bawić — stwierdził, biorąc od Dzikiego swoje AK. — Wchodzimy, dwie kule w głowę i przeczesujemy chałupę — po tych słowach ostentacyjnie przeciągnął zamek.

Dziki skinął tylko głową, przyjmując ten prosty plan bez komentarza. Skoro to rzeczywiście był tylko Gospodarz, specjalne kombinowanie nie było potrzebne. Już po chwili całą trójką przeszli przez pordzewiałą furtkę na teren posesji, a potem przez stare, drewniane drzwi do wnętrza budynku.

Mieszkanie okazało się przerażająco ponure. Jakby w Starym Świecie jego właściciele byli pół-wampirami i celowo chcieli stworzyć sobie azyl w mroku. Małe, źle rozmieszczone okna wpuszczały do środka zaledwie strzępy światła, które padały na ciemno zielone ściany. Do tego każdy krok, który stawiali na skrzypiącej, drewnianej podłodze, rozbrzmiewał echem, jak w jakimś upiornym zamczysku.

Dziękmu bardziej niż samo miejsce podejrzana wydawała się jednak ogólna cisza. Mimo wszystko uznał, że mieszkający tu Gospodarz musiał być po prostu jednym z tych „apatycznych”, którzy ożywiają się dopiero na widok intruzów.

— Widziałeś go już? — spytał Klucza przyciszonym tonem.

— Tak... — potwierdził chłopak. — Pewnie siedzi głębiej.

Przechodząc przez wytapetowany korytarz, dotarli finalnie do kuchni. Tam, w półmroku, przy starym, drewnianym stole, rzeczywiście siedziała jakaś rosla postać. Dziki pomyślał najpierw, że to musi być ich Niewykształcony, ale gdy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, dostrzegł twarz człowieka, którą niestety znał aż za dobrze.

— Kopę lat, Dziki! — zawołał Pers, dawny Weteran i jego śmiertelny wróg.

Dziki błyskawicznie otrząsnął się z pierwszego szoku i uniósł pistolet, ale zanim zdążył nacisnąć spust, nóż lecący jakby znikąd wytrącił mu broń z ręki. Zaskoczony spojrział w głąb kuchni i ku swojemu przerażeniu dostrzegł

Hienę, ukrytego w rogu kuchni. Chory na defekt mężczyzna doskonale opanował błąd, który pozwalał mu kontrolować noże, więc nie było niczym dziwnym, że udał mu się ten absurdalnie precyzyjny rzut.

W tym momencie dla Dzikiego stało się jasne, że wpadli w pułapkę. Klucz najwzyczajniej w świecie ich wystawił. Jak na dowód były mechanik autobusu przystawił właśnie Mike'owi lufę pistoletu do potylicy.

Mike zaklął tylko ciężko, zupełnie zdezorientowany — Co do kurwy nędzy...

Pers, podnosząc się od stołu, popatrzył na niego z wyjątkowo obleśnym uśmiechem.

— Mamy tu małe spotkanie fanklubu mielonki z Dzika — zakpił. — Jaka to niezwykła magia, że wspólny wróg potrafi zjednoczyć tak różnych od siebie ludzi.

Dziki ignorując Persa, lypnął z obrzydzeniem na dawnego kompana z autobusu.

— Klucz, kurwa... Jak mogłeś?! — spytał z wyrzutem.

Chłopak, po tym pytaniu, doznał ku jego zaskoczeniu ataku furii.

— JAK MOGŁEM?! JAK MOGŁEM?! — wykrzyczał, a w tym samym czasie Hiena wyrwał Mike'owi karabin z ręki. — Straciłem przez ciebie wszystko, Dziki! Dom, rodzinę, przyjaciół... BO NIE POTRAFIŁEŚ PO PROSTU ODEJŚĆ! TY PIEPRZONA GNIDO!

Chłopak zacisnął pięść i zamierzył się już, by uderzyć Dzikiego, ale Hiena w ostatniej chwili przechwycił jego rękę.

— Nie pobudzaj mu Woli — szepnął z wyrachowaniem. — Wie, że to jego wina. Wie, że zasłużył na to, co go spotyka. Niech tak zostanie. Nie utrudniajmy sobie...

Dziki poczuł, jak jego serce zamiera na moment. Szybko dotarło do niego jednak, że tak naprawdę nie miałby nic przeciwko, gdyby to się już skończyło. Był po prostu zmęczony poczuciem winy. Jeśli to miał być koniec jego opowieści... I tak uznał, że trwała zbyt długo.

— Trudno, zabijcie mnie... — westchnął zrezygnowany. — Mam to naprawdę gdzieś, ale wypuście Mike'a. On nie ma z tym nic wspólnego — poprosił.

— DZIKI! — zawołał przestraszony Mike, ale ten przerwał mu szybko.

— Zamknij się! — po czym zwrócił się ponownie w stronę Klucza i Hieny, bo Persem zbyt mocno gardził, by prosić go o cokolwiek. — Mówię poważnie, Mike to dobry koleś. Sami wiecie, że to prawy i szanowany Weteran, który miał po prostu pecha mieć za przyjaciela taką gnidę jak ja. Nie będę się bronił, nie będę walczył ani próbował rozbudzać Woli. Tylko dajcie mu odejść...

Klucz spojrzał niepewnie na Mike'a, a potem rozejrzał się po swoich kompanach.

— Może faktycznie... — szepnął wyraźnie skruszony. — Nie jego wina, że znał Dzikiego...

— Mnie ryba! Zdechnąć ma ta namiastka strażnika — wysapał jadowicie Hiena, przeciągając sobie nożem po gardle.

Co dziwne, nie zrobił tego na pokaz, lecz naprawdę praktycznie poderżnął sobie gardło. Mężczyzna był po prostu tak dotknięty defektem, że z jego szyi nie pociekła nawet kropla krwi, a rana zasklepiła się momentalnie.

— A mnie nie... — wtrącił Pers, spoglądając na Dzikiego z lodowatą obojętnością. — Wspieranie idiotów musi mieć swoje konsekwencje.

Dziki poczuł, jak furia w nim eksploduje. W mgnieniu oka rzucił się na Persa, wymierzając mu potężny cios, któremu niestety zabrakło wzmocnienia Pierwotną Wolą. Ta oczywiście, jak zwykle, go zawiodła. Były Weteran co prawda zachwiał się zamroczony, ale nim Dzikiemu udało się wyprowadzić kolejne uderzenie, Hiena chwycił go od tyłu i z nadludzką siłą powalił bez trudu na podłogę.

— Skrępuj go... — wysapał potem w stronę Klucza, który drżącymi rękami sięgnął po zawczasu przygotowaną taśmę klejącą.

Chłopak posłusznie zaczął owijać nogi i ręce Dzikiego, a następnie, z pomocą Hieny, umieścił go na krześle. W podobny sposób mężczyźni skrępowali Mike'a.

Gdy obaj zostali już przytwierdzeni do krzeseł jeszcze większą ilością taśmy, Pers zwrócił się do Klucza wyraźnie podekscytowany.

— Jesteś pewien, że jest tu Chochół? — spytał.

— Jest, jest — potwierdził Klucz i spojrzał następnie w kierunku zejścia do piwnicy, jakby obawiał się, że coś może zaraz z niej wyskoczyć. — Spałem dwa domy dalej, a i tak prawie wyzionąłem ducha. Musi być naprawdę potężny...

Pers zrobił taką minę, jakby Klucz zanucił jego ulubioną melodię.

— Cholera, aż żałuję, że mnie przy tym nie będzie — stwierdził z żalem.

Dziki poczuł, jak oblewa go zimny pot. Był to jednak głównie strach o los Mike'a.

— Przy czym do cholery? Dlaczego mnie po prostu nie zabijecie? — wtrącił, próbując zrozumieć, co szykują dla niego oprawcy.

Hiena nachylił się Dzikiemu do ucha i wyszeptał lodowato — Bo istnieje los gorszy niż śmierć i takiego właśnie doświadczysz...

— Dobra, spadamy! Bo im dłużej tu stoję, tym sam czuję się gorzej — zawołał Klucz.

Po chwili cała trójka oprawców wyszła z budynku, zostawiając Dzikiego i Mike'a skrępowanych.

Dziki natychmiast spróbował wyszarpać ręce, ale taśma klejąca okazała się bardzo mocna.

— Mike, co to do cholery ten Chochół? — wysapał, próbując chociaż trochę poluznić nadgarstki.

Mike, który również szarpał się ze wszystkich sił, wydukał w międzyczasie — Takie cholerstwo, które włązi ci do głowy. Podobno ludzie pod jego wpływem potrafią nawet strzelić sobie w łeb...

— Cudownie... — warknął Dziki, ciągnąc rękoma tak mocno, że poczuł, jak taśma przecina jego skórę. Krew zaczęła powoli sączyć się mu ze skaleczeniem, o dziwo rozmiękczając klej. To choć makabryczne, dało mu cień nadziei na uwolnienie się.

Mike, mimo całej tej sytuacji, wydawał się być dziwnie spokojny.

— Nie musisz się martwić. Związani raczej się na życie nie targniemy... — stwierdził, starając się zachować spokój. — Ten ich plan nie był chyba do brze przemyślany... — dodał, szarpiąc się na krześle z zaciętą miną. — W końcu się uwolnimy...

Dziki z początku nie patrzył na to aż tak optymistycznie. Klucz naprawdę nie żałował taśmy i kleił bardzo mocno. Niemniej już po chwili szamotania się poczuł, że może wykonywać coraz obszerniejsze ruchy ręką. Może Mike miał rację? Może tym razem mieli po prostu szczęście? Przecież wystarczy jeszcze kilka, może kilkanaście minut i będą wolni.

Przez dłuższą chwilę w kuchni słychać było tylko trzeszczenie krzeseł i ciężkie oddechy walczących o wolność Dzikiego i Mike'a. Niestety już po chwili w korytarzu rozległy się kroki. Ich oprawcy wracali. Dziki i Mike, zamarli czekając.

Do kuchni z całej trójki, wrócił tylko Hiena, zwracając się o dziwo nie do Dzikiego, a do Mike'a.

— Nic mi nie zawiniłeś — wyszeptał. — Potraktuj to jako akt miłosierdzia — dodał i łapiąc za nóż, przeciął mu głęboko ramię.

Dziki na ten widok zamarł, a serce zaczęło mu walić coraz szybciej. Tak bardzo potrzebował teraz tej siły, jaką mogła dać mu Pierwotna Wola. Ale ta nie przychodziła. Zamiast żądz mordu, znowu czuł strach.

Mike tymczasem krzyczał z bólu. Krew wylewająca się z jego rany tworzyła coraz większą kałużę na podłodze. Hiena przykucnął obok niego, patrząc mu prosto w oczy.

— Przynajmniej nie będziesz męczył się długo... — dodał, rzucając potem jeszcze jedno pogardliwe spojrzenie w stronę Dzikiego, następnie odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Dziki patrzył, jak jego przyjaciel traci kolor na twarzy. Życie ulatywało z niego z każdą upływającą kroplą krwi. Sam Mike spoglądał na swoją ranę z przerażeniem, jakby nie wierzył, że to naprawdę się dzieje.

— Stary, ja się wykrwawię... — wyszeptał.

— Nie, Mike. Wszystko będzie dobrze... daj mi chwilę, zaraz się z tego uwolnię. Zaraz ci pomogę! — wykrzyczał Dziki, desperacko szarpiąc się ze wszystkich sił.

Krew lała się z Mike'a coraz szybciej, a jego twarz zaczynała przybierać przerażający biały odcień.

— O cholera, jak ze mnie cieknie... — rzucił tonem jakby był pijany.

Dziki, pełen adrenaliny, szarpnął się do tyłu, przewracając swoje krzesło i lądując na plecach. Uderzenie głową o podłogę było tak silne, że przez moment przed jego oczami zatańczyły ciemne plamy.

— Żyjesz, stary? — spytał Mike, a jego głos był tak słaby, jakby dochodził gdzieś z oddali.

— Tak, tak! Wytrzymaj jeszcze chwilę! — zawołał Dziki, walcząc dalej z więzami.

Krzesło, do którego był przytwierdzony, trzeszczało i wyginało się, ale za nic w świecie nie chciało się rozejść. Taśma była zbyt mocna, by się rozetrwać, a krew, która miała ją osłabić, sprawiała jedynie, że ręce ślizgały się mu jak w ciasnych rurach.

— Zimno mi... — rzucił słabo Mike.

— Nie zasypiaj. Trzymaj się... Opowiedz mi coś. Opowiedz mi o Weronice. Jak ci z nią jest? — zawołał Dziki, rzucając się teraz po podłodze, jakby miał atak padaczki.

Mike tymczasem spojrzał mętnie w przestrzeń.

— To cudowna dziewczyna, wiesz? — spytał, uśmiechając się. — Jest słodka jak cukierek i naprawdę miła... Chłopaki śmieją się, że jest ze mną tylko dlatego, że ją złapałem na dobrego pocieszyciela... ale mi to nie przeszkadza. Wydaje mi się, że dobrze nam razem...

— Też tak sądzę. Czuć między wami tę chemię! — potwierdził Dziki, a jego ręce miały coraz więcej luzu. Potrzebował jeszcze tylko chwili, żeby się uwolnić. — Opowiedz mi coś więcej!

— Wiesz, że się kochaliśmy? — przyznał nagle Mike. — W końcu udało mi się być z dziewczyną... tak naprawdę. To było... to było... — próbował dokończyć, ale jego głos urwał się nagle, jakby wyczerpały mu się wszystkie siły.

— Jakie? — spytał Dziki, panicznie starając się utrzymać go przytomnym. — Jakie to było?

Mike zamilkł. Jego głowa zawisła przez chwilę sztywno, po czym bezwładnie opadła w dół. Dziki poczuł, jak jego serce zamiera.

— MIKE! MIKE! — krzyknął, czując, jak ogarnia go coraz większe przerażenie. — Stary, błagam... Kurwa! Wszyscy, tylko nie ty! Tylko nie ty!!!

Nagle, jakby z głębi pokoju, dobiegł go zimny, niemal drwiący głos — Za późno, szefie... on już odszedł.

Dziki poczuł, jak świat wokół niego zaczyna się rozmywać. Jego umysł nie mógł przyjąć tego, co właśnie się działo. Mike, jego przyjaciel, umarł na jego oczach, a on nic nie mógł zrobić. Do tego właśnie teraz usłyszał głos Korka.

— To twoja wina, szefie — powiedział chłopak oskarżycielskim tonem. — To tak, jakbyś nosił w sobie jakieś przekleństwo... Założę się, że za jakiś czas słowem „dzikowanie” będzie się opisywało zachowanie osoby, przez którą giną jej przyjaciele i bliscy.

Gdy Dziki wreszcie spojrział w stronę, z której dochodził głos, zobaczył stojącą nad sobą postać. To naprawdę był Korek. Z trudem rozpoznał jego twarz, ale jakimś koszmarnym cudem, to naprawdę był on.

Chłopak uśmiechał się delikatnie, przyklękając przy nim.

— Co ty... Przecież ty nie żyjesz... — wyłkał Dziki, nie mogąc powstrzymać łez, które zaczęły napływać mu do oczu.

Korek usiadł po turecku na podłodze. Patrzył Dzikiemu prosto w oczy.

— Tak, nie żyję... Dlaczego więc Edek i Green żyją? — spytał oburzony. — Dlaczego Jankowi się udało? Myślałem, że ty jeden mnie lubisz, szefie... A może właśnie dlatego umarłem? Bo to ludzi, którzy są ci bliscy, spotyka parszywy los...

Dziki pokręcił głową, starając się poskładać w całość, to co się wokół niego odbywało.

— To niemożliwe... — wyszeptał. — To się nie dzieje...

Korek zaśmiał się cicho.

— Oczywiście, że się dzieje. Czy w takim świecie jak ten, cokolwiek może być niemożliwe? — spytał, rysując palcem w kałuży krwi, która wyciekła z ciała Mike’a. — Nie żebym miał pretensje, ale nie mogłeś zabić Modrzewia szybciej? Naprawdę to ja musiałem umrzeć, żebyś przebudził Pierwotną Wolę? Wiesz, ilu rzeczy nie zdążyłem zaznać, bo ty nie potrafiłeś się zdecydować, by odejść?

— Przepraszam... Korek. Tak bardzo cię przepraszam... — wyłkał Dziki, wciskając twarz w podłogę.

Korek spojrział na niego z oceniającym chłodem w spojrzeniu.

— Trochę to beczelne, przepraszać za coś takiego, szefie — przyznał obrażony. — To Pierwszy opowiedział ci metaforę ze szklanką? Czy twoje przeprosiny przywrócą mnie do życia?

Zanim Dziki zdążył odpowiedzieć, usłyszał inny głos. Był to głos Mike’a.

— No właśnie, Dziki? A co ze mną? — zapytał jego przyjaciel, stojąc teraz w kuchni.

Dziki spojrział na jego ciało, które nadal siedziało bez ruchu. Obok niego stanęła prawie identyczna kopia. Drugi Mike skrzyżował ręce na piersi i rzucił oskarżycielskim tonem — Byliśmy przyjaciółmi! Narażałem się dla ciebie pierdyliard razy! Praktycznie dzięki mnie miałeś szansę w tym świecie. I co dostałem w zamian?

— Mike... Mike... — wyłkał Dziki, uderzając głową o podłogę, jakby chciał obudzić się z tego kosmaru. — To ja powinienem być zginąć, nie ty... nie ty...

— I tu masz rację, stary — warknął Mike, nachylając się nad Dzikim z wyrazem gniewu na twarzy. — Co z Weroniką? Wyobraź sobie teraz, że ona

będzie czekała tam na mnie. A ja nigdy nie wrócę... Moja biedna wiewióreczka — dodał, ukrywając twarz w dłoniach.

Dziki poczuł, jak w jego wnętrzu narasta przerażenie. W końcu zdołał oswobodzić jedną z rąk i zerwał taśmę z drugiej. Jego zmarli towarzysze odsunęli się, przyglądając się mu z zimną obojętnością.

— Może nie jest za późno! — krzyknął Dziki, jakby łapiąc się ostatniej deski ratunku. — Może tylko straciłeś przytomność! — zawołał, kładąc palce na szyi Mike'a, ale jego ciało było zimne, a pod opuszkami nie wyczuł najmniejszego pulsu.

— No i co? Wskrzesisz mnie? — prychnął Mike.

Dziki osunął się przy krześle, opierając głowę na ciele przyjaciela. Czuł się kompletnie rozbity.

— Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro... — powtarzał.

Mike wyprostował się i popatrzył na Dzikiego z gniewem w oczach.

— Wiesz co? Mam to w dupie! Powinienem być cię wepchnąć na tory, gdy zacząłeś odpiardalać. Teraz przynajmniej byłbym żywy!

— On ma rację, szefie — potwierdził Korek entuzjastycznie. — Im dłużej chodzisz po tym świecie, tym więcej ludzi cierpi przez ciebie — wtrącił bezlitośnie. — Powinieneś być odejść już dawno...

Dziki czuł, jak serce wali mu w piersi. Milion myśli zalewało jego umysł niczym wodospad, tworząc niewyobrażalny chaos. Słowa Korka i Mike'a dzwięczały mu w głowie, odbijając się echem. Nagle wyczuł pod stopami coś ostrego — była to rękojeść kuchennego noża.

— Naprawdę jest ci przykro? — spytał Mike, popychając nóż w stronę Dzikiego. — To odpokutuj za to, co zrobiłeś! — zarządał.

Korek przytaknął mu z aprobatą.

— To jedyny sposób, żeby nikt więcej już przez ciebie nie cierpiał...

Dziki chwycił nóż do ręki i przycisnął do swojego nadgarstka. Przez chwilę patrzył, jak ostrze przecina mu skórę. Nagle ten sam nóż wystrzelił gdzieś na bok. Jak gdyby Hiena przejął nad nim kontrolę. Tylko, że Hieny tu nie było.

Dziki spróbował przeczołgać się po podłodze, by odzyskać narzędzie swej zguby, gdy nagle coś poderwało go do góry. Jego ciało lewitowało, ściśnięte pod pachami, jakby unosił go niewidzialny człowiek.

— Zostaw mnie. Daj mi spokój. Chcę umrzeć! CHCĘ UMRZEĆ! — wołał, a jego umysł był już na granicy pęknięcia.

— Dziki... — odezwał się z oddali głos Mike'a.

Był to jednak inny głos niż ten, który usłyszał wcześniej. Bardziej realny, bardziej prawdziwy.

Dziki miał wrażenie, jakby właśnie budził się ze snu. Obrazy podświadomości zaczęły się rozmywać, a iluzje rozwiewać. Nie było krwi, nie było Korka. Mike stał w kuchni, trzymając go mocno od tyłu.

— Stary, uspokój się... — powiedział.

— Mike, Mike! — wykrzyczał Dziki, obracając się i przytulając do przyjaciela. — Stary, co się stało? Przecież Hiena cię zabił, jakim cudem... Co się dzieje?

Mike spojrzał na niego z powagą.

— Jak zabił? Przywiązali nas do krzesła i zostawili tutaj. Potem się uwolniłeś i zacząłeś majaczyć. Na koniec chciałeś sobie poderżnąć żyły. Ledwo się wyrwałem, żeby cię powstrzymać...

Dziki nie dowierzał w to, co usłyszał. Wszystko wydawało się wcześniej takie realne.

— To ten Chochół... to musiała być jego sprawka... — stwierdził roztrzęsiony. — Tylko dlaczego ty się nie zламаłeś?

Mike wzruszył ramionami.

— Bo nie noszę w sobie tyle gówna, co ty? — spytał retorycznie. — No i ogólnie lubię swoje życie. Dobra. Chodźmy stąd, bo jeszcze sobie uświadomią, że ta ich zemsta nie wypaliła.

Gdy opuszczali dom, Dziki przez dłuższy czas nie mógł się pozbierać po tym, co zobaczył. Paranoicznie szturchał Mike'a ręką, jakby bał się, że przyjaciel się przed nim rozplynie.

— Cholera, Weronika mnie zabije... I jeszcze straciłem mojego kakacza — westchnął Mike.

— Zabrali ci radio? — spytał Dziki, trzepiąc się po kieszeniach. — Bo mi nie...

Mike wręcz wyrwał mu krótkofalówkę, uradowany.

— Przynajmniej jeden problem z głowy — zawołał, nawiązując kontakt z ich bazą. — Romcio, bydłaku, jesteś tam?

— Mike? Chłopie, co się dzieje? Weronika od trzech godzin suszy mi łeb! Mieliliśmy zaraz iść was szukać...

Dziki przełknął nerwowo ślinę, bo przypomniały mu się słowa kopii Mike'a o czekającej dziewczynie.

— Mieliliśmy mały poślizg, zostaniemy do jutra na mieście — stwierdził Mike. — Z rańca przekradniemy się z powrotem do nas...

Po chwili stało się coś dziwnego. Radio zatrzeszczało, a zamiast Romcia odezwał się jakiś obcy głos.

— UWAGA! UWAGA! Mówi Cichy z Armii Daniela, nadajemy na wszystkich kanałach. Zarzeczce zaatakowało, mosty zostały odbudowane, natarcie ruszyło!

— O kurwa... — wyszeptał Mike, prawie wypuszczając radio z ręki.



Rozdział IX

Szczere rozmowy

— Stary, wstawaj! — zawołał Mike, szarpiąc Dzikiego za ramię.

Ten panicznie się poderwał, otwierając piekące od niewyspania oczy.

— Co jest?! Co się dzieje?! — spytał, odruchowo sięgając po kuchenny nóż, który wcześniej ukrył za oparciem fotela.

— Znowu się darłeś przez sen — wyjaśnił Mike, wracając ciężkim krokiem na kanapę. — Nie żebym liczył, że się jeszcze dziś wyśpię, ale w końcu coś tutaj ściągniesz... — dodał, przecierając dłonią zmęczoną twarz.

Dziki, uświadamiając sobie, że nie są zagrożeni, odetchnął głęboko.

— Przepraszam, nie kontroluję tego... — przyznał, prostując się na fotelu i zbierając do kupy rozproszone myśli.

Jego umysł wciąż mimowolnie krążył wokół koszmaru, z którego właśnie się wyrwał. Na szczęście nie był już w stanie przywołać żadnych szczegółów. — *To pewnie znowu był Autobus... Co innego?* — pomyślał, przekonany, że próba ponownego zaśnięcia mija się z celem. W miejscu, gdzie obecnie się ukrywali, jego krzyki rzeczywiście mogły przyciągnąć kłopoty.

Podczas ich ucieczki z zasadzki zastawionej przez wrogów Dzikiego zapadał zmierzch. Nie mieli przez to szans, by dotrzeć cało do Zwrotnicy albo chociaż do Wspólnoty. Z braku innych opcji, postanowili ukryć się w jednym z wielu bloków w mieście. Niestety, budynek, który wybrali pochopnie i w pośpiechu, okazał się już wcześniej splądrowany przez szabrowników. Choć z zewnątrz sprawiał wrażenie nietkniętego, w środku nie pozostało prawie nic godnego uwagi ani tym bardziej przydatnego. Schowki w mieszkaniach były puste, a większość pomieszczeń wręcz wywrócona na drugą stronę. Przeszukując cały pion, znaleźli jedynie zgrzewkę wody gazowanej.

Ze względu na późną porę nie było rozsądne, aby przenosić się dalej. Utknęli więc w tym pustostanie na całą noc.

Mike, z ponurą miną, sięgnął po jedną z butelek, które ustawili wcześniej pod stołem i z wyraźnym oporem opróżnił ją do końca.

— Rzygać mi się już chce od tej wody, ale przynajmniej zabija na chwilę głód — przyznał, ściskając się za burczący brzuch.

Dziki również czuł, jak ziejąca pustka w żołądku wyżera go od środka. Przypomnił sobie, że nie zjedli nawet obiadu w Zwrotnicy. Ich ostatnim posiłkiem było pospieszne śniadanie, od którego zdawały się już minąć wieki.

— Spróbuj się przespać, to się nie będziesz tak męczył — zaproponował Mike'owi, czując się odpowiedzialnym za jego cierpienie. — Ja nas popilnuję...

Mike słysząc jego propozycję, pokręcił jedynie głową. Ze złością zgniótł pustą butelkę w dłoni, a potem rzucił ją w kąt pokoju.

— Nie ma szans, żebym usnął. Jestem zbyt głodny — mruknął, a w jego głosie było słychać narastającą irytację, którą starał się usilnie ukryć.

Dziki miał teraz wrażenie, że to nie tylko głód odbierał jego przyjacielowi spokój.

— Czym się tak przejmujesz? Zarzeczem? — spytał nieco zmieszany.

Nastrój Mike'a, podbudowany z początku udaną ucieczką, ewidentnie załamał się po tym, jak usłyszeli komunikat o rozpoczęciu inwazji.

— Zanim dotrą w okolice stacji, minie jeszcze sporo czasu. Nie mówiąc już o tym, że praktycznie nikt nie wie, gdzie jest Zwrotnica — przekonywał Dziki, licząc, że uda mu się w ten sposób rozwiać obawy przyjaciela.

Mike, który zazwyczaj był sporym optymistą, tym razem nie dał się tak łatwo uspokoić. Z wciąż ponurą miną, wstał z sofy, podszedł do okna i wyjął ostrożnie przez szybę.

— Może i nikt nie wie... — stwierdził zamyślony, obserwując ciemność po drugiej stronie. — Ale po tych historiach, które przyniosłeś z Zarzecz... Naprawdę zacząłem się martwić, co by było, gdyby to oni wygrali — westchnął ciężko, a chwilę potem schował twarz w dłoniach. — Może gdybym dalej był sam, mniej bym się stresował. Teraz myślę o tym, co będzie z Weroniką. Ta dziewczyna to cud, ale nie jest Dix... Nie poradziłyby sobie... — tłumaczył z gorczy. — Cholera, czasem myślę, że w tym świecie lepiej być samemu...

Takie dramatyczne stwierdzenia były do Mike'a tak niepodobne, że tym bardziej zmartwiły Dzikiego.

— Brzmisz teraz jak Pierwszy — skwitował, podnosząc się z miejsca.

Stając obok, spojrzał przez okno w stronę, w którą patrzył jego przyjaciel. W oddali, na tle niemal czarnego nieba, majaczyły światła Wspólnoty, a oprócz niego kilka innych jasnych punktów.

— To Sojusz Bloków? — spytał Dziki, wskazując palcem na kilka białych plamek, przypominających odległe światła w mieszkaniach na piętrze.

Mike wyprostował się, przyglądając przez chwilę wskazanemu miejscu.

— Tak — potwierdził. — Chociaż zwykle nie są tak dobrze widoczni. — dodał, marszcząc skupione czoło. — Dziś pewnie wszyscy są zaalarmowani przez tę inwazję, więc nie oszczędzają na zasilaniu i świetle.

Dziki skinął głową. Po chwili ciszy, Mike spytał go niespodziewanie — Dalej podtrzymujesz, że chcesz tam wrócić?

Tym razem to Dziki odetchnął ciężko. Znów wrócili do tematu, o którym tak bardzo nie miał ochoty teraz (ani w sumie w ogóle) dyskutować. Wiedział jednak, że kompan nie da mu spokoju. Postanowił więc przebrnąć przez tę rozmowę jak najszybciej.

— Jeśli chodzi ci o Zarzecze, to teraz chyba nie ma to sensu... — odpowiedział, opierając głowę o szybę. — Daro jako Zwiadowca na pewno jest w łańcuchu dowodzenia całego szturmu. Zastanawiam się tylko, jak włączyć się do walki i go znaleźć... — dodał, nie odrywając wzroku od światła Sojuszu Bloków.

Kątem oka dostrzegł jednak, że Mike zmarszczył czoło, wyraźnie zaniepokojony tym, co usłyszał.

— Nie będę ukrywał, że zdecydowanie wolałbym, abyś został z nami — przyznał. — Mamy teraz naprawdę fajną, zjednoczoną grupę. Nie to, co w starej Wspólnocie. Przeszliśmy już razem sporo. Z tobą przy boku, gdy posługujesz się błędami, wszyscy czulibyśmy się dużo pewniej... — przekonywał, widocznie nie tracąc nadziei, że uda mu się jakoś wpłynąć na decyzję Dzikiego.

Jego słowa przyniosły jednak zupełnie odwrotny skutek. Słuchając tych argumentów, Dziki odczuł nagłą irytację. Myślni wrócił mimowolnie do czasów, gdy był jeszcze strażnikiem Autobusu do Wolności. Do chwil, kiedy wszyscy mieszkańcy patrzyli na niego z nadzieją i zaufaniem, a on sam ciągle ich zawodził. Obrazy z przeszłości, twarze ludzi, których już nie było, migały mu przed oczami, jakby podświadomość chciała mu przypomnieć, że nie jest w stanie już zapewnić nikomu bezpieczeństwa, a jego decyzje zawsze prowadzą tylko do tragedii.

— PRZESTAŃ! — rzucił nagle ostro, nie chcąc więcej słuchać od Mike'a podobnych bzdur. — Gdziekolwiek się pojawię, ściągają tylko problemy. Ledwie wczoraj prawie przeze mnie zginąłeś! — przypomniał. — Nie mam zamiaru narażać nikogo więcej. Powiedziałem, że zostanę, dopóki Oli nie dojdzie do siebie. A patrząc na to, jak wyglądały ostatnie tygodnie, myślę, że lepiej już nie będzie...

Mike, nie zważając na rosnące między nimi napięcie, odpowiedział równie twardo, patrząc na Dzikiego z wyrzutem.

— Daj tej dziewczynie szansę! — zażądał, podnosząc głos. — Wiesz, co ona przeżyła? Potrzebuje czasu i wsparcia bliskiej osoby, a nie ma nikogo bliższego od ciebie. Ruszyłeś na tamtą stronę, żeby ją ratować! — wspomniął, machając dłonią, jakby próbował przetłumaczyć coś nierozumnemu dziecku, które nie pojmuje konsekwencji swoich działań.

Dziki zacisnął zęby, czując, jak złość coraz bardziej w nim buzuje. W głowie bombardowały go myśli, że mimo najlepszych intencji, jego obecność przynosi Oli więcej bólu niż ukojenia. Idiotyczny upór Mike'a w tej sprawie tylko potęgował jego frustrację.

— Powtarzam ci jeszcze raz, ona mnie nienawidzi! — wycedził ze sztywną szczęką. — Gdy jestem obok, nie może znieść pięciu minut, żeby nie wybuchnąć na mnie krzykiem albo nie zalać się płaczem... — przypomniał, spuszczając z bólem wzrok.

Mike jednak pokręcił głową, jakby nic z tego, co mówił do niego nie dotarło.

— Wbiłeś sobie tę jej rzekomą nienawiść do ciebie w czerep jak jakąś mantrę buddyjską — prychnął z niesmakiem. — Przy tobie przynajmniej okazuje jakieś emocje, bo wszystkich innych traktuje jak powietrze... — stwierdził i odetchnął po chwili. — Ale dobrze, jeśli chcesz odejść, nie ma problemu. Po twoim odejściu sięgnę do nas Kubę... — dodał, krzyżując ostentacyjnie ręce na piersi.

Te słowa trafiły w czuły punkt. W głowie Dzikiego natychmiast zapaliła się czerwona lampka, a serce zaczęło bić szybciej. Kuba, który zawiódł na równi z nim. Ten, który co gorsza, zostawił Oli na pastwę losu! On nie miał prawa się do niej zbliżyć!

— Nie ośmielisz się... — wycedził Dzik, zaciskając pięści.

Mike uśmiechnął się ironicznie, widząc, że trafił idealnie ze swoim szantażem.

— Dlaczego nie? Sam mówiłeś, że chcesz odejść. Więc co cię obchodzi, co będzie z nią dalej? — spytał, prowokując Dzikiego jeszcze bardziej.

Ten nie wytrzymał. Zagotował się z wściekłości.

— OBCHODZI MNIE BARDZIEJ NIŻ KOGOKOLWIEK! A NA PEWNO BARDZIEJ NIŻ JEGO! — krzyknął, tak donośnie, że rozbiło się to echem aż na klatce schodowej.

Mike, nie zważając na to, kontynuował kłótnię.

— Skoro tak, dlaczego chcesz ją zostawić samą?! — spytał, spoglądając na Dzikiego znacząco, jakby chciał wymusić na nim odpowiedź, która go zadowoli.

— Po pierwsze, nie samą, bo zostawiam ją z tobą! — zaprzeczył Dzik, starając się uspokoić. Ostatnie, czego potrzebował teraz, to otwarty konflikt z Mike'm. Problem był tylko w tym, że jego przyjaciel po prostu nie chciał zrozumieć jego motywacji. — Jesteś jedynym człowiekiem na tym świecie, któremu ufam — tłumaczył dalej, już zdecydowanie schodząc z tonu. — A co najważniejsze, robię to dla jej bezpieczeństwa! Coś, czego nie potrafiłem zrozumieć do tej pory, to fakt, że czasem trzeba kogoś zostawić dla jego dobra! — zakończył, jakby próbował przekonać o tym nie tylko przyjaciela, ale i samego siebie.

Mike już zbierał się, by rzucić kolejnym argumentem, ale nim zdążył otworzyć usta, coś niespodziewanie zadźwięczało na klatce schodowej. Obaj natychmiast zamilkli, wsłuchując się w odgłosy kroków rozchodzące się po drugiej stronie drzwi.

— No i super, ściągnęliśmy coś! Mówilem, żebyś się nie darł! — wykrzyczał Mike, porzucając na chwilę poprzedni temat.

— JA?! A ty? Co niby robisz teraz?! — wrzasnął Dziki.

Obaj spojrzeli potem na siebie, a w ich oczach pojawiła się konsternacja. Przez chwilę trwała między nimi cisza, po czym, jakby nagle zdając sobie sprawę z komiczności całej sytuacji, uśmiechnęli się głupkowato. Złość między nimi kompletnie uleciała.

Mike odetchnął ciężko, łapiąc za nóż kuchenny, który leżał na stole.

— Jesteś niemożliwy — powiedział, ale tym razem w jego głosie było więcej rezygnacji niż złości.

Dziki popatrzył na niego i z lekkim uśmiechem odparł — Ty nie lepszy...

Nagle, z drugiej strony drzwi, rozległo się drapanie, które przyprawiło ich o gęsią skórę. Chrapliwy, męski głos wykrzyczał potem z coraz większą wściekłością — Wynos się! Wynos! WYNOŚ!

Dziki odetchnął uświadamiając sobie, że to był tylko Gospodarz.

— Ignorujemy go na razie? Drzwi nie wyważy... — spytał, zerkając na Mike'a.

Ten zastanowił się przez chwilę, po czym stwierdził zrezygnowany.

— Ale będzie wołał całą noc... Może przyciągnąć coś gorszego...

Dziki kiwnął głową, zdziwiony, że sam o tym nie pomyślał. Nawet jeśli Niewykształcony za drzwiami nie stanowił bezpośredniego zagrożenia, to jego krzyki mogły sprowadzić na nich więcej problemów. Może to zmęczenie? A może po prostu, po tej ostatniej kłótni z Mike'm, nie miał już ochoty na kolejną walkę.

— Po tym, co tu odwalaliśmy przed chwilą, nie zdziwiłbym się, gdyby maszerowała tu większa grupa... — stwierdził pół żartem, starając się rozładować napięcie.

Mike jednak tylko wzniosł oczy do góry, kręcąc głową, jakby też nie miał już siły na kolejne potyczki.

— Bo jak się uprzesz na coś głupiego, to mam czasem ochotę ci jebnąć! — stwierdził z przekąsem, ale zaraz potem wyprostował się, zaciskając rękę na nożu. — Dobra, otwieraj! Chcę to już mieć za sobą — polecił.

Dziki ostrożnie uchylił drzwi, ale po drugiej stronie czekało na nich wielkie nic. Korytarz był całkowicie opustoszały, jakby przed chwilą wcale nie słyszeli tych przerażających odgłosów.

— Dziwne... — stwierdził zaskoczony, wyglądając za drzwi. — Poszedł sobie? — rzucił retorycznie.

Mike, równie zdziwiony, podszedł i uważnie rozejrzał się po korytarzu. Jego wzrok zatrzymał się na sąsiednich drzwiach, zza których widać było jasne światło. Przez szpary między nimi dobiegał stłumiony szum telewizora, jakby ten kawałek Starego Świata nagle ożył.

Chłopak natychmiast cofnął się do mieszkania, a jego twarz zdradzała narastający niepokój. Nacisnął włącznik na ścianie, a żyrandol momentalnie rozświetlił pokój jasnym blaskiem.

— Kurwa mać! — zawołał z niedowierzaniem, uderzając pięścią w ścianę. — Noc Latarni!

Te dwa słowa sprawiły, że Dziakiemu ziemia usunęła się spod nóg. Momentalnie zatrzasnął drzwi i podbiegł do okna, spoglądając na to, co dzieło się na zewnątrz. Na placu przed blokiem zaczęli pojawiać się Gospodarze. Mężczyźni i kobiety w różnym wieku wychodzili nieśpiesznie z pobliskich klatek, a następnie, poruszając się jak w transie, małymi grupami zaczęli rozchodzić się w różne strony miasta. Widok był niesamowity i przerażający jednocześnie — martwe ulice nagle znowu ożyły w świetle lamp. Niestety, w sposób, który nie wróżył dla obecnie żyjących w Krańcowie niczego dobrego.

— Cholera jasna! — warknął Mike, uderzając po raz kolejny pięścią w ścianę z taką siłą, że aż tynk się posypał. — Akurat dzisiaj, kiedy jesteśmy poza Zwrotnicą! — dodał, a jego głos zadrżał nerwowo.

Dziki spojrzał na niego i tym razem to on spróbował wziąć na siebie rolę tego rozsądnego.

— Spokojnie, większość Niewykształconych pójdzie do Wspólnoty... Twoja baza jest bezpieczna — starał się uspokoić Mike'a. — Poza tym, na Zatorzu nie było w Starym Świecie żadnego miejsca, które mogłoby ściągnąć grupy ludzi...

Mike westchnął, opierając się plecami o ścianę.

— No wiem, ale Wiewióreczka umrze ze strachu o mnie... — rzucił z żalem. — Przecież co ona sobie teraz pomyśli?

Dziki opuszczył głowę, czując, jak ponownie ciężar odpowiedzialności zaczyna go przygniatać. To on ściągnął Mike'a na spotkanie z Kluczem. To przez niego teraz obaj znajdowali się w tej sytuacji. Nie po raz pierwszy sama jego obecność przyczyniła się do kłopotów bliskiej mu osoby. Wiedział, że niezależnie od tego, jak Mike będzie go przekonywał, i tak opuści Zwrotnicę, jak tylko wróci. Teraz musieli jednak przetrwać i na tym postanowił się skupić.

Noc Latarni, choć przerażająca, nie była szczególnie niebezpieczna, jeśli znajdowało się w odpowiednim miejscu do jej przetrwania. Bloki, w których się ukryli, wydawały się mu właśnie takim miejscem. Oddalone od dawnych centrów rozrywki, kościołów, czy innych placówek przyciągających ludzi, raczej nie powinny być szczególnie nękane.

Przez kilka kolejnych minut, Dziki i Mike obserwowali przez okno, jak grupy Niewykształconych powoli opuszczają okolice. Strach i napięcie, które poculi na początku, zaczynały stopniowo ustępować.

— Myślę, że powinniśmy mieć spokój... — stwierdził w końcu Mike, przerywając ciszę.

— Mówiłem ci! To będzie problem Wspólnoty, nie nasz — odpowiedział Dziaki, bawiąc się anteną od krótkofalówki, którą trzymał przy boku. Wtedy coś przyszło mu do głowy. — EJ! — zawołał nagle. — Daj Weronice znać, że wszystko w porządku — powiedział, wręczając Mike'owi radio.

Uradowany chłopak chwycił krótkofalówkę i przechodząc na kanał Zwrotnicy, zaczął wywoływać Romcia. Niestety po kilku nieudanych próbach, oddał Dziakiemu radio z wyrazem zrezygnowania na twarzy.

— Chyba jesteśmy za daleko. No i tory zakłócają — stwierdził z irytacją, jakby miał pretensję do samego siebie, że nie przewidział tego wcześniej.

Dziaki przejął krótkofalówkę, zastanawiając się, czy ktoś w ogóle będzie nadawał w trakcie Nocy Latarni. Kiedy tylko przełączył na kanał ogólny, z miejsca uderzył go zgiełk i chaos panujący w eterze. Głosy nawołujących się Weteranów, przerywane trzaskami, mieszały się ze sobą, tworząc hałas, przypominający szum tłumu na zatłoczonym bazarze. Próba wyłapania sensownych informacji szybko okazała się bezcelowa, więc zrezygnował i zaczął szukać spokojniejszego kanału.

Już po chwili natrafił na mniej burzliwą rozmowę, która przykuła jego uwagę. Ktoś wyraźnie mówił o starciu z Zarzeczem — *...od samego początku. W każdym razie przyszło ich więcej, niż się spodziewaliśmy...* — opisywał z podnieceniem jakiś mężczyzna.

— *A te pogłoski o Danielu? Że został ranny i musieli go ewakuować?* — spytał drugi, również męski głos, chcąc pewnie potwierdzić to, czego dowiedział się wcześniej.

— *Kłamstwo!* — zaprzeczył natychmiast pierwszy z rozmówców. — *Daniela na początku wcale z nami nie było. Na pierwszy ogień poszli ochotnicy z Weteranów i Bandera!*

Dziaki poczuł nagle podekscytowanie. Wyglądało na to, że jeden z mężczyzn brał udział w starciu z Zarzeczem. Informacje o tym, co się tam naprawdę działo, mogły być kluczowe dla jego prywatnych planów. Nie mógł jednak zapytać bezpośrednio, jak dołączyć do obrońców Centrum. Mike stał zaraz obok niego. Wtedy przyszło mu przez myśl, że może uda się wyciągnąć jakieś wieści niby przypadkiem, dołączając do rozmowy.

— Byłeś tam? Jak zaczęła się inwazja? — zapytał natychmiast, podnosząc radio do ust.

Mike spojrzał na niego zdziwiony, unosząc brew, a Dziaki pokręcił głową, wsłuchując się w radio.

— *Wchodząc na kanał, miło byłoby się przedstawić i przywitać, przyjacielu...* — odpowiedział pierwszy z rozmówców, głosem jakby czuł się zaskoczony, a może nawet trochę urażony tym nagłym wtargnięciem w konwersację.

Drugi głos zawtórował mu natychmiast — *No właśnie... to trochę niegrzecznie tak z butami w rozmowę* — jego ton był jednak bardziej rozbawiony niż zły.

Dziki zawahał się przez chwilę. Wiedział, że nie byłoby rozsądne ujawniać swojej prawdziwej tożsamości.

— Przepraszam — odpowiedział, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej neutralny ton. — Jestem... — urwał w pół słowa, szukając odpowiedniego pseudonimu, który nie zwróciłoby na niego zbytnej uwagi, ale przy okazji był dość rozpoznawalny, by skłonić mężczyzn do szczerzej rozmowy. — ...Mike — skłamał w końcu. — Były strażnik murów Wspólnoty.

Mike spojrział na niego z politowaniem, a w jego oczach zagościło coś pomiędzy rozbawieniem a zdumieniem.

— Skoro już wycierasz się moją personą, to przynajmniej daj mi pogadać — stwierdził z udawanym wyrzutem, po czym bezceremonialnie wyrwał radio z rąk Dzikiego.

Z głośnika dobiegł nagle wyraźnie rozbawiony głos pierwszego z mężczyzn, który wcześniej opisywał starcie z Zarzeczem — *Mike, kupę czasu cię już nie widziałem! Z tej strony Jastrząb. Wypisywałeś mi zawsze darmową godzinę za słodycze!*

— *I Paweł. Mnie skubałeś z elektroniki...* — dodał drugi głos, równie rozbawiony.

Dziki przetarł twarz ręką, starając się ukryć lekkie zażenowanie. Lewizny, jakie jego przyjaciel kręcił pracując jako strażnik bramy Wspólnoty, same w sobie mogły już mieć status legendy Krańcowo. Sam Mike, słysząc wspomnienia swoich dawnych „transakcji”, mimowolnie uśmiechnął się pod nosem. Widać było, że traktuje je wręcz nostalgicznie.

— Cześć, chłopaki — zawołał do radia, głosem jakby witał się z przyjaciółmi. — To jak to było z tym wejściem Zarzeczca? Co tam robiliście? — spytał zaciekawiony, spoglądając jednocześnie na Dzikiego.

Ten zamarł, czekając w napięciu na odpowiedź, by już po chwili Jastrząb wyjawiał im, że nie był tam przypadkiem.

— *Zapisałem się jako ochotnik do wsparcia Armii...*

Dziki wyczuł, że mężczyzna najpewniej zastanawiał się właśnie, czy to była taktycznie dobra decyzja. Niepewność przebijała się w jego głosie.

Jego kolega z radia skwitował natychmiast co o tym myśli: — *Frajer...*

Jastrząb nie miał jednak zamiaru posypywać głowy popiołem do końca, bo wyrzucił mu — *Przestań, to nas i tak nie minie!* — zawołał oburzony. — *Wolałem walczyć teraz w dużej grupie, niż potem samotnie uciekać przed sukinsynami z Zarzeczca* — tłumaczył się, a jego głos nabrał o wiele bardziej stanowczego tonu.

Mike skinął głową do Dzikiego.

— Będziemy mieli info z pierwszej ręki — stwierdził z zadowoleniem, po czym nadał do radia — *Trochę w tym racji. Skąd w ogóle wiedzieliście, że natarcie będzie dzisiaj?* — zapytał, a Dziki, stając obok, nadstawił uszu.

— *Nie wiedzieliśmy* — przyznał niespodziewanie Jastrząb. — *Weterani, którzy się zgłosili, patrolowali okolice rzeki. Aż nagle, JEB, po tamtej stronie robi się białe. Wiedzieliśmy, że to może oznaczać początek ataku, więc zawiadomiliśmy Strefę Głodu. Nim przybyli Banderowcy, most był już na swoim miejscu. Taki sam jak w Starym Świecie! Zupełnie jakby się zresetował...*

Po tym opisie zapadła cisza, którą przerwał dopiero Paweł krótkim — *O kurwa...*

Dziki znacząco skinął na Mike'a, a ten dopytał natychmiast — Co było dalej? Jak przebiegła walka? Zatrzymaliście ich?

Jastrząb na szczęście nie miał powodów, żeby ukrywać przed nimi sytuację.

— *Zanim się zgrupowaliśmy, większość z nich zdążyła już przejść na naszą stronę* — opisał początek starcia. — *Od razu zajęli budynki wzdłuż brzegu. Przez jakiś czas ostrzeliwaliśmy się z nimi, ale tak chaotycznie, że chyba nikt nawet nie został ranny* — wtrącił bez przekonania. — *Po jakiejś godzinie przylecieli Banderowcy ze Strefy Głodu i wtedy się zaczęło. Wpadli całą halastrą na plac przed sklepami, a tamci mieli ich jak na strzelnicy* — dodał, coraz bardziej nerwowym tonem. — *Z tej pierwszej fali nie przeżył chyba nikt. Ci, którzy przyszli później, przyczaili się razem z nami. Długo padały tylko pojedyncze strzały, nikt się nie wychylał. Po jakiejś godzinie przybyli Zwiadowcy...* — jego głos zawisł nagle, jakby coś sobie uświadomił. — *Cholera. Wiecie, że nawet jednego rozpoznałem? Włoczył się tutaj i udawał Weterana...* — wspomniął.

W tym momencie Paweł nie wytrzymał i wtrącił — *Ja pierdole! Co było dalej?*

— *Z nimi już tak łatwo nie szło!* — odparł Jastrząb. — *Używając błędów, blokowali nasze strzały. Na szczęście poruszali się powoli i w grupie, do tego strzelali bardzo oszczędnie. To nie był bezmyślny szturm jak u banderowców, ale i tak zabili kilku naszych — zakończył sztywno.*

Mike zmarszczył brwi.

— *Z tego, co mi wiadomo* — wtrącił, zerkając odruchowo na Dzikiego, od którego miał te informacje. — *Na Zarzeczu mają bardzo mało broni i amunicji. Pewnie strzelali tylko, gdy mieli pewność, że kogoś trafią.*

— *Pewnie masz rację* — potwierdził Jastrząb. — *Ale zbliżyli się w końcu na tyle, że staliśmy z nimi praktycznie lufa w lufę. Myślę, że zaczęłyby się pogrom naszych, ale wtedy pojawił się Daniel.*

— *Tak znikąd?* — wtrącił Paweł.

— *No właśnie...* — dopytał Mike, starając się zrozumieć, jak to wszystko się potoczyło.

Jastrząb zamilkł na chwilę, przypominając sobie pewnie przebieg wydarzeń.

— *Wydaje mi się, że był gdzieś w pobliżu i czekał na rozwój wydarzeń* — stwierdził w końcu, choć w jego głosie słychać było, że to tylko domysły. — *A jak*

już ludzie z błędami zabierają się do walki między sobą, to nie ma co zbierać — dodał po chwili dramatycznym tonem. — W każdym razie, w kilka minut plac wyglądał jak po bombardowaniu. Wszędzie leje i kurz. „Wielkie ego” załatwił dwóch zwiadowców, a trzeciego ściągnęliśmy z Weteranami skoncentrowanym ostrzałem. Pozostali wycofali się z powrotem do zajętych budynków.

Mike przysłuchiwał się tej relacji z rosnącą fascynacją.

— Co było dalej? Ruszyliście do kontrataku? — dopytywał, zaangażowany jakby ktoś zdawał mu relację z meczu.

— Taki mieliśmy zamiar — potwierdził Jastrząb. — Wszyscy myśleli, że Daniel poprowadzi nas do szturm i wypchniemy ich z powrotem na Zarzeczce, ale on się wycofał... — opisał sam, sądząc po głosie, mocno tym zdziwiony.

— Ciekawe czemu? — mruknął Mike, do Dzikiego.

Ten zamyślił się przez chwilę, spoglądając w stronę okna. W jego głowie pojawiła się teoria, którą szybko podzielił się z przyjacielem — Myślę, że mógł przedobrzyc z błędami — wyszeptał. — Walczył z grupą ludzi, w której każdy się nimi posługiwał. Może był już na granicy rozmycia i musiał odpocząć...

W radiu tymczasem dyskusje podtrzymywał Paweł — Czyli nie został ranny? Na pewno? — dopytywał, jakby szukał dowodu, że Daniel, nie był jednak nietykalny.

— Chyba nie... — powiedział Jastrząb, ale bez większego przekonania. — W każdym razie, ja sam widziałem jak odchodził o własnych siłach — wyznał.

W tym momencie Mike, wtrącił się ponownie do rozmowy — No dobra, a co z wami? Doszło do kolejnego starcia?

— Pewnie by doszło... — odpowiedział mu Jastrząb — ale było nas tam tylu, że Prawo Trzech chyba zawrzało. Na plac zważyło się w pewnym momencie tylu Niewykształconych, że o jakiegokolwiek dalszej walce nie było mowy. Znaleźlibyśmy się między potworami, a skurwielami.

— Wycofaliście się? — dopytał Paweł.

— Tak — potwierdził mu kompan z radia. — Jak tylko pojawiły się potwory. Podzieliliśmy się na trójki i rozeszliśmy do pobliskich budynków. W tym czasie zarzeczaki bronili się przed nimi w domach, które zajęli...

Dziki przygryzł wargę, rozważając całą sytuację. Jeśli Zarzeczanie również podzieliłoby się na mniejsze grupy, aby zminimalizować działanie prawa trzech, jego szanse na dopadnięcie Daro zdecydowanie by wzrosły. Problem w tym, że najpewniej będzie z nim jeszcze dwóch innych Zwiadowców. Czy miałby wtedy jakiegokolwiek szanse? Jego Pierwotna Wola ciągle szwankowała. Mimo wszystko sądził, że w przypadku tej jednej osoby nie powinien mieć z nią problemu. Tylko czy na pewno? Musiał opracować jakiś plan alternatywny, bo dzięki Pierwszemu wiedział jedno — nawet najpotężniejszego użytkownika Woli można było zabić z zaskoczenia.

W tym czasie Mike ciągnął rozmowę z Weteranami dalej — *Może Nie-wykształceni ich wykończą* — stwierdził z wyraźną nadzieją.

— *Dobrze by było!* — zaśmiał się Jastrząb. — *Na plac przyszło ich przecież całkiem sporo, a na pewno przyjdzie więcej. Problem w tym, że są dobrze okopani i mają tych od błędów...*

— *Może Noc Latarni da im popalić!* — wtrącił Paweł. — *A jak wam mija? Dobrze się ukryliście?* — spytał, próbując skierować rozmowę na bardziej osobisty tor.

— *U mnie kiepsko, wiecie jak jest* — przyznał Jastrząb. — *Siedzimy rozbici po kamienicach w pobliżu rzeki. Nie jest jakoś gorąco, ale co jakiś czas jakaś menda się napatoczy* — westchnął zmęczonym głosem.

Mike, starając się nie zdradzić zbyt wiele o ich obecnym położeniu, odparł tylko wymijająco — *Bloki, więc spoko...*

Okazało się, że Paweł nie bez powodu dopytywał się o kryjówki. Chciał po prostu podzielić się własną kiepską sytuacją.

— *Ja trochę udupilem, bo jestem obok sklepu z elektroniką* — przyznał. — *Do tego chyba gdzieś tu jest jakaś Łapka. Słyszę co jakiś czas jej wołanie* — dodał, a w jego głosie słychać było niepokój.

— *Coś się tak dupnie ulokował?* — spytał zaciekawiony Jastrząb, z nutą drwiny w głosie, najpewniej w odwecie za to, że wcześniej został nazwany frajerem.

— *No przecież nie wiedziałem, że dzisiaj będzie Noc Latarni!* — tłumaczył się Paweł. — *Normalnie to miejsce jest całkiem spoko. No i sklep, jak się zresetuje, to da dobrze zarobić* — wyjął, starając się usprawiedliwić swoją decyzję.

Mike zamyślił się przez chwilę.

— *Tą Łapką to się nie przejmuj* — stwierdził w końcu. — *Duża przecież do ciebie nie przylezie...*

— *A jak jest mała?* — westchnął Paweł, powodując trzaski w radiu.. — *Wybrałem mieszkanie z najmocniejszymi drzwiami, ale siedzę za to na czwartym piętrze...* — dodał poirytowany, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jego decyzja mogła być fatalną pomyłką.

— *Uuuuu* — zawył Mike. — *Wtopa jak u Nowoprzybylego.*

— *Wiem, wiem...* — odparł ze wstydem Weteran z radia, a jego głos zdradzał, że sam sobie robił wyrzuty. — *Tylko że wszystkie drzwi na pierwszym piętrze to chińszczyzna...*

Potem w eterze zapanowała krótka cisza, którą przerwał dopiero Jastrząb.

— *Czekajcie, chłopaki, muszę zniknąć chwilowo. Mamy nieproszonego gościa* — powiedział znużony.

— *Uważaj tam na siebie!* — zawołał Paweł.

— Niech cię Daniel ma w opiece! — zażartował Mike, spoglądając kątem oka w stronę Dzikiego, a ten zamyślony, mruknął pod nosem — Czyli Daniel naprawdę bierze Weteranów w swoje szeregi. Ciekawe, jakby zareagował, gdybym ja się zgłosił... — nim skończył swoje rozważanie, poczuł, jak Mike uderza go w ramię.

— Oszalałeś? — spytał go, uderzając po raz kolejny. — Nawet jeśli Armia by cię przyjęła, a nie zabiła od razu! Przypomnę ci, że chcesz się wmieszać w wojnę z powodu gościa, którego Daniel mógł dawno przerobić na pasztet! Pamiętasz, że już ubili trzech zwiadowców? Halo, halo, jest tam jeszcze coś w środku? — spytał, pukając Dzikiego kostkami w czoło.

— Nie wiadomo, czy on w ogóle tam był! — zaprotestował Dzikie, odsuwając się od niego. — Zresztą, tu nie chodzi tylko o Daro. Przecież to żadnego z nas nie ominie. Oni już tu są... — odparł, próbując przekonać Mike'a o słuszności swoich planów.

Przyjaciel spojrzał na niego z wyrzutem.

— Przestań ubierać swoją głupotę w szlachetne idee — wtrącił ostro. — Idziesz tam tylko dlatego, że chcesz spełnić swoje pragnienie zemsty — dodał, spoglądając na Dzikiego z ponownie narastającą frustracją.

— Co cię to tak boli? — odparł natychmiast Dzikie. — To moje życie i moja sprawa...

Mike patrzył teraz na niego, wyraźnie wściekły. Gniew wylewał mu się na twarzy.

— Kurwa, bo dla mnie twoje życie ma znaczenie, Dzikie — zawołał z oburzeniem. — Jest tu jeszcze masa innych osób, którym twój los nie jest obojętny. Okaż trochę wdzięczności za to, że tylu ludzi pomagało ci i narażało się dla ciebie! Wiesz co...? — Mike przerwał na moment, jakby zastanawiając się, czy powinien to dalej kontynuować. — Jesteś cholernym egoistą! — stwierdził nagle, mierząc w Dzikiego palcem z takim naciskiem, jakby chciał przebić go na wylot. — Masz totalnie gdzieś, co myślą inni, liczy się tylko twój ból i cierpienie! Mówię ci, poczekaj! Daj Oli się otrząsnąć, a zobaczysz, że wszystko się zmieni...

Dzikie zacisnął szczęki, czując jak rośnie w nim fala frustracji. Wiedział jednak, że dalsza kłótnia z przyjacielem nie ma żadnego sensu. To nie była gra, którą mógł wygrać. Spojrzał Mike'owi prosto w oczy, próbując opanować swoje emocje i skłamał najbardziej przekonująco, jak tylko potrafił — Dobra, stary! Niech ci będzie. Jeszcze to wszystko przemyślę... — obiecał, starając się, by jego głos brzmiał na tyle szczerze, żeby Mike nie miał powodu aby dalej drażnić temat.

Oczywiście decyzję podjął już dawno temu i nie miał zamiaru jej zmieniać.

Mike odetchnął potem głęboko, jakby ciężar spadł mu z serca.

— Mam nadzieję... — burknął i spojrzał na radio, z którego znowu dobiegł głos Jastrzębia.

— *Chłopaki, jesteście jeszcze?*

— *Tak* — zawołał Paweł.

— Jestem — potwierdził Mike, który ku uciesze Dzikiego skupił się z powrotem na rozmowie przez radio.

Tymczasem Jastrząb dysząc ciężko do radia, opisał im po krótkce swoją sytuację — *Było gorąco przez chwilę. Amunicja od Daniela się przydała...*

— *Co miałeś?* — spytał drugi z Weteranów, wyraźnie zainteresowany.

— *Cztery urocze Gospodynie, które próbowały dobrać się do mojego mięska* — zażartował wulgarnie Jastrząb.

Mike zaśmiał się — *Masz powodzenie, nie ma co. A posmyrały cię chociaż dobrze?* — spytał z kpiną.

— *Podziękuję dzisiaj za jakiekolwiek pieszczoty* — odparł mu Jastrząb sennym głosem. — *Powiem wam szczerze, że najchętniej przyciąłbym już komarsona. Tylko, że przez tą cholerną Noc Latarni nie ma na to szans. Najgorsze, że nie wiem, czy jutro będziemy blokować drogę na most, ale podejrzewam, że tak.*

— *Ja też spać nie pójdę* — przyznał smętnie Paweł. — *Ta Łapka ciągle tu jest i wydziera się jak pojebana...*

— U mnie spokój — przyznał Mike nieco na przekór. — Co miało wyleźć, poszło gdzie indziej. Zresztą jak okiem sięgnąć, żadnego punktu zbornego.

Jastrząb słysząc to, aż westchnął: — *Dobrze masz...* — jego głos zdradzał zmęczenie, którego nie potrafił dłużej ukrywać. — *Tutaj ciągle coś się kręci, na szczęście większość idzie do tych zarzecznych skurwieli.*

— *KURWA!* — wtrącił nagle Paweł.

— Co się stało? — spytał odruchowo zaskoczony Mike.

— *Coś chyba wałnęło w drzwi...* — odpowiedział mu Weteran, a jego głos wyraźnie zdradzał narastający niepokój.

— Masz broń? — dopytał Jastrząb, orientując się, że sytuacja jest poważniejsza, niż się wydawało na początku.

— *Parabellum z całymi trzema nabojami i maczetą* — przyznał Paweł i przez chwilę zapanowała cisza.

Dziki zobaczył, jak Mike marszczy czoło. Pewnie próbował złożyć w głowie, co mógłby doradzić koledze Weteranowi w potrzebie, ale ubiegł go Jastrząb — *Węc siedź cicho! Sam nic nie przywabisz!*

Wydawało się to rozsądne, ale już po chwili Paweł wyszeptał — *A jak to wali jakiś specjalista, co ma w dupie Prawo Trzech?*

Mike przygryzł nerwowo wargę i po chwili rzucił do radia — *Łańcuch na drzwiach zaciągnij! Kiedyś z kumplem trafiliśmy na Gospodynię, która otworzyła drzwi kluczami.*

— *Zaciągnąłem, zaciągnąłem* — potwierdzi Paweł. — *Gospodarze są cwani, oni naprawdę sporo pamiętają z dawnego życia...* — westchnął, a po chwili zaklął głośno po raz drugi — *Kurwa!!!*

— Co się dzieje? — spytał już złknięty Mike.

— *Znowu coś uderzyło w drzwi* — odpowiedział Weteran, wyraźnie już spanikowany. — *No nie, nie wierzę...* — przez jego słowa przebiegało się odległe wołanie Niewykształconego:

— RATUNKU! POMOCY! RATUNKU!!!

Paweł zaklął ponownie — *KURWA MAĆ! ONA JEST POD DRZWIAMI!*

Mike słuchając tego, aż zaczął z nerwów chodzić po pokoju.

— Spokojnie chłopie! — tłumaczył nerwowym głosem. — Siedź cicho, to może pójdzie! Zresztą sama nie wyważy drzwi! Mówiłeś, że masz solidne!

— *Tak, tak są solidne... Wybrałem przecież najmocniejsze...* — potwierdził Weteran, najwidoczniej próbując również przekonać samego siebie, że nic mu nie grozi.

Jastrząb spróbował dodać mu otuchy — *No właśnie! Zresztą, to tylko Łapka. Z jedną dasz sobie radę. Nawet jakby wlaźła* — stwierdził pewnie.

Mike nie wyglądał jednak na równie przekonanego. Spoglądając z niechęcią miną w stronę Dzikiego.

— Przerębał sobie facet... — powiedział, siadając na podłodze pod parapetem i opierając głowę o grzejnik.

Dziki, klękając obok niego, spytał: — Myślisz, że nie da rady?

Mike przeciągnął ręką po twarzy. Od razu można było wyczuć, że nie ma wielkich nadziei.

— Łapki ciągle drą papę. Przecież to w kilka chwil zwabi Gospodarzy z dworu, a facet siedzi w kiepskim miejscu — stwierdził drapiąc się anteną radia po czole.

Po kilku minutach ciszy w eterze nie wytrzymał i wyszeptał do radia — Paweł, jesteś tam jeszcze?

— *Jestem...* — odpowiedział mu Weteran. — *Ale ta Łapka też nigdzie nie polazła. Stoi pod drzwiami i nawołuje. Cholera, jak wyjrzałem przez okno, to zobaczyłem, że Gospodarze się kręcą przy bloku* — dodał po chwili.

W tym momencie do rozmowy wrócił również Jastrząb.

— *Chłopie, zabarykaduj lepiej czymś korytarz...*

— No! — potwierdził Mike. — A potem wejdź do łazienki albo innego pokoju, gdzie drzwi otwierają się do środka, i tam też się zastaw...

— *Dobra... macie rację. Tak zrobię...* — stwierdził Paweł, bez przekonania.

Dziki miał jednak wrażenie, że niewiele to pomorze. W głosie Weterana słysząc było po prostu rezygnację.

— Facet już się poddał — podsumował, patrząc w ciemność za oknem — „Nieodpowiednie miejsce, nieodpowiedni czas...”, te słowa w Krańcowie nabierają niesamowitej mocy.

— O co ci teraz chodzi? — wtrąci natychmiast Mike, obserwując go uważnie.

Dziki miał w zamiarze unikać tematów, które nawiązywały do pecha jakiego przynosił innym. Uświadomił sobie jednak, że zwyczajnie nie potrafi. Gdzieś w jego środku czała się ta potrzeba samobiczowania: — Myślę, że przeżyłem tylko po to, by cała masa ludzi odczuła tego konsekwencje — stwierdził gorzko. — Gdy tylko ktoś przebywa ze mną dłużej, zaraz spotyka go coś złego. Nie dziw mi się, że chcę... to znaczy, chciałem odejść — poprawił się natychmiast. — Jestem jak jakiś przeklęty...

Mike słuchając go, marszczył czoło coraz bardziej, a jego mina zdradzała, że zaraz dojdzie do kolejnej awantury.

— Dziki... — wyszeptał w końcu jak w transie, patrząc mu prosto w oczy. — Wpadłem na coś, co może ci pomóc na tę twoją klątwę — rzucił niespodziewanie. — Idź do najbliższego kościoła, stań trzy kroki od chrzcielnicy, okręć się dwa razy dookoła, a potem jebnij z całej siły łbem o podest. Może ci się w końcu coś w głowie poustawia... — podsumował ironicznie.

Dziki westchnął tylko opuszczając głowę. Chciał podsunąć jeden z wielu argumentów jakie miał na poparcie swojej tezy o klątwie, ale przyjaciel nie dał mu dojść do słowa.

— Przestań w końcu traktować się, jakbyś był naznaczony! — zawołał, patrząc na niego z wyrzutem. — To Krańcowo! To Nowy Świat! Takie rzeczy zdarzają się tu nagminnie. Ludzie giną z dziesiątek powodów i, wyobraź sobie cholerny egocentryku, nie zawsze jesteś to TY — tłumaczył gniewnie. — Zobacz, jaką sytuację ma ten cały Paweł. Trafił w złe miejsce w Noc Latarni i teraz może go rozerwać Łapka albo Gospodarze! Równie dobrze mogliśmy to być my! Albo żadne z nas! Tak wygląda życie, tak samo było w Starym Świecie — przypomniał, niespodziewanie wracając do wydarzeń z przeszłości. — Mój tata umarł na raka nie dlatego, że byłem jednym dzieckiem na milion, które zrodziło się, by przynieść pecha rodzicom, ale dlatego, że ludzie chorują. Czy miał na to wpływ? — spytał retorycznie. — Może miał... Może gdyby lepiej się odżywił, mniej palił albo częściej się badał, to by przeżył. Czy to było pewne? — spytał ponownie, odpowiadając sam sobie: — Nie! Ludzie palą całe życie, żrą jak świny i nie chorują, a sportowcy, którzy wpięprzali glony, umierają na choroby serca! Jesteśmy bojami na wodzie, Dziki, a życie rzuca nami, jak chce. — stwierdził dobitnie, ale nie poprzestał na tym, kontynuując monolog — Jesteśmy świadomi, mamy jakiś wpływ na to, co nas otacza, ale w żadnym wypadku nie jesteśmy wszechmocni. Pogódź się w końcu z tym! Działaj tam, gdzie możesz coś zdziałać. Przestań zadreć się rzeczami, na które nie miałeś albo nie masz wpływu! — zakończył, ostentacyjnie podrywając się z podłogi i łapiąc za ostatnią butelkę wody. — Do tego jestem cholernie głodny, zły, a to nasza ostatnia woda! — warknął zirytowany, wskazując na butelkę jakby to była jej wina.

Dziki odetchnął, opierając głowę o chłodny grzejnik pod parapetem jak poprzednio Mike.

— Problem jest tylko w tym, że zawałem każdą sytuację, na którą miałem wpływ — podsumował.

— A ty znowu swoje — jęknął Mike. — Mam wrażenie, że nic już się do ciebie nie przemawia...

Nim mężczyzna zdążył zacząć kolejny pouczający monolog, Paweł odezwał się przez radio — *Chłopaki, jestem w dupie, totalnie w dupie... Gospodarze rozszarpali tę Łapkę, ale teraz stoją pod moimi drzwiami. Chyba mnie usłyszeli, bo napieprzają w nie jak potłuczoni!* — zawołał drżącym głosem.

— To nie krzycz. Nie prowokuj ich! — doradził Mike, odruchowo ściszącą głos. — Znalazłeś drugi pokój? Schowałeś się?

Weteran przez chwilę nie odpowiadał, a gdy w końcu odezwał się przez radio, nie miał dobrych wieści — *Tu są tylko przeszkłone drzwi! Schowałem się w łazience, ale oni ją rozwalą bez problemu... Nie wiem już, co robić. Przecież oni sobie nie pójdą...*

Wtedy ponownie na eterze pojawił się Jastrząb.

— *Spokojnie, chłopie, uspokój się* — tłumaczył. — *Może drzwi wejściowe wytrzymają do rana. Jak tylko zrobi się widno, przyjdziemy z chłopakami i odciągniemy ich od ciebie!* — rzucił.

— *Naprawdę? Przyjdziecie?* — spytał Paweł, a w jego głosie słychać było odrobinę nadziei.

— *Pewnie, chłopie!* — potwierdził Jastrząb. — *Są chyba jakieś zasady między starymi mieszkańcami, nie?*

Paweł z wyraźną ulgą zaczął już podawać adres — *Jestem przy Żwirki i...* — ale nagle nad jego głosem przebił się dźwięk łamanego drewna — *KURWA! ROZRYWAJĄ DRZWI WEJŚCIOWE! KURWA! KURWA!*

— *NIE SIEDŹ W ŁAZIENCIE! BIEGNIJ DO JAKIEGOŚ POKOJU! ZASTAW DRZWI ŁÓŻKIEM I SZAFĄ!* — zawołał Mike i znowu zaczął krążyć z nerwów po pokoju.

— *Biegnę! Biegnę!* — wykrzyczał Paweł.

— *Chłopie, broń się i nie poddawaj! Dasz radę!* — rzucił do niego, prawie rozkazującym tonem, Jastrząb.

Przez chwilę w radiu zapadła cisza. Mike krążył zdenerwowany po pokoju, a Dzik śledził go wzrokiem. Jego przyjaciel z jakiegoś powodu zdążył już zaangażować się w los Weterana. On zaś, ku swojemu zdziwieniu, czuł dla niego całkowitą obojętność. W pewnym momencie nawet go to wystraszyło. Przecież jeszcze rok wcześniej kroczyłby tak samo jak Mike, próbując wymyślić sposób, by pomóc mężczyźnie. Może nawet spróbowałby się przedostać przez miasto, by ratować mu życie. Teraz jednak nie potrafił wykrzesać z siebie choćby odrobiny empatii. Popatrzył na swoje ręce z niedowierzaniem. Kiedy stał się tak obojętny na los ludzi? Co się właściwie z nim działo?

Z zamyślenia wyrwał go dopiero kolejny komunikat na radiu.

— *Chłopaki, zamknąłem się...* — zakomunikował Paweł, ale w jego głosie przebiła się całkowita rezygnacja. — *Tylko, że to nie potrwa długo. Zastrzeliłem dwóch pierwszych, ale nadchodzą kolejni. Szafa, za którą się chowam, jest z płyty wiórowej, a łóżko to tylko stelaż pod materac. Nie zasłonię tym niczego...*

— *Dasz radę! Wal kurwy maczetą po łapach!* — zawołał Jastrząb. — *Broń szafy jak bunkru! Blokuj przejście choćby kawałkami drewna!*

— *To bez sensu* — westchnął Paweł. — *Słuchajcie, jestem przy Żwirki i Wigury 16 przez 36. Nie mam przy sobie zbyt wiele, ale to Parabellum jest sporo warte... Gdybym mógł mieć do was prośbę, to nie dajcie Grabarzom pożreć mojego ciała...*

Mike orientując się, co zamierza mężczyzna, zawołał — **CHŁOPIE! NIE RÓB TEGO! WALCZ DO KOŃCA!**

— *To jest koniec...* — podsumował Paweł. — *Nie chcę umierać w bólu — przyznał. — Trzymajcie się i dzięki, że ze mną byliście* — wyszeptał, a po chwili przez eter przebił się odgłos wystrzału.

W tym momencie nawet Dziki poczuł drgnięcie w środku. Nie był to jednak żal. Raczej szok, że mężczyzna postanowił się zastrzelić. Z drugiej strony była to na pewno mniej bolesna śmierć niż pozwolenie, by dopadła go banda Gospodarzy.

— *Ja pierdole...* — westchnął Jastrząb. — *Mike, daleko jesteś od jego bloku?*

— *Trochę mi nie po drodze, no i nie mam broni* — odparł zrezygnowany.

— *Spoko, ja go ogarnę...* — zadeklarował się Weteran z radia. — *Słuchaj, jakoś odeszła mi ochota na dalsze rozmowy.*

— *Rozumiem, trzymaj się* — odparł Mike.

— *Ty też...* — pożegnał się Jastrząb i zniknął z eteru.

Dziki podszedł do Mike'a, kładąc mu rękę na ramieniu.

— *Szkoda gościa, ale powinien się cieszyć, że to nikt z naszych...*

— *Tak. Masz rację* — potwierdził Mike, ale jego twarz wyraźnie spęsniała.

Dziki nie wiedział, czy to zmęczenie, czy Mike naprawdę tak mocno przejął się śmiercią Weterana Pawła, że nie odzywał się właściwie aż do świtu. Dopiero gdy latarnie zgasły, a codzienna szarość pojawiła się za oknem, w końcu przemówił — *Teraz zaczyna się nasz nerwowy moment. Widać już jak wracają — ostrzegł, wyglądając przez okno.*

Na placu między blokami małe grupy Niewykształconych rozchodziły się do swoich poprzednich domostw. Dziki był naprawdę zaskoczony, jak wielu z nich rozeszło się po sąsiednich klatkach.

— Cholera, mam wrażenie, jakby ich wcale nie ubywało — stwierdził, obserwując, jak trójka Gospodarzy próbuje precyzyjnie się w ciasnym wejściu. — Przecież Weterani, Defekt i Armia Daniela ciągle ich zabijają. Do tej pory powinny już zostać jakieś niedobitki, a każda Noc Latarni porusza armię.

Mike, słysząc jego rozważania, wtrącił coś niespodziewanego.

— Byłem jakiś czas temu u Wilka — przyznał. — Zaglądam czasem do niego na ploty, bo to jedyna rozrywka, jaką chłop ma w swoim obecnym stanie. W którymś momencie temat zszedł na Niewykształconych. Podobno jakiś jego znajomy... nie pamiętam ksywy... W każdym razie stworzył teorię wyjaśniającą tę stałą liczbę Niewykształconych w mieście. Nazwał ją bodaj „upośledzaniem”.

Dziki skupił się uważnie, bo temat go zaciekał.

— No i co głosi ta teoria? — spytał, a Mike wytłumaczył dalej.

— Z tego, co mówił mi Wilk, chodzi o to, że po śmierci wszyscy stajemy się Niewykształconymi. Tylko, że gdy Niewykształceni zginą, to wedle tej teorii wcale nie znikają. Stają się potworami niższego rzędu. Bardziej odczłowieczonymi albo pozbawionymi jeszcze większej ilości ludzkich cech — wyjaśnił Mike, dodając już po chwili również własne przemyślenia. — Może Gospodarz jest gdzieś pośrodku tego łańcucha śmierci? A może jest szczytową formą i musi zginąć określoną liczbę razy, by wrócić jako inny rodzaj Niewykształconego? To by było logiczne. Przecież Gospodarze też są sobie nierówni... Niektórzy artykułują wyrazy, otwierają drzwi kluczami, a inni tylko rzucają się do bezmyślnego ataku. Może ci bardziej prymitywni są o krok od przemienienia się w... no nie wiem... Potłuka?

— Coś w tym jest... — przyznał Dziki, któremu teoria wydawała się naprawdę rozsądna.

Mike kończąc rozważania, spojrzał ponownie przez okno.

— Coraz mniej ich się robi na zewnątrz. Jeszcze z pół godziny i możemy ruszać. Zabiłbym teraz za kubek kawy... — westchnął na koniec.

— Ja ogólnie bym zabił — wtrącił Dziki, siłąc się na ponury żart. — Najchętniej Klucza... piękne podziękowanie. A ja tę świnię próbowałem do końca ratować. Gdyby nie ja, już dawno by go Grabarz na plecach nosił... — warknął, zaciskając pięści.

— I się zaczyna... — odetchnął zrezygnowany Mike. — Jakim cudem przechodzisz z normalnej gadki do tego swojego zboczenia?

— Rozmawianie o ludziach, którzy wracają po śmierci, to nie jest normalny temat — zripostował Dziki.

Mike widocznie zbierał się już by mu coś odpowiedzieć, ale w tym samym momencie usłyszeli hałas na klatce.

— Cholera jasna, nie mogło nas po prostu minąć... — warknął, odwracając się w stronę drzwi.

— Myślisz, że to ten Gospodarz z wczoraj? — spytał Dziki.

— Wczorajszy, czy nie, będziemy musieli go załatwić. Lepiej zróbmy z nim porządek, zanim zaczniesz naprawdę hałasować i ściągnie sobie kumpli — stwierdził Mike, stając jak wcześniej w nocy, z nożem w pogotowiu.

Dziki doskoczył do drzwi. Biorąc głęboki oddech, przekręcił zamek. Gospodarz, nie czekając, szarpnął za klamkę i wpadł z rykiem do środka, wytrącając przy okazji nóż z ręki Mike'a.

Odepchnięty drzwiami, Dziki potrzebował chwili, by rozeznąć się w sytuacji.

Rozbrojony Mike próbował teraz walczyć gołymi rękami, ale jego ciosy odbijały się od twardych mięśni potwora, jakby uderzał w worek z piaskiem. Niewykształcony był ogromny i bardzo silny. Widząc to, Dziki zareagował instynktownie. Wziął rozpęd, wyskoczył w powietrze i po chwili zawisł na plecach Gospodarza. Szybkim ruchem uniósł swój nóż i z pełną siłą wbił go w bark potwora.

Raniony Niewykształcony rzucił się wściekle, strącając Dzikiego na podłogę. Upadek był mocny, ale Dziki nie miał nawet czasu na odzyskanie oddechu. Potwór, rozjuszony raną, oderwał od siebie Mike'a i cisnął nim o fotel, jakby ten nic nie ważył.

Mike natychmiast poderwał się na nogi, gotów do kolejnego ataku, ale Gospodarz zrobił coś niespodziewanego. Szybkim ruchem wyciągnął z ramienia nóż Dzikiego. Widząc to, Mike rzucił się w stronę własnego noża leżącego na podłodze.

Z perspektywy Dzikiego, czas jakby nagle zwolnił.

Widział, jak Gospodarz zmierza z nożem w stronę jego przyjaciela, chcąc ugodzić go w plecy. Wiedział, że Mike nie miał szans na uniknięcie ciosu. Adrenalina zalała mu zmysły. Poderwał się z ziemi z siłą, której sam by się po sobie nie spodziewał. W ostatniej chwili wpadł z boku na Gospodarza. To niestety nie powstrzymało go ostatecznie. Potwór gwałtownie się odwrócił, a Dziki poczuł piekący ból, gdy ostrze noża przecięło jego brzuch.

Rana jednak zamiast odebrać mu siły, sprawiła coś zupełnie przeciwnego. Pierwotna Wola zadziałała niespodziewanie, dając mu nieludzką moc. Dziki chwycił Gospodarza za głowę, a jego palce zacisnęły się na jego skroniach niczym stalowe imadło. Całą swoją zgromadzoną siłą obrócił głowę potwora, słysząc, jak kręgi szyjne pękają mu z trzaskiem. Niewykształcony osunął się na ziemię, a siła pędu przewróciła go na bok. Oczy potwora zamarły wpatrując się pusto w sufit.

Mike, podnosząc nóż, spojrzał na rękojeść wystającą z brzucha Dzikiego. Jego ręka zadrżała, a na twarzy pojawiła się panika.

— Dziki! — zawołał natychmiast, podbiegając do niego. — Nie ruszaj się. Zaraz ci pomogę.

Dziki, starając się ukryć, że prawie całe ostrze tkwiło mu w brzuchu, odwrócił się tylko od niego, wołając — To nic takiego! Nie wszedł głęboko

— Stary, nie pierdol. Pokaż mi to... — zawołał Mike, próbując określić kompana, po chwili jednak zamarł. — Dlaczego ty nie krwawisz?

Dziki odetchnął ciężko, wyciągając powoli nóż, ku przerażeniu przyjaciela.

— Bo trafił w płamę... — odpowiedział pokrętnie.

— Jaką płamę? — dopytał natychmiast Mike, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Dziki westchnął zrezygnowany, podnosząc bluzę. Cały jego tors pełen był łat cielistego koloru, tak gładkich, jakby były zrobione z plastiku albo plasteliny. Mike widząc to, prawie odskoczył do tyłu.

— Przecież to jest...

— ...defekt — dokończył za niego Dziki, wciągając bluzę z powrotem.

Mike pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Jak? Przecież mówiłeś, że Pierwszy i doktor ci pomogli...

— Zrobili, co było w ich mocy — wyjaśnił Dziki. — Mówiłem ci przecież, że ja praktycznie się rozmywałem. Udało im się zredukować to do formy, jaką ma Dix, ale cholera wie, jak długo to potrwa...

Mike wpatrywał się w niego z widoczną trwogą, aby po chwili zawołać z wyrzutem — Cholera, stary, dlaczego mi nie powiedziałaś?!

— A co by to zmieniło? — spytał Dziki. — Mike, znasz mnie, ja znam ciebie. Jakkolwiek by było źle, zawsze będziesz gadał, że trzeba łapać szansę, walczyć do końca i tak dalej...

Mike skrzyżował oburzony ręce na piersi.

— A co? — fuknął. — Masz zamiar się poddać? Dix żyje z Defektem już tyle lat. Dlaczego tobie ma się nie udać? Chyba, że celowo masz zamiar nadużywać błędów dalej, by się w końcu rozmyć — stwierdził z pretensją.

— Nie powinienem w ogóle ich używać... — wyjął Dziki. — Pierwszy powiedział, że w tej sytuacji nawet delikatne odchylenie od Pierwotnej Woli przy używaniu może natychmiast pogorszyć mój stan.

Mike, słysząc to, pokręcił głową.

— Stary, tak mi przykro... Ech, wiedziałem, że z tymi błędami nie może po prostu być dobrze...

— Dobra, daj już temu spokój. Trzeba ruszać w drogę. Twoja Wiewióreczka na pewno się martwi — stwierdził Dziki, klepiąc przyjaciela po ramieniu i ruszając do drzwi.

Droga powrotna do Zwrotnicy minęła Dzikemu i Mike'owi niemal bez przeszkód. Noc Latarni, a także poprzedzająca ją inwazja z Zarzecza, sprawiły, że miasto było niemal całkowicie opustoszałe. Pierwsze żywe osoby dostrzegli

dopiero w okolicach Wspólnoty. Jej mieszkańcy byli jednak zbyt pochłonięci sprzątaniami pogorzeliska, które Niewykształceni pozostawili pod murami, by zwrócić na nich uwagę.

Przez ukrytą kładkę w pobliżu zakładów chemicznych przedostali się na Zatorze, a następnie boczną uliczką, biegnącą wzdłuż torów, dotarli prosto do Zwrotnicy. Na miejscu powitano ich obu z wielką ulgą.

Weronika, zalana łzami, rzuciła się w ramiona Mike'a i przez większość dnia nie chciała go wypuścić z objęć. Tak więc pierwszy posiłek od ponad doby chłopak musiał zjeść z ukochaną na kolanach. Dziki obserwował to wszystko z mieszkanką ulgi i niepokoju. Cieszył się, że wrócili cali, ale czuł narastający ciężar odpowiedzialności za to, co mogło się wydarzyć.

Zastanawiał się, czy powinien zajrzeć do Oli, ale Romcio uprzedził go, że celowo nie informowali jej o ich nocnej nieobecności, aby nie pogarszać jej stanu. Mając na uwadze, że dziewczyna była nieświadoma zagrożenia, z jakim się spotkali, Dziki postanowił dać sobie spokój. Sam odetchnął z ulgą, widząc, że Zwrotnica nie była nękana przez potwory podczas Nocy Latarni.

Kiedy Dziki i Mike nasycili żołądki, przyszedł czas na obowiązkową opowieść o tym, co zatrzymało ich w mieście. Mike ochoczo przejął inicjatywę i z zapalem relacjonował ich perypetie, opisując każdy szczegół z dramatyzmem, który zdawał się jeszcze bardziej przyciągać uwagę słuchaczy. Gdy skończył, kompani ze Zwrotnicy jednogłośnie potępiili „skurwysynstwo” Klucza oraz wyrazili swoje oburzenie, że nikt jeszcze nie zrobił ostatecznego porządku z Persem.

Dziki nie wtrącał się w opowieść, ani nie korygował jej szczegółów. Wiedział, że Mike celowo pominął obecność Hieny. Rozumiał dlaczego. Gdyby wyszło na jaw, że Dziki ma zatarg z kimś tak potężnym jak on, mogłoby to wywołać niemałe napięcie w grupie. Ale jego myśli krążyły już wokół czegoś innego.

Miał ułożony plan. Nie chciał narażać życia ludzi w Zwrotnicy swoją obecnością ani minuty dłużej, niż było to konieczne. Postanowił, że jeszcze tej nocy opuści to miejsce raz na zawsze. Starał się jednak nie dać nic po sobie poznać. Wiedział, że gdyby jego zamiary wyszły na jaw, musiałby wysłuchać obowiązkowych przekonywań Mike'a, że to nierozsądne, głupie i niepotrzebne. Tym razem, nauczony doświadczeniem z Autobusu do Wolności, nie miał zamiaru dopuścić, by po raz kolejny ktoś cierpiał przez jego decyzje.

Aby nie wzbudzać podejrzeń, Dziki spędził przedpołudnie na odpoczynku, a tuż przed wieczorem udał się na mały szaber po okolicznych domach. Mike próbował go przed tym powstrzymać, sugerując, że po ostatnich wydarzeniach zasługują na chwilę wytchnienia. Dziki jednak wiedział, że gdyby uległ tym prośbom, jego przyjaciel natychmiast wyczułby, że coś jest nie tak. Przekonał więc Mike'a, że planuje tylko krótką wyprawę do najbliższych budynków, tłumacząc, że nie potrafi po tym wszystkim usiedzieć w miejscu.

W trakcie tej krótkiej wyprawy nie znalazł zbyt wiele, ale za to miał pretekst żeby bez podejrzeń zajrzeć do spiżarni. To dało mu z kolei okazję do przygotowania małego plecaka na drogę, by przynajmniej przez pierwsze dni swojej samotnej podróży nie przymierać głodem.

Gdy nastał wieczór, Dziki ułożył się w pokoju, który zazwyczaj dzielił z Pietrasem i Mike'm. Ten drugi ostatnio sypiał jednak z Weroniką w dawnym pokoju gościnnym, więc tylko Pietras stanowił dla niego ewentualne zagrożenie. Na szczęście chłopak, który jeszcze we Wspólnocie zyskał nieoficjalną ksywę „śpioszek”, miał sen tak twardy, że Dziki wątpił, by ten był w stanie go nakryć. Na wszelki wypadek nie nastawiał jednak budzika, wybierając znacznie mniej przyjemną, ale cichszą metodę na wybudzenie. Przed snem wypił całą butelkę wody, licząc na to, że pełny pęcherz zmusi go do nocnej pobudki.

Sposób ten nie był zbyt precyzyjny, ale za to okazał się wyjątkowo skuteczny. Po tym, jak w środku nocy zbudził go zew natury, wiedział, że nadszedł czas na realizację swojego planu.

Wyślizgując się z łóżka, Dziki przeszedł obok pogrążonego w głębokim śnie Pietrasa. Ten chrapał tak głośno, że nawet gdyby nastawił zwykły budzik, zostałby on zagłuszony przez to niewyobrażalne charczenie. Ostrożnie stąpając po podłodze, dotarł do drzwi i dopiero przy schodach zdecydował się zapalić latarkę. Powoli, stopień za stopniem, robił wszystko żeby nie wydać żadnego dźwięku. Kiedy tylko udało mu się przekraść na dół, natychmiast skierował się w stronę spiżarni. Jednak zanim zdążył otworzyć drzwi, niespodziewanie uderzyło go ostre, białe światło, które na chwilę go oślepiło.

— Wiedziałem, po prostu wiedziałem... — zawołał Mike, siedząc w fotelu i celując latarką prosto w jego twarz.

Dziki postanowił zgrywać głupiego i niemal natychmiast odparł — Mike? Dlaczego nie śpisz?

— A co ja ci mówiłem wcześniej? — spytał chłopak, unosząc brwi z wyraźnym wyrzutem. — Po prostu, po wczoraj wiedziałem, że będziesz próbował się wymknąć...

Dziki zachował kamienną twarz i odpowiedział tylko — Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Idę się tylko odlać...

Te słowa nie do końca miały się z prawdą, bo miał wrażenie, że zaraz eksploduje, ale częściowa szczerość nie przekonała Mike'a.

— Dziki, znamy się od czasów szkoły — stwierdził prawie urażony, że usłyszał tak beczczelne kłamstwo. — Poznałem cię lepiej niż własną matkę... Zawsze, kiedy ucinasz dyskusję tym swoim „Muszę to przemyśleć”, już wtedy wiem, że coś sobie uroiłeś w głowie i nie chcesz dalej negocjować. A potem zajrzałem w nocy do spiżarni i znalazłem to... — chłopak wyciągnął w tym momencie plecak z zapasami, które Dziki przygotował sobie na drogę.

Widząc, że nie ma sensu dłużej udawać, Dziki zatrzymał się obok drzwi. Wiedział, że rozmowa go nie minie, ale nie miał zamiaru przeprowadzać jej, myśląc wyłącznie o pęcherzu.

— Mogę chociaż wyskoczyć na chwilę? — spytał ponuro. — Naprawdę zaraz pękne... Obiecuję, że nie ucieknę bez kurtki i jedzenia.

— Masz trzydzieści sekund. Potem zaczynam cię gonić — odpowiedział pół żartem Mike, rozciągając się w fotelu.

Po załatwieniu swoich spraw, Dziki poczuł się znacznie spokojniejszy. Utwierdził się jednocześnie w przekonaniu, że nie ważne, co usłyszy od Mike'a, nic nie zatrzyma go w Zwrotnicy. Wracając z dworu, usiadł potem na fotelu twarzą w twarz ze swoim przyjacielem.

— Więc chciałeś tak po prostu się wymknąć. Czemu? — zapytał z wyrzutem Mike.

— Bo wiedziałem, że będziesz próbował mnie zatrzymać. To oczywiste — odparł Dziki.

Na twarzy Mike'a wykwitł obrzydliwy grymas. Jakby wstydził się trochę swojej przewidywalności.

— Dziwisz mi się? — spytał w końcu, wzdychając ciężko. — Chłopie, trzymamy się razem, bez względu na to, czy to jest Stary, czy Nowy Świat...

— Nie Mike. Nie — zaprzeczył Dziki. — Wszystko się zmieniło. Zbudowałeś w Zwrotnicy swój mały dom. Masz tu dziewczynę, dla której stałeś się wszystkim. Kumpi ze Wspólnoty, z którymi w Nowym Świecie spędziłeś więcej czasu niż ze mną. Dla wszystkiego, co tutaj stworzyłeś, JA jestem chodzącym zagrożeniem... — tłumaczył jak tylko mógł najszczerzej, ale Mike dalej wyglądał na nieprzekonanego.

— Stary, znowu demonizujesz! — wtrącił, gdy tylko wyczuł okazję. — Myślisz, że ja nie mam wrogów? Myślisz, że reszta chłopaków nikomu nie podpadła?

Dziki słysząc to pytanie, mało nie parsknął śmiechem.

— Tak, wszyscy mamy — potwierdził z goryczą w głosie. — Tylko, że ja mam talent do narażania się naprawdę szczególnym ludziom. Takim, którzy swoją zemstę potrafią doprowadzić do końca, nie patrząc na postronne ofiary.

— Dziki... — wyszeptał nagle Mike, a na jego twarzy odmalowało się zupełnie załamanie. Już po chwili wyznał coś, co musiało dręczyć go od bardzo długiego czasu. — Zapomniałeś chyba o tym, że Modrzew to przede wszystkim moja wina — stwierdził skruszonym i pełnym żalu głosem. — JA zaproponowałem, żebyśmy go sprzedali. JA zbagatelizowałem jego ucieczkę od Siwego i naraziłem tym ciebie. Gdyby nie to, że miałem szczęście przebywać we Wspólnocie, poza jego zasięgiem, pewnie dawno byłbym już martwy...

Kończąc to samobiczowanie, spojrzał w stronę kuchni. Zerknął na stół, gdzie stały butelki z piwem.

— Nie krępuj się... — powiedział Dziki, doskonale wiedząc, że jego przyjaciel miał ten kiepski zwyczaj topić smutki i żale w alkoholu.

Mike nie potrzebował dodatkowej zachęty. Chwycił najbliższą butelkę i opróżnił ją do połowy, zanim wrócił z powrotem do fotela. Po cichym beknieniu spojrzał smętnie na Dzikiego.

— Powiem ci szczerze, że ciągle wraca do mnie moment, gdy zaproponowałeś mi wspólne podróżowanie autobusem. Doszło do mnie teraz, że ja też powinienem tam być. Powinienem być razem z tobą narażać tam życie, to wszystko stało się przeze mnie... — jego głos stłumił ból, który znowu spróbował zalać alkoholem.

— Przestań! — przerwał natychmiast Dziki, podnosząc głos nieco zbyt mocno. Obaj natychmiast spojrzeli w górę, nasłuchując, czy przypadkiem jego nagle wołanie nie obudziło reszty domowników. Gdy jednak nie dotarły do nich żadne odgłosy, Dziki kontynuował, choć starał się już nie podnosić głosu.

— Dziękuję losowi każdego dnia, że nie zgodziłeś się jechać ze mną... — stwierdził pewnie. — Gdybym stracił ciebie, tak jak straciłem Korka... ja... ja... — Musiał na chwilę przerwać, bo uczucie goryczy zalało mu gardło. Poczuł, jak łzy zaczynają napływać mu do oczu mimo, że ze wszystkich sił starał się je powstrzymać. Mike, widząc jego chwilę załamania, natychmiast podniósł się, wyciągając rękę, próbował chwycić go za ramię, ale Dziki powstrzymał go gestem dłoni. — Już dobrze, dobrze... — wyszeptał, starając się uspokoić emocje. — Posłuchaj i zapamiętaj raz na zawsze! — zaczął ponownie twardym głosem. — To, co się stało z autobusem, to tylko i wyłącznie moja wina. Dostałem masę ostrzeżeń, sygnałów. Byłem świadom, że ich narażam. Gdzieś jednak w duchu liczyłem, że mi się uda... tak jak zawsze się udawało... Więc zostałem z nimi, a oni przez to cierpieli i umierali. Nie powtórzę tego błędu, nigdy więcej...

Mike wsłuchiwał się w jego słowa, a jego twarz tężała. Oparł głowę o oparcie fotela i spojrzał w sufit, pogrążając się w myślach. Po chwili ciszy, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, powiedział coś, co zjeżyło Dzikiego skórę na plecach.

— Chowalem cię już trzy razy, Dziki. Trzy razy w swoim życiu, stałem w tym świecie ze świadomością, że nigdy więcej nie zobaczę mojego przyjaciela — rzucił z żalem, a Dziki spuścił głowę, czując ciężar jego słów. — Pierwszy raz był, zanim jeszcze pojawiłeś się w tym świecie. Myślałem, że zginąłeś gdzieś, nim zdążyłem cię odnaleźć i nigdy nawet nie będziemy mieli okazji ponownie się spotkać. Drugi raz był, gdy dotknął cię Delimer i uciekłeś ze Wspólnoty... Wiesz, że w tamtym momencie zbudowałem sobie nawet twój grób? — spytał, krzywiąc się. — Tylko po to, by móc czasem przyjść z tobą pogadać... Trzeci raz był, gdy wyruszyłeś razem z Pierwszym na Zarzecze... Ja naprawdę nie wierzyłem w to, że się jeszcze kiedyś zobaczymy... — opisywał powoli, jakby każde słowo było dla niego bolesnym wspomnieniem. — Co mogę powiedzieć? — westchnął

w końcu. — Kiedy wczoraj próbowałem przemówić ci do rozsądku, bałem się, że może będę musiał żegnać cię po raz kolejny. Teraz jednak myślę, że chyba się po prostu do tego przyzwyczaiłem. Do tego, że już nie będzie jak dawniej... że nie będziemy gadać wieczorami w barze, albo grać w gry do piątej rano... — Jego ton zmienił się nagle, ze smutnego na całkiem zrezygnowany. — Nie mam zamiaru cię zatrzymywać, jeśli naprawdę chcesz odejść — powiedział zaskakując Dzikiego. — Ale raz, ten jeden raz... Chciałem się z tobą pożegnać jak należy.

Kończąc swoją przemowę, Mike wstał, wyciągając ręce w geście zapraszającym do uścisku. Dziki poczuł, jak łzy napływają mu do oczu.

— Stary, oprócz Oli jesteś ostatnią osobą na tym świecie, na której tak mi zależy — powiedział, również wstając i obejmując przyjaciela mocno. — Jesteś też jedyną osobą, której moja obecność jeszcze nie skrzywdziła — dodał smętnie. — Gdyby tobie albo Weronice cokolwiek stało się z mojego powodu, nie darowałbym sobie tego... Nie przeżyłbym tego. Nie chcę już nikogo narażać, ale podpadłem zbyt wielu ludziom. Ciągłe narażam się kolejnym... Moja obecność to...

— Skończ już z tym fatum — przerwał mu Mike, przyciskając go mocniej do siebie. — Ja wciąż mam nadzieję, że nie żegnam się z tobą na zawsze. Może gdzieś tam w środku dalej pali się we mnie jakaś durna iskra nadziei, że znowu się spotkamy i usiadziemy do piwka, jak za dawnych czasów. Nie daj się zabić, Dziki. Dokończ swoje sprawy... Nie zapominaj o mnie... — poprosił cicho.

— Mike, nigdy bym o tobie nie zapomniał — obiecał Dziki. — Może jeśli to wszystko przycichnie, świat w końcu odwali się ode mnie, to znowu się spotkamy... A na razie dbaj o siebie, opiekuj się Oli i dziewczynami. Kochaj Weronikę i bądźcie razem tak szczęśliwi, jak tylko się tutaj da...

Mężczyźni przytulali się jeszcze przez chwilę, czując ciężar rozstania, ale w końcu musieli się pożegnać. Dziki chwycił swój plecak i skierował się w stronę drzwi, gotów opuścić Zwrotnicę na zawsze. Mike zatrzymał go jednak, gdy ten już miał przekroczyć próg.

— Poczekaj, mam dla ciebie mały pożegnalny prezent — powiedział, wyciągając w jego stronę pistolet.

— Przestań, nie mogę zabrać ci broni. Zwłaszcza teraz, gdy straciłeś AKacza... — zaprotestował Dziki, odpychając od siebie zbyt cenny, w jego opinii, podarunek. Jego głos zdradzał jednak, że to, co otrzymał, miało dla niego ogromne znaczenie.

— Zabierz go! — rozkazał Mike stanowczym tonem. — To pistolet, który podniosłem z podłogi przedszkola, chwilę przed tym, jak zabiłem Primo... To była jego własność. Może jestem przesądny, ale nie wierzę, że przyniósłby mi coś dobrego...

Dziki przyjrzał się dokładniej policyjnemu Glockowi. Jego okładziny były mocno wytarte, a zamek pokryty głębokimi rysami.

— Trzymałeś go do tej pory i nigdy nie użyłeś? — spytał niepewnie, nie mogąc uwierzyć, że Mike nosił przy sobie broń taką jak ta, nie używając jej ani razu.

— Tak — potwierdził Mike z ciężkim westchnieniem. — To była moja moralna kara. Ale o dziwo, pomyślałem o tym, żeby ci go dać, jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się odejść. Trzymaj się, Dziki i... do zobaczenia — dodał, a jego głos zadrżał lekko przy ostatnich słowach.

— Do zobaczenia, przyjacielu — odparł cicho Dziki, chowając pistolet do plecaka.



BAJKOLANDIA

Rozdział X

Faktoria

Po pożegnaniu z Mike'em, Dziki opuścił Zwrotnice i skierował się prosto ku ukrytej kładce. Przemierzał ją jeszcze przed brzaskiem, zmuszony przez to do rozświetlania sobie drogi latarką. Sytuacja ta przysporzyła mu sporo nerwów. Nie dość, że snop światła mógł zostać dostrzeżony z oddali, to sam prowizoryczny pomost pozostawiał wiele do życzenia pod względem bezpieczeństwa.

Zbudowany z wąskich, ledwie widocznych desek, miał być przede wszystkim trudny do zauważenia przez niepożądanych gości. Niestety, próba pokonania go, zwłaszcza w półmroku, wymagała już wyjątkowej ostrożności.

Gdy Dziki znalazł się po drugiej stronie, pomyślał, że to był już raczej ostatni raz kiedy przechodził nad torami. W głębi duszy wiedział przecież, że szanse na jego powrót były raczej niewielkie. Poczul nawet żal, że odchodząc, nie pożegnał się z Oli. Dziewczyna, podobnie jak Mike, była przecież jego przyjaciółką. Nic dziwnego, że zrobiło mu się teraz przykro. Z drugiej strony przypomniał sobie, że przecież już raz próbował od niej odejść, wierząc, że robi to dla jej dobra. Wtedy, wbrew rozsądkowi Oli zatrzymała go, a wszystko skończyło się tragicznie — zarówno dla niej, jak i dla całego Autobusu do Wolności. Uznał więc, że zrobił dobrze stawiając ją przed faktem dokonanym. W głowie rodziło mu się jednak zwątpienie, czy tym razem dziewczyna próbowałaby zatrzymać go znowu.

— Lepiej nie wiedzieć... — westchnął cicho, po czym ruszył w stronę dawnej siedziby Defektu, by jeszcze raz zastanowić się nad tym, co dalej.

Choć wieża ciśnień została porzucona na krótko po Bitwie pod Cegielnią, jakimś cudem udało się jej przetrwać dalej w niemal w nienaruszonym stanie. Być może stało się tak dzięki szacunkowi, jakim Dix i jej kompania cieszyła się wśród mieszkańców. Ewentualnie wpływ na to mogła mieć polityka Wspólnoty, która zakazywała Weteranom rozbijania się w tej okolicy, aby jeszcze bardziej nie naruszać Prawa Trzech.

Zbliżając się do strzelistej konstrukcji, Dziki przeciągnął dłonią po siatce, wpatrując się w budynek z nieoczekiwaną nostalgią. Jego myśli mimowolnie powróciły do Dix. Z nią też pewnie już nigdy nie będzie miał okazji się spotkać. Wyjaśnić sobie wszystkiego, co między nimi zaszło...

— Na tak wiele rzeczy jest już za późno... — westchnął. Otrząsając się z tych rozważań, przeszedł przez plac, a potem wspiął się po kilku stopniach prowadzących do wejścia.

Te zablokowane było stertą gruzu. Bez ciężkiego sprzętu nie dałoby rady dostać się do wnętrza. Czy to sam Defekt zabezpieczył w ten sposób swoją dawną bazę? A może to Wspólnota nie życzyła sobie, by wędrowcy zatrzymywali się w tym miejscu? Dziki nie miał pewności, ale jedno było oczywiste — barykada nie powstała sama z siebie.

Nie mogąc dostać się do środka wieży, Dziki usiadł z braku lepszych opcji na jednym ze stopni i spojrzał w kierunku odległego muru Wspólnoty. Z osady unosiły się smugi dymu, świadczące o tym, że jej mieszkańcy byli już na nogach.

Obserwując wciąż zamkniętą bramę, wyciągnął z kieszeni niewielki kawałek sucharka i zaczął powoli go przeżuwać. Rozważając w międzyczasie swoje kolejne kroki, doszedł do wniosku, że choć bardzo tego pragnął, nie mógł od razu ruszyć do Armii Daniela, by włączyć się w konflikt z Zarzeczem.

Było tylko kwestią czasu, zanim Hiena, Klucz i Pers dowiedzą się, że Dziki przeżył spotkanie z Chochółem. Zasłепieni żądzą zemsty, z pewnością nie oduściłiby mu tak po prostu. Co gorsza, mogli podjąć kolejną próbę wywabienia go, tym razem krzywdząc jego bliskich.

Kryjówka na Zatorzu pozostawała co prawda wciąż nieodkryta, ale Mike i jego towarzysze regularnie handlowali we Wspólnocie. To czyniło ich łatwym celem podczas podróży, a Dziki pragnął za wszelką cenę zażegnać grożące im niebezpieczeństwo, zanim zaczną szukać Daro. Oczywiście jedynym sensownym sposobem by tego dokonać, było ostateczne rozprawienie się z wszystkimi trzema wrogami.

Dziki nie obawiał się starcia z nimi, bo czuł, że w końcu dysponuje wystarczającą mocą, by móc wygrać bez niczyjej pomocy.

Wspomnienie ostatniej pułapki, obraz śmierci Mike'a, który Chochół zagnieździł w jego umyśle, rozpalał w nim żądzę mordu do białości. Dziki był pewien, że jeśli podczas walki przypomni sobie tę scenę, jego Pierwotna Wola nie będzie miała prawa zawieść.

Niestety życie nie było jak western — nie mógł po prostu wyzwać swoich wrogów przez radio i zaproponować pojedynku o wschodzie słońca na głównej ulicy Krańcowo. Opracował więc szybko plan, którego realizację postanowił zacząć natychmiast, od wizyty we Wspólnocie.

Gdy nastał dzień, a bramy osady wreszcie otwarto dla odwiedzających, Dziki skierował się prosto do baru. Jego obecność wywołała z miejsca spore poruszenie, co nie było w sumie niczym dziwnym. Historia jego wyprawy na Zarzecze z Pierwszym i Zjawą była w tych stronach dobrze znana. Z tego powodu spędził resztę dnia, opowiadając o swoich przygodach, w zamian za drinki i jedzenie.

Historia, którą snuł, przyciągała coraz to nowych słuchaczy, zafascynowanych opowieściami o starciu w Garażu, niebezpieczeństwach Zarzeczka i tajemniczych błędach działających po tamtej stronie.

Gdy zapadł wieczór i większość Weteranów udała się do swoich kryjówek, by przeczekać noc. Dziękmu nocleg za murami zapewnili mieszkańcy, którzy paradoksalnie uznali masakrę jakiej dokonał w Garażu za przejaw prawdziwego bohaterstwa. Wszystko to oczywiście było częścią planu. Wieść o tym, że żyje i przebywa w okolicach Wspólnoty, miała rozprzestrzenić się pocztą pantoflową po Krańcowie i dotrzeć do jego wrogów jak najszybciej.

Dziki doskonale zdawał sobie natomiast sprawę, że strażnicy Wspólnoty nie pozwolą Hienie albo Persowi nawet zbliżyć się do bram osady. Czekanie na nich za murami, nie wchodziło więc w grę, ale to też miał już przemyślane.

Po dobrze przespanej nocy w hotelu, z samego rana wyruszył w stronę miasta, by spotkać się z Siwym w jego starej Faktorii. Ułożony poprzedniego dnia plan zakładał, że Dziki zatrudni się u mężczyzny jako jeden z jego szabrowników. Dzięki temu, uczestnicząc regularnie w transakcjach na terenie Wspólnoty, pozostawałby cały czas na widoku, prowokując swoich wrogów do ataku w trakcie podróży.

Już w drodze do Faktorii Dziki zaczął się zastanawiać, jakim cudem Siwemu udało się wywieźć ze Wspólnoty cały swój dobytek. Po nagłym wygnaniu Krzaka i odejściu Zjawy z grona jego najemników, nie było nawet pewne, czy handlarz zdoła opuścić osadę żywy. Tajemnica jego szczęśliwej ucieczki szybko się jednak wyjaśniła, gdy po godzinie ostrożnego marszu Dziki dotarł do celu podróży.

Przed drzwiami Bajkolandii — dawnego parku zabaw dla dzieci, który Siwy lata temu przekształcił w swoją bazę — zauważył dwóch ciężko uzbrojonych strażników z grupy zwanej Grobelnymi. Mężczyźni mieli na sobie ciemne uniformy, a na ramionach widniały emblematy przedstawiające gotycki kościół — dawny symbol ich organizacji. To oni musieli odegrać kluczową rolę w bezpiecznym przeniesieniu Siwego i jego majątku ze Wspólnoty aż tutaj.

Strażnicy oczywiście najpierw zatrzymali Dzikiego przed wejściem, a potem dokładnie go przeszukali, nie omijając żadnej kieszeni czy schowka. Dopiero gdy upewnili się, że nie stwarza zagrożenia dla ich szefa, wpuścili go do wnętrza budynku.

Wchodząc do środka, Dziki nie mógł ukryć zaskoczenia na widok znacznie uszczuplonych zapasów niegdyś największego handlarza Krańcowa. Gdy odwiedził Bajkolandię po raz pierwszy w Nowym Świecie, przypominała mu ona olbrzymi magazyn, wypełniony po brzegi niezliczonymi towarami. Teraz miejsce wciąż kojarzyło się z magazynem, ale w trakcie likwidacji — półki świeciły pustkami, a po skrzyniach z zapasami nie został nawet kurz. Cały budynek sprawiał wrażenie opustoszałego.

Siwy zajmował w swojej Faktorii to samo miejsce co zawsze — siedząc na podeście w głównej sali, gdzie w Starym Świecie stała mała karuzela. Po jego dawnym piedestale i przepychu nie było jednak śladu. Mężczyzna kulił się przy zwykłym drewnianym biurku, ze znużeniem wypełniając jakieś dokumenty. Niewielka lampa rzucała ciepłe światło na jego pochyloną sylwetkę. Gdy jednak usłyszał, że nie jest już sam, natychmiast podniósł głowę.

— Dzikusek! — zawołał z entuzjazmem swoim obrzydliwie przesłodzonym głosem.

— Hej, Siwy — odparł Dziki, siadając na wolnym krześle przy biurku i przyglądając się teraz uważnie szefowi placówki.

Wyglądało na to, że obecny stan interesów odbił się nie tylko na wyglądzie Bajkolandii, ale także na samym Siwym. Jego krzykliwy, różowy garnitur zastąpiła prosta czarna koszula, której jedynym wyróżniającym się akcentem był krawat w jednorożce. Włosy Siwego, choć wciąż czyste, były teraz dłuższe, nieprzystryżone i niewyżelowane, opadając luźno na ramiona. Zmarszczki wokół oczu zdradzały natomiast, że nie sypia zbyt dobrze.

— Co cię sprowadza do miejsca mojego upadku, skarbie? — spytał głosem pełnym teatralnego żalu, podpierając głowę dłonią.

— Upadku? — dopytał nieco zaskoczony Dziki, unosząc brew. — Mnie się raczej wydaje, że to spory sukces. Udało ci się wrócić na stare śmieci, masz nowych strażników. Szczerze mówiąc, miałem wątpliwości, czy po odejściu Krzaka uda ci się w ogóle opuścić Wspólnotę. A tym bardziej z całym majątkiem...

Siwy słuchając tego wsparł brodę na dłoni i ciężko westchnął. Jego spojrzenie uciekło gdzieś w bok, jakby wspomnianie tych wydarzeń było dla niego wyjątkowo bolesne.

— Jesteś słodki, ale nawet nie wiesz, jakie straszne kłamstewka mówisz... — stwierdził, co dziwne, na moment zapominając o swoim cukierkowym tonie. — Po odejściu Krzaczką, grunt zaczął palić mi się pod nóżkami. Nie wiem, dlaczego, ale okazało się, że większość mieszkańców Wspólnoty nie szczególnie za mną przepadała. Tolerowali mnie tylko ze względu na niego...

Dziki ledwo powstrzymał się, by nie przewrócić oczami, ale właściciel Faktorii niczego nie zauważył i kontynuował: — ... gdy go zabrakło, a Zjawa odeszła, zrozumiałem, że muszę się ulotnić. Cichaczem dogadałem się z Marcinkiem Grobelnym, który zagwarantował mi bezpieczną podróż i osłonę, ale zdarł ze mnie za to ostatnią skórę...

— Toaczy? — wtrącił Dziki, pochylając się nieco do przodu.

Siwy uśmiechnął się ironicznie, odruchowo spoglądając w stronę wejścia do Bajkolandii, gdzie stali jego nowi strażnicy.

— Musiałem uzbroić jego żołnierzyków, zagwarantować im miejsce w mojej Faktorii, a dodatkowo płacę za ochronę o wiele za dużo — wyznał

wyraźnie zrezygnowany, rozkładając bezradnie ręce. — Nie wspominając już o tym, że interes idzie mi ostatnio naprawdę kiepsko...

Dziki był tym wszystkim naprawdę zdziwiony. Siwy zawsze miał głowę do handlu i zarządzał tym miejscem od lat. Stał się właściwie symbolem sukcesu w tym upadłym świecie. Dlaczego więc teraz, tak nagle, wszystko zaczęło mu się psuć?

— Czemu? Co się zmieniło? — spytał, zainteresowany, bo problemy Faktorii mogły przecież negatywnie wpłynąć na jego plan.

— Handel w moim domku opierał się na wolnych Weteranach, Dzikusku, a tych niezadeklarowanych jest już coraz mniej — wyjaśnił Siwy, ponownie wzdychając ciężko. — Przez tą inwazję z Zarzecza, każdy stara się znaleźć miejsce w większej grupie, a samotnicy uciekają jak najdalej od rzeki, żeby nie mieszać się w konflikt.

Dziki, słuchając tego, pomyślał, że wojna z Zarzeczem zaczynała wpływać na wszystkich, nawet tych, którzy nie brali bezpośredniego udziału w walce. Ich świat się zmieniał. Karty, od lat trzymane w żelaznym uścisku wielkich graczy, nagle były rozdawane na nowo.

Siwy widocznie dał Dzikiemu chwilę na przemyślenie tego, co usłyszał. W końcu jednak spytał, próbując przełamać ciszę: — A co cię właściwie do mnie sprowadza, skarbie? Chcesz coś kupić? Sprzedać? Wymienić?

Jego głos odzyskał przy tym nieco dawnej energii, a w oczach pojawiła się iskra nadziei.

— Właściwie, to szukam pracy — stwierdził Dziki, zerkając znacząco na właściciela Faktorii, a ten skrzywił się poznając powód jego odwiedzin.

— Dzikusku, w innych okolicznościach to zawsze i wszędzie, ale nie wiem, czy w obecnej sytuacji mogę sobie pozwolić na zatrudnienie dodatkowego personelu — wyznał Siwy, opierając się wygodniej na krześle i krzyżując ramiona na piersi. — Nawet z usług Maniusia musiałem ostatecznie zrezygnować...

Dziki widząc w jakim stanie jest Faktoria, spodziewał się podobnej odpowiedzi. Niemniej zatrudnienie się u Siwego było jednym z głównych punktów jego planu. Choć placówka nie mieściła się już we Wspólnocie, „towar” nie miał wrogów. Siwy wciąż utrzymywał kontakty handlowe z wieloma osobami za murem. Zatrudniając się jako jeden z jego ludzi, mógłby regularnie odwiedzać wszystkie osady, nie martwiąc się o to, czy starczy mu pieniędzy na wejście. Biorąc to pod uwagę, postanowił złożyć Siwemu propozycję, której ten nie mógłby odrzucić.

— Nie oczekuję właściwie nic! Tylko noclegu i wyżywienia, a w zamian mogę być szabrownikiem w najgorszych miejscach — obiecał, patrząc Siwemu prosto w oczy. — Co na mnie zarobisz, to tylko twoje. Mam po prostu swoje powody, by przez jakiś czas kręcić się między miastem a Wspólnotą. To jedyny dodatkowy warunek. Chcę brać udział w każdej wymianie, jaka będzie tam miała miejsce.

Słyszając tą deklarację, Siwy zamyślił się głęboko. Jego niebieskie oczy błędziły po pomieszczeniu, najwidoczniej analizując wszystkie „za i przeciw”. Palcami stukał w międzyczasie rytmicznie w blat biurka, a na jego twarzy malował się wyraz skupienia.

— Może tego właśnie potrzebuję? — mruknął w końcu pod nosem, jakby mówił do siebie. — Żeby w końcu ruszyć ten nędzny handelek... — po tych słowach, spojrzał na Dzikiego z nowym błyskiem w oku. — Dobrze Dzikusku, przyjmuję cię w moje szeregi — stwierdził tonem, jakby nagle odzyskał dawną energię i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając przy tym swoje białe zęby. — Mam od dawna zalegającą listę specjalnych zamówień od kilku znajomych we Wspólnocie i nikogo, kto by się tym zajął. Masz więc nawet swoje pierwsze zadanie!

Dziki słysząc to, ucieszył się niezmiernie. Czuł, jak ogromny ciężar spada mu z ramion. Teraz miał zapewnione nie tylko miejsce na nocleg, ale także powód, dzięki któremu będzie mógł regularnie odwiedzać Wspólnotę. Wiedział, że informacja o jego częstych wizytach handlowych prędzej czy później dotrze do Hieny i jego nowych kompanów. Musiał więc tylko cierpliwie czekać.

Kolejne dni Dziki spędzał jako szabrownik w służbie Siwego. Przeszukując samotnie prywatne mieszkania, domy i sklepy wyszukiwał rzeczy z listy, którą przekazywał mu co rano nowy szef. Znajdowały się na niej przeważnie przedmioty codziennego użytku, stanowiące drugorzędne potrzeby. Takie, które zdecydowanie ułatwiały życie, ale mało kto chciał ryzykować, by je zdobyć: pasta do zębów, maszynki do golenia czy podpaski.

Oczywiście trafiały się też zamówienia na bardziej specjalistyczny sprzęt, jak oporniki albo programatory. Te były zresztą najlepiej płatne. Oznaczały jednak wyprawy do branżowych sklepów, które znajdowały się już w pobliżu samego centrum. W takich miejscach łatwo było natknąć się na Niewykształconych i to w większości, wyjątkowo niebezpiecznych Specjalistów, więc Dziki nieszczególnie przepadał za takimi zleceniami. Umowa była jednak umową i nie mógł odmówić Siwemu wykonywania zleceń, na których ten zarabiał najlepiej.

Czasami trafiały się jednak zamówienia na towary tak dziwne, że Dzikiego aż bolało w środku, gdy musiał ich szukać. Z bardziej nietypowych zleceń zdarzyło mu się polować między innymi na ostry sos z papryki habanero albo seksowną bieliznę w czerwonym kolorze, rozmiar miseczki B. Oczywiście, na specjalne zamówienie nowych elit Wspólnoty.

Podczas gdy ta dekadenska grupa oddawała się rozrywkom i rozpucie, wojna z Zarzeczem toczyła się dalej swoim własnym rytmem. Na horyzoncie nie było jednak widać ani dymu, ani ognia, a miasto zdawało się tkwić w stanie zawieszenia. Wyglądało na to, że nikt po tamtej stronie nie planował jeszcze

inwazji na pełną skalę. Po zajęciu przyczółku po stronie Centrum, najeźdźcy ograniczyli się do obrony swoich pozycji i nieregularnej wymiany ognia z ochotnikami Armii Daniela. Ci z kolei również nie palili się do podejmowania zdecydowanych działań mających na celu przepędzenie wrogów.

W nocy, leżąc na swojej pryczy, Dziki wsłuchiwał się w nocne rozmowy na radiu, w których trakcie komentowano tą sprawę. Głosy domorosłych znawców spekulowały o możliwych strategiach, ale wszystkie sprowadzały się do jednej konkluzji: brak wojskowego wyszkolenia, prawdziwych umiejętności taktycznych i tym podobnych cech u obu stron mógł sprawić, że drobna pomyłka mogłaby zmienić się w pogrom. Żadna ze stron nie wydawała się gotowa na podjęcie takiego ryzyka.

Dzikemu ta „siedząca wojna” bardzo odpowiadała. Chciał bowiem włączyć się do walki jeszcze przed jej kulminacją, a niestety Hiena, Klucz i Pers nie rzucili się na niego tak szybko, jak tego oczekiwał. Cierpliwie odpracowywał więc swoje godziny u nowego szefa, czekając na moment, gdy będzie mógł zrealizować swój plan. Każdego dnia miał tylko nadzieję, że informacja o jego ciągłych wizytach we Wspólnocie dotarła wreszcie do jego wrogów.

W czasie kolejnych tygodni swojej pracy, Dziki zauważył, że Faktoria zmieniała właściwie z dnia na dzień. Siwy, wykorzystując zyski z jego wypraw, inwestował, jak tylko mógł, w rozwój swojego biznesu. Coraz częściej zatrudniał dodatkowych Weteranów, by ci w ramach przygodnych misji dostarczali mu specjalistyczny sprzęt tokarski i inne maszyny, których przeznaczenie pozostawało dla Dzikiego w sferze domysłów. Niemniej hala magazynowa, jeszcze niedawno pusta, zaczęła wypełniać się nowymi urządzeniami.

Dziki na szczęście zgodnie z umową, wciąż otrzymywał od Siwego głównie zadania specjalne. To bardzo mu odpowiadało, bo dalej regularnie odwiedzał dzięki temu Wspólnotę, wystawiając się celowo na atak i nie tracił czasu na ganieńnię po mieście za sprzętem do Faktorii.

Po mniej więcej miesiącu spędzonym jako szabrownik, Dziki jak co rano udał się do Siwego po nowe zlecenia. Przechodząc przez korytarze Faktorii, zauważył, że atmosfera była tego dnia wyjątkowo nerwowa. Nowi pracownicy szepotali między sobą, obserwując ogromne podróżne torby, które dostarczyła grupa Weteranów wynajętych przed tygodniem.

Dzikiego jednak nieszczególnie to interesowało. Nie wiązał przecież z tą pracą dłuższej przyszłości. Zastanawiał się tylko w trakcie drogi, jakie głupoty będzie zmuszony odnaleźć tym razem w ruinach Krańcowa. Może ktoś zażyczy sobie świeżego ananasa, którego znalezienie graniczyłoby z cudem? Albo perfum o durnej nazwie, których będzie szukał w pięciu kolejnych drogeriach? Chociaż wydawało się to śmieszne, to po tym, czego już musiał szukać, utwierdził się tylko w przekonaniu, że ludzie nawet w Nowym Świecie potrafili być takimi samymi rozpustnymi idiotami jak przed Błyskiem.

Ku jego zdziwieniu, szef Faktorii nie czekał jednak na niego z żadną nową listą, za to z gotową kawą. Aromat świeżo mielonych ziaren był dla Dzikiego niemal zapomnianym luksusem, a widok pary unoszącej się nad filiżanką wywołał u niego uczucie szczerego pożądania. Kawa jako taka może nie była w Krańcowie towarem deficytowym, ale o dobrą było w mieście naprawdę ciężko.

— Proszę, skarbie, napij się — powiedział Siwy, uśmiechając się serdecznie i zapraszając Dzikiego gestem do stołu.

Dziki usiadł na krześle naprzeciwko, chwytając ciepłą filiżankę. Pierwszy łyk kawy był mocny, gorzki, ale jednocześnie niewyobrażalnie pobudzający. To była właśnie ta różnica między rozpuszczalną berbeluchą, jaką pił zazwyczaj, a prawdziwą kawą.

Po tym, jak siorbnął kilka razy i zupełnie się rozbudził, Siwy rzucił do niego z podnieceniem w głosie — Dzikusku, tym razem mam dla ciebie zadanie turbo specjalne.

Słyszając to, aż poprawił się na krześle, odkładając filiżankę na biurko.

Tymczasem właściciel Faktorii, wyciągając swój notatnik oprawiony w skórę i zaczął tłumaczyć — To zadanie na rzecz Faktorii, a nie kolejnego bałwana ze Wspólnoty. Dlatego proszę, żebyś podszedł do tego wyjątkowo skrupulatnie...

Dziki skinął głową, coraz mocniej zaintrygowany.

— Chciałbym, żebyś udał się do biblioteki miejskiej i zdobył dla mnie pewną książkę — oznajmił niespodziewanie Siwy.

Dziki zmarszczył czoło i poczuł nieprzyjemne ukłucie w środku. Biblioteka miejska znajdowała się w ścisłym centrum miasta. Była to strefa tak pełna Niewykształconych, że nawet najbardziej zatwardziali szabrownicy unikali zapuszczania się w te rejony. Sam najczęściej też omijał to miejsce, chociaż w poszukiwaniu szczególnie opłacalnych przedmiotów docierał czasem na jego obrzeża.

Zaciekawiony, co mogło być tak ważne, że Siwy chciał zaryzykować jego życiem, rzucił — To chyba musi być naprawdę wyjątkowa książka...

— Kluczowa dla dalszego rozwoju naszego domku, skarbie — odparł Siwy z błyskiem w oku. — Tak naprawdę jest to kilka książek, ale najpewniej nie uda się zdobyć ich wszystkich. Natomiast ważne jest, byś zdobył dla mnie chociaż jedną...

Właściciel Faktorii wyjął w tym momencie kartkę ze swojego notesu i podał Dzikiemu listę z tytułami książek. Wszystkie krążyły wokół jednej tematyki i rzeczywiście wydawały się dość specjalistyczne:

„Chemia Pirotechniczna: Od Teorii do Praktyki”

„Sztuka Ognia: Podstawy Chemii dla Pirotechników”

„Iskra Wiedzy: Wprowadzenie do Chemii Pirotechnicznej”

„Materiały Wybuchowe i Efekty Specjalne: Przewodnik dla Studentów”

„Chemia Światła i Dźwięku: Podręcznik dla Pirotechników”

Dziki przebiegł wzrokiem po tytułach. Dość wątpliwe było, żeby zwykajna miejska biblioteka miała je wszystkie, ale uważał, że chociaż jedną powinien być w stanie odnaleźć. Skupiony na swoim planie, nie interesował się tak naprawdę, po co Siwemu była ta lektura, ale ponieważ chciał utrzymać z nim dobre stosunki, spytał kurtuazyjnie — To ma coś wspólnego ze sprzętem, który ściągasz tu ostatnio?

Siwy uśmiechnął się tajemniczo, a jego oczy zdradzały, że jest naprawdę podekscytowany.

— Jak najbardziej, skarbie — potwierdził. — Ale nie będę na razie zdradzał żadnych szczegółów. Nie chcę zapeszyć — rzucił, przesądnie krzyżując palce. — Niemniej, jeśli mój plan wypali, Faktoria Siwego znów rozkwitnie i stanie się prawdziwym centrum Krańcowa. — Po chwili dodał z nutą szczeroci — No i oczywiście będę mógł w końcu zacząć płacić ci tak, jak na to zasługujesz. Serduszek mnie boli, gdy pomyślę, jak cię teraz wykorzystuję.

Dziki uśmiechnął się sztucznie, choć doceniał słowa Siwego.

— Nie przejmuj się głupotami, Siwy — stwierdził, wiedząc, że przecież realizuje tu swój główny cel. — Mi nasza umowa pasuje w tej formie, jaką zawarliśmy na początku.

Siwy pokręcił tylko głową z niedowierzaniem, a jego jasne włosy opadły na czoło.

— Jesteś niesamowity, Dzikusku. Tacy ludzie jak ty, to prawdziwy skarb w tych czasach.

Dziki, po tym jak skończył kawę, zebrał swój plecak oraz broń z pokoju. Potem wrócił jeszcze spotkać się z Siwym i dać mu znać, że wyrusza.

— Uważaj na siebie, skarbie. Centrum to straszne cholerstwo... — ostrzegł go jeszcze na koniec szef.

Wychodząc na ulicę przed Faktorią, Dziki poczuł na twarzy przeciąg, który niósł ze sobą zapach wilgoci i stęchlizny. Chociaż wcześniej nie zwracał na to uwagi, im bliżej było się centralnej części miasta, tym Krańcowo bardziej cuchnęło. Mieszanina zapachów gnijących odpadków, ciał rozkładających się na plecach Grabarzy i wszechobecnego kurzu, tworzyła wręcz toksyczną atmosferę.

Odchodząc, spojrzał jeszcze raz na listę książek. Złożył kartkę i starannie schował ją do kieszeni swojej kamizelki kuloodpornej. W tym momencie był pewien przynajmniej jednego — nie spotka po drodze tych, na których najbardziej czekał.

Po opuszczeniu okolic Faktorii, Dziki bardzo szybko wszedł do strefy powszechnie uważanej za najniebezpieczniejszą. Szare, opuszczone bloki błyskawicznie otoczyły go z każdej strony, tworząc labirynt, w którym nieznający miasta łatwo mógł się zgubić. Fasady budynków były popękane, okna wybite, a balkony wyglądały, jakby mogły się w każdej chwili zawalić. Nie było to

dziwne, bo okolica ta nie była szabrowana, więc żaden z budynków nie miał okazji się odnowić. Być może nawet od pierwszego Błysku. Graffiti na ścianach powstałe już w Nowym Świecie informowało o śmiertelnych konsekwencjach tych, którzy ośmieliliby się spędzić noc w tej okolicy.

Paradoksalnie Dziki pozwolił sobie jednak na coś, czego zazwyczaj w Krańcowie nigdy się nie robiło i było uważane za mało rozsądne – szedł samym środkiem ulicy. Bandyci w tym miejscu zwyczajnie nie występowali, bo nie mieliby gdzie się bezpiecznie ukryć. Jeśli natomiast po drodze miałyby trafić na jakiegoś potwora, skradanie się i tak nie miało większego sensu. Słabszego mógł po prostu zabić, a przed tymi silniejszymi musiał i tak radzić sobie ucieczką.

Idąc drogą między blokami, Dziki poczuł nagle, że jest obserwowany. Włosy na karku stanęły mu dęba, bo przypomniała mu się przez to Ciemnia z Zarzeczca. Oczywiście po ich stronie żadnej Ciemni nie było. Rozglądając się więc nerwowo za źródłem tego uczucia, dostrzegł nagle dziesiątki Gospodarzy. Niewykształceni spoglądali na niego z okien bloków. Ich nieruchome sylwetki, ukryte przez zasłony, przywodziły trochę na myśl duchy zamieszkujące martwe miasto.

Takiego mrozącego krew w żyłach widoku nie można było doświadczyć w żadnej innej części Krańcowca. Gospodarze poza centrum byli najczęściej likwidowani przez szabrowników. Tylko tutaj mogli zgromadzić się w takiej ilości. Ich obecność przypomniała mu, że mimo wszystko powinien bardziej uważać. Jeśli miał zrealizować swój plan, nie mógł przecież dać się zabić. Jeszcze nie teraz...

Dziki, choć wciąż nie zszedł ze środka ulicy, sięgnął po pistolet. Ze względu na defekt, który mógł go pochłonać, raczej nie miał zamiaru korzystać z Pierwotnej Woli, o ile nie byłoby to absolutnie konieczne. Tak naprawdę świadomie planował jej użyć jeszcze tylko dwa razy, do walki z Hieną i Daro. Z nimi dwoma nie miałby szans w normalnym starciu.

W walce z Daro zresztą nie miał też zamiaru się wcale hamować — *Choćbym miał się rozpuścić...* — pomyślał, ściskając dłoń na pistolecie, gdy nagle do jego uszu dobiegł odgłos skrzypiącego metalu.

Zszedł błyskawicznie z drogi i przykleił się do ściany jednego z bloków. Odbijające się od wielkiej płyty echo sprawiło, że przez dłuższą chwilę trudno mu było ocenić, skąd dochodzi dźwięk.

— *Co to może być?* — pomyślał, a do głowy od razu przyszedł mu Kolejarz. — *Nie...* — stwierdził po chwili sam do siebie. — *One nie występują tak daleko od torów. Dziad raczej trzeszczy, a nie skrzypi...* — rozważał dalej. — *Delimer też odpada...* — jego ciężkie kroki, usłyszałby z daleka.

Czyżby to było coś, czego jeszcze nie znał?

Wychylając się zza winkła w kierunku placu zabaw, znajdującego się między blokami, w końcu dostrzegł źródło tego niespodziewanego dźwięku.

Serce na moment zamarło mu w piersi. Ujrzał bowiem najgorszego z możliwych potworów — Spalacza.

Stwór, odziany w strażacki strój i biały kask, co jakiś czas wprawiał w ruch metalową karuzelę. Gdy tylko obracał starą konstrukcję, zardzewiałe obręcze i mechanizmy skrzypiały przeciągle, wydając dźwięk, który Dziki słyszał wcześniej. Gdy karuzela zwalniała i w końcu się zatrzymywała, Spalacz robił gest, jakby ciężko wzdychał, po czym wprawiał ją w ruch ponownie.

Na ten widok pot spłynął Dzikemu po skroniach, a dłonie lekko drżały. Chciał się już wycofać za blok, ale Spalacz odwrócił się gwałtownie w jego stronę. Chociaż nie widział oczu potwora, bo te skryte były za goglami, poczuł bijącą od niego żądze mordy.

— *Wyczuł mnie? JAK!* — pomyślał przerażony Dziki. — *Przecież jestem tu sam...*

Myśli przemknęły mu przez głowę z prędkością błyskawicy. Z tego co wyczytał w notatniku Kuby, były tylko dwie metody walki ze Spalaczami. Pierwszą było przegrzanie. Potwór, wchodząc do walki, zaczynał coraz mocniej się nagrzewać. Jeżeli biegło się dostatecznie szybko i utrzymywało ciągly dystans, Spalacz osiągał w końcu temperaturę, której sam nie był w stanie znieść, i wybuchał.

Drugą metodą, którą Weterani w Krańcowie nazywali „skokiem w płomienie” albo „szarżą idioty”, był natychmiastowy bezpośredni atak. Gdy Spalacz cię zauważył, przez kilka sekund temperatura, którą osiągał, była jeszcze do wytrzymania dla człowieka. Istniało więc niewielkie okienko czasu, w którym można było do potwora podbiec i ostrzelać mu jakąś wrażliwą część ciała — najczęściej miejsce, gdzie skóra była już wcześniej uszkodzona. Jeżeli udało się trafić dobrze, potwór ginął i wygasł momentalnie. Jeśli trafiło się źle albo miało się za słabą broń, śmiełek kończył żywot w płomieniach.

Dawny Dziki pewnie wybrałby berka z potworem, wykorzystując pierwszą metodę. Ale teraz, nim zdążył dobrze pomyśleć, jego ręka zacisnęła się na broni, a nogi wiodły go już w stronę Niewykształconego. Serce waliło mu jak młot, a adrenalina napędzała każdy ruch. W ciągu kilku następnych sekund udało mu się pokonać dzielącą ich odległość, zwłaszcza że potwór również ruszył z miejsca w jego stronę.

Gdy znajdowali się w odległości kilku metrów od siebie, Dziki wiedział już, że się spóźnił. Poczul nagle, jakby wbiegał do płonącego budynku. Gorąco uderzyło go z taką siłą, że na moment odebrało mu oddech. Skóra na jego ramionach i szyi piekła od ekstremalnej temperatury, a powietrze wokół falowało od żaru. Nie mógł już jednak się wycofać. Wyprostował rękę i prawie na ślepo, bo oczy zamykały mu się same pod wpływem gorącego powietrza, oddał kilka strzałów.

Jeden z nich zdołał trafić w miękką część potwora. Spalacz bezgłośnie upadł na ziemię. Jego ciało zaczęło się błyskawicznie rozszerzać, pęcznieć i tracić kształt pod wpływem przegrzania, aż w końcu eksplodowało w olśnie-

wającej kuli ognia. Fala uderzeniowa odrzuciła Dzikiego do tyłu, a płomienie liznęły jego ubranie.

Leżał na plecach, otoczony przez ściany i okna bloków, które teraz odbijały echo eksplozji. Wszystkie fragmenty skóry, których nie miał pod ubraniem, pokryte były poparzeniami. Dłonie miał czerwone, miejscami zaczynały też pojawiać się na nich pęcherze. Czuł smród własnych spalonych włosów, a czarne nowo powstałe plamy na jego kamizelce, dymiły. W głowie huczało mu od hałasu, a przed oczami tańczyły mroczki. Z trudem uniósł się na łokciach, a potem na kolanach.

Starając się zebrać po tym starciu, miał dziwne wrażenie, że Gospodarze, którzy go obserwowali, zaczęli się śmiać z jego głupoty. Oczywiście nie było to możliwe. Wyobraźnia musiała płatać mu figle albo upadając, przywalił sobie zbyt mocno głową. Mimo to rzeczywiście czuł na sobie ich ciężki, wzrok.

— Muszę się stąd zabierać... — powiedział sam do siebie, próbując dać sobie otuchy i spojrzał w stronę ulicy, na której końcu znajdowała się biblioteka. — Gorzej, to już chyba nie będzie... — dodał w myślach i z trudem ruszył do przodu.

Biblioteka miejska w Krańcowie znajdowała się na końcu labiryntu szarych bloków. Jej masywna bryła wyrastała ponad dachy mniejszych, zniszczonych budynków i choć nadgryziona zębem czasu, wciąż emanowała dawnym majestatem. Wysokie kolumny z kamienia udającego marmur podtrzymywały potężny fronton, ozdobiony gargulcami. Nad wejściem, wyryty białymi literami, widniał cytat: „Miej odwagę być mądrym”.

Dziki prychnął pod nosem, uważając go za dość obciachowy i pretensjonalny w obecnych czasach. — *Jakby to miało teraz jakieś znaczenie* — pomyślał z ironią.

Po otwarciu masywnych, podwójnych drewnianych drzwi, przekroczył próg biblioteki.

Wnętrze powitało go chłodnym powiewem, jakby budynek odetchnął po latach zapomnienia. Charakterystyczny zapach starych książek — mieszanka kurzu, starzejącego się papieru i delikatnej nuty pleśni — uderzył go natychmiast, przywołując wspomnienia z młodości.

Dziki ostatni raz odwiedził to miejsce jeszcze w czasach szkoły, kiedy nauczycielka od polskiego zmuszała go do czytania lektur. Te oczywiście wydawały mu się wtedy nudne i zdecydowanie przereklamowane. Gdy rozpoczął pracę, nie bardzo miał czas na zanurzenie się w jakiegokolwiek literaturze, więc i z biblioteką było mu nie po drodze.

Obserwując nietknięte półki pełne książek, wręcz przeraził się ogromem tego miejsca. Setki, może tysiące tomów piętrzyły się od podłogi aż po sufit.

— *Jak w tym wszystkim mam znaleźć tytuły, o które chodziło Siwemu?*
— zastanowił się, przecierając dłonią zakurzoną poręcz schodów prowadzących na antresolę. Ręka natychmiast zaszczypała go, przypominając o oparzeniach

— Powinni tu mieć jakiś katalog... — syknął z bólem, zerkając w stronę dawnej recepcji, gdzie kiedyś pracowały bibliotekarki.

Pomieszczenie pokrywała gruba warstwa kurzu, a przewrócone krzesło leżało obok, jakby ktoś opuścił stanowisko w pośpiechu.

Nagle do jego uszu dobiegło ciche, niespodziewane — Cześć, Dziki...

Zaskoczony obrócił się natychmiast, a serce podskoczyło mu do gardła. Czyżby wrogowie zastawili na niego pułapkę w miejscu, gdzie najmniej się ich spodziewał? Jego oczom na szczęście (bo akurat teraz nie był na ich spotkanie gotowy) nie ukazał się ani Hiena, ani Pers, ani nawet Klucz.

W półmroku między regałami dostrzegł sylwetkę nieznanego mężczyzny. Miał on długie, ciemne włosy sięgające ramion, które opadały na znożoną ramoneskę ozdobioną naszywkami zespołów metalowych. Niektóre z nich były tak sfatygowane, że trudno było odczytać ich nazwy.

Zaraz za nim pojawiło się dwóch kolejnych mężczyzn, bliźniaczo podobnych do siebie. Obaj wyglądali na doświadczonych Weteranów — ich surowe twarze były poznaczone bliznami, a oczy czujne i skupione. Ponieważ jeden nosił pistolet przy lewym, a drugi przy prawym boku, wyglądali jak swoje lustrzane odbicia.

Mężczyzna w ramonesce uniósł natychmiast dłonie w uspokajającym geście.

— Bez nerwów, Dziki. Nie masz tutaj wrogów. Możesz opuścić broń... — powiedział spokojnym głosem.

Dziki opuścił pistolet, ale nie schował go do kabury. Jego oczy wędrowały od nieznanego do bliźniaków, próbując ocenić sytuację.

— Znamy się? — spytał ostrożnie, nie mogąc rozpoznać mężczyzny, który do niego mówił.

Nie przypominał sobie, żeby spotkali się we Wspólnocie ani w Faktorii. Nie wydawało mu się też, żeby widział go nad rzeką podczas Kodu Weterana.

— Ty mnie możesz nie kojarzyć, ale ja dobrze znam ciebie... — stwierdził mężczyzna z lekkim uśmiechem, dodając po chwili: — To znaczy, jestem Pająk. Jeździłem Autobusem za czasów Prima, a to Błażej i Bartek — wskazał na bliźniaków — jeździli razem z Hektorem. Wiesz, jak już się jeździło z Oli, to zawsze się potem szuka informacji o tym, co się dzieje w Piętrusie i...

— Piętrusa już nie ma... — wtrącił chłodno Dziki, chcąc skończyć ten temat. — *I zgadnij przez kogo...* — pomyślał z goryczą.

— Tak, straszna historia... — powiedział cicho Pająk, spuszczać wzrok. Po chwili jednak dodał z nadzieją w głosie — Ale udało ci się uratować Oli, prawda? Dobrze słyszałem? To nie bujda?

Dziki westchnął ciężko. Mężczyzna nie wydawał się mieć złych intencji, był raczej po prostu ciekawy i może nawet zatroskany. Nie miał jednak ochoty dzielić się z nim żadnymi szczegółami. Sam ledwo był w stanie znieść psychicznie to, co działo się teraz z Oli.

— Jest po tej stronie i jest bezpieczna... — skwitował, zbliżając się nieco do Weteranów. — Nic więcej nie mogę powiedzieć, właśnie dla jej bezpieczeństwa.

Pająk skinął głową ze zrozumieniem.

— Jasne — odpowiedział cicho.

W tym czasie jeden z bliźniaków zawołał do Dzikiego z nieskrywaną szczerością — Chłopie, wyglądasz jak gówno!

— Grillowane gówno! — podkreślił drugi, przyglądając się uważnie. — Co ty, żeś odwalił?

Dziki podrapał się po głowie, czując pod palcami posklejane od potu i sady włosy oraz ból skóry na czole. Dopóki się tam nie dotknął, praktycznie zapomniał, że jego głowa również oberwała płomieniami.

— A co mogło mnie spotkać w Centrum? Miałem spotkanie ze Spalaczem... — odpowiedział z lekkim przekąsem, próbując w ten sposób dać do zrozumienia, że nie ma ochoty na długie opowieści.

— Nie gadaj, że zrobiłeś szarżę idioty?! — zawołał natychmiast Pająk, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

Zanim Dziki zdążył odpowiedzieć, jeden z braci wtrącił — A jak miał sobie niby inaczej poradzić? — zapytał retorycznie, krzyżując ramiona na piersi.

Pająk prychnął na niego, kręcąc głową.

— Trzeba uciekać! Spalacze nie są przecież szybkie... — stwierdził z takim przekonaniem, jakby to była najbardziej oczywista z oczywistości.

— Gościu! — wtrącił pierwszy bliźniak, unosząc ręce w geście irytacji. — One nie są szybkie... One zapierdalają!

Jego brat dodał z przekąsem — Jak jesteś sprinterem długodystansowcem, to sobie możesz uciekać. Normalni ludzie mają tylko szarżę idioty.

Dziki zignorował ich, uznając, że nie ma sensu włączać się w tę dyskusję. Rozejrzał się po wnętrzu biblioteki, próbując odnaleźć jakikolwiek spis czy katalog. Wzrok przykuła mu masywna drewniana szafa z setkami małych szufladek. — *Może tam...* — pomyślał, kierując się w jej stronę.

W tym czasie Pająk naskoczył na bliźniaków — Skoro są takie szybkie, to dlaczego tyle osób przed nimi uciekło? — zapytał.

Żaden z nich nie zwrócił uwagi, że Dziki po prostu ich zostawił. Kontynuowali swoją kłótnię.

— Jakich? — zawołał pierwszy bliźniak, unosząc brwi w sceptycznym geście.

— Ksywy albo didn't happen! — dodał drugi, uśmiechając się złośliwie.

Jak się okazało, Dziki odnalazł w międzyczasie spis. Zaczął więc pośpiesznie przeglądać zakurzone szufladki. Niestety litery na kartkach były mocno wyblakłe, a niektóre zupełnie nieczytelne, co nie ułatwiało mu zadania. — Chemia... chemia... — mrucał pod nosem, przeglądając kolejne karty.

W tym czasie Pająk nie dawał za wygraną względem swojej teorii o wyższości ucieczki nad walką ze Spalaczem.

— No, Mongoł na przykład... — zaczął wymieniać z przekonaniem. — On spierdolił!

Bliźniacy prychnęli niemal synchronicznie.

— Gość był w Starym Świecie napastnikiem w Chemiku, na pewno nie biega jak przeciętny człowiek — zauważył pierwszy, machając ręką lekceważąco.

— Dobra! — rzucił Pająk z rosnącą frustracją. — A Taras?

— Metr osiemdziesiąt, szczupły, nogi długie jakby mu się stara z żyrafą puściła — wytknął drugi brat, przewracając oczami. — Ty mi pokaż „normalnego” Weterana, który uciekł przed Spalaczem...

Dziki starał się nie zwracać na mężczyznę uwagi, skupiając się na przeglądaniu zakurzonych kart katalogu. Po chwili zauważył jednak, że Pająkowi skończyła się lista Weteranów. Okazało się, że tych, którzy uciekli, nie było wcale tak wielu.

Cisza między mężczyznami trwała tylko chwilę, zanim zorientowali się, że Dziki nie interesuje się ich kłótnią, tylko przegląda książki.

— A ty co tu w ogóle robisz? — zapytał z zainteresowaniem Pająk, unosząc brwi.

Dziki westchnął cicho, zdając sobie sprawę, że nie zdoła już znaleźć książek na tyle szybko, by całkiem uniknąć jakiejś rozmowy.

— Mógłbym spytać o to samo... — stwierdził od niechcenia. — W życiu nie słyszałem, żeby jakieś Trio zrobiło tu bazę...

Pająk skinął głową i zaśmiał się krótko, odsłaniając rząd nierównych zębów.

— Masz trochę racji — przyznał, rozkładając ręce. — Sąsiedztwo nie jest zbyt ciekawe. Ale za to nie ma szans, żeby zajrzał tutaj ktokolwiek, czy to od nas czy z Zarzecza. Nie dość, że to centrum, to jeszcze jesteś chyba pierwszą osobą oprócz nas, która w ogóle zainteresowała się zawartością biblioteki.

Dziki, odnajdując w końcu w katalogu wskazówkę, ruszył w stronę jednego z regałów, rzucając przez ramię — Dziwisz się? To miejsce aż się prosi o jakiegoś pokreconego Specjalistę...

— Była trójka... — zdradził nagle jeden z bliźniaków, opierając się o pobliski regał, a jego oczy śledziły Dzikiego z zaciekawieniem.

— Dawne bibliotekarki... — dodał drugi, przeglądając pobieżnie książki na półce. — Zajadłe kurwy...

— Weź tak nie mów! — zażądał Pająk, krzywiąc się z dezaprobatą. — Ta jedna to była naprawdę równa babka. Zawsze mi karę darowała za przetrzymanie „Bimbrownika”.

Bliźniacy ryknęli śmiechem niemal jednocześnie, klepiąc się po ramionach.

— Ty, Pająk, jesteś fanem Bimbrownika? To Harlekin fantastyki... — zadrwił pierwszy, przewracając oczami.

— No właśnie! — wtórował mu drugi, uśmiechając się szeroko. — Tylko dziewczuchy to czytały!

Pająk pokręcił głową z rezygnacją, wdychając przy tym ciężko.

— Nie macie pojęcia o dobrej literaturze — mruknął pod nosem, po czym zwrócił się z powrotem do Dzikiego — Szukasz czegoś szczególnego? Na pewno, bo przecież nie przylazłbyś w to przeklęte miejsce z nudów...

Dziki zatrzymał się na chwilę, spoglądając na niego.

— Załatwiam zlecenie dla Siwego — wyjął w końcu, wracając do poszukiwań.

Jeden z bliźniaków uniósł brwi ze zdziwieniem i spojrzał znacząco na resztę kompanów.

— Pracujesz dla Różowego? — spytał z niedowierzaniem. — Słyszałem, że Faktoria ledwo już przędzie.

Dziki wzruszył ramionami, przeglądając grzbiety książek na półce.

— Odbija się powoli od dna — rzucił krótko.

W tym czasie jego wzrok padł na jedną z książek z listy Siwego. Sięgnął po opasłe tomiście, na którego okładce widniał tytuł „Sztuka Ognia: Podstawy Chemii dla Pirotechników”. Zadowolony, wrzucił książkę do plecaka i zaczął rozglądać się za kolejnymi.

Pająk w tym momencie podrapał się po brodzie, spoglądając w okno.

— Wszystkim się dostaje po dupie przez ten konflikt... — stwierdził z westchnieniem. — Też byśmy przecież tu nie siedzieli, ale paradoksalnie chyba lepiej teraz żyć po sąsiedzku z potworami niż z ludźmi. Słyszałem, że nawet Pierwszy się zaangażował w walkę.

W tym momencie Dziki zamarł. Po chwili odwrócił się powoli w stronę Pajaka. Jego serce zaczęło bić szybciej. Pierwszy? Wtrącił się w konflikt?

Zanim zdążył jednak o cokolwiek spytać, jeden z braci rzucił z niedowierzaniem — Pierdolisz kocopoły, Pająk. Gadałem przez radio z chłopakami z Dżuli. Mówią, że nie walczy, tylko że się tam kręci.

— Może kogoś szuka? — rzucił retorycznie drugi z braci, wzruszając ramionami. Nagle spojrzał na Dzikiego z zaciekawieniem. — Pewnie jednego z tych, co zniszczyli Autobus. Jak myślisz?

Dziki poczuł, jak zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Pierwszy był ostatnią osobą, którą podejrzewałby o zaangażowanie się w walkę. Co on właściwie robił? Co to oznaczało? Czyżby Smutny w końcu zdecydował się wmieszać

na całego? Gdyby tak było, konflikt z pewnością nie pozostawałby tak statyczny. Obecność tak potężnego użytkownika Pierwotnej Woli na pewno została by ogłoszona przez radio. Tymczasem poza pojedynczymi starciami ze Zwiadowcami, nie było żadnych informacji o używaniu błędów w trakcie walki.

Może więc rzeczywiście chodziło o Daro?

Po chwili zastanowienia Dziki pokręcił jednak głową. Pierwszy miał dziwne poczucie moralności, którego on nigdy nie potrafił zrozumieć. Skoro nie zabił Modrzewa, gdy ten wracał do Centrum, to mało prawdopodobne, by chcąc pomścić Oli, ruszył za Daro.

— Nie mam pojęcia... — odpowiedział w końcu szczerze, wzruszając ramionami. — Może bada sytuację?

Pająk przyjrzał mu się uważnie, jakby próbował wyczytać coś z jego twarzy.

— Może... — stwierdził, a w jego głosie pobrzmiwała nuta wątpliwości.

W tym czasie Dziki odnalazł kolejną z księжек Siwego. „Chemia Pirotechniczna: Od Teorii do Praktyki” Była to jednak ostatnia, jaką był w stanie wypatrzyć. Obiecał być skrupulatny, ale nie spodziewał się, że w bibliotece zastanie dodatkowych gości. Nie chodziło już nawet o to, że przeszkadzała mu ich rozmowa. Byli jednak od kilku minut we czwórkę.

— Dobra, chłopaki — rzucił stanowczo, zakładając plecak na ramię. — Miło było was poznać, ale czas na mnie. Nie dokładam się do trzech! — pożegnał się popularnym wśród Weteranów zawołaniem.

Mężczyźni z biblioteki podeszli do niego, by uścisnąć mu dłoń.

— Uważaj na siebie, Dziki — powiedział Pająk z powagą. — Stąd nie ma bezpiecznej drogi.

— Dzięki. Wy też trzymajcie się bezpiecznie — odpowiedział, kiwając głową.

Bliźniacy pomachali mu na pożegnanie, a Dziki, z częściowo zrealizowaną misją, ruszył z powrotem w kierunku wyjścia

Powrót do Faktorii na szczęście odbył się bez kolejnych niespodzianek czy spotkań z Niewykształconymi. Dziki był za to ogromnie wdzięczny opatrności, bo poparzenia po walce ze Spalaczem zaczynały mu coraz bardziej doskwierać. Skóra na twarzy i dłoniach piekła nieznośnie, a ubranie przylegało nieprzyjemnie do łuszczącego się ciała.

Przechodząc przez dziedziniec, minął stopy skrzyń i metalowych części, których rano jeszcze tutaj nie było. Pracownicy Faktorii oderwali się od swoich zajęć, przyglądając mu się z niepokojem. Nie było w tym nic dziwnego — musiał wyglądać przerażająco z czerwoną, poparzoną twarzą i pokrytymi bąblami rękoma.

Mimo bólu Dziki poczuł ulgę. Wiedział, że za chwilę będzie mógł odpocząć. Pośpiesznie ruszył, by oddać Siwemu zamówione książki, mając w głowie tylko wizję łóżka i chłodnego okładu.

Siwy mimo późnej pory, wciąż siedział w swoim biurze nad stertą dokumentów. Słyszając kroki Dzikiego, podniósł wzrok, a jego oczy rozszerzyły się z przerażenia.

— Dzikusku! Co się stało?! — zawołał, wstając gwałtownie z krzesła. — Wyglądasz okropnie!

Dziki spróbował się uśmiechnąć, ale ból mu to uniemożliwił.

— Spotkałem Spalacza — odpowiedział cicho, z trudem artykułując słowa. — Ale za to mam dla ciebie książki.

Siwy spojrzał na jego plecak, ale natychmiast pokręcił głową.

— Książki mogą poczekać! Musimy cię natychmiast opatrzyć. Chodź, pomogę ci... — zażądał stanowczo, obejmując go delikatnie i prowadząc w stronę zaplecza.

Dziki nie protestował. Czuł, że siły go opuszczają. Korytarz wydawał się dłuższy niż zwykle, a otaczające go ściany zdawały się falować. Pracownicy Faktorii ustępowali im z drogi, wymieniając zaniepokojone spojrzenia.

Siwy wprowadził go do niewielkiego pokoju na tyłach budynku, który służył jako prowizoryczny punkt medyczny. W środku panował półmrok, a jedynym źródłem światła była mała lampka stojąca na stoliku obok łóżka.

— Usiądź tutaj — polecił Siwy, pomagając mu zająć miejsce na kozetce. — Zaraz znajdziemy coś na te rany.

Dziki opadł na materac, czując, jak mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa. Głowa zaczęła mu pulsować, a przed oczami ponownie pojawiły się mroczki.

Siwy szybko przeszukiwał szafki, wyciągając bandaże, maści i butelki z lekami. Tego na szczęście w Faktorii nie brakowało.

— Nie powinienem był puszczać cię samego skarbie — mruknął, wyciągając słoik z jakimś kremem. — Centrum to nie miejsce na samotne wyprawy...

Dziki próbował odpowiedzieć, że to nic, ale z jego ust wydobył się tylko cichy jęk. Siwy w tym czasie ściągnął mu kamizelkę, a potem zaczął smarować dłonie i twarz.

— To oczyści rany i pomoże w gojeniu — powiedział łagodnie. — Ale będzie bolało... — dodał po chwili.

Dziki starał się wytrzymać jak najdłużej, ale każda sekunda, w której Siwy natłuszczał mu ręce kremem, była torturą. W końcu nie wytrzymując z bólu, wzdrygnął się niekontrolowanie, prawie wstając przy tym z kozetki.

— Przepraszam — szepnął Siwy, widząc jego grymas. Zdecydowanym ruchem posadził go ponownie. — Ale musimy to zrobić, żeby zapobiec infekcji.

Dziki zamknął oczy, próbując skupić się na czymś innym. Myśli zaczęły mu się plątać, a świadomość powoli ulatywała. Poczuł, jak czoło zaczyna mu się pocić, a ciało drży z zimna, mimo że skóra płonęła.

— Chyba... nie jest ze mną dobrze — wyszeptał z trudem.

Siwy spojrzał na niego z rosnącym niepokojem i przyłożył wierzch dłoni do jego czoła.

— Masz gorączkę skarbie. To niedobrze — stwierdził, marszcząc brwi.

— Musimy cię położyć.

Po tych słowach pomógł mu ułożyć się na łóżku. Przykrył lekkim kocem, a następnie odwrócił się do drzwi i zawołał— Ktoś tam jest? Potrzebuję pomocy!

W progu po chwili pojawiła się młoda kobieta o krótkich, rudych włosach, ubrana w roboczy kombinezon.

— Co się stało, szefie? — zapytała natychmiast.

— Przynieś mi zimną wodę i czyste ręczniki. Dziki jest poparzony i ma gorączkę — polecił Siwy.

— Już... — odpowiedziała i zniknęła w korytarzu.

Siwy usiadł obok łóżka, ale Dziki widział go już jak przez mgłę.

— Musisz odpocząć. Nie martw się o nic...

Dziki przymknął na chwilę oczy. W tym momencie jego świadomość rozdzieliła się jakby na dwie części. Ta racjonalna wiedziała, że nie jest w stanie nic zrobić, ale ta, która miała kontrolę nad ciałem, mamrotała nieskładnie — Nie mam czasu... Muszę wrócić do pracy... Hiena, Daro...

— Teraz najważniejsze jest twoje zdrowie — przerwał mu Siwy stanowczo.

Dziki próbował jeszcze coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. Świat wokół zaczął się rozmywać, a dźwięki stawały się przytłumione. Poddał się, zatapiając w ciemność.



Rozdział XI

Domykając Życie

Dziki spędził kilka długich dni, leczący rany w zakamarkach Faktorii. Mimo upływu tygodnia od wyprawy do centrum, jego poparzenia wciąż pulsowały tępym bólem, a skóra pozostawała napięta i niezwykle wrażliwa na dotyk. Niemniej, dopóki mógł tłumić ból lekami, nie miał zamiaru odpoczywać dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Wiedział, że jeśli przestałby regularnie odwiedzać Wspólnotę, zmniejszyłaby się szansa, że Hiena, Klucz i Pers spróbują go schwytać. Myśl o tym, że mógłby przegapić okazję do konfrontacji, była dla niego nie do zniesienia. Bez względu na wszystko, po prostu musiał się wystawiać.

Niestety, Siwy nie zaakceptował od razu jego decyzji o powrocie do pracy.

— Nie możesz teraz wychodzić, Dzikusku! — rzucił, krzyżując ramiona na piersi, gdy Dziki przyszedł po nową listę zamówień. — Twoje rany ledwo się podgoiły.

— Poradzę sobie. Nie dam rady siedzieć beczynn timer — odpowiedział, starając się nie dać po sobie poznać, że wciąż męczy go ból.

Obaj dobrze wiedzieli, że rekonwalescencja była zdecydowanie zbyt krótka, by mógł wrócić do pełni sił.

— Widzę, że jesteś jednym z tych głupich kurczaczków, co źle znoszą odpoczynek. Zdrowie jest najważniejsze — przekonywał Siwy, przeczesując dłonią swoje jasne włosy.

Dziki spojrzał mu potem prosto w oczy i stawiając wszystko na jedną kartę, stwierdził — Muszę wrócić do pracy. Po prostu muszę. Skoro uważam, że jestem gotów, proszę, uszanuj to...

Siwy zmarszczył brwi, zastanawiając się przez chwilę. Nie znając pełnych planów Dzikiego, uznał pewnie jego chęć szybkiego powrotu do pracy za dowód niezwyklej lojalności wobec Faktorii.

— Dobrze — stwierdził ze wzruszeniem. — Dzikusku nie przykuję cię przecież do łóżka, jeśli o to nie poprosisz. Ale obiecaj mi, że będziesz ostrożny — zażądał, chociaż w jego głosie wciąż pobrzmiwała nuta wątplenia, czy postępuje dobrze.

— Obiecuję — skłamał Dziki. Po tej rozmowie otrzymał wreszcie kolejną listę z przedmiotami do zdobycia.

Zlecenie okazało się kolejnym z tych dziwnych, choć na szczęście niezbyt trudnych do realizacji. Dziki musiał zdobyć kilka specyfików medycznych, które, na szczęście, nie należały do produktów pierwszej, drugiej, ani nawet trzeciej potrzeby. Tak naprawdę był niemal pewien, że znajdzie je w pierwszej lepszej aptece, nawet jeśli została wielokrotnie przeszukana.

Jego przypuszczenia okazały się słuszne. Po trzech godzinach od opuszczenia Faktorii dotarł do bramy Wspólnoty z plecakiem pełnym tabletek na potencję. W momencie kontroli przed wejściem czuł prawdziwe zażenowanie, widząc, jak strażnicy przyglądają się zawartości jego ładunku.

— Poważnie? — spytał Łysy, który przejął po Mike’u jedno z najlepszych stanowisk we Wspólnocie i wypisywał tymczasowe przepustki.

Dziki przewrócił tylko oczami. Elity Wspólnoty zawsze miały swoje dziwactwa, ale to? To było wyjątkowe nawet jak na ich standardy.

— Specjalne zamówienie... — odparł, wręczając mężczyźnie papier z pieczęcią Siwego.

Łysy uniósł brwi, czytając dokument, a potem westchnął ciężko, zamykając plecak z lekkim obrzydzeniem.

— Zastanawiasz się czasem, czy niektórzy sobie po prostu z nas nie robią jaj? — stwierdził, spoglądając na Dzikiego z przekąsem. — Proszków przeciwbólowych nie można dostać u Sępa już od dwóch tygodni, a ty z apteki przynosisz do nas „świństewka”.

Dziki sam trawiony bólem, poczuł ukłucie współczucia w stosunku do strażnika. Sięgnął do kieszeni i wyciągając pół opakowania tabletek, które sam łykał ostatnio jak cukierki.

— Problem w tym, że w aptekach są już w większości tylko świństwa. Trzymaj — dodał, podając mężczyźnie blister.

Łysy spojrział na niego z wdzięcznością, a na jego twarzy pojawił się wyraz prawdziwej radości.

— Dzięki! Nawet nie wiesz, jak mnie ostatnio łeb napierdala — przyznał, chowając tabletki do kieszeni. Pochylił się potem nieco bliżej i wyszeptał — Słuchaj, jak chciałbyś trochę odpocząć we Wspólnocie, to nie uwzględnę cię w ogóle w rozliczeniu czasu.

Dziki pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

— Dzięki, Łysy, ale muszę wracać do roboty. Zdaję towar i w miasto — odparł, przechodząc przez bramę.

Wewnątrz Wspólnoty panował zgiełk jak po Błysku. Ludzie krzatali się po wąskich uliczkach między budynkami, a w powietrzu unosiły się zapachy gotowanych potraw i dymu z ognisk. Klient, który zamawiał to dziwactwo, był jednym z członków Konglomeratu. Konkretnie głównym elektrykiem Wspólnoty. Jego mieszkanie znajdowało się przy samym murze, w ładnym, parterowym domku otoczonym niewielkim ogrodem.

Dziki, stając przed wejściem, zapukał w ciężkie, drewniane drzwi, a już po chwili otworzyła mu półnaga kobieta w prześwitującej podomce.

— Tak? — spytała delikatnym głosem, przyglądając mu się z lekkim zainteresowaniem.

Dziki spuścił wzrok, czując się nieswojo przez jej skąpy strój.

— Jestem od Siwego — odparł, przesuwając spojrzenie na swoje buty.

— Och, proszę wejść — powiedziała, odwracając się na pięcie. — Zaraz zawołam skarbusia, chyba majsterkuje coś w warsztacie...

Kobieta poprowadziła Dzikiego do kuchni, gdzie jakaś inna dziewczyna w podobnie skąpym stroju zajmowała się gotowaniem obiadu.

— Kto to, Doris? — spytała kucharka, rzucając okiem na Dzikiego.

— Zdaje się, że handlarz. Idę po Borysia... — odpowiedziała pierwsza kobieta, znikając w korytarzu.

Dziki usiadł przy drewnianym stole, wciąż spoglądając w podłogę. Po chwili do kuchni wszedł sam pan domu. Mężczyzna ubrany we flanelową koszulę i robocze spodnie spojrzał na gościa z wyrazem zadowolenia.

— No nareszcie. Nie mogłem się doczekać — powiedział z entuzjazmem. Jednak widząc poważną minę Dzikiego, przerwał i spytał niepewnym tonem: — Zaglądał pan do środka?

Dziki uniósł wzrok, spoglądając mu z ironią prosto w oczy.

— Ja to dla Pana szabrowałem, więc wiem, co to jest... Nie mówiąc już o tym, że musiałem pokazać zawartość strażnikowi przy bramie — westchnął, czując narastającą irytację.

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy, drapiąc się nerwowo po karku.

— Ojej, heh, głupia sprawa... Pewnie ma mnie Pan za jakiegoś zboczeńca... — stwierdził zawstydzony gospodarz, unikając spojrzenia Dzikiego.

Dziki wzruszył ramionami, starając się zachować profesjonalizm.

— Na Pana szczęście, ja tylko dostarczam, nie oceniam — stwierdził sucho, ale najwidoczniej jego rozmówca musiał mieć jakiś mocny kompleks, bo zaczął się tłumaczyć.

— Ale tu naprawdę nie chodzi o to, co Pan myśli... Ja prowadzę eksperyment — powiedział z naciskiem, unosząc palec w geście podkreślenia ważności swoich słów.

Dziki uniósł brew, spoglądając na niego z niedowierzaniem. W normalnych okolicznościach, pewnie by odpuścił, ale przez ciągły ból od poparzeń był tak podminowany, że nie wytrzymał i rzucił ironicznie — Bada Pan w jakim czasie dwie kobiety zajeżdżą na śmierć jednego mężczyznę?

Elektryk zmieszał się na moment, ale szybko odzyskał rezon.

— Nie, proszę Pana, ja próbuję doprowadzić do pierwszego poczęcia w Nowym Świecie! — zawołał dumnie, prostując się i kładąc dłoń na piersi.

Dziki popatrzył na niego zdziwiony, a przez jego twarz przemknął cień zaskoczenia. Borysio skarbuś, kontynuował natomiast głosem o dziwo pełnym pasji — Nie wiem, jak długo jest Pan w tym świecie, ale zapewne nie zauważył Pan tutaj żadnej kobiety w ciąży, żadnego dziecka. Pewnie myśli Pan, że w tych warunkach nikt nie chce ich po prostu robić, ale to nie to... Jestem w stałym kontakcie z doktorem Zoidbergiem. Mam trzy żony w pełni zdrowe, z których każda miesiączkuje normalnie. Moje nasienie było badane i jest pełne plemników, a jednak jak bardzo byśmy się nie starali, nie udało nam się do tej pory począć dziecka.

Dziki westchnął, czując narastające zmęczenie tą rozmową.

— To chyba dobrze... — przerwał mu, patrząc z powagą. — Ja na przykład uważam, że sprowadzanie do tego koszmaru dzieci jest skrajnie nieodpowiedzialne...

Mężczyzna spojrzał na niego z oburzeniem.

— Więc jak według Pana ma wyglądać przyszłość? — spytał z naciśkiem. — Przecież, gdyby wszyscy myśleli jak Pan, cała ludzkość by wymarła...

Dziki wzruszył ramionami, odpowiadając spokojnie — Nie wymrze... przynajmniej nie tak szybko. Bo my się nie starzejemy...

Borys, spojrzał na niego zaintrygowany. Najwidoczniej nie spodziewał się, że byle dostawca będzie miał jakiegokolwiek głębsze pojęcie o otaczającej ich rzeczywistości.

— Słyszałem o tej teorii, niemniej... — zaczął niepewnie.

— To nie teoria — przerwał natychmiast Dziki, patrząc mu prosto w oczy. — Tylko potwierdzony fakt. Byłem na Zarzeczcu i widziałem człowieka, który w momencie Błysku miał praktycznie siedemdziesiąt lat. Przeżył tam na pewno więcej niż dziesięć kolejnych, a jego stan wcale się nie zmienił. To zresztą nie jedyny przypadek...

— Byłeś na Zarzeczcu?! — przerwał natychmiast Borys, zapominając nawet o grzecznościowej formie. — Ty musisz być Dziki! Cholera jasna, nawet nie wiesz, jak żałowałem, że o twojej wizycie w barze dowiedziałem się po czasie. Teraz musisz mi wszystko opowiedzieć! — zawołał, opierając ręce na stole i pochylając się ku niemu.

Dziki podniósł zirytowany oczy do góry, czując narastającą frustrację. — *Czemu po prostu nie zamknąłem mordy...* — pomyślał.

Stojący przed nim facet wyglądał na napaleńca gotowego zatrzymać go choćby siłą. Na szczęście nim zdążył powiedzieć cokolwiek, przyszło wybawienie. Jakiś strażnik wpadł do domu praktycznie bez pytania, zdyszany i wyraźnie poruszony.

— Borys! Mamy dziwną sytuację pod bramą, potrzebny jest ktoś z Konglomeratu! — zawołał, gestykulując nerwowo.

— A... ok, już idę — powiedział mężczyzna, wstając pośpiesznie i zapominając o Dzikim.

Ten wykorzystał moment i wymknął się z mieszkania tuż za gospodarzem. Trzymając dystans między sobą a swoim niedoszłym dręczycielem, śledził go aż do murów, gdzie zauważył skupisko ludzi ściśniętych pod bramą.

Przebijając się łokciami przez zgromadzony tłum, Dziki dostrzegł jakiegoś mężczyznę z myśliwską strzelbą i czerwoną opaską na ramieniu. Jego ubranie było zakurzone, a mina była wyjątkowo nerwowa.

— ...nie chcemy tutaj takich jak ty! Wynoś się do Daniela! — zawołał jakiś Weteran, wychodząc naprzeciw przybyłego mężczyzny.

— Po co go w ogóle go wpuszczalesz? Jebanego zdrajcę! — krzyknął jeden z mieszkańców Wspólnoty, zaciskając pięści.

— Wysłuchajcie go, to zrozumiecie! — zawołał Łysy, stając tuż nad przybyszem i unosząc ręce w uspokajającym geście.

Mieszkańcy wyglądali na zmieszanych, szeptali między sobą. Stojący na przodzie Weteran popatrzył z pogardą na zapewne byłego towarzysza.

— A co taka szumowina może mieć ciekawego do powiedzenia?! — syknął, mierząc go wzrokiem.

Mężczyzna z czerwoną opaską otrzepał się i poprawił ubranie. Najwidoczniej chwilę wcześniej musiał brać udział w jakiejś szarpaninie. Rozglądając się po zgromadzonych, wykrzyknął w końcu — Drugi most został odbudowany!

Wszyscy zgromadzeni popatrzyli zszokowani. Niektórzy kręcili głowami z niedowierzaniem.

— Zarzecz przeszło ogromnymi siłami od tamtej strony miasta i runęło na Strefę Głodu! — wykrzykiwał dalej przybysz, głosem drżącym z emocji. — Daniel się wybronił, ale ponieśli ogromne straty. Ocaleni są wykończeni, ranni! Sam Daniel ledwo się trzyma, bo przez całą bitwę odpierał główne siły. Gdybyśmy teraz zaatakowali, Wolni Weterani, Wspólnota, Grobelni i Siwy, Sojusz Bloków — pokonalibyśmy go bez problemu!

Mieszkańcy i Weterani stali jak zmrożeni. Niektórzy patrzyli na siebie niepewnie, w głowach innych zapewne zaczynała teraz świtać jakaś myśl. Po chwili tłum zawył entuzjastycznie — Na Strefę Głodu! Śmierć Danielowi! H-Market dla wszystkich!

— Zabierzcie go do budynku rady! To jest coś, co muszą rozważyć! — rozkazał Borys, a jego głos ledwo przebił się przez gwar. W towarzystwie strażników odeskortaował przybysza, a tłum zaczął się powoli rozchodzić, dyskutując zażarcie o tym, co usłyszeli.

Dziki natomiast został na placu sam, ściskając nerwowo pięści. — *Więc się zaczęło* — pomyślał, czując ciężar tej sytuacji. — *Nim cokolwiek zdążyłem zrobić.*

Wiedział, że może potrwać, zanim jego wrogowie przygotuje kolejną zasadzkę. Nie sądził jednak, że będzie to trwało tak długo. Czas oczekiwania

działał na niego jak jad, powoli zatruwający myśli i rodzący coraz większą irytację. Co mógł jednak zrobić? Wściekły, postanowił wracać natychmiast do Faktorii, gdy nagle drogę zastąpił mu jakiś mężczyzna.

Nie wyglądał na Weterana. Jego ubranie było zbyt czyste i za mało militarne. Miał na sobie prostą, choć nieco znoszoną koszulę i spodnie, które mimo wszechobecnego kurzu zachowały względną czystość. Jego twarz była ogolona, a włosy starannie przycięte. Prawie na pewno był mieszkańcem Wspólnoty.

— Ty jesteś ten Dziki od Siwego? — spytał, spoglądając na niego niepewnie.

Dziki zmierzył go uważnie wzrokiem, oceniając potencjalne zagrożenie.

— A czego chcesz? — zapytał chłodno.

Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę, jakby szukając właściwych słów.

— Ile trzeba zapłacić, żebyś dostarczył mi coś? — zaczął, mówiąc szybko. — Powiem ci, gdzie to znaleźć, masz tylko dostarczyć...

Dziki uniósł brew, nieco zaskoczony nagłą propozycją. Coś w zachowaniu nieznanego go wzbudzało jego podejrzliwość.

— Ja tylko dostarczam. O cenach gadaj z Siwym... — odpowiedział stanowczo, podając mężczyźnie radiostację z nastawionym kanałem Faktorii. — Skontaktuj się z nim i ustalcie szczegóły.

W międzyczasie zauważył, że z budynku rady wyszedł Borys. Nie chcąc ryzykować kolejnego spotkania z natrętnym elektrykiem, postanowił szybko zejść z ulicy.

— Poczekał w barze, aż coś ustalicie. Tylko żebym cię potem nie szukał z tym radiem... — rzucił szorstko, patrząc na mężczyznę.

Zostawiając negocjacje szefowi, odwrócił się na pięcie i zniknął w jednej z bocznych uliczek, kierując się w stronę znanego sobie lokalu.

W barze panował półmrok, a powietrze było ciężkie od dymu i zapachu papierosów. Dziki zamówił sobie energetyka i usiadł przy stoliku w rogu, skąd miał dobry widok na wejście. Siorbiąc zimny napój, obserwował leniwie innych bywalców. Czekał tak około dziesięciu minut, nim mężczyzna wrócił. Wyglądał na nieco zdenerwowanego.

— Dobra, wszystko ustalone... — powiedział, podchodząc do stolika i oddając Dziukiemu radio. — Siwy wyjaśni ci szczegóły. Będę czekał tutaj, nie ociągaj się...

Dziki wzruszył ramionami, dopił energetyka jednym haustem i wstał od stolika.

— Jasne — mruknął, kierując się w stronę wyjścia.

Na zewnątrz wyjął radiostację i skontaktował się z Siwym by potwierdzić szczegóły.

— Co masz dla mnie? — zapytał, idąc wolnym krokiem wzdłuż pustej ulicy.

— Nie wiem, Dzikusku... — odezwał się zniekształcony zakłóceniami głos Siwego. — Dla mnie ten człowiek jest jakiś dziwny, a ty ledwo trzymasz się na nogach. Wolałbym, żebyś już wrócił do Faktorii...

Dziki zatrzymał się, marszcząc brwi.

— W jakim sensie dziwny? — spytał natychmiast.

Siwy westchnął, po czym zaczął tłumaczyć — Trzymaj się. On chciał, żebyśmy mu załatwili gitarę klasyczną...

Dzikiemu, aż opadła szczeka.

— Niezły pajac... — wtrącił z przekąsem, próbując rozładować napięcie.

— Nie to jest najciekawsze — kontynuował Siwy. — Tak się złożyło, że ja mam gitarę w Faktorii. Kupiłem kiedyś jak ozdobę, gdy jeszcze mogłem sobie pozwolić na takie zbędne wydatki. Powiedziałem mu, że jutro dostarczymy, a on na to, że nie, że ma być dzisiaj i że chce konkretnie gitarę ze szkoły muzycznej, bo to dla niego jakaś pamiątka. Jeszcze opowiadał, że cena nie gra roli...

Dziki zmarszczył czoło, przystając na chwilę przy zrujnowanym murze. Coś tu nie pasowało.

— I to jest problem? — spytał zaskoczony.

Siwy zawahał się przez moment.

— Pozwoliłem sobie na mały żarcik. Gdy powiedział, że cena nie gra roli, rzuciłem absurdalną kwotkę... Zgodził się natychmiast. On mi nie pasuje, Dzikusku. Zmysł starego handlarza podpowiada, że coś jest nie tak.

Dziki zastanowił się nad tym, analizując szybko sytuację. Nagle jego oczy rozszerzyły się. Może to było to, na co czekał? Może gość był podstawiony przez jego wrogów? Dlatego tak mu zależało, by udał się do szkoły muzycznej? Ta była bardzo blisko Wspólnoty, a jednocześnie na uboczu. Idealne miejsce na pułapkę.

— Siwy, ja bym to łyknął... — powiedział nie chcąc tracić szansy. — Na moją odpowiedzialność.

Właściciel Faktorii westchnął ciężko przez radio.

— Jak chcesz, Dzikusku, ale gdyby były jakiegokolwiek problemy, odpuść. Zaraz ruszamy z innym, dużo bardziej dochodowym projektem. Szkoda się teraz narażać.

Dziki uśmiechnął się lekko pod nosem.

— Jasne. Dam sobie radę — odpowiedział, po czym schował radiostację i ruszył w drogę, czując narastającą adrenalinę.

Bezpieczne szlaki, których nauczył się podczas ucieczki z Pierwszym przed Delimerem, wciąż doskonale mu służyły. Dzięki nim mógł pokonać ogromną część miasta, nie ryzykując przypadkowych spotkań z Niewykształconymi.

Wychodząc ze Wspólnoty, ruszył najpierw osiedlem wzdłuż jej murów, a potem mało znaną drogą pod wiaduktem. Następnie przemknął podwórzami niskich bloków pracowniczych, w których dawniej mieszkali

ludzie związani z PKP. Stamtąd ruszył prosto w kierunku szkoły muzycznej. Po jakimś kwadransie wszedł na otaczający ją park, a włosy na karku stanęły mu z miejsca dęba.

— *Ktoś tu jest* — pomyślał, napinając mięśnie.

Nie wiedział, czy wynikało to z jego własnych błędów, czy może z faktu, że oszalały Hiena nie był w stanie kontrolować swojej Woli, ale Dziki wyczuł nagle jego obecność.

— *To on! W końcu!* — zawołał w duchu, z uczuciem ulgi i przeszedł przez park, aż do jedynego stojącego tam budynku.

Nie chcąc walczyć na otwartym terenie, skierował się w stronę szkoły i przez stare drewniane drzwi wszedł do środka. Chłodne, stęchłe powietrze uderzyło go w twarz. Wyłożony drewnem budynek pachniał starością i grzybem. Na jego ścianach wisiały w szklanych antyramach portrety znanych kompozytorów, których spojrzenia zdawały się śledzić każdy jego krok. Korytarz był pogrążony w półmroku, a echo jego kroków odbijało się od ścian, które od lat nie widziały uczniów.

Przechodząc w głąb budynku, minął szatnię, gdzie wciąż wisiały zniszczone kurtki i płaszcze, pokryte warstwą kurzu. Następnie przeszedł na małą aulę koncertową, która również była częścią placówki. To na niej uczniowie i absolwenci dawali cykliczne koncerty, a miasto organizowało niewielkie konkursy muzyczne.

Wnętrze wyglądało naprawdę dobrze jak na standardy Nowego Świata. Czerwone pikowane fotele, choć pokryte pyłem, wciąż prezentowały się elegancko. Zakurzona kurtyna i obita drewnem scena dodawały miejscu nostalgicznego uroku. Jedynym śladem szabrowników były instrumenty muzyczne porzucane bez ładu w różnych miejscach oraz dziwna wystawka z manekinów usadowionych na pierwszym rzędzie siedzeń. Ich bezwładne, białe twarze skierowane były w stronę sceny, jakby mieli służyć komuś za milczącą publikę.

Dziki minął to zgrupowanie. Stał na scenie, z której miał widok na wszystkie wejścia. Serce biło mu mocno, a oddech stał się płytki. — *Bardziej się już wystawić nie mogę, zaczynajcie do ciężkiej cholery...* — pomyślał, zaciskając dłonie w pięści.

Jak na życzenie do pomieszczenia wkroczył w tym momencie Hiena, a za nim dość niepewnie wślizgnęli się Pers i Klucz. Czyli pułapka nie miała być w żaden sposób subtelna. Oszalały Weteran pewnie chciał pozbyć się Dzikiego z użyciem wyłącznie swoich umiejętności.

Potwierdzał to jego wygląd, o wiele bardziej przerażający niż przy ich ostatnim spotkaniu. Oczy miał przekrwione, a twarz, mimo że pozbawiona normalny rysów, wykrzywiła usta w szaleńczym grymasie. Noże krążyły wokół niego, odbijając słabe światło wpadające przez okna.

— Znalazłem cię, Dziki! — wykrzyczał w końcu, a jego głos odbił się echem od ścian. — Myślałeś, że się przede mną ukryjesz? ŻE MOJA ZEMSTA CIĘ NIE DOPADNIE?! — zawołał, a noże wykonały dookoła niego szaleńczy taniec, zmuszając jego kompanów do gwałtownego cofnięcia się.

Dziki spojrzał na niego z opanowaniem, choć w środku czuł, jak wzbiera w nim gniew.

— I tutaj się mylisz... — wtrącił ironicznie. — To ja chciałem, żebyście mnie znaleźli.

W tym momencie Hiena popatrzył na Dzikiego, jakby dopiero zauważył jego obecność. Jego spojrzenie na chwilę zastygło.

— Dlaczego po prostu nie odszedłeś z Autobusu, tak jak cię o to prosiłem? To się nie musiało tak skończyć... — zawołał głosem spokojnym, choć przesiąkniętym wyrzutem. Po tym jednak zawtórował już opętańczo — ZABIJĘ CIĘ! ZNISZCZĘ! ROZERWĘ NA STRZĘPY! WYSMARUJĘ TWOIMI WNEĘTRZNOŚCIAMI SUFIT!

Dziki, który jeszcze jakiś czas temu zdębiałby, widząc wybuch Hieny, stał teraz zupełnie niewzruszony. Jedno wspomnienie tego nieprawdziwego momentu, w którym Weteran podcinał Mike'owi ramię, rozbudzało jego Pierwotną Wolę do białości. Czuł, jak gniew narasta w nim, niczym ogień trawiący wszystko na swojej drodze.

Najpewniej orientując się, że Dziki wybudził błędy, Hiena chwycił w rękę nóż, a jego oczy zwęziły się w szaleńczym błysku.

— Rozumiem, więc ściągnąłeś mnie tu, żeby walczyć... — westchnął swoim normalnym głosem, by po chwili ryknąć: — TYLKO, ŻE TY NIE MASZ PRAWA WYGRAĆ!

— Skończ to pieprzenie, Hiena! — zawołał zniecierpliwiony Pers, wyciągając broń zdrową ręką. — Kończmy z nim i zmywajmy się stąd!

Wtedy też stało się dokładnie to, czego Dziki się spodziewał. Chociaż Pers nacisnął spust, pociski zrykoszetowały, mijając go.

W tym samym momencie Hiena dokonał istnej eksplozji noży. Wszystkie ostrza, które miał wciśnięte w kabury i które krążyły w kół niego, po prostu rozleciały się, tnąc powietrze jak wściekle osy.

Dziki zeskoczył błyskawicznie ze sceny, chowając się za fotelami. Ostrza wbijały się w siedzenia, rozrywając materiał i drewno. Klucz i Pers wybiegli za drzwi, by nie paść ofiarą tego bezmyślnego ataku.

— NIE CHOWAJ SIĘ! CHCIAŁEŚ WALCZYĆ, WIĘC WALCZ! UMRZYJ, JAK PRZYSTAŁO NA MĘŻCZYZNĘ! — zawołał w jego stronę Hiena, a jego głos tonął w obłędzie.

— Oczywiście, że chciałem walczyć! — krzyknął Dziki, wychylając się na moment zza siedzenia. — Co nie znaczy, że mam zamiar przegrać albo grać na twoich zasadach.

Słyszając jego odpowiedź, Weteran wydał z siebie wściekły ryk. Powbijane w różne miejsca auli noże, zadrżały, by już po chwili, wyrrywając się ze ścian, powrócić do swojego właściciela. Hiena stał teraz pośrodku sali, otoczony latającymi ostrzami, które krążyły wokół niego niczym stalowe sępy.

Dziki wyczuł, że szykuje się kolejne uderzenie. Odskakując odruchowo na bok, usłyszał, jak w fotel, za którym się cował, uderza istna fala. Lecące z niesamowitą prędkością noże roztrzaskały oparcie na drzazgi i wbiły się z impetem w podłogę.

— To wszystko, na co cię stać? — zawołał Dziki z sarkazmem, próbując wyprowadzić przeciwnika z równowagi.

— TY BEZCZELNY SKURWYSYNU! — wykrzyczał Hiena, a jego głos drżał od wściekłości. — TYŁU NIEWINNYCH LUDZI CIERPIAŁO PRZEZ CIEBIE I UMIERAŁO! DLACZEGO PO PROSTU NIE DASZ SIĘ ZABIĆ!

Wsluchując się w oskarżenia mężczyzny, Dziki w ostatniej chwili zauważył, że gromada noży zawisa bezszelestnie kilka metrów nad nim. Gdy tylko na nie spojrział, te runęły jak stalowy deszcz. Ledwo zdołał przeturlać się na bok, unikając trafienia. Ostrza wbiły się w podłogę z takim impetem, że powstały w niej ogromne pęknięcia.

Złość zapulsowała w Dzikim, dając mu teraz okazję do kontrataku. Poderwał się z ziemi. Przebiegł skulony między siedzeniami. Wyprostował, mierząc do Hieny z pistoletu. Broń wystrzeliła, a pocisk wypadł z komory, wzmocniony niewyobrażalną siłą błędu. Dziki był przekonany, że nawet Hiena nie zdoła zagiąć toru jego lotu.

Oszalały Weteran wyratował się jednak nożem, który wystrzeliwując z niezwykłą prędkością, odbił kulę na bok. Pocisk uderzył w ścianę, roztrzaskując tynk i odsłaniając gołe cegły. Po tym nieudanym ataku, Dziki ponownie musiał paść na podłogę, bo fala noży „skosiła” wszystkie siedzenia na wysokości podłokietników. Drewno i tkanina rozpryskiwały się wokół, a kurz wypełnił całą aulę jak mgła.

Dziki skupiał się coraz mocniej na tym, co czuł, gdy widział przed sobą martwego Mike’a. Wola rozpalala się w nim za każdym razem, gdy słyszał w głowie: „Potraktuj to jako odruch litości.”

Momentalnie poderwał się, gotów do kolejnego ataku. Tym razem wystrzelił całą serią wzmocnionych kul. Oszalały Weteran, nie mając dość wolnych noży, by je odbić, musiał schować się między gruzami siedzisk. Pociski, które chybiły, wbijały się w ścianę z siłą, jakby były wystrzelone z działa. Powietrze w auli wypełnił huk eksplozji, a kawałki drewna i tynku fruwały w powietrzu, jakby na cały budynek spadały bomby.

Wykorzystując moment, gdy Hiena go nie widział, Dziki przeskoczył między rzędami. Serce biło mu jak oszalałe, a każdy mięsień był napięty do granic możliwości. Gdy Weteran podniósł się po raz kolejny, pięść Dzikiego leciała już w kierunku jego twarzy, wzmocniona Pierwotną Wolą.

Chociaż zdawało się, że siła tego uderzenia urwie mężczyźnie głowę, pięść zapadła się w twarzy Hieny w nienaturalny sposób, jakby była zrobiona z miękkiej masy.

— Jesteś głupi, nie pamiętam już, kiedy ostatni raz czułem ból... — wyszczał Hiena, a na jego ustach pojawił się szyderczy uśmiech.

— Wiem — stwierdził Dzik, wymierzając kolejny cios. — Nie widziałem jeszcze nikogo z tak ciężkim defektem jak ty! — zawołał przy kolejnym uderzeniu. — Nawet twoje oczy i usta są mniejsze niż u zwykłego człowieka! — dodał, zadając potężny podbródkowy, przez który Hiena runął na plecy. — Zastanawiam się, ile jeszcze walki wytrzymasz, zanim defekt całkiem cię pochłonie — powiedział, patrząc na leżącego przeciwnika.

Hiena otworzył oczy tak szeroko, jak pozwalala mu na to jego choroba. Gdy dotarły do niego słowa Dzikiego, poderwał się z ziemi, jakby pchnięty wiatrem.

— NIE MA TO DLA MNIE ZNACZENIA! — wykrzyczał z desperacją. — NAWET JEŻELI ROBIĘ TERAZ OSTATNIĄ RZECZ W MOIM ŻYCIU, TO BĘDZIE NIĄ ZABICIE CIEBIE!!!

W tym momencie wszystko, co nie było przybite do ziemi, po prostu zawirowało. Krzesła, fragmenty drewna, instrumenty — wszystko krążyło wokół Hieny w szaleńczym tańcu.

Dziki ledwo złapał się jednego ze zniszczonych foteli, by nie dać się porwać temu dziwnemu podmuchowi.

Hiena zaczął się unosić, a latające przedmioty krążyły dookoła niego. Noże, które latały w tym dziwnym cyklonie znacznie szybciej od innych przedmiotów, cięły wszystko, co stało im na drodze niczym w ogromnym blenderze. Dzik uchylił się przed kilkoma ostrzami, ale nie było szans, by uniknął wszystkich.

W końcu jeden z noży wbił mu się w bark, przeszywając mięsień. Ostry ból rozlał się mu po całym ramieniu, a krew zaczęła tryskać z otwartej rany. To sprawiło, że Wola Dzikiego znowu oszalała. Chęć zabicia Hieny sięgnęła apogeum.

Puszczając oparcie, dał się ponieść temu dziwnemu zawirowaniu. Jednocześnie zarzucił ręce na plecy, gotów przełać całą swoją moc zniszczenia przez Skrzydła Motyla. Czuł, jak energia kumuluje się w jego ciele, gotowa do uwolnienia.

Hiena wyczuł zagrożenie. Wyciągnął jedną dłoń, a wszystkie noże wystrzeliły w kierunku Dzikiego. Dzik nie pozostał dłużny. Rozprostowując ręce, uwolnił falę energii pochodzącą ze Skrzydeł. Potężna siła uderzyła w noże, rozbijając je na kawałki. Odłamki metalu rozprysły się wokół, dźwięcząc niczym rozpadające się cymbałki.

Oszalały Weteran, dotknięty energią odpowiedzi Dzikiego, padł na ziemię, dysząc ciężko. W tym samym momencie wszystkie unoszące się przedmioty, runęły w dół, roztrzaskując się o podłogę.

Dziki, podnosząc się obolały spod sterty roztrzaskanych siedzisk, ruszył w stronę swojego przeciwnika.

Tymczasem Hiena rzucał się po gruzach jak oszalały. Wydawałoby się, że od siły tego uderzenia poczuł w końcu ból. Gdy Dziki przyjrzał mu się bliżej, okazało się jednak, że chodzi o coś zupełnie innego.

Jego usta, otwory po uszach i oczy po prostu znikwały, zalewane defektem. Już po chwili twarz mężczyzny przypominała pozbawioną jakichkolwiek rysów głowę Potłuka. Hiena rzucał się na ślepo po podłodze, nie mogąc złapać tchu. Wyciągając rękę, przyciągnął jeden z ocalałych noży i spróbował rozkroić zlepiające się wargi. Za pierwszym razem przyniosło to jeszcze jakiś skutek, bo zdołał złapać oddech, jednak przy drugim podejściu usta zniknęły mu niemal błyskawicznie.

Oszalały Weteran wepchnął sobie niemal całe ostrze w twarz, ale nie dał rady zrobić nawet najmniejszego otworu. Jego ruchy stawały się coraz bardziej chaotyczne, aż w końcu opadł na kolana. Po chwili walki jego ciało osunęło się bezwładnie na podłogę. Hiena udusił się.

Dziki stał nad nim, oddychając ciężko. Pot spływał mu po twarzy, a rana i otarcia pulsowały bólem. Patrzył na bezwładne ciało Hieny, czując mieszanekę ulgi i lęku.

— *Więc tak umiera się od defektu* — pomyślał, przyrzekając sobie w duchu, że prędzej strzeli sobie w głowę, niż doprowadzi do takiego stanu.

Jego wzrok przebiegł teraz po zrujnowanej sali. Po Kluczu i Persie nie było ani śladu, ale nie mogli przecież uciec daleko...

Dziki nie miał zamiaru dłużej czekać. Sprawa z trio musiała być zamknięta, tu i teraz. Serce wciąż dudniło mu w piersi po walce z Hieną, a adrenalina krążyła w żyłach niczym ogień. Nie był pewien, w którym momencie Pers i Klucz uciekli ze szkoły muzycznej, ale wiedział, że wciąż musieli być gdzieś w pobliżu.

Wybiegając do parku przed budynkiem, Dziki wyteżał słuch, starając się wyłapać jakikolwiek szmer, który mógłby zdradzić ich pozycję. — *Jeżeli w pobliżu ukryli samochód Klucza, to na pewno zmierzają teraz w jego stronę* — pomyślał, zaciskając pięści.

Niestety Pierwotna Wola, która podczas walki z Hieną płonęła niczym pochodnia, teraz ucichła, pozbawiając go wsparcia błędów. — *Gdzie ja zostawiłbym auto...?* — zastanawiał się, próbując przypomnieć sobie wygląd okolicy i wtedy nagle go oświeciło. Świetlista Polana była przecież w pobliżu, a Klucz znał to miejsce doskonale.

Bez chwili zwłoki ruszył biegiem przez chaszcze i tyły opuszczonych magazynów, kierując się wprost na dawne miejsce postoju Autobusu do Wol-

ności. Gałęzie drapały go po twarzy i rękach, ale nie zwracał na to uwagi. Pot spływał mu po skroniach, a oddech stawał się coraz cięższy. Serce waliło mu jak oszalałe, a nogi paliły ze zmęczenia. — *Nie ma to znaczenia* — myślał, ignorując ból.

Nawet gdyby miał paść na zawał, tych dwóch miało pożegnać się z życiem.

Przeskakując nad rowem pełnym zaschniętej trawy, wypadł wprost na polanę. Widok, który się przed nim rozpościerał, potwierdził jego przypuszczenia. Sportowy samochód stał niezgrabnie ukryty przy małym lasku na skraju polany. Pers i Klucz pośpiesznie zrzucali z niego gałęzie, nerwowo rozglądając się dookoła. Gdy jednak zobaczyli biegnącego Dzikiego, porzucili oczyszczanie pojazdu i szybko skryli się w środku.

Dziki, widząc Persa, przypomniał sobie momentalnie wszystkie chore sytuacje z nim związane. Jego wyniosły ton, pychę, obrzydliwą dumę i poczucie bezkarności. Wspomnienia przelatowały przez jego umysł jak błyskawice. Wola znowu uderzyła, chęć zmiecenia byłego Weterana z powierzchni ziemi wypełniła umysł Dzikiego.

Przy kolejnym kroku jego but uderzył w ziemię z taką siłą, że wyrwał z niej kępę trawy. Wystrzelił do przodu z prędkością nieosiągalną nawet dla sprintera olimpijskiego. Świat wokół niego rozmył się, a jedynym celem stał się samochód i uciekający wrogowie. Gdy Klucz odpalił silnik, ryk maszyny przebił ciszę polany, ale Dziki był już przed jego maską, blokując im drogę.

— Przejeżdż go już!!! — wrzasnął Pers, a jego twarz wykrzywiła się w przerażeniu. Jednocześnie szarpnął Klucza za ramię, próbując zmusić go do działania.

Nim jednak chłopak zdążył zareagować, Dziki wyprostował rękę z bronią. Czas jakby zwolnił. Chłód metalu w jego dłoni dodawał mu pewności. Skupił całą swoją Wolę w jednym punkcie, celując prosto w czoło Persa.

— Za wszystko — wyszeptał pod nosem i pociągnął za spust.

Kula przeszła powietrze z niewiarygodną precyzją, rozbijając szybę samochodu i trafiając Persa. Jego oczy rozszerzyły się na ułamek sekundy, po czym ciało osunęło się bezwładnie na siedzenie. Głowa mężczyzny zawisła na ramieniu, a strużka krwi spłynęła po jego policzku, barwiąc kołnierz wojskowej koszuli.

Klucz zdębiał. Jego ręka ciągle ścisnęła dźwignię zmiany biegów, ale samochód nawet nie drgnął.

Dziki odetchnął ciężko, czując, jak napięcie powoli opuszcza jego ciało. Spoglądał w przerażoną twarz byłego kompana, dostrzegając jego błagalne spojrzenie.

Minął łukiem samochód. Otworzył drzwi pasażera i bez ceregieli wyrzucił Persa na zewnątrz. Przez chwilę Dziki patrzył na ciało, próbując poczuć

satysfakcję, ale zamiast tego czuł tylko pustkę. Bez dalszej zwłoki usiadł więc na fotelu pasażera.

Klucz spojrział na niego z niedowierzaniem, a łzy napłynęły mu do oczu. Jego wargi drżały, jakby chciał coś powiedzieć, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło. Dźwięk pracującego na jałowym biegu silnika wypełniał ciszę między nimi.

Dziki patrzył przez chwilę na skórzaną deskę samochodu, na której migotały czerwone plamy krwi.

— Wiesz, że naprawdę nie chcę tego robić? — powiedział cicho, nie odwracając wzroku od plam na desce rozdzielczej. — Gdzieś, bardzo głęboko, wciąż nie mogę się pogodzić z zabijaniem ludzi...

Klucz przelknął ślinę, próbując zebrać myśli.

— Dziki... — wyjęczał błagalnie, a jego głos łamał się ze strachu. — Proszę...

Dziki spojrział na niego surowym wzrokiem.

— Milcz i słuchaj! — warknął stanowczo. — Życie bym za ciebie oddał, wiesz? Tak jak oddałbym za każdego z Autobusu. Ba, kiedy Zoidberg spisał cię na straty, oddałem wszystko co miałem, żeby tylko zajął się tobą...

Klucz opuszczył głowę, a łzy spłynęły po jego policzkach. Dłonie zacisnął na kierownicy tak mocno, że aż poczerwieniały mu palce.

— Straciłem przez ciebie Autobus, moich przyjaciół, rodzinę, wszystko, co miałem w tym miejscu... — wyłkał, głosem pełnym bólu i goryczy. — Byłem na ciebie wściekły, bo powinieneś być odejść..., bo ci wszyscy ludzie zginęli, choć byli niewinni.

Dziki poczuł ukłucie winy, ale szybko je stłumił. Zacisnął pięści, a gniew znów zaczął w nim narastać.

— Myślisz, że o tym nie wiem? — ryknął, a echo jego głosu odbiło się w aucie. — Myślisz, że mnie to nie dręczy? Gdyby chodziło tylko o mnie... Gdybyście nie wmieszali w to Mike'a... Nawet by mnie tutaj nie było!

Klucz podniósł na niego zapłakane oczy.

— Ja naprawdę nie chciałem go w to mieszać. Naprawdę nie chciałem... — wyjęczał. — To wszystko wymknęło się spod kontroli...

Dziki spojrział na niego ze złością i żalem.

— Może — odparł chłodno. — Niemniej przekroczyłeś tę granicę. Zachowałeś się dokładnie jak kumple Modrzewia, którzy zaatakowali Autobus. Niby potępiali, że mordował niewinne osoby, zamiast po prostu odstrzelić mnie. Jednak żaden z nich tego nie powstrzymał...

Klucz zaszlochał, ukrywając teraz twarz w dłoniach.

— Dziki, przepraszam, ja... — załkał ponownie, ale Dziki przerwał mu natychmiast.

— Dziś powiesz mi wszystko. Że żałujesz..., że nie chciałeś..., że to oni byli prowadzonymi, nie ty — tłumaczył twardo. — Jutro, gdy nie będzie groziła

ci śmierć, chęć dokonania zemsty wróci. Bo masz do niej prawo. Bo przeze mnie straciłeś to, co uznałeś w tym świecie za najcenniejsze. Gdy w tym momencie będę poza twoim zasięgiem, spróbujesz skrzywdzić mnie w inny sposób. Skrzywdzić kogoś, na kim mi zależy...

Klucz pokręcił gwałtownie głową, a lzy lały się mu po twarzy.

— Dziki, ja naprawdę nie... — próbował tłumaczyć się ponownie, ale jego głos załamał się.

— Ten świat dał mi jedną, bardzo ważną lekcję — kontynuował Dziki, ściskając mocniej pistolet w dłoni. — Spirala zemsty kończy się dopiero, gdy zabijesz wszystkich w nią wciągniętych. Nie powiem wybaczyć, bo to byłoby głupie. Moralnie miałeś prawo próbować mnie zabić, ale ci się nie udało... To jest tego konsekwencją.

Oczy Klucza rozszerzyły się przerażone, jego oddech przyspieszył.

— Proszę... — wyszeptał, ale nim zdążył powiedzieć coś więcej, Dziki uniósł broń i wymierzył mu w głowę.

Przez ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. W oczach Klucza malował się strach, rozpacz. Dziki poczuł przez to ciężar na duszy, ale wiedział, że nie może się zawahać. Nacisnął spust. Huk wystrzału ponownie rozdarł ciszę, a echo poniosło się po polanie. Klucz osunął się na fotel, a jego ciało znieruchomiało.

Dziki siedział obok, wsłuchując się w dźwięk własnego oddechu. Świat wokół wydał mu się nagle nienaturalnie cichy. Warkot silnika ustał. Nawet wiatr jakby zatrzymał się w czasie. Do oczu napłynęły mu łzy, które spłynęły po policzkach, pozostawiając wilgotne ślady.

— Czemu ten świat musi być tak pokurwiony... — załkał.



Rozdział XII

Epitafium

Po zamknięciu trudnego rozdziału zemsty na Hienie, Kluczu i Persie, Dzik planował natychmiast dołączyć do Armii Daniela. Realizację tego zamiaru powstrzymała jednak przypadkowo zasłyszana we Wspólnocie plotka o możliwym ataku pozostałych frakcji na Strefę Głodu. Byłoby nierozsądne deklarować się po stronie Daniela chwilę przed tym, gdy ten byłby zmuszony prowadzić wojnę na dwóch frontach.

Dziki zdecydował się więc kontynuować swoją pracę jako szabrownik Siwego, do czasu aż sprawa się nie wyklaruje. Kolejne dni miały mu powoli, a rutyna szabrownicza stała się dla niego jednocześnie wybawieniem i przekleństwem. Z jednej strony pozwalała mu oderwać myśli od Oli, z drugiej zaś czuł, że jego plan ugrzązł w martwym punkcie. Codziennie wyczekał więc w napięciu na wieści o dalszym rozwoju sytuacji, podsłuchując radiowe komunikaty lub wypytując o informacje Weteranów, którzy przybyli handlować do Faktorii.

Na szczęście dla Daniela i jednocześnie całego planu Dzikiego, iskra, która pojawiła się we Wspólnocie, nie przerodziła się w pożar mający pochłoniąć Strefę Głodu. Owszem, liderzy większych grup spotkali się, by omówić sytuację i przeanalizować ewentualne scenariusze, ale większość uznała, że wojna, którą prowadził Daniel, była dla nich po prostu korzystna. Strefa Głodu przejmowała na siebie cały impet ataków z Zarzecza, co sprawiało, że pozostałe frakcje mogły przynajmniej tymczasowo skupić się na swoich sprawach i nie angażować w walkę. Nawet nieliczni już Wolni Weterani, usprawiedliwiali takie podejście. Na radiu często wspomniano, że niezależnie kto zwyciężyłby ostatecznie, Zarzecze czy Daniel, obie grupy wykrwawia się przy tym do tego stopnia, że spokój przynajmniej na jakiś czas ponownie wróci do miasta.

Kiedy Dzik w końcu upewnił się, że żadna z frakcji po ich stronie nie zamierza zerwać zawieszenia broni, uznał, że nic nie trzyma go dłużej w dotychczasowej pracy. Po długim oczekiwaniu mógł w końcu spróbować dołączyć do walki i skupić się na swoim ostatnim celu — zabiciu Daro.

Oczywiście Dzikiemu nie przeszło nawet przez myśl, by próbować uciec z Faktorii, tak jak planował to zrobić w Zwrotnicy. Nauczony doświadczeniem, wiedział, że Siwy mógłby poczuć się mocno urażony, gdyby pracę u niego po-

rzucił bez słowa, a za wszelką cenę chciał uniknąć tworzenia sobie kolejnych nieprzyjaciół.

— *Poza tym Siwy był dla mnie naprawdę w porządku* — pomyślał, zbierając jednocześnie swoje rzeczy z pokoju, który od dłuższego czasu zajmował. — *Należy mu się uczciwe pożegnanie...*

Po spakowaniu plecaka Dziki poszedł do głównej części Faktorii. Tam zmieniła się właściwie nie do poznania. Zamiast skrzyń z zapasami, na podłodze stały tokarki, prasy, szlifierki i inny ciężki sprzęt. Sam Siwy pochłonięty w całości nowymi projektami, o wiele więcej czasu spędzał w swoim świeżo zbudowanym warsztacie niż przy zwyczajowym handlu. Tym od dłuższego czasu zajmował się głównie jego nowy zastępca — Tymon.

Kiedy Dziki wszedł do biura na swoją pożegnalną rozmowę, widok siedzącego za biurkiem młodzika w grubych okularach nie był dla niego szczególnym zaskoczeniem. Tymon, pochylony nad ciężką księgą rachunkową, obliczał coś, mocno marszcząc przy tym czoło.

Dziki zatrzymał się w progu, przyglądając się zastępcy Siwego, który pochłonięty był swoją pracą do tego stopnia, że nawet go nie zauważył.

— Cześć, gdzie nasz szef? — zapytał w końcu, widząc, że inaczej chłopak nie zwróci na niego uwagi.

— W warsztacie... — odparł Tymon, nawet nie podnosząc wzroku znad papierów. Po chwili jednak dodał — W sumie i tak zaraz miałem po ciebie iść. Wygląda na to, że masz gościa...

— Gościa? — dopytał zaskoczony Dziki, unosząc przy tym brwi.

— Dość wysoki facet, krótko obcięty, dobrze zbudowany... — opisał chłopak. — Kazałem mu poczekać w parku po drugiej stronie. Nie chcę, żeby ludzie nieprzynoszący zysków Faktorii dokładali się bez powodu do trzech — wyjaśnił, wskazując długopisem w stronę wyjścia.

Dzikięgo zastanowiło, kto mógłby chcieć go odwiedzić? Z tego szczątkowego opisu Tymona, tajemniczy przybysz przywodził mu na myśl Mike'a.

— *Może dowiedział się, że pracuję w Faktorii i postanowił mnie znaleźć?* — przemknęło Dzikiemu przez myśl, a serce przyspieszyło po tym nieznacznie.

Musiał przyznać, że od dawna brakowało mu wieści od przyjaciela i był ciekawy, co działo się w Zwrotnicy pod jego nieobecność, ale ta ciekawość nie była pozbawiona drugiego dna.

Niepokój budziła przede wszystkim możliwość, że Mike przybył, by przekonać Dzikiego do powrotu, a ten nie miał już siły na tłumaczenie się po mu raz kolejny. Wiedział, że decyzja o odejściu była konieczna, ale wciąż czuł, że w oczach Mike'a (mimo ich sentymentalnego pożegnania) mogła wyglądać na błąd.

Jeszcze bardziej przerażała go jednak wizja rozmowy o Oli. Czuł się przez to paskudnie, ale naprawdę wołał nie wiedzieć, co się z nią dzieje. Gdyby

usłyszał, że z dziewczyną jest gorzej, że ciężko przeżyła jego odejście, mogłoby to zupełnie wytrącić go z równowagi. Już teraz czuł, że ledwo radzi sobie z ciężarem tego, co pozostawił za sobą.

— Dzięki! Sprawdzę kogo przywiało... — rzucił po tych przemyśleniach do Tymona i z mieszanymi uczuciami ruszył w stronę wyjścia.

Przechodząc do drugiego pomieszczenia, gdzie w Starym Świecie znajdowała się szatnia, minął stojącego na straży Grobelnego. Wartownik przywitał się z nim krótkim uściskiem ręki i odprowadził wzrokiem na zewnątrz.

Tuż przed Bajkolandią znajdował się mały, odgrodzony park z placem zabaw dla dzieci. Tam też, na jednej z ławek, czekał gość odesłany z Faktorii. Mężczyzna, widząc zbliżającego się Dzikiego, podniósł się natychmiast i z uśmiechem na twarzy powiedział — Czołem strażniku! Kopę lat.

Dziki potrzebował kilku sekund, by rozpoznać stojącą przed nim postać. Pewność zyskał dopiero po głosie. Tajemniczym odwiedzającym okazał się nie kto inny, a Janek, dawny kierowca Autobusu do Wolności. Wyglądał jednak zupełnie inaczej niż Dziki go zapamiętał.

Charakterystyczne dredy, które kiedyś były jego znakiem rozpoznawczym, zniknęły bez śladu. Zamiast tego głowę miał ogoloną na krótko, co w połączeniu z wojskową kurtką dodawało mu bardziej surowego i groźnego wyglądu - jak Prawdziwy Weteran. Przez prawą skroń biegła mu długa blizna, nadająca mu iście wojowniczego profilu.

— Janek? To ty? — zapytał z niedowierzaniem, szeroko otwierając oczy.

— We własnej osobie — odpowiedział mężczyzna, wyciągając rękę na powitanie.

Dziki wystrzelił do przodu, chwytając jego dłoń mocnym uściskiem.

— Stary, dobrze cię widzieć. Co z twoją głową?! — spytał, przyglądając się bliżej bliznom i brakującym włosom.

— Wylało się na nią tyle krwi, że była właściwie nie do odratowania! Tak samo zresztą, jak moje dolne jedynki... — odparł Janek z krzywym uśmiechem, demonstrując pokaźną dziurę w uzębieniu.

— No tak... — westchnął Dziki, spuszczając głowę, a wspomnienia ataku na autobus wróciły teraz do niego z całą mocą, wywołując przy tym ogromne poczucie winy.

Tamtej okropnej nocy Janek cudem uniknął śmierci. Po roztrzaskaniu głową przedniej szyby Piętrusa, jego stan był tak tragiczny, że napastnicy uznali go z góry za martwego i nie zwrócili nawet uwagi, że mężczyzna był jedynie nieprzytomny.

— Co w ogóle słyhać? Jak sobie radzisz? — spytał Dziki, który nie miał właściwie kontaktu z byłym towarzyszem.

— Nie jest źle — odparł Janek siadając na ławce i przerzucając rękę przez jej oparcie. — W mniejszej grupie jest nam dużo łatwiej. Zorganizowa-

liśmy sobie takiego busika. Wstawiliśmy dwa łóżka, stolik i tak się kręcimy starymi szlakami.

Dziki, zaskoczony nagłą wizytą mężczyzny, dopiero po chwili przypomniał sobie, że ten podróżował przecież z Kubą i Edkiem. W tym momencie przyszedł mu do głowy scenariusz, który od razu wywołał grymas niezadowolenia na jego twarzy.

— Nasz były Lider też tu jest? — zapytał chłodno, również siadając na ławce.

Słyszając pytanie, Janek westchnął ciężko i rozejrzał się nerwowo po okolicy, jakby spodziewał się, że ten za chwilę się pojawi.

— Jest — przyznał zmieszany. — I wiem, że to nie zabrzmi najlepiej, ale... poprosił mnie, żebym spróbował cię przekonać do rozmowy z nim.

Dziki zmrugał oczy i wbił w dawnego kierowcę lodowate spojrzenie.

— Po tym, co zrobił? — warknął, a w jego głosie zabrzmiało więcej goryczy niż sam się spodziewał. — Albo raczej czego nie zrobił? Dlaczego miałbym w ogóle chcieć z nim rozmawiać?

Janek westchnął jeszcze głębiej, spuszczać wzrok, ale nim zdążył odpowiedzieć jak nikt odezwał się niski głos Kuby: — Bo nie każdy jest taki, jak ty...

Dziki zerwał się na nogi, odwracając się błyskawicznie. Były Lider stał tuż za nimi, najpewniej ukrywając wcześniej przy użyciu błędów i Pierwotnej Woli.

— Masz tupet, żeby po tym wszystkim się przede mną pojawiać... — warknął Dziki, mierząc mężczyznę wzrokiem.

Kuba podobnie do Janka wbił natychmiast spojrzenie w ziemię, a część jego twarzy, której nie skrywała broda, poczerwieniała ze wstydu.

— Dziki, nie jestem odważny. Strach mnie paraliżuje, co mam ci powiedzieć? — zaczął tłumaczyć cicho, a jego głos drżał jakby zaraz miał się rozpląkać. — Jestem tchórzem, ale czy to oznacza, że nie zależało mi na ludziach w autobusie? Zależało! Przecież starałem się ich chronić najlepiej, jak tylko umiałem. Gdybym miał w sobie więcej odwagi, nie potrzebowałbym strażników... nie potrzebowałbym ciebie! — zauważył dość celnie. — Do całej tej sytuacji nigdy by wtedy nie doszło. Tylko, że ja potrafię co najwyżej strzelać do Gospodarzy z daleka... W Starym Świecie nigdy się nawet nie biłem, a moja Pierwotna Wola jest do dupy i nie pozwala na nic oprócz ucieczki.

Słyszając to, Dziki poczuł, że trudno byłoby mu zaprzeczyć słowom Kuby. Oczywiście umniejszając winę byłego Lidera, brał więcej odpowiedzialności za to co się stało na siebie. Tego jego sumienie nie było w stanie znieść, dlatego skontrował natychmiast — Zawiodłem jako strażnik, ale przynajmniej starałem się coś zrobić... Myślisz, że ja się nie bałem? Może gdybyś zareagował, zamiast się chować, mógł przeżyć ktoś jeszcze...

W tym momencie w słowo wszedł Dzikemu Janek, spoglądając na niego surowo.

— Bardziej prawdopodobne, że twoja Pierwotna Wola by się nie przebudziła i zginęlibyśmy wszyscy... — oznajmił stanowczo. — Tamtej nocy zawiódł każdy z nas. Ty jako strażnik, bo nie byłeś w stanie nas ochronić przed zagrożeniem, które sam ściągnąłeś. Ja jako kierowca, bo nie zdołałem uniknąć tego cholerstwa rzuconego na drogę. A Kuba jako Lider, bo dopuścił do tego, by strażnikiem został ktoś, kto ściągał zbyt dużo kłopotów — podsumował, wciąż spoglądając surowo. — Dziki, wiesz, że zawsze bardzo cię lubilem, ale doskonale zdajesz sobie sprawę, że nie powinno cię z nami być. Może więc, skoro wszyscy jesteśmy winni, przestańmy sobie wypominać, który z nas bardziej...

Dziki odetchnął, przyznając w duchu rację Jankowi.

— Niech będzie — rzucił potem, próbując zachować neutralny ton. — To co was do mnie sprowadza? — spytał, chociaż odpowiedzieć była przecież oczywista.

— Chcę tylko wiedzieć, co z dziewczynami z autobusu... — przyznał Kuba, zgodnie z jego domysłami. — Czy wszystko z nimi ok?

— Są bezpieczne — rzucił, krótko Dzik. — Zajmuje się nimi Mike i byli strażnicy Wspólnoty. Niczego im nie brakuje.

— Cieszę się... — odetchnął Kuba z wyraźną ulgą, a jego napięte ramiona nieco się rozluźniły. — Myślisz, że mógłbym się z nimi zobaczyć? — spytał po chwili błagalnym głosem.

Dziki miał ochotę rzucić jakimś opryskliwy tekst, ale spoglądając na Janka, odetchnął ciężko i stwierdził tak spokojnie, jak tylko potrafił — Jeszcze jakiś czas nie. Mike nie chce, by o miejscu ich pobytu wiedziało zbyt wiele osób. Kwestia bezpieczeństwa. To chyba rozumiesz?

— Jasne, oczywiście... — przytaknął Kuba, spuszczać wzrok. — Ale będę się do niego co jakiś czas odzywał. To... Nie chcę ci więcej zawracać głowy...

Były Lider autobusu wycofał się nerwowo i bez pożegnania, znikając po chwili za siatką parku. Janek został jeszcze przez chwilę, z jakiegoś powodu ciągle spoglądając na Dzikiego surowo.

— Wiesz, że w tej sytuacji każdy z nas mógłby mieć do każdego pretenzje. Naprawdę, przestań już rozmyślać, co kto mógłby zrobić. Każdy z nas mógł zachować się inaczej — wyrzucił z siebie, dodając potem weselszym tonem — Cieszę się, że dziewczynom nic nie jest, a tym bardziej że są bezpieczne przy Mike'u. I powiem ci, że nie tylko Kubie brakuje Oli. Ile ja się z tą małą jedząc nakłóciłem, jak jeszcze piętus był cały. A teraz? Oddałbym cały spokój jaki mam, żeby pokłócić się z nią po raz kolejny...

Przez kilka kolejnych minut Janek snuł wspomnienia o różnych wydarzeniach z przeszłości, które wiązały się z dziewczyną. Wyglądało na to, że rozpaczliwie potrzebował kogoś, z kim mógłby podzielić się swoimi tęsknotami.

Dziki w ciszy wsłuchiwał się w jego opowieści, choć w głębi duszy czuł, że tak mogłoby wyglądać dla niego piekło — słuchać bez końca, jak pięknie było życie w Autobusie do Wolności, zanim ten upadł przez jego decyzję.

Kończąc swoje wspominki, Janek rzucił z pozoru żartobliwe stwierdzenie, które jednak, jak na ironię, ostatecznie dobiło Dzikiego — No, ale teraz Oli to problem Mike'a. Założę się, że już trwają negocjacje, jak do jego kryjówki ściągnąć więcej potrzebujących.

— Żeby to było takie proste... — westchnął Dziki, czując ciężar, który zgniatał go w środku.

Nie chciał zdradzać Jankowi prawdy, że z dawnej Oli niewiele już zostało. Na samo wspomnienie tego, co działo się z dziewczyną przed jego odejściem ze Zwrotnicy, poczuł, jak ręce zaczynają mu się trząść, a gardło ściska z goryczy. Wiedział jednak, że nie może się teraz rozkleić. Nie było w jego głowie miejsca na wątpliwości i rozpaczanie. Zemsta była jedyną drogą, którą mógł podążać, jedynym sposobem, by stłumić w sobie poczucie winy.

— Jak rozumiem, przyszedłeś do Faktorii tylko jako adiutant Kuby? — spytał w końcu, chcąc jak najszybciej skończyć rozmowę.

— Taa — potwierdził Janek. — Jak tylko dowiedzieliśmy się, że pracujesz dla Siwego, przez cały czas kombinowałem, jak cię złapać. No ale chyba bałem się, że jakby przyszedł sam, to mógłbyś się na niego rzucić — dodał żartobliwie. — W każdym razie mam nadzieję, że cokolwiek teraz planujesz, dobrze ci idzie.

— Cóż, na razie wszystko dzieje się po mojej myśli... — odparł Dziki z wymuszonym uśmiechem. — Jakoś tak wyjątkowo...

— Więc powodzenia na przyszłość. My ruszamy dalej — powiedział Janek, wyciągając rękę by się z nim pożegnać.

— Tobie też — odparł Dziki, ściskając mocno jego dłoń. — Uważaj na siebie!

Po tych niespodziewanych i jednocześnie dobijających odwiedzinach, Dziki wrócił do Bajkolandii z mieszanymi uczuciami. Ciągłe jeszcze czekała go rozmowa z Siwym. Spróbował więc, chociaż na chwilę skupić się tylko na tym, co ma mu do powiedzenia.

Przekraczając próg głównej hali, dostrzegł ponownie Tymona, który dalej siedział przy biurku. Chłopak skończył już wyliczenia i z nudów czytał jakąś grubą książkę, przesuwając palcem po linijkach tekstu.

— Sorry, że nie pozwoliłem mu poczekać w środku, ale i tak jest nas tu za dużo, jak na okolice centrum... — stwierdził, nie odrywając wzroku znad treści.

— Spoko — odparł Dziki. — Szef dalej w warsztacie?

— Taaa... — odpowiedział Tymon, ziewając przeciągle. — Ale jeżeli szukasz roboty na dzisiaj, to bryndza. Siwy tak się skupił na nowym projekcie, że nie łapał niczego dodatkowego.

— Wręcz przeciwnie — stwierdził Dziki. — Właściwie to chciałem się pożegnać. Dziś zabieram się z Faktorii — oznajmił.

Słyszając to, Tymon uniósł brwi, ale nie wyglądał na szczególnie zaskoczonego.

— Siwy będzie niepokieszony. Sporo na tobie zarobił. Nie mówiąc już o tym, że pracujesz praktycznie za pół darmo. Dalej masz zamiar dołączyć do wojny z Zarzeczem? — spytał, odkładając na chwilę książkę.

— Tak — potwierdził zwięźle Dziki, krzyżując ramiona na piersi.

— To jest ciekawe — skwitował znużony chłopak, wracając do lektury. — Jedni za wszelką cenę próbują od tego konfliktu uciec, inni pchają się prosto w sam jego środek. W każdym razie powodzenia.

Dziki skinął głową i ruszył w stronę warsztatu, żeby porozmawiać z Siwym. Po przekroczeniu progu nowej części, widok, który zastał zaskoczył go tak bardzo, że zapomniał zarówno o rozmowie z Kubą, jak i o tym, po co w ogóle tutaj przyszedł.

Na podłodze kompleksu pełno było broni. Karabiny, pistolety, części zamienne. Wszystko ułożone rzędami w drewnianych skrzyniach. Zbliżając się do jednej z nich, Dziki od razu rozpoznał pochodzące z okresu drugiej wojny światowej niemieckie pistolety maszynowe. Te, w odróżnieniu od złomu, który fani wykrywaczy metalu znajdowali często w ziemi, były w stanie wręcz idealnym.

Rozglądając się dalej po warsztacie, dostrzegł ludzi pracujących przy stolikach nad różnego rodzaju uzbrojeniem z przełomu wieku. Słychać było stukot narzędzi, szelest papieru ściernego i ciche rozmowy mężczyzn pochylonych nad swoimi projektami.

— Robi wrażenie, prawda, Dzikusku?! — zawołał nagle Siwy, wyłaniając się zza stosu skrzyń.

— Co to w ogóle jest? — spytał Dziki, odruchowo rozmasowując serce, które zabiło mu mocniej z zaskoczenia.

— Przyszłość! Czy to nie oczywiste?! — mówiąc to, Siwy rozłożył ręce, jakby chciał objąć cały warsztat. — Jeżeli Faktoria ma przetrwać, musi oferować coś więcej niż jedzenie i środki medyczne. Coś, po co chłopaczki i dziewczyneczki przyjdą z każdej osady, ryzykując podróż w pobliże centrum. Czyli broń i amunicję.

— Skąd to wszystko?! — zawołał Dziki, ciągle nie mogąc uwierzyć w ilość uzbrojenia, którą zobaczył.

— Z muzeum! — odparł Siwy z szerokim uśmiechem. — Większość tego, co tu widzisz, skarbie, to złom pozbawiony jakiegokolwiek wartości bojowej. Teraz jednak, dzięki maszynom, które tu ściągnąłem, i specjalistom, jakich dał mi Marcinek, będziemy przywracać im pełny zakres użyteczności.

— No dobrze, ale broń z muzeum szybko się skończy. Nasza wystawa nie była jakoś ogromna! — zauważył Dziki, uważając cały pomysł za raczej krótkofalowy.

Siwy podszedł bliżej, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Oczywiście Dzikusku, ale to dopiero początek — odparł z iskrą w oku. — Jak chłopcy się trochę podszkolą i zobaczą, jak się to wszystko w pistoletach układa, mam zamiar zacząć produkować własną broń i amunicję do niej. To zapewni Faktorii stałe źródło dochodów!

Plany Siwego wydawały się naprawdę rozległe i miały szansę powodzenia, ale Dzikiego, który przypomniał sobie właśnie, po co tak właściwie przyszedł, niewiele już interesowały.

— Mam pewną sprawę. Chciałem zamienić w spokoju dwa słowa! — zawołał, starając się przekrzyczeć hałas warsztatu.

— Dobrze, skarbie!!! — odparł Siwy, śmiejąc się lekko. — Tylko chodźmy do biura, bo już mnie gardziółko boli.

Po wejściu do części handlowej, właściciel Faktorii usiadł przy swoim biurku, wskazując Dzikiemu krzesło naprzeciwko. Tymon zostawił ich natychmiast samych, wychodząc z książką w rękę.

— To, co się stało, Dzikusku? — spytał Siwy. — Nudzisz się i szukasz zajęć? Nie mam niestety specjalnych zleceń na obecną chwilę... — przyznał z zawodem.

Dziki wziął głęboki oddech, zbierając się do odpowiedzi.

— Nie o to chodzi — odparł w końcu, zastanawiając się jaka będzie reakcja na kolejne jego słowa. — Chciałem powiedzieć, że czas już na mnie. Muszę ruszać dalej...

Uśmiech na twarzy Siwego zbladł momentalnie, a jego brwi uniosły się w zdziwieniu.

— Czemu, Dzikusku? Żle ci w Faktorii? — spytał, wyraźnie wstrząśnięty. — Możemy przecież zmienić warunki umowy! Nie chciałbym pozbywać się kogoś tak uroczego i pracowitego jak ty...

— Nie chodzi o mój zarobek — zaprzeczył natychmiast Dziki. — A Faktoria to dobry i bezpieczny dom, ale mam sprawy, które muszę podopinać... Sprawy z Zarzeczem...

Siwy zamyślił się przez chwilę, bawiąc się pierścieniem na palcu.

— Wiedziałem, że tak w końcu będzie — westchnął cicho. — Widać po tobie, że ta sprawa z Modrzewiem i jego towarzyszami nie daje ci spokoju. Nie mam prawa cię zatrzymywać, bo jak nikt inny rozumiem pragnienie zemsty, mój skarbie. W końcu, przez moje własne wszyscy mają mnie za potwora... Ale wiesz co? — wtrącił nagle, zmieniając ton na bardziej poważny. — Ja jestem szczęśliwy. Wiem, że każdemu skurwielowi, który zamieniał mi kiedyś życie w piekło, w Nowym Świecie zgotowałem los jeszcze gorszy. Ty też nie odstępuj! Niech twoi wrogowie wycierpią po stokroć to, co ty wycierpiełeś...

Dzikiego zaskoczył ten wywód. Przypomniał sobie jednak pobieżną historię, jaką opowiedział mu Mike o właścicielu Faktorii. Siwy był przecież

ofiara własnej orientacji i w Starym Świecie pewnie nie raz oberwał w twarz za swój pociąg do męskich torsów.

— Dziękuję i cieszę się, że nie masz żalu... — stwierdził Dziki, odczuwając wyraźną ulgę, że rozstanie z Siwym przebiega w tak przyjaznej atmosferze.

Siwy uśmiechnął się szeroko, a w jego oczach pojawił się charakterystyczny błysk.

— Wręcz przeciwnie, skarbie, a nawet w pełni popieram karmienie mściwego potwora... — powiedział z dumą w głosie. — Nim jednak odejdziesz, chciałbym ci coś dać. Poczekaj chwilkę, proszę... — dodał, podnosząc się z krzesła i kierując w stronę warsztatu.

Dziki zamarł, obserwując go z zaciekawieniem.

— *Czyżby chciał mi jakoś zrekompensować tę prawie darmową pracę?* — pomyślał i odczuł nawet delikatne podniecenie na myśl o tym, co mógłby w zamian otrzymać.

Po kilku minutach właściciel Faktorii wrócił, niosąc ze sobą małe, drewniane pudełko. Na jego twarzy malował się uśmiech zadowolenia.

— Nie spodziewałem się, że tak szybko przyjdzie mi cię żegnać, Dzikusku, więc prezent jest niedokończony. Mimo to podejrzewam, że ci się spodoba... — powiedział, podając mu pudełko.

Dziki wziął je ostrożnie do rąk, czując zaskakujący ciężar. Serce zabiło mu mocniej z ekscytacji. Otworzył wieko i zamarł. We wnętrzu znajdował się pistolet o metalowych okładzinach, lśniący w świetle lampy. Na jego boku wygrawerowany był zarys piętrusa oraz napis „DO WOLNOŚCI”.

Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa. Wspomnienia zalały jego umysł.

Siwy obserwował go i zapewne dostrzegając oznaki wzruszenia, wyjaśnił z dumą w głosie — To PS-M1, czyli Pistolet Siwego Model Pierwszy. Zrobiony na bazie muzealnego Visa. Pierwsza broń, jaką przywróciliśmy do funkcjonalności. Graverunek autobusu miał być bardziej szczegółowy, ale czas nie pozwolił...

Dziki spojrzał na swojego szefa, a w jego oczach zaślnęły łzy.

— Siwy... naprawdę nie wiem, co powiedzieć... — wykrztusił, czując, jak głos mu się załamuje.

Widok wygrawerowanego piętrusa zupełnie go rozkleił. Siwy uśmiechnął się ciepło, wyraźnie zadowolony z reakcji jaką dostrzegł.

— Nie ma o czym mówić, skarbie. Dzięki tobie Faktoria przetrwała kryzysowy moment. Pracowałeś dla mnie, nie biorąc właściwie nic w zamian, a przynosząc ogromne zyski. Dzięki temu miałem czas, by pozbierać myśli. Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym nie zdobył się chociaż na tak malusieńki gest.

Dziki delikatnie przesunął palcami po graverunku, czując chłód metalu i jednocześnie ciepło bijące od tego symbolicznego przedmiotu.

— To dla mnie naprawdę... Dziękuję — powiedział wciąż łamiącym się głosem.

Właściciel Faktorii podszedł bliżej i objął Dzikiego w serdecznym uścisku.

— Trzymaj się, Dzikusku. I pamiętaj, że zawsze jesteś tu mile widziany — powiedział, klepiąc go po plecach.

— Ty też się trzymaj Siwy. Oby ci się wiodło — odparł Dzikie kłaniając się.

Po tym pożegnaniu był już właściwie gotowy do drogi, ale wrócił jeszcze na chwilę do swojego pokoju. Po upewnieniu się, że niczego nie zapomniał, schował pistolet Primo do plecaka, a do kabury włożył swój nowy nabytek. Teraz mógł wreszcie ruszyć dalej.

Opuszczając Faktorię poczuł na twarzy chłodny powiew wiatru i niestety charakterystyczny odór. Od Strefy Głodu dzielił go właściwie tylko kawałek, ale za to dość niebezpieczny.

— *Nic gorszego od Spalacza, już raczej nie spotkam* — pomyślał i ruszył powoli w stronę H-Marketu.

Przez kolejnych kilka minut maszerował wśród wyszabrowanych butików i porozbijanych witryn sklepowych. Taki widok ciągnął się przez większość okolicy. Plakaty z wyblakłymi reklamami zwisały ze ścian, w kontraście do świeżego graffiti pokrywającego mury. Przekleństwa i groźby śmierci skierowane w stronę Zarzecza, świadczyły, że malunki powstały już po inwazji.

Nagle Dzikie dostrzegł jedną wystawę, która jakimś cudem oparła się zdezastowaniu albo po prostu niedawno doświadczyła resetu. W Starym Świecie nie było w tej okolicy żadnego sklepu, który mógłby kryć w sobie coś wartościowego, ale przyciągnięty ciekawością stanął przed witryną fotografa.

Pracownia ta skrywała się w tej ulicy od lat. W Starym Świecie praktycznie każdy był tutaj chociaż raz, by zrobić sobie zdjęcie do dokumentów czy szkoły. Miejsce było bardzo popularne, bo fotografie niewiele kosztowały, a czekało się na nie naprawdę krótko. Jedynym warunkiem, jaki stawiał właściciel za swoją niewygórowaną cenę, było prawo do pokazywania zdjęć na wystawce w ramach swoistej autoreklamy.

Dzikie podszedł bliżej, wpatrując się w tablicę pełną fotografii. Setki osób spoglądały na niego zza szyby. Wśród nich już po kilku sekundach wypatrzył swoją własną twarz, skrytą pośród innych profilówek. Młody chłopak z nieśmiałym uśmiechem przyglądał mu się pełnymi życia oczami. Włosy miał nieco dłuższe, a na policzkach ledwo widoczny zarost. Spoglądając teraz na swoje odbicie w szybie, dostrzegł zupełnie inną osobę. Nie potrafił już znaleźć śladu po tym, kim był kiedyś.

— *Gdzie ja się podziałem?* — pomyślał z żalem.

Gdy wpatrywał się w kolejne fotografie, dostrzegł pośród nich twarz Mike'a. Na widok przyjaciela mimowolnie się zaśmiał. Mike był w Starym Świecie wręcz anorektycznie szczupły. Jego zapadłe policzki i chude barki nijak miały się do obecnego, mocarnego wyglądu.

— *Nowy Świat zmienił nas wszystkich* — pomyślał z nostalgią.

Zaintrygowany zaczął wyszukiwać kolejne osoby, które poznał już po Błysku. W kilka sekund odnalazł Krzaka. Mężczyzna praktycznie się nie zmienił, chociaż do fotografii ubrany był w hawajską koszulę, która w ogóle nie pasowała do jego surowej i poważnej twarzy.

W pobliżu wypatrzył też Siwego. Na obrazku był jeszcze bardzo młody. Włosy miał postawione na żel, a na jego koszuli wpięta była przypinka z jedno-rozcem. Wyglądał na beztroskiego, pełnego entuzjazmu młodzieńca.

To było takie dziwne. Wszyscy żyli w Starym Świecie tuż obok siebie, nie mając pojęcia o swoim istnieniu, aż do momentu, gdy Nowy Świat splótł ich losy. Przeglądając kolejne obrazki, dostrzegł kogoś, na widok kogo serce mu zadrżało. Pierwszy, jako jeden z nielicznych, nie uśmiechał się na zdjęciu. Jego oczy wpatrywały się pusto w przestrzeń, a brwi były ściągnięte jak u kogoś pogrążonego w głębokiej zadumie. Zbiegiem okoliczności tuż obok niego dostrzegł Oli. Dziewczyna miała kiedyś dużo dłuższe i już wtedy czerwone włosy, które opadały jej na ramiona w miękkich falach. Jej szczery, ciepły uśmiech nie zmienił się jednak ani trochę... Nie licząc tego, że już się nie uśmiechała. Wspomnienie jej obecnego stanu znów ścisnęło mu serce.

Niewiele ponad nią dostrzegł Korka. Roztrzepany chłopak miał wygniecioną koszulę, ale minę nie mniej radosną od swojej byłej przyjaciółki. Jego oczy błyszczały figlarnie, jakby planował jakiś psikus.

Ci wszyscy ludzie wpatrywali się kiedyś w ten sam aparat, nieświadomi tego, że za jakiś czas zostaną zniszczeni przez Nowy Świat. Jedni zdradzeni, inni upodleni, niektórzy zabici...

Dziki poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Złość, smutek i bezsilność mieszały się w jego wnętrzu. Dając upust swojej frustracji, chwycił za pistolet i wystrzelił w witrynę. Huk strzału rozdarł ciszę, a echo poniosło się w pustych ulicach. Szkło rozprysło się na kawałki, rozsypując wokół jego stóp.

Sfrustrowany, chwycił za tekturową ekspozycję i zepchnął ją w głąb pomieszczenia. Zdjęcia rozleciały się po podłodze, a twarze ludzi z przeszłości patrzyły na niego z niemym wyrzutem.

— TO JUŻ PRZEPADŁO! — krzyknął, a jego głos drżał. — TEGO JUŻ NIE MA!!!

Przez chwilę stał nieruchomo, patrząc na zniszczenia, które sam spowodował. Czy to cokolwiek zmieniło? Czy przyniosło mu ulgę? Biorąc kilka głębokich wdechów, spróbował się uspokoić.

— *Muszę iść dalej* — pomyślał.

Stając krok przed królestwem Daniela, Dziki od razu dostrzegł, jak bardzo miejsce to zmieniło się pod wpływem inwazji z Zarzecza. Obozo-

wisko złożone z prowizorycznych szalasów, które wcześniej zajmowało większość parkingu przed H-marketem, zniknęło bez śladu. Zamiast niego rozciągał się tam teraz rząd długich, zielonych namiotów, ustawionych z niemal wojskową precyzją. Ich płócienne ściany falowały lekko na wietrze. Między nimi powiewały ręcznie malowane flagi Armii, nadając miejscu surowy, wojskowy charakter.

Cherlacy, których kiedyś pełno było w Strefie Głodu, również zniknęli, a ich miejsce zajęli w większości Weterani ochotnicy. Oprócz nich po placu kręcili się też jacyś ludzie ubrani w niebieskie kombinezony. Dziki zmrużył oczy, próbując odgadnąć kim są.

— Technicy? Medycy? — pomyślał na głos, zastanawiając się czy powinien wejść głębiej.

Wiedział doskonale, że w Armii wciąż są ludzie, którzy pamiętają wydarzenia spod cegielni i mogą żywić do niego osobiste pretensje.

Ze względu na swoją przeszłość postanowił nie ryzykować przedzierania się do Gorgoru. Zamiast tego ustawił się tak by wejść w zasięg kamer ochrony zamontowanych na budynku. Wiedział dobrze, że ludzie Daniela obserwują teren cały czas, donosząc wodzowi o wszystkich nowoprzybyłych.

— *Teraz pozostaje tylko czekać* — pomyślał, czując, jak z napięcie ścisła mu żołądek.

To był dla Dzikiego najbardziej nerwowy moment całego planu — bardziej nawet niż chwile, gdy pracując w Faktorii, wystawiał się na ataki tych, którzy woleliby widzieć go na plecach Grabarza. Nie był pewien, jak Daniel zareaguje na jego obecność. Czy uzna go za intruza, czy może za sojusznika? Jedno wiedział na pewno: jeśli wódz armii zdecyduje się go zlikwidować, żadna Pierwotna Wola, nie byłaby w stanie go uratować.

Choć zdołał pokonać Hienę, wiedział, że to niewiele znaczy w konfrontacji z prawdopodobnie najpotężniejszym człowiekiem w Krańcowie. Nie miałby szans nawet próbując uciec przed Danielem, a co dopiero gdyby chciał się bronić przed jego atakiem.

A mimo to był tutaj. Stał twarzą w twarz. Stawka była jednak dla niego zbyt wysoka, by zawrócić. A może bardziej niż śmierci, bał się właśnie zawrócić?

— *Ściągnąłbym na nich tylko kolejne problemy...* — próbował przekonywać samego siebie, gdy przez myśl przeszło mu wspomnienie Zwrotnicy.

Przez kilka kolejnych minut próbował uspokoić bijące jak oszalałe serce, ale jego myśli krążyły wyłącznie wokół najgorszych scenariuszy. — *Sam przyjdzie mnie zabić? Czy może wyśle Maciejewskiego, żeby skręcił mi kark...* — rozważał, czując, jak zimny pot spływa mu po plecach.

Nagle jego uwagę przykuło poruszenie na placu. Weterani zaczęli wychodzić ze swoich namiotów, unosząc głowy i wpatrując się w stronę dawnej

Strefy Głodu. Po ich wyjątkowo ekspresyjnych reakcjach domyślił się, że nadchodzi sam wódz.

Dostrzegając w końcu sylwetkę Daniela, Dziki poczuł, jak napięcie w jego ciele nieco zelżało. Wzrok przykuły dwie butelki oranżady w rękach mężczyzny.

— *Czyli przynajmniej zacznie się od rozmowy* — pomyślał z ulgą, rozluźniając zaciśnięte w napięciu pięści.

Daniel ubrany w ciemny oficerski płaszcz, minął umowną granicę parkingu i zatrzymał się przed nim.

— Dziki! Spodziewałem się ciebie wcześniej... — powiedział z wyraźnym rozbawieniem, podając mu jedną z butelek. — Wybacz, miałem w domu tylko to... — rzucił, wskazując oranżadę i usiadł na murku oddzielającym parking, od chodnika. — Możesz wierzyć lub nie, ale nawet mi się ostatnio nie przelewa... — wyznał, krzywiąc się z niesmakiem.

Dziki usiadł ostrożnie obok niego i delikatnie otworzył kapsel.

— Market się ostatnio nie resetował? — spytał, nie wiedząc właściwie od czego powinien zacząć rozmowę.

Daniel wzruszył tylko ramionami, spoglądając w dal.

— To akurat nie jest problem... — odpowiedział, krzywiąc się lekko i sam również otworzył butelkę. — Weterani! Oni żrą jak szarańcza. Wykorzystują to, że są mi obecnie potrzebni, nadużywając mojej gościnności.

Dziki skinął głową ze zrozumieniem, a Daniel spojrzał na niego świdrującymi oczami.

— Muszę przyznać, że chyba w stosunku do żadnej innej osoby nie dzielą mnie tak mieszane uczucia — oznajmił niespodziewanie, nie spuszczając wzroku ze swojego gościa.

— To znaczy? — dopytał Dziki, próbując zachować spokój.

Daniel westchnął, odwracając na moment wzrok. Spojrzał przez ramię, sprawdzając chyba, czy nikt z Weteranów nie zbliżył się na tyle, by móc ich podsłuchać.

— Z jakiegoś, nie do końca jasnego dla mnie powodu, polubiłem cię — stwierdził niespodziewanie, wracając wzrokiem do Dzikiego. — Nie wiem dlaczego, ale charakterem zawsze pasowałeś mi na brata...

Dziki nie wiedział, co odpowiedzieć, a Daniel uśmiechnął się krzywo.

— I jest to spory problem! — dodał nagle, spoglądając na Dzikiego w iście diabelski sposób.

— Problem? — powtórzył niepewnie Dziki.

— Ludzie widzieli, jak sympatyzowałeś z moimi wrogami — kontynuował Daniel, teatralnie podnosząc głos i unosząc palec w znaczącym geście. — No i jeszcze te plotki o zdarzeniach spod cegielni, że to ty wykończyłeś Rękę Olbrzyma... — syknął ciszej, pochylając się w stronę Dzikiego.

Ten poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

— Plotki mają to do siebie, że często mijają się z prawdą — odparł ostrożnie, próbując ukryć zdenerwowanie.

Daniel przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę, jakby ważył jego słowa.

— Wątpię, żeby to była prawda — powiedział po chwili. — Raczej wypadkowa tego, że Pierwszy próbował cię uratować. Plotka jednak krąży. Więc widzisz, nie ma chyba drugiego człowieka, którego prywatnie tak bardzo chciałbym zachować przy życiu, a którego ze względu na propagandę, tak bardzo powinienem zabić...

Dziki znów poczuł chłód przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

— *Czy to była jego ostatnia rozmowa, przed wyrokiem śmierci?* — zastanawiał się i upił łyk oranżady, próbując zebrać myśli.

Słodki płyn nieco złagodził suchość w ustach, jaką czuł w wyniku stresu, ale uczucie ulgi nie przywiodło żadnego pomysłu na przekonanie Daniela do siebie.

— Spodziewałem się, jaki los może mnie tu czekać... — westchnął w końcu, nachylając się nad butelką. — Ale przyjdzie tutaj było jedynym sposobem, by sensownie walczyć z Zarzeczem.

Daniel uniósł brew, wyraźnie zaskoczony szczerością Dzikiego. Najwiśdoczniej spodziewał się wymówek, usprawiedliwień, może jakiegoś desperackiego błagania o życie? Tymczasem otwartość rozmówcy zdawała się go nieco uspokoić. Po chwili milczenia zapytał — Co ci tyle zajęło? — a ton jego głosu stał się bardziej neutralny.

Dziki spojrzał na niego, zbity zupełnie z tropu.

— W sensie?

— Spodziewałem się, że po tym, co zrobili z autobusem, przyjdiesz do mnie jako pierwszy... — wyjaśnił Daniel, patrząc na niego z zaciekawieniem. — A tu, tyle czasu od twojego powrotu z tamtej strony... i dopiero teraz cię widzę?

Dziki zmarszczył brwi, zastanawiając się, jak wiele powinien teraz powiedzieć. Czy Daniel podjął już decyzję w sprawie jego losu? Czy może dopiero zamierzał to zrobić, biorąc pod uwagę ich rozmowę? Jeśli tak, to co chciał usłyszeć?

— Miałem kilka spraw do załatwienia. Parę rozdziałów do zamknięcia — odparł w końcu wymijająco, unosząc wzrok w stronę H-Marketu. — Nauczyłem się, że niektórych rzeczy nie wolno zostawić samych sobie...

W oczach Daniela rozszalał się istny demon, a na jego ustach pojawił się szeroki, niemal triumfalny uśmiech.

— No tak. Trzeba było jeszcze pochować kilka wrogów, żeby nie szkodził ci za plecami... — rzucił jakby od niechcienia, choć jego spojrzenie świdrowało Dzikiego na wskroś.

Ten poczuł, jak serce znów zaczyna mu bić jak szalone, a oczy rozszerzają się w zdziwieniu.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał, a jego głos zadrzął.

Daniel wzruszył ramionami, jakby mówił o czymś banalnym.

— Mam uszy wszędzie — odpowiedział z wyczuwalną dumą. — No i nie ukrywam, że zakrwawiony samochód z dwoma trupami rzuca się w oczy. Tak samo jak zniszczona szkoła muzyczna...

Dziki wciągnął powietrze, czując ukłucie wyrzutów sumienia.

— Nie mogłem ich zostawić przy życiu... żadnego z nich — odparł cicho, z goryczą myśląc o Kluczu.

Daniel, ku jego zaskoczeniu, pokiwał głową, jakby słyszał coś, co całkiem mu pasowało.

— Ja to doskonale rozumiem! — powiedział z naciskiem, a jego głos nagle stał się o wiele weselszy. — Przecież, czy ja wyznaję inne wartości? — spytał retorycznie. — Niektórym ludziom nigdy nie warto pomagać, a niektórych trzeba wręcz pozbawić życia dla dobra własnego i ogółu.

Dziki spojrzał na Daniela z ukosa, próbując odczytać jego intencje. W tym, co mówił, było coś przerażająco logicznego. Coś, co rezonowało z głębią jego własnych przekonań. Kiedyś na pewno by się z tym nie zgodził, ale teraz... teraz nie potrafił temu zaprzeczyć.

— To zresztą próbowałem ci przekazać przy naszym pierwszym spotkaniu — kontynuował Daniel, a jego ton już wyraźnie złagodniał. — Szkoda, że wtedy byłeś jeszcze zbyt zaślepiiony wpojoną ci w Starym Świecie moralnością.

Dziki nie odpowiedział, skupiając się na słowach Daniela, które teraz wybrzmiewały niczym dobrze przemyślany wykład.

— Z idiotami się nie dyskutuje, tylko zabiera im się prawo do głosu. A sadystów i psychopatów nie próbuje się reformować, tylko zabija bez skrupułów, bo oni sami takowych nie mają. Wiesz, dlaczego? Bo to nie jest już ich świat, Dziki. Po raz pierwszy staneliśmy przed możliwością naprawy błędu tworzenia się nasze społeczeństwa. Oddać władzę w ręce słabych i bojaźliwych, postawić wszystko na głowie. Dlatego powstała Armia Daniela.

Dziki milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Z jakiegoś powodu zgadzał się teraz z tym co słyszał.

— *Czy rzeczywiście tak bardzo się zmieniłem? — zastanawiał się. — Czy teraz naprawdę myślę podobnie jak on?*

Daniel tymczasem kontynuował niestrudzenie swój wywód, jakby chciał się upewnić, że Dziki naprawdę pojął istotę jego filozofii — Oczywiście dawniej zawsze pojawiali się pożyteczni idioci, używając jednego z magicznych słów: człowiek, motywy, równość, ucisk, rasizm... bla bla bla, aż się rzygać chce — dodał z nieukrywaną pogardą. — Teraz wydaje mi się, że rozumiesz dużo więcej z tego, co kiedyś ci tłumaczyłem...

Dziki poczuł, że to może być dobry moment na dopytanie się o swoją przyszłość.

— To znaczy, że mnie przyjmiesz? — wtrącił z nadzieją. — Pozwolisz walczyć po swojej stronie z Zarzeczem?

Daniel spojrział na niego uważnie, przez chwilę milcząc. Widać było po jego twarzy, że coś intensywnie kalkuluje.

— Tak łatwo nie będzie — powiedział w końcu, wzdychając z teatralną rezygnacją. — Zbyt wiele osób, zarówno z Armii, jak i z zewnątrz, wie, że aktywnie wspierałeś tę „drugą” stronę. Wiesz, co mam na myśli. Musisz nie tylko mi, ale przede wszystkim im w jakiś sposób udowodnić swoją lojalność.

Dziki poczuł, jak jego nadzieja nieco przygasa.

— Co mogę zrobić, by ich przekonać? — spytał, nie mając w ogóle pomysłu.

Daniel najwidoczniej miał jednak gotowy test, bo uśmiechnął się tajemniczo, a jego oczy błysnęły.

— W Starym Świecie pracowałeś w Krańcowskich Zakładach Chemicznych... prawda? — spytał, po czym opróżnił butelkę oranżady jednym haustem.

Dziki potwierdził skinieniem głowy, zastanawiając się, dokąd zmierza ta rozmowa.

Daniel wyraźnie zadowolony, kontynuował — Wojna z Zarzeczem to nie przelewki. Nie wygram jej sam, ani nawet przy wsparciu Braci i Weteranów... — zaczął, spoglądając w dal z taką miną, jakby już wyobrażał sobie przyszłość po zwycięstwie.

— Co więc zrobisz? — zapytał Dziki, a potem również opróżnił swoją butelkę.

Daniel spojrział na niego z iskrą w oku.

— Jeżeli nie wiesz, jak dalej postąpić, cofnij się do historii — wyrecytował, rzucając pustą butelką do kosza przy parkingu. — Wiesz, co zrobili Niemcy, by przełamać impas w czasie pierwszej wojny światowej? — spytał.

Dziki zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, ale historia niestety nigdy nie była jego mocną stroną.

— Zbudowali czołg? — strzelił, choć nie był pewien czy w ogóle blisko.

Daniel zaśmiał się krótko, kręcąc głową.

— To akurat zrobili Anglicy. Niemcy użyli gazu... — wyjaśnił.

Dziki otworzył szerzej oczy.

— Gaz? — powtórzył.

— Dokładnie! — potwierdził Daniel z wyraźnym zadowoleniem. — Co to ma wspólnego z naszym konfliktem? Zaraz ci wyjaśnię... Chodź za mną! — rozkazał, ponaglaając go gestem.

Dziki podniósł się i podążył za Danielem, który ruszył szybkim krokiem w głąb nowopowstałego obozowiska. Kiedy je przemierzali, zauważył, że niektórzy z Weteranów przyglądają mu się z wyraźnym zainteresowa-

niem. Inni rzucali ukradkiem nienawistne spojrzenia w stronę towarzyszącego mu lidera Armii.

Po chwili marszu, dotarli do klatki schodowej bloku, który od razu wydał mu się znajomy. Dopiero po chwili skojarzył, że to tutaj mieszkał kiedyś Tyzak.

— Za chwilę poznasz swoje absolutne przeciwieństwo — westchnął Daniel, uchylając przed nim ciężkie drzwi prowadzące do podziemi. — Człowieka, którego prywatnie chciałbym ze wszystkich sił pozbawić życia, ale nie pozwalają mi na to okoliczności.

Dziki nie odpowiedział, tylko skinął głową i podążył za wodzem w dół.

Schodząc po zakurzonych schodach, poczuł charakterystyczny odór wilgoci i stęchlizny, typowy dla blokowych piwnic. Ale w powietrzu unosiło się coś jeszcze — gryzący zapach chemikaliów, przypominający środki czystości do toalet. Dziki zmarszczył nos i z ciekawością rozejrzał się, próbując zrozumieć, skąd pochodzi ten intensywny odór. Odpowiedź pojawiła się przed nim niemal natychmiast.

Większość piwnicznych komórek została zburzona, a w ich miejscu rozciągało się prowizoryczne laboratorium. W migotliwym świetle żarówek Dziki zobaczył rzędy szklanych próbówek, kolb i spiralnych rur, których przeznaczenia nawet nie próbował zgadywać. To miejsce, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wyglądało jak centrum naukowe. Im dłużej jednak patrzył na to wszystko, tym bardziej pierwszy efekt psuł panujący tutaj chaos. Na podłodze wały się ubrania, opakowania po jedzeniu instant, a w kątach piętrzyły się spleśniałe resztki. Aparatura, której nikt najwyraźniej nie używał, była pokryta kurzem i pajęczynami, a dobudowany zlew, kipiał brudnymi naczyniami i pustymi fiolkami z zakrzepłą zawartością.

Fotel przy jedynym biurku ugiął się pod stertą brudnych ubrań, a przy ścianie Dziki dostrzegł damską bieliznę w oplakany stan. W Nowym Świecie oczywiście trudno było o cokolwiek zadbanego, ale to miejsce wyglądało, jakby nikt nawet nie próbował utrzymać w nim porządku.

Daniel zmarszczył nos z niesmakiem, jakby sam zapach miejsca przyprowadził go o mdłości.

— Jajko! JAJKO DO CHOLERY! Gdzie znowu wpęzłeś?! — zawołał, rozglądając się po zamkniętych drzwiach prowadzących do mniejszych pomieszczeń przylegających do głównej części piwnicy.

W odpowiedzi przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko odległym dźwiękiem kapania wody i szmerem wiatru wdzierającego się przez nieszczelne okna. Aż nagle zza jednych drzwi rozległo się gwałtowne poruszenie i coś, co przypominało niekontrolowany chichot.

— Cicho, cicho, nie ruszaj się... — szeptał jakiś męski głos.

Daniel podszedł do drzwi, zza których dochodził hałas, i bez ceregieli otworzył je szarpnięciem.

We wnętrzu, na śpiworze pełnym okruchów i plam, siedział jakiś flejowaty mężczyzna w towarzystwie dwóch wychudzonych kobiet. Powietrze, które buchnęło z pomieszczenia było duszne, przesycone zapachem potu i alkoholu.

Daniel spuścił wzrok, zgrzytając z irytacją zębami.

— Wypierdalać... — wycedził, a w jego głosie brzmiała czysta furia.

Półnagie dziewczyny poderwały się natychmiast, chwytając w pośpiechu ubrania. Bez słowa wybiegły na schody, okrążają Daniela szerokim łukiem.

Wściekły dowódca Armii popatrzył w tym czasie na wygrzebującego się ze śpiwora mężczyznę. Facet swoim wyglądem reprezentował najgorszy koszmarny pedanta. Był nieogolony, a jego włosy pozlepiane od tłuszczu tworzyły niekształtną masę. Koszulę i majtki miał pełne plam, a za paznokciami nosił wieloletnią żałobę.

— Hejo... — wydukał brudas, patrząc z głupim uśmiechem w stronę Daniela.

Ten zacisnął pięści, ledwo powstrzymując się od uderzenia podwładnego.

— Jajko! Powiedziałem ci już raz, jak zapatruję się na sprowadzanie sobie dziewczyn ze Strefy Głodu! — warknął, a jego podniesiony głos odbił się echem w piwnicy. — W pięć minut rozniosą wszystko, co zobaczyły po całym Markecie, a teraz niewiele trzeba i o wszystkim będą wiedzieć Weterani!

Chłopak wzruszył ramionami, nadal się uśmiechając w głupi sposób.

— Sorki, wodzu, ale zaczęły mnie, jak wracałem z Marketu... No grzech było nie skorzystać... — tłumaczył się, drapiąc po brzuchu.

Daniel spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Jesteś debilem do potęgi! — syknął. — Nie wpadło ci do głowy, że ktoś ci je podesłał, żeby wyniuchać, czym się zajmujesz? W Strefie Głodu już nie brakuje jedzenia! Żywię te pasożyty jak najlepiej, by miały siłę bronić się przed Zarzeczem! Żadna już nie musi iść z tobą do łóżka, żeby zbierać resztki, które wypadają ci z ryja, a gwarantuję, że innego powodu, dla którego kobieta zbliżyłaby się do ciebie, nie ma!

Jajko skrzywił się, łapiąc się za faldę na brzuchu.

— Jesteś okrutny, są brzydki goście ode mnie — powiedział z pretensją, ale według Dzikiego mężczyzna wyjątkowo starał się złapać palmę pierseństwa, w tej konkurencji.

Daniel z kolei westchnął ciężko, przymykając na moment oczy.

— Tak! Tylko że w większości są to Niewykształceni — warknął. — Daj mi pojemnik z „Osowcem” — rozkazał stanowczo.

Jajko spojrzał na niego nieco przytomniej.

— Zaraz, zaraz... gdzie ja go miałem... — mruknął, wstając niechętnie i ruszając w stronę jednej z mniejszych piwniczek.

Daniel podszedł w tym czasie do Dzikiego, robiąc wymowną minę.

— To, co tu widzisz, to mój największy blamaż — szepnęła, wskazując głową na oddalającego się mężczyznę. — Facet jest leniwą świnią, bez kręgosłupa moralnego i krzty logicznego myślenia, ale jest jedynym chemikiem, jakiego udało mi się wyłapać. No i niestety na tym, co robi, zna się naprawdę dobrze... Ale słowo! Gdy tylko złapię jakiegokolwiek innego, wykopię go ze Strefy Głodu. Dosłownie... będę go kopał w tę tłustą dupę stąd aż do granicy Marketu...

— MAM! — zawołał nagle Jajko z piwniczki, przynosząc po chwili pojemnik przypominający bańkę na mleko.

Daniel chwycił go tak szybko, jakby bał się, że zarazi się czymś od mężczyzny.

— Świetnie, a teraz posprzątaj tu! — rozkazał. — To miejsce wygląda gorzej niż szalas Cherlaka... A żeby upewnić się, że znowu nie zdradzasz przypadkiem moich tajemnic, wartownik wraca przed wejście do laboratorium!

Słyszac to, Jajko jęknął zirytowany, a Daniel poprowadził Dzikiego z powrotem na górę, a potem na zewnątrz.

— Co to właściwie jest? — spytał Dzik, gdy pozbył się już z nosa smrodu Jajka.

— To jest właśnie moja nauka z lekcji historii — stwierdził Daniel, kierując się w głąb blokowiska — W tym pojemniku znajduje się Osowiec, gaz wytworzony przez tego krety na dole, na bazie chloru. Jest zabójczy dla ludzi, a przy okazji doskonale sprawdza się w walce z Niewykształconymi...

Dzik, podążając za wodzem, spojrzał na pojemnik, który ten niósł ze sobą. Poczuł, jak niepokój zaczyna rosnąć mu w piersi. Chociaż w Starym Świecie pracował w Zakładach Chemicznych wyłącznie jako szeregowy pracownik produkcji, miał wystarczające pojęcie o tym, jak niebezpieczny może być chlor. Co więcej, sam pojemnik nie sprawiał wrażenia sprzętu przeznaczanego do przechowywania gazu.

Na szczęście do celu podróży dotarli bez przykrych niespodzianek.

Okazało się, że Daniel zabrał go przed zrujnowany blok mieszkalny, którego wejście zabezpieczono solidnymi drzwiami zamkniętymi na kilka grubych zamków. Okna zaś zabito deskami, a ich szczeliny zaklejono ciemną taśmą. Ściany budynku były upstrzone ostrzeżeniami wymalowanymi dużymi, czerwonymi literami:

NIEWYKSZTAŁCENI! STREFA TESTÓW! NIE WCHODZIĆ! UWAGA GAZ!

Dzik od razu pomyślał, że jest to miejsce, gdzie Armia testowała swoją broń chemiczną.

Tymczasem Daniel bez żadnej prezentacji, podszedł do jednego z okien na parterze i zapukał w nie. Po chwili przy szybie pojawił się Gospodarz. Mężczyzna był bardzo okaleczony. Jego twarz pokryta była licznymi bliznami i oparzeniami.

Widząc go, Daniel odkręcił wieko pojemnika, z którego momentalnie zaczął ulatniać się gęsty, żółtawy dym. Następnie rzucił nim w szybę, rozbijając ją na kawałki. Odlamki szkła rozsypały się wokół, a gaz zaczął szybko wypełniać pomieszczenie.

— Odsuń się, nie chcesz tego wdychać — powiedział, dając krok do tyłu i pociągając Dzikiego za ramię.

Dziki nie odrywał wzroku od Gospodarza. Twarz Niewykształconego już po chwili pokryła się bąblami, a on sam zaczął charczeć przeraźliwie, jakby w gardle miał niekończący się strumień flegmy. Po około dwóch minutach wicia się istota runęła pod oknem tak, że stracili ją z oczu.

— To jest właśnie moja niespodzianka dla Zarzecza — powiedział Daniel z satysfakcją, obserwując efekty działania gazu. — Niestety, do produkcji Osowca w ilościach, które będą miały jakikolwiek sens, potrzebuję naprawdę mnóstwo chloru... Świta ci coś w głowie?

Dziki spojrzał na wodza, odkrywając cel prezentacji.

— Krańcowskie Zakłady Chemiczne... — wyszeptał nagle. — To tym mogę się wykazać? Mam ściągnąć dla ciebie chlor?

Daniel uśmiechnął się szeroko, kłaniając się delikatnie.

— Nie sam, ale twoja pomoc mogłaby się okazać niezwykle użyteczna — odpowiedział. — Byłem w zakładach tylko raz i to już w Nowym Świecie, więc, jak się domyślasz, nie miałem czasu na zwiedzanie. Przewodnik byłby bardzo cenny. No i jest jeszcze druga rzecz: muszę jakoś zabezpieczyć ludzi, którzy będą się tym posługiwać...

W tym momencie w głowie Dzikiego zaświtała pewna myśl.

— Jednostka pożarnictwa chemicznego! — zawołał z entuzjazmem. — Mieliliśmy taką na zakładzie! W pełni wyposażoną: maski, kombinezony ochronne, butle z tlenem...

Daniel słuchając go, pokiwał głową z uznaniem.

— Tego się właśnie spodziewałem — stwierdził zadowolony. — Tak duży zakład raczej nie mógłby pozwolić sobie na niedopatrzenie w kwestii bezpieczeństwa.

— To kiedy mam ruszać i kto ze mną pójdzie? — spytał.

Daniel uniósł dłoń w geście uspokojenia.

— Spokojnie, młody padawanie! — odparł z lekkim uśmiechem. — Musimy najpierw wszystko przygotować. Zorganizować pojazd, który to przewiezie. Musisz mi powiedzieć, jak ten chlor jest przechowywany i jak głęboko w zakłady będziemy musieli wejść...

Powrót do Krańcowskich Zakładów Chemicznych mimowolnie jeżył Dziakiemu włosy na głowie. To miejsce wiązało się dla niego wyłącznie z nie-

przyjemnymi wspomnieniami i doświadczeniami. W Starym Świecie, w murach tego zakładu, oddawał swoje zdrowie i życie w zamian za wypłatę tak mizerną, że ledwo starczała na obskurną kawalerkę i dietę z dyskontu. W Nowym Świecie z kolei, zaledwie kilka metrów dalej, został naznaczony przez Delimera, co prawie stało się przyczyną jego przedwczesnej śmierci.

Dziki wiedział jednak, że nawet pozbawiony tych złych doświadczeń nie poczułby się tutaj swojo. Teren zakładów uważany był za jeden z najmniej bezpieczniejszych w całym Krańcowie. Być może właśnie przez to, gdy razem z Danielem i Olbrymem Maciejewskim zatrzymali ciężarówkę przed zardzewiałą bramą KZC, nie był w stanie opanować drżenia rąk.

— Się zaraz posikasz... — skwitował to Olbrym, głosem brzmiącym jak pomruk niedźwiedzia.

Dziki spojrzał na niego, starając się ukryć zdenerwowanie, a Daniel rzucił od niechcenia — Robert, zostaw go, bo jeszcze ci przypomnę, kto rozpieprzył pół twojego oddziału.

Olbrym zmrużył oczy, a jego szczeka zacisnęła się z irytacją. Przez chwilę wydawało się, że mimo rozkazu Daniela, będzie kontynuował kłótnię, ale ostatecznie tylko odwrócił wzrok, patrząc się w szybę.

— Robert? Ja myślałem, że ty masz na imię Maciejewski... — wtrącił Dzik, unosząc brwi w udawanym zaskoczeniu.

Olbrym obrócił się powoli w jego stronę, z miazdzącym spojrzeniem. Jego masywna sylwetka zdawała się w tym momencie wypełniać całą przestrzeń kabiny. Minęły już jednak czasy, gdy na Dzikim takie zachowanie robiło wrażenie. Prowokująco spojrzał prosto w oczy Maciejewskiego, który wyglądał, jakby chciał go zmielić.

— Dobra Dzik, zobacz czy dasz radę otworzyć bramę — wtrącił Daniel, nim ostatecznie rzucili się sobie do gardeł. — Staranowanie jej byłoby epickie, ale przyjmijmy, że mam chwilowo przebłysk rozsądku i nie chcę robić hałasu — skwitował, rozciągając się leniwie na fotelu. — Cholera, nie spałem ostatnio wcale — dodał z irytacją, sięgając jednocześnie po paczkę chipsów schowaną z tyłu auta.

Dziki bez słowa skinął głową. Otworzył drzwi ciężarówki i wyszedł na zewnątrz. Chłodne powietrze uderzyło go w twarz, a zapach rdzy i chemikałów przeniknął nozdrza, przypominając chwile ze Starego Świata. Z tą jedynie różnicą, że przed Błyskiem wchodząc tutaj nigdy nie czuł, jakby przypatrywał mu się tłum ludzi.

Mimo że był środek dnia, całe miejsce spowite było ponurą i przygnębiającą aurą. Niekonserwowane metalowe zbiorniki oraz od dawna nieodpalane maszyny skrzypiały złowieszczo. Ten dźwięk raz za razem przerywał panującą ciszę, wypełniając plac rozbijającym się między hałami nieznośnym i przerażającym echem.

Stając przy bramie, Dziki rozejrzał się nerwowo, wypatrując Niewyksztalonych, których przecież w tym miejscu nie brakowało. Jakieś cienie zdawały się co prawda poruszać na skraju jego pola widzenia, ale gdy spojrzał przez lornetkę, okazało się, że wyobraźnia płata mu figle.

Upewniwszy się, że jest w miarę bezpiecznie, podniósł powoli zardzewiały skobel blokujący bramę i otworzył ją na bok. Maciejewski przetoczył natychmiast ciężarówkę przez wjazd, a Dziki z duszą na ramieniu pomaszerował tuż obok niej, wskazując drogę. Sam co prawda nigdy nie pracował z chlorem, ale znał swój dawny zakład pracy dostatecznie dobrze, by wiedzieć, gdzie można go znaleźć.

Przechodząc pod ogromnymi rurami ciepłowniczymi, poprowadził ciężarówkę dalej, obok budynku biurowca z ogromnym wyblakłym logiem KZC u szczytu. Następnie drogą dla dostawców przedostali się wzdłuż magazynu wydań, na którego rampie wciąż stały przygotowane do załadunku beczki. Spora część z nich rozszczelniała się pod wpływem czasu, a parująca zawartość wypełniała powietrze kwaśnym, drażniącym fetorem. Dziki poczuł pieczenie w gardle i zakrył usta dłonią.

— *Oby tylko pojemniki z chlorem, dalej były szczelne...* — pomyślał, spoglądając z niepokojem w stronę ciężarówki.

Mijając strefę załadunków, dotarli następnie do stacji kolejki, która w ogromnych cysternach dostarczała do zakładu różnego rodzaju chemikalia. Wagony, które już w Starym Świecie miały najlepsze lata za sobą, teraz po prostu rozpadały się, zamieniając w kupę gruzu pod własnym ciężarem. Tylko lokomotywa zdawała się trzymać w całości, ale ciągnące się na niej smugi rdzy nadawały jej przygnębiający wygląd.

Dziki prowadził ciężarówkę dalej, wzdłuż torów, aż trafili w końcu na magazyn półproduktów, gdzie znajdował się pierwszy z celów ich podróży. Uniesieniem ręki dał Maciejewskiemu znak do zatrzymania się. Hamulce ciężarówki zaskrzypiały.

Daniel i Olbrzym wyszli po chwili na zewnątrz, rozglądając się uważnie.

— Chlor jest w tym magazynie — powiedział Dziki, wskazując palcem na najbliższe uchylone wrota hali. — Niebieskie beczki oznaczone dużym „Cl”

Daniel spojrzał we wskazanym kierunku, a następnie skinął głową.

— Dobrze — rzucił wyraźnie zadowolony. — Robert załaduje towar. Ty w tym czasie poszukaj naszych nowych mundurów — polecił, Dzikiemu. — Pamiętaj, jak robi się gorąco, nie walcz! Zawsze możemy zrobić drugie podejście — zapewnił, opierając się o maskę auta i kończąc jednocześnie otwarte wcześniej chipsy.

— Jasne — odpowiedział mu Dziki i ruszył dalej w głąb fabryki.

W Starym Świecie spędził w tych zakładach wystarczająco dużo czasu, by orientować się w ich terenie jak we własnym domu. Każda szczelina, ukryte

przejście czy niedostępny zakamarek były mu od lat dobrze znane. A wszystko dlatego, że Krańcowskie Zakłady Chemiczne, zarządzane od dekad przez ten sam po-komunistyczny beton, trzymały się typowo PRL-owskich standardów.

Przez większość czasu pracownicy (w tym Dziki) bardziej niż o produkcję dbali o znalezienie miejsca, gdzie można się było poobijać, zapalić papierosa albo, jeśli mieli odpowiednią ekipę, wypić butelkę wódki. W takich warunkach znajomość terenu była niemal służbowym obowiązkiem — trzeba było wiedzieć, gdzie można się schować, a gdzie lepiej się nie zapuszczać, bo można było spotkać behapowca.

Korzystając z tej wiedzy, Dziki wyznaczył sobie trasę, która wydawała się najmniej ryzykowna. Już od początku podejrzewał, że Niewykształceni skupią się głównie wokół dawnych hal produkcyjnych i magazynów, gdzie kiedyś pakowano towary. Chcąc ominąć te miejsca, zamiast wybierać główne wejście na halę, wspiał się po drabinie na awaryjny podest. To właśnie tam, w przeszłości, jego zmiana miała swoją nieoficjalną palarnię. Znajomą drogą, biegnącą wzdłuż rzędu wysokich zbiorników, dostał się na teren głównego zakładu. W końcu dotarł na inny podest, ulokowany tuż pod samym dachem, skąd przed ogromne świetliki miał doskonały widok na całą halę.

Zgodnie z jego przypuszczeniem w środku dostrzegł całe mrowie Niewykształconych. Widok ten całkowicie ściał go z nóg.

— *Gorzej, niż się spodziewałem* — pomyślał, przyciskając się do barierki i spoglądając w dół.

Najbardziej wstrząsające było dla niego, że wszystkie te postacie były kiedyś ludźmi, których dobrze znał, z którymi rozmawiał, których spotykał każdego dnia w pracy.

Przy ogromnej wtryskarce, maszynie przypominającej wielką metalową strzykawkę, stała ubrana w biały kombinezon i kamizelkę główna zmosfera zakładu - behapowiec Dominik. Mężczyzna, zmieniony w jakiegoś dziwnego Specjalistę, walił z całej siły głową w kokpit maszyny. Każde rozbrzmiewająco głucho uderzenie było słychać na zewnątrz. Krew mężczyzny była już tak wyschnięta, że nawet nie spływała po metalowej powierzchni.

Tuż obok niego krążył były brygadzysta zmiany Dzikiego, Janusz — czterdziestoletni wesoły facet, który tuż przed Błyskiem radośnie ogłaszał wszystkim, że jego córka wygrała właśnie turniej judo. Teraz, z połową twarzy zmiażdżoną, jakby uderzył w nią młot kowalski, był jak dziecko zbite przez rodziców.

Nie było w tym nic dziwnego. Niewykształceni często nie byli milczący — śmiali się, krzyczeli, płakali. Niektórzy wypowiadali jakieś losowe, niemające żadnego sensu frazy.

Dziki, widząc to wszystko, usiadł na chwilę. Oparł się plecami o zimną barierkę podestu. Znowu miał to dziwne odczucie, kiedy pamiętał, jakie emo-

cje powinny nim szargać w tej chwili, a których za nic nie był w stanie z siebie wyrzesać. Ci wszyscy ludzie, których znał... Dlaczego ich los stał mu się tak całkiem obojętny?

— *Co się z tobą stało?* — spytał sam siebie w myślach, obserwując swoją wyciągniętą rękę.

Palce lekko drżały mu z nerwów, ale w środku czuł całkowitą pustkę.

Po chwili dotarło do niego, że już zbyt długo siedzi w jednym miejscu. Maciejewski pewnie zaraz skończy załadunek i będą na niego czekać, a to nie było bezpieczne.

— Dalej... — upominał się i przekradając poza zasięgiem potworów, wyszedł po drugiej stronie hali.

Przeskakując następnie kawałek do następnego awaryjnego pomostu, przekradał się w stronę zakładowej jednostki pożarniczej. Drogę do budynku wskazywały mu liczne czerwone piktogramy oraz wielka syrena alarmowa, którą wypatrzył między płataniną rur.

Niestety, wraz z maszynami produkcyjnymi, kończyły się też podesty naprawcze, a Dziką resztę drogi musiał pokonać na ziemi. Zsunąwszy się po drabinie, znalazł się tuż obok garażu dla małych zakładowych pojazdów, na które wołali Tuk-tuki. Swoimi gabarytami i wywrotnością przypominały bowiem charakterystyczne indyjskie mini ciężarówki.

Miniaturowe elektryczne pojazdy były już jednak całkiem bezużyteczne, bo po takim czasie ich akumulatory wykipiały swoje wnętrzości. Niemniej, marzenie o prześmignięciu się pojazdem przez zakłady przebiegło Dziukiem przez chwilę w głowie.

Mijając garaż, natrafił w końcu na coś, czego nie spodziewał się zastać w tym miejscu. Tuż przy ścianie znajdował się czyjś grób. Zatrzymał się nagle, zupełnie zaskoczony takim widokiem. Na tablicy zrobionej z kawałka blachy, nakreślone było białą farbą krótkie epitafium:

— Kamil „Czwarty” Rogala. —

Dla miłości był gotów poświęcić życie...

Niestety, każde oprócz swojego...

W tym momencie szczeka Dzikiego niemal dotknęła kurtki. Uświadomił sobie, że stał nad miejscem pochówku dawnego chłopaka Dix. Tylko kto uczcił jego pamięć? Sama Dix? Czyżby wróciła tutaj, gdy było już po wszystkim? Skąd w takim układzie ten dziwny cytat? Dziewczyna raczej nakreśliłaby coś w stylu: „Śmierć zabrała mi cię za szybko...”

Stojąc przez chwilę nad grobem, Dziką znowu poczuł, że jest obserwowany. Chłodny dreszcz przebiegł mu po plecach. Obrócił się błyskawicznie, spodziewając się Niewykształconego, ale zamiast potwora dosztegl znajomą, ubraną na czarno postać.

— Pierwszy... — wydukał zaskoczony. — Więc dalej mnie śledzisz?

— Jesteś konsekwencją zrodzoną z moich wyborów — odparł mężczyzna podchodząc bliżej. — Wszystko, co zbudujesz albo zrujnujesz, stanie się tylko dlatego, że dzięki mnie dożyłeś aż do tego momentu.

— To moje własne wybory i nigdy nic ci do nich nie było — zripostował Dziki, spoglądając z powrotem na grób. — Dix go tu pochowała?

— Ja — odpowiedział niespodziewanie Pierwszy, a następnie przesunął wzrokiem po epitafium i przetarł rękawicą zakurzoną tablicę. — Tylko tyle możesz zrobić, gdy jest już za późno, by coś zmienić...

— Znowu zaczynasz te swoje filozofowanie... — jęknął Dziki.

Ostatnie czego teraz potrzebował to kolejny moralistyczny wykład, a był niemal pewien, że właśnie tym spowodowana była wizyta Pierwszego.

— Zrozum, że nie przewidzisz konsekwencji każdej decyzji... — zaczął, chcąc szybko skończyć temat, ale mężczyzna wszedł mu w słowo.

— Opowiem ci coś... — wtrącił chłodno, patrząc na Dzikiego tak, że ten nie ośmielił się mu przerwać. — Wiele lat temu pomogłem Drugiemu, uzbierając pierwszą grupę — zaczął, spoglądając z powrotem na grób Czwartego. — Gdyby nie moja pomoc, nie dotarlibyśmy do granic miasta jako pierwsi. Ja zaś nie straciłbym przyjaciela. Gdybym po tym wydarzeniu nie przekonał pozostałych, że warto posłuchać się Kuby, nie przyszlibyśmy tutaj, a chłopak pod twoimi stopami wciąż by żył. Gdybym po rozpadzie grupy nie pomógł Danielowi, nie powstałaby Armia. No i oczywiście, gdybym nie powiedział ci, jak pokonać Delimera, Autobus do Wolności wciąż by istniał, a jego mieszkańcy byłiby dalej żywi. Nie dziw mi się, że zacząłem długo rozważać przed podjęciem decyzji...

W głosie mężczyzny słychać było wyraźny żal. Dziki poczuł ukłucie winy, ale starał się tego nie okazywać.

— Żałujesz, że mnie wtedy uratowałeś? — spytał cicho, spoglądając na Pierwszego z ukosa.

Mężczyzna oczywiście nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się w grób jeszcze przez dłuższą chwilę, nim w końcu rzucił wymijająco — Kiedyś żyłem z myślą, że uratowałem dobrego człowieka. Tego się trzymałem po zniszczeniu autobusu, że byłeś dobrym człowiekiem, który miał po prostu pecha...

Nieusatsfakcjonowany z odpowiedzi Dzikiego, dopytał natychmiast — A teraz? Co myślisz o mnie teraz?

Pierwszy spojrzał mu prosto w oczy.

— Kiedy wymordowałeś tych ludzi w Garażu i podniosłeś rękę na Doktora, byłem na ciebie bardziej niż wściekły — zaczął surowym tonem. — Patrząc jednak na to, co zrobili Oli, próbowałem zrozumieć twoje poczynania. Powtarzałem sobie: Był w amoku. Gniew i Pierwotna Wola go przemogły. Wtedy jeszcze, mimo wszystkich niepotrzebnych ofiar, wmawiałem sobie, że ratowanie ciebie nie było błędem — tłumaczył, a Dziki poczuł, jak ciężar jego

słów zaciska się w okół niego, niczym pętla na szyi. — Nie miałem ci za złe, że przez tę sytuację musieliśmy uciekać bez planu. Przewidywałem, że Oli trzeba będzie odbić. To było nieuniknione — dodał, jakby przekonując samego siebie równie mocno, co Dzikiego. — Gdy stanęliśmy nad rzeką, a ty nie mogłeś wyzwoić Pierwotnej Woli, muszę przyznać... nawet się ucieszyłem. Pomyślałem wtedy: On nie jest mordercą z natury, mimo tego, co się wcześniej wydarzyło. Nawet tego, że nad rzeką zginął Elemis, nie mam ci za złe. To biorę na siebie. To ja naciskałem, by przechodzić za wszelką cenę, zamiast poczekać w pancerniaku, aż Ciemnia ustąpi. Gdybym nie był taki uparty, może by nam się udało... — tłumaczył dalej, a jego głos stopniowo miękł, aż przeszedł w niemal szept. — Wiesz, co mnie zraziło? — spytał nagle i sam udzielił odpowiedzi. — Twoja reakcja na śmierć tego chłopaka. Przeszedłeś nad tym do porządku dziennego. Właściwie byłeś nawet zły, że przez niego zostaliśmy po tamtej stronie, aż do końca Ciemni. A przecież gdyby nie on, nawet byśmy dzisiaj nie rozmawiali. Wtedy właśnie pomyślałem: To nie takiego człowieka chciałem ratować...

Kończąc swój wywód, Pierwszy patrzył na Dzikiego wzrokiem, który przywołał na myśl ojca rozczarowanego postępowaniem syna. Ten zastanawiał się tylko, do czego zmierza ta rozmowa?

— To co masz teraz zamiar zrobić? Przemyslałeś sobie to wszystko i masz zamiar zmasać swój błąd, zabijając mnie? — spytał nerwowo, bo tylko ten jeden powód tego spotkania przychodził mu teraz do głowy.

— Nie... — zaprzeczył natychmiast Pierwszy, spoglądając z powrotem na grób Kamila. — Jestem już zmęczony odpowiedzialnością. Przyszedłem tutaj, by po raz ostatni spojrzeć ci w oczy. Upewnić się, że powinienem zrobić to, co już od dawna planuję...

— A co planujesz? — spytał zaintrygowany Dzikie, czując niemalą ulgę, że nie chodziło o wymierzenie mu jakiegoś rodzaju kary.

Problem w tym, że już po chwili usłyszał coś, co wstrząsnęło nim równie mocno, jak potencjalna walka z Pierwszym.

— Opuszczam Krańcowo raz na zawsze... — wyjąwił mężczyzna, ścigając maskę by chyba spojrzeć mu w twarz. — To moje ostatnie dni w tym mieście...

— Chcesz przejść przez Strefę Zamarcia?! — zawołał Dzikie z niedowierzaniem.

— Nie do końca — odparł Pierwszy. — Na skraju Zarzecza utworzyło się kolejne przejście, dające możliwość przedostania się do kolejnej wioski. Strefa jest niewielka i utworzyła się zaledwie kilka tygodni temu. Możliwe, że przechodząc przez nią, zawisnę w czasie na trochę, ale gdy się przedostanę... spróbuję iść jeszcze dalej... Może do innego miasta? Może zacznę wszystko od nowa?

— I masz zamiar to zrobić przeze mnie? Nie wolno ci! — wykrzyknął Dzikie, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie słyszał.

Pierwszy popatrzył na niego zdziwiony. Najwidoczniej nie spodziewał się takiej reakcji.

— Obiecałem Doktorowi, że powstrzymam cię, jeśli miałbyś zamienić się w potwora za życia... — wyznał niespodziewanie. — A to oznacza, że w końcu musiałbym cię zabić.

Dziki poczuł, jak te słowa mrozą mu krew w żyłach. Chciał coś powiedzieć, zaprotestować, ale Pierwszy nie dał mu szansy, tłumacząc dalej, głosem spokojnym, lecz stanowczym.

— Nie łamię danych obietnic. Jestem człowiekiem słownym... ale po tym co przeszedłeś, nie chcę też cię zabijać... — przyznał. — Dlatego lepiej będzie, jeśli odejdę z Krańcowa, zanim ty zrobisz coś, co zmusi mnie do wypełnienia zobowiązania — po tym stwierdzeniu urwał na moment, jakby dawał sobie chwilę na zebranie myśli. — Chyba że odejdiesz z Armii i wrócisz do Zwrotnicy! — rzucił nagle. — Wierzę, że jako strażnik Oli nie miałbyś okazji zrobić tego, czego się tak bardzo boję.

Dziki, słysząc o co prosił go Pierwszy, spuścił tylko głowę.

— Dobrze wiesz, że nie mogę — odparł. — Daro, bez względu na wszystko, musi zapłacić za to, co zrobił...

Pierwszy westchnął ponownie i jednocześnie sięgnął powoli do swojego plecaka, z którego wyjął coś, co wyglądało jak złożona kartka papieru. Dziki ledwie rzucił na zwitek okiem, bo mężczyzna powiedział w tym samym czasie coś, co kompletnie wytrąciło go z równowagi — Daro nie żyje...

Te trzy słowa uderzyły w niego jak młot.

— KŁAMIESZ! — warknął, prawie doskakując do mężczyzny. — Skąd mógłbyś o tym wiedzieć?! Zrobisz wszystko, żeby mnie powstrzymać! — wyrzucił.

Pierwszy popatrzył teraz na niego w nieprzenikniony sposób.

— Nie kłamie — odparł spokojnie. — Domyśliłem się jednak, że możesz zarzucić mi kłamstwo, więc przyniosłem ze sobą to...

Mężczyzna podał Dziemu kilka zdjęć, a na każdej znajdowało się zmasakrowane ciało Zwiadowcy, uchwycone pod różnymi kątami.

Dziki patrzył na te fotografie z niedowierzaniem.

— Jak? Kiedy? — spytał zszokowany, czując, jak świat wali mu się właśnie na głowę.

— Był najbardziej doświadczonym ze wszystkich Zwiadowców — zaczął tłumaczyć Pierwszy, wkładając jednocześnie maskę. — To było oczywiste, że będzie dowodził którymś atakiem. Dlatego byłem obecny przy każdym szturmie z Zarzecz, aż w końcu się spotkaliśmy.

Po tym krótkim wyjaśnieniu, spytał — Jaką więc wymówkę znajdziesz teraz, by dalej to ciągnąć?

Dziki nie miał jednak żadnej. Opadł na zimną, metalową ścianę zakładu, czując, jak opuszczają go wszelkie siły.

To co jeszcze przed chwilą go napędzało — gniew i żądza zemsty na Daro — ulotniło się w jednej chwili, pozostawiając po sobie absolutną pustkę. Jeśli Zwiadowca rzeczywiście był martwy, to jaki sens miało wszystko, co robił do tej pory? Przecież od odejścia ze Zwrotnicy każda decyzja jaką podjął, podporządkowana była tylko zemście. Teraz, gdy ten cel zniknął, Dziki czuł się jak wydmuszka.

Myśli kotłowały mu się w głowie. Czy po tym co widział, powinien dalej pomagać Danielowi? Nie był pewien, czy chce być pionkiem w jego grze. Może więc powinien uciec? Ale co potem? Uciec, dokąd? Do Zwrotnicy, jak sugerował Pierwszy? To byłoby jak przyniesienie ze sobą tykającej bomby. Daniel nigdy nie wybaczyłby zdrady, zwłaszcza jemu...

I wtedy przyszły kolejne wątpliwości. Co z wojną? Z Zarzeczem? Jeśli oni wygrają, to Mike, Oli i wszyscy w Zwrotnicy będą w niebezpieczeństwie. Dziki wciągnął głęboko powietrze, próbując zebrać resztki sił. Jeśli nie mógł zemścić się na Daro, to mógł przynajmniej zrobić coś, by jego pobratymcy przestali zagrażać Zwrotnicy. To nie była idealna motywacja, ale w tej chwili jedyna, jaka mu pozostała. Chronić tych, których jeszcze mógł ocalić przed złem z tamtej strony.

Dziki podniósł się powoli, czując, jak jego nogi lekko drżą.

— A jeżeli obiecuję, że nie skrzywdzę już nikogo, kto na to nie zasłużył? — spytał nagle. — Nie odejdę od Daniela. Mimo wszystko wezmę udział w tej walce, dla dobra Oli, Mike'a, naszej strony... Ale mogę dopilnować, by straty wśród niewinnych były ograniczone.

— Nie wierzę ci... — odparł Pierwszy. — Już nie...

Dziki opuścił ze wstydem głowę. Nie chciał pozwolić Pierwszemu odejść. Może nigdy nie dogadywali się najlepiej, może nie był to taki typ przyjaciela jak Mike, ale uratował mu życie — i to nie raz. Wspierał go właściwie w każdym najtrudniejszym momencie. To on pojawił się przy cmentarzu, gdy chciał ścigać Zwiadowców. To on poszedł razem z nim ratować Oli na Zarzeczce... Myśl, że Pierwszy miałby zniknąć z jego życia, nie dawała mu spokoju. Czuł, że gdyby tak się stało, byłoby to jak kolejna strata, kolejne potwierdzenie, że jego decyzje prowadzą tylko do bólu i śmierci tych, na których mu zależy. Zaciśnął pięści, walcząc z falą gniewu skierowanego nie na Pierwszego, lecz na samego siebie. Przez chwilę milczał, zbierając odwagę, by powiedzieć coś, co mogłoby zatrzymać mężczyznę,

— Więc zawrzyj ze mną umowę — zaproponował. — Zostań w centrum, przyglądaj się moim czynom! Jeśli skrzywdzę kogoś, kto na to nie zasłużył, zabijesz mnie. Ty dałeś mi życie i ty mi je odbierzesz, jeśli nie okażę się wart twojej pomocy.

Pierwszy zmarszczył brwi, ale nie przerwał, pozwalając Dzikiemu mówić dalej.

— I zrobisz to na moje własne życzenie, na moją własną prośbę, bo... mnie samego przeraża to, co się ze mną dzieje — dodał, wyciągając dłoń w kie-

runku Pierwszego, jakby to gest miał przypieczętować to, czego słowa nie mogły. — Będziesz moim hamulcem bezpieczeństwa.

Pierwszy popatrzył przez chwilę na jego rękę, po czym niespodziewanie chwycił ją, ściskając mocno. — Nie będzie drugiej szansy Dzik — stwierdził. — Oddałeś mi odpowiedzialność za twoje czyny. Jeżeli rzeczywiście masz zamiar jedynie bronić naszej części... Niech będzie. Broń go z całą mocą... Ale gdy do-
wiem się, że znowu mordowałeś. Uznam, że stałeś się kimś innym i wypełnię życzenie Dzikiego, którego znałem...

Dziki przytrzymał dłoń mężczyzny.

— Zmieniłem się Pierwszy — stwierdził, nie wiedząc nawet do końca, czy tego żałuje. — Nie umiem już współczuć obcym ludziom. Łatwo popadam w gniew. Zabijanie przychodzi mi znacznie łatwiej, ale nie chcę przez to stać się kimś... kimś kogo będę nienawidził. Powinność wobec bliskich mi osób, w tym ciebie, to ostatnie co trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Nie chcę, żebyś odchodził w niebyt! Nie chcę, żebyś w ogóle odchodził...

Pierwszy rozważał przez chwilę jego słowa. Widać było, że nie spodziewał się kierunku, w którym potoczyła się ta rozmowa.

— Niech będzie. Ostatnie zadanie, którego podejmę się w tym mieście — odpowiedział w końcu, rozdzielając uścisk. — Skoro masz zamiar wziąć udział w wojnie, muszę ci coś powiedzieć. Coś, o czym możesz wspomnieć nawet Danielowi. Smutny nie jest już neutralny, działa w pełni po stronie Zarzecza...

— JAK TO?! — zawołał zaskoczony Dzik. — Mówiłeś, że jego obchodzi tylko przywrócenie do życia rodziny! Dlaczego nagle postanowił się wmieszać? I skąd o tym wiesz?

Pierwszy popatrzył w stronę szarego nieba, jakby właśnie miała zawiśnąć nad nim wspomniany mężczyzna. — Przybył spotkać się ze mną po inwazji. Bez jakiegokolwiek ciała, samą jaźnią. Szybko wyczułem, że nie przybył sam. Wygląda na to, że Pani Prezydent z Zarzecza, jest obecnie tworem bardzo podobnym do Smutnego. Do tego wydaje mi się, że spodobała mu się jej „pasja” w odkrywaniu błędów...

— Cholerna miłość rujnuje wszystko... — westchnął Dzik, spoglądając na grób czwartego.

— I jest przyczyną największych grzechów... — dodał Pierwszy.

Mężczyźni stali jeszcze przez chwilę, aż Dzik przerwał ciszę — Czas na mnie. Muszę znaleźć dla Daniela sprzęt pożarniczy. Jak wkrótce nie wrócę, zacznę mnie szukać...

— Uważaj na siebie... I pamiętaj, że od dziś mam cię na oku. — ostrzegł Pierwszy.

— Jakbyś wcześniej nie miał... — wyrzucił mu Dzik.



Rozdział XIII

Pieść Daniela

Pomoc w zdobyciu strojów ochronnych oraz chloru zapewniła Dzikiemu znacznie wyższą pozycję w Armii, niż spodziewał się tego na początku. Wyglądało na to, że Daniel od dłuższego czasu przygotowywał się do kontrofensywy i tworzył do tego zupełnie nowy oddział specjalny, którego szeregi Dzikiego zasilili po wykonanej misji.

Zgodnie z tradycją panującą w Strefie Głodu, każdy kto awansował do wyższych struktur, miał prawo do jednego życzenia, które Daniel, w miarę swoich możliwości, zobowiązywał się spełnić. Dzikiego długo zastanawiał się o co mógłby poprosić. Nie pragnął niczego szczególnego i nie dla przywilejów dołączył przecież do Armii. Ostatecznie zdecydował się na przyjęcie apartamentu — najczęstsze życzenia wśród tych, którzy nie wiedzieli, czego właściwie chcą.

Budząc się w przestronnym, jasnym pokoju, otulony miękką, pachnącą kołdrą, Dzikiego czuł, jak ogarnia go tęsknota za Starym Światem. Od momentu Błysku nigdzie nie spał tak dobrze jak tutaj. Wspomnienia ze Wspólnoty przypomniały mu, jakim rarytasem była niewyleżana karimata. Podczas podróży autobusem za szczyt wygody uważał sen na twardej podłodze podczas postoju. Nawet w Zwrotnicy, gdzie przez krótki czas miał własne łóżko, musiał dzielić ciasny pokój z dwoma towarzyszami, których poranne wyziewy skutecznie odbierały przyjemność ze snu.

Wspominając to wszystko, westchnął ciężko, zastanawiając się, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby wtedy na cmentarzu nie posłuchał Kuby. Gdyby razem z Tyzakiem od razu przyłączył się do Armii Daniela. Ile tragedii udałooby się uniknąć? Może nigdy nie poznałby Oli, Janka czy Korka, ale też nie zniszczyłby im życia swoimi decyzjami.

— Starczy tego... — warknął sam na siebie.

Analizowanie tego „co by było, gdyby”, nie miało szans na przywrócenie nikogo do życia, za to skutecznie psuło mu nastrój.

Próbując ponownie zasnąć, przewrócił się na bok i otulił szczelniej kołdrą. W tym samym momencie usłyszał jednak jakiś szmer dobiegający z kuchni. To było niepokojące. Sprzątaczką miała co prawda klucze do jego mieszkania, ale nigdy nie przychodziła tak wcześnie.

Dziki nasłuchiwał przez chwilę, wstrzymując oddech. Szmerzy powtórzyły się. Ktoś ewidentnie buszował po domu. Zdecydowanym ruchem sięgnął po leżący na szafce pistolet. Potem bezszelestnie zrzucił koldrę i wstał z łóżka, stąpając na palcach po miękkim dywanie. Drzwi sypialni były lekko uchylone. Przywarł więc do ściany, nasłuchując. Z kuchni dobiegł do niego wyraźny odgłos kroków.

Ostrożnie otworzył drzwi i natychmiast oślepiło go ostre światło. W sypialni panował półmrok dzięki szczelnie zasłoniętym roletom, więc nagle przejście do jasnego salonu było dla niego niczym uderzenie przed Błyskiem. Przymrużył oczy, próbując oswoić wzrok, aż w rozmażanych konturach dostrzegł sylwetkę chodzącą po kuchni.

— Elza... — wykrzyknął z irytacją, opuszczając broń, gdy rozpoznał rudowłosą dziewczynę przeglądającą jego rzeczy. — Do cholery, mówiłem ci że-
byś nie wchodziła tu bez zaproszenia!

Dziewczyna podniosła na niego wzrok, a na jej twarzy pojawił się figlarny uśmiech. Odłożyła na bok przeglądane właśnie pudełko i zajęła miejsce przy stole jadalnym.

— Niegrzecznie tak odzywać się do swojego dowódcy! — odparła, unosząc brwi w udawanym oburzeniu. — Zrobiłam ci kawę, więc zamiast się złościć, powinieneś raczej podziękować.

Nagle jej spojrzenie przesunęło się niżej, a brwi uniosły kilkukrotnie, w geście udawanego zaintrygowania.

— Cudowne bokserki! — zaśmiała się, świdrując spojrzeniem jego skąpy strój.

Dziki poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. Zaklął pod nosem i szybko odwrócił się na pięcie, wracając do sypialni. W pośpiechu założył spodnie i koszulkę, próbując przetrwać irytację, wywołaną tą niespodziewaną wizytą.

Elza była jedną z niewielu dziewczyn, które Dziki miał okazję poznać w Strefie Głodu. Co ciekawe, ich pierwsze spotkanie miało miejsce jeszcze w czasach, gdy był strażnikiem Autobusu do Wolności. Nie przypominał sobie jednak, żeby zamienili wtedy choćby słowo. Dopiero gdy dołączył do Armii, przedstawiono ich sobie ponownie. Tym razem w znacznie bardziej oficjalnych okolicznościach.

Elza była bowiem predestynowana do objęcia dowództwa nad nowo utworzonym oddziałem, w którego skład mieli wchodzić ochotnicy-Weterani, w tym Dziki. Z tego, co udało mu się o niej dowiedzieć, była pierwszą dziewczyną w historii Armii, która osiągnęła status „Brata”. Na początku sądził, że jej awans miał coś wspólnego z umiejętnością posługiwania się błędami. Szybko doszły jednak do niego pogłoski, że Elza wybrała poznanie tajemnicy błędów dopiero po osiągnięciu swojej pozycji, jako nagrodę za awans. Plotki mówiły, że to sam Daniel pomógł jej wybudzić Pierwotną Wolę i szkolił ją w jej tajnikach.

Kiedy Dziki wrócił do salonu, dziewczyna nadal siedziała przy stole, tym razem z kubkiem kawy w ręku.

— Zawiodłeś mnie... — westchnęła głęboko, opierając brodę na dłoni. — Wygięłam dwa wytrychy, żeby dostać się do twojego mieszkania, a ty nie masz ani jednej ciekawej rzeczy.

Dziki uniósł oburzony brwi, krzyżując ramiona na piersi.

— Rozjaśniłaś mi właśnie jedną rzecz — stwierdził ironicznie, dosiadając się do stolika. — Do tej pory ciągle się zastanawiałem, dlaczego nie zamknąłem wieczorem drzwi...

Dziewczyna zupełnie zignorowała jego nieprzyjemny ton i łapiąc dwoma rękoma kubek, zwinęła się na krzesło.

— Ktoś, kto przeżył tyle przygód, powinien mieć masę pamiątek — stwierdziła, przewracając oczami. — A ty nawet nie zdjąłeś z półek zdjęć poprzednich właścicieli.

— Koszmary dręczą mnie w nocy. Nie potrzebuję przedmiotów, które miałyby mi o nich przypominać za dnia ... — odparł Dziki, biorąc do ręki stojącą na stoliku kawę.

Ponieważ kubek był chłodny, doszło do niego, że dziewczyna buszowała po jego domu co najmniej od pół godziny. Nie wydawała się jednak zawstydzona tym co robiła, bo przez cały czas uśmiechała się łobuzersko.

— Reszta chłopaków nie jest tak zdołowana jak ty — zauważyła, bawiąc się łyżeczką w kawie. — Każdy z nich ma coś osobistego. Zdjęcia, pamiątki, ulubioną koszulkę... Może powinienes otworzyć się na nowe doświadczenia? — spytała w końcu.

Dziki wzruszył ramionami, odkładając kawę, której już po prostu nie dało się pić.

— Przynajmniej wiem, że nie tylko ja mam nieproszonych gości i przejrane rzeczy — odparł, opierając się na krzesło. — Braku szacunku do prywatności nauczyłaś się tutaj? Czy byłaś zmorą już w Starym Świecie?

Elza pochyliła się w jego stronę. Po jej minie widać było, że cała ta sytuacja była dla niej wspaniałą zabawą.

— W moim oddziale nie będzie tajemnic! — oznajmiła stanowczo. — Po przysiędze stajemy się rodziną, a ja będę waszą starszą, kochaną siostrą, o której wdziękach będziecie snić po nocach...

Dziki parsknął, unosząc brew i odruchowo sięgnął po swój kubek, by przepić to, co właśnie usłyszał.

— Myślenie w ten sposób o rodzinie to kazirodztwo. Poza tym nie nadajesz się na starszą siostrę. To te młodsze są męczące i upierdliwe — odparł z przekąsem, upijając łyka.

Szybko przypomniał sobie jednak, czemu przed chwilą odłożył kubek.

— *Jakby ją Pierwszy parzył...* — pomyślał, wzdrygając się.

Elza udawała przez chwilę oburzenie, ale jej oczy nadal błyszczały z rozbawienia.

— Przyrodnia siostra to nie kaziroddstwo — zauważyła, machając ręką. — A wracając do tajemnic, wiem, że masz jedną pamiątkę. Pokaż!

Dziki spojrzał na nią z rezygnacją i rzucił sztywno — O co ci chodzi? Nic przecież nie mam... Zdążyłaś, jak myślę, przejrzeć cały ten dom, więc sama wiesz to najlepiej.

— Tyzak mówił mi o pistolecie z grawerunkiem. Chcę go zobaczyć! — zażądała, stukając palcem w stół.

Dziki wznosił oczy do góry. Tyzak był w jego domu stałym gościem praktycznie od momentu przyjęcia do Armii. Najprawdopodobniej w którymś momencie musiał przyjrzeć się jego broni, gdy odkładał ją na stolik albo półkę.

— Czemu ci tak zależy? — westchnął, niespecjalnie mając ochotę na wspomnianie starych czasów, a wiedział, że pokazanie broni na pewno do tego doprowadzi.

Elza pochyliła się nieco do przodu, jakby zdradzała sekret.

— Bo uwielbiam takie rzeczy — wyszeptała z błyskiem w oku. — Poza tym, muszę cię przyzwyczaić do słuchania rozkazów. POKAZUJ!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu Dziki westchnął, poddając się — Proszę — rzucił. Wyciągnął broń z kieszeni i położył ją na stole.

Elza nachyliła się nad pistoletem, delikatnie przesuwając palcami po grawerunku, a jej oczy wpatrywały się w niego z dziecięcą wręcz fascynacją.

— Piękny... — szepnęła w końcu z podziwem. — Ale jak wspomniałeś o koszarach... To przecież twój Autobus...

Dziki poczuł ukłucie w sercu. Oparł się o stół, patrząc z oddali na swoją broń.

— Ten pistolet to był prezent, nie prosiłem o niego... — powiedział cicho. — Za to zawsze, gdy na niego spojrzę, przypomina mi się jakich błędów mam nie popełniać. A po broń sięgam w tym świecie wyjątkowo często...

Przez chwilę w kuchni zapanowała cisza. Elza patrzyła teraz na Dzikiego z nieco łagodniejszym wyrazem twarzy.

— Rozumiem... — powiedziała delikatnie i zmieniła temat, jakby wycofuła, że jest on dla niego zbyt bolesny albo niekomfortowy. — Strój masz przygotowany? — spytała nagle. — Chcę, żebyśmy przyćmili wszystkich innych na przysiedze... Złożę się, że Stalowi znowu się odpierdola, jak niewykształcony szczur na otwarcie kanału po resece.

— Wiś w sypialni — odpowiedział Dziki, wskazując ręką w kierunku drzwi. — Możesz go obejrzeć...

Elza wystrzeliła jak z procy, wprost do drugiego pokoju. Po chwili wróciła z wyposażeniem Dzikiego. Strój dla nowo tworzonego oddziału składał się z płaszcza przeciwichemicznego, przemalowanego w matową

czerni z obowiązkową czerwoną opaską na lewym ramieniu. Do tego była kamizelka kuloodporna, wkładana pod płaszczem i grube spodnie z ochraniaczami pokryte materiałem przypominającym gumę. W trakcie walki mieli jeszcze nosić maski i kaptury przeciwcemiczne, ale do przysięgi nie było potrzeby ich zakładania.

— No, w miarę... — stwierdziła rozkładając strój na stole. — Jeszcze tylko naszywkę oddziału doczep... — dodała, rzucając ją na stolik.

Dziki podniósł się natychmiast, rozglądając za przyborami do szycia. Wczoraj spędził pół wieczoru szukając ich po mieszkaniu, żeby przyszyć opaskę do ramienia. Kładąc odnalezioną igłę z nitką na stoliku, zaczął mozolne doszywanie insygniów na ramieniu.

Elza widząc jego ślamazarność, natychmiast straciła cierpliwość.

— Daj to... — westchnęła. — Ja nie wiem, w Starym Świecie mieszkales z mamą?

— Sam — odparł Dziki, patrząc jak dziewczyna, zręcznie doczepia naszywkę oddziału do munduru.

— To chyba powinienes umieć takie rzeczy... — stwierdziła z ironią, przyglądając się po chwili swojemu dziełu. — Gotowe! Tylko pamiętaj, że do przysięgi idziemy w całym stroju!

— Mieliśmy nie wkładać masek! — zaprotestował Dziki.

— Przyzwyczajaj się! Jak już wejdziemy na Zarzecze, zrośniesz się z tym strojem — odparła dziewczyna. — No i druga rzecz, jestem twoim dowódcą — warknęła, strzelając mu palcem w czoło. — Do tego też się przyzwyczajaj.

— Tak jest... — westchnął.

Gdy w końcu Dzikemu udało się pozbyć nieproszonego gościa, poszedł w końcu zjeść śniadanie.

Większość żołnierzy Daniela oraz Weterani, którzy dołączyli do walki z Zarzeczem, spożywała posiłki na patio obok Marketu. Posiłki nie były oczywiście darmowe. Walutą powszechnie obowiązującą w Armii były tak zwane „talenty” — małe monety przekuwane z dawnych polskich jednozłotówek. Otrzymywało się je jako żołd za służbę i płacono nimi za każdą rzecz w Strefie Głodu. W odróżnieniu jednak od Wspólnoty, gdzie zarobione srebrne przeznaczało się głównie na nocleg i wyżywienie, Strefa Głodu oferowała znacznie więcej możliwości utopienia pieniędzy. Sam H—Market był co prawda zamknięty dla wszystkich oprócz Obrońców, ale przy wejściu funkcjonował mały sklep, w którym można było kupić większość z jego artykułów, w tym alkohol i papierosy. Armia Daniela miała też prawdziwych rzemieślników, którzy tworzyli własną broń i pancerze, oferując je na sprzedaż. Dla szukających rozrywek otwarty był bar, gdzie co kilka dni odbywały się większe

imprezy, a dla poszukujących damskich uciech — burdel, o pieszczotliwej nazwie Domek Kocie.

Budynek, mijany właśnie przez Dzikiego, emanował jaskrawymi kolorami, a z wnętrza dobiegały stłumione dźwięki muzyki i śmiechu. Przecho-dząc obok, mimowolnie przyśpieszył krok. To miejsce było dla niego źródłem prawdziwej zgryzoty, przywołując wspomnienia z Zarzecza, których wolałby uniknąć. Choć wiedział, że w odróżnieniu od tamtejszego przybytku, dziewczyny w Strefie Głodu pracowały jako prostytutki z własnej woli, wciąż czuł wewnętrzną odrazę na myśl o tym miejscu.

Po drodze na śniadanie napotkał jeszcze mężczyzn, których widok napa-wał go podobną niechęcią co przybytek uciech — Banderowców.

Bandera do niedawna stanowiła trzon Armii i choć Daniel nie miał do nich najmniejszego szacunku, musiał liczyć się z ich potrzebami. Teraz, gdy do Strefy Głodu przybywało coraz więcej chętnych Weteranów, Banderowcy schodzili na dalszy plan. Wiązało się to dla nich z licznymi, nieprzyjemnymi konsekwencjami, takimi jak zmniejszenie żołdu oraz ogólnej liczebności. Maciejewski został zobligowany do wyrzucenia najmniej przydatnych członków swojej grupy, a ci, którzy pozostali, dostawali teraz regularne fizyczne prace przy rozbudowywaniu umocnień H—Marketu.

Dzikiemu wcale nie było ich żal. Większość Bandery stanowili w jego odczuciu ludzie kategorii drugiej — zwykli bandyci i pospolite cwaniaki, na których widok w Starym Świecie przechodziło się na drugą stronę ulicy. Fakt, że był Weteranem, który został tak szybko awansowany w szeregi Armii, był dla nich dodatkową solą w oku. Mężczyźni poza groźnymi spojrzeniami nie ośmielili się jednak zrobić nic więcej.

Wchodząc do kantyny, Dzikie szybko ocenił, że na śniadanie przyszedł zdecydowanie za późno. Pomieszczenie wypełnione było po brzegi Obrońca-mi i Weteranami-ochotnikami. Gwar rozmów i dźwięk sztućców uderzających o talerze tworzył atmosferę przypominającą stołówkę w senatorium. Unosił się tu też podobny zapach.

W tłumie jedzących ludzi wyróżniała się szczególnie jedna postać — mężczyzna w czarno-białym mundurze Braci. Najwyższej struktura Armii Daniela. Prawie nigdy nie pojawiali się w tym miejscu, bo ich siedziba - Gorgor, miała własną kuchnię. Dzikiego nie bardzo jednak interesowało jakie interesy mają tutaj Bracia, więc zaczął szukać dla siebie wolnego miejsca.

Przechodząc między pełnymi stolikami, usłyszał nagle, że ktoś go woła — Dawaj, Dzikie! Siadaj ze swoimi!

Okazało się, że był to Traker - jeden z członków jego oddziału. Brodaty mężczyzna o posturze typowego amerykańskiego kierowcy ciężarówki, machał do niego z końca sali.

Dziki korzystając z zaproszenia, ruszył w stronę stolika, gdzie rozstawiła się cała „Pięść Daniela”. Członków swojego nowego oddziału poznał dopiero niedawno. Przed wizytą w zakładach chemicznych nie było nawet wiadomo, jak liczny będzie ich skład, bo determinowała go liczba znalezionych strojów.

Oprócz Trakera przy stole siedziało czterech innych mężczyzn: Anioł, Nóż, Banan i Poldek. Wszyscy byli dawniej wolnymi strzelcami, którzy, podobnie jak Dziki, może i mieli potencjał na zostanie członkami Armii, ale z różnych przyczyn nigdy nie trafili do Strefy Głodu.

— Cześć wszystkim — przywitał się, zajmując wolne krzesło.

— W samą porę — powiedział Poldek, młody chłopak o szczupłej sylwetce i rozczochranych włosach. — Właśnie zaczynamy ucztę.

Na stole rzeczywiście piętrzyły się talerze z jedzeniem, które w tych czasach było prawdziwym luksusem. Soczyste kawałki mięsa, świeże pieczywo, nawet owoce. Dziki uniósł brwi, spoglądając z niedowierzaniem na talerz przed sobą.

— To wołowina? — zapytał, nie kryjąc zaskoczenia. — Przecież Market nie resetował się już od dłuższego czasu...

Banan, chłopak o włosach tak żółtych i grubych, że przypominały słomę, wyprostował się dumnie jakby to on sprowadził te przysmaki.

— Jak się ma trochę talentów i umie się dobrze pogadać, to i o mięsko po takim czasie nietrudno — zdradził. — Mają w Markecie kilka małych chłodziarek. Trzymają towar dla wyjątkowych klientów.

Traker podał Dzikiemu pusty talerz, mówiąc — Nie krępuj się, nakładaj sobie...

Dziki bez wahania włożył sobie spory kawałek mięsa. To, jak się okazało, było po prostu cudowne kruche, wyraziste, idealnie wysmażone. Oczywiście na jego ocenę mógł wpłynąć fakt, że wcześniej jedyne mięso jakie jadał regularnie, to pasztet z puszk.

Tą małą chwilą przyjemności i skupienia na posiłku przerwał Dzikiemu entuzjastyczny głos Anioła.

— Przyzwyczajajcie się, bracia! — zawołał młody chłopak o błyszczących oczach. — Stanowimy elitarną drużynę, która pierwsza stanie do boju z Zarzeczem na ich ziemi! Gdy wrócimy w chwałę, spływać będą na nas uciechy, o jakich nam się nawet nie śniło...

Dziki poczuł, jak po tej deklaracji apetyt momentalnie mu znika. Anioł strasznie przypominał mu Korka. Obaj byli naiwni, pełni zapału i nie zdawali sobie sprawy z realiów walki. Najpewniej, ze względu na to podobieństwo nie mógł się powstrzymać, więc spróbował nieco wyhamować chłopaka przed popełnieniem jakiejś głupoty — Anioł... po pierwsze, do Braci to nam jeszcze daleko — zaczął spokojnie. — A po drugie, ile osób w ogóle zabiłeś?

Chłopak zmarszczył brwi, zerkając wyzywająco na Dzikiego.

— A co to ma do rzeczy? — odpowiedział ostro. — Tylu, ilu musiałem. Mam krew na rękach jak każdy...

Dziki uśmiechnął się ironicznie. Opadając na oparcie krzesła stwierdził z pewnością — A ja patrzę na ciebie i wiem, że nie zabiłeś żadnego. Najwyżej zastrzeleś kilku Niewykształconych...

Anioł aż poczerwieniał ze złości.

— I co z tego?! — wybuchnął. — Niewykształceni są bardziej niebezpieczni od ludzi!

— Są silniejsi fizycznie — przyznał Dziki. — Ale bardziej niebezpieczni? — spytał retorycznie. — Nawet nie wiesz, jakie głupoty gadasz. Myślisz, że pójdziemy tam i będziemy sobie strzelać do tych „złych ludzi” jak do kaczek? Wkroczymy do świata o wiele bardziej niebezpiecznego niż nasz, gdzie grupy walczyły o przetrwanie w warunkach, w których my nie przetrwalibyśmy nawet jednego dnia. Czekający po tamtej stronie Zwiadowcy, strażnicy, a nawet zwykli mieszkańcy zrobią wszystko, by nas powstrzymać. Będą bronili swojego domu i tego, co jest dla nich cenne.

Słyszając to, Anioł wyraźnie spochmurniał. Jego entuzjazm wyparował do tego stopnia, że zaczął wpatrywać się w swój talerz, bawiąc się nerwowo widelcem.

— Dlatego jesteś tu z nami — wtrącił nagle Poldek, przerywając ciszę jaka zapadła. — Elza powiedziała, że wiesz, jak przetrwać na Zarzeczu. Byłoby lepiej, gdybyś zamiast nas straszyć, powiedział jak tam przeżyć — dodał z lekkim wyrzutem.

Dziki westchnął — Nie chciałem was straszyć. Po prostu uważam, że Anioł ma do tego zbyt lekkie podejście — mówiąc to popatrzył na młodego chłopaka, który nadal unikał jego spojrzenia. — Myślisz, że Daniel wybrał cię, bo masz jakieś niezwykle umiejętności? Albo dostrzegł w tobie potencjał wojownika?

Chłopak uniósł głowę, jakby chciał to potwierdzić, ale finalnie, nie odpowiedział nic. Dziki kontynuował więc swoje tłumaczenia — Nie, Anioł. Daniel wybrał cię, bo psychologicznie pasujesz mu na osobę lojalną, a dodatkowo nie szanuje cię jeszcze na tyle, by zależało mu na twoim życiu. Daniel ma w swojej Armii masę doborowych żołnierzy, ale za bardzo ich sobie ceni, by ryzykować ich dla sprawy.

Na twarzy chłopaka malowało się teraz zdezorientowanie. Widać było, że to co usłyszał ubodło go mocno, ale Dziki miał nadzieję, że może dzięki temu będzie się zachowywał chociaż trochę ostrożniej. Reszta towarzyszy milczała, wymieniając spojrzenia. Docierało chyba do nich, że wcale nie muszą być żadną przyszłą elitą, a oddziałem straceńców.

Banan spróbował jednak zaprotestować, wskazując na pewien szczegół: — Przecież Elza jest Bratem! Dlaczego w takim razie puszcza ją z nami? Chyba jej byłoby mu szkoda...

O dziwo, odpowiedzi na to pytanie udzielił Traker — Elza sama się zgłosiła — wyjaśnił. — Daniel długo namawiał ją, by dała sobie spokój, ale ona chce udowodnić swoją wartość jako elita Armii...

— Skąd to wiesz? — spytał zaciekawiony Anioł, unosząc brwi.

Traker uśmiechnął się teraz lekko, a jego policzki poczerwieniały pod brodą.

— Dwa dni temu wkradła się do mnie rano i zrobiła kawę — odparł, przeczesując dłonią włosy. — Potem ucieliśmy sobie pogawędkę...

— Do ciebie też?! — zawołali jednocześnie Poldek i Anioł, szeroko otwierając oczy.

W międzyczasie Banan skrzywił się z niezadowoleniem i burknął — Jakim prawem przeglądała moje rzeczy! Może i jest dowódcą, ale to było niestosowne...

— A ja się ucieszyłem z towarzystwa — podsumował Traker z uśmiechem. — Dawno nie piłem kawy z tak miłą dziewczyną.

Banan spojrzał na niego z politowaniem.

— Nie obraż się, ale nie wyobrażam sobie, żebyś kiedykolwiek pił kawę z jakąkolwiek dziewczyną — stwierdził zgryźliwie.

Traker speszył się nieco. Opuścił wzrok. Dziękmu tak nie spodobało się zachowanie zgryźliwego kompana, że postanowił zareagować.

— Banan, ale wiesz, że mała czarna po waleniu gruchy nie liczy się jako kawa z dziewczyną? — rzucił z przekąsem.

Poldek i Anioł ryknęli śmiechem.

— Banan jest wściekły, bo Elza nie zrobiła mu kawy — zawołał pierwszy między kolejnymi falami chichotu.

— Pewnie jak zobaczyła go w gaciach, to poszła wciągać Osowiec nosem — dodał ten drugi, trzymając się za brzuch.

Banan zacisnął ze złości szczękę, robiąc nadąsaną minę.

— Elza miała rację z tą drugą ksywą dla Dzikiego — stwierdził nagle zgryźliwie.

Dziki uniósł brew.

— Jaką drugą ksywą? — zapytał, czując, że zaraz usłyszy kolejny przytyk.

— Bąk — wycedził Banan, patrząc na niego spod zmrużonych powiek.

— Bo jak tylko coś powiesz, to zatruwasz atmosferę.

Nagle Nóż, który do tej pory cały czas milczał, podniósł głowę i wtrącił się do rozmowy.

— Ten chłopak przeżył więcej niż wy wszyscy razem wzięci — powiedział chłodno, ale stanowczo. — Jak zobaczysz połowę tego, co on i nie strzelisz sobie w łeb, wtedy go oceniał.

Przy stole zapadła przez chwilę cisza, którą przerwał dopiero Banan, który po przetrwaniu tego co usłyszał, dodał — O Boże, Nóż, ty potrafisz mówić?!

— zakpił, próbując odzyskać rezon. — A ty, Bączur, zamiast rzucać przerażające wizje, lepiej się ciesz, że w ogóle udało ci się fartem zaczepić w oddziale.

Anioł wtrącił się szybko — Dziki pomógł zdobyć składniki do Osowca i nasze stroje, więc to chyba normalne, że Daniel go przyjął.

Banan prychnął.

— Tylko że Dziki dość ostro zaszedł Armii za skórę — wycedził. — Jak się dowiedziałem, że dają go do nas, to przez chwilę naprawdę myślałem, że jesteście przeznaczeni na stracenie.

Poldek prawie się zakrztusił jedzoną właśnie bułką, po czym odparł nerwowo — Wszyscy zależliśmy! Pamiętaj, że każdy z nas był Wetem...

Banan uśmiechnął się ironicznie, wciąż wyzywająco zerkając na Dzikiego — Tylko że nie każdy z nas był najpierw członkiem Wspólnoty pod wodzą zdrajcy Krzaka — przypomniawszy. — A potem jeszcze Strażnikiem Autobusu pod przewodnictwem frajera Kuby...

Dziki wzruszył ramionami, nalewając sobie ostentacyjnie kawy z dzbanka.

— Z tym ostatnim się zgodzę bez oporów — odparł spokojnie, ignorując złośliwości kompana.

Traker, który odzyskał nieco pewności siebie, wtrącił nagle — Elza powiedziała mi, że w przypadku Dzikiego Daniel po raz pierwszy konsultował się z innymi Braćmi, czy powinien go przyjąć... Zdania były mocno podzielone... — dodał.

— I co tu się dziwić, facet prawdopodobnie zabił ludzi z Ręki Olbrzyma! — rzucił Banan z naciskiem.

Dziki spojrzał na niego chłodno, unosząc kubek do ust.

— Ręki, która jeszcze jakiś czas temu polowała również na ciebie, panie były WETERANIE — przypomniawszy, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Zanim Banan zdążył odpowiedzieć, do kantyny weszła Elza i energicznym krokiem ruszyła w ich stronę.

— A gdzie wy się szlajacie beze mnie! — zawołała przesadnie obrażonym tonem. — To już nie łaska zaprosić szefową na śniadanie?

Banan westchnął ciężko, przewracając oczami, a Anioł i Poldek natychmiast rozsunęli się, robiąc dziewczynie miejsce. Elza usiadła między nimi, spoglądając na zgromadzonych.

— Boże, moje chłopaki jedzą pierwsze wspólne śniadanie... — powiedziała, udając wzruszenie. Po chwili zmieniła jednak wyraz twarzy na bardziej podejrzliwy. — Nie obgadywaliście mnie! Prawda?!

Traker pokręcił głową z uśmiechem.

— Skądże znowu — odparł.

Banan wtrącił się natychmiast — Raczej jeździśmy po Dzikim. Zastanawialiśmy się też, co kryje się za tym, że przyjęliśmy kogoś takiego jak on...

Elza uniosła brwi, sięgając po ciastko ze stołu. Najwidoczniej dziewczyna w myśl reguły braku tajemnic w oddziale postanowiła wyjaśnić natychmiast tę sprawę — Propaganda i prywatna opinia Daniela! Nasz wódz uważa, że jak plotka o ulaskawieniu Dzikiego się rozejdzie, to Weterani, którzy boją się przyjść ze względu na swoją przeszłość, mogą jednak zaryzykować. Wśród wolnych Wetów jest przecież jeszcze sporo perelek, które mogą wyjść na ludzi, a boją się dołączyć do Armii, bo kiedyś ktoś powiedział im, że jest piekłem.

— I było piekłem dla tych, których Daniel nie przyjął — wtrącił Dzik, spoglądając na nią znacząco.

Elza uśmiechnęła się półgębkiem — Popraw drugą część tego zdania — zripostowała, wyraźnie zła, że ośmielił się krytykować porządek Daniela. — Było piekłem dla tych, którzy na piekło zasłużyli.

Banan wstał nagle od stołu — Dobra, mi już starczy! — stwierdził z irytacją. — Za dużo „dzikich” tematów się porusza. Widzimy się na apelu.

— Też idę! Muszę przygotować strój! — powiedział Anioł, wstając pospiesznie i ruszając za nim.

Gdy tylko odeszli, Traker spojrzął na Dzikiego z przeproszającym uśmiechem.

— Dzięki, że chciałeś się za mną wstawić, ale niepotrzebnie — powiedział cicho. — Banan po prostu jest czepliwy z natury. Taki ma charakter. Wszyscy już do tego przywykliśmy i tolerujemy, bo jak robi się źle, można na niego liczyć. Daniel nie wybrał go bez powodu...

Dzik wzruszył ramionami — Nie podobało mi się to co mówił, więc zrobiłem, co uważałem za stosowne — westchnął. — Skoro będziemy walczyć ramię w ramię, powinniśmy okazywać sobie trochę szacunku. A przynajmniej nie czeptać się bez powodu.

— Słusznie — potwierdziła Elza, przyglądając się Dzikemu z uznaniem. — A jeśli Banan zrobi się zbyt pyskaty, przymknę oko, jeśli któryś z was mu przypieprzy..., o ile nie zrobię tego pierwsza.

W międzyczasie Traker odstawił kubek na stół i przeciągnął się leniwie.

— Dobra, ja też już zjadłem — westchnął, wstając z krzesła. — Do zobaczenia na przysiedze. — Skinął głową na pożegnanie i ruszył w stronę wyjścia.

Przy stole zostali tylko we czwórkę. Poldek, mimo swojej szczupłej postury, objadał się przez cały czas, jakby jego żołądek nie miał dna. Od momentu przyjścia Elzy jego talerz nappełnił się już po raz trzeci, a on nadal z apetytem sięgał po kolejne kawałki mięsa i chleba. Dzik obserwował go z lekkim zdumieniem, zastanawiając się, gdzie on to wszystko mieści, ale to Elza spytała w końcu, z miną jakby zobaczyła kosmitę — Gdzie ty to wszystko pakujesz, Poldek?

Chłopak spojrzął na nią z uśmiechem, wzruszając ramionami.

— Muszę mieć siłę na przysięgę... — odparł, obgryzając udko z kurczaka. — No i nigdy nie wiadomo, kiedy znów trafi się taka uczta.

Po kolejnych piętnastu minutach pałaszowania, Poldek w końcu odsunął się od stołu, pozostawiając na blacie jedynie resztki.

— No, czas się zbierać — oznajmił, wstając z wyдутym brzuchem. — Do zobaczenia na przysiedze! — dodał ocierając serwetką usta.

Potem machnął ręką na pożegnanie i wyszedł na zewnątrz, zostawiając Dzikiego, Nóża i Elzę w ciszy. Dziewczyna oparła brodę na dłoni, patrząc na pozostałych z ukosa. Jej palce bębniły rytmicznie o blat stołu.

— Więc... — zaczęła nieśmiało, próbując nawiązać rozmowę. — Macie jakieś plany po przysiedze?

Nikt jednak nie odpowiedział. Dziki wpatrywał się w pusty kubek, a Nóż zdawał się być pogrążony we własnych myślach.

Elza westchnęła cicho, wyraźnie rozczarowana brakiem reakcji z ich strony. Potem próbowała jeszcze kilka razy zacząć rozmowę, ale widząc, że żaden z nich nie podejmuje tematu, w końcu podniosła się z rezygnacją.

— No dobrze, skoro tak... — mruknęła, zakładając ręce na biodrach. — Tylko nie spóźnijcie się na przysięgę. Chcę, żebyśmy wyglądali jak drużyna, a nie... No w każdym razie nie tak, jak wyglądacie teraz.

Dziki uniósł głowę i spojrzał na nią przelotnie.

— Nie martw się, będziemy na czas... — rzucił na odczepne.

Elza skinęła głową, po czym utonęła w tłumie ludzi krzających się po kantynie. Dziki odprowadził ją wzrokiem, zastanawiając się, czy jej entuzjazm kiedykolwiek słabnie.

Gdy zostali sami, Nóż spojrzał na niego badawczo.

— Znam twoją historię... — oznajmił nagle, przełamując milczenie po raz drugi tego dnia.

Dziki uniósł zaskoczony brwi.

— Doprawdy? — spytał ironicznie. — Myślę, że coraz trudniej znaleźć ludzi, którzy jej nie znają.

Nóż zignorował jego sarkazm i przesunął palcem po krawędzi kubka, jakby zastanawiał się nad doborem kolejnych słów.

— Bo to, co dla ciebie jest straszną tragedią, dla innych jest motywującą opowieścią — stwierdził w końcu, przesadnie szczerze. — Wydarzenia z twojego życia można rozpatrywać na dwa sposoby. Ci, którzy słuchają tych opowieści, widzą w tobie człowieka, który pokonał Delimera, zakończył konflikt Pierwszego i Dix, przebudził Pierwotną Wolę, by ratować towarzyszy z autobusu, a nawet udał się na Zarzecze, by sprowadzić porwaną przyjaciółkę...

Dziki aż zgrzytnął zębami. Z jednej strony denerwowało go, że ktoś analizuje jego życie, a właściwie jego „tragedię”. Z drugiej strony, miał wrażenie, że za tą wypowiedzią kryło się coś więcej, spytał więc — Tak rozpatruje to większość. A ty? Jak to widzisz?

Nóż pochylił się do stołu i odparł cicho — Ja widzę opowieść o człowieku, którego zdradzili najbliżsi, oddając na pastwę Delimerowi. Historię wyboru między miłością a powinnością, która dla wybierającego jest najgorszym z koszmarów. Widzę żal człowieka, który obwinia się, bo nie mógł ocalić wszystkich, których chciał. A w końcu przygodę, która z pozoru przyniosła szczęśliwe zakończenie, ale w rzeczywistości jest tylko mizernym pocieszeniem, po tragediach wszystkich jej uczestników...

Dziki poczuł, jak coś ściska go w gardle. Nóż trafił w sedno. Przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie chciał jednak, by chłopak wiedział, jak mocno dotknęło go to co powiedział.

— Dobrze to sobie poukladałeś — przyznał zdawkowo. — Zastanawia mnie tylko, skąd wiesz o mnie aż tyle. Większość ludzi zna tylko część historii, która mnie spotkała. Niektórzy myślą nawet, że było kilku różnych Dzikich..., bo przecież jednemu nie mogło się przydarzyć aż tyle.

Nóż wzruszył lekko ramionami.

— Szukałem po prostu dowodu, że tragedie, które mnie spotykają, nie są odosobnionym przypadkiem — wyjął. — Udowodnić sobie, że nie ciąży nade mną żadna klątwa. Dlatego usilnie szukałem kogoś, kogo spotkało coś gorszego niż mnie. I znalazłem ciebie...

Dziki spojrzał na niego uważnie. W oczach chłopaka dostrzegł ból i gorzyc, które sam tak dobrze znał.

— Skoro porównujesz się do mnie, opowiedz mi swoją historię... — zaproponował. — Może i ja znajdę w tym dowód, że świat mnie nie nienawidzi.

— Pewnie nie — stwierdził Nóż. — Ale ze wszystkich ludzi z naszego oddziału tylko z tobą mógłbym się tym podzielić — dodał cicho. — Wiem, że podejdiesz do tego z właściwym zrozumieniem. Pojawilem się prawie trzy lata temu — zaczął nagle i bez wstępu swoją opowieść. — Wypadłem w pięcioosobowej grupie razem ze swoją siostrą, Martą. — W tym momencie chłopak zamknął oczy, jakby przywołując bolesne wspomnienia. — Niemal natychmiast dostaliśmy się w niewolę. Nasi porywacze zamknęli nas w piwnicy i co jakiś czas przychodzili, zabierając kogoś pojedynczo — opisywał, a jego głos był pozabawiony emocji, jakby opowiadał o kimś innym.

Pod tym względem trochę przypominał Dziakiemu Pierwszemu, gdy ten się zwierzał ze swojej przeszłości.

— Był z nami chłopak, Hubert, bardzo otyły — ciągnął dalej Nóż. — Gdy go zabrali, myśleliśmy, że już nie wróci, jak wszyscy przed nim. Ale po kilku godzinach przynieśli go z powrotem. Miał odcięte obie nogi i ręce.

Dziki poczuł zimny dreszcz przebiegający po plecach, bo wiedział doskonale w czyje łapy wpadł Nóż i jego siostra.

— Powiedział nam, że oni nas zjadają — opisał chłopak, a jego głos po raz pierwszy zdradzał nieznacznie. — On był po prostu za duży, by zjeść go na

raz... Stwierdzili, że zamiast go zabijać, lepiej będzie obandażować mu kikuty, bo mięso będzie dłużej świeże.

Dziki przeknął z trudem ślinę. Wspomnienia o kanibalach, których sam spotkał na swojej drodze, wróciły teraz z całą mocą.

— Miałem do czynienia z kanibalami — wtrącił cicho. — Wiem, jak to jest. Ale jak uciekłeś? Co z twoją siostrą? Obudziłeś w sobie Wolę? — dopytał z zaciekawiony.

Nóż pokręcił głową, spoglądając w pustkę.

— Nie było żadnej Woli — odparł z goryczą. — Martę zabrali jako przedostatnią, a ja byłem ich ostatnim posiłkiem. Gdy przyszli po mnie, wiedziałem, że to mój koniec. Nawet się nie broniłem. Chciałem po prostu, żeby to się skończyło. Tylko że oni nie zamierzali mnie zabić tak szybko. Brakowało im jedzenia, więc chcieli mnie ćwiartować żywcem, jak Huberta.

Jego oczy zaszkliły się, ale nie pozwolił sobie na łzy.

— Tak bardzo bałem się umierania w agonii, że wybrałem śmierć w walce — kontynuował. — Wyrwałem jednemu ze strażników nóż i... Wiesz co?

— Co? — zapytał Dziki, choć domyślał się odpowiedzi.

— Zabiłem ich wszystkich... — wyszeptał Nóż. — Ci ludzie byli wręcz potwornie słabi, wygłodzeni, chorzy... Strażnikowi odebrałem nóż praktycznie bez wysiłku. Zaszlachtowałem chyba z dziesięć osób, nim wydostałem się z ich przekłętego schronienia...

Jego głos załamał się na chwilę. — Wtedy to do mnie dotarło! — wybuchł nagle. — Było nas na początku piątką! Ludzi ze Starego Świata! Silnych, zdrowych! Strażnicy wchodzili we dwóch... Gdybyśmy wtedy zaatakowali razem, gdybym ja zaatakował... Marta dalej by żyła... Ci wszyscy ludzie dalej by żyli...

Dziki znał dobrze to poczucie winy i bezsilności.

— Rozumiem... — powiedział cicho. — Gdyby moja Wola przebudziła się wcześniej...

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie, dzieląc nieme porozumienie. W tym momencie poczuli, że łączy ich coś więcej niż tylko przynależność do oddziału.

— Dzięki, że mnie wysłuchałeś — stwierdził Nóż, prostując się. — Teraz lepiej iść się szykować. Elza chce, żebyśmy dobrze się prezentowali.

Dziki skinął głową na pożegnanie. — Do zobaczenia na przysiedze.

Nóż wstał i odszedł powoli, zostawiając Dzikiego samego z myślami. Przez chwilę siedział nieruchomo, wpatrując się w pusty talerz. Potrzebował chwili, by przetrawić to, co właśnie usłyszał. Ponieważ na stole niewiele już zostało, a nie chciał zajmować stolika bez powodu, podszedł do stoiska, by kupić sobie coś na deser. Gdy wracał, zauważył jednak, że miejsce obok zajął mężczyzna w stroju Braci.

— Kopę lat, Dziki — powitał go Damian, który jeszcze jakiś czas temu znany był jako Weteran Wiewiór.

Dziki, aż uniósł brew, zaskoczony ich niespodziewanym spotkaniem.

— Zachodziłem w głowę, kiedy w końcu się pokażesz — stwierdził w końcu, siadając naprzeciwko byłego Weterana i zaczął powoli jeść torcik.

Damian w tym czasie skrzyżował ramiona na piersi, opierając się wygodnie na krześle.

— Kiedy dowiedziałem się, że przyłączyłeś się do Armii, nie mogłem nie przyjść i nie spojrzeć ci w oczy — powiedział z nutą sarkazmu w głosie. — Po tym całym monologu, jaki wygłosiłeś do mnie w autobusie, ty, Dziki, służysz Danielowi.

Dziki uśmiechnął się kpiąco.

— Monolog to akurat prowadziłeś ty — przypomniał. — Ja, o ile pamiętam, nazwałem cię gnidą i zdrajcą.

Twarz Damiana stężała momentalnie, a jego oczy zwężyły się.

— A teraz sam stoisz po tej stronie, którą kiedyś tak pogardzałeś — stwierdził, akcentując każde słowo.

Dziki wzruszył ramionami, nie dając się sprowokować.

— Nie pogardzałem Danielem — odparł spokojnie. — Po prostu los wepchnął mnie na drugą stronę barykady. Jeżeli już, to gardziłem tobą, bo wystawiłeś człowieka, który uratował ci życie.

Damian uderzył pięścią w stół, powodując, że kilka osób spojrzało w ich stronę.

— Zagwarantowałem ci bezpieczeństwo! — krzyknął, a jego twarz poczerwieniała ze złości.

Dziki pozostawał jednak niewzruszony na takie argumenty.

— Jeśli pchniesz kogoś nożem, a potem zatamujesz krwawienie... to nie możesz powiedzieć, że uratowałeś mu życie — odparł chłodno.

Były Weteran zacisnął zęby, a jego dłonie drżały z gniewu. — Myślałem, że masz jakieś zasady..., że po tym, co się stało, za nic nie przyłączysz się do Armii — syknął.

Dziki uniósł łyżkę, spoglądając na niego z boku. — Boli cię to, że tu jestem — zauważył spokojnie, wkładając kęs torcika do ust.

— To nie tylko moje zdanie — odparł Damian, próbując się opanować. — Przez to, co ty i Pierwszy zrobiliście w cegielni, straciliśmy grupę dobrych ludzi i masę sprzętu. Teraz jesteśmy zmuszeni prosić o pomoc Weteranów... Nie rozumiem, dlaczego Daniel po tym wszystkim pozwolił ci choćby stanąć w tym miejscu.

Dziki odłożył łyżkę i oparł się wygodnie na krześle.

— A ja doskonale wiem — stwierdził, dzieląc się tym co usłyszał od Elzy i swoimi domysłami. — Danielowi brakowało dobrych ludzi. Kuba odciągnął od niego tylu przydatnych, ilu tylko mógł. Większość z tych, którzy mogliby zasilić Armię, żywią przekonanie, że nie spotka ich tu nic dobrego. Przyjmując

mnie, pokazał wszystkim Weteranom, że nawet jeśli walczyli przeciw niemu, mogą tu przyjść i liczyć na przyjęcie. Dzięki temu może w końcu robić prawdziwą selekcję, zredukować Bandere, obsadzać stanowiska ludźmi, jakich naprawdę chce mieć...

Damian otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów. Dziki kontynuował, nie dając mu szansy na przerwanie.

— Rozumiem też, dlaczego jest ci to nie w smak — dodał. — Wielu Weteranów przekonując się na własnej skórze, że Daniel to nie potwór, zostanie tu nawet po zakończeniu konfliktu z Zarzeczem. Armia ich zasymiluje, ale dla nich wszystkich ty na zawsze będziesz miał łatkę zdrajcy...

Damian poderwał się z krzesła, przewracając je z hukiem. — Daniel powinien cię zabić! — wrzasnął, a jego twarz była już purpurowa ze złości.

Dziki spojrzał na niego spokojnie.

— I zapewne to właśnie mu zaproponowałeś — wtrącił chłodno. — Skoro jednak ciągle tu stoję, a na dodatek za jakieś dwie godziny będę oficjalnie członkiem Armii, to raczej nie wziął sobie twojej rady do serca.

Były Weteran poruszał ustami, ale żadne słowa nie wydobyły się z jego gardła. W końcu odwrócił się na pięcie i wyszedł z kantyny, przepychając się między stolikami.

Dziki odprowadził go wzrokiem, a potem wrócił do swojego deseru. Gdzieś w środku poczuł delikatne zadowolenie, że zdrada Damiana odwróciła się przeciw niemu. Uniósł łyżkę do ust, delektując się smakiem.

Pierwsze w historii zaprzysiężenie Weteranów stało się niezwykle widowiskiem w całej Strefie Głodu. Przed płotem H-Market'u zbudowano małą mównicę, do której podłączono kable i głośniki. Płynęła z nich skoczna, wojskowa melodia, dodając wydarzeniu uroczystego charakteru. Przy ogromnym namiocie rozdawano kawę i herbatę, a na dawnym billboardzie reklamowym wymalowano ogromny propagandowy mural, przedstawiający wszystkie oddziały Armii, w tym nowo zaprzysięgani.

Dziki stał w szeregu na placu, a razem z nim Traker, Nóż, Banan, Poldek i Anioł. Wszyscy ubrani w pełne mundury, które Elza kazała im założyć. Czuł ciężar maski przeciwgazowej na twarzy i gorąco płaszcza przeciwchemicznego, ale starał się zachować skupienie.

Kilka metrów za nimi miejsce zajęli Obrońcy — gromada w czarnych swetrach ochrony zbiła się w ciasny kwadrat tuż przed wejściem do swojego domu. Po przeciwnej stronie ustawili się Weterani ochotnicy, a dalej Bandera, której członkowie rzucali niepewne spojrzenia na nowoprzybyłych.

Na środku placu dumnie rozstawili się Stalowi. Jednostka przeznaczona do walki z Niewykształconymi. Ich członkowie ubrani byli w czarne, skó-

rzane kurtki, najeżone ze wszystkich stron kilkucentymetrowymi gwoździami. Wyglądali groźnie, a jednocześnie dość groteskowo.

— Mówiłam, że ich odjebie jak szczury! — warczała Elza pod nosem, krążąc w okół swojej oddziału. — Po co im te kurtki? Myślą, że będą teraz walczyć z Dziadami?

Dziki spojrzał na nią kątem oka, a Banan wtrącił szeptem — Przypomnę ci tylko, że sama kazałaś nam przyjść w pełnym umundurowaniu...

— To co innego! — odparła natychmiast Elza, strzelając go dłonią w hełm. — To jest nasz moment i mieliśmy wszelkie prawo, cywilne i boskie, przyjść ubrani w ten sposób!

Dziki starał się nie słuchać złorzeczeń dziewczyny, skupiając się na tym, co działo się przed nim. Na plac wkraczali właśnie Daniel na czele Braci. Wszyscy ubrani w charakterystyczne biało-czarne moro prezentowali się imponująco. Lider Armii wszedł pewnym krokiem na mównicę, a jego towarzysze rozstawili się szeregiem, twarzami zwróconymi w stronę zgromadzonych.

Dziki dostrzegł wśród nich Wiewióra, który z marsową miną obserwował nowo tworzoną Pięść Daniela. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. W oczach Damiana dostrzegł niechęć i coś na kształt zazdrości.

Tymczasem Daniel uciszył gestem szeptu i podniósł do ręki mikrofon. Z głośników rozstawionych na parkingu dobiegł jego głos.

— Wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że nie lubię przemawiać zbyt długo! — zawołał, a wśród Armii rozległ się śmiech — Niemniej mamy dziś wyjątkowe święto, więc pozwoliłem sobie przygotować krótką mowę...

Wódz wyciągnął pęk kartek i zaczął je przeglądać z udawanym skupieniem. Po chwili podrapał się w głowę i wyrzucił kartki za siebie.

— A do diabła z tym, powiem coś spontanicznie — mruknął, wywołując kolejną falę rozbawienia. — Zaciśnięta pięść jest jedyną bronią, z którą rodzi się każdy z nas... Nasze pięści są jednak słabe, dlatego zakuwamy je w żelazne rękawice, ściskamy w nich pałki albo trzymamy broń. Ze wszystkich sił staramy się ukryć, jak niedoskonałymi uczynili nas złośliwi bogowie.

Dziki słuchał uważnie, próbując wyczuć jego intencje w stosunku do nowo zaprzysięganego oddziału.

— Ja moją pięść otoczyłem trującym gazem, tak by jej uderzenie przyniosło śmierć wszystkim, którzy ośmielili się zagrozić naszemu stylowi bycia — kontynuował Daniel, a jego głos stał się bardziej surowy. — Zaprzysiężenie Pięści Daniela jest wyjątkowe z jednego ważnego powodu. Po raz pierwszy do Armii wcieleni zostają ludzie, których kiedyś uważałem za swoich nieprzyjaciół. Nie dlatego, że chciałem, by byli moimi wrogami, ale dlatego, że tak zadecydował kapryśny los!

Dziki poczuł dziwne ukłuci. Miał wrażenie, że te słowa odnoszą się głównie do niego.

— Świat nie jest czarno-biały i zdarza się, że po dwóch stronach konfliktu stają ludzie, którzy powinni walczyć ramię w ramię — mówił dalej Daniel. — Atak z Zarzecza ma jedną pozytywną stronę! Dzięki niemu Armia się zmienia! Nim ten konflikt zostanie zakończony, wierzę, że pośród was, Wolnych Weteranów, znajdę jeszcze wielu nowych braci. Ludzi rozumnych i prawych, którzy rozumieją, że czasem trzeba poświęcić kilka istnień dla większego dobra.

Dziki zauważył, jak niektórzy z Bandery spoglądają na siebie niepewnie. Słowa Daniela wzbudzały ogólnie bardzo różne emocje wśród zebranych.

— Razem stworzymy Nowe Krańcowo. Nowy Świat, którego wszyscy dobrzy ludzie pragną i w którym chcą żyć — kontynuował wódz z pasją. — Przekujemy koszmar, w którym żyjemy, w sen! Nim jednak to nastąpi, musimy zażegnać wiele zagrożeń. A odpowiedzią na to największe jest stojąca przed wami grupa.

Daniel wskazał na Pięć Daniela, a Dziki poczuł na sobie ciężar spojrzeń setek oczu.

— Poproszę teraz jej dowódcę, by zaprzysięgła swój oddział w wiernej służbie Armii Daniela.

Elza ściągnęła z twarzy maskę, odsłaniając zarumienione policzki i błyszczące oczy. Stała przed nimi z uniesioną głową. Fakt, że nie trzymała kartki, świadczył o tym, że przysięgę zna na pamięć.

— Powtarzajcie za mną! — rozkazała stanowczym głosem. — Ja, Weteran z wolnego świata, wyrzekając się wszystkich poprzednich przynależności, ślubuję służyć wiernie Danielowi, chronić ustanowione jego mocą granice Strefy Głodu, strzec bezpieczeństwa swych towarzyszy i pozostałych członków Armii...

Nagle słowa dziewczyny utonęły w przerażającym gwizdzie, który wypełnił cały plac. Zgromadzeni zaczęli rozglądać się nerwowo, szukając źródła dźwięku. Sam Daniel popatrzył w stronę głośników, myśląc najwyraźniej, że to zwarcie wywołało ten hałas.

Niespodziewanie tuż pod mównicą coś runęło — przedmiot przypominający prowizoryczną bombę. Ogromna eksplozja rozdarła powietrze. Dziki poczuł potężną falę uderzeniową, która odrzuciła go do tyłu. Upadł na plecy, uderzając boleśnie głową o asfalt. Do oczu nabiegły mu łzy, a w uszach słyszał tylko ogłuszający szum.

Próbując się podnieść, dostrzegł roztrzaskaną mównicę. Ciała kilku Braci leżały wykręcone przy kraterze, jaki powstał po wybuchu. Wśród trupów zobaczył Damiana. Mundur mężczyzny był szkarłatny na wysokości pasa, a jego oczy wpatrywały się martwo w niebo.

— *To nie może się dziać naprawdę...* — pomyślał Dziki, czując, jak ogarnia go panika.

Dookoła zapanował chaos. Mieszkańcy Strefy Głodu uciekali we wszystkie strony. Ranni jęczeli, czołgając się po ziemi. Oddziały Armii stały zdezorientowane.

Obok Dzikiego przebiegł z rykiem Maciejewski. Olbrzym dopadł do gruzów mównicy i podrywając je z siłą koparki, próbował wyszarpać rannego wodza z pobojozwiska.

Cichy, który oprzytomniał jako jeden z pierwszych, zawołał do swoich ludzi — TO ATAŁ Z ZARZECZA! STALOWI, SZYKUJCIE SIĘ DO...

W tym samym momencie kolejny gwizd przeciął powietrze. Dzikiego spojrział odruchowo w niebo i dostrzegł czerwoną bańkę wyglądającą jak gazowa butla turystyczna. Prowizoryczna bomba runęła w miejsce, gdzie stała grupa Banderowców, rozrywając stojących najbliżej na strzępy. Fala uderzeniowa przewróciła pobliskie stoiska, a fragmenty ciał i sprzętu poleciały w powietrze.

— *To koszmara...* — pomyślał Dzikiego, spoglądając w niebo.

— Pomóżcie Danielowi!!! — krzyknął Maciejewski, podnosząc ogromną drewnianą płytę, która przygniatała wodza.

Dzikiego, razem z resztą oddziału, rzucił się do pomocy. Chwycili Daniela pod ramiona i wyciągnęli go spod gruzów. Mężczyzna był nieprzytomny, a z jego głowy lała się strugami krew. Jego twarz była biała, a oddech płytki.

— Zabierz go stąd! — rozkazała Elza, a Maciejewski przerzucił sobie wodza przez ramię i ruszył pędem w stronę H — Marketu.

Kolejny gwizd wypełnił powietrze. Tym razem prowizoryczna bomba nie sięgnęła nawet ziemi. Szachraj wybiegł naprzeciw swoich ludzi. Okładając się po twarzy jak oszalały, zatrzymał pocisk za pomocą Pierwotnej Woli. Butla turystyczna niebieskiego koloru, do której przyczepiony był jakiś dziwny mechanizm, wyła jak sędzia na meczu piłkarskim.

— ZABIERAJCIE TO SOBIE I WSADŹCIE W DUPE! — ryknął, mężczyzna machając ręką.

Butla wróciła łukiem w stronę, z której nadleciała, eksplodując gdzieś w oddali.

— Elza, co robimy?! — zawołał Traker, spoglądając na dziewczynę z niepokojem.

Ta rzuciła wzrokiem za Stalowymi, którzy wybiegli już z placu.

— Ruszamy za nimi! — rozkazała stanowczo.

Anioł zaprotestował jednak, spoglądając na leżących na ziemi — Trzeba pomóc rannym Braciom!

— Obrońcy się nimi zajmą! Musimy odeprzeć Zarzeczce! — odparła Elza, z płonącymi od gniewu oczami.

Dzikiego poczuł adrenalinę bużującą w żyłach. Wyszarpał pistolet spod płaszcza i pobiegł za nią, starając się trzymać blisko. Biegł przez plac, omijając porozrzucane szczątki i przewrócone stoiska.

— Powinniśmy wziąć Osowiec! ZAGAZOWAĆ SKURWYSYNÓW! — zaproponował po drodze Poldek, ale Elza zgaśniła go w biegu.

— Jak się cofnie do Strefy Głodu, pozabijamy swoich!

W ciągu kilku sekund dobiegli do kapliczki, gdzie dawniej znajdował się punkt graniczny. W tym samym momencie dostrzegli też ciało jednego ze Stalowych. Mężczyzna wyglądał, jakby uderzył w niego pociąg. Dziki zauważył wbite w ziemię kolejowe śruby.

— ELZA, TO PUŁAPKA! — krzyknął, rozglądając się przerażony.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, wszyscy usłyszeli głuchy dźwięk strzelb ciśnieniowych. Kanonada śrub wystrzeliła w ich stronę, tnąc wściekle powietrze. Dziki rzucił się na ziemię, odruchowo zamykając oczy. Czekał już tylko na eksplozję, ból i uczucie rozrywania ciała, ale żadne z tych zdarzeń nie nastąpiło. Otworzył oczy i z zaskoczeniem zauważył, że razem z oddziałem znalazł się kilkanaście metrów od miejsca, w którym stali przed chwilą. Od razu przyszło mu na myśl, że wbiegli w błąd zwany furką, ale przecież takiego na pewno tu wcześniej nie było.

Rozglądając się pobieżnie dostrzegł, że nie ma z nimi Elzy, a Cichy z resztą Stalowych skrywa się zaledwie parę metrów dalej. Wypatrując dalej za swoim dowódcą, spostrzegł błyskawicznie, że dziewczyna została na miejscu, w którym stali pierwotnie. Jej ciało leżało jak bez życia, a pozostali członkowie oddziału wpatrywali się w nią przerażeni.

Przez chwilę nie mógł zrozumieć co się właściwie stało i wtedy z zamyslenia wyrwał go krzyk Anioła — DLACZEGO NIE PRZENIOSŁA SIĘ Z NAMI!?

— Nie umie! Potrafi przenosić tylko innych! — odparł mu przerażony Traker.

Do Dzikiego dopiero teraz dotarło co się właściwie stało. Elza musiała użyć jakiegoś błędu, by przenieść ich w bezpieczne miejsce. Wypatrując dalej spróbował odnaleźć miejsce, z którego padły strzały. Po krótkiej obserwacji, dostrzegł lufy chowające się w oknach najbliższego bloku.

— Tam są! — wykrzyczał w stronę Cichego, wskazując palcem.

Dowódca Stalowych skinął nerwowo głową i zawołał — Wiem! Ale tu mają nas jak na widelcu! Musimy obmyślić plan.

Dziki spojrzał w stronę Elzy. Nie wiadomo w jakim stanie była dziewczyna. Mogła potrzebować natychmiastowej pomocy. Wysunął się powoli, by jeszcze raz przyjrzeć się oknom i wtedy z dachu budynku wystrzeliła kolejna pseudobomba. Na szczęście dla nich, pocisk leciał prosto w stronę Strefy Głodu.

Wykorzystując zamieszanie Dziki poderwał się z ziemi i ruszył w stronę nieprzypadkowej dziewczyny.

— Co robisz! Zostań! — wykrzyczał do niego Cichy.

Dziki go jednak nie słuchał. Wiedział, że przeładowanie strzelby nie jest natychmiastowe, a Zarzeczanie atakowali falą, by zniwelować piekielną niecelność broni na dużych odległościach.

Kilka strzałów padło co prawda, gdy tylko wybiegł na drogę, ale wszystkie śruby uderzały w ziemię co najmniej metr od niego. Dobiegł do swojego dowódcy, złapał za jej rękę, ale poczuł opór.

— Dziki przyszedłeś po mnie... — wyszeptała Elza z zamkniętymi oczami, by po chwil zganić go jak największego idiotę. — GŁUPKU, ODRZUCIŁAM CIĘ ŻEBYŚ BYŁ BEZPIECZNY! DOSKONALE SOBIE TU RADZĘ.

Dziki chciał już coś odpowiedzieć, ale w tym momencie z bloku padła kolejna salwa. Elza wyciągnęła rękę, a tuż obok nich zmateriałizował się ogromny metalowy kontener. Pojemnik na śmieci przyjął na siebie wszystkie śruby, zasłaniając ich jak tarcza.

— Chciałam się dokładnie przyjrzeć, skąd strzelają, ilu ich jest, dlatego się nie ruszałam — wyjaśniła, Elza oddychając ciężko.

— Myślałem, że oberwałaś... — powiedział Dziki, czując, jak serce wali mu w piersi.

— Chyba masz Pierwotną Wolę? — spytała dziewczyna z przekąsem. — Rykoszetowanie śruby to bułka z masłem w porównaniu z prawdziwym pociskiem — opisała. — Ale za wierność należy ci się pogłaskanie..., jak już stąd wyjdziemy.

Nim wystrzeliła kolejna seria, dowódca Stalowych dobiegł do nich kryjąc się za metalową przesłoną.

— Gdzie się pchasz, Cichy! Nikt cię tu nie zapraszał! — ryknęła Elza, rzucając mu gniewne spojrzenie.

— Przestań być tak cholernie infantylna! Myślisz, że to zabawa?! — odwar knął mężczyzna. — Dziki, z których okien strzelali? Widziałeś? Ilu ich może być?

Dziki zerknął ostrożnie zza kontenera.

— Chyba zajęli wszystkie piętra — odpowiedział. — Więc raczej niemało...

— Dobra, widzę, że po każdej salwie mają dłuższą przerwę. Musimy wymusić kolejny ostrzał, a wtedy...

Nagle między nimi błysnęło. Jakiś mężczyzna pojawił się znikąd, korzystając z błędu podobnego do tego, którego używała Zjawa. Przybysz niemal natychmiast upuścił im pod nogi ręcznie robiony granat i zniknął w krótkim błysku.

— UWAŻAJCIE! — krzyknął Dziki, ale Elza zareagowała szybciej.

Poderwała dłoń, a granat eksplodował. Przez chwilę świat zamienił się w oślepiające światło i przeraźliwy huk. Dziki usłyszał coś co brzmiało jak uderzenie potwornego gongu, a nad głową poczuł niewyobrażalne ciepło.

Jego liderka musiała przenieść bombę w ostatniej chwili. Głuchy huk wydobywający się z kontenera wypełnił go do tego stopnia, że jego serce zaczęło drgać w rytm dudnienia.

— NIE MOGŁAŚ GO PRZENIEŚĆ DALEJ?! — wrzasnęła Cichy, próbując przekrzyczeć szum w uszach.

Elza oczywiście również odpowiedziała krzykiem — PRZENOSIŁAM PRAKTYCZNIE WYBUCH! MYŚLISZ, ŻE JA SRAM WOLAĆ?!

Dziki obrócił się i dostrzegł ogromne wybrzuszenie na metalowej ścianie, za którą się chowali. Nagle cała trójka po prostu zamarła. Wszyscy poczuli Pierwotną Wolę tak przytłaczającą, że prawie odbierała siłę do oddychania.

— Co to? CO TO DO CHOLERY JEST! — krzyknął przerażony Dziki.

— Daniel idzie... — zawołała Elza, a w jej oczach pojawiła się mieszanina ulgi i podziwu.

Dziki popatrzył w stronę Strefy Głodu. W oddali zobaczył nadchodzącą postać.

Sklamałby mówiący, że wybuch nie pozostawił na Danielu śladu. Wódz miał zabandażowaną głowę, a opatrunek przesiąkał krwią z każdą upływającą chwilą. Jego mundur był rozerwany, prawie tak bardzo, jak jego twarz pocięta była odłamkami. Nawet jego mina była nie do poznania. Zwykły wyraz nieprzełamanej pewności siebie, zmienił się w coś, co przypominało rzeźbę o wyjątkowo surowych rysach.

— Bracie... — zawołali razem Elza i Cichy, gdy wódz stanął nad nimi. Dziewczyna zrobiła to z wyraźną radością, a dowódca Stalowych z niepokojem.

Daniel uciszył ich gestem, spoglądając w stronę budynku, w którym kryli się Zarzeczenie.

— Nikt nie przerywa święta, które zaplanowałem... Nikt nie zabija moich ludzi w ich własnym domu... To o jedną beczelność za dużo — warknął, wychodząc pewnym krokiem zza kontenera.

W jego stronę błyskawicznie wystrzeliła kolejna fala śrub. Dziki wstrzymał oddech, ale pociski zrykoszetowały, nie czyniąc mu krzywdy. Nie zrobiły tego jednak w losowy sposób, jak dzieje się zazwyczaj w trakcie działania błędów. Wbiły się równo w ziemię, tworząc dookoła Wodza wizerunek czaszki. Daniel, stając w jego środku, pokazał palcem w stronę bloku, po czym z niewyobrażalną szybkością wystrzelił w stronę klatki.

Drzwi wejściowe po prostu wypadły z zawiasów, wgniecione jakby uderzeniem rozjeżdżonego samochodu. Chwilę po tym, jak Daniel znalazł się w środku, przez okno na parterze wyleciał mężczyzna. Jego ciało frunęło, jak wyrzucone z katapulty. Uderzając głową o asfalt, przetarł po ziemi kilka metrów, zostawiając za sobą krwisty ślad. Nie minęła minuta, gdy z sąsiedniego okna wypadł kolejny żołnierz Zarzecza. Ten zawisł na słupie energetycznym, jakby jego ciało było ogromną kluską. Nim jego trup zdążył upaść na ziemię, przez balkon na piętrze wyleciała kolejna postać.

Dziki obserwował to z niedowierzaniem. Z kolejnych pomieszczeń przez okna wypadali kolejni ludzie. W większości wciąż żywi i przytomni mężczyźni, roztrzaskiwali się z krzykiem o asfalt, jak owady na szybie samochodu. Nim zdążył się otrząsnąć, ogromna machina miotająca bomby zleciała z dachu bloku, wybuchając przed jego wejściem.

— *To niesamowite...* — pomyślał, pytając jednocześnie Elzę — *To koniec?*

— *Nie...* Jest jeszcze co najmniej pięciu Zwiadowców... — odpowiedziała dziewczyna, wpatrując się w blok.

Dziki nie miał w tej chwili wybudzonej Woli, więc nie czuł nikogo oprócz Daniela, co samo w sobie było zagadkowe. Bez aktywnej Woli nigdy wcześniej nie zdarzało mu się tak po prostu wyczuwać obecności innych ludzi. Rozglądał się więc nerwowo po okolicy, próbując wypatrzeć ukrywające się postacie.

Daniel w tym czasie wyszedł z bloku, ciągnąc za nogę jakiegoś mężczyznę. Żołnierz z Zarzecza ubrany był w robocze spodnie i bluzę w ciemnym, grafitowym kolorze. Na jego prawym ramieniu widniał błękitny symbol Węża Eskulapa. Dziki natychmiast zrozumiał, że oddział, który ich zaatakował, pochodził z Miasta Szpitala.

Wódz Armii puścił mężczyznę, a ten natychmiast błysnął, rozplywając się w powietrzu. Daniel zrobił to samo i niemal natychmiast pojawił się kilka metrów dalej, trzymając go za bluzę. Zwiadowca nie poddał się. Błysnął ponownie, próbując uciec. Sytuacja powtórzyła się raz jeszcze. Po trzecim błysku Daniel pojawił się, trzymając go za szyję.

— Bez względu na to, jak potężny jesteś albo jaka Wola tobą kieruje, każdy z nas ma dokładnie jedną i tę samą słabość. Atak z zaskoczenia... — stwierdził wódz Armii, ściskając krtań pojmanego tak mocno, że ten upadł na kolana.

Mężczyzna dusił się, jego oczy rozszerzały się coraz bardziej, jakby miały zaraz wyskoczyć z orbit. Daniel przyglądał się temu bez śladu jakiegokolwiek emocji na twarzy.

Nim jednak Zwiadowca wydusił z siebie ostatni oddech, powietrze za plecami Daniela zadrgało. Prawie natychmiast pojawił się drugi Zwiadowca, a jego pięść leciała prosto w stronę wodza. Dziki zamarł, widząc nadlatujący cios.

Daniel odskoczył do tyłu, mijając pięść dosłownie o włos.

— *Twoja śmierć dopełni mój dzień!* — ryknął atakujący, a jego kłęczący kompan wykorzystał ten moment. Błysnął i pojawił się tuż przed Danielem, trafiając go pięścią w brzuch. Wódz cofnął się o krok, ale na jego twarzy nie pojawił się nawet grymas bólu.

Elza wyrwała się do przodu, gotowa do ataku.

— *NIE! To moja walka!* — krzyknął Daniel w jej stronę, powstrzymując ją gestem ręki.

Zwiadowcy stanęli obok siebie, zaciskając pięści. Na ich twarzach zagościły pewne siebie uśmiechy. Jeden skinął głową do drugiego, po czym natychmiast ruszyli. Pierwszy z nich zrobił się przezroczysty, znikając niemal całkowicie z pola widzenia. Drugi błysnął w nieznanym kierunku.

Nagle Daniel wykonał błyskawiczny zamach. Siła ciosu, wzmocniona błędem, zdawała się poruszać powietrze. Jego pięść uderzyła w pozorną pust-

kę, ale Dziki zauważył, że knykie Daniela ugrzęzły w czymś niewidzialnym. Krew trysnęła w powietrze, tworząc krwistą plamę zawieszoną w przestrzeni.

— Dopełniła? — spytał ironicznie Daniel, opuszczając ociekającą posoką pięść.

Dopiero teraz Dziki dostrzegł niewidzialnego Zwiadowcę. Mężczyzna osunął się na ziemię, materializując swoją postać w trakcie upadku. Jego ubranie miało dziurę wielkości pięści, jak po uderzeniu kulą armatnią. Przez rozdarcie widać było zmasakrowane wnętrzości, które zmieniły się w bezkształtną maź.

Ogromny błysk rozdarł okolicę. Nie wiadomo skąd, dookoła pojawiło się czterech innych Zwiadowców. Dziki poczuł, jak jego mięśnie napinają się ze strachu. Wiedział, że sytuacja staje się coraz bardziej niebezpieczna.

Nim którykolwiek z nich zdążył chociaż wykonać ruch, Daniel rzucił się błyskawicznie w stronę najbliższego. Potężnym chwytem ścisnął jego głowę i uniósł go do góry jak szmacianą lalkę. Dziki z przerażeniem obserwował, jak wódz uderza potylicą mężczyzny o asfalt, roztrzaskując czaszkę jak dojrzały owoc. Dźwięk pękających kości przeszył powietrze.

Jeden ze Zwiadowców błysnął natychmiast, pojawiając się tuż obok Daniela. Uderzył go w twarz, po czym zniknął ponownie. Niemal natychmiast pojawił się z innej strony, wymierzając kolejny cios. Tym razem trafił Daniela w bok. Z ust wodza trysnęła krew, a jego brwi ściągnęły się w zacięciu.

Dziki patrzył z rosnącym niepokojem. Czy nawet ktoś taki jak Daniel może zostać pokonany?

Błyskający Zwiadowca pojawił się po raz kolejny, tym razem trzymając w ręku pistolet. Celował prosto w czoło Daniela. Na ustach napastnika zagościł bezczelny uśmiech.

— *To koniec* — pomyślał Dziki, czując, jak serce zamiera mu w piersi.

Nim jednak Zwiadowca zdążył nacisnąć spust, Daniel z nadludzką szybkością chwycił za broń i zgniótł ją w dłoni mężczyzny, jakby była z plasteliny. Metalowy przedmiot zaskrzypiał, a palce Zwiadowcy zostały uwięzione w bezkształtnej masie.

Napastnik upadł na kolana, wpatrując się z niedowierzaniem w zmiażdżoną rękę. Daniel cofnął się o krok, przygotowując się do wymierzenia ciosu. W tym momencie w jego stronę poleciały dwa dziwne noże. Oba nie miały rękojeści, a wszystkie ich krawędzie były zaostrome. Ostrza były bez wątpienia kontrolowane przez Pierwotną Wolę, ponieważ przecinały powietrze niemal pionowo, nie tracąc przy tym pędu.

By uniknąć śmiertelnych ostrzy, Daniel musiał użyć kilku błysków z rzędu. Noże jednak nie odpuszczały. Niczym sterowane pociski, goniły za nim, śledząc każdy jego ruch.

W końcu Daniel błysnął za plecami Zwiadowcy, który w oddali kontrolował ostrza. Mężczyzna był tak skupiony na kierowaniu bronią, że nie za-

uważył zbliżającego się zagrożenia. Daniel wymierzył potężny kopniak w jego plecy. Zwiadowca poleciał prosto na pikujące ostrza, które przeszły go niemal na wylot. Krzyk bólu rozdarł powietrze, gdy mężczyzna osuwał się na ziemię.

— DOŚĆ! — krzyknął inny Zwiadowca, który przez cały czas próbował wymierzyć do Daniela ze strzelby.

Teraz, gdy wódz zatrzymał się na chwilę, napastnik niemal natychmiast nacisnął spust. Z lufy broni wypadła tylko jedna śruba, ale wzmocniona błędem. Prowizoryczny nabój, wyrывая się z broni, niemal rozerwał ją na kawałki. Ciągając za sobą tumany kurzu, leciał z mocą mogącą przebić nawet pancerz czołgu.

Dzikie wiedział, że to pocisk, którego sam nigdy nie dałby rady zrykosztować. Przewyższał nawet pamiętną kulę, którą wystrzelił w stronę Bronka na Zarzeczu. Czy Daniel zdoła go zatrzymać?

Wódz nie miał jednak zamiaru zmieniać toru lotu pocisku. Wyciągając dłoń przed siebie, zaczął wyhamowywać śrubę, która zdawała się wręcz spalać powietrze. Wokół niej tworzył się żarzący się ślad. W pewnym momencie śruba leciała z prędkością pchanego wiatrem balonika. Daniel bez trudu chwycił ją w dłoń.

Zwiadowca, który oddał ten niewyobrażalny strzał, spojrzał na to z przerażeniem. Upuścił swoją zniszczoną strzelbę i rzucił się do natychmiastowej ucieczki.

Daniel przyjął w tym czasie pozę miotacza bejsbolowego. Biorąc potężny zamach, wyrzucił śrubę z niewiele mniejszą mocą niż ta, z jaką leciała wcześniej. Pocisk błyskawicznie doleciał do uciekiniera, rozrywając go na kawałki. Bez spowolnienia wbił się następnie w najbliższy blok, krusząc ogromny fragment jego ściany. Huk eksplozji wstrząsnął okolicą.

Kłęczący na ziemi Zwiadowca ze zmiażdżoną ręką spojrzał przerażony na zbliżającego się do niego Daniela. Czy mężczyzny były szeroko otwarte ze strachu.

— Jak... JAKIM KURWA CUDEM TWOJA WOLA SIĘ NIE KOŃCZY?! — wykrzyknął z rozpaczą.

Daniel popatrzył na niego z obrzydzeniem. — To tajemnica, której już nie rozwikłasz... — westchnął.

Jednym szybkim ruchem wymierzył podbródkowy, który oderwał Zwiadowcy głowę. Ciało mężczyzny osunęło się do przodu, a głowa odleciała kilka metrów, tocząc się po drodze jak piłka.

Daniel usiadł obok trupa, jakby nic się nie stało. Grzebał przez chwilę w kieszeni, z której następnie wyciągnął sok w kartoniku. Drżącymi rękoma próbował wbić słomkę w otworek, ale po kilku nieudanych próbach zmiażdżył opakowanie, wypijając zawartość przez powstały u góry otwór.

Dzikie, Elza i Cichy chcieli już podejść w jego stronę, ale Daniel ponownie zatrzymał ich gestem wyciągniętej ręki.

— Po tym, co już widziałeś, chyba nie chcesz próbować niczego głupiego! — zawołał nagle.

Dziki rozejrzał się zdezorientowany.

— Jeśli chcesz wyjść stąd żywy, lepiej się pokaż — dodał wódz, wstając.
— Jeśli będę musiał cię ścigać, gwarantuję, że nie umrzesz tak szybko jak oni...

Ostatni ze Zwiadowców, kryjący się za wrakiem starego samochodu, powoli wyszedł na drogę. Mężczyzna ubrany był dokładnie jak pozostali ludzie z Zarzecza — w grafitowy kombinezon z błękitnym Wężem Eskulapa na ramieniu. W odróżnieniu od zwykłych żołnierzy, Zwiadowcy mieli jeszcze wyszytą lornetkę nad prawą piersią.

— Czemu nie walczyłeś? — spytał Daniel, zerkając na mężczyznę z boku.

— Nie było szans... — westchnął Zwiadowca. — Ktoś taki jak ja, mógłby cię zabić tylko z zaskoczenia...

Daniel spojrzał prosto w jego twarz, wyraźnie go oceniając.

— Każdy inny człowiek nazwałby cię tchórzem... Ale ja widziałem, co robisz. Obserwowałeś całą sytuację, czekałeś na moment do ataku, gromadziłeś Wolę... Dopiero gdy zauważyłeś, jak twoi kompani zostali zmieceni, zacząłeś się wycofywać. No i zbliżyłeś się do mnie. Nie zacząłeś uciekać. Nawet teraz wiem, że gdybym cię zaatakował, spróbowałbyś się bronić...

— Raczej byłoby to bez sensu... — odparł Zwiadowca.

— Raczej... — potwierdził Daniel z lekkim uśmiechem. — Ale to właśnie ciebie wybrałem, żebyś przeżył.

— Czemu? — spytał podejrzliwie mężczyzna, unosząc brew.

— Bo chcę, żebyś przekazał dla mnie wiadomość — odparł Daniel. — Powiedz proszę Pani „prezydent”, że ruszam na Zarzecze. Nie zrobię tego w ten godny pożałowania sposób jak wy. Nie będę atakował z zaskoczenia, jak jakieś zwierzę bez honoru. Chcę, żeby słyszała o każdym mieście, które padnie. Była świadoma każdego kroku, gdy będę się do niej zbliżał. A gdy już zacisnę dłonie na jej szyi, wcale nie będę się śpieszył, by pozbawić ją ostatniego tchu... Dodaj też na koniec, że „uciekanie z ciała” nic nie pomoże.

Mężczyzna popatrzył na Daniela z mieszkanką strachu i zdziwienia.

— No ruszaj! — rozkazał wódz.

Zwiadowca odwrócił się i odszedł niepewnym krokiem, ciągle oglądając się za siebie. Dziki patrzył za nim, zastanawiając się nad słowami Daniela.

W tym samym momencie Elza i Cichy dobiegli do wodza, a Dziki ruszył powoli za nimi.

— To było niezemskie! — krzyknęła dziewczyna. Jej oczy błyszczały z podziwu. — Gdyby nie to, że nie wcisnęłam pod ochraniacze majtek, to musiałabym je teraz przebrać...

Cichy spojrzał na nią z dezaprobatą.

— Po co go puściłeś?! — zwrócił się do Daniela. — Naprawdę chcesz, żeby wiedzieli, co się szykuje? Że jesteśmy gotowi do ataku?

Daniel zaśmiał się cicho.

— Wolę grę w otwarte karty. Poza tym, jest jeszcze jeden powód. Oni mają szpiega u mnie, a ja mam szpiega u nich...

— Co?! — zawołała nagle Elza. — Szpieg? U NAS?! Kto?! To któryś z Weteranów?! Powiedz tylko, mistrzu, a sama urwę mu klejnoty...

Cichy ponownie zignorował jej wybuch i zwrócił się do Daniela, jakby tego komentarza nie było.

— Skąd wiesz, że mamy kreta? — dopytał. — Ten atak mógł być zwykłym przypadkiem...

Daniel rozejrzał się ostrożnie, upewniając się, że Stalowi i pozostali ludzie z Pięści są wystarczająco daleko, by ich nie słyszeć.

— Przechwyciliśmy krótki sygnał radiowy, który pojawił się dokładnie w momencie, gdy wszedłem na mównicę — wyjaśnił. — Przyjrzałem się też maszynie, z której miotali bomby. Nie dało się z niej dokładnie celować, dlatego Szachraj użył swojej Woli, by ściągnąć pocisk prosto na mnie i tylko to uratowało mi życie...

— O czym ty mówisz?! — krzyknął Cichy, wyraźnie zszokowany.

Daniel spojrzał na niego spokojnie.

— Moja Wola nigdy nie wygasa — wyszeptał. — Dlatego zawsze czuję, gdy ktoś używa błędów, nawet w delikatnym stopniu. To zresztą uratowało mi życie... Gdyby bomba naprawdę uderzyła w piedestał przypadkowo, już byłbym martwy. Przeżyłem tylko dlatego, że poczułem, że Szachraj coś na mnie ściąga. W ostatniej chwili zdążyłem się osłonić...

— To jebana łajza! — ryknęła Elza, zaciskając pięści. — Pójdę tam i zrzucę mu na ryj cały H-Market!

— Spokojnie — powiedział Daniel, kładąc jej dłoń na ramieniu. — Na razie zostaje to pomiędzy nami. Chcę wiedzieć, dlaczego jeden z moich najwyższych postawionych ludzi postanowił zabawić się w Brutusa. Dlatego po powrocie wszyscy udajemy, że nic o tym nie wiemy...

— A co z tym twoim szpiegiem? — spytał Dzik, który do tej pory milczał.

Daniel popatrzył na niego badawczo.

— Pamiętasz, jak wspomniałeś mi, że pani prezydent może być nieco „odcieleśniona”? Specjalnie dałem jej znać, że coś o tym wiem. Teraz, przestraszona, może spróbować lepiej zabezpieczyć swoje ciało albo ukryć je w pewniejszym miejscu. Jeśli zwiększy gdzieś straż albo po otrzymaniu wiadomości ruszy gdzieś nagle tajemnicza karawana, natychmiast się o tym dowiem. To pozwoli mi ustalić, gdzie ta zaraza ukryła swoje jestestwo... A teraz chodźcie, nie możemy dopuścić, żeby taka mała niedogodność zepsuła nam dzisiejszą zabawę.

Wódz objął Dzikiego i Elzę ramionami, kierując ich w stronę Strefy Głodu.



Rozdział XIV

Rozbłysk

Daniel przez swoją potęgę był bardzo pewny siebie, co z kolei powodowało, że często podejmował błyskawiczne i nieprzemyślane decyzje. Taka konkluzja zrodziła się w głowie Dzikiego po wydarzeniach, jakie miały miejsce w trakcie ich przysięgi. Nie chodziło o fakt, że rzucił się bez żadnego wsparcia na Zwiadowców. Raczej o to, że wierzył, iż osoba tak ekspresywna jak Elza, będzie w stanie utrzymać w tajemnicy niechęć do Szachraja.

Dziewczyna zdemaskowałaby ich zaraz po powrocie z pola walki, gdy szef Obrońców przyszedł spytać Daniela, czy wszystko z nim w porządku. W trakcie tej szopki ostentacyjnie położył mu rękę na ramieniu, na widok czego Elza po prostu wybuchła. Dzikie, który jako jedyny z oddziału wiedział o zdradzie mężczyzny, ledwo powstrzymał swoją przełożoną przed dokonaniem natychmiastowej egzekucji. Reszta Pięści Daniela najwidoczniej potraktowała to jako pokaz zazdrości o względy ich przywódcy.

Podobne sytuacje działy się potem przez cały tydzień od przysięgi. Gdy tylko Elza znalazła się gdzieś w pobliżu Szachraja, natychmiast próbowała w jakiś sposób uprzykrzyć mu życie.

Na przykład, podczas przerwy obiadowej przywaliła mu tacą w głowę, oblewając przy okazji gorącą zupą. To oczywiście można było potraktować jako zwykłą złośliwość, ale innym razem, używając Pierwotnej Woli, przeniosła zawartość latryny wprost do jego sypialni. Próbę utopienia w fekaljach ni-jak nie dało się traktować jako zwykłą zaczepkę, a nie było to wcale najgorsze, co dziewczyna wymyśliła.

Dzikie nie dowierzał, że po tylu dziwnych sytuacjach Szachraj nie domyślił się, że jest o coś podejrzewany. Sytuację rozjaśnił mu dopiero Tyzak, który mimochodem wspomniiał mu, gdy spotkali się na śniadaniu, że Elza, Szachraj i Cichy stanowili od zawsze trójkąć wzajemnej nienawiści. Każde z nich starało się zyskać w oczach Daniela, co prowadziło do ciągłych konfliktów wśród Braci. Było też powodem, dla którego każde z nich zostało oddelegowane do innych struktur i pracowało z dala od siebie.

Dzikie domyślił się więc, że mężczyzna przyjął bardziej agresywne zachowanie Elzy jako efekt awansu i chęć dalszej rywalizacji o względy Daniela.

Tym razem podyktowanej próbą wysunięcia się na czoło elitarnych oddziałów, przed Obrońców i Stalowych.

Fakt, że Szachraj nie czuł się podejrzwany, potwierdził pewne przypuszczenie Dzikiego. Nawet ktoś postawiony tak wysoko jak szef Obrońców H-Marketu nie wiedział, że Wola Daniela nie zanika. Gdyby mężczyzna chociaż podejrzewał taką ewentualność, uciekłby zaraz po tym, jak okazało się, że Wódz przeżył wybuch.

Ten szczegół został zupełnie zignorowany przez Elzę. W Dzikim zaś na nowo rozbudził ciekawość związaną z pochodzeniem Pierwotnej Woli Daniela. Domyślał się, że musiała być ona czymś naprawdę niezwykłym. Wola, która rozbudzana była przez prymitywne emocje, takie jak gniew czy strach, nie byłaby w stanie dać użytkownikowi takiej potęgi. Zjawia, która używała błędów, bazując na własnej złości, mogła co prawda błyskawicznie się rozbudzać, ale nie zbliżyła się nawet do poziomu Daniela czy Pierwszego. Obserwując uważnie zachowanie wodza, Dzikie starał się domyślić, jaki rodzaj emocji nie opuszcza go przez większość czasu. Niestety, jedyne co przychodziło mu do głowy, to wręcz chorobliwe zapatrzenie w samego siebie. Przez to zaczął nawet rozmyślać, czy ktoś, kto skrajnie się nienawidzi, mógłby obudzić Pierwotną Wolę, doceniając się jako osobę. W tej teorii ciągle mu jednak czegoś brakowało.

Jego małe śledztwo zostało szybko przerwane przez pierwszą dużą partię Osowca, którą przygotowało laboratorium przy Stefie Głodu. Dzikie spodziewał się, że z nową bronią ruszą natychmiast na tamtą stronę. Daniel podjął jednak decyzję, że mają najpierw odpowiednio przygotować się do walki z nowym sprzętem.

Stalowi na poczet ich treningu ściągnęli więc z centralnej części Krańcowa kilkunastu Gospodarzy i co najmniej dwadzieścia Potłuków. Niewykształconych zamknęli następnie w specjalnie przygotowanym bloku, obok Strefy Głodu. W ten sposób stworzony został prawdziwy dom szkoleniowy dla Pięści Daniela.

Podczas każdej symulowanej akcji Elza miała używać swojej mocy, by przenieść pojemnik z gazem do jednego z mieszkań, a potem cały oddział, krocząc w jego oparach, miał zetrzeć się z osłabionymi Niewykształconym

Z założenia prosta koncepcja okazała się wyjątkowo trudna w realizacji. Wraz ze wzrostem odległości Elza miała coraz większe problemy z celnym przenoszeniem przedmiotów. To niejednokrotnie skutkowało pojawieniem się pojemnika z gazem nie w tym mieszkaniu, do którego mieli się dostać. Kilkakrotnie zmuszeni byli więc walczyć z w pełni sprawnymi Gospodarzami i Potłukami, bez wspomaganie się Osowcem.

Nawet jeżeli pojemnik z gazem dostał się do właściwego mieszkania, nie ułatwiała im to szczególnie zadania. Osowiec miał intensywny żółty kolor, a jego opary były bardzo gęste. Wchodząc do jakiegokolwiek pokoju, poruszali

się w nim właściwie na ślepo, a o używaniu broni palnej mogli zapomnieć. Przy tak słabej widoczności ryzyko postrzelenia kompana z oddziału było zbyt duże. Sam gaz stanowił też inny problem. Osowiec był silnie żrący, więc błyskawicznie zniszczyłby każdy pochłaniacz w masce. Przez cały czas działania w jego oparach musieli używać strażackiej aparatury tlenowej.

Butle, które nosili były bardzo ciężkie, a powietrza w nich starczało na zaledwie czterdzieści minut przy założeniu, że nie byli mocno zmęczeni. Żrące właściwości Osowca miały jeszcze jeden niepożądany skutek, który stał się ich zmorą od samego początku. Gaz wchodził praktycznie w każdą szczelinę. Nawet najmniejsza luka w kombinezonie albo niedokładnie dopięta rękawica stroju skutkowałą swędzącymi i bolesnymi poparzeniami. Zakładanie kombinezonu z iście zegarmistrzowską precyzją szybko stało się dla Pięści Daniela prawdziwym rytuałem.

Pierwszego dnia po takim treningu Dzikie nie był nawet w stanie wejść do swojego mieszkania. Zdesperowany runął po prostu w stołowiec, zasypiając z głową na stole. Kilka kolejnych dni wcale nie okazało się lepsze. Jedynym plusem tego morderczego treningu była hojność Daniela. Wódz nie szczędził im niczego, chcąc najwidoczniej zrekompensować trudy, jakie musieli znosić. Co rusz wysyłał im prezenty w postaci paczek z jedzeniem albo słodyczami. Nie przynosiło to jednak znaczącego ukojenia w ich męce. Po dziesięciu dniach treningu, gdy całym oddziałem leżeli na stole pośród stosów bombonierek, dewolajów i kłusek śląskich, nikt nie miał siły przegryźć choćby kęsa. Ostatecznym dowodem ich fizycznego wykończenia był fakt, że nawet Elza przestała dogryzać Szachrajowi.

Ich trening zbliżał się jednak do końca. Kolejna, znacznie większa partia Osowca była już szykowana wyłącznie do ataku na drugi brzeg, nawet pomimo tego, że wojna ponownie stanęła w martwym punkcie. Od zamachu w trakcie przysięgi, Zarzeczcie nie wykonało żadnego znaczącego ruchu, a dodatkowo opuściło zajęte wcześniej kamienice po stronie Centrum. Cała ta sytuacja wydawała się Dzikemu jedynie ciszą przed burzą. Zarzeczcie do ataku szykowało się co najmniej od dwóch lat. Wątpliwym było, żeby odpuścili po porażce w zaledwie kilku starciach. Sam Daniel uważał, że te ataki były jedynie testami, mającymi ocenić ich siłę i możliwości obronne oraz szybkość reakcji.

Wodzowi zależało szczególnie, by do kolejnej bitwy doszło już po tamtej stronie rzeki. Jak często podkreślał podczas swoich wizyt na ćwiczeniach: „Dalsze straty w Strefie Głodu byłyby dla niego osobistą ujmą na honorze, a w ciągłym poczuciu zagrożenia źle się je kolacje”.

Elza brała sobie jego słowa wyjątkowo mocno do serca i nie odpuszczała im na treningach, aż ostatni pojemnik przeznaczony do ćwiczeń nie został opróżniony.

To wstępne przeszkolenie uświadomiło Dzikemu, jak wiele brakuje ich grupie, by nazywać się choćby „drużyną”. Fakt, że Elza ciągle podkreślała ich eli-

tarność, w obliczu tych niedomagań, wydawał mu się po prostu śmieszny. Prawda była taka, że praktycznie każdy z członków oddziału w czymś mocno zawodził.

Traker był z nich najsilniejszy i bez problemu dźwigał całe zaopatrzenie, niestety przy okazji był też piekielnie flegmatyczny. Do tego bardzo źle znosił walkę w Osowcu. Przez swoje spore gabaryty błyskawicznie opróżniał butlę z tlenem, gdy przychodziło mu coś robić w jego oparach.

Poldek nie potrafił zrobić jednego kroku, jeżeli nie spytał się Elzy, co robić dalej. W czasie treningu powtarzał ciągle — Co robimy? Co robimy?! — i nigdy nie wykazywał nawet cienia własnej inicjatywy.

Banan radził sobie nieźle. Nie bał się Niewykształconych i dobrze znosił wysiłek oraz dźwiganie kombinezonu. Był za to „typem indywidualisty”, jak mówił Traker, albo „cholernym dupkiem”, jak powtarzali wszyscy inni. W trakcie treningów bardzo często zupełnie ignorował resztę oddziału i działał na własną rękę. Do tego zdarzało mu się całkowicie ignorować polecenia wydawane przez Elzę.

Anioł był według Dzikiego najbardziej nietrafionym wyborem w całym oddziale. Chłopak ledwo był w stanie wejść w kombinezonie i aparacie tlenowym na drugie piętro. Męczył się przy tym tak bardzo, że butlę opróżniał prawie tak szybko jak Traker. Do tego w trakcie treningu miał zwyczaj niespodziewanego zatrzymywania się w dziwnych miejscach. Dziki nie potrafił zliczyć, ile razy wpadł na niego podczas przeczesywania zagazowanych mieszkań.

Najmocniejszym punktem oddziału był Nóż. Mężczyzna potrafił zachować spokój w najbardziej krytycznych sytuacjach. Do tego naprawdę starał się działać drużynowo. Wykonywał polecenia Elzy, ale potrafił też podejmować własne decyzje, gdy został sam. Wiele razy jego błyskawiczne wsparcie ratowało członków oddziału przed poważnymi ranami. Sam Dziki zawdzięczał mu ocalenie przed wyjątkowo wielkim Potłukiem, którego gaz nie zdążył zabić przed ulotnieniem się. Niestety mężczyzna okazał się bardzo konfliktowy i wszyscy bardzo często słyszeli pod koniec ćwiczeń wiele gorzkich słów pod swoim adresem. Rujnowało to morale, bo uwagi Noża nie były złośliwymi kpinami, jak w wypadku Banana, a wskazywały na realne braki oddziału, do których nikt nie chciał się przyznać.

Największym zaskoczeniem okazała się dla Dzikiego sama Elza. Dziewczyna na co dzień wydawała mu się dziecinna i nieodpowiedzialna, ale w trakcie walki wstępował w nią zupełnie inny duch. Potrafiła błyskawicznie rozeznawać się w sytuacji i bezbłędnie używała swojej mocy do wspierania oddziału. Wielokrotnie ocaliła im skórę, oddzielając grupę Niewykształconych nagle przeniesionym na środek korytarza regałem czy inną przeszkodą. Dodatkowo potrafiła błyskawicznie teleportować w bezpieczne miejsce każdego z nich, gdy uznała, że nie da sobie rady z zagrożeniem. Jej jedynymi wadami były wręcz chorobliwa ambicja i chęć udowodnienia swojej wartości. Przekonanie jej do wycofania się było właściwie niemożli-

we, a każda bitwa musiała zostać rozstrzygnięta za wszelką cenę. Dziki miał wrażenie, że ich liderka prędzej poświęci cały oddział, niż choćby spróbuje zawieść oczekiwania Daniela.

Nie było więc nic dziwnego, że gdy padł w końcu rozkaz wymarszu pod granicę rzeki, Dzikim zaczęły szargać naprawdę mieszane uczucia. Poglębiał to tylko fakt, że od śmierci Daro nie miał już wcale na siebie pomysłu. Dołączył do Armii Daniela tylko po to, by z jej pomocą dotrzeć do znieenawidzonego Zwiadowcy. Od kiedy Pierwszy ubiegł go w zemście, wszystko, co teraz robił, nagle straciło na znaczeniu. Idee wspólnego dobra Centrum niespecjalnie do niego trafiały. Ciągłe przekonywał więc siebie, że robi to dla Mike'a i dziewczyn, które były pod jego opieką. Gdy łapała go rezygnacja, powtarzał sobie za każdym razem, że żadnej z nich nie przytrafi się los, jaki spotkał Oli.

Problem w tym, że wspomnianie dziewczyny zawsze powodowało u niego rozdzierający żal, a wydarzenia z miasta Garażu powracały do niego w koszmarach. Gdy przypominał sobie zezwierżenie tamtejszych ludzi, znowu napęłniała go żądza mordy. Ciągłe jednak ciążyło na nim przyrzeczenie, jakie złożyli razem z Pierwszym. Żeby się uspokoić, myślał o Białym, który mógł po prostu pozwolić mu umrzeć, udusić się od Defektu, jak stało się z Hieną. A jednak stary doktor z Zarzecza zahamował jego chorobę, mimo że nie zachował się wobec niego lepiej od najpodlejszych ludzi z Zarzecza.

Ten chaos panujący w głowie Dzikiego często sprowadzał się do uczucia absolutnej pustki i wypalenia. Często zadawał sobie w takich momentach pytania: „Czy to już był jego koniec? Czy naprawdę zatracił w pełni to, kim był? Czy to właśnie przed tym próbował ocalić go Pierwszy?”

Na szczęście rozterki zwykle przegrywały walkę ze zmęczeniem. Dziki, oprócz zwykłych treningów, obciążony był bowiem jeszcze jednym zadaniem. Każdego dnia zmuszony był opowiadać Danielowi i jego świcie o wszystkim, czego dowiedział się na temat Zarzecza.

Dzięki jego sugestiom, na potrzeby Pięści Daniela, stworzono pojazd o pieszczotliwej nazwie „Dzik-1”. Został on zbudowany na bazie cysterny, którą przerobiono tak, by mogła pomieścić ogromne ilości Osowca. Jej zawory przebudowano, aby Pięść Daniela mogła napęlniać małe zbiorniki bezpośrednio z przyczepy. Oczywiście zamontowano też reflektory i dodatkowy akumulator, a sama kabina została oczyszczona ze zbędnych rzeczy, aby pomieścić we wnętrzu cały oddział.

Z całym tym uzbrojeniem Pięść Daniela ruszyła w końcu zająć przyczółek obok mostu, gdzie miała czekać na dalsze rozkazy. Sam ich wymarsz miał też drugie dno. Daniel liczył, że w ten sposób uda mu się wysledzić, jak Szachraj przekazuje wiadomości na stronę Zarzecza. Informacja o ich ruchach musiała być przecież wyjątkowo cenna strategicznie. Sama

data ataku pozostała jednak tajemnicą, a ostateczna decyzja zapaść miała oficjalnie „gdy Daniel będzie miał dobry dzień” — a nieoficjalnie, gdy szpieg z Zarzecza przyśle swój raport.

Pięć Daniela zajęła się więc pilnowaniem granic przy moście, oczekując w stałej gotowości do ataku. Było to o tyle problematyczne, że oddział musiał podzielić się na dwie mniejsze grupy, by uniknąć działania Prawa Trzech. Od ostatniego Błysku minęło co prawda sporo czasu i większość walążących się Niewykształconych zginęła, ale ryzyka z ich strony nie mogli po prostu bagatelizować.

Dziki razem z Trakerem i Aniołem pilnowali więc mostu od strony auli koncertowej, a Banan, Nóż i Poldek zabezpieczali okolice sklepików, które wcześniej jako pierwsze wpadły w ręce Zarzecza.

Dziękiemu cała ta sytuacja bardzo przypasowała. Musieli pilnować mostu całą dobę, w trakcie samotnych, ośmiogodzinnych wart. Dzięki temu nie musiał bawić się w „integrację” ze swoimi nowymi towarzyszami. Choć w większości nie wydawali mu się oni złymi ludźmi, zdecydowanie nie miał już sił na budowanie kolejnych relacji w Nowym Świecie.

— Nawet w tym zaczynam już przypominać cię — warknął, znowu myśląc o Pierwszym i jego podejściu do ludzi. — Zastanawiam się, kiedy tak jak ty, przestanę ściągać tę cholerną maskę — westchnął, spoglądając na górną część swojego kombinezonu przewieszoną przez kosz na śmieci.

— Do kogo mówiłeś? — spytał nagle Traker, który niespodziewanie pojawił się na posterunku przed czasem.

Dziki, zaskoczony jego nagłym przybyciem, poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

— Głośno myślałem — odparł natychmiast, mocno zmieszany faktem, że ktoś usłyszał, jak mówi sam do siebie. — Co tu robisz? — zapytał po chwili, spoglądając na zegarek. — Do końca mojej warty jeszcze godzina...

— Anioł położył się w końcu spać, a ja już się wyleżałem — wyjaśnił Traker. — Pomyślałem, że może ci się nudzi, więc wpadnę i zabiję nam trochę czasu rozmową... — zaoferował niespodziewanie, uśmiechając się niepewnie w stronę Dzikiego.

Ten, słysząc propozycję kompana, ledwo powstrzymał się, by nie przewrócić oczami. Przecież właśnie przed chwilą myślał o tym, jak dobrze mu było na samotnej warcie. Czego mógł się jednak spodziewać? Traker był bardzo specyficzną personą, przesadnie miłym typem, który zawsze próbuje się bratać i budować z kimś więź porozumienia. Dla Dzikiego był więc w tym momencie najgorszym możliwym towarzyszem w oddziale. Szybko spróbował go spławić, zachowując jednak minimum taktu. Zatargi z ludźmi, którzy będą cię osłaniać w trakcie walki, nigdy nie były dobrym pomysłem.

— Nie obraż się, ale mam parę spraw do przemyślenia. Wolałbym zostać sam... — wytłumaczył, starając się, by brzmiało to, jakby rzeczywiście miał w tym momencie po prostu gorszą chwilę.

Traker spojrział na niego niepewnie, po czym opuścił głowę, właściwie załamany. Dziki aż zagotował się w środku, widząc jego reakcję. Przecież nie kazał mu „spieprzać na drzewo”, tylko jak najgrzeczniej mógł, zasugerował, że nie chce towarzystwa.

Co gorsza, mężczyzna już po chwili rzucił głosem odrzuconego dziecka — A... okej... rozumiem.

Widok Trakera, który nagle zaczął wyglądać jak zbity psiak, jakimś cudem obudził w Dzikim uczucie wstydu. Wiedząc, że za chwilę bardzo tego pożałuje, zawołał — Traker, poczekaj! Słuchaj, wydajesz się naprawdę miłym gościem. Wiem, że jesteśmy jedną drużyną i uwierz mi, naprawdę nie chciałem cię obrazić... Po prostu ostatnio nie jestem zbyt towarzyski...

Mężczyzna obrócił się, kiwając głową ze zrozumieniem.

— Sporo przeszedłeś, to widać — odparł natychmiast. — Ty, Nóż i Banan jesteście dla mnie jak z innego świata... — stwierdził, spoglądając w ziemię. Po jego minie widać było, że rozważa przyznanie się do czegoś trudnego. W końcu, łamiącym się głosem, dodał — Miałeś rację wtedy. W dniu przysięgi... Nie tylko w stosunku do Anioła, ale do mnie i do Poldka też.

— Nie rozumiem... — odparł Dziki, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że musiało chodzić o jego wywód na stołówce sprzed ich treningów.

— Wtedy powiedziałeś, że Anioł będzie ciężarem. Ale to nie tylko Anioł. Ja też nim jestem... — wyznał Traker, siadając na pobliskiej ławce.

Dziki przypominając sobie całą sytuację, spróbował się wytłumaczyć — Nie pamiętam, żebym mówił coś takiego. Zganiłem tylko entuzjazm Anioła... On po prostu nie rozumiał, w co się pakuje...

— Ja też nie rozumiałem... — zwierzył się niespodziewanie Traker. — I chyba dalej nie rozumiem. Wiesz, ja zabiłem kiedyś człowieka... dawno temu. To był bandzior, zwykły bandzior, a jednak wraca to do mnie. Kiedy powiedziałeś tamtego dnia, że nie będziemy walczyć z żołnierzami, tylko z ludźmi broniącymi domu, ciągle to do mnie wracało. Myślałem nawet, żeby iść do Daniela i powiedzieć, że rezygnuję, ale za bardzo się bałem.

Dziki popatrzył na mężczyznę, czując coś bardzo dziwnego. W jego nieogolonej, smutnej twarzy dostrzegł jakby samego siebie sprzed tych wszystkich wydarzeń. Ten widok prawie go przeraził. Przypomniało mu się, jak niedługo po swoim przybyciu do Nowego Świata walczył z podobnymi rozterkami.

— Traker... Ja cię rozumiem — stwierdził, bo chociaż sam już nie odczuwał podobnych wątpliwości, pamiętał dobrze, jak było wcześniej. — Kiedy przybyłem do tego świata, nie byłem złym człowiekiem. Nie chciałem zabijać nikogo. Nawet tych, którzy zasłużyli. Potem coraz trudniej było od-

różniać tych, którzy zasłużyli, od tych, którzy nie zasłużyli. Teraz wiem, że w tym świecie, jak bardzo byś się nie starał, prędzej czy później będziesz miał na rękach krew, której nie chcesz... Tak niestety tu jest i tego nie zmienisz — próbował wytłumaczyć coraz bardziej załamanemu kompanowi. — To, że odejdziesz, nie zmieni też tego, że ludzie zginą. Daniel weźmie na twoje miejsce kogoś innego... Może mniej moralnego... Póki tu jesteś, masz chociaż nad tym minimalną kontrolę. Możesz dbać o to, by ograniczyć liczbę ofiar. Niemniej pamiętaj, że drużyna musi być dla ciebie najważniejsza — przestrzegł go, by jednak nie próbował być zbyt litościwy. — Prędzej czy później z twojej ręki zginie ktoś, kto nie zasłużył i musisz się z tym pogodzić, ale jeżeli zawiedziesz nas... Z tym będzie ci dużo ciężiej.

Kończąc swój wywód, Dziki zauważył, że Traker pogryzął się w zadumie. Po jego minie zorientował się, że nie dochodzi on do zbyt optymistycznych wniosków. Nie wiedział, czy to ze względu na solidarność jaką powinien czuć do oddziału, czy może dlatego, że męczyła go rzeczywistość przypominająca mu dawnego siebie, ale spróbował odciągnąć go od tych myśli.

— To... Wiesz w ogóle, skąd wzięła się ksywa Anioła? — spytał, by wciągnąć kompana w rozmowę na inny temat. — Nie jest to raczej coś, co by do niego szczególnie pasowało...

Traker zmarszczył czoło, zastanawiając się przez chwilę. Nagle jego twarz rozjaśniła się, a z ust wydobył się niekontrolowany śmiech.

— Nie słyszałeś tej historii? — zapytał z niedowierzaniem, unosząc brwi i patrząc na Dzikiego z wyraźnym rozbawieniem.

— Nie... — odpowiedział Dziki, wzruszając ramionami. — Nigdy nie było okazji.

Traker pokręcił głową, nadal uśmiechając się szeroko.

— No to szykuj się na niezłą opowieść! — oznajmił, przeczesując palcami potargane włosy. — Anioł był kiedyś ogonem jednego z prawdziwych Weteranów, Dyzia. Z tego, co mi wiadomo, złapała ich nocka zbyt blisko Centrum i musieli zabunkrować się w jednej z klatek bloku.

Dziki skinął głową, zachęcając kompana do kontynuowania.

— Okazało się, że w tej samej klatce mieli chyba z dziesięciu Gospodarzy, a w całym bloku pewnie ze setkę — ciągnął Traker, gestykulując żywo. — Dyzio siedzi cicho jak mysz pod miotłą, nawet oddychać nie próbuje, żeby ich nie ściągnąć hałasem. A tu nagle słyszy modlitwę...

— To takie dziwne? — wtrącił natychmiast Dziki.

— No niby nie... — potwierdził Traker, parszając śmiechem. — Sam chyba bym się pomodlił w tej sytuacji... Ale nie to jest najlepsze. Nie mówił normalnej modlitwy, tylko tę z dziecięcego katechizmu: „Aniele Boży, stróżu mój...”. Wyobraź sobie sytuację: pełno Gospodarzy dookoła, a on szeptem recytuje modlitwę dla dzieci!

Dziki pokręcił głową z udawanym rozbawieniem

— Anioł zawsze był trochę... inny — stwierdził, spoglądając w dal. — *A jednocześnie taki jak ty...* — pomyślał teraz o Korku.

W tej samej chwili Dziki zauważył jakiś ruch na horyzoncie. Jego oczy natychmiast skupiły się na drodze prowadzącej do ich posterunku. Uniósł dłoń, dając Trakerowi znak do milczenia. Powoli sięgnął po pistolet, unosząc go do poziomu biodra. Po chwili jednak odetchnął z ulgą, opuszczając broń. Od strony miasta zmierzała do nich Elza. Dziewczyna miała na sobie jedynie przeciwchemiczne spodnie i przylegającą koszulkę, która podkreślała jej smukłą sylwetkę. Jej rude włosy były niedbale związane w kucyk, a na twarzy malowało się wyraźne zdenerwowanie. Szybkim krokiem podeszła do nich, mijając rozrzucone odłamki betonu.

— Dziki, kończysz wartę? — spytała natychmiast.

— Prawie... — odpowiedział, nie kryjąc zaskoczenia. — Coś się stało?

Elza rzuciła krótkie spojrzenie na Trakera.

— Traker, zluźuj go — rozkazała stanowczym tonem. — Chcę, żeby Dziki coś zobaczył.

— Jasne! — potwierdził kompan, wstając z ławki.

Dziki spojrzał pytająco na Elzę, ale ta już odwróciła się na pięcie, dając mu znak, by ruszył za nią.

— Stało się coś? — spytał ponownie, gdy zrównał się z dziewczyną.

— Zobaczysz, a teraz chodź szybciej — pogoniła go.

Po kilku minutach pośpiesznego, forsownego marszu przeszli przez ulicę. Weszli potem do jednego z mieszkań budynku sąsiadującego z dawną piekarnią. Tam Elza urządziła swój punkt dowodzenia. Na dużym drewnianym stoliku rozstawione były jej rzeczy, w tym kubek z kawą i jakaś kartka, na której znajdował się kreślony ołówkiem szkic. Dziewczyna nie zatrzymała się jednak w pierwszym pokoju i poprowadziła Dzikiego przez ciasny korytarz do kuchni, której okno wychodziło na stronę przeciwną do rzeki.

— Spójrz tam — rozkazała, podając mu lornetkę.

Dziki przyłożył ją do oczu, kierując wzrok w stronę, którą wskazała. Po chwili dostrzegł grupę postaci w czerwonych strojach. Wszystkie miały kominiarki i broń automatyczną.

— To Defekt czy przebierańcy z Zarzecza? — spytała zdenerwowana Elza, opierając się na parapecie obok niego.

Dziki zmarszczył brwi, próbując wyłapać jakiegokolwiek charakterystyczne cechy.

— To są normalne stroje Defektu — odpowiedział po chwili. — A Zarzecze nie przeszło obok nas. Nie ma mowy, żebyśmy ich nie zauważyli.

Elza przygryzła nerwowo paznokieć kciuka, spoglądając przez okno.

— Mogli przyjść drugim mostem — zasugerowała. — A jeśli nas szpiegowali, wiedzą, jak wyglądają formacje po tej stronie. Przebranie się za Defekt umożliwiłoby im swobodne zajęcie pozycji w mieście.

Dziki, rozumiejąc obawy dziewczyny, zaczął ponownie przyglądać się postaciom i nagle zamarł. Jego serce zaczęło bić jak oszalałe, bo w grupie ubranych na czerwono bojowników dostrzegł znajomą sylwetkę. Przy budynku poczty stanęła właśnie Dix, dyskutując o czymś ze swoimi podkomendnymi.

— To na pewno jest Defekt... — potwierdził cicho, opuszczając lornetkę. — Jest z nimi Dix.

Przez chwilę poczuł, że nie może się uspokoić. Nie widział dziewczyny od pamiętnej bitwy pod cegielnią, gdy została zraniona przez Cichego.

Elza, nie dostrzegając jeszcze zdenerwowania Dzikiego, rzuciła tylko do siebie — Oby tylko uszanowali warunki zawieszenia broni... Zastanawiam się, co oni w ogóle tutaj robią.

Dziki, ignorując jej rozmyślenia, poczuł nagle, że musi usiąść. Nie spodziewał się, że po takim czasie widok dziewczyny wciąż wywoła w nim taki wstrząs. Wrócił do pokoju, po czym opadł na stary, skrzypiący fotel. Tam szybko sięgnął po leżący na stoliku szkic, chcąc zająć czymś umysł.

— To my? — spytał nagle, przyglądając się rysunkowi.

Tak naprawdę nie bardzo go to interesowało, ale odczuł gwałtowną potrzebę zajęcia głowy czymś innym niż dawną ukochaną, a przy sobie miał tylko Elzę, która weszła właśnie do pokoju.

— Nie widzę swojej twarzy... — dodał po chwili.

— Bo z tobą mam największy problem — stwierdziła dziewczyna, zerkając mu przez ramię na kartkę. — Chciałam, żeby na rysunku wszyscy byli uśmiechnięci, ale ty się nigdy nie uśmiechasz...

Dziki spróbował rozluźnić mięśnie twarzy, wykrzywiając usta w niezadarnym uśmiechu.

— A teraz? — zapytał, czując się nieco głupio.

Elza parsknęła śmiechem.

— Teraz wyglądasz, jakbyś miał skurcz żuchwy — zażartowała. — Równie dobrze mogłabym wymyślić twój uśmiech, ale dla mnie ważne są szczegóły. Chciałam zawrzeć wasze prawdziwe rysy twarzy — stwierdziła, a następnie delikatnie wyjęła szkic z jego dłoni, przyglądając mu się krytycznie.

Dziki, próbując podtrzymać rozmowę, spytał — Rysujesz to wszystko z pamięci?

— Mhm... — potwierdziła Elza, siadając na drugim fotelu z kartką w dłoni. — Przed Nowym Światem liczyłam, że dostanę się na ASP.

— Ambitnie... — przyznał, opierając łokcie na kolanach. — To musiało wymagać dużo pracy.

Elza wzruszyła ramionami.

— Daj spokój, to było okropne — przyznała z przekąsem. — Jako dziecko kochałam rysować, ale kiedy zaczęłam ćwiczyć do egzaminów, rysowanie stało się męką. Wszystko było takie techniczne, bez duszy — stwierdziła, rozsiadając się teraz wygodniej i odkładając rysunek z powrotem na stolik. — Teraz znowu rysuję dla przyjemności. Wszystkie plakaty Armii to kserówki moich szkiców — przyznała dumnie.

Dziki przypomniał sobie pierwszy plakat Armii, jaki zobaczył na przystanku w dniu swojego przybycia. Nie miał pojęcia, że rysowała go Elza.

— Widziałem nawet jedno z twoich wczesnych dzieł... — zaczął, ale dziewczyna weszła mu w słowo.

— Przestań... Te pierwsze były straszne — oceniła krytycznie. — Kalkowałam je masowo, bo były problemy z prądem i nie mogliśmy podłączyć ksero. Jakość była tragiczna.

— Jak dla mnie były całkiem niezłe, ale ja nie mam smaku artystycznego — odparł Dziki, wzruszając ramionami. — Chyba rysowanie plakatów nie zapewniło ci miejsca wśród Braci... — ciągnął temat dalej.

Słyszac to, Elza zmrużyła oczy. Wpatrywała się w niego podejrzliwie. Dziki zastanowił się, czy przypadkiem nie powiedział czegoś, czego nie powinien, ale dziewczyna wypaliła nagle — Strasznie rozmowny dziś jesteś! — zauważyła, unosząc brwi. — Coś cię gryzie?

— Ja? Nie... Ja tak tylko... — próbował się wytłumaczyć, ale dziewczyna uśmiechnęła się, mając gotową teorię w głowie.

— To przez nią? — spytała nagle, przekrzywając głowę. — Próbujesz zagłuszyć bijące serce?

Dziki zamarł, czując, jak krew odpływa mu z ciała. Po raz kolejny w swoim życiu przeklinał, że nie urodził się z twarzą pokerzysty.

— Na mnie już czas... — powiedział, podnosząc się gwałtownie. — Muszę wracać na posterunek.

Elza również wstała i momentalnie zastawiła mu drogę.

— Czyli trafiłam! — zawołała triumfalnie. — Ciągłe coś do niej czujesz...

— Daj spokój! — odparł natychmiast, zirytowany. — Jesteśmy wrogami!

— Tylko dlatego, że pomogłeś Pierwszemu? Bo jesteś teraz członkiem Armii? — dopytywała, nie dając za wygraną.

— TAK! I TAK! — przerwał jej stanowczo. — Potrzeba więcej powodów?

Elza zacięła się na chwilę, wytrącona z wątku.

— No... Eee... To znaczy... Cholera, nie przemyślałam tego — mruknęła, bawiąc się nerwowo kucykiem.

Dziki wzniosł oczy zirytowany i, mimo że nie musiał, zaczął się tłumaczyć: — Posłuchaj tamtego dnia w cegielni, Dix powiedziała, że następnym razem, gdy mnie spotka, trafię z Pierwszym do jednego dołka. Tyle! Nie ważne co tam się przelewa w moim środku, jak ją widzę. Nie jestem samobój-

ca... Wracam na posterunek... — dodał na koniec i mijając dowódcę, ruszył w stronę drzwi.

— Dziki! — zawołała za nim Elza, a jej dłoń zacisnęła się nagle na jego przedramieniu.

— Wiem, że po tym, co przeżyłeś, jest ci ciężko — kontynuowała, a w jej głosie pojawiło się współczucie. — Może nie sprawdziłam się teraz jako psycholog, ale naprawdę wierzę, że nasz oddział może być jak rodzina. Zależy mi na was... Na tobie również... Wierzę, że możemy się zbratać. Tylko musisz dać temu szansę.

Dziki westchnął ciężko, nadal patrząc przed siebie.

— Postaram się was nie zawieść... — odparł w końcu wymijająco, wzruszając lekko ramionami.

Elza wyglądała na nieprzekonaną. Jej brwi ściągnęły się, a usta zacisnęły w wąską linię.

— Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi — powiedziała z rezygnacją w głosie, kręcąc przy tym lekko głową. — Chciałabym, żeby znowu zaczęło ci na czymś zależeć. Kiedy patrzę w oczy bez życia, takie jak twoje... To mnie przeraża.

Dziki zawahał się przez chwilę. Jej słowa trafiły prosto w sedno, a on nie był na to przygotowany. Czy naprawdę tak go teraz postrzegali? Pusty, wypłany z emocji, cień człowieka? Jego myśli zaczęły znów krążyć wokół przeszłości, wspomnień, które próbował zepchnąć w najdalsze zakamarki umysłu. Spojrzał na swoje dłonie, które zacisnął w pięści. Nawet jeśli pozostał już tylko pustą skorupą, jakie to mogło mieć znaczenie? Może tak było lepiej dla wszystkich, łącznie z nim? Chciał już powiedzieć Elzie, że nie warto się nim przejmować, kiedy nagle oślepił go jasny błysk.

— Cholera jasna, właśnie teraz?! — ryknął zirytowany, cofając się o krok i zasłaniając twarz dłonią.

Jasne światło przenikało mu przez palce, a głowa momentalnie zaczęła pulsować tępym bólem.

— Kładź się na łóżko! — rozkazała Elza, chwytając za radiostację wiszącą na pasku jej spodni. — Chłopaki! Schowajcie się! Po Błysku od razu meldujcie pozycję! Przyjadę po was Dzikiem-1! — krzyknęła do mikrofonu.

Dziki obserwował ją przez moment, próbując zapanować nad narastającym bólem w skroniach.

— Kurwa. Szkoda, że nigdy nie przyrządziłem Remedium... — warknął, zaciskając powieki.

Próbował przy tym zignorować narastający dyskomfort, ale dźwięk i światło zdawały się przenikać przez każdą komórkę jego ciała.

— Remedium? — dopytała natychmiast Elza, podchodząc bliżej.

Siadając na krawędzi łóżka, Dziki odparł szybko — Kiedy byłem strażnikiem autobusu, Kuba przygotowywał taki środek. Pozwalał zostać przytomnym w czasie Błysku...

Elza zmarszczyła brwi, próbując najpewniej zrozumieć, o czym mówi.

— Teraz nie będziemy nad tym płakać! — zawołała, starając się przetrząsnąć hałas. — Kładź się, zanim łeb rozbijesz...

Dziki nie zwlekając dłużej, runął na łóżko. Wcisnął twarz w poduszkę. Materiał był szorstki i przesiąknięty zapachem wilgoci, ale dawał mu przynajmniej odrobinę ukojenia. Elza w tym czasie zawinęła się jak kot na fotelu, zakrywając głowę ramionami.

— Boże, jak ja tego nienawidzę! — krzyknęła z frustracją.

Już po chwili pokój wypełniło jasne światło, jeszcze intensywniejsze niż wcześniej. Dziki zacisnął zęby, czekając na kulminację i utratę zmysłów. Jednostajny gwizd świdrował mu uszy, a głowa pulsowała tak, jakby miała zaraz eksplodować. Wcisnął twarz w bok kanapy ze wszystkich sił, próbując odciąć się od bodźców. Jednak stało się coś dziwnego... Kulminacja nie nadeszła...

Światło pozostało na stałym, oślepiającym poziomie, a gwizd był mocny, ale nie rozdzierał czaszki jak zazwyczaj. Ból nie nasilał się bardziej, ale też nie ustępował.

— Co się dzieje?! — zawołała po chwili Elza. — Dlaczego nie śpimy?

— Nie mam pojęcia! — odparł zdziwiony Dziki, unosząc głowę.

Leżeli tak co najmniej dziesięć kolejnych minut. Czas zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Gwizd nie stawał się głośniejszy, a światło czerwieniło zamknięte powieki, ale nie przedzierało się przez nie białą luną, jak robiło to zazwyczaj podczas kulminacji. Coś było zdecydowanie nie tak.

Dziki zaryzykował i po omacku podniósł się powoli. Nogi miał jak z waty, a serce biło mu przyspieszonym rytmem. Zerwał poszewkę z ciemnej poduszki i zaciągnął ją na głowę, tworząc prowizoryczną osłonę przed światłem, a następnie ostrożnie otworzył oczy. Materiał tłumił blask, pozwalając mu dostrzec kontury różnych przedmiotów w mieszkaniu.

— Dziki, co robisz? — zawołała Elza, słysząc najpewniej jego ruchy.

— Nie wiem! — odparł, przesuwając się ostrożnie w stronę kuchni. — Były tu jakieś okulary? Pamiętasz?

Elza zamyśliła się przez chwilę, próbując sobie przypomnieć.

— Chyba na lodówce... — odparła.

Przechodząc po omacku do sąsiedniego pomieszczenia, Dziki wymacał po chwili lodówkę. Na jej szczycie rzeczywiście odnalazł parę okularów przeciwsłonecznych. Po ściągnięciu poszewki, założył je szybko na nos. Światło, które się przez nie przebijalo, nadal było dość intensywne, ale teraz mógł już poruszać się swobodnie po mieszkaniu.

Prawie natychmiast podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Za szybą dostrzegł niewyobrażalną jasność, która zalewała całą okolicę. Budynki, drzewa, ulice — wszystko tonęło w mlecznym blasku, jakby świat został zanurzony w morzu światła.

Nie był to dla niego pierwszy raz, gdy widział coś podobnego. Jako strażnik autobusu regularnie był przytomny podczas Błysku. Ten obraz różnił się jednak od tego, który zapamiętał. Podczas normalnych epizodów tylko ciemne gogle spawalnicze tłumiły światło, a teraz zwykle czarne okulary wystarczały, by dało się funkcjonować.

— Dziki, co się dzieje?! — zapytała ponownie Elza, siadając na fotelu.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział, odwracając się do niej. — Poczekaaj, poszukam okularów dla ciebie...

Przeszukując przez kilka minut wnętrze mieszkania, znalazł w końcu drugą parę okularów w szufladzie na korytarzu. Szybko podał je Elzie.

— Załóż! — doradził. — Ten Błysk zdecydowanie nie jest normalny.

Dziewczyna wcisnęła okulary na oczy, a potem wstała i podobnie jak Dziki, wyjrzała przez okno. Jej usta na widok skąpanego w jasności Krańcowa rozchyliły się w zdumieniu.

— Nigdy nie byłam przytomna w trakcie... To jest... — zaczęła, ale Dziki przerwał jej, tłumacząc:

— Nie takie, jak powinno być! Intensywność jest za mała...

W tym samym momencie rozpoczęły się pierwsze wołania przez radio. Mieszkańcy Centrum musieli być nie mniej zdziwieni swoją przytomnością niż oni. Z głośnika dochodziły chaotyczne wołania Weteranów — Hej, co jest? Czy tylko ja jestem przytomny? — pytał jakiś mężczyzna.

— Nie, chłopie, nie ty jeden... To światło jest upierdliwe... Dlaczego nie śpimy? Co się dzieje... — odpowiedział ktoś inny, a w tle słychać było szum i trzaski.

Elza chwyciła za radio i natychmiast wyłączyła autonasłuch, przełączając się na kanał Pięści Daniela.

Z głośnika momentalnie dobiegły wrzaski Banana — Elza! Elza! Jesteś przytomna?! Elza, odbierz!

— Jestem, wygląda na to, że wszyscy są — odparła natychmiast dziewczyna, próbując zachować spokój.

— Nie mogę się, kurwa, ruszyć! Przez to światło ledwo widzę... — stwierdził chłopak takim głosem, jakby znajdował się co najmniej pod ostrzałem.

Elza zacisnęła usta, myśląc intensywnie.

— Czekaj na miejscu! Przyjedziemy po was! — zarządziła w końcu, przypinając radio z powrotem do spodni. — Dziki, idziemy do auta! — rzuciła w jego stronę, kierując się do wyjścia.

Dziki skinął głową, a potem bez słowa ruszył za dziewczyną. Oboje zeszli na wewnętrzne podwórze, a potem na drogę. Dziki-1 stał zaparkowany w bocznej uliczce tuż obok kryjówki Elzy.

— Jak myślisz, co się dzieje? — spytała dziewczyna, gdy tylko wsiedli do szoferki.

Dziki spojrział na nią z boku, odruchowo łapiąc pas bezpieczeństwa.

— Nie mam pojęcia — odparł szczerze. — Jesteś tu dłużej niż ja... Takie rzeczy się wcześniej nie działy? Nikt nie wspominał o Błysku z przytomnymi...

Elza zmarszczyła czoło, próbując przypomnieć sobie jakiegokolwiek podobne sytuacje.

— Nie... — odparła niepewnie, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Silnik zawarczał, ale światła na desce rozdzielczej ledwo się świeciły. Dziewczyna widząc to zmarszczyła brwi, stukając palcami w kierownicę.

— Coś się dzieje z akumulatorem... — burknęła pod nosem.

Dziki zauważył potem, jak Elza przysuwa się do szyby, by dostrzec drogę, dlatego zaproponował szybko — Może ja poprowadzę! Prowadziłem autobus w czasie Błysku. Przyzwyczailem się do jazdy w takim świetle...

Dziewczyna spojrzała na niego i z wyraźną ulgą skinęła głową.

— Jasne! Dawaj! — odparła, zamieniając się z nim miejscami. — Te okulary niewiele pomagają... — dodała, gdy usiadła już na fotelu pasażera.

Dziki zajął natychmiast jej miejsce za ogromną kierownicą. Przycisnął gaz, a silnik zaryczał nisko. Ciężarówka wytoczyła się powoli z bocznej drogi, trzęsąc się przy tym, jakby jechali po wybojach.

— Musisz dodawać więcej gazu! Mamy pełną przyczepę! — pouczyła go Elza, spoglądając na wskaźniki.

Dziki docisnął pedał, a silnik zawarczał głośniej. Pojazd przyspieszył, choć nadal poruszał się ociężale. Wibracje przenikały przez siedzenia, a plastikowe elementy w kabinie trzeszczały, jakby miały pęknąć.

— Najpierw po Banana! — zarządziła Elza. — Do nich dojedziemy bez problemu. Po Trakera i Anioła trzeba będzie podejść.

Dziki skinął głową i omijając porozrzucone wraki samochodów, ruszył w kierunku mostu. Od celu dzieliło ich może pięć minut, ale nim dotarli na miejsce, z radia rozległo się pełne paniki wołanie Trakera — Elza! Zgłoś się, proszę! Tu się dzieje... Tu się dzieje coś dziwnego!

Jego głos był przerywany zakłóceniami, ale słysząc w nim było prawdziwe przerażenie.

Dziewczyna chwyciła błyskawicznie za radio w Dziku-1, niemal wyrwijąc gruszkę razem z kablem.

— Co się dzieje?! Mów! — wykrzyknęła, pochylając się do przodu, jakby to miało jej pomóc w lepszym odbiorze odpowiedzi.

— Rzeka! Ona wrze! — zawołał Traker. — To wygląda, jakby miała wybuchnąć!

Dziki popatrzył na Elzę zszokowany, a ta natychmiast rozkazała — Skręć! Jedziemy najpierw po nich!

Dzikemu nie trzeba było powtarzać. Skinął głową, zaciskając dłonie na kierownicy i gwałtownie skręcił w boczną drogę. Opony Dzika-1 zapliszczały

na asfalcie, a całym pojazdem zarzuciło na bok. Auto, choć potężne i solidne, zdecydowanie nie było stworzone do gwałtownych manewrów w ciasnych uliczkach miasta.

— Trzymaj się! — rzucił do Elzy, omijając z impetem przewrócony słup latarni.

Droga przed nimi robiła się coraz węższa. Stare ławki i kosze na śmierci tworzyły istny tor przeszkód. Dziki z trudem manewrował między nimi. Najmniejszy błąd mógł skończyć się zaklinowaniem pojazdu na wysokich krawężnikach.

— Musimy się pospieszyć! — ponagliła Elza, bo w oddali dało się nagle słyszeć dudniące dźwięki, przypominające odgłosy nadchodzącej burzy.

— Robię, co mogę — odparł, ściskając kierownicę, podczas gdy niebo przybrało nienaturalny, ciemny odcień, a powietrze stało się momentalnie ciężkie i duszne.

— *Co się do diabła dzieje?* — pomyślał wystraszony Dziki. — *Najpierw samoświadomy Błysk, a teraz to?*

Zbliżali się właśnie do niewielkiej, krętej dróżki prowadzącej w stronę bocznej części mostu, z której sam wcześniej obserwował okolice. Ścieżka była tak wąska, że ledwo widać ją było między wyschniętymi krzakami a szaletem miejskim.

— Dalej będzie ciężko — oznajmił, zatrzymując pojazd tuż przed toaletami.

— Spróbuj podjechać jak najbliżej — poleciła Elza. — Resztę pokonamy pieszo.

Dziki kiwnął głową i delikatnie ruszył naprzód, starając się nie zahaczyć o zwisające gałęzie i wystające fragmenty murów. Po kilku metrach zatrzymali się jednak ostatecznie. Dalsza jazda była niemożliwa.

— Tyle... — stwierdził, gasząc silnik i złapał za klamkę.

Gdy tylko wysiadł z pojazdu, w nozdrza uderzył go, ostry, metaliczny odór kwasu.

— Cholera, co za smród... — mruknął, zasłaniając nos rękawem.

Było tu znacznie gorzej niż jeszcze przed godziną. Wcześniej stał w tym miejscu, nawet nie czując zapachu, a teraz oczy piekły go niemiłosiernie i łzały bez opamiętania, jakby kroił cebulę. Elza stając obok niego, zakłęła pod nosem, zaciskając zęby.

— Kurwa... Zostawiłam maskę w mieszkaniu... — rzuciła sfrustrowana, próbując oddychać przez materiał swojego rękawa.

— Ja swoją gdzieś tutaj... — odparł Dziki, czując, jakby jego płuca miały zapłonąć.

Zapłakana Elza, westchnęła — Znajdźmy chłopaków i wypieprzajmy stąd jak najszybciej...

Oboje ruszyli szybkim krokiem w stronę rzeki, przedzierając się przez zarośla i omijając sterty śmieci. Ziemia pod ich stopami była wyschnięta i spalona, do tego miejscami zapadała się pod ciężarem butów. Dookoła panowała cisza, którą przerywał tylko odległy bulgot. Gdy znaleźli się bliżej brzegu, okazało się, że Traker nie przesadzał. Wiślinka naprawdę wrzała. Bąble wielkości pięści unosiły się na powierzchni, pękając z sykiem i uwalniając chmury pary. Cała rzeka wyglądała, jakby była na skraju eksplozji.

W tym momencie Błysk zniknął tak niespodziewanie, jak się pojawił. Gwałtowny półmrok zaczął pokrywać okolicę, jakby ktoś przygasił słońce.

— To pewnie też nie jest normalne? — spytała Elza, spoglądając w niebo, które zaczęło mienić się brunatnymi kolorami.

— Ani trochę — odpowiedział Dzik, z niepokojem obserwując otoczenie.

Wtedy zauważył też, że nie są w okolicy sami. Grupa Weteranów stała w oddali, przyglądając się korytu rzeki. Ich sylwetki rysowały się na tle nieba niczym cienie.

W tym samym momencie z oddali dobiegło wołanie Trakera:

— Dzik! Elza! — krzyczał mężczyzna, biegnąc w ich stronę razem z Aniołem.

Jak tylko dotarli do nich, ten drugi zapiał, wyraźnie podniecony — Ładny cyrk, co?!

Uśmiechał się przy tym szeroko, jakby to wszystko naprawdę było dla niego fascynującym widowiskiem.

Elza popatrzyła na niego krytycznie i stwierdziła stanowczo — Powinniśmy się stąd zabierać! Nie wiadomo, co z tego wyniknie.

Jednocześnie spojrzała na Dzikiego, jakby szukała w nim potwierdzenia. Ten jednak nie mógł powiedzieć swojej dowódczyni, niczego ponadto, czego już pewnie sama się domyśliła. Takich rzeczy nie widział ani w czasie normalnego Błysku, ani gdy przebywał na Zarzeczu. Nie miał pojęcia co te wszystkie anomalie oznaczają, ale zgadzał się z jednym, powinni stąd uciekać.

Anioł zatrzymał ich jednak, wskazując na Weteranów.

— Oni stoją! — oburzył się. — Czemu my mamy uciekać? Może to coś ważnego! Coś, o czym trzeba będzie zameldować Danielowi!

Chłopak uderzył tym w czuły punkt, bo Elza wyraźnie się zawahała. Po chwili jednak pokręciła głową i wyrzuciła mu — Za nich nie odpowiadam! Jak zginą to zginą. — Potem spoglądając na Dzikiego, rozkazała — Dzik, biegnij po swoją maskę. Reszta do Dzika-1! Stoimy zaraz przy zejściu!

Traker i Anioł ruszyli w kierunku auta, choć ten drugi wciąż odwracał się za siebie, jakby nie chciał przegapić żadnego szczegółu.

Dzik pośpieszył natomiast po zostawiony przy ławce aparat tlenowy. Gdy był już prawie na miejscu, do jego uszu doszło coś, co brzmiało jak

grzmot. Odruchowo zatrzymał się i spojrzał w niebo. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

Na niebie od strony Zarzecza kłębiły się najprawdziwsze burzowe chmury. Ciemne, ciężkie, z błyskawicami przeskakującymi między nimi. Były tak gęste, że zdawały się dotykać dachów budynków.

To był widok, który po prostu go замуrował. Zresztą nie tylko jego. Z oddali zaczęli przybywać kolejni ludzie, w tym członkowie Defektu. Wszyscy wpatrywali się w górę jak zahipnotyzowani.

Dziki poczuł nagle, jak coś spada mu na głowę. Przerażony pomyślał o bąblach z rzeki rozrzucających kwas. Przeczesał się po włosach, ale na jego dłoni nie pojawiło się żadne piekące uczucie. Spojrzał na nią i zobaczył kroplę wody.

Po chwili na jego kombinezonie pojawiła się kolejna kropla. Uniósł wzrok, a z nieba zaczęły spadać następne.

— Deszcz... — wyszeptał z niedowierzaniem, czując, jak serce przyspiesza. — Cholera jasna, pada deszcz! — zawołał głośno, a na jego twarzy pojawił się mimowolny uśmiech.

Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni widział cokolwiek innego niż wieczne, przygnębiające szare niebo. Ten widok wywołał w nim dziwną euforię. Ulewa rozgorzała w ciągu kilku sekund, a na wyschniętej, spalonej ziemi błyskawicznie pojawiły się kałuże. Krople bębniły o asfalt, dachy i metalowe powierzchnie, tworząc swoistą i kojącą melodię.

Radość Dzikiego nie była odosobniona. Od stojącej w oddali grupy Weteranów zaczęły dochodzić wiwaty. Ludzie krzyczeli z radości, niektórzy padali na kolana, unosząc ręce do nieba w geście wdzięczności.

Dziki nie celebrował jednak dłużej, tylko zabrał z ławki swój aparat tlenowy i ruszył z powrotem do Dzik-1. Dochodząc do swojego oddziału, zobaczył, że Anioł i Traker stojący obok pojazdu pościgali hełmy i kurtki, pozwalając, by woda oblewała ich po twarzach.

— To cud! — krzyczał Anioł, a jego oczy błyszczały łzami szczęścia.

W międzyczasie Wiślinka zaczęła się uspokajać. Spadające z nieba krople zdawały się tłumić bulgot, przecząc jednemu z podstawowych praw chemii o wlewaniu kwasu do wody. Para zaczęła opadać, a powierzchnia wody stawała się coraz spokojniejsza. W powietrzu unosił się dziwny zapach, mieszanka ozonu i metalu.

Coraz więcej osób przybywało nad rzekę, by przyjrzeć się temu niezwykle zjawisku. Kolejna grupa z Defektu stanęła w pobliżu, składając Dzikiego do natychmiastowego założenia hełmu. Jego wzrok przykuła sylwetka Dix, ale ona, podobnie jak reszta, była zbyt zaafektowana zjawiskami pogodowymi, by zwrócić na niego uwagę.

W całej okolicy tylko Elza pozostała zaniepokojona. Przygryzając nerwowo palce, zaczęła rozglądać się po otaczającym ich terenie. Przy moście po-

jawili się w tym momencie Banan, Poldek i Nóż. Mijając Defektowców szerokim łukiem, zbliżyli się do Dzika-1 i reszty oddziału.

— Zaraz sobie do kości obgryziesz... — zakpił Banan na powitanie, stając obok Elzy. — Co jest? Nie cieszysz się z deszczu?

Dziewczyna nie zareagowała na zaczepkę, wciąż obserwując uważnie okolicę.

Banan, najwidoczniej oburzony tym, jak został zignorowany, wytknął jej momentalnie — Chyba miałaś po nas przyjechać?! Taki brak zdecydowania nie przystoi dowódcy — rzucił z pretensją, krzyżując ramiona na piersi.

Elza jednak ponownie go zignorowała, wołając w końcu — Dziaki! Powiedz, takie rzeczy nie działy się na Zarzeczu, prawda?

Dziki pokręcił głową, wycierając wodę z twarzy.

— Nie, nigdy czegoś takiego nie widziałem — odpowiedział.

Elza wykrzywiła usta, mrucząc pod nosem — Mam złe przeczucia...

Anioł, słysząc to, podszedł bliżej, uśmiechając się głupio.

— Przestań, to tylko deszcz — zauważył. — Nie musimy od razu dramatyzować! Może to właśnie dobry znak, który przyniesie nam szczęście...

Jego słowa utonęły w potężnym grzmocie, który zatrzęsł okolicą. Ziemia zadrżała pod ich stopami, a niektórzy ludzie krzyknęli z zaskoczenia. Chmury na niebie zaczęły ciemnieć jeszcze bardziej, a błyskawice przeskakiwały między nimi coraz częściej, rozświetlając niebo całymi seriami.

Anioł przełknął ślinę, próbując zachować spokój. Jego uśmiech zbladł, a oczy rozszerzyły się.

— ...to na pewno tylko zwykła burza — dokończył niepewnie.

— Widziałeś jakąkolwiek zmianę pogody w Nowym Świecie? — spytał natychmiast Nóż, spoglądając na niego krytycznie. — Elza ma rację, to nie wróży nic dobrego. Musimy się stąd zbierać.

W tym samym czasie wiatr zaczął trząść wyschniętymi drzewami, łamiąc po kolei wszystkie słabsze gałęzie. Liście, drobne śmieci i kurz zaczęły wirować w powietrzu, uderzając ich po twarzach.

— Do kabiny! Już! — rozkazała Elza.

Już po chwili w rzekę uderzył piorun. Jasny błysk rozświetlił okolicę, a huk był po prostu ogłuszający. Weterani i Defektowcy zrozumieli, że nie warto dłużej ryzykować i zaczęli oddalać się od koryta Wiślinki, niektórzy w popłochu.

Następne wylądowanie trafiło w stare drzewo tuż za aulą. Drzewo zapłonęło na chwilę, zanim deszcz zdusił ogień. Pobliskie latarnie z jakiegoś powodu rozjarzyły się na moment, rzucając na okolicę rdzawe światło, po czym zgasły z sykiem.

Gdy tylko Pięść Daniela zapakowała się do samochodu, Elza przekręciła kluczyk, ale auto nie raczyło nawet zapalić kontroltek.

— Co jest do diabła?! — krzyknęła, uderzając pięściami w kierownicę.
— Dziki, wyłączyłeś światła?! — zwróciła się do niego ostro, odwracając głowę.

Dziki uniósł brwi, zdezorientowany.

— A na jaką cholerę miałem je w ogóle włączać?! Widziałas, w czym wcześniej jechaliśmy! — zaprotestował natychmiast.

Elza spróbowała jeszcze raz przekręcić stacyjkę, ale bez skutku. Silnik nawet nie zakręcił.

W tym czasie Nóż sięgnął po swoje radio, przyglądając mu się z niepokojem.

— Coś się dzieje z elektroniką! Spójrz! — zawołał do dziewczyny, pokazując krótkofalówkę, która zachowywała się jak choinkowe lampki. Jej diody migały nieregularnie, a z głośnika wydobywały się niezrozumiałe trzaski.

Kolejny piorun przeszył okolicę, zapalając światła w promieniu swojego rażenia i przy okazji powodując przerażenie Poldka.

— Nie możemy tu zostać! Co robimy, Elza?! Zostawiamy auto?! — pytał spanikowany, kręcąc się nerwowo w miejscu.

Dziewczyna natychmiast zaprzeczyła, zaciskając zęby.

— Nie możemy stracić Dzika! Jest w nim cały wyprodukowany Oso-wiec! — odpowiedziała stanowczo.

— To co robimy?! — dopytał Banan zirytowanym głosem.

Elza spojrzała na wszystkich, po czym podjęła decyzję.

— Zabezpieczenie Osowca jest najważniejsze, ale nie przeniosę auta z wami w środku! Wsiadajcie i biegnijcie do kryjówki w kamienicy! Tam się spotkamy! — zawołała i wyskoczyła na zewnątrz, nie czekając na ich reakcję.

Dziki wypadł tymi samymi drzwiami, błyskawicznie dołączając do niej.

— Będę cię osłaniał! — krzyknął, stając za liderką z bronią w pogotowiu, a reszta oddziału zgrupowała się przy nich.

Elza spojrzała na niego z politowaniem.

— Przed piorunami?! — spytała ironicznie. — Ruszać! Dam sobie radę!

Nie czekając na odpowiedź, dziewczyna podniosła ręce, skupiając się. W świetle przypominającym to, jakiego używała Zjawa, Dzik-1 uniósł się lekko nad ziemię i przeniósł kilka metrów dalej.

— Wał go od razu na główną drogę! — ryknął Banan.

— A jak przepołowię go na drzewie?! Kontroluję to dobrze tylko na metry! — odparła mu Elza, przenosząc auto ponownie, po czym krzyknęła na swoich podwładnych — Co ja mówiłam?! Do kamienicy!

— Nie zostawimy cię tutaj! — zawołał natychmiast Traker.

W tym czasie kolejny piorun, wyjątkowo pomarańczowego koloru, uderzył prosto w aulę koncertową. Dziki poczuł wibracje pod stopami.

Spoglądając w miejsce trafienia, dostrzegł, jak betonowa konstrukcja zaczyna pękać. W przeciągu chwili jej strop rozpadł się, lądując na dawnej es-

tradzie. To nie był jednak koniec. Ziemia pod sceną zaczęła się wypiętrzać, jakby zaczynał rosnąć tam wulkan.

Betonowe kawałki i zbrojenia rozpadały się, a cały budynek zdawał się wrywany z korzeniami przez niewidzialną siłę. Po chwili wznosząca się na kilkanaście metrów struktura z drutu, prętów i gruzu zamarła w stanie przypominającym olbrzymią rzeźbę pająka.

— Co do kurwy nędzy... — przeklął za ramieniem Dzikiego Banan, patrząc na to z przerażeniem.

— Nie podziwiać widoków, tylko biec! — wykrzyknęła Elza, a jej głos ledwo przebił hałas burzy.

Tym razem, pewnie przez nerwy i brak skupienia, rzuciła ich pojazdem tak niedokładnie, że pojawił się kilka centymetrów nad ziemią. Upadając na koła, zatrząsł się na amortyzatorach, wydając z siebie niewyobrażalne jęknięcia.

— Patrzcie tam! — zawołał nagle Poldek, wskazując palcem na okolice mostu.

Dziki pomyślał przez chwilę, że wykorzystując sytuację, do Centrum próbują przedostać się żołnierze z Zarzecza. Zamiast tego zobaczył jednak biegnących w ich stronę Defektowców.

— Oni atakują? Czy oni nas atakują? — dopytał przestraszony chłopak. Dziki natychmiast złapał lornetkę i przyłożył ją do oczu.

— Oni przed czymś uciekają... — szepnął.

Wtedy dostrzegli kolejny wrywany z ziemi budynek. Stara, zabytkowa kamienica, która stała przy głównym skwerku obok mostu, wykręcała się w dziwnej spirali, wędrując do góry jak wcześniej aula koncertowa. Różnica była taka, że ten budynek rozpadał się od dołu, pozostawiając górne piętra w całości. W którymś momencie rozciągane zbrojenie nie było w stanie utrzymać górnej połowy i cała konstrukcja z impetem runęła na ziemię, tworząc chmurę pyłu.

Elza, obserwując sytuację, podjęła szybką decyzję. Wskazała dłonią na oddział, a w tym momencie Dziki razem z towarzyszami zostali przerzuceni jej mocą na drogę praktycznie pod bramę kryjówki. Chwilę później pojawił się ich pojazd, a po nim nadbiegła Elza. Jej oddech był ciężki, jakby ta akcja wycisnęła z niej resztki sił.

— Wsiadajcie do samochodu! — rozkazała, dysząc.

— A ty, gdzie idziesz?! — zawołał Dziki, widząc, jak dziewczyna rusza w stronę wejścia do kryjówki.

— Zostawiłam tam coś! — odparła natychmiast łapiąc oddech, po czym zniknęła w ciemnym wejściu.

— Elza, wracaj! To niebezpieczne — krzyknęła za nią Traker, ale dziewczyna nie zatrzymała się.

Przez chwilę wszyscy obserwowali budynek, jakby zaraz miał się podnieść do góry. Po chwili ze środka wybiegła Elza, trzymając swój aparat tlenowy i zrolowany rysunek.

Burza szalała nieprzerwanie przez co najmniej godzinę, a niebo raz po raz przecinały błyskawice, niosące ze sobą kolejne, trudne do przewidzenia skutki. Każdy piorun rozświetlał na moment ciemne, gęste chmury, ukazując przerażający obraz chaotycznych ruin miasta. Krańcowo wyglądało, jakby stało na krawędzi ostatecznego upadku, jakby sama natura postanowiła dokończyć dzieła zniszczenia zapoczątkowanego przez Błysk.

Dziki siedział w kabinie ciężarówki, otoczony członkami Pięści Daniela. Za oknami rozgrywał się widok, który zdawał się wymykać wszelkim prawom logiki. Budynki wypiętrzały się ku niebu w groteskowych, nierealnych kształtach, zapadały w głąb ziemi lub przeistaczały w architektoniczne koszmary, jakby wyrwane z obrazów surrealistycznych malarzy. Jego oczy były świadkami zjawisk, których nikt nie potrafił ani zrozumieć, ani opisać słowami.

W kabinie panowała nieprzenikniona cisza, cięższa niż burza szalejąca na zewnątrz. Wszyscy pogrążeni byli we własnych myślach i obawach, ale tylko Dziki odczuwał podwójny niepokój. Nie tylko martwił się o swoje życie, lecz także o garstkę ludzi, na których naprawdę mu zależało. Oli, Mike, Weronika, Papużki, Pierwszy — oni wszyscy byli ostatnimi osobami, z którymi łączyło go w tym świecie „coś więcej”.

Myśl, że mogą teraz znajdować się w środku podobnego piekła, nie dawała mu spokoju. Co gorsza, nie miał możliwości, by się tego dowiedzieć. Radio milczało, zagłuszane przez zakłócenia wywołane burzą, a każde uderzenie pioruna zdawało się jeszcze bardziej oddalać nadzieję na jakikolwiek kontakt.

Dla Dzikiego było jasne, że jeśli uda mu się przeżyć tę noc, jego celem powinna być Zwrotnica. Nie mógł jednak ignorować faktu, że nie jest już w pełni wolnym człowiekiem. Ślubował służbę Danielowi. Gdyby bez jego pozwolenia wymknął się teraz, raczej nie mógłby liczyć na kolejną szansę, a obiecał już przecież sobie, że nie będzie zostawiał po drodze kolejnych wrogów.

Jego jedyną nadzieją było dostać pozwolenie na podróż. Gdy zebrał się na odwagę, zwrócił się do swojego dowódcy — Elza...

Dziewczyna drgnęła, jakby wyrwana z transu i odwróciła głowę w jego stronę.

— Co jest, Dzikie? — zapytała natychmiast.

— Gdy to się skończy, miałbym małą prośbę... — zaczął, unikając jej wzroku. — Mam przyjaciół niedaleko Wspólnoty i chciałbym sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku.

Elza westchnęła głęboko, a jej ramiona opadły na chwilę. Przez moment milczała, spoglądając przez szybę na nieprzeniknioną ciemność.

— Gdy to się skończy, wracamy wszyscy do Strefy Głodu, sprawdzić, co z naszymi — odparła w końcu chłodno, ale po chwili jej ton złagodniał. — Jak już wrócimy, porozmawiam z Danielem, żeby dał ci chwilę... Pamiętaj tylko, że teraz masz obowiązki. Nie możemy sobie pozwolić na samowolkę — wytłumaczyła.

— Jasne. Dzięki... — odpowiedział, a Elza skinęła głową i wróciła do obserwowania burzy za oknem.

W kabinie ponownie zapadła cisza, przerywana jedynie trzaskami radia i odgłosami grzmotów. Banan bębnił palcami o kolano. Nóż nerwowo bawił się swoją krótkofalówką. Traker i Anioł patrzyli z lekkiem przez szybę. Poldek, ściśnięty za Elzą, obserwował ją z taką miną, jakby tylko czekał, aż ta każe im uciekać z kabiny.

Na szczęście po kilku kolejnych minutach burza zaczęła powoli cichnąć, dając wszystkim nadzieję, że piekło zaczyna się kończyć. Wiatr ustępował, a deszcz przeszedł w delikatną mżawkę, która łagodnie opadała na zniszczone miasto.

— Chyba już jest bezpiecznie... — stwierdził Traker, przełamując ciszę.

Nagle Nóż, który bawił się krótkofalówką, wykrzyknął z entuzjazmem — Elza! Radio znów działa! Zobacz, może z autem też jest okej!

Dziewczyna spojrzała na niego z iskrą nadziei w oczach i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Cała ciężarówka zatrzęsa się, jakby budziła się z głębokiego snu. Wskaźniki na desce rozdzielczej ożyły, a światła wewnątrz rozbłysły jasnym blaskiem. Tym razem silnik odpalił, wydając chrapliwy dźwięk.

— Mamy to! — zawołał Nóż, a na twarzach pozostałych pojawiły się ulga.

Banan uniósł ręce w geście triumfu, a Traker klepnął Dzikiego w ramię.

Elza uśmiechnęła się pod nosem, a jej oczy zabłyśły nową energią.

— Dobra! — krzyknęła, przekrzykując łomot silnika. — Sprawdzimy, co z mostem. Rzeka się piętrzyła i kwas mógł go naruszyć. Potem wracamy zdać raport Danielowi. Trzymajcie się!

Dzik-1 ruszył zalaną drogą. Woda sięgała miejscami do połowy felg, a prąd był na tyle silny, że mógłby z łatwością porwać mniejszy pojazd. Ciężarówka sunęła jednak powoli, a jej potężne koła przecinały ulice niczym kadłub statku na rzece

W drodze nad rzekę, Dzik zauważył, że co najmniej kilka budowli zmieniło się w sterty gruzu. Sam most wydawał się jednak nienaruszony, przynajmniej z oddali.

— Wszyscy wysiadamy — zarządziła Elza, gdy tylko się zbliżyli. — Oceńmy stan filarów.

Opuszczając kabinę ciężarówki, Dzik wziął głęboki oddech. Czuł, jak chłód wdiera się przez warstwy jego ubrania. Powietrze pachniało inaczej niż

zwykle — było rześkie, niemal przyjemne. Brakowało w nim wszechobecnego odoru chemikaliów, który od lat nieodłącznie kojarzył się mu z tym miejscem.

Ta niezwykła zmiana szybko znalazła swoje wytłumaczenie. Ku zdumieniu całego oddziału Wiślinka, będąca dotąd strumieniem kwasu, teraz płynęła jak najzwyklejsza, rwąca rzeka, jakby żywcem przeniesiona ze Starego Świata. Tylko poczerniałe, wypalone brzegi przypominały o tym, że to, co wcześniej znajdowało się w korycie, nie miało nic wspólnego z wodą.

— Ja pierdolę... — skwitował Banan, przecierając oczy ze zdumienia — Co tu się dzisiaj wyprawia...

Traker podszedł bliżej brzegu, ostrożnie stawiając kroki po śliskim podłożu.

— To niemożliwe... — wyszeptał. — Jakby... Jakby wszystko cofało się do stanu sprzed Błysku.

Gdy do Dzikiego dotarły ostatnie słowa kompana, poczuł coś zaskakującego — ekscytację. Czyżby rzeczywiście coś w ich świecie zaczęło zmieniać się na lepsze? Myśl ta wydawała się nierealna, ale wzbudziła w nim nadzieję.

Przypomniał sobie teraz rozmowę z doktorem Bronkiem o możliwości połączenia się ich części miasta. Wówczas obaj byli przekonani, że to zdarzenie przyniesie jedynie negatywne konsekwencje, kolejne katastrofy, z którymi będą musieli się mierzyć. A jednak teraz, patrząc na Wiślinkę płynącą czystą wodą, zaczął się zastanawiać. Czyżby obaj się mylili? Czy to, co wydawało się początkiem końca, mogło być załączkiem nowego, lepszego początku?

— Daniel powinien się o tym dowiedzieć — stwierdziła pewnym tonem Elza, po czym machnęła ręką na znak dla swojego oddziału, by wracali do samochodu.

Droga do Strefy Głodu była wyjątkowo długa i pokrętna. Większość ulic była nieprzejezdna przez zawalone budynki albo kałuże tak głębokie, że utknąłby w nich nawet pojazd tak wielki jak Dzik-1. Zmuszało to Elzę do prawdziwej improwizacji w szukaniu trasy. Przebijali się przez opustoszałe place zabaw między blokowiskami, szerokie chodniki przy dawnym rynku, a nawet kilka razy taranowali ogrodzenia prywatnych podwórek.

Tajemniczy „Rozbłysk”, jak szybko nazwano w radiu to burzowe zjawisko, nie oszczędził nawet okolic Marketu. Gdy Dzik-1 zbliżał się do Strefy Głodu, Dzik z trudem rozpoznawał miejsca, które wcześniej przemierzał setki razy. Cały parking przed H-marketem zalany był wodą, która tworzyła istną lagunę pośród betonowej dżungli, w której latarnie uliczne wystawały niczym jakieś dziwne drzewa.

Po namiotach Weteranów i stołówkowym patio nie został ślad. Fragmenty płótna i połamane tyczki unosiły się na powierzchni wody, przypomi-

nając szczątki statku rozbitego o skały. Woda sięgała miejscami kolan krążących tam ludzi, a pośród niej dryfowały resztki sprzętu i mebli — krzesła, stoły, a nawet porzucone narzędzia.

Dziki od razu dostrzegł Obrońców, którzy w pośpiechu biegali z workami ziemi i wiadrami, starając się za wszelką cenę uchronić Market przed zalaniem.

Elza, zauważając Daniela stojącego na murku w towarzystwie Braci, zatrzymała Dzikę-1 na placu przed Marketem. Wódz, z wysokości swojego przewizorycznego punktu dowodzenia, koordynował działania, podczas gdy jego brygada biegła w różne strony Strefy Głodu, przekazując rozkazy i zbierając meldunki.

— Chodźcie, musimy pomóc! — zawołała Elza, po czym wypadła z kabiny ciężarówki i pobiegła w stronę zgromadzonych, nie oglądając się, czy reszta za nią nadąży.

Dziki przez chwilę obserwował jej sylwetkę znikającą w tłumie. Zastanawiając się czy pamięta o jego prośbie, a potem sam wyszedł powoli z kabiny.

Anioł wyskoczył zaraz za nim, rozglądając się z niedowierzaniem po okolicy.

— To niesamowite, jak szybko zalało miasto — powiedział cicho. — Pamiętam, że w Starym Świecie nawet najgorsze burze tak nas nie podtapiały...

Nikt nie skomentował jego oceny, za to Banan obserwując Elzę, która już zdążyła dobiec do Daniela, rzucił wulgarnie — Wy też macie wrażenie, że on ma u niej laskę na każde pstryknięcie palcami?

Nóż, który poprawiał właśnie swój plecak, spojrzał na niego z odrazą.

— Zazdrość cię bierze, bo tobie nawet za pieniądze nikt zrobić nie chce... — odpysknął, a w jego głosie słychać było szczerą pogardę.

Banan zacisnął pięści, a jego twarz poczerwieniała ze złości. Odwrócił się potem gwałtownie w stronę Noża, a w oczach pojawił się mu niebezpieczny błysk.

— Masz jakiś, kurwa, problem, emo-ćwoku? — odwarknął natychmiast, robiąc krok naprzód.

Nóż nie cofnął się ani o centymetr.

— Mam! Z tobą! — odparł stanowczo. — Jak nie chcesz wykonywać rozkazów i nie szanujesz swojego dowódcy, to po co tu w ogóle jesteś?!

Traker, zawsze starający się łagodzić ich konflikty, stanął natychmiast pomiędzy nimi, rozkładając ręce w uspokajającym geście.

— Chłopaki, dajcie spokój! Naprawdę, w tej sytuacji...

Mężczyźni zupełnie go jednak zignorowali i podeszli tak blisko siebie, że zetknęli się czołami.

— I co masz zamiar z tym zrobić? — spytał z kpinką Banan. — He? Myślisz, że zrobisz na mnie wrażenie tym swoim...

Nie zdążył jednak dokończyć zdania. Pięść Noża wystrzeliła jak sprężyna, trafiając go prosto w twarz. Dziki usłyszał głuchy dźwięk uderzenia. Wiedział, jak głowa Banana odskakuje do tyłu. Krew trysnęła z jego nosa, barwiąc mu mokrą kurtkę na czerwono.

— Ty sukinsynu! — wrzasnął, rzucając się potem na Noża z serią cepów.

Traker ponownie spróbował ich rozdzielić, ale mokre ubrania ślizgały się w jego dłoniach tak, że nie był w stanie utrzymać żadnego z mężczyzn.

— Dość! Przestańcie! — wołał rozpaczliwie. Jego głos ginął jednak w krzykach walczących.

W tle słychać już było wołania innych członków Armii, którzy zaczęli powoli zwracać uwagę na trwającą bójkę.

Banan i Nóż chwycili się w tym czasie za barki. W pewnym momencie stracili równowagę i wykonując niekontrolowany obrót, runęli w wodę z głośnym pluskiem. Fale rozprysnęły się wokół nich, mocząc jeszcze bardziej ich ubrania i twarze.

Nóż okazał się szybszy. Z miejsca wskoczył na Banana. Następnie zaczął okładać go pięściami, jednocześnie podtapiając. Nie zważał przy tym ani na krzyki żołnierzy Daniela, ani próby Trakera.

Dziki stał przez chwilę nieruchomo, obserwując całą scenę. Wiedział, że powinien coś zrobić, może pomóc Trakerowi, ale ważniejsze było dla niego dowiedzieć się teraz, czy Daniel pozwoli mu sprawdzić co w Zwrotnicy.

Odwrócił się i ruszył bez słowa w stronę Wodza, przeciskając się przez Braci i żołnierzy, którzy biegli już by rozdzielić walczących.

Daniel dostrzegł go z daleka i, co dziwne, zaczął temat pierwszy — Dzi-ki, Elza mówiła mi, że chciałeś sprawdzić, co u twojego kumpla... Pewnie chodzi o Mike'a, tak? W jakich okolicach chcesz go szukać?

Dziki poczuł, jak jego serce przyspiesza.

— Wspólnoty... — odparł wymijająco, próbując nie zdradzić zbyt wiele szczegółów położenia Zwrotnicy.

Daniel uśmiechnął się delikatnie pod nosem.

— Cieszę się, że podszedłeś do tego w ten sposób — zaczął, krzyżując ręce na piersi. — To, że spytałeś swojego dowódcę o pozwolenie, świadczy o zaakceptowaniu przynależności do Armii i zrozumieniu swoich obowiązków z tym związanych — podsumował spokojnie, ale stanowczo. — Ja natomiast nie jestem tyranem, który staje na drodze naturalnych ludzkich odruchów. Możesz iść, a przy okazji potwierdzisz dla mnie jedną pogłoskę...

Dziki uniósł głowę, czując niepokój.

— Jaką pogłoskę? — dopytał natychmiast.

Daniel spojrzał mu w oczy, a jego uśmiech stał się szerszy, ale jednocześnie dużo chłodniejszy.

— Podobno Wspólnota przestała istnieć — stwierdził, a w jego głosie słychać było czystą satysfakcję.

Dziki opuścił Strefę Głodu niemal natychmiast po rozmowie z Danielem. Wódz co prawda zaoferował mu jeden z samochodów będących na wyposażeniu Armii, ale zdecydowanie odmówił. Po trudnościach, jakie napotkali podczas jazdy Dzikim-1, uznał, że szybciej i łatwiej dotrze do stacji pieszo.

Szczelny kombinezon przeciwichemiczny, który miał na sobie, okazał się podczas tej wędrówki prawdziwym błogosławieństwem. Mimo że w niektórych miejscach brodził w wodzie sięgającej kolan, ubranie nie przepuszczało wilgoci. Jedyne, co mu doskwierało, to potworne zmęczenie i przenikliwe zimno. Woda była lodowata, a poza najwyżżej położonymi punktami miasta tworzyła wszędzie rozległe rozlewiska, których nie sposób było wyminąć.

Zmierzając w kierunku stacji, Dziki zauważył, że im bardziej oddalał się od Strefy Głodu, tym mniej rzucało mu się w oczy dziwacznych „tworów”, powstałych po uderzeniu błyskawic. To rozbudziło w nim nadzieję, że Nowy Świat łagodniej obszedł się z Zatorzem, a jego towarzysze przetrwali bezpieczni.

Gdy Dziki dotarł w okolice stacji, pierwsze, co zwróciło jego uwagę, to brak większych kałuż na drodze. Cała woda zdawała się spływać w stronę Wspólnoty, tworząc dość wartki strumień. Sama osada zdecydowanie nie była najniższym punktem okolicy, więc taki widok był co najmniej osobliwy.

Dobiegając w pobliże muru, dostrzegł kolejną dziwną rzecz - gromadę co najmniej dwudziestu Grabarzy, którzy stali ściśnięci ciasno przy półtwardej bramie. To mocno go zaniepokoiło. Chociaż jego głównym celem była Zwrotnica, postanowił jednak najpierw potwierdzić dla Daniela pogłoskę, o problemach swojego dawnego domu.

Grabarze stojący mu na drodze byli zwykle bardzo płochliwi i często sam widok ludzi sprawiał, że uciekali ze strachem. Niemniej, zaszczuci, potrafiliby czasem użyć do obrony swoich olbrzymich pazurów, co mogło skończyć się tragicznie. Dziki postanowił nie ryzykować. Zbliżając się do wejścia, zaczął uderzać nogami w spływającą wodę, by narobić jak najwięcej hałasu. Liczył, że w ten sposób odstraszy to zbiegowisko i przejdzie bezpiecznie.

Słyszając jego nadejście, Niewykształceni obrócili się gwałtownie, łypiąc spod kapturów swoich czerwonych płaszczy. Dziki spodziewał się, że potwory momentalnie się rozproszą, ale mimo ogólnego poruszenia spowodowanego jego nadejściem, nie odsunęły się od bramy ani o milimetr.

— No co jest?! POSZŁY! — krzyknął.

Kilka mniejszych Grabarzy zareagowało na jego wrzaski i skuliło się, przyciskając mocniej kolce do pleców. Mimo to nadal stały nieruchomo, blokując przejście. Widząc ich opór, Dziki poczuł narastający niepokój. Ile ofiar

zebrała burza we Wspólnocie, skoro Niewykształceni tak uparcie warowali przy bramie.

Dziki w odruchu desperacji chwycił mały kamień leżący na poboczu i rzucił nim w gromadę, wrzeszcząc — POSZŁY, POWIEDZIAŁEM!

Przyniosło to jednak efekt zupełnie odmienny od oczekiwanego. Jeden z Grabarzy, największy ze stada, wysunął się w jego stronę, prostując swoje kolce niczym przestraszony jeź. Pozostali obserwowali go, wydając z siebie dziwne, gardłowe dźwięki.

Dziki zamarł zaskoczony. Raz co prawda Wspólnotowy Grabarz, „Obalek”, zbliżył się do niego, ale to były zupełnie inne okoliczności. Tamten potwór był przyzwyczajony do obcowania z ludźmi, bo mieszkał tuż przy Wspólnocie, a Dziki na jego widok praktycznie się nie poruszał, dając mu wolną przestrzeń do działania. Ten Grabarz wyglądał natomiast, jakby zbierał się do ataku, co dla każdego znawcy Niewykształconych byłoby po prostu kuriozalne.

Czując, że sprawy mogą przybrać zły obrót, Dziki powoli wyciągnął pistolet z kabury przy pasie. Widząc skierowaną w swoją stronę lufę, Grabarz momentalnie skulił się, a jego kolce opadły, przywierając do pleców.

— Wiesz, co to jest?! Wiesz, że może zabić? — spytał Dziki, bo Niewykształcony wyraźnie zareagował na widok pistoletu. — Więc trzymaj się z daleka!

Potem zrobił kolejny, ostrożny krok na przód, a istota zaczęła ustępować mu drogi, choć wciąż nie zamierzała uciekać. Zbliżając się do pozostałych Grabarzy, Dziki co chwila odwracał się, strasząc przysuwające się potwory bronią. Powoli szedł w ten sposób, w kierunku bramy, która już po chwili była właściwie na wyciągnięcie ręki. Przy samym wejściu wpadł jednak w tarapaty. Niewykształceni otoczyli go ciasnym kręgiem. Ci, którzy pojawili się za jego plecami, zdawali się szykować do ataku.

— Spokojnie... — mruknął do siebie, próbując opanować drżenie rąk.

Wiedział, że jeśli teraz spanikuje, może to być jego ostatnia chwila. Kątem oka dostrzegł jednak ogromny cień najeżonych kolców odbijający się w wodzie pod jego stopami. Któryś z potworów, zdecydował się uderzyć. Serce zabiło mu mocniej. Spróbował się obrócić, ale zanim zdążył wycelować, z głębi Wspólnoty padł strzał. Huk rozdarł ciszę, a Niewykształcony upadł martwy, rozchlapując wodę wokół siebie. Jego towarzysze rozbiegli się w popłochu, uciekając spod bramy niczym spłoszone zwierzęta.

Dziki odetchnął z ulgą. W wejściu stanął natychmiast jego wybawca - bardzo wysoka, szczupła kobieta o delikatnych blond włosach, które opadały luźno na jej ramiona. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, wybawicielka wpadła na niego i przycisnęła do siebie ze wszystkich sił. Dziki, który nie sięgał jej nawet do ramienia, poczuł się dość niezręcznie w tej sytuacji, zwłaszcza w swojej mokrej i zabrudzonej odzieży.

— Szara... Dobrze cię widzieć — przywitał się, spoglądając kobiecie w twarz, by mogła odczytać jego słowa z ruchu warg.

Szara uśmiechała się przez chwilę, a w jej oczach pojawiła się iskierka radości. Błyskawicznie dostrzegła jednak czerwoną opaskę, przewieszoną na ramieniu Dzikiego. Uśmiech zniknął z jej twarzy tak szybko, jak się pojawił. Wyciągając długi palec, wbiła go w symbol Armii Daniela, a potem puknęła go w czoło z dezaprobatą.

Dziki poczuł w tym momencie niemałe zakłopotanie. Opuścił wzrok i zaczął się tłumaczyć — Wiesz, ja chciałem walczyć z Zarzeczem... Stanąć w obronie Centrum... — próbował wyjaśnić, gestykulując przy tym nieporadnie, jakby miało to pomóc dziewczynie odczytać jego intencje.

Szara momentalnie skrzyżowała ręce na piersi i pokręciła w złości głową.

— Wiem, jak to wygląda, ale tylko oni coś robią. Nie dziw mi się... — przekonywał dalej.

Kobieta przewróciła oczami i westchnęła ciężko. Następnie odwróciła się na pięcie i skierowała w głąb Wspólnoty, ignorując jednocześnie Dzikiego.

Ten wystrzelił za nią — Szara, poczekaj! Proszę! Co się stało ze Wspólnotą? Dlaczego w radiu mówią, że upa... — urwał jednak w pół zdania, porażony tym, co zobaczył.

Przed jego oczami rozpościerał się obraz zniszczenia. Pośrodku Wspólnoty ziała dziura, jak po wybuchu potężnej bomby. Krater sięgał na wiele metrów w głąb ziemi, a swoją ogromną średnicą objął cały plac handlowy, budynki stacji i wiele okolicznych domostw. Ziemia wokół była popękana, a cała woda z okolicy spływała w dół. Mur z autobusów od strony Centrum był przewrócony, a przez szpary wpelzali Grabarze, zbierając ciała z powstałego gruzowiska. Dziki obserwował to przez chwilę wstrząśnięty widokiem.

— To niemożliwe... — szepnął do siebie. Czuł, jak zimny dreszcz przebiega mu wzdłuż kręgosłupa.

Kątem oka dostrzegł, jak Szara wchodzi do jednego z nielicznych ocalałych budynków, którego ściany były co prawda popękane, ale sama bryła wciąż była nienaruszona. Ruszył więc za nią, potykając się o sterczące fragmenty gruzu i metalowe pręty. W środku po raz drugi stanął jak sparaliżowany. Gdy tylko przekroczył próg, poczuł zimny, metaliczny dotyk lufy pistoletu na swoim czole. Serce załomotało mu w piersi, a oddech stał się płytki i nierówny. Przed sobą zobaczył mężczyznę w charakterystycznym, czerwonym uniformie Defektu. Twarz nieznajomego skrywała kominiarka, z której wylaniały się jedynie oczy pełne gniewu.

— Danielowe ścierwo... — wyszeptał, kładąc palec na spuście.

— CZEKAJ! — rozległ się nagle głos z korytarza.

Drugi Defektowiec pojawił się nagle wołając — To przecież jest Dziki!

— Dziki? — powtórzył trzymający broń, mrużąc to, co pozostało z jego oczu — Faktycznie, to on...

— Dziki? — odezwał się kolejny, tym razem kobiecy, głos z głębi korytarza.

Serce Dzikiego przyspieszyło już teraz do granic możliwości, bo w korytarzu pojawiła się Dix. Jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia na jego widok. Wyglądała tak, jakby zobaczyła co najmniej Delimera. Przez moment oboje, patrzyli się na siebie. Trwało to kilka długich sekund, nim brwi dziewczyny zwały się w gniewie.

— Masz tupet, żeby się tu pokazywać! — rzuciła lodowatym głosem. — Żeby MI się pokazywać! — dodała. — W dodatku nosisz symbol Daniela... Niżej już chyba upaść nie mogłeś Dziki...

Dziki przełknął ślinę, czując gorzki smak strachu i żalu.

— Nie szukam kłopotów — odparł natychmiast. — Chciałem tylko sprawdzić, co z Mike'em. No i przy okazji z miejscem, które sam kiedyś budowałem...

Dix prychnęła z pogardą, dając krok w stronę wejścia.

— Wpuście go! — rozkazała. — Mamy pokój, więc niech sobie ogląda i przekaże radosne nowiny nowemu panu. Tylko jeśli spróbuje czegoś głupiego, strzelajcie w głowę...

Defektowcy rzucili Dzikiemu cierpkie spojrzenia, ale odsunęli się, pozwalając mu wejść.

Jak się okazało, dom dawnego przedstawiciela Konglomeratu, służył teraz jako prowizoryczny szpital. Z każdego pokoju spoglądali na Dzikiego ranni, obandażowani ludzie. Z ich twarzy biło cierpienie i zmęczenie. Niektórzy szepotali coś między sobą, inni tylko wpatrywali się w pustkę.

Przechodząc dalej w głąb budynku, dotarł do największego z pokoi. Na środku stało szpitalne łóżko, a na nim leżał Wilk, dawny szeryf Krańcowo. Jego twarz była biała, a oczy matowe, niemniej, gdy zauważył Dzikiego, uniósł lekko głowę.

Obok Wilka na wolnym krześle siedział Sebastian - chłopak, którego Dziki kiedyś oddał pod opiekę mężczyzny. Była to pierwsza osoba, która nie zareagowała na jego widok z otwartą wrogością.

— Dziki! Tyle czasu... — zawołał, podrywając się z miejsca.

— Cześć... — odpowiedział mu, w przelocie skupiając się jednak na Wilku.

Mężczyzna przyglądał mu się uważnie. Na jego twarzy zagościła wymowna ironia.

— Życie bywa czasem naprawdę przewrotne — zaczął cicho i z wyraźnym żalem. — Kiedy ostatni raz „chodziłem” po świecie, ratowałem cię z rąk ludzi noszących czerwone opaski... Dziś odwiedzasz mnie, nosząc taką samą...

Do pokoju weszła w tym momencie Szara, która wcześniej krzątała się między rannymi. Widząc Dzikiego, wskazała na niego Wilkowi, a potem popukała się w czoło z wyraźnym wyrzutem.

— Miałem swoje powody... — westchnął Dziki, czując na sobie oskarżycielski ciężar ich spojrzeń.

Wilk zmierzył go wzrokiem, a potem skierował spojrzenie na sufit.

— Na pewno... — stwierdził, dodając niespodziewanie — No i czemu też mam ci się dziwić? Nawet nie wiesz ilu Weteranów, którzy niegdyś przeklinali Daniela, poszło teraz mu służyć... Ech, gdybym był dalej sprawny, na pewno nie pozostałbym bierny — stwierdził z tęsknotą w głosie. — Może nawet zorganizowałbym jakąś obronę niezależną od wielkiego egocentryka...

Dziki poczuł nagle, jak pożera go poczucie winy. Wilk miał prawo mieć do niego żal jak nikt inny na tym świecie. W końcu powodem jego kalectwa była akcja ratunkowa, w której odbijał go z rąk Armii Daniela. Teraz, przyłączając się do niej, właściwie napluł na jego poświęcenie. To było dziwne, bo gdy podejmował decyzję, nawet nie myślał o tym, że jeszcze kiedyś zobaczy Wilka, Szarą czy nawet Oli. Przyszłość, o której myślał, kończyła się na walce z Daro.

Nie wiedząc, jak miałby się dalej tłumaczyć, Dziki rozejrzał się nerwowo po zrujnowanym pomieszczeniu. Jego spojrzenie zatrzymało się na wybranym oknie, przez które dostrzegł zgłiszczą dawnego domu strażników. Spróbował zmienić temat, licząc na to, że odwróci uwagę Wilka i Szarej od opaski, którą teraz odruchowo zasłaniał ręką.

— Ale co tu się w ogóle stało? Gdzie reszta mieszkańców? — spytał.

— Stało się dokładnie to, co stało się nad rzeką... — odpowiedziała mu niespodziewanie Dix, pojawiając się nagle w pokoju z torbą pełną opatrunków.

Jej włosy były potargane, a twarz pokryta smugami brudu i krwi. Szybko podeszła do rannego mężczyzny leżącego na podłodze i zaczęła opatrzywać jego krwawiącą ranę, tłumacząc dalej — Piorun uderzył w sam środek placu, powodując zapadnięcie się ziemi. Chwilę potem runęły mury, a przez powstałe wyrwy wpadli Niewyksztalceni, dokonując masakry...

W głosie dziewczyny Dziki wyczuł tłumioną złość i żal. Ani razu nie spojrzała na niego. Czego się jednak spodziewał? Niemniej odpowiedziała na jego pytanie, więc spróbował pociągnąć rozmowę dalej — No dobrze, ale przecież tu była masa ludzi? Gdzie oni się podziiali? Gdzie byli strażnicy?

— Strażnicy zdezerterowali jako pierwsi — rzucił ze wstrętem Wilk, opierając głowę o rękę Szarej, która stanęła przy nim. — Zebrali się grupą i uciekli. Ci, którzy byli w stanie zaoferować im coś cennego za ochronę, uciekli razem z nimi...

— A pozostali? — dopytywał Dziki, oburzony zachowaniem obecnych strażników tego miejsca. — *Krzak nigdy by do czegoś takiego nie dopuścił...* — pomyślał.

— Nie ma nikogo więcej! — warknęła Dix. — We Wspólnocie zostali tylko ranni, którzy nie mogli uciec... No i Szara z Sebastianem, bo nie chcieli zostawić Wilka — dodała, upuszczając z nerwów bandaże na podłogę.

Ten potoczył się po zakurzonej podłodze, lądując Dzikiemu pod nogami. Atmosfera w pokoju stała się nagle jeszcze cięższa. Dziki pochylił się.

Podniósł biały rulon, i podał go dziewczynie. Poczuł chłód jej dotyku, gdy odbierała od niego opatrunek, ale mimo to jego żołądek przez chwilę skurczyło.

— A wy co tu robicie? — spytał, licząc, że może usłyszy z ust dziewczyny chociaż jedną spokojną odpowiedź. — Przecież byliście nad rzeką, sam widziałem...

— Ja ciebie też! — odparła Dix, wyrzucając bandaż, który okazał się zbyt brudny by go urzyć. — Wystarczyło popatrzeć na największego pajaca w strażackim stroju i od razu wiedziałam, że to ty...

Dziki opuścił głowę, czując po raz kolejny narastające poczucie winy. Dix nie miała już więcej ochoty odpowiadać na jego pytania. Wyszła z pokoju bez pożegnania, a sprawę wyjaśnił mu Sebastian.

— Jak mury padły, zostaliśmy z Szarą, żeby osłaniać Wilka — opisywał drżącym głosem. — Lecznica szybko jednak uległa, więc przeniesiliśmy się tutaj, bo budynek jest oddalony od wyrwy. Gdy ranni zobaczyli, że się tu obwarowaliśmy, zaczęli przychodzić, prosząc o pomoc, a my nie mogliśmy im odmówić. Jak tylko wróciła łączność radiowa, zaczęliśmy nadawać sygnał z prośbą o pomoc, który odebrała Dix z Defektowcami. Przybyli i tak trwamy tu do tej pory...

Dziki odetchnął ciężko, spoglądając na Wilka.

— Rozumiem... — westchnął. — Nie będę wam dłużej wadził, idę dalej... Wilk spojrzał na niego i uśmiechnął się krzywo pod nosem.

— Jeżeli chcesz sprawdzić, co z Mikem, skorzystaj z naszego radia na piętrze — doradził, opierając się z powrotem o dłoń Szarej. — Tory głupieją od momentu przejścia tej dziwnej burzy. Walą piorunami, nawet jak jesteś metr od nich, więc raczej nie przejdiesz...

— Skąd wiesz, że Mike jest na Zatorzu? — spytał skonsternowany Dziki. Wilk uśmiechnął się pod nosem.

— Bo jak zniknąłeś na Zarzeczu, twój przyjaciel potrzebował kogoś, żeby sobie pogadać — wyjaśnił, spoglądając na Szarą, a ta pogłaskała go po głowie. — Miałem to szczęście, że wybrał mnie. Dzięki temu nie narzekałem na nudę, a przy okazji wiedziałem, gdzie jest Zwrotnica jeszcze przed tobą...

Dziki odetchnął ciężko, mrucząc pod nosem — No tak, cały Mike...

Pożegnał się z Wilkiem skinieniem głowy i ruszył, zgodnie z sugestią, na piętro budynku. Po drodze zerwał jednak czerwoną opaskę, by nie prowokować więcej Defektowców.

Na górze oprócz radia, swoje stanowiska mieli strzelcy wyborowi Defektowców. Para uzbrojona w sztucery z lunetami mierzyła w stronę bramy, obserwując uważnie okolicę. Mężczyźni, skupieni na swoim zadaniu, ledwo zauważyli obecność Dzikiego. Nie zareagowali jednak wrogo, gdy się pojawił.

Dziki skorzystał z okazji i wyrztał przez jedno z okien, by ocenić zniszczenia z góry. Zamiast dziury jego uwagę przykuło dwóch Grabarzy walczących o połamane ciało jakiejś młodej kobiety. Widok był straszny i przyprawił go o dreszcze.

— Nigdy nie widziałem, żeby się tak zachowywali — stwierdził, odwracając wzrok od placu.

— Podobno odbiło im w czasie burzy — odparł jeden ze strzelców, nie odrywając oka od celownika. — Ludzie na dole mówili, że wciągali na plecy nawet lekko rannych — dodał, podkreślając makabryczność wydarzeń jakie miały tu miejsce.

Dziki skinął głową, dziękując za odpowiedź i rzucił — Wilk powiedział, że mogą skorzystać z radia.

— Próbuje, ale tory generują straszne zakłócenia — odparł drugi strzelec, wzruszając ramionami.

Dziki podszedł do radiostacji ustawionej na starym dziecięcym biurku. Urządzenie wyglądało na mocno zużyte. Pokręta były wytarte, a na obudowie widniały ślady rdzy. Wahając się przez chwilę, wypatrzył manipulator częstotliwości i ustawił na kanał ogólny.

— Dziki wzywa Mike'a. Dziki wzywa Mike'a. Odbiór! — zawołał do gruszki, ściskając ją mocno w dłoni.

Przez chwilę odpowiadały mu tylko trzaski i szum, więc spróbował ponownie — Dziki wzywa Mike'a! Dziki wzywa Mike'a! Odezwij się stary!

Tym razem komunikat musiał dotrzeć, bo wśród zakłóceń pojawił się głos Mike'a — DZI... STARY!!! Jak dobrze, że esz.

— Mike! — zawołał uradowany Dziki, czując niewyobrażalną ulgę. — Co się dzieje? Jak u was sytuacja? Mów!

— Jesteśmy uwięzieni..., ale nic nam nie jest. Zgro... spore zap...

— Mike strasznie cię rwie! — odparł Dziki. — Nie wszystko rozumiem, ale się cieszę... Cieszę się, że nic wam nie jest!

— Dzi.. poczekaj... Oli... ch... — próbował coś powiedzieć Mike, ale zakłócenia zdawały się narastać.

Po chwili z głośnika odezwał się delikatny głos jego przyjaciółki — Dzik...Dziki... proszę cię, musisz...w... p...z.... wra.... —

Zakłócenia były tak mocne, że nic już nie rozumiał, a po chwili całkiem utracił sygnał. Kręcił gałką we wszystkie możliwe strony przez kilka kolejnych minut, ale nie udało mu się więcej nawiązać kontaktu.

— Mówiłem, że tory szaleją — stwierdził strzelec z Defektu, obserwując przez chwilę jego próby. — Póki się nie uspokoją, zapomnij o jakiegokolwiek łączności.

Dziki, choć niechętnie, musiał się poddać. Najważniejsze informacje udało mu się jednak zdobyć — jego przyjaciele byli bezpieczni. Po chwili uznał, że gdyby odbiór był idealny, pewnie wysłuchałby całej tyrady o tym, że powinien wracać. A przecież nie mógł wrócić. Nie teraz, gdy złożył przysięgę Danielowi. Daniel był ostatnim człowiekiem, z którym chciał mieć zatarg.

Z mieszanymi uczuciami ruszył schodami na dół, aby jeszcze raz pożegnać się z Wilkiem. Wtedy przyszła mu do głowy myśl, którą usiłował odpędzić

ze wszystkich sił, ale od której czuł rosnącą w sobie euforię. Przechodząc korytarzem, dostrzegł Dix, klęczącą przy kobiecie z obandażowaną głową. Stał w drzwiach i spojrzał na swoją byłą ukochaną. Ta, czując jego wzrok, westchnęła ciężko.

— Więc jednak... — powiedziała, rzucając ze złością zwiniętą gazą.

— Co? — spytał natychmiast.

Dziewczyna popatrzyła na niego, a choć gniew wciąż malował się na jej twarzy, oczy zdradzały coś innego - głęboki, niewypowiedziany żal, który próbowała ukryć.

— Jednak będziesz chciał porozmawiać... — westchnęła cicho, z nutą goryczy w głosie. — Czułam, że tak po prostu sobie nie pójdziesz.

Dziki opuścił głowę, ale mimo to wyszeptał: — Nie musimy, jeśli nie chcesz. Mogę stąd odejść nawet teraz...

Dix gwałtownie uniosła głowę, a jej gniewna odpowiedź przecięła powietrze jak nóż — Powinieneś! — Jej oczy wciąż jednak zdradzały, że nie mówi tego z pełnym przekonaniem. — Ale przyszedłeś, i teraz wiem, że tego nie powstrzymam. Chodź! — rzuciła rozkazująco, podnosząc się z miejsca.

Przechodząc korytarzem, niemal wyrwała drzwi i wyprowadziła go na zewnątrz.

Na dworze panowała cisza, przerywana jedynie odległym odgłosami zbierających truchła Grabarzy. Dziewczyna usiadła na stopniu przed wejściem, z zimną obojętnością odpowiadając strażnika jednym gestem dłoni. Potem wpatrywała się twardo przed siebie, jakby unikała jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego z Dzikim.

— Mogę? — spytał niepewnie, stając obok niej.

— Spałam z tobą... — odparła oschle, nie odwracając nawet głowy. — Raczej nie umrę od tego, że teraz obok mnie usiądziesz.

Dziki usiadł na schodku, a potem zerknął na Dix, próbując odczytać cokolwiek z jej twarzy. Dziewczyna uparcie wpatrywała się w Grabarza, który mozołnie wyciągał ciało z dna dołu.

— Wiesz, to jest jednak śmieszne... — odezwała się nagle, jakby mówiła bardziej do siebie niż do niego.

— Co? — spytał Dziki.

Dix westchnęła, a jej usta skrzywiły się w grymasie irytacji.

— Od tamtego dnia próbuję zrobić wszystko, żeby cię znienawidzić, a gdy przychodzisz tutaj i chcesz porozmawiać, siadam jak ta truśka z tobą na jednym stopniu — wyrzuciła z irytacją, której nie potrafiła już dłużej tłumić.

Dziki otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Dix nie pozwoliła mu dojść do słowa.

— Wiesz, że bez problemu potrafisz przywołać w pamięci każdą rzecz, którą robiliśmy razem? — kontynuowała, a jej głos drżał. — Moment, gdy cię

poznałam. Chwilę, gdy cię pocałowałam. Dni, które spędziliśmy razem w Więzy... I wiesz co? — spytała retorycznie. — Za każdym razem, gdy to wspominam, czuję, jak bije mi serce... Chociaż wiem, że na to nie zasługujesz! Nie zasługujesz, bym czuła do ciebie cokolwiek! — jej głos podniósł się nieznacznie, a oczy skupiły w tym momencie na Dzikim.

Po chwili jednak spuściła wzrok, jakby wstydziła się własnych słów.

— Gdy jednak przypominam sobie, jak stanąłeś między mną a Pierwszym, to wszystko jest jak zamazane. Nie ma żadnych odczuć. Jakby to się nigdy nie wydarzyło... — zakończyła cicho.

Dziki spojrzał na Dix, czując, że musi się wytłumaczyć.

— Nie jestem tutaj jedynym winnym — odparł. — Oboje darzyliśmy się tym rodzajem miłości, w którym żadne z nas nie stawiało tego drugiego na pierwszym miejscu. Ty wybierałaś zemstę, ja powinność — stwierdził gorzko.

Dix zacisnęła pięści, a jej twarz wykrzywiła się w gniewnym grymasie.

— Powinieneś być ze mną! Powinieneś wybrać mnie! — krzyknęła z wyrzutem.

Dziki westchnął ciężko i spuścił wzrok na swoje dłonie. Wiedział, że takie oskarżenia padną, ale mimo to poczuł ukłucie bólu. Nie był na nie gotowy.

— Tak jak ty powinnaś wybrać mnie. Tak mi się przynajmniej wydawało... — odparł cicho. — Gdybym stanął na tym placu jeszcze raz, odszedłbym, zanim skończylibyście walczyć. To była sprawa między wami. Coś, na co nie powinienem był wywierać wpływu, ale to już przeszłość. Myślisz, że ja nie jestem na siebie zły? Że w mojej głowie, jak na złość, nie krążą same miłe chwile? Myślisz, że nie tęskniłem za tobą przed i po? Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile razy wspominałem ostatnią chwilę, w której trzymałem cię za rękę... Ostatni raz, w którym patrzyliśmy na siebie jako bliskie osoby...

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie, a jej włosy zatańczyły w powietrzu. Próbowwała ukryć łzy, które popłynęły jej z oczu.

— Przestań mówić takie rzeczy! Wybrałeś jego! — zripostowała ostro.

Dziki uniósł głowę, a na jego twarzy pojawił się cień irytacji.

— Tak jak ty kochałaś bardziej Kamila niż mnie... — odgryzł się.

Dix zaniemówiła przez chwilę, wciągając ze świstem powietrzem.

— Nie masz prawa tak mówić! — rzuciła nagle, jakby ją śmiertelnie obrażono.

— Tylko, że tak to wygląda — stwierdził pewnie Dziki. — O człowieku świadczą czyny, nie słowa. Mówiłem, że jesteś dla mnie najważniejsza, a stanąłem przeciw tobie. Mówiłaś, że jestem najważniejszy dla ciebie i nigdy nie odpuściłaś, chociaż cię o to prosiłem...

Dix spuściła wzrok na ziemię. Cisza między nimi stała się niemal namacalna.

— Jeżeli to wszystko, co masz mi do powiedzenia... — zaczęła dziewczyna, chcąc zakończyć rozmowę. Dziki jednak przerwał jej w pół zdania.

— ...Nie wiem, co miałbym powiedzieć więcej! Czulem, że chcę cię jeszcze raz zobaczyć! Tylko sam nie wiem po co! Chyba dlatego mówią, że miłość to szaleństwo... — rzucił niespodziewanie.

Po tym wyznaniu siedzieli przez chwilę, aż w końcu Dix westchnęła głęboko, spoglądając na horyzont.

— Czemu akurat Armia Daniela? — zapytała, już spokojnym głosem.

Dziki zamyślił się na moment, pocierając dłonią kark.

— Na początku miałem w tym cel. Teraz chcę po prostu, by Zarzecz nie przyszło. Byłem tam i wiem, że przynieśliby ze sobą coś gorszego niż Daniel. Stanąłbym po stronie każdego, kto walczyłby z nimi, a że on jest jedyny. Tak musi być... — wyjaśnił, po czym spojrzał na nią pytająco. — A ty? Co robiłaś przy moście?

Dix uśmiechnęła się gorzko, krzyżując ramiona na piersi.

— Chcesz zaplusować u nowego pana szpiegostwem? — spytała ironicznie, unosząc jedną brew.

Dziki poczuł ukłucie złości, ale starał się zachować spokój.

— Nie. Jestem po prostu ciekaw. A to, co usłyszę, zachowam dla siebie — odparł, nie kryjąc lekkiej urazy.

Nagle twarz Dix złagodniała, a w jej oczach pojawił się cień smutku. Spuściła wzrok, bawiąc się nerwowo skrawkiem materiału swojej czerwonej kurtki.

— Rengo umarł... — powiedziała niespodziewanie, a jej głos zadrżał.

Dziki poczuł, jak serce mu ściska. Rengo był przyjacielem i prawą ręką Dix, a prywatnie bardzo sympatycznym człowiekiem.

— Jak to się stało? — spytał natychmiast, pochylając się ku niej.

— Zabrał go defekt... — wyjaśniła Dix. — Tak jak wielu innych...

Dziki skinął głową, szepcząc — Współczuję...

Dix przetarła oczy dłonią, próbując się opanować.

— Wiesz, on był ze mną tak długo... — wyłkała. — Tak długo zmagał się z ciężkim defektem, nie pokazując po sobie niczego... Zupełnie zapomniałam przez to, że on cały czas się kończył. A potem skontaktował się ze mną twój przyjaciel... — urwała, jakby zastanawiała się, czy powinna kontynuować.

— Mike? — wtrącił Dziki, unosząc brwi w zdziwieniu.

— Pierwszy... — odparła dziewczyna, spoglądając mu w oczy. — Właśnie się na nasz kanał tylko po to, by powiedzieć, że może istnieć lekarstwo na defekt..., że na Zarzecz był przypadek wyleczenia kogoś z ciężkim rozmyciem.

Dziki zawahał się przez chwilę, po czym powoli uniósł koszulkę, ukazując swój brzuch pełen rozmytych plam.

— Niecałkowitego wyleczenia... — wtrącił cicho.

Widząc to, Dix odruchowo przyłożyła dłoń do ust, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

— Boże, więc chodziło o ciebie... Jak? Dlaczego? — szepnęła, nie mogąc oderwać wzroku od jego plam na ciele.

Dziki opuścił koszulkę, wzdychając ciężko.

— A dlaczego ludzie chorują na defekt? — odpowiedział pytaniem. — Przedobrzyłem z błędami tak bardzo, jak tylko można było. Do tego stopnia, że moja Pierwotna Wola nie nadążała się odnawiać... Tak naprawdę już zarastały mi usta... — opisał, chociaż akurat tych wydarzeń w ogóle nie pamiętał.

Dix zakryła twarz dłońmi, a jej ramiona zadrżały.

— Cały czas chciałam wierzyć w to, że Pierwszy kłamał... a teraz mam dowód obok siebie — westchnęła głosem pełnym rozpacz.

Dzikiego wyjątkowo zaskoczyło jej stwierdzenie.

— Czemu wołałaś, żeby to było kłamstwo? — spytał zszokowany. — Lekarstwo może istnieć, możesz pomóc jeszcze tylu chorym...

Dix pokręciła głową, nie podnosząc wzroku.

— Dziaki! To, że lekarstwo istnieje, oznacza tylko, że zawiodłam tak bardzo, jak mogłam — odparła, a jej głos zaczął się łamać. — Przyjęłam po prostu, że defekt jest nieuleczalny i nie szukałam nawet sposobu, by to zmienić. Próbowalam nadać chorym cel w ostatnich dniach, zamiast szukać dla nich pomocy... Gdybym te wszystkie siły, które włożyłam w szukanie Pierwszego, włożyła w poszukiwanie lekarstwa, tak wiele osób by żyło... Rengo wciąż by żył — zapłakała, a łzy zaczęły spływać po jej policzkach.

Dziki poczuł ogromną chęć, by ją przytulić, ukoić jej ból, ale powstrzymał się. Wiedział, że to nie jest już jego miejsce.

— Chyba się teraz nie poddasz? — spytał w końcu, próbując dodać jej otuchy.

Dix wytarła twarz rękawem, unosząc głowę.

— Nie! — odparła stanowczo. — Nawet ze względu na to, co usłyszałam od Pierwszego, byłam gotowa udać się na Zarzecze. Dlatego zaczęliśmy zakładać bazę na mieście. Teraz, gdy wiem, że defekt można chociaż zahamować, wiem, że muszę starać się bardziej. Gdy tylko będzie okazja, idziemy na tamtą stronę — dodała pewnie, a w jej oczach pojawił się nowy cel.

Dziki uśmiechnął się lekko, widząc jej powracającą siłę.

— Dix, zanim tam pójdziesz, muszę ci coś powiedzieć... coś, co być może uratuje ci życie — mówił to, usiadł bliżej niej.

Potem zaczął pośpiesznie opisywać niebezpieczeństwa Zarzecza. Opowiedział o Ciemni, miastach-faktoriach, Ścierwojadach i wszystkim, co uznał za niezbędne, by Defekt miał szansę przetrwania po tamtej stronie.

Na koniec historii podniósł się, zerkając jeszcze raz w twarz, którą wciąż tak bardzo kochał.

— Mam nadzieję, że ci się uda. Będę trzymał za was kciuki... — powiedział szczerze, czując, że to może być ich ostatnie spotkanie.

— Dziki! — zawołała dziewczyna, zanim zdążył odejść. — Myślisz... Myślisz, że jakbyśmy spotkali się w Starym Świecie, mielibyśmy szansę?

Dziki zatrzymał się, odwracając powoli.

— Myślę, że w Starym Świecie nie mielibyśmy nawet okazji się poznać... — odpowiedział cicho, po czym odwrócił się i odszedł, pozostawiając Dix z jej myślami.



Rozdział XV

Zalane miasto

Dziki nie miał już wątpliwości, że nie zdąży wrócić do Strefy Głodu przed zmrokiem. Ciężkie chmury na horyzoncie zwiastowały rychłe nadejście nocy, a Krańcowo zaczynało pogrążyć się w coraz głębszym mroku. Teraz w głowie krążyła mu tylko jedna myśl: gdzie powinien przeczekać do rana. Czy po tym, co działo się w mieście zaledwie parę godzin wcześniej, bezpiecznie było zaszyć się w jakimś bloku? Domu? A może w ogóle najlepszym wyjściem było po prostu zdecydować się na czuwanie pod gołym niebem?

Tego ostatniego wołał jednak uniknąć za wszelką cenę. Po tylu godzinach spędzonych w zimnej wodzie zaczynał naprawdę mocno przemarzać. Kolana miał sztywne, jakby zostały odlane z ołowiu, a zgrabiałe ręce z trudem zaciskały się w pięści. Jakby tego było mało, to o ile jego przeciwhemiczne spodnie trzymały jeszcze jako-taką szczelność, tak w butach miał po prostu błoto.

Decyzję o miejscu noclegu finalnie podjęło za niego zmęczenie. W momencie kryzysu wybrał po prostu najbliższy blok, jaki miał obok siebie — dość nowoczesny wieżowiec, wybudowany na ledwie dwa lata przed Błyskiem.

Stając przed jego klatką, szarpnął za klamkę drzwi, ale te ku jego zdziwieniu okazały się zamknięte.

— KURWA, NAPRAWDĘ! — ryknął sfrustrowany, ruszając natychmiast do sąsiedniej klatki. — DZIAŁAJĄCY ZAMEK W KRAŃCOWIE! AKURAT, GDY NIE MAM SIŁY IŚĆ DALEJ! — przeklinał na głos.

Niestety za drugim razem również nie dopisało mu szczęście, bo ponownie trafił na zamknięte drzwi. W mieście, w którym praktycznie nie sposób było znaleźć sprawny domofon, te dwa przyciski od losu przelały u Dzikiego szalę goryczy. Pochłonięty frustracją, zmęczeniem i zimnem, nie był już dłużej w stanie postępować racjonalnie. Momentalnie chwycił za pistolet, żeby przestrzelić zamek.

Już po naciśnięciu spustu zdał sobie natomiast sprawę, że strzelanie z bliskiej odległości do kawałka metalu, nigdy nie jest dobrym pomysłem. Drzwi co prawda puściły, ale duży odprysk odbił się pod kątem, rozcinając mu wierzch dłoni. Czując przeszywający ból, Dziki upuścił pistolet, który uderzył o stopień przed drzwiami, a potem z chlupotem wpadł do wody.

— Cholera jasna! — krzyknął i ponownie bez chwili zastanowienia, spróbował go wyłowić zranioną przed chwilą ręką.

Gdy tylko otwarta rana przekroczyła taflę brązowo-czarnej brei płynącej po całym mieście, Dziki poczuł, jak cała dłoń zaczyna go niemilosiernie piec. Po wydobyciu pistoletu oparł się przez chwilę o drzwi. Dopiero teraz dotarło do niego, jak głupio zaczął postępować pod wpływem swojego kiepskiego stanu.

— Skup się, bo zaraz zginiesz... — zganił się. Spojrzał na ranę, która aż prosiła się teraz o zakażenie.

Nie miał już wyjścia. Musiał poszukać w środku alkoholu do przemycia dłoni. Przy tym, co mogło pływać teraz po Krańcowie, gangrena wydawała się łagodnym wyrokiem.

Dziki uruchomił strażacką latarkę, którą miał przypiętą do piersi, a potem przechodząc przez przestrzelone drzwi, ruszył zgodnie z panującą wśród Weteranów zasadą na pierwsze piętro. Klatka, na którą wszedł, była zadbana i czysta. Znacząco różniła się od typowych PRL-owskich potworków, jakie miał okazję oglądać zazwyczaj w trakcie szabru. Na górę prowadziły go równiutkie schody wyłożone płytkami w ciepłym odcieniu beżu, a rękę opierał o poręcz imitującą lakierowane drewno. Do tego piwnica miała oddzielną towarową windę. Wysoki standard bloku od razu rozwił tajemnicę działających zamków na dole. Na szczęście mieszkanie, które postanowił sprawdzić jako pierwsze, okazało się otwarte.

Stając w progu luksusowej kawalerki, Dziki poczuł przez chwilę, jakby przyszedł oglądać mieszkanie na sprzedaż. Białe ściany, minimalistyczne meble i duże okna z widokiem na miasto — wszystko ciągle jeszcze pachniało nowością i nie nosiło nawet pojedynczego śladu zużycia. Tylko niedziałający od dawna laptop rzucony na łóżko i kubek ze spleśniałą kawą na szklanym stoliku zdradzały, że miejsce miało w Starym Świecie właściciela.

Rozglądając się pobieżnie po wnętrzu, Dziki szybko dostrzegł oszkloną witrynę z alkoholem, wiszącą na ścianie oklejoną okładziną imitującą ceglany mur. Pomiedzy butelkami wina o zagranicznych nazwach dostrzegł wysokoprocentowy rum.

— Nada się — szepnął do siebie, otwierając przezroczyście drzwiczki, żeby zabrać butelkę. Następnie zaciskając zęby, połał znalezionym trunkiem brudną ranę. Palący ból przeszył jego dłoń, niemal odbierając dech. Alkohol spływał mu po skórze, zmywając krew i brud, przynosząc jednocześnie psychiczne ukojenie. — *Teraz chyba nie umrę...* — pomyślał i zdecydował się poszukać jeszcze jakiegoś opatrunku.

Cały blok wyglądał na nieszabrowany, więc była spora szansa na znalezienie w nim jakiejś apteczki albo chociaż czystej bawełnianej koszulki, do przewiązania ręki.

Gdy Dzik chciał już ruszyć w stronę łazienki, usłyszał jednak coś, od czego włosy zjeżyły mu się na głowie.

— Dawno nie miałam gości... — stwierdził delikatny kobiecy głos gdzieś od strony wejścia.

W tym momencie przestraszony, uświadomił sobie, że zapomniał o drugiej najważniejszej zasadzie Weterana — „Zawsze zamykaj za sobą drzwi”.

Odwracając się powoli, dostrzegł stojącą w korytarzu Heterochromitkę. Dziewczyna, mimo że przemieniona w potwora, była po prostu piękna. Miała ciemne włosy, które opadały jej na czoło falującą grzywką. Jej twarz była gładka, biała, zakończona delikatnie zarysowanym podbródkiem, a drobne usta o kolorze bladej czerwieni wykrzywione były w subtelnym uśmiechu. Kontrastowały z tym tylko jej oczy — czarne, martwe, zupełnie niehumanitarne.

Z jakiegoś powodu lęk prawie natychmiast opuścił Dzikiego. Może jego podświadomość, zwiedziona pociągającym wyglądem, nie potrafiła pojąć prawdziwej natury tego, co przed nim stało? W końcu większość Niewykształconych wyglądała, tak jak powinien wyglądać potwór, po prostu przerażająco. Jego rozsądna część wiedziała, że to złudne, ale nie potrafił sobie wyobrazić zagrożenia ze strony istoty wyglądającej w ten sposób.

Już po chwili zawołał do niej jak do przypadkowo napotkanego człowieka: — Mam broń! Jeżeli nie chcesz zginąć, po prostu odpuść!

Istota spojrzała na niego swoimi czarnymi oczami, przekraczając delikatnie głowę.

— Wiem, że masz broń... Wszyscy tacy jak ty ją mają... — powiedziała miękko, niemal melodyjnym głosem.

Heterochromici potrafili komunikować się w logiczny sposób, ale nie zmieniało to faktu, że byli potworami. Co ciekawe ten konkretny, czy raczej ta konkretna, musiała mieć już do czynienia z szabrownikami. Dzik słyszał od Weteranów w Faktorii, liczne historie o potworach z tego gatunku, którzy zastawiali wymyślne pułapki, albo ucinali sobie z szabrownikami pogawędki przed walką. Nie przypominał sobie, by w którejś z tych opowieści Niewykształcony odstał od ataku.

— A ja wiem, że nie jesteście bezrozumni — rzucił, nie wiedząc czemu. — Daj mi tylko opatrzyć ranę, a sobie stąd pójdę. Znajdę inne miejsce na noc — próbował przekonać istotę, choć nie miał pojęcia czy będzie to miało jakiś skutek.

Heterochromitka zrobiła w tym czasie krok do przodu.

— To byłoby rozsądne... — powiedziała niespodziewanie, a jej głos stał się dużo niższy. — ..., ale jest w tobie coś, czego nie potrafię zdzierżyć — wyszeptała, przysuwając się jeszcze bliżej. — Coś, co sprawia, że sama twoja obecność jest jak niekończący się świder wierzący moją czaszkę...

Dzik nie czekał dłużej, było już jasne, że musi zmierzyć się z potworem. Szybkim ruchem chwycił mokry pistolet.

Heterochromitka rzuciła się w tym momencie do przodu, krzycząc — Ja chcę po prostu, żebyś umarł!

Zamarła jednak natychmiast, gdy lufa wbiła się jej w czoło. Stała przez chwilę, zezując na broń, a Dziki spróbował nacisnąć spust. Niestety ten nie drgnął nawet o milimetr. Upadek na stopień albo zalanie wodą musiały zablokować mechanizm.

— Czemu nie strzelasz? — spytała istota, wyraźnie zdziwiona, że wciąż żyje.

— Bo nie chcę — skłamał Dziki, którego palec poczerwieniał od bezowocnej próby naciśnięcia spustu. — Podobasz mi się... — rzucił, próbując zyskać kilka sekund, by pomyśleć co dalej.

Na twarzy Heterochromitki zagościło prawdziwe zdziwienie.

— Podobam ci się... — wyszeptała niepewnie, podczas gdy Dziki właściwie zgniatał już rękojeść. Zacięta broń nie chciała jednak za żadne skarby wystrzelić.

Spodziewał się, że za chwilę Niewykszałcona się otrząśnie, że zaraz poczuje jej zimne ręce zaciskające się na jego krtani. Zamiast tego usłyszał jednak najbardziej szokujące wyznanie, jakie kiedykolwiek padło chyba z ust potwora — Mam czasem coś jak sen... Tylko, że ja nigdy nie śpię. Widzę obrazy przed swoimi oczami. Chłopaka... człowieka, którego ściskam, a nie chcę zabić...

— To są chyba twoje wspomnienia z poprzedniego życia... — wyszeptał Dziki, zastanawiając się gorączkowo, jak sięgnąć niepostrzeżenie po nóż.

— Wspomnienia? — spytała nagle istota. — Nie mam żadnych wspomnień, tylko te obrazy... — stwierdziła i zrobiła coś zupełnie niezwykłego — wtuliła się w jego tors.

Dziki stanął jak sparaliżowany. Była to chyba ostatnia rzecz, której mógł się teraz spodziewać.

— Znam to uczucie, chociaż nie wiem skąd — szeptała dalej Niewykszałcona, gładząc go po plecach chłodną dlonią. — Wiem, jak to jest czuć na włosach męski oddech, ale nie pamiętam czemu... Wiem, jak to było, gdy w środku nie miałam pustki, ale teraz mam...

Dziki przeżywał teraz coś w rodzaju koszmaru na jawie. To, co się właśnie stało było po prostu tak surrealistyczne, że za chwile powinien się obudzić. Problem w tym, że działo się to naprawdę, a on musiał działać, jeśli chciał przeżyć.

Udając, że wsłuchuje się z uwagą w wyznania istoty, delikatnie opuścił prawą rękę. Miał zamiar szybko wyrzucić broń i sięgnąć po nóż, ale nagle uścisk Heterochromitki stał się mocniejszy.

— Ty nie masz w środku pustki... — stwierdziła, a jej głos stał się nagle zupełnie inny, surowy. — To wciąż się w tobie jarzy... To coś, czego nie znoszę...

Poczuł, jak ramiona potwora zaciskają się wokół niego z niehumanitarną siłą. Jego żebra zaczęły uginać się pod naporem, a ból przeszył klatkę piersiową, gdy próbował złapać oddech. Nie było już czasu. Zrezygnował z próby wyciągnięcia noża. Zamiast tego uderzył po prostu w głowę istoty bokiem pistoletu.

Chociaż cios wydawał mu się naprawdę silny, a Heterochromitka drobna, uderzenie nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. — KŁAMCA! — wyrzuciła natychmiast, a jej uścisk stał się jeszcze mocniejszy.

Dzikiemu momentalnie zaczęło brakować tchu. Miał wrażenie, że ścisła go nie drobna dziewczyna, a prawdziwy wąż dusiciel. W desperacji uderzył po raz kolejny i kolejny w głowę potwora. Rękojeść broni momentalnie pokryła się czarną posoką, ale Heterochromitka nie odpuszczała.

Na domiar złego kolejny Niewykształcony wyrósł jak spod ziemi, zapewne zwabiony hałasem. Ogromny Gospodarz, który za życia musiał być fanatykiem podciągania się na drążku, wpadł do mieszkania z wrzaskiem. Jego koszulka na ramiączka była podarta, a na torsie brakowało mu sporego kawałka skóry. W niekrwawiącej już ranie widać było jego przerośnięty mięsień piersiowy, pulsujący niczym serce.

Przybyły potwór, paradoksalnie okazał się dla Dzikiego wybawieniem. Wpadając do pomieszczenia, chwycił Heterochromitkę za kark. Potworna dziewczyna, od siły tego uścisku, doznała jakiegoś rodzaju porażenia, a jej dłoń, zaciśnięta na Dzikim, poluzowała się. Gospodarz szybkim ruchem odrzucił ją potem na bok, niczym szmacianą lalką.

Uwolniony Dzikie upadł na kolana, łapiąc gwałtownie oddech. Przez chwilę miał wrażenie, że wciąga do płuc ogień, bo te po prostu zapłonęły z bólu. Na szczęście z każdym kolejnym wdechem uczucie to zanikało.

— *Czy Gospodarz właśnie uratował mi życie?* — pomyślał, nie mogąc uwierzyć w to, co się właśnie stało.

Rozglądając się po pomieszczeniu, spróbował szybko ocenić sytuację. Na jego drodze do wyjścia stały dwa potwory, ale jeśli skupiłyby się na walce między sobą, miałby szansę uciec. Nie czekając, poderwał się z ziemi, ale niestety Gospodarz momentalnie skupił na nim wzrok. Potężną dłonią chwycił go za szyję, ponownie odbierając mu dopiero co odzyskany oddech.

Dzikie poczuł, jak świat wokół niego zaczyna się rozmywać, a w uszach zaszumiała mu krew. Odruchowo spróbował uderzyć pistoletem w zgście ręki potwora, ale ten był tak silny, że jego przedramię nawet nie drgnęło. Zdesperowany, złapał w końcu za rękojeść noża. Wysuwając go ostatkiem sił z kabury, pociągnął następnie ostrzem po nadgarstku Gospodarza. Ostrze przecięło skórę, ale potwór nie zważając na ranę, przyciągnął Dzikiego do siebie i z całej siły uderzył go z główki.

Ból rozlał się Dzikiemu po czaszce, a przed oczami zatańczyły mroczne plamy. Wiedział, że długo tak nie wytrzyma, że zaraz straci przytomność. W tej chwili tylko Pierwotna Wola mogła go uratować, ale zamiast żądzy mordu czuł jedynie paraliżujący strach.

Niespodziewanie do Gospodarza doskoczyła Heterochromitka. Wgryzając się w jego przedramię, wysyczała przez zaciśnięte zęby — ZOSTAW!

Jej nagły atak zupełnie zaskoczył roslęgo Niewykształconego. Zanim zdążył zareagować, potworna dziewczyna przegryzła mu ścięgna. Uścisk na szyi Dzikiego puścił, a dłoń Gospodarza zawisła bezwładnie.

Upadając na podłogę, Dziki ponownie łapczywie chwycił powietrze. W tym czasie jego oprawca chwycił Heterochromitkę za włosy, odrywając potem od swojej ręki razem z ogromnym kawałkiem mięsa.

Dziki nie czekał, na finał ich starcia i wykorzystując okazję, szybko wybiegł na balkon.

Spoglądając w dół przez barierkę, próbował przekonać samego siebie, że musi skoczyć. Pierwsze piętro okazało się jednak znacznie wyżej, niż sobie to wyobrażał. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Weterani uważają, że można w ten sposób bezpiecznie uciekać. Strach ścisnął mu żołądek, a nogi po prostu zeszytniały. Betonowy chodnik na dole wydawał się absurdalnie daleko.

Do działania pobudził Dzikiego dopiero odgłos tłuczonego szkła. Zrozumiał, że nie może dłużej czekać. Biorąc głęboki oddech, przeszedł na drugą stronę barierki. Następnie zsunął się po niej tak nisko, jak tylko mógł. Wisząc nogami na wysokości parteru, zbierał w sobie odwagę, by w końcu puścić.

Gospodarz wyrzwał w tym czasie z góry, rozglądając się za nim. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. W oczach potwora dostrzegł czystą żądzę mordu. Nie było wyjścia, Dziki rozluźnił uścisk.

Jego lot w dół nie trwał nawet sekundy. Niemal natychmiast poczuł, jak uderza o zalany wodą skwerek przed blokiem. Ból przeszył mu kostki, kolana i kręgosłup, a szok z tym związany niemal zamroczył. Oszołomiony przewrócił się na plecy, a zimna, brudna woda zaczęła wlewać mu się do uszu.

Ten nagły chłód, nieco go ocucił. Z zaciśniętymi z bólu zębami, powoli usiadł, wspierając się na rękach.

Jakimś cudem jego latarka na piersi przetrwała ten upadek i zalanie wodą. W jej świetle dostrzegł przestrzelone drzwi i klatkę, do której przed chwilą wchodził. Echo, które wydobywało się z wnętrza budynku, świadczyło o tym, że Gospodarz i Heterochromitka to nie byli jedyni mieszkańcy tego miejsca. Zanim zdążył się ruszyć, w wejściu pojawiła się grupa potworów, a po chwili dołączył do nich ten, który próbował go udusić na gorze.

Dziki spojrzał na nich z przerażeniem, lecz szybko dotarło do niego, że Gospodarze nie opuszczali swoich kryjówek, chyba że trwała Noc Latarni. Powoli wstał, czując, jak woda wlewa się mu przez niezapiętą kurtkę do wnętrza spodni.

— Cudownie... — westchnął, z rezygnacją spoglądając w czarne niebo. — Ciekawe, czy wszystkie bloki wyglądają tutaj tak samo...

Chciał już ruszyć dalej, żeby znaleźć jakąś kryjówkę, gdy nagle usłyszał plusk wody. To wzbudziło w nim przerażenie. Spojrzał jeszcze raz w stronę klatki i zobaczył, jak jeden z Gospodarzy stawia stopę na zalany skwerek.

— Nie... KURWA, NIE!!! — krzyknął, czując, jak ogarnia go fala bezsilnej rozpacz.

To nie miało prawa się dziać. Gospodarze zaczęli przepychać się przed wejściem. W końcu jeden z nich został w trakcie tej szamotaniny wyrzucony na zewnątrz. Istota stanęła jak zamrożona, ale Dzikie nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Obracając się w stronę miasta, chciał po prostu uciec. Niestety jego kostki przeszły tak rozdzierający ból, że po raz kolejny wyładował twarzą w wodzie.

W tym momencie ogarnęło go przerażenie. Jego broń nie działała, był zbyt słaby, by walczyć, nie miał szans przebudzić swojej Pierwotnej Woli. Po raz kolejny zrozumiał, że śmierć wyciąga po niego ręce. Serce waliło mu jak oszalałe, a w oczach zalśniły łzy bezsilności. I wtedy stało się coś dziwnego. Mimo że nie wykrzesał z siebie najmniejszej żądz mordu, zaczął odczuwać błędy. Strach, który go owładnął, był na tyle silny, że otworzył mu furtkę do korzystania z nich. Było to jednak sprzeczne z jego Pierwotną Wolą. Strach nijak nie pasował do żądz zabijania. Pierwszy nie raz go przestrzegał, że takie sytuacje prowadzą prosto do rozmycia..., ale czy miał teraz inne wyjście?

Gospodarze wybiegali z klatki. Słyszał, że są coraz bliżej. Teraz musiał wybierać: rozerwanie przez Niewykształconych natychmiast, czy rozmycie od defektu później. Dzikie wybrał „później”.

Podnosząc się na nogi, dał się ponieść tej „niewłaściwej” Pierwotnej Woli. Ból minął niemal natychmiast, a on wystrzelił do przodu jakby zmienił się w sportowy motocykl.

Przebiegając błyskawicznie przez dwie ulice, poczuł jednak, że zaraz zabraknie mu sił. Odpalenie błędów rozbudziło w nim nadzieję, a ta natychmiast stłumiła strach. Gospodarze jednak nie odpuszczali. Rozglądając się gorączkowo, szukał jakiegokolwiek miejsca, w którym mógłby się schronić, choć na chwilę. Wtem usłyszał odgłos wystrzałów. Uciekał na oślep i dopiero teraz zauważył, że zbliżył się do Bajkolandii. To mogła być jego szansa. Wybiegając pomiędzy bloków na główną drogę, ruszył prosto w stronę Faktorii Siwego.

Trwało to kilka minut. Im bliżej był celu, tym głośniejsze stawały się wystrzały. Faktoria musiała w tym momencie odpierać naprawdę potężny atak. Z oddali dostrzegał już jej dach i rozbłyski na tle ciemnego nieba. Po kilku kolejnych sekundach wypadł na ulicę pełną Niewykształconych. Ze świetlików budynku wystawały lufy karabinów, ostrzeliwując okolicę salwami.

Był zaledwie kilka metrów od Bajkolandii, gdy usłyszał w głowie przerażliwy gwizd. Wiedział, że nie ma już w sobie dość silnych emocji, by pobudzać Wolę, a mimo to ciągle korzystał z błędów. Teraz groziło mu natychmiastowe rozmycie. Przemykając między Niewykształconymi, doskoczył do drzwi i zaczął walić w nie pięściami.

— SIWY! — zawołał w desperacji. — TU DZIKI! WPUŚĆ MNIE! SŁYSZYSZ? WPUŚĆ!

Nikt mu jednak nie odpowiedział. Nie słyszał też nikogo po drugiej stronie drzwi. Hałas broni zagłuszał wszystko wokół. Gwizd w głowie narastał, a Dzikі czuł się tak, jak tuż przed Błyskiem. Ledwo utrzymywał przytomność, a ostatkiem sił uderzał w drzwi coraz słabiej.

— Siwy... Wpuść... mnie... — wydukał.

Gospodarze, którzy ścigali go od bloku. Podążali jego śladami jak po sznurku, kierując się prosto do wejścia. Dziki, opierając plecy o metalowe drzwi, powoli osunął się w wodę. Ostatnim przeblyskiem świadomości dostrzegł przed sobą Zjawę.

— Dlaczego przed śmiercią widzę akurat ciebie? — wyszeptał. — Spodziewałem się Dix... albo Oli...

— Zamknij się! — krzyknęła dziewczyna, a w oczach Dzikiego błysnęło jasne światło.

Gdy do Dzikiego w końcu wróciła świadomość, nie był nawet w stanie otworzyć oczu. Nad swoją głową usłyszał natomiast podenerwowane rozmowy.

— Wiedziałeś o tym? — spytał jakiś znajomy, męski głos.

Po chwili poczuł, jak ktoś podnosi przykrywającą go koldrę.

— Nie.... nigdy mi o niczym nie mówił... — odparł teatralnie słodki, lecz pełen niepokoju ton, bez wątpienia należący do Siwego.

— Ja wiedziałam! — wykrzyknęła Zjawa. — Ma, na co zasłużył! Idiota pieprzony! — dodała z niesmakiem. — I pomyśleć, że tyle razy się dla tego palanta narażałam...

— Nie bądź dla niego zbyt surowa, moja droga — skarcił ją właściciel Faktorii. — Pamiętaj, że obowiązuje nas teraz zawieszenie broni. Obecnie to nie Daniel i Armia są naszym największym zmartwieniem.

— Siwy ma rację, Zjawo — dodał mężczyzna, który mówił jako pierwszy. — Świat nie wygląda już tak, jak po bitwie pod cegielnią. Dzikі chciał walczyć z Zarzeczem, trudno mu się dziwić...

Wyraźnie rozszoszczona Zjawa, skwitowała to natychmiast — Ty nie byłeś z nami na Zarzeczu i nie widziałeś, co tam odpiędała! Za samo to po winnam go była zostawić za tymi drzwiami!

Dzikі nie miał dłużej zamiaru udawać, że wciąż jest nieprzytomny. Powoli otworzył oczy i od razu rozpoznał, że leży w kwaterze, którą zajmował, gdy pracował w Faktorii. Nad jego łóżkiem stały trzy postacie. Mężczyzna, którego głos usłyszał jako pierwszy, okazał się być byłym liderem Wspólnoty, Krzakiem.

— O, zdrajca się przebudził... — stwierdziła Zjawa z ironicznym uśmieszkiem. — Jak się czujesz? Podać herbatkę? Kaczkę? A może wolisz piąchę w mordę?

— Uspokój się... — westchnął Krzak, kręcąc głową na swoją towarzyszkę.

Zjawa, czując, że nie uda jej się zarazić pozostałych swoją niechęcią, podniosła się i obrażona wyszła z pokoju. Gdy tylko opuściła pomieszczenie, Siwy położył Dziakiemu rękę na czole, a Krzak zapytał — A teraz już poważnie, jak się czujesz?

Dziki dopiero po jego pytaniu uświadomił sobie, że jak na to, co przeszedł, nie było z nim wcale tak źle. Po dwukrotnym duszeniu, upadku z pierwszego piętra i nadużywaniu Pierwotnej Woli, powinien w najlepszym przypadku wic się teraz w bólach. Z jakiegoś powodu nie odczuwał jednak nawet delikatnego dyskomfortu. Myśląc o tym chwilę dłużej, z przerażeniem stwierdził, że tak naprawdę, nic nie czuje.

Podrywając się gwałtownie na łóżku, zerwał z siebie kołdrę i natychmiast dostrzegł coś, co go zmroziło. Jego ciało było niemal całkowicie pokryte defektem. Brzuch miał idealnie gładki, pozbawiony pępka, sutków, a nawet choćby jednego włosa. Stopy były ledwo zarysowane, jak u plastikowej lalki, do tego jednej z tych najtańszych. Palce u jego rąk nie miały paznokci.

— Co z moją twarzą? — zapytał natychmiast, przerażony, oklepując się po nosie.

— Na szczęście jest wyraźna, skarbie — westchnął Siwy, podając mu lusterko. — To by dopiero była strata, gdyby ta piękna buźka się rozplynęła.

Dziki spojrzał w swoje odbicie i odetchnął ciężko.

— *Przynajmniej ubrany wciąż jeszcze mogę uchodzić za „człowieka”* — pomyślał z żalem.

— Jak się to właściwie stało? — zapytał Krzak, obserwując jego przemianę z poważną miną.

Dziki podrapał się nieczulą ręką po głowie.

— Wpadłem w sytuację bez wyjścia i użyłem błędów, żeby się ratować... — stwierdził, kładąc dłonie na kolanach. Podobnie jak w wypadku twarzy, w ogóle nie czuł dotyku własnej skóry.

Siwy i Krzak popatrzyli na siebie znacząco.

— Myślę, że większość chorujących na defekt uraczyłaby nas podobną historią — stwierdził właściciel Faktorii. — Ale, skarbie, dlaczego jesteś jak Dix? Chyba nie powiesz, że złapałeś to od niej? — dodał z odrazą.

— Nie... — odparł Dziki. — Sam się tak urządziłem...

Teraz, gdy już trochę oprzytomniał, dotarło do niego, co nie pasowało mu w całej tej sytuacji.

— Krzaku, co wy tu właściwie robicie? Ty i Zjawa? — spytał zdziwiony.

Przecież oboje pracowali dla Boruty. Czemu przebywali w Faktorii? Czyżby Sojusz Bloków również padł ofiarą jednego z piorunów?

— To przez Rozbłysk — wyjaśnił Krzak, potwierdzając jego domysły. — Sojusz mocno oberwał. Boruta wysłał nas, żebyśmy kupili u Siwego zaopatrzenie, by jakoś przetrwać najbliższych kilka dni. Gdy tu dotarliśmy, Faktorię za-

atakowali Gospodarze — tłumaczył dalej, wtrącając nagle — A ty? Co tu robisz? Chyba Daniel nie planuje tu czegoś głupiego? — dodał podejrzliwie, wpatrując się w Dzikiego, jakby chciał wyczytać mu z twarzy, czy mówi prawdę.

— Nie! — zaprzeczył natychmiast. — Jestem po tej stronie miasta z własnej woli. Byłem sprawdzić, co z Mike'm i pozostałymi...

Był to kolejny po spotkaniu z Wilkiem przypadek, kiedy Dzikiego poczuł wstyd z powodu swojego przyłączenia się do Armii. Krzak był jedną z osób, które szanował ponad wszystko. Rozczarowane spojrzenie byłego lidera byłoby dla niego niewyobrażalną karą. Na szczęście mężczyzna dużo bardziej zainteresował się swoim dawnym towarzyszem niż przynależnością Dzikiego.

— Kontaktowałeś się z Mike'm? Co z nim? Co z chłopakami? — spytał z przejęciem, zapominając o wcześniejszych podejrzeniach.

— Rozmawialiśmy przez radio — odparł Dzikiego, uradowany, że może chociaż raz przekazać dobre wieści. — Były straszne zakłócenia, ale wygląda na to, że wszystko z nimi w porządku...

Krzak odetchnął z ulgą, a na jego twarzy przez chwilę zagościł prawie niezauważalny uśmiech. Dzikiego zastanowił się, czy nie wspomnieć jeszcze o tym, co widział we Wspólnocie. Po chwili zdecydował, że i tak nie było sensu tego ukrywać.

— Za to nasz dawny dom, nie ma się już tak dobrze... — wyjął, ścisząc głos.

— Słyszeliśmy jakieś ploteczki przez radio — wtrącił Siwy. — Naprawdę jest tak źle, jak mówią?

— Wspólnoty już nie ma — westchnął Dzikiego. — Mury są zniszczone, większość ludzi uciekła. Szara razem z Defektem zabunkrowali się w jednym z budynków i opiekują się tymi, którzy uciec nie mogli...

Krzak, słysząc to, próbował zachować kamienną twarz, ale jego oczy na chwilę zrobiły się zupełnie puste. Mimo że został skazany na banicję, to właśnie on własnymi rękami budował Wspólnotę. Wiadomość o jej zniszczeniu musiała nim głęboko wstrząsnąć.

— Siwy, wygląda na to, że będziemy musieli u ciebie zostać do rana — powiedział potem, starając się utrzymać chłodny, rzeczowy ton. Jednak gdzieś w głębi jego głosu słychać było żal. — Skoro już dokładamy ci się ze Zjawą do trzech, wezmę na siebie chociaż nocną wartę. Niech twoi chłopcy odpoczną. Dam wam znać, jeśli coś będzie nie tak — dodał, podnosząc się. — Wracaj do zdrowia, Dzikiego — rzucił na koniec i wyszedł z pomieszczenia.

Siwy skinął głową i spojrzał w stronę Dzikiego.

— Ty też odpoczywaj, skarbie... — westchnął. — Gdybyś czegoś potrzebował, masz u mnie zawsze otwarty kredycik.

— Siwy... — zagadnął z miejsca Dzikiego, przypominając sobie o swojej broni i jej stanie. — Jest jedna sprawa, tylko nie bardzo mam ci, czym zapłacić...

— Mów, skarbie — zachęcił go właściciel Faktorii.

— Mój pistolet się zaciął. Chyba coś jest nie tak z mechanizmem...

Siwy spojrzał na komodę, gdzie poskładane były rzeczy Dzikiego. Wziął kaburę do ręki i wyciągnął z niej broń.

— Nie przejmuj się tym, skarbie. Zaraz dam go któremuś z chłopaków, żeby się przyjrzał, co jest nie tak. A ty spróbuj się przespać...

Gdy Siwy wyszedł z pomieszczenia, Dziki ułożył się na boku, ale z jakiegoś powodu w ogóle nie czuł zmęczenia. Leżał kilka minut z zamkniętymi oczami, a do jego umysłu powoli docierała świadomość stanu, w jakim się znalazł. Większość jego ciała była jakby odrętwiała. Nie czuł bólu, chłodu, ani nawet otulającej go kołdry — zupełnie nic. Nie mogąc znieść tej dziwnej pustki, gwałtownie podniósł się z łóżka i zaczął chodzić po pokoju. Ruch przyniósł mu jednak jeszcze większy dyskomfort. Tylko jego głowa i szyja nie były pokryte defektem, przez co czuł się jak świadomy balonik przyczepiony do obcego ciała, które bezwzględnie wykonywało polecenia.

Podchodząc do swoich rzeczy, Dziki dostrzegł kaburę z nożem. Wyciągnął go i usiadł z powrotem na łóżku, po czym zaczął wiercić sobie czubkiem ostrza dziurę w nodze.

— No dalej... — wyszeptał, wpychając nóż coraz głębiej i głębiej. — Przecież tam musi coś być...

Ostrze weszło gładko, nie wywołując przy tym żadnego odczucia. Gdy tylko je wyciągnął, rana natychmiast się zrosła, nie zostawiając nawet śladu krwi.

— Świetnie... — warknął.

Był już o krok od pełnego defektu. Zastanawiał się tylko, czy dzięki wpływowi Białego miał więcej czasu niż inni, którzy cierpieli na tę chorobę? A może, tak jak u Dix, jeśli przestanie używać błędów, defekt się nie posunie? Wiedział, że nie uzyska odpowiedzi od razu. Chcąc uciec od tych myśli, postanowił, że przejdzie się po Faktorii.

Opuszczając swój pokój, wyszedł na główną halę, gdzie większość pracowników spała na prowizorycznych posłaniach. Od strony warsztatu dochodziły pojedyncze dźwięki, lecz daleko było temu do typowego harmidru, jaki tu panował.

Mijając część handlową, przeszedł po prowizorycznych rusztowaniach w stronę świetlików nad dachem. Tam dostrzegł Zjawę wpatrującą się w okno.

— Jeżeli nie chcesz oberwać, to lepiej stąd zjeżdżaj — warknęła, gdy tylko podszedł, nie zaszczycając go nawet przelotnym spojrzeniem.

Dziki opuścił ze wstydem głowę. Zjawą może nie zaliczała się nigdy do jego przyjaciół, ale na Zarzeczcu wyratowała go z niejednej opresji. Właściwie, gdyby nie ona, sam nie był pewien, czy daliby radę uratować Oli. Słyszając, z jaką pogardą się do niego odnosi, poczuł się naprawdę źle.

— Wiem, że zawiodłem... — wyszeptał skruszony.

— To dobrze, że jesteś tego świadomy — wtrąciła dziewczyna, spoglądając na niego z wyrzutem. — Wiesz co? — spytała nagle. — Gdyby ktoś zaryzykował dla mnie tyle, ile Pierwszy zaryzykował dla ciebie... Ja nigdy... NIGDY bym go nie zawiodła!

Dziki usiadł obok niej i z westchnieniem przyznał — Wiem... — dodając potem skurszonym głosem: — Myślisz, że nie jest mi wstyd?

— Myślę, że nie — odparła szczerze dziewczyna, skubiąc z nerwów wypełnienie przy oknie. — Myślę, że ty uważasz, że miałeś do tego prawo. Zauważyłam już, że uwielbiasz się usprawiedliwiać. I pomyśleć, że on miał cię za dobrego człowieka... Zresztą ja też miałam... — prychnęła, rzucając kawałkiem oderwanego ocieplenia o szybę.

— Wydawało mi się, że byłem dobrym człowiekiem... — zaczął tłumaczyć się Dziki. — To ten świat...

— Ten świat, ten świat... — powtórzyła zirytowana dziewczyna, odrywając z nerwów jeszcze więcej ocieplenia. — Wymówki i wymówki. Słuchałeś w ogóle tego, co mówił do ciebie Pierwszy? Jakby przewidywał, że ci odpierdoli... — stwierdziła, zamyślona. — Wiesz co? — zapytała, nagle zmieniając temat i przyznając — Ja nie jestem dobrą osobą! A mimo tego, nie zabiłam nikogo, kogo nie musiałam! Nie bawiłam się w niczyjego sędziego i kata! Ba, Boruta chciał dla mnie wypruć flaki z Lance'a, ale go powstrzymałam. Mimo tego, że zostawił mnie na śmierć...

Dziki, wsłuchując się w jej słowa, popatrzył przez okno. Lampy Faktorii oświetlały drogę, na której leżały ciała Niewykształconych. Ten widok przywiódł mu na myśl światła Garażu, rozlewające się na trupy ludzi, których zabił tamtej feralnej nocy.

— Ty jesteś dobrą osobą... — stwierdził po chwili namysłu, zaprzeczając temu, co powiedziała wcześniej Zjawa. — Tak jak Pierwszy jest dobry... Z naszej trójki tam, to ja byłem tym złym — dodał rozgoryczony. — Czasem zastanawiam się, czy kiedykolwiek byłem naprawdę dobrą osobą... — wyznał myśl, która coraz częściej go nawiedzała. — Czy po prostu taki się stałem, bo tak mnie nauczono...? Ale i tak źle mi z tym, że was zawiodłem. Przykro mi, że nie potrafiłem wtedy współczuć Elemisowi, przykro mi, że was naraziłem... Przepraszam... — wyszeptał Dziki, a łzy mimowolnie napłynęły mu do oczu.

Widząc jego stan, mina Weteranki nieco złagodniała.

— Ech, może pod tą warstwą głupoty, kurewstwa i użalania się nad sobą, jest jeszcze kawałek człowieka — westchnęła. — Jak się w ogóle trzyma Oli? — zapytała, zmieniając temat.

Dziki bał się, że to pytanie padnie. Zjawa miała jednak prawo wiedzieć, w końcu była z nim po tamtej stronie. Jej jednej postanowił nie kłamać, mimo że to, co miał za chwilę powiedzieć, ledwo przechodziło mu przez gardło.

— Gdy ostatni raz ją widziałem, nie było dobrze — przyznał ponuro. — To, co stało się na Zarzeczcu, po prostu ją zniszczyło.

Zjawa na moment opuściła głowę, a jej spojrzenie zrobiło się puste, jakby nad czymś głęboko myślała.

— Szkoda mi jej — wyszeptła po chwili. — Z tego, co słyszałam, to była kiedyś bardzo fajną dziewczyną. Nie zasłużyła na to... — powiedziała twardo i po namyśle, dodała — Nie wyobrażam sobie, by jakakolwiek dziewczyna na to zasłużyła. A tobie, co odbiło z tą Armią? — zapytała, ponownie zmieniając temat.

Dziki nie mógł powiedzieć prawdy. Nawet przed sobą nie chciał przyznać, że nie mógł znieść tego, co stało się z Oli, i liczył, że ukoi duszę w zemście na Daro.

— Chciałem walczyć z Zarzeczem, a nikt z innych grup się nie kwapił — odparł wymijająco.

Zjawa spojrzała na niego przenikliwie. Dziki miał wrażenie, że domyślała się o wiele więcej, niż powiedział, ale grając w jego grę, przyznała — Bo każdy liczył, że wykrwawią się razem z Armią. Gdybyś trochę poczekał, znalazłoby się więcej miejsc. Boruta już zaczął szykować ludzi do obrony... — stwierdziła, choć ton jej głosu był jakiś dziwny. — Tylko teraz się to trochę pokrzyżowało... — dodała.

— Przez Rozbłysk? — spytał Dziki, choć domyślał się odpowiedzi.

— Ta... — przyznała Zjawa, ziewając ciężko i przecierając oczy. — Dołączyliśmy przez niego po dupie. Mam przynajmniej nadzieję... Daniel oberwał równie mocno? — zapytała z wyraźną nadzieją, spoglądając na Dzikiego spod półprzymkniętych powiek.

— Zawiodę cię. Nie — stwierdził, zastanawiając się, jak najlepiej przekazać jej te wieści. — H-Market jest właściwie nietknięty. To już ataki z Zarzeczca przyniosły większe straty. Martwić się jednak nie musicie, Daniel jest obecnie tak skoncentrowany na Zarzeczcu, że nie dba o nic innego... — powiedział pewnie, próbując ją uspokoić.

Nagle ich rozmowę przerwał ostry dźwięk wystrzału, który rozległ się gdzieś na zewnątrz. Oboje wymienili znaczące spojrzenie, a potem zeskoczyli z rusztowania na ziemię i ruszyli biegiem w stronę wejścia do Faktorii. Tam stał już Krzak, nerwowo spoglądając na pancerne wejście.

— Krzaku, co się dzieje? Znowu atakują? — spytała natychmiast Zjawa, dochodząc do mężczyzny.

Krzak pokręcił głową.

— To nie my strzelaliśmy — wyjaśnił nerwowo. — Ktoś strzelił pod drzwiami...

Ich rozmowę przerwało gwałtowne łomotanie do wrót Faktorii. Siwy pojawił się niemal natychmiast, prowadząc ze sobą postawionych na nogi strażników. Ubrojeni w pistolety maszynowe mężczyźni wymierzili lufy w stronę wejścia.

— Kim jesteś? — zawołał właściciel Faktorii w stronę drzwi, a w jego głosie nie było ani śladu zwykłej uprzejmości.

— Człowiekiem — odparł mu chłodny, niemal mechaniczny głos z zewnątrz.

— Odejdź! — stwierdził niepewnie Siwy, wymieniając szybkie spojrzenia ze strażnikami. — Wiesz, że obecnie trudno odróżnić przyjaciela od wroga. Nie wpuszczamy nocą nikogo obcego. Jeśli chcesz handlować, wróć rano... — dodał, choć w jego głosie słychać było wahanie.

— Nie jestem dla ciebie obcy... — odpowiedziała postać za drzwiami. — Handlowałem z tobą, zanim ktokolwiek inny handlował...

Słowa te zawisły w powietrzu, a na twarzy Siwego pojawił się wyraz zdumienia. Jego oczy rozszerzyły się, jakby nagle zrozumiał, z kim ma do czynienia.

— O jejciu... — wymamrotał pod nosem, a jego twarz przybrała nieokreślony wyraz.

Ku zaskoczeniu wszystkich, mężczyzna rzucił się do drzwi, niemal potykając się o własne nogi. Zaczął gorączkowo odsuwać zasuwę i przekręcać zamki, nie zważając na zdumione spojrzenia strażników i Krzaka.

Dziki obserwował to wszystko z rosnącym niepokojem. Instynktownie chciał sięgnąć po broń, ale przypomniał sobie, że nie miał przy sobie nawet kabury. Jego pistolet leżał pewnie gdzieś w warsztacie, zupełnie bezużyteczny w tej chwili.

W tym czasie drzwi Faktorii otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem, odsłaniając sylwetkę mężczyzny stojącego w mroku. Ubrany był w czarny kombinezon, który zlewał się z ciemnością za jego plecami. Na twarzy miał maskę przeciwgazową, której szklane wizjery odbijały słabe światło lamp.

Zjawą, która stała nieco z tyłu, zareagowała natychmiast. Bez chwili wahania podbiegła do mężczyzny i rzuciła mu się na szyję.

— Pierwszy! — zawołała z radością w głosie.

Po chwili jednak odskoczyła od niego jak oparzona.

— Przepraszam... Zapomniałam, że jesteś z tych niedotykalskich — powiedziała zawstydzona, nerwowo poprawiając włosy.

— Ciebie też dobrze widzieć całą — odparł mężczyzna spokojnym tonem.

Pierwszy siedział u szczytu stołu. Jego obecność w Faktorii wywołała takie poruszenie, że zgromadziła niemal całą załogę tego miejsca. Dla wielu robotników i strażników mężczyzna był postacią niemal legendarną. Ludzie szepotali między sobą, wskazując na jego czarny bojowy uniform, opancerzenie oraz broń, którą miał przy sobie.

Dziki przyglądał się tej scenie z zaskoczeniem i niepokojem jednocześnie. Jeśli Pierwszy, który zwykle unikał ludzi, pojawił się w takim miejscu jak Faktoria, mogło to oznaczać jedno: wydarzyło się coś naprawdę złego.

W głowie Krzaka musiały krążyć podobne myśli, bo przyglądał się Pierwszemu badawczo, jakby próbował odgadnąć jego intencje.

Siwy wyszedł w tym czasie z głębi hali, niosąc parujący kubek z czarną, gęstą kawą.

— Bez cukru, mocna jak z piekła, tak jak lubiłeś... — powiedział, stawiając go przed mężczyzną i zasiadając przy stole.

Pierwszy skinął głową.

— Nie przyszedłem na kawę, ale nie odmówię — stwierdził, zsuwając maskę przeciwgazową i odsłaniając zmęczoną twarz.

W tym momencie większość zebranych doznała największego rozczarowania. Legendy o Pierwszym, które krążyły po Centrum, budowały obraz mężczyzny niemal nadludzkiego: kwadratowa szczęka, nieskazitelne rysy twarzy, oczy, które wzbudzały strach samym spojrzeniem. Tymczasem prawdziwy Pierwszy miał twarz styraną życiem, pooraną zmarszczkami, naznaczoną zmęczeniem. Jego oczy były matowe i pełne rezygnacji. To nie był bohater z opowieści, ale człowiek, który przeżył więcej, niż chciałby pamiętać.

Nie było więc nic dziwnego w tym, że większość pomruków pracowników Faktorii, jakie wyłapał Dziki, była pytaniami w stylu: — To naprawdę jest Pierwszy?

Pierwszy nic sobie jednak z tego nie robił. Uniósł kubek do ust i wziął głęboki łyk kawy. Jego oczy otworzyły się szerzej, jakby mocny napar ożywił go na moment.

Siwy, który cały czas wpatrywał się w niego niepewnie, zebrał się w końcu na odwagę i zapytał — To co cię właściwie sprowadza?

Dla Dzikiego to był kolejny wstrząsający moment. Siwy rozmawiał z Pierwszym całkiem normalnie, zwyczajnym głosem, bez zmiękczenia wyrazów i słodkiego tonu.

Pierwszy zanim wyjaśnił, wziął kolejny łyk kawy. — Mam coś do przekazania dla całego Centrum. Faktoria to dobre miejsce, żeby zacząć, bo stąd plotki szybko rozejdą się po mieście. Dobrze, że są tu również ludzie z Sojuszu Bloków. Oszczędzi mi to drogi.

Po tym wyznaniu, nałożył maskę z powrotem na twarz. Dziki przyzwyczaił się już do tego, że Pierwszy ściągał ją właściwie tylko wtedy, gdy jadł albo spał.

Krzak, który dotąd obserwował wszystko w milczeniu, w końcu włączył się do rozmowy.

— Co takiego chcesz przekazać? — spytał, wciąż przyglądając się Pierwszemu badawczo.

Mężczyzna westchnął ciężko i wyprostował się na krześle.

— To, na co musicie się wszyscy przygotować... — zaczął, a jego głos z każdym słowem stawał się bardziej poważny. — Dawno temu obiecałem sobie, że nie będę już ingerował w sprawy związane z Krańcowem. Miałem dość ponoszenia negatywnych konsekwencji każdego działania, które wspierałem. Nowy Świat jest wystarczająco mrocznym miejscem, bez mojego udziału.

Zjawa, która stała z tyłu, nie mogła powstrzymać się od komentarza i wtrąciła z lekkim uśmiechem — Słabo ci to nieingerowanie wychodzi...

— Zauważyłem... — odparł Pierwszy, a jego głos przesycony był ironią. — Dlatego jestem tu dzisiaj, by wyjaśnić wam, czemu musicie się wszyscy zjednoczyć.

Krzak zmarszczył brwi.

— Wszyscy? — dopytał, unosząc lekko głos. — Mógłbyś być bardziej precyzyjny?

Pierwszy obrócił głowę w jego stronę. Przez chwilę panowała cisza, aż w końcu powtórzył z naciskiem — Dokładnie, wszyscy... Armia Daniela, Sojusz Bloków, Faktoria Siwego i Grobelni, Wolni Weterani, Myśliwi z Lasu Ludzi i każda inna grupa, jaka istnieje w Centrum — wymieniał, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości. — To dla was kwestia przeżycia.

Siwy podniósł jedną brew, a Krzak popatrzył na niego ironicznie, komentując — Żeby do tego doszło, musiałby się zdarzyć cud. Nawet frakcje, które nie walczą ze sobą, nie mają w zwyczaju nawiązywać trwałej współpracy. A przekonać kogoś do narażenia się i walki, to niemożliwe.

Pierwszy kiwnął głową, jakby rozumiał obawy mężczyzny, a jego maska błysnęła w świetle.

— Wiem — odparł spokojnie — ale wszyscy muszą się dowiedzieć, że to, co się stało podczas ostatniego Błysku, nie było przypadkiem. Zasady panujące w świecie nie zmieniają się, ot tak. Stoi za tym najpotężniejszy użytkownik błędów po stronie Zarzecz: Smutny.

— Co?! — wykrzyknęli jednocześnie Dziki i Zjawa, spoglądając na Pierwszego z niedowierzaniem.

Tylko oni w tym pomieszczeniu wiedzieli, że Smutny przebywa na Zarzecz i uczestniczy w szkoleniu Zwiadowców. Pozostali patrzyli zaskoczeni, nieświadomi skali zagrożenia, przed którym stanęli.

— To jego sprawka? — dopytała dziewczyna.

— Tak — potwierdził Pierwszy, a jego głos stał się o wiele bardziej ponury. — Wygląda na to, że udało mu się przejąć kontrolę nad Błyskiem...

— Jak to w ogóle możliwe...? — wtrącił przerażony Siwy, a jego twarz pobladła.

Pierwszy zamyślił się przez chwilę, wpatrując się w kubek z kawą, jakby rozważał, czy wziąć jeszcze łyk. W końcu jednak zrezygnował i odpowiedział — Błysk to błąd jak każdy inny, więc można na niego wpłynąć dostatecznie

potężną Pierwotną Wolą. To, co widzieliście ostatnio, to był tylko przedsmak tego, co czeka nas w przyszłości. Smutny dopiero się uczy. Chciał też wykorzystać połączenie Centrum i Zarzecza, by usunąć Ciemnie po tamtej stronie. Miał ograniczony czas, ale mimo to zdołał zniszczyć ogromną część miasta i sprawić, że nasi Niewykształceni łamią zasady, na których się tu wychowaliśmy. W czasie następnego Błysku, gdy będzie już mógł skupić się tylko na nas, Centralne Krańcowo zostanie zniszczone. Dlatego wycofali stąd wojska... Nie są już potrzebne...

Słuchacze zamarli, a w pomieszczeniu zapadła ciężka, grobowa cisza. Krzak spuścił głowę, jego dłonie zacisnęły się w pięści. Zjawą zasłoniła usta, nie kryjąc przerażenia, a Siwy zrobił się tak blady, że przypominał upiora. Wśród pracowników Faktorii zapanowała panika.

Ciszę przerwał w końcu Krzak, który spytał cicho — W twojej opinii, mamy w ogóle jakieś szanse?

— Jedną — odpowiedział natychmiast Pierwszy. — Wasz wspólny atak na Zarzecze i zabicie Smutnego...

— To w ogóle możliwe? — spytała Zjawą.

Pierwszy milczał po jej pytaniu bardzo długo, pogłębiając tylko napięcie w Faktorii. Dzięki przypuszczał jednak jaka będzie odpowiedź i czekał, aż to imię padnie.

— Znam tylko jedną osobę, która może tego dokonać... — stwierdził w końcu Pierwszy. — Daniela. Ale on nie ruszy się nawet o krok, jeśli będzie myślał, że mu zagrażacie.

Krzak zacisnął pięści, słysząc kto jest ich nadzieją na przetrwanie.

— Daniel podejmie się współpracy? — spytał sceptycznie. — Ostatnio nie wyglądał na kogoś, kto interesuje się sojuszem z nami...

— Spróbuję przemówić mu do rozumu — stwierdził Pierwszy z przekonaniem. — Jutro rano wrócę razem z Dzikim do Strefy Głodu. W tym czasie wy musicie roznieść wieści dalej. Każdy w Centrum musi zrozumieć, że albo weźmie w tym udział, albo wszyscy zginiecie...

Siwy, słuchając tego, wyraził, krótko myśli większości zgromadzonych — Chyba jednak zginiemy... Nie wierzę w żaden zryw.

— Smutny nie podniesie na Pierwszego ręki — wtrąciła się Zjawą. — Drugą osobą, która mogłaby go pokonać, jest właśnie Pierwszy. Mamy kartę awaryjną...

Wszyscy spojrzeli teraz na Pierwszego z nadzieją, ale Krzak spytał podejrzliwie — Czemu więc ty nie pójdziesz z nami? Ludzie chętniej ruszą do boju z legendą Krańcową niż z Danielem, którego nienawidzą. Sama wzmianka o tobie może nakłonić wielu do współpracy... Chyba się nie boisz?

Nie zdawał sobie sprawy, jak źle brzmiało to pytanie w kontekście Pierwotnej Woli Pierwszego.

— Przez zależności mojej Pierwotnej Woli, nie jestem w stanie rozpocząć walki — wyjął Pierwszy. — Smutny o tym wie i nigdy mnie nie zaatakuje... Zresztą, mogę zawsze uciec z Centrum. Próbuję wam pomóc, ale nie mam zamiaru ratować nikogo na siłę...

— Czyli albo przekonamy wszystkich w Centrum do współpracy, albo nasz świat legnie w gruzach... — podsumował zrezygnowany Siwy.

— Mniej więcej — potwierdził Pierwszy. — Oczywiście nie mówię, że wszyscy mają podporządkować się Danielowi. To byłoby nierozsądne i doprowadziłoby do innego rodzaju tyranii. Możecie zaatakować Zarzecze w tym samym czasie, każdy na własną rękę. Jeden atak na różne miasta, by Armia mogła dotrzeć do Magistratu. Ludzie w Centrum mogą na to przystać...

Słyszac te słowa, zgromadzeni opuścili głowy w geście utraconej nadziei.

— Bez względu na wszystko, Armia musi wyruszyć. Czas mamy tylko do następnego Błysku... — dodał Pierwszy.



Rozdział XVI

Jednoczący

Pierwszy planował wyruszyć do Strefy Głodu, gdy tylko zacznie świtać. Jego plany pokrzyżował jednak Siwy, który za wszelką cenę chciał odegrać rolę dobrego gospodarza. Z tego powodu wszyscy goszczący tej nocy w jego królestwie zostali delikatnie „przymuszeni” do zjedzenia wspólnego śniadania. Pracownicy Faktorii, otworzyli najściślej zapasy swojego szefa, częstując wszystkich między innymi: świeżym pieczywem, serem, suszonym mięsem i gorącą kawą. Mimo że na stole nie brakowało niczego, trudno było wykrzesać wśród jedzących choć odrobinę entuzjazmu.

Krzak, zajmujący miejsce u szczytu stołu, pogrążył się w zadumie. Jego oczy wpatrywały się w pustkę, a na twarzy malowało się skupienie. Zapewne układał w głowie plan, jak przekonać Borutę do synchronicznego ataku na tamtą stronę. Dłonią bezwiednie bawił się kubkiem z niedopitą herbatą.

Zjawa, siedząca naprzeciwko Pierwszego, rzucała w jego stronę niepewne spojrzenia. Chciała prawdopodobnie zacząć z nim rozmowę, ale mężczyzna wpatrywał się w swoją kawę i nawet na chwilę nie nawiązał z nią kontaktu wzrokowego.

Siwy, który zgromadził ich wszystkich razem, próbował co prawda kilka razy podjąć jakiś temat. Opowiadał przez chwilę o nowych projektach warsztatu i o pierwszej w pełni autorskiej broni, jaką stworzyli. Jego głos jednak ginął w panującej ciszy, a nikt nie kwapił się, by pociągnąć rozmowę dalej.

To z kolei dało Dziakiemu okazję do spokojnego przetestowania, co tak właściwie stało się z jego ciałem. Biorąc do ust kawałek suszonej wołowiny, wciąż był w stanie poczuć jej intensywny, słony smak. Gdy jednak pogryzione jedzenie zaczęło spadać w głąb przełyku, miał wrażenie, jakby znikало w próżni. Nie czuł sytości ani ruchu w żołądku. Mocno solone mięso natychmiast wywołało u niego uczucie suchości w ustach. Gasząc pragnienie, bez problemu wypił całą butelkę wody, nie odczuwając z tego powodu żadnego dyskomfortu.

Pierwszy musiał kątem oka zauważyć, jak po każdej połkniętej rzeczy Dzik obserwuje swoje ciało. Skupiając przez chwilę wzrok na jego pozbawionej paznokci dłoni, zapytał natychmiast — Jak bardzo się pogorszyło?

— Jego już prawie nie ma! — odpowiedziała natychmiast Zjawa, która wcześniej usilnie szukała okazji do rozmowy.

Pierwszy odetchnął ciężko, spoglądając z żalem na swojego dawnego kompana.

— Pokaż... — poprosił niespodziewanie.

Dziki podwinął koszulkę, ukazując swój zmieniony brzuch. Skórę miał różową i gładką jak z plastiku, pozbawioną jakichkolwiek znamion czy owłosienia. Wyglądała nienaturalnie, jakby była z tworzywa sztucznego, a nie z żywej tkanki.

Oczy Pierwszego rozszerzyły się w zdumieniu.

— Mam przynajmniej nadzieję, że to była sytuacja, z której nie dałbyś rady uciec w inny sposób... — podsumował głosem, w którym słychać było jednocześnie zmartwienie i naganę.

Dziki potwierdził tylko, spuszczając wzrok — To był wybór między tym, a pewną śmiercią.

— Rozumiem... — westchnął Pierwszy, przymykając na moment oczy. — Nie jestem specjalistą od defektu. Dix mogłaby ci w tej sprawie powiedzieć znacznie więcej... Wiem tylko tyle, że przy ciężkim defekcie nie ma się już organów, tylko coś, co określają „funkcjonalną biomasą”. Nie będziesz więcej odczuwał głodu, ale musisz się odżywiać. Jeżeli przestaniesz jeść, zaczniesz „przepalać” swoje ciało i osłabniesz...

Dziki skinął głową. Podobne podejrzenia krążyły mu w myślach od samego rana. Przypomniwał sobie, jak podczas pobytów w Wieży widział Defektowców, którzy regularnie spożywali sowe posiłki. Choroba nie zmieniała fizjologii do tego stopnia, by mogli żywić się powietrzem.

— Nie pogorszy mu się? — spytał nagle Siwy, podchwytyjąc temat. — Można coś jeszcze z tym zrobić?

— Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie — stwierdził Pierwszy, spoglądając z przejęciem na Dzikiego. — Na pewno dalsze używanie błędów nie będzie obojętne dla jego ciała. Czy jednak abstynencja pomoże? Albo wyhamuje postęp choroby? Tego też nie wiem. W wypadku normalnego defektu niekorzystanie z Pierwotnej Woli przyspiesza rozmycie... Ale to nie jest jego zwykła postać.

Dziki opuszczył głowę, a ciężar słów kompana przytłoczył go mimowolnie. Gdy myślał o przebiegu swojej choroby, wołał raczej wyobrażać sobie scenariusz podobny do przypadku Dix. Chciał mieć nadzieję, że tak jak ona, unikając nadużywania błędów, zatrzyma się na obecnym etapie. Ich defekt pochodził jednak z dwóch różnych źródeł. Dix została niejako zakażona przez błąd w zakładach chemicznych. Dziki zaś rozmyślał się przez nadużywanie Pierwotnej Woli, a do postaci niecałkowitego rozmycia sprowadził go lekarz z Garażu. Były to więc dwa zupełnie inne przypadki, które ciężko było ze sobą porównywać.

Temat defektu zszedł jednak na drugi plan, gdy do rozmowy wtrącił się Krzak.

— Pierwszy, mogę ci zadać pytanie? — rzucił nagle, kierując na mężczyznę swoje przenikliwe spojrzenie.

Pierwszy skinął głową, skupiając się natychmiast na byłym liderze Wspólnoty.

— Co, jeśli nie uda nam się przekonać ludzi do tego, o czym mówię? — zaczął Krzak, a w jego głosie słychać było niepokój. — Jeżeli znowu większość uzna, że „jakoś to będzie” albo „niech inni się mieszają, ja nie muszę”. Nawet gdy byłem liderem Wspólnoty, mimo wszystkich swoich starań, nie potrafiłem wykorzystać z jej mieszkańców tego podejścia — powiedział z wyraźnym żalem. — Gdy Ręka Olbrzyma atakowała Weteranów, śmierć groziła wszystkim w równym stopniu, a mimo to do Wilka przylączyła się garstka osób. Gdyby nie Dix, chcąc ratować Dzikiego oraz Grobelni, którzy chcieli się dozbroić zdobytą bronią, nie wiem, czy pod cegielnią byłoby nas dziesięcioro.

Pierwszy, słysząc to, cmoknął z dezaprobatą. Jego palce uderzyły cicho o blat stołu.

— Ignorancja jest domeną żyjącego obecnie pokolenia — stwierdził sucho. — Chyba właśnie dlatego w Starym Świecie ten kraj to była równia pochyła. Potrafiłszy do krwi różnić się z sąsiadem o każdą głupotę... Gdy jednak przychodziło do zrobienia z czymś porządku, każdy patrzył na każdego, licząc, że ktoś inny weźmie sprawę w swoje ręce. — Po tym dosadnym opisie westchnął ciężko, a w kolejnym zdaniu, które powiedział, zabrzmiała gorycz — Tym bardziej utwierdza mnie to w przekonaniu, że nie chcę walczyć i ginąć za ogół... Tak właściwie, nie chciałem już narażać się dla nikogo... — stwierdził ponuro, zmieniając potem ton na bardziej przychylny — Skoro jednak złośliwy świat postawił na mojej drodze kolejnych ludzi, których los nie potrafi mi być obojętny, zrobię, co mogę, by im pomóc... Choćbym musiał na własnych barkach wyciągnąć ich z tego miasta za Strefę Zamarcia...

Zjawa, która dotąd obserwowała rozmowę w milczeniu, uniosła głowę.

— Łapię się do nieobojętnych? — wtrąciła z przekornym uśmiechem. — Czy muszę ci najpierw pokazać kawałek ciała?

Pierwszy, słysząc tę niemoralną propozycję, wzniosł zażenowany oczy do góry, jakby szukał siły by to przetrawić. Kilka osób przy stole zachichotało pod nosem, a atmosfera nieco się rozluźniła.

— Wystarczy, że nie będziesz więcej podpijać mi zupy... — odparł z lekkim sarkazmem w głosie. — Niemniej ucieczka z Krańcowa to ostateczność. Nie wiem, co spotkalibyśmy po tamtej stronie. Może świat jeszcze gorszy niż ten, jakim jakiś czas temu było Zarzecze... Może miejsce, w którym w ogóle nie dałoby rady żyć...

Siwy, słysząc słowa swojego gościa, odchrząknął cicho. Jego twarz przybrała wyraz zaniepokojenia.

— Przepraszam, ale czy my naprawdę dyskutujemy teraz o ucieczce z miasta? O przekroczeniu Strefy Zamarcia? Wybacz mi, że to powiem Pierwszy, ale to brzmi trochę jak samobójstwo — powiedział, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

Pierwszy westchnął, zamyślony.

— Jeszcze jakiś czas temu myślałem podobnie... aż któregoś dnia dostałem wiadomość z tamtej strony — wyjaśnił spokojnie.

— Wiadomość od kogo? — spytał natychmiast Krzak, pochylając się nieco do przodu.

— Od najbliższego mi człowieka, jakiego miałem w tym świecie... — odparł Pierwszy, sięgając do kieszeni na piersi. Wyciągnął z niej złożoną kartkę. Przyjrzał się jej przez chwilę, z nostalgią po czym położył ją na stole, dając zgromadzonemu możliwość zapoznania się z treścią.

Pierwszy, przyjacielu,

wiem, że nie lubisz, gdy tak Cię tytułuje, ale tym razem musisz mi to wybaczyć. Piszę ten list z naprawdę nikłą nadzieją, że go otrzymasz. Czemu więc to robisz? Bo póki istnieje choćby cień szansy, zawsze warto próbować. To jest coś, do czego nigdy nie mogłem Cię przekonać — że warto próbować, nawet gdy wydaje się to głupie.

Znalazłem tu błąd, który działa jak furta między światami. Możesz wybrać miejsce, gdzie przedmiot ma się pojawić. To niezwykle odkrycie, ale nie odważyłbym się wejść w nią osobiście, bo próba przeniesienia przez to co jest między miastami mnie przeraża. Mam jednak nadzieję, że dostaniesz ten list..., że wciąż odwiedzasz te same miejsca, w których bywaliśmy razem, że szukasz śladów przeszłości, tak jak ja.

Nie wiem nawet, ile czasu minęło po waszej stronie. Tydzień? Miesiąc? Rok? A może już dawno jesteście starcem i czytasz to przez grube okulary, wyszabrowane z domu jakiegoś dziadka...

Dla mnie to przejście było tylko chwilą, ale jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że dla was trwa wieki. Jestem szczerze ciekawy, jak dalej toczyły się wasze losy. Kto przejął dowodzenie, gdy mnie zabrakło? Raczej nie Ty — nigdy nie rwałeś się do rozkazywania innym. Może Trzeci? Chociaż on nie był zbyt lubiany w naszej grupie.

Daniel pewnie dalej jest z wami. Ciekawe, czy w końcu zaakceptował ksywę z numerem? Uważał chyba, że nasze pseudonimy są dziecinne... Nie wiedział przecież, że to Ty zacząłeś tę tradycję. Śmieszne, że po takim czasie wciąż nie znam Twojego prawdziwego imienia. Może kiedyś mi je zdradzisz? Piszę głupoty...

Mam nadzieję, że Siódma już się trochę ogarnęła i nie sprawia Ci tyle kłopotów co na początku. Miała do Ciebie straszną słabość. Głupi byłeś, że z tego nie skorzystałeś. Szósty obiecał mi, że się nią zajmie, gdyby coś mi się stało... Wierz, że dotrzymał słowa.

Strasznie mnie też ciekawi, czy Czwarty i Piąta są dalej razem. Może dorobili się już dziecka, a Ty jesteś jego ojcem chrzestnym? Wiem, znowu piszę głupoty, ale gdy siedzi się ciągle samemu, wymyślanie takich historii, to jedyna rozrywka.

Ta samotność jest chyba najgorsza. W mieście, w którym przebywam, nikogo nie ma.... Nie potrafię zrozumieć, jakim cudem tak dobrze sobie z tym radziłeś. Czuję się dokładnie jak przed spotkaniem z Tobą w Krańcowie. Nie dziwi mi się, że nie chciałem dać Ci potem spokoju.... Ja nie lubię być sam. Twoja obecność zawsze dodawała mi otuchy.

Czasem nawet żałuję, że wypchnąłem Cię z powrotem... Może byłbyś teraz tu ze mną... Może wszyscy byście byli... Tylko że wtedy jeszcze nie wiedziałem. Czulem się, jakbym umierał... Chciałem Cię ocalić, a przekląłem przez to siebie. Gdybym mógł cofnąć czas, może postąpiłbym inaczej.

Jeżeli kiedyś nasze miasto Cię zdradzi, znudzisz się ciąglą walką w Krańcowie, przyjdź do mnie... Zostawiam znaki jak dawniej! Buduję kryjóWKi jak Ty... Czekam... Wierz, że kiedyś znowu się spotkamy.

*Twój przyjaciel na zawsze,
Drugi*

Czytając treść listu, wszyscy zgromadzeni byli po prostu w szoku. Piszący go mężczyzna był postacią nie mniej legendarną niż Pierwszy, a do tego dawał świadectwo, że można wydostać się z Krańcowa.

Krzak, który wpatrywał się w treść najdłużej, uniósł w końcu głowę.

— Słyszałem o nim od Dix. Myślałem, że nie żyje... — powiedział cicho, jakby wciąż próbował przetrwać to, co właśnie przeczytał.

Pierwszy delikatnie chwycił kartkę i schował ją z powrotem do wewnętrznej kieszeni swojej bluzy.

— Ja też... Wszyscy tak uważali — przyznał, a w jego głosie zabrzmiała nuta melancholii.

— Naprawdę myślisz, że moglibyśmy się do niego dostać? — spytała Zjawia, nachylając się w stronę Pierwszego.

Mężczyzna spojrzał na nią z powagą. — Do miasta, w którym przebywał? — dopytał retorycznie. — Prawdopodobnie. Czy jeszcze byśmy go spotkali? Nie wiadomo... Nie wiadomo, na jak długo utknęlibyśmy w Strefie Zamarcia. Pamiętasz, co działo się po przekroczeniu rzeki? Wyobraź to sobie, tylko niewyobrażalnie mocniejsze — tłumaczył. — Istnieje ryzyko, że trafilibyśmy

do miasta, w którym byłyby już tylko ruiny i jeden wyschnięty szkielet. Żadnej wody, żadnego jedzenia. Dlatego podkreślam, że opuszczenie Krańcowo to ostateczność.

Zjawa westchnęła głęboko, opadając ciężko na oparcie krzesła.

— Jak na to nie patrzeć... — mruknęła z rezygnacją. — znowu jesteśmy w dupie.

Dziki, zamiast skupiać się na ich tragicznym położeniu, zainteresował się inną kwestią.

— Gdzie w ogóle znalazłeś ten list? — spytał zaskoczony, wpatrując się uważnie w Pierwszego.

— W mojej starej kryjówce. Na fotelu, w którym zwykle siadał Drugi, gdy zadreślał mnie swoją obecnością — wyjaśnił Pierwszy, a na jego twarzy pojawił się smutny grymas.

Wspomnienie Drugiego zdawało się przywoływać w nim naprawdę silne emocje.

Zjawa zamyśliła się przez chwilę, a jej palce nerwowo bawiły się kosmykiem włosów. Nagle jej oczy rozbłysły, jakby wpadła na genialny pomysł.

— Może gdybyśmy poszukali podobnej furty po naszej stronie, moglibyśmy uniknąć tej całej dytatacji... — zaproponowała z entuzjazmem, pochylając się do przodu.

— Dylatacji... — poprawił ją delikatnie Pierwszy. — Do tego wydaje mi się, że wykorzystanie furty wpłynęłoby na nas gorzej niż normalne przejście — przestrzegł, a jego głos nabrał ostrzejszego tonu. — Widzieliście kartkę, prawda? Była pożółkła i zniszczona. Wydaje mi się, że w czasie tej podróży czas działał na nią w wyjątkowo destruktywny sposób.

Pierwszy, kończąc kawę, odstawił kubek na stół z cichym stuknięciem.

— Czas na nas — oznajmił, zwracając się do Dzikiego.

Stojąc pod bramami Bajkolandii, Dziki obserwował, jak Pierwszy po raz ostatni zwrócił się z radą do Zjawy i Krzaka.

— Jeśli Daniel przegra, zbierzcie wszystkich, których chcecie zabrać i udajcie się na Zatorze. Znajdę was i poprowadzę przez Strefę Zamarcia — oznajmił stanowczo.

Krzak, obciążony plecakiem wypchanym zapasami, z trudem podrapał się po brodzie. Jego spojrzenie błędziło po twarzy Pierwszego, jakby szukał w niej ukrytych intencji.

— Nie wiem jeszcze, czy się na to zdecyduję, ale dziękuję za propozycję — odparł, wyciągając rękę na pożegnanie.

Pierwszy uściśnął mu dłoń, po czym odwrócił się do Zjawy, która stała obok z rękami skrzyżowanymi na piersi.

— A ty, nie daj się zabić — rzucił, łagodząc swój zwykle posępny ton.

Zjawia prychnęła, patrząc na niego wyzywająco.

— Nie mam zamiaru umierać, póki cię nie rozgryzę — odparła pewnie.

Pierwszy westchnął cicho, kręcąc głową.

— Porywasz się na coś, co nie udało się psychologowi z dwudziestoletnim stażem — zauważył z nutą ironii.

Zjawia jednak się nie zraziła. Uśmiechnęła się szerzej, kładąc rękę na biodrze.

— Może miał nieodpowiednie podejście... — rzuciła, jakby traktowała to jako wyzwanie. — Czasem potrzeba świeżego spojrzenia.

Pierwszy przez dłuższą chwilę przyglądał jej się uważnie. Dziki, choć nie widział jego twarzy przez maskę, miał wrażenie, że musiała złagodnieć.

— Przeżyj. To mi w zupełności wystarczy. — powiedział już naprawdę niepodobnym do siebie głosem. — Nie wyruszę bez ciebie, obiecuję. Tylko do-trzyj na Zatorze.

Zjawia skinęła głową, a Dziki poczuł, że nadszedł czas, by i on się pożegnał.

— Trzymaj się, Krzaku. Uważaj na siebie — powiedział, wyciągając dłoń.

— Ty też, Dziki. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy — odparł były lider, ściskając mu rękę.

Następnie chłopak zwrócił się do Zjawy. — Powodzenia. Wierzę, że sobie poradzisz — stwierdził, siłąc się nawet na serdeczny uśmiech, co ostatnio rzadko mu się udawało.

— Dzięki. Ty też, nie daj się zabić — odpowiedziała Zjawia, klepiąc go po ramieniu.

Po tym krótkim pożegnaniu grupy rozeszły się w swoje strony. Zjawia i Krzak ruszyli w kierunku Sojuszu Bloków, a Dziki razem z Pierwszym skierowali się na główną drogę prowadzącą do Strefy Głodu.

Szybko okazało się, że Krańcowo zdążyło mocno obeschnąć przez noc. Ulice, które jeszcze wczoraj przypominały rwące potoki, teraz były pełne błota i kałuż. Co prawda, wciąż zmuszeni byli omijać rozległe rozlewiska, które zalegały w zagłębieniach terenu i na skwerkach, ale przynajmniej nie brodzili już po kolana w wodzie.

Pierwszy odcinek drogi przeszli właściwie bez słowa. Dziki skupiał się przez to na tym, że jego buty wciąż były mokre, bo podeszwy stóp o dziwo wciąż miał jeszcze nie pokryte defektem. To uczucie było okropne, więc by choć trochę odciągnąć od tego uwagę, postanowił przerwać milczenie.

— Wiesz, że nie zostawię tu Mike'a i dziewczyn z autobusu — oznajmił. — Jeżeli mielibyśmy wyruszyć do Strefy Zamarcia, oni muszą iść z nami...

Pierwszy nie odwrócił się, ale Dziki zauważył, że jego głowa lekko opadła.

— Zastanów się lepiej, czy naprawdę tego chcesz... — odparł niespodziewanie.

Dziki zmarszczył brwi, zaskoczony tą odpowiedzią. Dlaczego miałby zostawić swoich przyjaciół w mieście opanowanym przez Zarzeczan?

— Nie rozumiem. Czemu mielibyśmy ich nie zabrać? — zapytał, z niedowierzaniem.

Pierwszy zatrzymał się, odwracając w jego stronę.

— Zarzecz nie wyeliminuje całej populacji Centrum — oznajmił nerwowo, wbrew temu, co wcześniej mówił w Faktorii. — Zabiją przywódców, użytkowników Pierwotnej Woli i zniszczą frakcje. Ktoś z niezaangażowanych może ucierpieć, ale większość ludzi zostanie zasymilowana... — tłumaczył.

Dziki poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Dlaczego Pierwszy to wcześniej ukrywał? Chciał już spytać, o co w tym wszystkim chodzi, ale kompan sam wyjaśnił — Wczoraj powiedziałem, że Centrum zostanie zniszczone, bo znasz mentalność jego mieszkańców. Gdyby istniała nadzieja przetrwania bez walki, jeszcze mniej osób wzięłoby udział w starciu. Natomiast jeśli Zarzecz wygra, po tym, co wydarzyło się w Przychodni i Garażu, ty i Zjawa nie możecie liczyć na żadną łaskę. Dlatego pomyślałem o zabranii was stąd... Ale to wybór między pewną a niepewną śmiercią.

Dla Dzikiego to wszystko wciąż było niejasne. Chciał już dopytać, o co dokładnie chodzi, ale Pierwszy, dostrzegając jego minę, więc wytłumaczył dosadnie — Pomyśl! Nie mamy pojęcia, gdzie trafimy. Może do miasta bez resetu? Jeśli tak, zginiemy z głodu w ciągu kilku tygodni... Chcesz ryzykować życiem Mike'a i dziewczyn? Wydaje mi się, że tutaj będą jednak bezpieczniejsi. Jedyne, kogo zabrałbym jeszcze, to Oli, bo ją mogą wciąż pamiętać... — dodał na koniec, ale w jego głosie nie było ani krzty pewności.

Dziki zacisnął pięści, czując narastającą frustrację na sytuację, w której się znaleźli.

— Tylko większe szanse na co? — zapytał w końcu, czując, jak znowu pochłania go gniew. — Na zostanie niewolnikami?

Pierwszy spuścił wzrok, spoglądając teraz w ziemię.

— Może... — westchnął. — Dlatego lepiej kibicować Danielowi, żeby wygrał.

Dziki poczuł, jak jego myśli wirują. Czy naprawdę powinien ryzykować, zabierając przyjaciół w wielkie nieznane? Z jednej strony list świadczył o tym, że Drugiemu udało się dotrzeć do jakiegoś miasta. Ale jak długo przebywał po tamtej stronie? Z treści nie wynikało wiele, tylko to, że przeżył podróż. Nie wspominał nic o Błysku, resecie ani o tym, czy miejsce, w którym się znajdował, jest bezpieczne. Prawda była taka, że wiadomość najpewniej była wyrazem żalu i tęsknoty za Pierwszym, a nie realnym zaproszeniem by ten przeszedł przez granice miasta.

Podróż ponownie kontynuowali w ciszy. Dziki spróbował wykorzystać ten moment, żeby poukładać sobie wszystko w głowie, ale im bardziej się starał wybrać najlepsze rozwiązanie, tym większy chaos panował w jego myślach.

— Długo nie byłeś w Strefie Głodu? — spytał w końcu, chcąc przerwać ciszę i odwrócić uwagę od dręczących go wątpliwości.

— Prawie cztery lata... — odparł Pierwszy.

Dziki skinął głową, dokładnie tego się obawiając.

— Myślisz, że po tym czasie Daniel przyjmie cię z otwartymi ramionami? Albo chociaż wysłucha? — zagadywał dalej, próbując wyczuć, co może ich czekać, gdy już dotrą do Gorgoru.

Pierwszy zatrzymał się na chwilę. Przed nimi ciągnęła się zniszczona ulica, a w oddali widoczny był słup reklamowy z literą „H”. Tuż obok nich stała Pizzeria Papa Pepo, miejsce, które Dziki wciąż źle wspominał z powodu wypadki, jaką mieli tu z Wilkiem i jego byłym informatorem, Łajzą.

Kiedy wspominał tamto wydarzenie, jego kompan przyłożył lornetkę do oczu, by ocenić drogę przed nimi. Dopiero gdy skończył, odpowiedział na pytanie Dzikiego — Nie uważam, że rozstaliśmy się, jako wrogowie. Znał doskonale powód, dla którego odszedłem z Armii i zawdzięcza mi niemal tyle, co ty... — dodał, dając znak głową, by ruszyli dalej.

Kontynuowali marsz, omijając pozostałości pierwszych barykad, jeszcze z czasów największego rozrostu Strefy Głodu. Droga była tu śliska, pokryta szlamem naniesionym przez wodę, co zmuszało ich do uważnego stawiania kroków.

Po jakimś kwadransie dotarli na obrzeża parkingu przed H-Marketem. Miejsce wciąż było zalane, a woda tworzyła szerokie rozlewisko, w którym odbijało się szare, Krańcowskie niebo. Na powierzchni unosiły się ciała Niewykształconych: głównie Potłuków, ale także Grabarzy, Gospodarzy i dziwacznych stworzeń przypominających drzewa, które Dziki widział po raz pierwszy.

Miedzy poległymi potworami pracowały gromady robotników, pilnowane przez Obrońców uzbrojonych w myśliwskie strzelby. Mężczyźni i kobiety znosili truchła na taczki i wywozili je poza granice Strefy Głodu, ich twarze były poszarzałe z wyczerpania, a ubrania przesiąknięte wodą i brudem.

Dziki rozejrzał się dookoła, szukając kogoś ze swojego oddziału. Po chwili wśród kręcących się jak mrówki mieszkańców dostrzegł Anioła, który pomagał właśnie załadować olbrzymiego Gospodarza na wózek. Chłopak, mimo wyraźnego zmęczenia, uśmiechał się szeroko.

— Anioł! — zawołał Dziki, podnosząc rękę.

Ten, usłyszawszy go, odwrócił się i przybiegł jak na zawołanie, chlapiąc przy tym wodą na wszystkie strony.

— Dziś! Cholera jasna! — krzyknął podekscytowany. — Żałuj, że cię tu nie było! Nawet nie wiesz, jaki rozpierzdzieli w nocy zrobiliśmy! Mówię ci! Sam uwalilem chyba z dziesięciu Gospodarzy, a Poldek...

— Anioł! Stój! — przerwał mu stanowczo Dziki, wiedząc, że jeśli chłopak się rozkręci, spędzą na rozmowie co najmniej godzinę. — Muszę się zobaczyć z Danielem! Wiesz, gdzie jest?

Anioł podrapał się hełmem, który zsunął mu się na czoło.

— Nie mam pojęcia, ciągle gdzieś się kręcił... Może Szachraj będzie wiedział — stwierdził, wskazując na drzwi H-Marketu. — Widziałem, jak chwilę temu o czymś gadali...

Dowódca Obrońców stał wśród swoich ludzi, tłumacząc coś gorączkowo. Gdy skończył, jego wzrok spoczął na Dzikim, a potem przesunął się na stojącego obok Pierwszego. Mężczyzna zamarł na moment, a jego twarz nagle pobladła. Gwałtownie odwrócił się i zniknął we wnętrzu Marketu.

Dla Dzikiego było jasne, że pobiegł zawiadomić swoich nowych władczy o tym, kto właśnie pojawił się w królestwie Daniela.

— Szachraj cię zna. Wie, jak wyglądasz? — zapytał Pierwszego, próbując potwierdzić swoje przypuszczenia.

Mężczyzna potwierdził skinieniem głowy, a Dzikiego poczuł, jak sztywnieje. Przez to, że na polecenie Daniela musiał udawać, że nie wie o zdradzie Szachraja, zupełnie wypadło mu to z głowy.

— Zarzecz zaraz się dowie, że tu byłeś! — wypalił, czując narastającą panikę.

Musiał coś zrobić, ale nie miał pojęcia co. Nie mając ani planu, ani pomysłu, rzucił się pędem w stronę Marketu, zostawiając za sobą zdziwionych towarzyszy. Mijając pracujących robotników, pędził w stronę drzwi.

— *Tylko co zrobisz, jak go dopadnę? Zatrzymam? Zabiję?* — pomyślał gorączkowo, gdy nagle wpadł prosto na Elzę, która niosła wiadro z gruzem.

Dziewczyna złapała go za ramię, gwałtownie go zatrzymując.

— Dzik! Gdzie ci tak śpieszno? — spytała z irytacją, a jej oczy zwęziły się podejrzliwie. — Może zameldowałbyś się dowódcy? Roboty dla ciebie nie brakuje...

Dzikiego spojrzał na nią, po czym wypalił na jednym wdechu — Pierwszy przybył do Strefy Głodu, żeby porozmawiać z Danielem. Szachraj go widział, zaraz doniesie o tym Zarzecz!

Elza zamarła na chwilę, jej twarz pobladła, a usta lekko się otworzyły, gdy próbowała zrozumieć, co właśnie usłyszała. Na szczęście dla Dzikiego jego dowódczyni potrafiła podejmować błyskawiczne decyzje.

— Idę zaraz za tobą! — krzyknęła zdecydowanie, odstawiając wiadro na ziemię i wyciągając rękę w jego kierunku.

Dzikiego skinął głową, dając jej znać, że jest gotowy. Elza już wielokrotnie go przenosiła, więc nie obawiał się tego uczucia. Już po chwili poczuł ciepło przepływające przez jego ciało. Nagle otoczyło go jasne światło, które na moment przyćmiło wszystko wokół. Było intensywne, niemalże palące, ale trwało tylko ułamek sekundy.

Kiedy światło zgasło, byli już wewnątrz H-Marketu. Mrugnął kilkakrotnie, próbując przyzwyczaić oczy do panującego mroku. Wnętrze budynku tonęło w ciemnościach, przerywanych jedynie słabymi smugami światła wpa-

dającymi przez nieliczne świetliki w dachu. Lampy elektryczne rozwieszone na ścianach nie działały. Wczorajsza powódź najpewniej uszkodziła generatory.

Dziki zapalił latarkę i rozejrzał się wokół. Przy wejściu stały opustoszałe kioski z gazetami, papierosami i innymi bibelotami. Woda, która zalała to miejsce, unosiła fragmenty papieru, plastikowe opakowania i drobne śmieci. Dalej, w głębi Marketu, majaczyły zarysy regałów głównej hali sprzedażowej. Tylko tam wydawało się, że półki wciąż są pełne, dodatkowo na wysokich stołach palet ustawiono towary, które Obrońcy chcieli uratować przed zalaniem. Były to głównie zapasy żywności, odzieży i innych niezbędnych przedmiotów. Echem odbijały się odległe dźwięki pracujących ludzi, ale w tej części budynku, panowała prawie zupełna cisza.

Nagle Dziki dostrzegł w ciemnościach poruszającą się sylwetkę. To był Szachraj. Maszerował w wodzie, która chłupotała przy każdym jego kroku. Oświetlał sobie drogę ekranem telefonu, a kciuk szybko przesuwiał się po klawiaturze. Charakterystyczne ruchy palca wskazywały, że pisał wiadomość.

Dla Dzikiego było jasne, że telefon działał pod wpływem jakiegoś błędu. Najpewniej z jego pomocą zdrajca przekazywał wiadomości na drugi brzeg. Wiedział, że musi działać szybko.

— Szachraj! — zawołał głośno, a jego głos odbił się echem po hali.

Dowódca Obrońców obrócił się gwałtownie, zaskoczony nagłym pojawieniem się Dzikiego. Jego oczy rozszerzyły się na moment.

— Dziki? — rzucił nerwowo. — Wiesz dobrze, że tylko moi ludzie mają wstęp do Marketu — wytknął wyniośle, unosząc podbródek, jakby chciał podkreślić, że to on tu rządził. — Jeśli chcesz pomóc przy pracy, pogadaj z Tyzakiem. Jest na zewnątrz, przy magazynie — dodał, pewny, że nikt nie odkrył jego zdrady.

Dla Dzikiego ważne było to, że kciuk Szachraja zastygł nad klawiaturą starej komórki. Wciąż była nadzieja, że nie zdążył wysłać wiadomości. Musiał teraz odwrócić jego uwagę i zbliżyć się na tyle, żeby wyrwać mu telefon.

— Pierwotna Wola! — rzucił, próbując wciągnąć Szachraja w rozmowę, by zyskać na czasie.

Mężczyzna uniósł brew, zaskoczony. Zbity z tropu, spytał — Co jest z Pierwotną Wolą?

— Każdy użytkownik ukrywa swoją Wolę, żeby inni nie dowiedzieli się, kiedy jest bezbronny albo jak go podejść — wyjaśnił Dziki, podchodząc coraz bliżej.

W środku czuł narastające napięcie. Gdzie była Elza? Czemu jeszcze nie dotarła?

Szachraj przyglądał mu się z zaciekawieniem, choć w jego oczach zaczęła tlić się iskra nieufności.

— To logiczne — przyznał, mierząc go badawczym wzrokiem. — Ludzie niechętnie zdradzają tajemnice związane z Wolą.

Jego palec wciąż tkwił nad telefonem, ale na szczęście całą uwagę skupił na Dzikim, który robił wszystko, by nie dopuścić do wysłania wiadomości.

— Moja Wola jest dość specyficzna... — skłamał Dziki, zaskakująco przekonująco, jak na swoje umiejętności. — Kieruje nią głupia emocja, która sprawia, że potrafi aktywować się w zupełnie losowych momentach.

— Współczuję... — odparł Szachraj, wciąż uważnie go śledząc.

Gdy Dziki był już od niego na wyciągnięcie ręki, wyszeptał spokojnie — Wiedziałeś, że kiedy twoja Wola jest aktywna, możesz wyczuć, gdy ktoś inny używa błędów?

Szachraj uśmiechnął się krzywo, lecz jego twarz nagle pobladła. Przygryzł wargę tak mocno, że pojawiła się krew.

— Zauważyłem... — odparł cicho, spoglądając na Dzikiego z narastającą wściekłością.

W tym momencie Dziki poczuł potężne uderzenie w plecy. Było tak nagłe i silne, że nawet nie zdążył zareagować. Z impetem padł twarzą w wodę. Chłód cieczy przeniknął przez jego ubranie, a odgłos plusku rozległ się echem w pustym wnętrzu. Kiedy próbował się pozbierać, kątem oka dostrzegł ogromny kawał gruzu leżący obok niego. Musiał spaść z sufitu, zrzucony siłą błędów Szachraja. Po takim uderzeniu normalny człowiek miałby pewnie połamany kręgosłup, ale jego zdefektowane ciało jakoś to wytrzymało. Tym razem jednak poczuł, że coś było nie tak — jego wewnętrzna bio-masa na pewno została naruszona.

Szachraj najwyraźniej myślał, że Dziki konał w agonii, bo pochylił się nad nim, śmiejąc się cicho, a jego oczy błysnęły triumfem.

— Nie sądziłem, że ktoś wyczuje to w tym tłumie... Zabawne, że to byłeś akurat ty... — wysyczał, a jego głos ociekał jadem.

Dziki, udając, że to jego ostatnie tchnienie, wyszeptał słabym głosem — Dlaczego...?

Szachraj podniósł wzrok, zaskoczony najpewniej, że jego ofiara jest jeszcze w stanie mówić. Na twarzy pojawiło się mu szczere zdumienie, które szybko ustąpiło miejsca pogardzie.

— To przez ciebie podjąłem decyzję, że nie warto trzymać z Danielem! — wyznał, a jego głos wypełnił się goryczą. — Obiecał nam Nowy Świat! Przyśięgał, że nie wróci to spierdolenie, które toczyło nasz kraj, odkąd pamiętam... A potem przyjął ciebie! I to po co?! Żeby ściągnąć tu więcej tych zadufanych w sobie, zjebanych Wetów i dać im miejsce wśród nas! — wykrzyczał wściekle, a jego twarz poczerwieniała z gniewu. — Daniel zdradził własne zasady, więc nie zasłużył, by nami przewodzić!

Widząc, że Szachraj całkowicie oddał się monologowi, Dziki błyskawicznie poderwał się z podłogi i jednym ruchem wytrącił telefon z jego ręki. Komórka wpadła z pluskiem do wody, znikając pod powierzchnią.

Szachraj odskoczył do tyłu. Z wściekłością uderzył się pięścią w twarz, aktywując w pełni swoją Pierwotną Wolę. Energia biła z jego ciała, tworząc niewidzialną falę, która okręgami rozchodziła się po zalanej podłodze. Momentalnie wyrwał z niej kawałek betonu, który uniósł się w powietrzu. Z ogromną siłą cisnął nim w tors Dzikiego. Uderzenie było miazdzące. Dziki poczuł, jak powietrze ucieka mu z nieistniejących płuc, a ciało zostaje odrzucone na kilka metrów w tył. Wylądował ciężko na plecach, woda rozbryzgnęła się wokół niego, a odgłos uderzenia odbił się echem w pustym Markecie.

Chociaż wciąż nie odczuwał bólu, jego ciało doznało dziwnego półparaliżu. Nie był w stanie podnieść się z wody, a kończyny reagowały z opóźnieniem na polecenia jego umysłu.

Tymczasem Szachraj, zbliżając się w jego stronę, rzucił z odrazą — Za późno! Zarzeczcie już wie, że Pierwszy tu przybył! Zanim jednak ucieknę, zrobię porządek przynajmniej z tobą!

— Raczej ja z tobą! — wykrzyczała nagle Elza, wbiegając korytarzem.

Szachraj spojrzał na dziewczynę zaskoczony, gdy metr nad jego głową pojawił się nagle masywny regał z głębi sklepu. Mężczyzna zareagował na to błyskawicznie. Wyciągnął rękę i zatrzymał go w powietrzu za pomocą telekinezy.

— Myślisz, że tak łatwo mnie załatwisz?! — wycedził, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby.

Mimo pewnego tonu, jego czoło pokryło się potem, a żyły na skroniach zaczęły pulsować. Tak nagle manipulowanie dużym przedmiotem zdecydowanie nie było dla niego łatwe.

Elza widząc to, uśmiechnęła się szyderczo.

— Zobaczmy — rzuciła, teleportując pustą paletę prosto nad głowę Szachraja.

Paleta natychmiast opadła, trafiając go w plecy. Uderzenie wytrąciło mężczyznę z równowagi. Regał, który podtrzymywał telekinezą, runął gwałtownie w dół, przygniatając mu nogi i część torsu. Metal zgrzytnął o beton, a woda i odłamki rozprysnęły się w powietrzu.

Szachraj zaryczał z bólu, ale nie odpuścił. Z ogromnym wysiłkiem rzucił resztki regału z siebie. Jego nogi były wyraźnie uszkodzone. Krew zaczęła barwić wodę wokół nich na ciemnoczerwony kolor.

Z wściekłością oderwał błędami kawałki podłogi i cisnął je w stronę Elzy. Dziewczyna uniknęła ich jednak najpierw odskakując w bok, a potem w ostatniej chwili przeniosła przed siebie stoisko z papierosami. To, niczym tarcza przyjęło na siebie główne uderzenie. Drewniane fragmenty i resztki towaru rozprysnęły się wokół.

Nie tracąc czasu, Elza wyciągnęła rękę w stronę palet przed wejściem i na ślepo spróbowała przenieść je nad Szachraja. Ten niemal wyczuł moment, w którym miały się nad nim pojawić. Wyciągnął dłoń, zatrzymując je w powie-

trzu. Następnie ścisnął pięść, a palety rozpadły się na setki drzazg. Drewniane odłamki poleciały natychmiast w stronę Elzy, jak chmara wściekłych os.

Dziewczyna, ratując się, teleportowała z głębi holu kolejne stoisko, tym razem z perfumami i ukryła się pod jego ladą. Szklane buteleczki rozbiły się, a intensywny miks różnych zapachów wypełnił powietrze.

Dziki obserwował całą scenę, próbując odzyskać kontrolę nad swoim ciałem. Choć nogi Szachraja były strzaskane, ból najwyraźniej wzmacniał jego Pierwotną Wolę. Cała podłoga zaczynała pękać, a coraz więcej przedmiotów unosiło się w powietrzu. Metalowe elementy, fragmenty betonu, resztki stoisk — wszystko to krążyło wokół niego niczym wirująca tarcza.

— ELZA! NA CO CZEKASZ, PRZENIEŚ GO W ŚCIANĘ! — wrzasnął Dziki, widząc, jak Szachraj zaczyna podnosić większe fragmenty podłogi, których żadna lada nie miała już szans zatrzymać. — PRZETNIJ GO NA PÓŁ!

Mężczyzna odwrócił się na chwilę w jego stronę i machnął ręką. Niewidzialna siła poderwała Dzikiego w górę, unosząc aż pod sufit. Przez moment zawisł w powietrzu, po czym z ogromną prędkością runął w dół. Ostatnim odruchem starał się osłonić głowę, modląc się, by jego osłabione ciało to wytrzymało.

Upadek był brutalny. Woda rozprysnęła się we wszystkich kierunkach, a Dziki poczuł, jak podłoga ugina się pod jego ciężarem. Miał wrażenie, że całe ciało mu drętwieje, ale ku jego zdziwieniu znowu nie poczuł bólu.

Elza chciała wykorzystać moment i wyciągnęła rękę w stronę Szachraja, ale ten zaczął ciskać w nią kawałkami podłogi z taką intensywnością, że nie była w stanie wykonać wyzwalającego błąd gestu. Fragmenty betonu i metalu leciały w jej stronę jak pociski. Stoiska, którymi się osłaniała, roztrzaskiwały się po kolei na kawałki, a dziewczyna krzyknęła w przerażeniu, cudem unikając śmiertelnych uderzeń.

Dziki wiedział, że musi jej jakoś pomóc. Pomimo niepełnej kontroli nad ciałem, podniósł się z trudem, czując, jak kończyny opierają się jego woli. Sięgnął po broń, którą naprawili mu w Faktorii. Wiedział, że raczej nie trafi. Ręka drżała mu jak szalona, a pistolet zdawał się ważyć tonę. Mimo to skupił się, celując w kierunku Szachraja.

Wystrzelił. Huk rozległ się w pustym wnętrzu, a błysk rozjaśnił na moment mrok. Kula świsnęła obok głowy zdrajcy, który natychmiast odwrócił się w stronę Dzikiego. W jego oczach błysnęła furia, a na twarzy pojawił się grymas wściekłości.

Ten moment nieuwagi dał Elzie dokładnie tyle czasu, ile potrzebowała. Dziewczyna wyskoczyła zza gruzów stoisk. Wyciągnęła rękę w stronę mężczyzny, skupiając całą swoją energię.

Szachraj, zanim zdążył zareagować, został objęty błyskiem teleportacji. W mgnieniu oka jego ciało zapadło się w podłogę do połowy brzucha. Z jego

ust bryznęła krew, a oczy rozszerzyły się w wyrazie szoku i bólu. Górna połowa jego ciała osunęła się po chwili na podłogę, jak groteskowa marionetka, której ktoś przeciął sznurki, a dolna zniknęła gdzieś pod podłogą. Krew rozlała się wokół mężczyzny, barwiąc wodę na ciemnoczerwony kolor. Jego ręce drgały spazmatycznie, a usta poruszały się w cichym, niezrozumiałym szepcie, jakby jeszcze próbował coś powiedzieć.

Elza, ignorując to, dobiegła do Dzikiego, wołając drżącym głosem — Dziki! Nic ci nie jest? Potrzebujesz lekarza? Przeniosę cię!

Dziki pokręcił głową. Żaden lekarz w Strefie Głodu, raczej nie wiedziałby co zrobić z ciałem defektowca.

— Jest okej — wyszeptał, próbując uspokoić oddech. Władza nad ciałem powoli do niego wracała.

Nagle dostrzegł w wodzie mały świecący punkt, który pojawił się w tuż obok tego, co zostało z Szachraja.

Na wciąż drżących nogach podszedł do ciała i sięgnął pod taflę wody, wyciągając, ku swojemu zdziwieniu, wciąż działający telefon. Ekran emitował słabe światło, a na nim wyświetlała się wiadomość od niezapisanego numeru:

„To już bez znaczenia. Smutny próbuje przyspieszyć Błysk. Jak dobrze pójdzie, do końca tygodnia Strefa Głodu przestanie istnieć. Postaraj się uciec na naszą stronę jak najszybciej. Mosty są pilnowane, ale Wiślinkę pokonasz teraz bez problemu. Napisz tylko, w którym miejscu będziesz się przeprawiał, to przyjadę po ciebie.”

Dziki poczuł suchość w gardle i z trudem przełknął ślinę. Spojrzał na Elzę, pokazując jej telefon. Widząc treść wiadomości, dziewczyna pokręciła nerwowo głową.

— Musimy... musimy powiedzieć Danielowi — wyszeptała.

Dziki siedział przy masywnym, drewnianym stole w jednej z sal Gorgoru, otoczony przez zgromadzonych Braci. Daniel stanął obok niego, trzymając w ręku otwartą puszkę piwa.

— I to jest właśnie to, dlaczego tak cię lubię, Dzikie — zawołał głośno, obejmując go ramieniem. Jego oczy błyszczały, a na twarzy malował się szeroki uśmiech. — Widzisz, gdybym wysłał kogokolwiek innego, żeby dowiedział się, co z jego znajomymi... — kontynuował, biorąc duży łyk piwa — ... to ten ktoś po prostu sprawdziłby, co z nimi. Wróciłby tu z radosnymi nowinami o ich ocaleniu albo pełen żalu, rozpocząłby w Strefie Głodu żałobę po ich śmierci. Ty natomiast, przyprowadzasz mi Pierwszego i rozwiązujesz sprawę Szachraja za jednym zamachem.

Wódz odwrócił się potem w stronę Elzy, która siedziała obok, popijając wino z dużego kieliszka.

— Swoją drogą... — zaczął, unosząc puszkę w jej kierunku. — Pięknie go załatwiłaś. Można powiedzieć, że symbolicznie zdechł pod tym, czego w moim imieniu, miał strzec.

Bracia zgromadzeni przy stole zareagowali na wspomnienie o zdrajcy cichym pomrukiem. Kilku z nich pokręciło głowami z niesmakiem. Inni wymienili między sobą spojrzenia pełne dezaprobaty. Atmosfera na moment zgęstniała, jakby samo wspomnienie Szachraja rzuciło ponury cień na to zgromadzenie.

Daniel ignorując to, podszedł do środka stołu, gdzie na eleganckim, białym talerzu leżał telefon odzyskany z H-Marketu. Wziął aparat do ręki i rozejrzał się po zgromadzonych, zatrzymując wzrok na każdym z Braci. — Wiecie, czego najbardziej teraz żałuję? — zapytał, przybierając teatralny ton.

Siedzący przy stole mężczyźni pokręcili głowami, niepewni, co odpowiedzieć.

— Że ten stary cegłofon nie wysłał zdjęć! — roześmiał się Daniel, stukając palcem w ekran telefonu. — Pstryknąłbym płamę po Szachraju i wysłał ją pani prezydent Nadii... Ciekawe, co by powiedziała.

Kilku Braci parsknęło śmiechem. Dziki popatrzył na Pierwszego, który siedział naprzeciwko. Jego twarz pozostała niewzruszona, a oczy wpatrywały się w Daniela z lodowatym spokojem.

— Skończysz wreszcie pajacować? — wtrącił nagle grobowym głosem, przerywając śmiechy Braci.

Daniel spojrzał na niego z wyzywającym uśmiechem.

— Bracie, bracie... — zaczął, unosząc ręce w kolejnym teatralnym geście. — Dopiero, gdy wyrwie się z tej piersi ostatni dech, może przestanę się bawić. A nawet wtedy... — zaśmiał się, odgrywając dramatyczną scenę. — Mam nadzieję, że umrę z butelką whiskey w dłoni i drugą ręką na kierownicy potężnego cruisera!

— DANIEL JEST WIELKI! — zawołał brat Piotr, który od śmierci Damiana zajął miejsce najbliższ wodza. Pozostali Bracia natychmiast zawtórowali mu okrzykami, uderzając pięściami w stół. Drewniany blat zatrzęsł się, a naczynia podskoczyły.

Twarz Pierwszego wyrażała narastające zażenowanie, a jego zaciśnięta szczeka zdradzała, jak bardzo stara się powstrzymać przed wybuchem.

— Możesz odesłać tych idiotów? — rzucił w końcu z niechęcią. — Chcę z tobą porozmawiać, bez tego cyrku, który zawsze robisz.

Daniel wzruszył ramionami i rozglądał się po sali z wyrazem rozbawienia.

— Dobrze, dobrze Panie „obsrywacz zabawy” — westchnął, podkreślając ostatnie słowa z przesadną ironią, a potem zwrócił się do Braci: — Przykro mi towarzysze, ale Obsrywacz Zabaw właśnie obesrał naszą zabawę, więc wszyscy musicie się stąd zbierać.

Bracia popatrzyli zdezorientowani, niepewni, czy wódz mówi serio. Kilku z nich wymieniło spojrzenia, szukając potwierdzenia. Daniel skinął głową w stronę drzwi, rozwiewając ich wątpliwości. Niechętnie zaczęli opuszczać salę, zbierając swoje rzeczy i mrucząc coś pod nosem.

Elza również wstała z miejsca, klepiąc Dzikiego w ramię.

— Chodź — powiedziała krótko, kierując się w stronę wyjścia.

— Nie, nie. On niech zostanie — nakazał Daniel.

Elza zatrzymała się na chwilę, zszokowana. Jej zimne, pełne zazdrości spojrzenie przeszło Dzikiego na wskroś.

— Oczywiście — odpowiedziała sztywno, delikatnie kłaniając się wodzowi.

Wychodząc, rzuciła Dziakiemu jeszcze ostatnie, pełne niechęci spojrzenie. Gdy zniknęła w korytarzu, drzwi zamknęły się z hukiem, aż zawiasy za-trzeszczały.

Dziki westchnął cicho.

— To chyba nie wpłynie dobrze na naszą współpracę... — mruknął pod nosem.

Daniel słysząc jego obawy, machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę.

— Daj spokój. Bardzo ją szanuję, ale potrafi być straszna — stwierdził.

— Muszę ją trzymać na dystans, bo byłaby gotowa mi się oświadczyć... To dopiero źle wpłynęłoby na współpracę — powiedział z ironicznym uśmiechem, po czym ponownie opadł na krzesło, unosząc puszkę piwa do ust.

Pierwszy odchrząknął znacząco, a Daniel spojrzał na niego z zupełnie innym wyrazem twarzy niż przed chwilą. Atmosfera w sali zmieniła się błyskawicznie. Między kuzynami zapanowało napięcie, jak pomiędzy bokserami tuż przed pierwszym gongiem.

— Nie rozumiesz, że próbuję znaleźć jakiś sposób, by wysłuchać cię bez wewnętrznej urazy? — warknął Wódz, a jego oczy zapłonęły gniewem. — Próbuję poprawić sobie humor na tyle, żeby ta rozmowa nie zaczęła się od połamania ci nosa!

Pierwszy wzruszył ramionami, jakby nie przejmował się gniewem kuzyna. Daniel uznał to za prowokację i nie wytrzymał. Jego twarz poczerwieniała, a mięśnie na szyi napięły się z gniewu. Poderwał się gwałtownie z krzesła, zrzucając ręką naczynia ze stołu. Talerze i kubki z impetem uderzyły o podłogę, roztrzaskując się na kawałki.

— TY PIEPRZONY ZDRAJCO! — wrzasnął, a jego głos odbił się echem od ścian. — WRÓCIŁEM PO CIEBIE DO ZAKŁADÓW, A TY JAK MI SIĘ ODWDZIĘCZYŁEŚ?!

Pierwszy powoli ściągnął maskę. Jego oczy wpatrywały się w Daniela z obojętnością, a powietrze między nimi gęstniało od napięcia. Dziki poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach. Atmosfera w pomieszczeniu była tak ciężka, że niemal trudno było mu oddychać.

— Wróciłeś, bo uświadomiłeś sobie, że zostaniesz w tym świecie sam. Pamiętaj, że znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Nie próbuj ubierać tego, co zrobiłeś, w szlachetne pobudki — stwierdził Pierwszy, a jego ton pozostał spokojny.

Daniel opadł ciężko na krzesło, jakby cała jego złość uleciała. Przetarł twarz dłonią i spojrzał na podłogę.

— Widzę, że twoje zdanie na mój temat się nie zmieniło — powiedział nieco spokojniej, choć gniew nadal tlił się w jego głosie. — Więc po co wróciłeś? Chyba nie powiesz, że chcesz walczyć ze swoim kumplem... To nie łamie tej waszej umowy o niewtrącaniu się?

Pierwszy zmarszczył brwi i skrzyżował ramiona na piersi.

— Smutny złamał ją dawno temu — odparł stanowczo. — Dlatego jestem tutaj, żeby powiedzieć ci, że musisz podjąć współpracę ze wszystkimi frakcjami i Wolnymi Weteranami.

Daniel zaśmiał się szyderczo, a jego oczy błysnęły ironią.

— Pocałuj mnie w dupę! — wtrącił bezceremonialnie, machając lekceważąco ręką. — Nie potrzebuję tych nadętych dupków do niczego.

Tym razem to Pierwszy nie wytrzymał.

— TY ZAPATRZONY W SIEBIE KRETYNIE! TO NIE JEST JAKAŚ GIERKA, KTÓRĄ PROWADZIŁEŚ W CENTRUM! Myślisz, że zabicie kilku Zwiadowców i garstki żołnierzy dało ci zwycięstwo w tej wojnie?! — krzyknął, a jego głos wypełniał całą salę. — Smutny przerasta cię pod każdym względem!

Daniel zamarł na chwilę, oszołomiony wybuchem kuzyna. W jego oczach pojawiło się coś na kształt niepewności, ale szybko zastąpił ją pogardliwym uśmiechem.

— O nie! — warknął, prostując się na krześle. — Nie ma nikogo silniejszego w Krańcowie! NIE MA!

— TAK?! — krzyknął Pierwszy, podchodząc bliżej i stając twarzą w twarz z Danielem. Ich spojrzenia zwały się jak ostrza mieczy. — WIEĆ WALCZ ZE MNĄ!

Przez chwilę zapadła grobowa cisza. Dziki siedział nieruchomo, bojąc się nawet oddychać, by nie sprowokować wybuchu. Daniel jednak odwrócił wzrok, a jego zaciśnięte pięści rozluźniły się.

— Twoja Pierwotna Wola jest popieprzona — odparł z irytacją, dodając: — Z tobą nie można wygrać...

Pierwszy spuścił natychmiast z tonu, próbując przemówić do kuzyna logicznie — Wyobraź sobie teraz, że Smutnego nie ogranicza już nawet Pierwotna Wola. To świadomy byt, wydarty z ciała i kontrolujący błędy własnym umysłem, praktycznie bez ograniczeń... Myślisz, że ostatni Błysk to tylko wynik połączenia Centrum z Zarzeczem? Nie! Smutny go kontrolował. Nauczył się wpływać na fundamenty naszego świata. A co, jeśli następnym razem spro-

wadzi na nas deszcz ognia? Albo sprawi, że budynki po naszej stronie przestaną się resetować? Jak długo starczy ci piwa w Markecie, Daniel?

Wódz zamilkł, a w jego oczach pojawił się cień niepokoju. Widać było, że słowa Pierwszego zaczynają do niego docierać.

— Co według ciebie miałbym więc zrobić? — spytał, próbując ukryć niepewność w głosie.

— Po tej wiadomości, którą przechwycił Dzik, wiem, że nie możemy dłużej czekać — zaczął Pierwszy. — Musisz wyruszyć natychmiast, bez względu na straty. Przejść Miasto Przychodnię, bo ono stanie ci na drodze, po czym uderzyć najkrótszą drogą na Magistrat. Tam niestety zaczną się prawdziwe problemy...

Daniel skrzywił się sceptycznie.

— Podejrzewam, że Magistrat będzie dobrze chroniony — warknął.

— Będzie — potwierdził Pierwszy. — A ty nie będziesz mógł wziąć udziału w walce o niego...

— Niby dlaczego? — zapytał natychmiast Daniel, otwierając szeroko zaskoczone oczy.

Pierwszy spojrzał na swoją maskę, którą trzymał w dłoni, jakby szukał w niej odpowiedzi.

— Bo ciała Smutnego i pani prezydent nie znajdują się w Magistracie... — oznajmił ku zaskoczeniu Dzikiego i Daniela.

Wódz popatrzył na kuzyna, podejrzliwie mrużając oczy.

— Skąd to wiesz? — spytał. — Mój szpieg potwierdził, że żadna karawana nie opuściła Magistratu...

— Twój szpieg nie wierzy w twoje zwycięstwo i celowo wepchnąłby cię w pułapkę — wyjaśnił spokojnie Pierwszy. — Mój ma osobisty awers do Zarzeczca i powiedział mi prawdę.

Daniel prychnął, ale w jego oczach pojawiła się niepewność.

— Więc mój szpieg kłamie, a twój nie? — rzucił z sarkazmem.

Pierwszy pokręcił głową, ledwo hamując wybuch złości.

— Posłuchaj mnie dobrze! — rzucił, podnosząc głos. — Znam Smutnego lepiej niż ktokolwiek. Ciało to jego jedyna słabość i na punkcie ukrywania go zawsze miał olbrzymią obsesję. Nie zostawiłby go w tak oczywistym miejscu jak Magistrat. Dlatego wiem, że mój szpieg mówi prawdę — stwierdził pewnie, ucinając dyskusję. — Gdy twoja Armia będzie atakować ich stolicę, musisz z niewielką grupą ruszyć do miejsca, którego lokalizację ci wskażę. Ważne jest, by nikt o tym nie wiedział do ostatniej chwili. Jeśli Smutny dowie się, że coś podejrzewamy, ukryje ciało gdzie indziej, a my przegramy...

Daniel zacisnął szczęki, a jego oczy błędziły po sali, jakby szukał innej drogi wyjścia, alternatywy, która mogłaby ocalić jego plan.

— Gdy mówisz o tym w ten sposób, zaczynam naprawdę myśleć, że mogę tego nie wygrać — przyznał, a w jego głosie po raz pierwszy zabrzmiał

niepokój. — Nawet jeśli nie będzie strat przy szpitalu, Zarzecze i tak przyśle wsparcie z innych części. Moja Armia zostanie otoczona...

Pierwszy zamyślony, ponownie zerknął na swoją maskę, jakby szukał w niej odpowiedzi, po czym stwierdził z rezygnacją — Właśnie dlatego zależało mi na wsparciu Weteranów. Gdyby zaatakowali inne miasta w czasie twojego ataku, przywódcy nie mogliby wysłać posiłków do Magistratu... Ale oni będą debatować, by na końcu stwierdzić, że nie warto się mieszać.

Dziki, słysząc to, doznał olśnienia.

— Więc przemów do nich — zasugerował.

Daniel spojrzał na niego, myśląc, że to do niego została skierowana propozycja.

— Wiesz dobrze, że nie mieliśmy najlepszych stosunków — odpowiedział od razu. — Raczej nie uda mi się ich przekonać teraz do współpracy...

Dziki pokręcił głową, po czym spojrzał na Pierwszego.

— Myślałem o tobie — sprostował. — Ludzie wciąż traktują cię jak legendę. Dla wielu jesteś wzorem do naśladowania. Jeśli to ty przemówisz, może ich przekonasz...

Pierwszy popatrzył na niego skonsternowany, a jego twarz zdradzała wyraźne wahanie.

— Nie mam w sobie ani odrobiny charyzmy — przyznał z bólem. — Jak miałbym do kogokolwiek przemawiać?

— I właśnie o to chodzi! — wykrzyknął Dziki. — Nie potrzebują kolejnego wyniosłego lidera, który nadaje zasady z góry. Potrzebują prostego Weterana. Samotnika, który żyje według swoich zasad... Kogoś, kto ich zrozumie.

Daniel słysząc to, uśmiechnął się pod nosem, spoglądając na Pierwszego.

— Dziki ma rację. To nie jest głupia myśl. Mamy potężny nadajnik na dachu Marketu. Moglibyśmy wejść na wszystkie wolne kanały. To coś, czego warto spróbować...

Pierwszy wydawał się nieprzekonany, Dziki jednak nie zamierzał odpuścić.

— Posłuchaj, jeśli ci się nie uda, trudno — dodał stanowczo. — Ale pomyśl o tym, co napisał do ciebie Drugi. Jeśli jest choć cień szansy, zawsze warto próbować.

Pierwszy przyjrzał się mu, po czym spuścił wzrok na maskę, którą trzymał w rękę. Widać było, że walczy ze sobą, niepewny, czy powinien podjąć się takiego zadania.

Większość członków Armii Daniela zgromadziła się w prowizorycznej kantynie przy H-Markecie. Wieść o tym, że następnego dnia wyruszają do ataku, rozeszła się lotem błyskawicy. Ludzie domykali ostatnie sprawy, spraw-

dzali broń, pakowali ekwipunek lub po prostu wykorzystywali moment, by odpocząć przed nadchodzącą bitwą.

Pięść Daniela siedziała przy długim, drewnianym stole w centralnej części namiotu. Wszyscy skupiali się wokół starego radia, które Traker próbował dostroić do najlepszej z możliwych częstotliwości, by wysłuchać przemówienia Pierwszego.

Tylko Elza siedziała nieco na uboczu, wyraźnie obrażona na Dzikiego za to, że otrzymał pozwolenie od Wodza, by zostać w Gorgorze na czas rozmowy. Na szczęście Daniel przewidział taką reakcję dziewczyny i przed opuszczeniem budynku przekazał Dzikiemu coś, co miało złagodzić jej humor.

Dziki ostrożnie przysunął się do dowódcy, ściskając w rękach starannie zapakowane pudełko.

— Elza... hej, Elza — zagadnął nieśmiało.

Dziewczyna odwróciła się powoli, obdarzając go chłodnym spojrzeniem.

— Co chcesz? — zapytała sucho, unosząc jedną brew.

— Daniel kazał ci to przekazać — powiedział, wyciągając w jej stronę prezent. — Powiedział, że to za to, co zrobiłaś z Szachrajem.

Elza spojrzała z zaskoczeniem na pudełko, a potem na Dzikiego. Po chwili wahania chwyciła je i zaczęła rozrywać papier z nieukrywaną ciekawością. W środku znajdowało się największe pudełko ołówków, jakie Dzikiego kiedykolwiek widział. Setki grafitów różnej twardości, starannie ułożonych w rzędkie, wewnątrz drewnianego opakowania. Na wierzchu leżał mały liścik, napisany charakterystycznym, pochyłym pismem Daniela.

„Mam nadzieję, że gdy to wszystko się skończy, naszkicujesz dla mnie w końcu ten obiecany akt...”

Czytając karteczkę, twarz Elzy rozjaśniła się w uśmiechu. Jej oczy nabrały blasku, a złość uleciała, jakby nigdy jej nie było.

— To... naprawdę miłe — wyszeptała, czerwieniąc się.

Banan, siedzący nieopodal, otworzył usta, jakby chciał rzucić jakąś uszczypliwą uwagę. Jednak Nóż, stojący za nim, spojrzał na niego ostrzegawczo i przeciągnął palcem po szyi. Chłopak, pamiętając o świeżym siniaku pod swoim okiem, które zyskał w ostatnio stoczonej z nim bójkę, zdecydował się milczeć.

Traker w tym czasie kręcił dalej galkami radia, a z jego ust wydobywały się ciche przekleństwa.

— Pójdzie na wszystkich kanałach — zauważył Poldek, opierając się o stół. — Zostaw to po prostu i czekaj.

— Chcę mieć pewność, że nic nam nie umknie — mruknął Traker, ale ostatecznie odsunął dłonie od urządzenia, nastawiając na automatyczny odsłuch.

— To jest jednak coś... — wtrącił Anioł, siedzący po drugiej stronie stołu. — Pierwszy wrócił do Strefy Głodu. Ludzie nie mogą tego zlekceważyć. Muszą zrozumieć, w jak poważnej jesteśmy sytuacji.

Banan prychnął, przewracając oczami.

— Ty nawet nie wiesz, jakie rzeczy ludzie potrafią lekceważyć — skomentował sarkastycznie.

Dziki spojrzał na niego, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, radio zatrzęszczało głośniej. Wszyscy zamilkli, skupiając uwagę na urzędzeniu.

— *To już?* — odezwał się głos Pierwszego. — *Czekaj, bo... No miałeś dać sygnał. Jak to, to był sygnał?!*

Dziki odetchnął ciężko, a Banan uśmiechnął się kpiąco.

— No ładnie się zaczęło — mruknął pod nosem.

Głos Pierwszego stał się po chwili nieco pewniejszy, choć wciąż słychać było w nim napięcie.

— *Mieszkańcy Nowego Świata* — zaczął — *nie tylko Weterani czy członkowie poważanych grup, ale wszyscy, którzy żyją razem ze mną w tym, tak zwanym koszarze. Jestem Pierwszy. Niewielu z was miało okazję mnie poznać, niewielu w ogóle mnie widziało. Ale zakładam, że większość o mnie słyszała. Jestem człowiekiem, który nie miesza się w żadne sprawy, zwykle trzyma się na uboczu i pozwala rzeczom biec swoim torem. Dzięki temu przeżyłem w tym świecie dłużej niż ktokolwiek inny...*

W kantinie zapanowała absolutna cisza. Wszyscy słuchali z napięciem, niektórzy wymieniali między sobą zdziwione spojrzenia.

— *Przyszłedł jednak moment, w którym nawet ja nie mogę stać dłużej obojętnie* — kontynuował Pierwszy. — *Zagrożenie z Zarzecza to już nie tylko żołnierze i Zwiadowcy. Najsilniejsi użytkownicy Pierwotnej Woli po tamtej stronie zaczynają łamać zasady naszego świata. Jeżeli myślicie, że to, co stało się podczas Rozbłysku, było przypadkiem... to się mylicie.*

Dziki poczuł, jak serce bije mu szybciej. Mimo że znał te fakty, atmosfera w kantinie była tak elektryzująca, że niepokój zgromadzonych udzielił się również jemu.

Tymczasem Pierwszy tłumaczył kolejne przerażające fakty — *Każdy kolejny Błysk będzie rozrywał nasz świat na kawałki, dopóki przywódcy Zarzecza będą istnieć. Przejęli nad nim kontrolę i wykorzystują go przeciw nam!*

Anioł otworzył usta z niedowierzaniem, a Elza zeszytywniała. Wszyscy w kantinie wyglądali na wstrząśniętych.

— *Armia Daniela rusza jutro do ataku na tamtą stronę* — mówił dalej Pierwszy. — *Oni o tym wiedzą i będą przygotowani. Teraz możemy już tylko walczyć albo dać się zniszczyć. Dlatego, mimo że nie chcę... STANĘ JUTRO DO WALKI RAZEM Z DANIELEM!*

W kantinie rozległy się ciche szepty i pomruki zaskoczenia. Nawet Dziki nie spodziewał się takiej deklaracji. Myślał, że Pierwszy pozostanie w cieniu, jak zawsze.

— Będę czekał rano nad rzeką przy Auli na każdego chętnego! Jutro los naszego świata będzie w rękach wszystkich, którzy udadzą się na Zarcze! Jeśli nie możecie przyjść, pomóc i walczyć, to chociaż módlcie się za nas..., jeśli wierzycie jeszcze w cokolwiek! Bo to nie będzie walka o władzę, pieniądze czy prestiż! To walka o przetrwanie każdego z nas! **BIERZCIE WIĘC SWOJE ŻYCIE W SWOJE RĘCE I CHODŹCIE ZE MNĄ!**

Głos Pierwszego ucichł, a radio znowu zaczęło szumieć. Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu, przetwarzając usłyszane słowa.



Rozdział XVII

Upadek

Autobus do Wolności był niegdyś nowoczesnym Neoplanem Skylinem, należącym w Starym Świecie do firmy turystycznej Oriental–Rainbow. Firma ta nigdy nie miała swojej filii w Krańcowie, a jedynym powodem, dla którego pojazd znalazł się w mieście, była krótka przerwa na tankowanie, która zbiegła się w czasie z nastaniem pierwszego Błysku. Tak przynajmniej tłumaczył to Janek, opowiadając Dziękemu historię piętusa.

Jakim cudem Kuba i Briss odnaleźli go potem na placu magazynowym firmy Speed Expo? Tego kierowca jednak nie wiedział. Sam Dziki uważał, że jakiś wczesny Weteran musiał zauważyć nietypowy pojazd stojący na stacji i zaintrygowany, postanowił zabrać go na przejażdżkę. Gdy okazało się, że piętus jest hałaśliwy, trudny w prowadzeniu i pożera masę paliwa, po prostu go porzucił...

Podobnie porzucili go jego późniejsi mieszkańcy, którzy ocalili z pułapki Modrzewa. Uszkodzony piętus stał więc od pamiętnej nocy na drodze łączącej Wspólnotę i Centrum, jako świadectwo strasznych wydarzeń, które rozegrały się w mieście, oraz symboliczny początek konfliktu z Zarzeczem.

Zatrzymując się przed zgniecioną maską, Dziki poczuł, jak ściska go w dołku. Wspomnienia uderzyły w niego z ogromną siłą, a żal, który narastał od miesięcy, zaczął przytłaczać jego myśli. Autobus był nie tylko jego dawnym domem — był miejscem, gdzie po raz pierwszy poczuł, że należy do czegoś większego. To właśnie tu jako jego strażnik, czuł prawdziwy sens istnienia, którego tak wielu nie znajduje przez całe życie. W tym miejscu spędził jedno z najlepszych chwil, jakie pamiętał, zarówno w Starym, jak i Nowym Świecie.

Obchodząc pojazd dookoła, zauważył, że na schodkach wejściowych znalazło się kilka wypalonych zniczy. Małe lampiony stały równo ustawione, jakby ktoś starannie zadbał o ich symetryczne rozmieszczenie.

— Ciekawe, kto je przyniósł? — wyszeptał Dziki, podnosząc jeden z nich i przyglądając mu się z uwagą.

Elza, która szła tuż za nim, położyła mu dłoń na plecach.

— Nie tylko dla ciebie autobus był ważny — wytłumaczyła i opuszczała ze smutkiem głowę. — Istniał przed tobą, uczył przetrwania wielu ludzi. Nie dziwię się, że niektórzy chcieli uczcić jego pamięć...

Dziki, słysząc to oczywiste wyjaśnienie, przytaknął niemo. Żał zbyt mocno ścisnął mu gardło, by mógł coś odpowiedzieć. Powoli wszedł do środka piętusa, stawiając ostrożnie kroki, by nie stracić zniczy.

Wnętrze pojazdu przywitało go martwą ciszą. Wyglądało na to, że odwiedzający ludzie potraktowali autobus jako miejsce pamięci. Nic nie zostało ukradzione czy zdewastowane, a wszystkie osobiste przedmioty mieszkańców leżały ułożone na siedzeniach: podręczniki medyczne Greena, narzędzia Kluca, laptop, na którym Edek oglądał filmy...

Ten widok rozbudził w Dzikim kolejną lawinę wspomnień. Każdy przedmiot otwierał dla niego małe okno do przeszłości, przypominając mu chwile spędzone z towarzyszami, którzy już odeszli. Przechodząc obok miejsca zajmowanego przez Bociana, zobaczył rozsypaną talię kart. Bocian uwielbiał grać i wykorzystywał każdą okazję, by namówić ich do partyjki makao.

Dwa siedzenia wcześniej leżał złożony w kostkę olbrzymi sweter w paski, należący do Smalca. Człowiek, którego Dziki tak często określał jako zakalę autobusu, nie zasłużył na los jaki spotkał go z rąk Modrzewa. Poczucie winy ścisnęło Dzikiego za gardło. Czy mógł tamtej nocy zrobić coś więcej, by go ocalić?

Po przeciwległej stronie znajdowało się legowisko Kryspina, który był chyba najbardziej specyficzną osobą ze wszystkich mieszkańców piętusa. Dziki musiał ze wstydem przyznać przed sobą, że nigdy nie przeprowadził z nim żadnej dłuższej rozmowy i nie poznał go tak, jak powinien. Teraz jednak nie było już możliwości, by to nadrobić.

Zatrzymując się na chwilę na środku autobusu, starał się przygotować na moment, który miał być dla niego najbardziej bolesny. Zbierając w sobie siły, przeszedł wreszcie do schodów prowadzących na górny pokład, pod którymi znajdowało się gniazdko Korka. Chłopak wybrał sobie to miejsce nieprzypadkowo – stąd mógł bez problemu podsłuchiwać, co działo się na górze, gdzie najczęściej przebywali strażnicy piętusa.

Spoglądając na jego fotel, Dziki dostrzegł lornetkę z wygrawerowanym pseudonimem. Korek uwielbiał zaczynać warty razem z nim. Zwykle tych nocnych nie przetrzymywał do końca, zasypiając gdzieś w połowie, ale zawsze z nieodłącznym entuzjazmem obserwował okolice wspólnie ze swoim „szefem”.

Pomiędzy złożonymi ubraniami należącymi do chłopaka dostrzegł jeszcze jeden znajomy przedmiot – parę czarnych gogli, które ofiarował Korkowi, gdy ten po wykradzeniu Remedium Kuby, zakradł się na Świadomy Błysk jako pasażer na gapę. Gogle były nieco porysowane, ale wciąż w dobrym stanie. Wspomnienie tamtej rozmowy sprawiło, że łzy napłynęły mu do oczu. Pamiętał, jak Korek patrzył na niego z podziwem i zaufaniem, jakim obdarza się starszego brata.

Elza, dostrzegając jego załamanie, podeszła bliżej i delikatnie położyła mu rękę na plecach, szepcząc: – Dziki... już dobrze...

Zdecydowanie jednak nie było dobrze. Dziki obrócił się w jej stronę i nie mogąc powstrzymać łez, wyłkał — Zawiodłem go najbardziej, wiesz? On wierzył we mnie bardziej niż ktokolwiek... Ufał mi, a ja nie potrafiłem go ocalić...

Dziewczyna nie mogła znaleźć żadnych słów na pocieszenie, po prostu przytuliła się do niego. Gładziła go delikatnie po plecach, pozwalając wylać cały żal i smutek, który trzymał w sobie od tak dawna.

— Musimy już iść... — wyszeptała w końcu, uwalniając go ze swojego uścisku.

— Wiem... — odparł cicho Dziki, zaciągając sobie gogle na szyję. — Dziękuję, że zgodziłaś się tu wstąpić...

— To było dla ciebie ważne — odpowiedziała Elza z ciepłym uśmiechem, prowadząc go w stronę wyjścia.

Dziki rzucił ostatnie spojrzenie na dawny dom. Wspomnienia przelatywały mu przed oczami jak klatki filmu: moment, w którym został strażnikiem, noc spędzona w szkole przed atakiem Delimera, dzień, w którym urządzili sobie prowizoryczne kino, jego rozmowy z Oli nocami na piętrze...

Wiedział, że te chwile już nie wrócą i musiał zostawić je za sobą. Razem z Elzą, wyszedł na zewnątrz, gdzie reszta oddziału czekała na ich powrót.

Gdy tylko pojawili się przed autobusem, Nóż podszedł do Dzikiego z poważnym wyrazem twarzy.

— Pomyśleliśmy z chłopakami, że może chciałbyś uczcić ich pamięć — stwierdził, wciskając mu w rękę przezroczysty, biały znicz.

— Dziękuję... — wyszeptał Dziki, wzruszony tym niespodziewanym gestem.

Odwrócił się po raz ostatni w stronę pojazdu, by zapalić płomień. Stając przed schodami, przymknął oczy i wyszeptał tak, by nikt z jego nowych kompanów nie usłyszał — Może niedługo się spotkamy, chłopaki...

Płomień w zniczu zadrżał, jakby w odpowiedzi na jego słowa.

Przemówienie Pierwszego wywołało znacznie większy odzew niż wszystkie zaproszenia i obietnice składane przez Daniela. Od chwili powstania Nowego Świata na brzegu Wiślinki nigdy wcześniej nie zgromadziło się tak wielu ludzi. Pojawiły się praktycznie wszystkie frakcje, a w tłumie można było dostrzec nie tylko Weteranów, lecz także zwykłych mieszkańców. Takie zgromadzenie osób skutkowało ciągłymi atakami Niewykształconych, ale przy tak dużej liczbie uzbrojonych ludzi, każda bestia kończyła swój żywot niemal natychmiast.

Dziki, stojąc ze swoim oddziałem, dostrzegał w tłumie mnóstwo znajomych twarzy. Byli tam Strażnicy z upadłej Wspólnoty, w tym Łysy, którego poznał dobrze podczas pracy w Faktorii. Siwy również przybył, otoczony uzbrojonymi po zęby Grobelnymi, ubranymi w swoje charakterystyczne stroje

prewencyjne. Tym razem, zamiast siekier i tarcz, mieli w rękach prawdziwą broń palną, prosto z warsztatu, który prowadzili.

Sojusz Bloków, którego Dziki rozpoznał po obecności Krzaka i Zjawy, zgromadził się wokół swojego przywódcy, Boruty. Ten, wyraźnie niezadowolony, przemawiał do zebranych, a jego głos przebiegał się przez zgłębienie tłumu. Nawet Myśliwi z Krańcowskiego Lasu, którzy dotąd unikali angażowania się w sprawy Centrum, odpowiedzieli na wezwanie Pierwszego. Jednak, to nie ich widok wzbudził największe zdziwienie Dzikiego.

Wśród Wolnych Weteranów dostrzegł wysoką sylwetkę Szarej, która powoli przeciskała się między ludźmi. Opuściwszy na chwilę swój oddział, Dziki podbiegł do niej, przyciągając spojrzenia pobliskich osób. Stając przed Szarą, ściągnął z twarzy maskę tlenową i spojrzał w jej spokojne oczy.

— Szara, dlaczego tu jesteś? Czemu zostawiłaś Wilka? — zapytał, starannie artykułując słowa, aby łatwiej mogła odczytać jego pytanie z ruchu warg.

Szara spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem, po czym delikatnie położyła dłonie na jego uszach. Już po chwili usłyszał w głowie jej ciepły głos.

— *Jestem tutaj dla niego. Jeśli Zarzecze wygra, dla Wilka nie będzie żadnej nadziei...* — odpowiedziała mu w myślach.

Dziki rozejrzał się dyskretnie, upewniając się, że nikt nie jest na tyle blisko, by zauważyć ich rozmowę. Następnie zaczął bezgłośnie poruszać ustami — Pierwszy naciągnął fakty, żeby przyciągnąć więcej ludzi do walki. Zarzecze nie zabije wszystkich. Moglibyście się ukryć, nie mieszać w to...

Szara, odczytując to z jego ruchu warg, uniosła brwi i spojrzała na niego z wyraźnym wyrzutem.

— *Wiem, przez co Oli przeszła po tamtej stronie* — rozbrzmiało w jego głowie. — *Ja przeszedłem dokładnie to samo. Jeśli myślisz, że oddam nasz los w ręce ludzi z Zarzecza, to jeszcze mnie nie znasz... Wilkiem zajmuje się teraz Mike. Był na tyle dobry, że wziął pod swoje skrzydła ludzi ze Wspólnoty. Na Zatorzu będą bezpieczni, póki tego nie skończymy...*

Słyszając te słowa, Dziki poczuł mieszanekę ulgi i irytacji. Cieszył się, że Zwrotnica wciąż była bezpieczna, a obecność Wilka przy Oli nie szczególnie go niepokoiła. Jednak fakt, że Mike przyjął mieszkańców Wspólnoty, którym Dziki po prostu nie ufał, wywołał w nim pewne zdenerwowanie. Znał jednak swojego przyjaciela i jego miękkie serce.

— Czyli tory się uspokoiły? Jak udało wam się przenieść Wilka? Ilu ludzi jest teraz na Zatorzu? — zapytał zbyt szybko, przez co Szara zmrużyła oczy i pokręciła głową, dając do zrozumienia, że nie zrozumiała.

Dziki nabrał powietrza, chcąc się poprawić, ale zanim zdążył wyartykułować choćby jedną sylabę, niespodziewany cień przysłonił go od tyłu. Olbrzym Maciejewski pojawił się nagle, jakby wyrósł spod ziemi, stając tuż za jego plecami.

- Sylwia... — wyburczał, spoglądając w twarz stojącej przed nim kobiety.
— Łobert — odparła z trudem Szara, starając się wymówić jego imię.

Oboje zamarli, wpatrując się w siebie z niepewnymi minami. Ta sytuacja natychmiast zwróciła uwagę zgromadzonych w pobliżu ludzi. Większość mieszkańców Centrum zdążyła już dowiedzieć się, że Olbrym i Szara są rodzeństwem. Oboje stali jednak od zawsze po przeciwnych stronach konfliktu, a nawet w trakcie bitwy pod cegielnią, walczyli przeciw sobie. Wielu musiało zaciekawić, jak ta dwójka zachowa się w obecnej sytuacji.

Dziki zszedł Olbrymowi z drogi, zastanawiając się, czy powinien zareagować, gdyby ten zaatakował dziewczynę. Oficjalnie trwało przecież zawieszenie broni. Czy Daniel potraktowałby to jako nieojalność?

- To... ten... — wyburczał w końcu Maciejewski, spoglądając niepewnie na siostrę. — Uważaj na siebie, frajerko.

Szara uśmiechnęła się lekko i uniosła dłoń z wyciągniętym środkowym palcem. Widząc to, Olbrym zaśmiał się krótko.

- Tempa jesteś jak zawsze, ale przynajmniej raz jesteś tempa po właściwej stronie.

Szara pokręciła głową i wskazując na brata, wykonała gest, jakby chciała go objąć.

- No... Będę się trzymał — odparł Olbrym, gdy nagle w oddali rozbrzmiał głos Pierwszego.

Mężczyzna stał na gruzach dawnej auli, trzymając w ręku policyjny megafon.

— Posłuchajcie wszyscy! — zaczął, a jego głos niósł się ponad zgromadzonym tłumem. — Nie jestem i nie byłem żołnierzem, nie mam wojskowego wykształcenia, ale nasz plan nie wymaga złożonej strategii. Podzielimy się na trzy grupy i zaatakujemy trzy najważniejsze miasta Zarzecza: Przychodnię, Sad Wileński i Hurtownię. Po ich zdobyciu, wspólnymi siłami wyruszymy na Magistrat. Mamy to szczęście, że część mieszkańców Zarzecza nie stoi murem za swoimi panami. W naszym ataku dostrzegają nadzieję na wyzwolenie spod jarzma tyranów, którzy przejęli władzę po ich stronie. Śmierć strażników i ich przywódców będzie równoznaczna z końcem zagrożenia...

Zgromadzeni wsłuchiwali się w słowa Pierwszego z lekkim otępieniem na twarzach. Wielu z nich chyba nie było do końca świadomych, czego właściwie się podejmują. Z ich niepewnych min Dziki wnioskował, że większość podda się przy pierwszych trudnościach. Tego samego świadomy musiał być też Daniel, który obserwował zebranych z wyraźnym politowaniem, stojąc na schodkach Dzika-1.

Nagle wśród tłumu pojawiło się wyraźne poruszenie. Duża, zbrojna grupa w zielonych strojach zbliżała się od strony miasta, przeciskając się między Weteranami. Już po chwili podeszli oni pod sam nasyp, stając naprzeciw Pierwszego.

Dziki dopiero po chwili rozpoznał członków Defektu, którzy zrezygnowali ze swoich zwyczajowych czerwonych strojów na rzecz maskowania WZ-93. Dix wyszła na czoło grupy, spoglądając na przemawiającego mężczyznę. W tym momencie większość Weteranów wstrzymała oddech.

Ostatnie spotkanie liderki Defektu z Pierwszym doprowadziło do starcia, które przez długi czas uważane było za najbardziej absurdalną decyzję całej organizacji. Dix nie zważała bowiem na to, że znajdowali się na terenie wroga, otoczeni przez Niewykształconych, chwilę po bitwie z Ręką Olbrzyma. Wielu musiało przypuszczać, że dojdzie do kolejnego starcia, bo ci stojący najbliżej zaczęli z lękiem oddalać się od gruzów.

Daniel zapewne podejrzewał to samo, bo stanął wyżej na schodku Dzika-1, przyglądając się dziewczynie z groźną miną. Nie było wątpliwości, że w przypadku walki, stanie po stronie kuzyna.

Pierwszy w tym czasie spojrzał w stronę Dix. Ponieważ jego twarz była ukryta pod maską, trudno było zgadnąć, jak odebrał to nagle pojawienie się dziewczyny. Ta obdarzyła mężczyznę chłodnym, surowym spojrzeniem. Po chwili skinęła jednak głową, odwracając się w stronę Weteranów.

— Defekt uderzy od strony Sadu! — krzyknęła donośnie. — Wszyscy niezależni, którzy chcą ruszyć razem z nami, niech zbiorą się przy mnie!

Dziki, słysząc to, odetchnął z ulgą. Czyli, nawet obsesja dziewczyny na punkcie zemsty nie odebrała jej na tyle rozsądku, by szukać zwady w tej sytuacji.

W tym momencie do gruzów zbliżył się Boruta. Stając tuż obok Pierwszego, uniósł rękę.

— W takim układzie Sojusz Bloków uderzy na Hurtownię! — zawołał. — Chętni do pójścia z nami, niech przyjdą tutaj!

Dziki pomyślał, że to rozwiązało przynajmniej jeden problem. Plan Pierwszego od początku zakładał, że Armia Daniela ruszy na Przychodnię, bo z niej można było prostą drogą dostać się do Magistratu. Na początku uznał to za korzystny zbieg okoliczności, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że przecież plotki o tamtej stronie przechodziły do Centrum regularnie. Miasto Przychodnia było największe, najlepiej obwarowane i najtrudniejsze do zdobycia. Nie było więc dziwne, że nikt nie kwapił się, by wybrać je na swój pierwszy cel.

Daniel odebrał to zapewne w ten sam sposób, bo przyglądając się, jak prawie wszyscy zgromadzeni rozdzielają się między Defektem a Sojuszem, uśmiechał się ironicznie przez większość czasu.

— No dobrze, Bracia! — zawołał, wciąż stojąc na schodach Dzika-1. — Spoczęło na nas zadanie najtrudniejsze, ale ponieważ jesteśmy najlepsi, najbardziej zgrani i najsilniejsi... oczekuję, że do Magistratu dotrzemy jeszcze przed wszystkimi!

Jego przyboczna gwardia zawtórowała mu entuzjastycznymi okrzykami.

W tym momencie Dziki poczuł klepięcie na swoim ramieniu. Odwrócił się i zobaczył za sobą Elżę.

— Zbieramy się, Dziki — powiedziała stanowczo.

— Jasne — odparł, kiwając głową i ruszył za dowódczynią, odwracając się jeszcze w stronę Szarej.

Ta popatrzyła na niego, wykonując jednocześnie gest, jakby zrywała z ramienia opaskę.

Dziki mrugnął do niej porozumiewawczo, a Szara uśmiechnęła się lekko.

Oddziały z Centrum przekroczyły Wiślinkę, nie napotykając żadnego oporu. Było to dość oczywiste – obwarowane miasta stanowiły dużo lepsze miejsca do obrony niż koryta rzeki, gdzie w każdej chwili można było zostać odciętym przez Niewykszałconych.

Po przekroczeniu mostu członkowie Armii Daniela zostali właściwie sami. Większość Wolnych Weteranów i przybyłych mieszkańców podążyła śladem ogólnie lubianego Defektu oraz neutralnego Sojuszu Bloków. Danielowi to jednak niespecjalnie przeszkadzało. Idąc na czele kolumny, kilkakrotnie wspominał, że przynajmniej nikt nie przypisze sobie nawet części ich „zwycięstwa”.

Największym zaskoczeniem dla Dzikiego było jednak nagle zniknięcie Pierwszego. Mężczyzna, po wymianie kilku zdań z Danielem i jego przybocznymi, zapowiedział, że dołączy do nich bezpośrednio przy Magistracie. To oznaczało, że nie zamierzał brać udziału w walce o mniejsze miasta. Dla Dzikiego było to zrozumiałe – najpewniej Pierwszy chciał upewnić się, że ciało Smutnego znajduje się tam, gdzie wskazał mu szpieg z Zarzecza.

O tym, że ich prawdziwym celem nie był Magistrat, wiedzieli tylko najbliżsi popiecznicy Daniela, w tym członkowie oddziału Dzikiego. Po zdobyciu Przychodni mieli odłączyć się od głównego ataku i wraz z niewielką grupą podążyć z Wodzem do kryjówki Smutnego.

W ciągu pół godziny dotarli do mapo–bilbordy, jednego z charakterystycznych punktów na ich drodze do szpitala. Przyglądając mu się, Dziki z ulgą zauważył, że od jego ostatniego pobytu w tym miejscu niewiele się zmieniło. Oznaczało to, że informacje, które w ostatnim czasie przekazywał Danielowi były przynajmniej częściowo aktualne i nic nie powinno ich zaskoczyć, przynajmniej w zakresie niebezpiecznych miejsc i potworów.

Oczywiście, podobnie jak wcześniej Pierwszy, Daniel również nie wybrał bezpiecznego szlaku. Poprowadził Armię najkrótszą drogą do szpitala – wprost przez Dzielnicę Krzyków. Żołnierze, ostrzeżeni wcześniej o niebezpieczeństwach tego miejsca, zgrupowali się w ciasnej formacji, która wypełniała niemal całą szerokość ulicy. Na czele maszerowali Stalowi, przygotowani do oczyszczenia przejścia z Niewykszałconych. Tuż za nimi kroczyła

ciężka piechota Obrońców H-Markatu, odziana w solidne pancerze i uzbrojona w strzelby myśliwskie. Dalej szły już luźniejsze struktury Armii Daniela, w skład których wchodził żołnierze o różnych zadaniach, od zwiadowców po zaopatrzeniowców. Pochód zamykali Bracia oraz dziewczyny z pomocy medycznej, a na samym końcu kolumny toczył się Dzik-1 wraz z niewielką grupą Pięści Daniela.

Jeszcze zanim dotarli do Dzielnicy Krzyków, Wjce wyszły im naprzeciw, przyciągnięte przez Prawo Trzech. Gromada Armii była na tyle duża, że nawet tak powszechne w okolicy błędy nie zdołały powstrzymać stworów przed ich wyczuciem.

Stalowi byli jednak dobrze przygotowani na to starcie. Chociaż Dziki znajdował się zbyt daleko, by zobaczyć wszystko na własne oczy, kolumna zatrzymała się jedynie na kilka minut, zanim oddział oczyścił drogę. Brak wezwania pomocy medycznej na przód sugerował, że obyło się nie tylko bez strat, ale nawet bez rannych.

Po minięciu tej przeszkody droga do szpitala była właściwie otwarta. Niestety, Miasto-Przychodnia było świadome nadciągającego ataku, a jego mieszkańcy najwyraźniej zdążyli podjąć odpowiednie środki przygotowawcze.

Dziki obserwując okolicę przez lornetkę, zauważył, że ogromna część szklarni od strony Centrum po prostu zniknęła. Ich miejsce zajęła sieć barykad, zrobionych z mebli, gruzu i zbędnego szpitalnego wyposażenia. Fragmenty łóżek, szafek i sprzętu medycznego tworzyły chaotyczne, ale solidne przeszkody. Na szczycie każdej barykady stali żołnierze w szarych mundurach z błękitnymi węzami na ramionach oraz robotnicy, zapewne przymuszeni siłą do obrony swojego „domu”.

Armia Daniela zaczęła zajmować pozycje. Żołnierze rozciągnęli się wzdłuż ulicy, chowając się w opuszczonych domach, podczas gdy dowódcy przemykali między nimi, wydając krótkie rozkazy. Aby zachować element zaskoczenia, obowiązywała całkowita cisza radiowa.

Dziki, czekając na dalsze polecenia, czuł napięcie unoszące się w powietrzu. Atak na dobrze przygotowane i obwarowane Miasto-Przychodnię zapowiadał ogromne straty. W rozmowach zasłyszanych między żołnierzami powtarzała się obawa, że nawet ich liczebność może okazać się niewystarczająca, aby zwyciężyć w tej bitwie. Dla Dzikiego myśl o tym, że mógłby polec podczas szturm, nie odegrałszy żadnej znaczącej roli, dodatkowo pogarszała jego i tak już kiepski nastrój.

Sam Daniel też nie zbierał się, by poprowadzić atak. Najpewniej bał się tego, czego obawiał się każdy użytkownik Pierwotnej Woli - oberwania przypadkową kulą, co w tak wielkiej bitwie, było jak najbardziej prawdopodobne. Dziki nie mógł oprzeć się też wrażeniu, że coś zachwiało jego Pierwotną Wolą, odbierając zwykle niezachwianą pewność siebie.

Po godzinie od zajęcia pozycji przez żołnierzy, Daniel wraz z najbliższym otoczeniem w końcu ustalił strategię. Elza, korzystając ze swojej Pierwotnej Woli, miała przenieść oddział Pięści Daniela na dach szpitala wraz z pojemnikami Osowca. W tym czasie reszta Armii rozpoczęłaby ostrzał, pozorując frontalny atak, aby odwrócić uwagę od desantu.

Głównym celem Pięści Daniela miało być wyeliminowanie strażników w środku osady. Następnie odnalezienie Linarta i zmuszenie go do kapitulacji poprzez megafony alarmowe. Oczywiście, nawet gdyby dowódca, nie chciał poddać swojego miasta, informacja o jego pojmaniu wprowadziłaby zamęt w szeregach wroga potencjalnie ograniczając straty po stronie Armii. Na to przynajmniej liczyli Daniel i Bracia.

Po ustaleniu szczegółów, Dziki wraz z oddziałem zaczęli przekradać się jak najbliżej budynku szpitala. Ciężkie stroje i pojemniki z gazem zdecydowanie nie ułatwiały im tego zadania. Każdy krok, zarówno własny, jak i towarzyszy, wydawał się głośniejszy, niż powinien. Byli zaledwie o rzut beretem od pozycji wroga. Gdyby ktoś ich zauważył, byłby to koniec – zmasowany ostrzał kilkudziesięciu, a może nawet kilkuset żołnierzy z Przychodni zmiotłby ich niczym huragan i żadna Pierwotna Wola by tu nie pomogła.

Dostanie się jak najbliżej było jednak kluczowe dla powodzenia misji. Przy zbyt dużej odległości moc Elzy zawodziła i mogła przenieść ich w zupełnie inne miejsce, niż planowano. Perspektywa spadnięcia z trzeciego piętra albo pojawienia się pośrodku okopów Przychodni, nie była zbyt kusząca.

Po kilkunastu nerwowych minutach dotarli w końcu do małego budynku, którego okna wychodziły naprawdę blisko barykad. Dalsze zbliżenie się bez wywołania alarmu było już właściwie niemożliwe.

Gdy tylko stłoczyli się w ciasnym pomieszczeniu. Elza zwróciła się do nich, ze skupieniem na twarzy.

— Sprzęt sprawdzony? Butle pełne? — spytała szeptem.

Po tylu poparzeniach Osowcem podczas treningów, Dziki zakładał kombinezon niemal automatycznie, ale dla pewności przejrzał wszystko. Jego kompani zrobili to samo i potwierdzili skinieniami głowy.

Elza widząc to westchnęła, zaciskając pięści.

— Oddałabym wszystko, żeby być tam z wami. Niestety moja moc na to nie pozwoli — stwierdziła sfrustrowana, po czym dodała coś, czego nikt się nie spodziewał: — Banan, jako że nie słuchasz się nikogo innego oprócz siebie, przejmujesz odpowiedzialność za oddział...

Dziki poczuł przeszywające ukłucie niepokoju. Banan zdecydowanie nie był dowódcą, o jakim marzył w trakcie takiego zadania. Co gorsza, sam chłopak również nie wydawał się przekonany o swoich umiejętnościach, bo zapytał nerwowo — Jesteś tego pewna?

Elza odpowiedziała twardo — Tak — dodając, po chwili groźnie: — I pamiętaj, jeśli komuś z oddziału miałoby coś się stać, lepiej, żebyś to był ty ...

Po tej przestrodze zwróciła się do reszty grupy — Chłopaki, sprawcie, żebym była z was dumna...

Banan przełknął ślinę i z poważną miną skinął głową, przyjmując tymczasowe dowództwo.

— Gotowi? To jedziemy... — westchnęła Elza, unosząc dłoń.

Już po chwili jasne światło oślepiło Dzikiego, a świat wokół niego zdawał się na moment zatrzymać. Przez ułamek sekundy poczuł dziwne uczucie nieważkości, jakby czas i przestrzeń przestały istnieć, a on sam zawisł w próżni między dwoma rzeczywistościami. Gdy blask ustąpił, zorientował się, że wraz z oddziałem znajduje się około metra nad dachem szpitala. Grawitacja szybko przypomniała o sobie bezlitosnym szarpnięciem w dół.

Upadek z tej wysokości w ciężkim sprzęcie nie należał do przyjemnych. Dzikie wiedział, że gdyby nie jego defekt, mógłby się poważnie poturbować. Jego ciało było jednak pozbawione normalnych organów i kości, co czyniło je znacznie bardziej odpornym. Od starcia z Szachrajem zaczął dostrzegać w swojej chorobie nie tylko skracający życie wyrok, ale także pewne wyraźne zalety.

Podnosząc się jako pierwszy z grupy, szybko rozejrzał się po otoczeniu. Dach szpitala był rozległy, pokryty papą i usiany fragmentami starego systemu chłodniczego. Rury i wentylatory, nieużywane od dekad, były zarzewia i porośnięte pleśnią. Nie dostrzegł jednak żadnych strażników, co uznał za dobry znak. Może rzeczywiście uda im się zaskoczyć obrońców szpitala?

Banan, który podniósł się chwilę po nim, szybko ocenił sytuację.

— Dobra, sprawdźcie, czy nikomu nic się nie odpięło! Trochę te przenosiny jednak zjebała... — rozkazał, rzucając przelotne spojrzenie na każdego członka oddziału.

— Szczelny — zameldował Traker, sprawdzając mocowanie maski.

— Szczelny — potwierdził Nóż, pociągając za paski przy hełmie.

Kolejno Poldek i Anioł również zgłosili gotowość. Dzikie dokładnie sprawdził każdy element swojego ekwipunku, wiedząc, że nawet najmniejsza nieszczelność mogła mieć dla niego fatalne konsekwencje.

Podczas tej czynności poczuł lekki ucisk w piersi, jakby serce przyspieszyło mu z nerwów. Szybko jednak przypomniał sobie, że to niemożliwe — jego ciało nie mogło już reagować takimi fizjologicznymi odruchami. Wszystkie negatywne odczucia były jedynie wytworem jego umysłu. Kiedy ta świadomość do niego dotarła, napięcie momentalnie ustąpiło, dając miejsce chłodnej koncentracji.

— Szczelny — zameldował na koniec, pewnym głosem.

W tym samym momencie z dołu dobiegła potężna kanonada. Armia Daniela, na sygnał Elzy, rozpoczęła ostrzał, a okopani strażnicy Przychod-

ni odpowiedzieli ogniem. Pociski, śruby i prowizoryczne granaty latały we wszystkie strony, wzbijając w powietrze tumany kurzu i dymu.

Dziki podszedł do krawędzi dachu, spoglądając na toczącą się poniżej bitwę. Widok był przytłaczający – ludzie biegali w różnych kierunkach, kryjąc się za wrakami samochodów i improwizowanymi barykadami. Wybuchy rozrywały asfalt i kruszyły fasady budynków, a płomienie zaczynały trawić przypadkowe miejsca. Krzyki rannych mieszały się z komendami dowódców, przyprawiając o dreszcze.

Tymczasem Banan, mniej zainteresowany tym, co działo się na dole, a bardziej skupiony na ich misji, podszedł do drzwi technicznych. Delikatnie nacisnął klamkę, po czym zaklął pod nosem.

— Zamknięte — szepnął, spoglądając na sieć rur ciągnących się po całym dachu. Jego oczy nagle rozbłysły, jakby wpadł na jakiś pomysł. Gestem przywołał do siebie Trakera i wskazał na system wentylacyjny.

— Stąd możemy rozpuścić gaz po całym szpitalu... — powiedział z chytrym uśmiechem. — Wyeliminujemy strażników, nawet tam nie wchodząc.

Traker, który dźwigał najwięcej pojemników z Osowcem, przygryzł nerwowo wargę.

— Ale na dole pewnie są teraz głównie cywile... — zasugerował. — Myślałem, że gazować będziemy tylko pomieszczenia ze strażnikami...

Banan westchnął, kręcąc głową.

— Szpital jest ogromny! — zauważył. — A Osowiec rozchodzi się powoli. Z tego, co opowiadał Dziki, większość cywili zajmuje poczekalnie, mają tam okna... sporo okien, zdążą uciec.

Traker skinął niepewnie głową.

— Poldek, pomożesz mi? — rzucił do kompana, a potem obaj podeszli do pierwszego wylotu wentylacyjnego.

Korzystając z multitooli, zaczęli ostrożnie odkręcać mocowania. Kratki były mocno sfatygowane, a śruby zardzewiały, co znacznie utrudniało im demontaż.

Dziki obserwował ich przez chwilę, aż poczuł na sobie wzrok Banana.

— Jak już Osowiec rozejdzie się w środku, na mój sygnał masz wyważyć drzwi — rozkazał.

— Jasne... — potwierdził Dziki i ściągnął z pleców ciężki strażacki topór, który przypadł mu w losowaniu.

Po kilku minutach nerwowego oczekiwania Traker i Poldek w końcu zdjęli kratki i zaczęli wrzucać do wentylacji pojemniki z gazem. Dziki przypomniał sobie szkolenie – wiedział, że jeden taki pojemnik mógł wypełnić średniej wielkości mieszkanie tak gęsto, że niemal nic nie dało się zobaczyć przez opary. Teraz do wentylacji trafiło kilkanaście pojemników. Zastanawiał się, czy to nie przesada, ale było już za późno, by zwrócić na to uwagę towarzyszy.

Przez kolejne minuty czekali w napięciu na jakąś reakcję, aż nagle z wnętrza szpitala dobiegł przeraźliwy wrzask, który przebił się przez odgłosy bitwy na dole.

— Na to czekałem! — zawołał Banan, a jego oczy błysnęły z ekscytacji.
— Dziki, drzwi!

Nie czekając ani chwili, Dziki podbiegł do wejścia i z impetem uderzył siekierą w zamek. Ostrze wbiło się w drewno z głuchym trzaskiem, a drzazgi posypały się na boki. Zamek jednak nie ustąpił, więc uderzał raz za razem, próbując przebić się do środka. Nagle przerwał, słysząc dźwięk przekręcanego klucza po drugiej stronie.

Odskoczył instynktownie do tyłu, unosząc topór w gotowości. Miał wrażenie, że adrenalina zapulsowała w jego żyłach, choć fizycznie nie mógł tego odczuć.

Drzwi otworzyły się nagle, a z wnętrza wypadło dwóch strażników. Wymiotowali krwią i flegmą, ich skóra była zaczerwieniona i pokryta pęcherzami. Oczy ginęły pod opuchniętymi powiekami, a twarze wykrzywiały się w grymasie niewyobrażalnego bólu.

Strażnicy padli na dachu, pozostawiając po sobie tylko ciszę i przerażającą obraz działania Osowca.

— Ale fart! — krzyknął Banan, uśmiechając się krzywo pod maską. — Idziemy! — rozkazał i poprowadził ich do środka

Schodząc po schodach w dół, Dziki dostrzegł unoszącą się wokół żółtą mgiełkę gazu. Miał nadzieję, że naprawdę dobrze sprawdził swój kombinezon, bo przez defekt nie byłby w stanie poczuć poparzeń, które mogłyby być pierwszym sygnałem, że coś jest nie tak. Istniało ryzyko, że wdycha Osowiec, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Na moment poczuł, jak zaczyna go drapać w nosie, ale szybko uznał, że to tylko jego wyobraźnia płata mu figle po tym, co zobaczył chwilę wcześniej.

— *Nie drapałoby cię w nosie, tylko rzygałbyś krwią...* — skarcił się w myślach.

Nikt z jego towarzyszy nie wyglądał na równie przejętego obecnością gazu. Banan prowadził ich pewnie wąskimi korytarzami dawnego oddziału położniczego, który wyglądał jak w Starym Świecie. Na ścianach wciąż wisiały plakaty z uśmiechniętymi matkami i noworodkami. Najwyraźniej piętro nie było zamieszkane – Dziki nie zauważył żadnych namiotów ani osobistych rzeczy, a także nie natknęli się na nowych strażników.

Szli dalej, otoczeni mglistą poświatą Osowca, która unosiła się wokół nich. Ciszę co jakiś czas przerywał pojedynczy jęk, niosący się przez pionowe wentylacyjne. Przeszli cały oddział, nie napotykając nikogo. Dopiero na niższym piętrze zobaczyli kolejne ofiary zatrucia – grupa strażników czołgała się na ślepo po podłodze kardiologii, kaszląc i plując krwią.

Jeden z nich, młody chłopak o piegowatej twarzy, spojrzał pustym wzrokiem w ich stronę, zanim jego głowa opadła bezwładnie. Anioł zatrzymał się przy nim, wpatrując się z przerażeniem.

— Boże, widzieliście jego oczy?! — wyszeptał z trudem.

Dziki spojrzał na twarz martwego chłopaka. Białka miał zalane krwią tak jednolicie, że przypominały oczy jakiejś dziwnej odmiany Heterochromity.

— Anioł, nie zatrzymuj się! — rozkazał Banan, chwytając chłopaka za ramię i popychając go do przodu. — Idziemy dalej!

Po kilku minutach dotarli do głównych schodów i powoli zaczęli schodzić na parter. Z każdym piętrem, które pokonywali, stężenie gazu stawało się coraz większe. Dziki pamiętał z treningów, że Osowiec był bardzo gęsty i nawet w zamkniętych pomieszczeniach szybko opadał do piwnic. Spodziewał się, że na parterze będą brodzić w gęstej mgle, ale mylił się – gaz najpewniej wyprzedził ich w drodze na dół i zdążył już osiąść w podziemiach szpitala.

Gdy tylko weszli do głównej poczekalni, w powietrzu unosiło się tylko nieco więcej gazu niż na wyższych piętrach. Mimo to Osowiec i tak zostawił za sobą ślady zniszczenia, które sprawiły, że wszyscy zamarli. Dziesiątki ciał leżały na podłodze w różnych pozycjach – niektórzy wciąż trzymali się za gardła, inni zginęli, desperacko próbując dotrzeć do wyjścia. Namioty były poprzewracane, jakby w ostatnich chwilach ludzie próbowali uciekać z nich w panice. Zabezpieczenia przed Ciemnią zamknęły mieszkańców jak w pułapce – żadne z okien nie otwierało się na tyle, by mogli przez nie uciec. Podłoga była śliska od krwi, wymiocin i flegmy.

Dziki poczuł, jak żołądek ściska mu się z obrzydzenia, choć fizycznie nie mógł tego odczuć.

— *Czy my właśnie dokonaliśmy ludobójstwa?* — pomyślał, nie wierząc własnym oczom. Oczywiście spodziewał się ofiar, ale był przekonany, że większość zdoła uciec na zewnątrz. Tymczasem wyglądało na to, że wymordowali całe miasto. W głowie słyszał własne myśli, próbujące usprawiedliwić to, co widzi.

— *Nikogo z tych ludzi nie znałem! Żadnemu nie byłem nic winien!* — powtarzał sobie, jakby próbując stłumić narastające poczucie winy.

Jego wzrok nagle zatrzymał się na szyldzie „Mamuna”. Przypomniwał sobie właścicielkę – miłą kobietę, która poczęstowała go sokiem. Nieistniejące serce ścisnęło mu się na myśl, że mogła być wśród ofiar. Starał się wyprzeć tę możliwość, wmawiając sobie, że dziś jej tu nie było.

Nagle usłyszał odgłos wymiotów i stłumiony krzyk. Przez chwilę sądził, że to jakiś mieszkaniec, który jeszcze walczył o życie, ale po chwili dotarł do niego głos Anioła — Kurwa! Narzygałem sobie w maskę! Kurwa!

Głos chłopaka był zniekształcony, jakby dochodził spod wody. W wizjerze maski przelewała się zawartość jego żołądka. Co gorsza, Anioł nagle chwycił się za boki aparatu tlenowego, próbując go ściągnąć.

Dziki natychmiast doskoczył do niego, chwytając go za ręce, żeby powstrzymać przed samobójczym odruchem.

— ANIOŁ, USPOKÓJ SIĘ! TU DALEJ JEST OSOWIEC! ZOSTAW TĘ CHOLERNĄ MASKĘ! — krzyknął, szarpiąc się z chłopakiem.

Banan, widząc, co się dzieje, natychmiast dobiegł do nich, pomagając Dzikiemu utrzymać Anioła w miejscu.

— ZOSTAW TO, BO SKOŃCZYSZ JAK ONI! ZOSTAW! TO ROZKAZ! — wrzasnął.

— Duszę się! — krzyknął Anioł, a jego aparat tlenowy zaczął wydawać dziwne, bulgoczące dźwięki.

Banan rozejrzał się spanikowany, a jego wzrok padł na schody, którymi przed chwilą zeszedł.

— Kurwa! Traker, zabierz go na górę! — rozkazał. — Wybij jakieś okno, jeśli nie wytrzyma! JUŻ! — Potem odwrócił się do Poldka, wołając — Leć za nimi i ich osłaniaj!

Traker natychmiast podbiegł, chwycił Anioła pod ramię i pociągnął go w stronę schodów.

— Dasz radę, wytrzymaj... — mówił nerwowo, a Poldek z bronią w gotowości, podążył za nimi.

Dziki przez chwilę obserwował ich oddalające się sylwetki, czując bezsilność i pustkę. Otoczony ciałami, przypomniał sobie obietnicę złożoną Pierwszemu. Czy właśnie ją złamał? Przecież to nie on osobiście zrzucał te cholerne pojemniki... A może taka była cena, którą musieli zapłacić? Czy po tym, co zrobił Smutny, można było to zaakceptować? Pierwszy chyba wiedział, że to nie skończy się inaczej...

Nóż, który jako jedyny wydawał się niewzruszony zarówno stanem Anioła, jak i widokiem martwych ciał, zwrócił się do Banana — Co dalej? Misja się przecież nie zmienia...

Banan oprzytomniał momentalnie.

— Idziemy dalej! Nie możemy zwlekać! — odpowiedział stanowczo i ruszył w głąb poczekalni.

Dziki, biegnąc za nim, starał się unikać patrzenia na martwych mieszkańców. Niestety, jego psychika coraz gorzej znosiła tę sytuację. Miał wrażenie, że nieruchome postacie śledzą każdy jego krok, jakby oskarżały go o to, co się wydarzyło.

Wybiegając z poczekalni, szybko dotarli do długiego, skąpanego w mroku korytarza prowadzącego obok Centrum Handlowego „Promień”. Dziki zatrzymał się na moment, spoglądając przez szybę w drzwiach. Zobaczył dawny warsztat Elemisa — na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby nie zmienił się od dnia, gdy przybyli tu z Pierwszym i Zjawą. Nad drzwiami wciąż wisiał stary szyld „Elektronika-Elemis”, a osad z Osowca pokrywał wszystkie powierzchnie, mimo że sam gaz zdążył już opaść.

— Nie ma co się łudzić, Linart już pewnie nie żyje... — westchnął Dziki, starając się ukryć drżenie w głosie. — Będziemy musieli ogłosić, że podbiliśmy szpital, i zobaczyć, jak zareagują ci na zewnątrz...

Banan otarł rękawicą wizjer maski.

— Kurwa, chyba masz rację... — przyznał. — Może przesadziliśmy z ilością gazu, ale szpital wydawał się duży...

Nagle Nóż, który do tej pory milcząco trzymał się z tyłu, uchylił drzwi do „Promienia”. W momencie, gdy to zrobił, ciszę przerwał strzał. Kula zaryła w plakat wiszący tuż obok nich, odrywając kawałek tynku, który posypał się na ziemię. Wszyscy trzej dokleili się do ściany, wychodząc z zasięgu drzwi.

— Ktoś tam jednak przetrwał... — rzucił nerwowo Nóż, spoglądając na Banana. — Gazujemy?

Banan przez chwilę milczał, analizując sytuację.

— Zobaczmy, może nie jest głupi... — stwierdził szeptem, po czym uniósł głowę i krzyknął: — JAK NIE CHCESZ ZA CHWILĘ WYPLUĆ PŁUC, LEPIEJ SIĘ PODDAJ!

Na moment zapadła cisza, jakby ktoś po drugiej stronie rzeczywiście rozważał poddanie się, ale odpowiedź przyszła w postaci serii z pistoletu maszynowego. Pociski świsnęły obok nich, uszkadzając ścianę, a jedno z okien eksplodowało w deszczu szkła. Dziki przycisnął się mocniej do ściany, chcąc uniknąć odłamków.

— Czyli jest głupi... — rzucił Nóż z przekąsem.

Bez chwili wahania sięgnął po podręczny pojemnik z Osowcem, ścisnął go mocno i rzucił w głąb korytarza. Naczynie otworzyło się z cichym trzaskiem, a żółta mgła błyskawicznie zaczęła wypełniać wnętrze. Zawiesina gęstniała, aż całe przejście zostało zasnuwane gazem.

— Wchodzimy... — wyszeptał Banan, dając znak ręką, po czym wkroczył w opary.

Dziki podążył za nim. Gdy zbliżyli się do jednego ze sklepów, z wnętrza nagle wyskoczył mężczyzna w masce przeciwgazowej i gumowym kombinezonie, co tłumaczyło, jak przetrwał pierwszy atak. Co gorsza, w dłoni trzymał włócznię, którą wymierzył prosto w Banana.

— Uważaj! — krzyknął Dziki i błyskawicznie zamachnął się toporem.

Ku własnemu zaskoczeniu, trafił napastnika w brzuch. Raniony mężczyzna zatrzymał się jak porażony, po czym osunął się na podłogę, wydając z siebie stłumiony jęk.

Kolejny strażnik, również w masce gazowej, wychylił się w tym czasie z jednego ze sklepów i zaczął ciągnąć po korytarzu serią z pistoletu maszynowego. Dziki i Banan padli natychmiast na ziemię, ledwo unikając postrzału. Tylko skrycie w gęstniejących oparach Osowca ocaliło ich od śmierci.

Wykorzystując moment, gdy strażnik przeładowywał broń, Nóż poderwał się i ruszył znienacka w jego stronę. Kiedy dzieliła ich już tylko odległość wyciągniętej ręki, szybkim ruchem zerwał mu maskę przeciwgazową z twarzy. Strażnik zaczął natychmiast się dusić – jego oczy nabiegły krwią, a skóra na głowie spuchła. Wydał z siebie przerażający dźwięk, chwytając się za gardło, po czym upadł na ziemię.

Na korytarzu nie pojawił się nikt więcej. Dziki i Banan podnieśli się z ziemi i odnajdując w oparach Noża, ruszyli w stronę gabinetu ordynatora.

Otworzyli ciężkie, drewniane drzwi i weszli do eleganckiego pomieszczenia pełnego przeszklonych gablot z pamiątkami ze Starego Świata. Przy wielkim, mahoniowym biurku siedział, jak podejrzewał Dziki, sam Linart. Mężczyzna, mimo że miał na twarzy dużą czarną maskę z wielkimi filtrami, leżał rozłożony na krześle zupełnie bez życia. Jego ręce zwisały bezwładnie, a głowa opadła na bok.

— Otruł się? Kurwa, jak? — zapytał zszokowany Banan, spoglądając na puste oczy mężczyzny.

— Może maska to atrapa? — zasugerował Nóż, podchodząc bliżej. — Pewnie wybrał ją, bo wyglądała najokazalej, ale zamiast prawdziwych filtrów miała jakąś zwykłą watę czy inny wypełniacz...

Dziki rozejrzał się po półkach. Zauważył, że dowódca szpitala musiał być mocno przywiązany do swojego dawnego zawodu. W jednej z gablot dostrzegł policyjną odznakę, ułożoną na jedwabnej poduszeczce. Obok niej stało zdjęcie młodego Linarta w policyjnym mundurze, a dalej jego kajdanki i służbowy pistolet.

Tymczasem Nóż, przeglądając szuflady pełne papierów, zaczął bezskutecznie szukać interkomu.

— A jeżeli nie nadawał z biura? — zastanowił się na głos.

— To skąd? Przecież nie zamontował sobie mikrofonu w kiblu — odparł zirytowany Banan, oglądając blat z drugiej strony. — Musi tu być!

Dziki już ruszył, żeby im pomóc, ale dostrzegł coś dziwnego. Ciało Linarta drgnęło, a palce lekko się poruszyły.

— Chłopaki, on chyba udaje! — szepnęła, wskazując na mężczyznę.

Banan natychmiast chwycił za broń.

— Jeśli tak, lepiej dla nas! — zawołał. — GADAJ, SZUJO! GDZIE JEST INTERKOM?! — zażądał władczym tonem.

Linart podniósł powoli głowę. Jego oczy były zamglone, a oddech płytki. Przez chwilę milczał, a potem wyszeptał z trudem — Nie... nie powiem wam...

Banan, słysząc jego odpowiedź, zbliżył lufę pistoletu do czoła mężczyzny.

— Lepiej mów, bo ci rozsmaruję mózg po tym biurku — wycodził przez zaciśnięte zęby.

Linart, który jeszcze przed chwilą wydawał się martwy, uniósł powoli głowę. Jego oczy, ukryte za szklami przeciwgazowej maski, zdawały się

świdrować Banana. Przytłumiony, niemal mechaniczny śmiech rozbrzmiał w ciszy pomieszczenia.

— Użyję go dopiero wtedy, gdy się was pozbędę — powiedział spokojnie, a w jego głosie pobrzmiwała złowroga pewność siebie. — Żeby Daniel wiedział, jak duży błąd teraz popełnił, wysyłając was tutaj.

Dziki poczuł niepokój. Coś w tonie głosu Linarta wywoływało w nim złe przeczucia, jakby intuicja – o ile jeszcze jakąś miał – krzyczała, że powinni uciekać.

Banan najwyraźniej nie podzielał tych obaw, bo rzucił tylko – Może nie zauważyłeś, kretynie, ale to ja trzymam ci pistolet przy skroni – zakpił, unosząc lekko brew.

— Doprawdy? — odpowiedział ironicznie Linart.

Dziki przyjrzał się mu uważnie. Maską na twarzy mężczyzny była zwykłą przeciwgazówką, bez aparatu tlenowego. Przy każdym wdechu materiał lekko się zapadał, ale coś w tym nie pasowało. Zauważył, że oddechy mężczyzny nie synchronizowały się z jego słowami, jakby głos pochodził z innego źródła.

Nagle Banan zeszytniał. Jego oczy rozszerzyły się w przerażeniu, a ręka z pistoletem zaczęła drżeć. Ku zdumieniu Dzikiego, uniósł broń i skierował ją we własną skroń.

— KURWA, CO JEST?! — krzyknął panicznie, próbując powstrzymać niekontrolowany ruch. — CO JEST Z MOJĄ RĘKĄ?!

Dziki rzucił się do przodu, ale było już za późno. Rozległ się pojedynczy wystrzał, którego echo zdawało się rozbrzmiewać w jego głowie. Banan osunął się na podłogę. Jego martwe oczy utkwiły w spojrzeniu w sufit.

— SMUTNY! — wykrzyknął Dziki, czując, jak ogarnia go fala przerażenia.

Postać siedząca za biurkiem uniosła się powoli w powietrze, jakby jej ciało było lalką wznoszoną na niewidzialnych sznurkach.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie obraziłeś — powiedział mężczyzna z wyraźną pogardą. — Sama myśl, że mogłbym zostać pomyłony z tą chodzącą reklamą prozaku, napawa mnie odrazą. Mirosław Linart! Do usług...

Krew odpłynęła z twarzy Dzikiego – czuł, że jedyne, co jeszcze płynęło w jego ciele, to strach. Wszystko nagle nabrało sensu, choć wołałby, by było inaczej.

— Jesteś oderwany od ciała... — wyszeptał.

Linart skinął na potwierdzenie, a jego sylwetka uniosła się wyżej, zawiśniętą tuż pod sufitem.

— Widzę, że spotkałeś już podobnych do mnie — stwierdził z satysfakcją. — Nie osiągnąłem jeszcze poziomu, który pozwoliłby mi całkiem opuścić swoje jestestwo, ale i tak świetnie się bawię, robiąc takie rzeczy...

Mówiąc to, Linart uniósł bezwładną dłoń, a jego palce poruszyły się w nienaturalny sposób. W tym samym momencie Nóż rzucił się na Dzikiego.

— CO TY WYPRAWIASZ?! — krzyknął Dziki, odskakując w ostatniej chwili.

— Dziki, ja tego nie kontroluję! — zawołał chłopak, a jego głos drżał z nerwów i paniki. — Nie mam pojęcia, co się dzieje! — dodał, wymachując pięścią.

Jego cios przeleciał niebezpiecznie blisko głowy Dzikiego, roztrzaskując witrynę gabloty za nią. Odłamki szkła eksplodowały we wszystkie strony, rozsypując się na podłodze.

— Nie panuję nad tym! — krzyknął ponownie Nóż, chwytając Dzikiego za pas i próbując obalić go na ziemię.

Siła jego uścisku była nadludzka, jakby napędzana przez Pierwotną Wolę. Po chwili obaj upadli na regał, który z hukiem przewrócił się na bok, rozsypując wokół książki i dokumenty. Dziki z trudem wyrwał się z uścisku. Wiedział, że musi coś zrobić, zanim sytuacja całkowicie wymknie się spod kontroli.

— Możesz to powstrzymać! — krzyknął, podrywając się z podłogi. — Wysil emocje! Wścieknij się! Ja wyrwałem się w ten sposób Smutnemu!

— Nie mogę! — odpowiedział Nóż z rozpaczą w głosie.

Jego ciało poruszało się wbrew jego woli, jak marionetka na sznurkach niewidzialnego lalkarza. Podnosząc się z miejsca ruszył do kolejnego ataku. Tym razem rzucił się na Dzikiego z impetem rozjuszonego byka szarżującego na matadora. Dziki ledwo zdążył unieść ręce w obronnym geście, a Nóż zderzył się z nim pełną siłą. Obaj wpadli na gablotę z zabytkowymi szablami. Szkło eksplodowało wokół nich, a ciężkie ostrza spadły na podłogę z brzękiem.

— Dość! — rozległ się głos Linarta, który z nieukrywaną irytacją obserwował zniszczenia w swoim biurze. — Zagalopowałem się...

Nóż chwycił w tym momencie jedną z leżących na podłodze szabel. Jego oczy stały się puste, pozbawione życia, a ruchy mechaniczne. Szerokim cięciem przeciął kamizelkę Dzikiego, rozrywając materiał na strzępy i odsłaniając warstwy pod spodem.

Dziki cofnął się gwałtownie, chwytając za pistolet przy pasie. Wycelował w kompana, ale nie nacisnął jeszcze spustu.

— NÓŻ, OPANUJ SIE! POWSTRZYMAJ TO! — krzyknął desperacko, próbując dotrzeć do resztek świadomości kompana.

Nóż jakby na chwilę się otrząsnął, wołając — Dziki, błagam, ja naprawdę nie mogę!

W jego głosie słychać było bezsilność i rozpacz.

— Powstrzymaj się albo strzełę! — ostrzegł Dziki, kładąc pewniej palec na spuście.

— DZIKI, BŁAGAM! — zawołał jeszcze raz Nóż, pocierając nogą podłogę jak zwierzę szykujące się do ataku.

Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy. Nóż rzucił się do przodu, a Dziki uskoczył w bok, czując podmuch powietrza od mijającego ostrza. W tym samym momencie uniósł broń i strzelił nad ramieniem kompana.

Kula przecięła powietrze z sykiem i trafiła zaskoczonego Linarta prosto w tors. Mężczyzna spojrzał na ranę z niedowierzaniem, a jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu. Krew zaczęła sączyć się przez materiał ubrania. Jego sylwetka zachwiała się, a następnie odleciała do tyłu, jakby pchnięta niewidzialną siłą. Uderzył o ścianę z głuchym trzaskiem, po czym osunął się na podłogę.

Nóż nagle się zatrzymał, a jego oczy odzyskały blask świadomości. Spojrzał na Dzikiego z dezorientacją.

— Dzikim...? — wyszeptał, jakby budząc się ze złego snu. — Co się stało?

Nie było jednak czasu na odpowiedź. Przedmioty w pomieszczeniu zaczęły lewitować, unosząc się w powietrzu jak porwane niewidzialnym wirem. Szafki, krzesła, fragmenty rozbitego szkła – wszystko to leciało w ich stronę z niebezpieczną prędkością.

— Uważaj! — krzyknął Dzik, unikając spadającej na niego ciężkiej wiotryny. Mebel roztrzaskał się o podłogę tuż obok, rozsyłając drzazgi i odłamki drewna.

Widząc leżącego Linarta, Dzik wiedział, co musi zrobić. Biegiem ruszył w jego kierunku, z trudem unikając kolejnych pocisków. Krzesło przemknęło obok jego głowy, a książka uderzyła go w ramię, ale nie zwolnił kroku. Dotarł do Linarta i szybkim ruchem zerwał mu maskę z twarzy.

Linart zaczerpnął powietrza, a śmiertelny gaz natychmiast zaczął działać. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie niewyobrażalnego bólu, a ciało zaczęło drgać w konwulsjach. Żył na szyi i skroniach nabrzmiały, a oczy załśniły obłędem.

Przedmioty w powietrzu momentalnie opadły z łoskotem na podłogę, jakby ktoś odciał ich niewidzialne sznurki. Cisza, która zapadła, była niemal ogłuszająca.

— Cholera jasna... Uratowałeś nas... — wysapał Nóż, zbierając się z ziemi.

— Nie ja... tylko jego głupota — odparł Dzik, wskazując na martwego Linarta. — Gdy chcesz kogoś zabić, nie bawisz się z nim. Po prostu to robisz.

Nóż skinął głową, spoglądając na leżącego Banana.

— Poważnie... — szepnął. — Naprawdę mógłby to powstrzymać?

Dzik westchnął ciężko. — Mi się udało... Kiedy Smutny próbował mnie kontrolować, wściekłość pomogła mi się wyrwać. Ale to wymaga ogromnej siły woli.

— Najwidoczniej nam obu jej zabrakło — przyznał Nóż z goryczą w głosie. Podszedł do ciała Banana i ukląkł obok. Delikatnie zamknął mu oczy, układając ręce wzdłuż ciała.

Wywołany przez radiowęzeł komunikat o śmierci Linarta przyniósł zgodnie z oczekiwaniami kapitulację linii obronnych. O ile zdobycie samego budynku szpitala kosztowało życie tylko jednego członka Pięści Daniela, o tyle

sytuacja pod budynkiem nie przedstawiała się już tak dobrze. Wspierani przez Zwiadowców strażnicy wykorzystali wszystkie możliwe sposoby, by odeprzeć atak Armii.

Okolice okopów zamieniły się w pogorzeliska, pokryte małymi lejami po wybuchach. Fasady pobliskich budynków przeszyte były dziesiątkami dziur, a domostwa znajdujące się najbliżej linii starcia zawałyły się w wyniku uszkodzeń. Nie ten widok wzbudzał jednak największą grozę. Wzdłuż chodników ułożone były w rzędzie ciała zabitych. Ze względu na brak czasu i fakt, że spora część była w naprawdę fatalnym stanie, przynależność określano wyłącznie po czerwonej opasce na ramieniu.

Swoją małą żałobę przeżywała również Pięść Daniela. Banan, którego ciało Dzik i Nóż wyciągnęli z budynku niedługo po kapitulacji, został pośpiesznie pochowany w jednym z ogrodów. Jego śmierć wstrząsnęła Elzą do tego stopnia, że przez dwie godziny od zakończenia walk nie powiedziała właściwie ani jednego słowa. Nie tylko ona była w tragicznym nastroju.

Po tym krwawym starciu w niewielu członkach Armii pozostała choćby odrobina zapału do dalszej walki. Tylko Stalowi i Bracia zdawali się trzymać jako tako. obrońcy, którzy praktycznie nigdy nie doświadczyli strat w swoich szeregach oraz Banderowcy i nieliczni Weterani, którzy przyłączyli się do Daniela jeszcze przed atakiem, wyglądali na całkowicie załamanych.

Dzik wiedział, że nie będą mieli czasu na rozpaczanie po zmarłych, bo atak na Magistrat nie mógł czekać. Tym bardziej zdziwił go fakt, że Daniel nie omieszkiał tuż przed wymarszem jeszcze raz zwrócić się do swoich towarzyszy.

Stając na przyczepie Dzika—1, zaczął od słów, które wszystkich wprowadziły w osłupienie — W ŚMIERCI NIE MA CHWAŁY!

Słyszac to, zgromadzeni spojrzeli po sobie, jakby się przesłyszeli. Wódz, mimo ich zdziwionych min, kontynuował — Martwym nic po zwycięstwie, a bohaterom nie leży się łżej pod wieńcami z czerwonych kwiatów. Gdy zaatakowało Zarzecze, wszyscy spodziewali się, że ktoś dysponujący najpotężniejszą Armią w Krańcowie, w ciągu tygodnia odeprze wroga, przekroczy rzekę i sięgnie po zwycięstwo... A ja zwlekałem..., zwlekałem tak długo, aż wielu zaczęło wątpić w moją siłę. Niektórzy, nawet mi najbliżsi, zaczęli zastanawiać się, czy przypadkiem nie zacząłem się bać. Ja jednak się nie bałem, a myślałem... Myślałem przez cały czas, jak zrobić, by idący ze mną mogli świętować zwycięstwo, a nie odbierać pośmiertne odznaczenia. Nie wierzę bowiem, że jakiegokolwiek słowa przynoszą ukojenie w obliczu śmierci. Nie wierzę, że łzy oplakujących bliskich można otrzeć. Dlatego po tym, co się stało, podjąłem decyzję. W obliczu wszystkich poległych daję wam słowo, że nie uznaję za tchórza nikogo, kto teraz zrezygnuje. Możecie wracać do Strefy Głodu i tam czekać na wieści o moim zwycięstwie...

W tym momencie okolice ogarnęła wrzawa. Zszokowani członkowie Armii rozmawiali ze sobą, ale nikt nie ośmielił się ruszyć. Dopiero po dłuższej chwili Cichy zbliżył się do Daniela.

— Bracie, byłem z tobą od początku i zostanę do końca! — zawołał. — Ale jeśli moi ludzie mają dość, nie będę ich zatrzymywał...

Jeden ze Stalowych zbliżył się natychmiast do wodza.

— Stalowi idą tam, gdzie ich dowódca! — wykrzyczał, a jego kompani stanęli za nim szeregiem.

Oddział Braci stanął obok Wodza, jakby ich obecność w dalszej walce była oczywista i niekwestionowalna.

Elza spojrzała na to, odwracając się po chwili do swoich ludzi: — Wracajcie do domu...

— Co? — zawołał natychmiast Nóż. — Dlaczego?

— Zrobiliście swoje. Jeżeli Daniel daje wam możliwość zrezygnowania ze służby, idźcie! Nie mogłam być w szpitalu z wami... Do Magistratu pójde za was! — zawołała dziewczyna, ocierając łzy z podpuchniętych oczu.

— Chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że cię teraz zostawimy! — zawołał natychmiast Nóż.

— Ja też idę dalej... — westchnął Dziki, który zamierzał doprowadzić tę sprawę do końca.

Traker spojrzał niepewnie na zadeklarowaną trójkę i podszedł, szepcząc: — Powinniśmy trzymać się razem...

— Ja chyba nie pójde... — wyszeptał Anioł, a członkowie oddziału popatrzyli na niego bez cienia wyrzutu. Mimo to chłopak spróbował się wytłumaczyć — Do niczego się wam nie przydam... W momencie próby potrafiłem tylko się załamać. Obrzygałem maskę, prawie się przy tym zabiłem i naraziłem cały oddział... Przepraszam, Elza.

Dziewczyna poklepała chłopaka po plecach.

— Nie wszyscy są stworzeni do zabijania. Nie każdy znieś widok śmierci — stwierdziła wyrozumiale.

— Więc zostaje nas piątka, jak w prawdziwej pięści — stwierdził Poldek, deklarując jednocześnie, że idzie z nimi dalej.

Elza uśmiechnęła się niepewnie, zerkając na nich.

— Jesteście wspaniali, chłopaki. — powiedziała z dumą, dodając: — Wygramy tę wojnę... Dla nas! Dla Strefy Głodu! Dla wszystkich poległych i dla Banana! DANIEL ŻYJE!!! — wykrzyknęła dziewczyna w stronę Wodza.

Jej towarzysze zawtórowali okrzykiem. Nawet Dziki, który nie przywiązywał do służby w Armii szczególnie wiele, dał się ponieść temu uniesieniu, krzycząc z pozostałymi — ŻYJE!!!

Więcej tak pełnych przekonania deklaracji jednak nie było. Część Obrońców i Weteranów pozostała na miejscu, by zająć się rannymi i pilnować

przejętego szpitala. Spora grupa wróciła z powrotem do Centrum. W stronę Magistratu wyruszył więc zaledwie cień pozostały po Armii, która kroczyła wcześniej w stronę Przychodni.

Dziki razem z oddziałem zajęli miejsce w Dziku—1, jadąc na czele kolumny. Elza myślała, że Daniel będzie podróżował razem z nimi, ale Wódz wołał maszerować z większością swojego wojska.

Gdy zdążyli już ochłonąć, Dziakiemu przeszło przez głowę, że nie mieli żadnego znaku od pozostałych grup z Centrum. Zastanawiał się, czy walki jeszcze trwają? A może miasta Zarzecza zdołały się jednak obronić? Jeżeli stawiały chociaż połowę takiego oporu jak Przychodnia, to ani Defekt, ani Sojusz bloków nie mieli łatwego zadania.

Zastanawiał się, czy Zjawie i Szarej udało się przetrwać? Co działo się teraz z Pierwszym i Krzakiem? Czy Dix poprowadziła swoją grupę do zwycięstwa? I wtedy, w trakcie tych rozważań, doszła do niego zaskakująca rzecz. Gdy jakiś czas temu wrócił razem z Oli z Zarzecza, był tak zniszczony i wypalony, że dopiero teraz przypomniał sobie, jak wiele w tym świecie jest jeszcze osób, których los nie był mu obojętny... Myśląc teraz o tym, jak postąpił wobec Mike'a, jak zostawił za sobą dziewczyny z autobusu, jak nawet nie pomyślał, aby żeby pomóc Wilkowi, poczuł ogromne rozczarowanie swoją osobą.

— Tym właśnie chciałeś się stać? — spytał sam siebie w środku. — Zjawia miała rację, jestem pieprzonym egoistą...



Rozdział XVIII

Rozdroże

Droga do Magistratu, prowadząca spod Miasta Przychodni, była Dziakiemu właściwie nieznana. Gdy przybył na Zarzecze w desperackiej próbie ratowania Oli, najważniejsza osada tego regionu miała być jego pierwotnym celem. Jednak atak Ścierwojadów i rany, które odniósł Pierwszy, zmusiły go do porzucenia tych planów, przez co ostatecznie dotarł jedynie do Garażu. Wiedza o tym miejscu, którą miał jeszcze sprzed Błysku była teraz praktycznie bezwartościowa. Nie mógł więc dostarczyć Danielowi żadnych przydatnych informacji, które pomogłyby zaplanować dalszą wyprawę.

Pozbawiony wskazówek Wódz, zmuszony był prowadzić swoją zdzięsiątkowaną armię na bazie tego co pamiętał ze Starego Świata. Na jego rozkaz przemieszczali się dawną miejską obwodnicą, która biegła wzdłuż granic miasta i przed laty, stanowiła najszybszą drogę do Magistratu.

Członkowie Pięści Daniela, którzy jako jedyni mieli zapewniony transport, wyglądali przez zakurzone okna swojej ciężarówki, zahipnotyzowani widokiem zrujnowanej okolicy. Dziki nie był tym zaskoczony – Zarzecze różniło się od Centrum równie mocno, jak Krańcowo sprzed Błysku różniło się od Krańcowo po nim. Po ich stronie miasta częste restry utrzymywały miejską infrastrukturę w zaskakująco dobrym stanie (przynajmniej na pierwszy rzut oka). Owszem, szabrownicy plądrowali budynki, graffiti zalewało ściany, a śmieci wałyły się wszędzie, ale większe fragmenty miasta, nadal wyglądały na porzucone zaledwie od kilku dni może tygodni. Zarzecze z kolei przywodziło na myśl miejsce porzucone przed dekadą.

— Dlaczego to wszystko jest takie zniszczone? — spytał w końcu Traker, przerywając ciszę w ciasnej kabinie. — Żadne miejsce po naszej stronie, nie wygląda w ten sposób.

Po jego pytaniu wszyscy, łącznie z kierującą pojazdem Elzą, skierowali spojrzenia na Dzikiego.

— Bo Ciemnia przyspiesza starzenie się przedmiotów, zwłaszcza metalu... — wyjaśnił pobieżnie, zaspokajając jednak dostatecznie ciekawość swoich kompanów, bo Poldek zmienił natychmiast temat.

— Jak myślicie? Co się stanie, gdy już wygramy?

— Może najpierw wygrajmy... — zganił go Nóż, który starał się nie odstawać w swoim sceptycyzmie.

Elza o wiele bardziej pewna ich zwycięstwa, dopytała — W jakim sensie? Chodzi ci o to, co po naszej wygranej będzie z Zarzeczem?

Poldek pokręcił przecząco głową.

— Raczej o to zawieszenie broni. Myślicie, że pokój w Centrum przetrwa, gdy wojna się skończy? — spytał, a w jego głosie słychać było cichą nadzieję, że właśnie tak się stanie.

— Nie — odpowiedział mu z przekonaniem Dziki, podobnie do Noża, czując wewnętrzną potrzebę pozostania głosem pesymistycznego rozsądku. — Ludzie zawsze znajdą powód, żeby się ze sobą pożreć. Centrum scalili wspólny wróg. Gdy go zabraknie, ktoś znowu rzuci się komuś do gardła...

— Nieprawda! — zaprzeczyła Elza, ściskając z nerwów kierownicę. — Kiedy już ogarniemy Zarzecze, Daniel ma zamiar to wszystko zmienić! Chce usunąć ze świata wszystkich kłótliwych idiotów, prowokatorów, cwaniaków — tę całą bandę tępych goryli, przez którą nie możemy żyć spokojnie.

Dziki słysząc jej niezachwianą wiarę w ten nierealny koncept, westchnął ciężko.

— Idea jest świetna, Elza, i po cichu sam jej przyklaskuję, mimo że przez długi czas nie było mi z Armią po drodze — przyznał, przypominając jednak o pewnym szczególe. — Tylko, że idee często rozsypują się w kontakcie z rzeczywistością. Ludzie są obłudni, fałszywi i zakłamani. Najgorsze, że ci najbardziej źli potrafią dobrze zgrywać grzecznych albo nawet naturalnie stawiać się w roli ofiary...

Elza, słysząc kontrę Dzikiego, obrzuciła go grobowym spojrzeniem.

— Może więcej wiary w Daniela, co? — rzuciła z przekąsem. — Chcę ci tylko powiedzieć, że on już zrobił dla tego świata więcej niż ktokolwiek inny. Ocalił przed pewną śmiercią dziesiątki dobrych ludzi, którym nikt nie dawał szansy...

— A mimo to został zdradzony przez najbliższego kompana — wtrącił Dziki, ale widząc wyraz twarzy swojej liderki, postanowił złagodzić ton, gdy mówił o przyszłości Armii. — Nie mówię, że Daniel nie da rady otoczyć się w miarę „dobrymi” ludźmi i że nie zapewni w Strefie Głodu moralnych zasad i praw. Tylko... jego moralność nie każdemu będzie pasowała. To raz. A dwa, ludzie się zmieniają. Szachraj pewnie nie planował zdrady od początku swojej podróży z Danielem. Tak samo, niektórzy „dobrzy” ludzie z czasem schodzą na złą drogę.

— Dziki ma tu trochę racji — poparł go niespodziewanie Traker. — Zawsze znajdzie się ktoś, komu zasady Armii Daniela nie będą odpowiadały. A jak już skrzyknie kilku podobnych sobie głupców, konflikt gotowy.

Elza zacisnęła usta, jakby szukała w głowie odpowiedzi. Finalnie, zamiast jednak kontynuować dyskusję, sięgnęła pod lustro wsteczne, zerwała wiszącą od dawna zwietrzałą choinkę zapachową i rzuciła ją w Dzikiego.

Atmosfera rozładowała się na moment. Traker parsknął śmiechem, a w tym samym czasie jeden z Braci zapukał do drzwi powoli toczącego się pojazdu.

— Co jest? — spytała Elza, opuszczając szybę i zapominając z miejsca o poruszonym temacie.

— Daniel zarządza postój! — poinformował ich mężczyzna. — Będziemy czekać na Pierwszego!

Dziki słysząc to odetchnął z ulgą. Oznaczało to, że jego kompan był cały i najpewniej zmierzał tu z wieściami. Miał tylko nadzieję, że niekoniecznie złymi...

Elza bez słowa sprzeciwu zatrzymała ciężarówkę, a potem zwróciła się do członków oddziału — Chodźcie, chłopaki. Rozprostujemy trochę nogi!

Mężczyźni zareagowali z niewyobrażalną ulgą na jej propozycję. Wcześniej przez całą drogę musieli tłoczyć się na twardej podłodze szoferki, bo jedynym ocalałym fotelem był ten kierowcy.

Gdy wysiedli, po raz pierwszy od dłuższego czasu, Dzikiego szybko zorientował się, że miejsce postoju Armii zostało wybrane zupełnie przypadkowo. W okolicy nie było żadnych charakterystycznych budynków ani drogowych znaków. Zatrzymali się po prostu na odcinku asfaltowej drogi, otoczonej z obu stron głębokimi rowami, oddzielającymi niedokończony chodnik.

Zaciekawiony, ile dzieli ich jeszcze od celu, wspiął się szybko na przyczepę, by rozejrzeć się po okolicy. W oddali dostrzegł już dach Magistratu. Elza, która wspięła się obok niego, natychmiast uniosła lornetkę do oczu.

— Niewiele jeszcze widać — oceniła z irytacją. — Szpital był ciężki do złamania, ale tu też pewnie nie będzie lekko.

Dziki tylko skinął głową, choć jego wzrok powędrował w zupełnie inną stronę. Skupił się na szczycie drogi prowadzącej w kierunku Centrum, gdzie zauważył jakiś ruch.

— Z tamtej strony! — krzyknął, wskazując pozostałym kierunek, z którego ewidentnie zmierzały do nich zarzeczkańskie pancerniki.

Daniel, który wysunął się przed swoich ludzi, zmrużył oczy, próbując ocenić sytuację. Kłęby pyłu wzbijane przez ciężkie opony nadjeżdżających pojazdów, unosiły się w powietrzu niczym gęsta mgła. Silniki warczały głucho, a ich odgłos narastał z każdą sekundą, w miarę jak sześć maszyn zbliżało się do ich kolumny.

Początkowo Dzikiego spodziewał się ataku z zaskoczenia, ale kiedy auta zatrzymały się zaledwie kilka metrów za nimi, z jednego z nich wyskoczył Pierwszy, a chwilę później dołączył do niego Sznur.

— *No tak!* — pomyślał Dziki, dziwiąc się sobie, że od razu na to nie wpadł. Opiekun schronień Sznur był przecież idealnym kandydatem na informatora. Pozostawało tylko pytanie, kim byli pozostali ludzie towarzyszący im w tych pancernych wozach. Może Sznurowi udało się przekonać innych opiekunów do współpracy?

Zaciekawiony zsunął się z naczepy i podszedł bliżej Daniela, by usłyszeć, o czym będą rozmawiać. Tymczasem z pozostałych pojazdów zaczęli wysiadać ich kierowcy.

— Co to za ludzie? — spytał natychmiast Daniel, mierząc wzrokiem przybyłych.

— To mój informator — wyjaśnił Pierwszy, wskazując na stojącego za nim Sznura. — Pozostali to opiekunowie schronień. Po tym, jak Smutny usunął Ciemnię, nie byli już potrzebni. Na szczęście dla nas część z nich zbuntowała się, zanim odebrano im samochody.

Daniel skinął głową, przyglądając się z zaciekawieniem najbliższemu pojazdowi.

— Ładny, ale nie w moim kolorze... — skwitował ironicznie. — I wolę większe okna.

— Posłuchaj! — fuknął Pierwszy z grobową miną, przywołując Wodza do porządku — Defekt zmusił Sad do kapitulacji i już wyruszyli na Magistrat od drugiej strony...

W tym momencie Dziki poczuł charakterystyczne, dziwne uczucie w brzuchu.

— *Czyli Dix się udało...* — pomyślał, o dziwo czując ulgę.

— Rozmyte cycki nie zawiodły... — skwitował Daniel z uśmiechem.

— Na tym jednak koniec dobrych wiadomości — ciągnął dalej Pierwszy. — Hurtownia obroniła się przed Sojuszem Bloków i natychmiast ruszyła z pomocą do Magistratu...

— No proszę, a Boruta był taki pewny siebie... — wytknął Daniel, ale Pierwszy szybko sprostował.

— Boruta tutaj nie zawiódł. Podobno sprawę spieprzyli Wolni Weterani. Najgorsze jest to, że za nami maszeruje teraz prawie setka uzbrojonych ludzi.

— ILE?! — zawołał zszokowany Daniel. — Nie wiem nawet, czy jest nas tu teraz aż tylu. Jak nas zakleszczą pod Magistratem, to nawet z rozmytymi po naszej stronie nie mamy szans!

Elza, która tak jak Dziki przysłuchiwała się tej rozmowie, wpadła nagle na pomysł — Mamy jeszcze całą przyczepę pełną gazu... Moglibyśmy otworzyć wszystkie zawory, a ja przeniosłabym ciężarówkę w sam środek ich grupy. Wykorzystując element zaskoczenia, porazimy w ten sposób większość ich ludzi.

Daniel słuchając jej propozycji, zmarszczył czoło, wyraźnie analizując ten ryzykowny pomysł.

— Nie jest nas dużo... — powiedział, jakby do siebie, tonem pełnym wątpliwości. — Chciałem wykorzystać Osowiec do ataku na Magistrat.

Dziki, widząc jego zawahanie, dorzucił — Mamy jeszcze kilka podręcznych pojemników. Nie jest tego dużo, ale w zamkniętych pomieszczeniach zrobią spore zamieszanie...

Wódz zamilkł na chwilę, jakby w myślach rozważał wszystkie za i przeciw. W końcu, najwyraźniej wybierając mniejsze zło, skinął głową.

— Dobra, Elza. Wierzę w ciebie — stwierdził, znów przybierając swobodniejszy ton. — Zatrzymaj ich kolumnę, a potem wracajcie jak najszybciej do nas. W tej sytuacji każda para rąk do walki jest cenna.

— Tak jest! — zawołała dziewczyna, ruszając w stronę auta.

Dziki został jeszcze przez moment, aby dowiedzieć się czegoś więcej o losie swoich znajomych podczas ostatnich starć.

— Pierwszy... — zaczął, ale mężczyzna od razu mu przerwał, jakby spodziewał się tego pytania.

— Nie wiem dokładnie, co z Dix — odparł. — Z wiadomych względów wolałem się nie zbliżyć. Skoro jednak wygrali i idą dalej, to pewnie wszystko z nią w porządku. Krzak został ranny, ale wyliże się... Ze Zjawą wszystko dobrze.

Dziki odetchnął z ulgą, ale zanim zdążył zadać kolejne pytanie, Elza przywołała go do siebie.

Samochodem, który w końcu mógł rozwinąć normalną prędkość, cofnięcie się spod kolumny wojska do okolic Hurtowni zajęło im ledwie piętnaście minut. Niestety, tam na Pięść Daniela czekała niemiła niespodzianka. Mury osady nie były nawet poważnie naruszone, a uszkodzona brama była właśnie w trakcie naprawy. To oznaczało, że atak Sojuszu nie przyniósł znaczących rezultatów. Maszerujące wsparcie raczej nie było wycieńczonym walką oddziałem tarcz strzeleckich, lecz siłą która mogła znacząco wspomóc Magistrat.

— Do jasnej cholery — przeklęła cicho Elza, opuszczając lornetkę. — Miasto widać jak na dłoni, ale gdzie podziła się ich kolumna? Przecież musieliśmy się z nimi minąć.

Nóż, zerkając na dziewczynę, podsunął sugestię, która wydała się Dziakiemu całkiem trafna — Może nie szli główną drogą? Mogli spróbować okrążyć nasze zgrupowanie i dołączyć do obrońców w Magistracie, zamiast atakować nas od tyłu.

Elza zmarszczyła brwi, przygryzając nerwowo wargę. — Jeśli tak, to zmarnowaliśmy mnóstwo czasu... — rzuciła, a potem wzięła głęboki oddech. — Objedziemy teren! Nie możemy pozwolić im dotrzeć do Magistratu.

Po tej deklaracji wykręciła Dziakiem-1 i zjechała z głównej drogi prosto w ciasne, boczne uliczki.

— Lornetki w ruch, chłopaki! Szukajcie jakiegokolwiek śladu ich przemarszu! — rozkazała, wciskając pedał gazu w podłogę.

Błyskawicznie przecięli kilka przecznic i osiedli, uważnie wypatrując w przerwach między budynkami maszerującej gromady. Wszędzie jednak panowała cisza, a po oddziale nie było najmniejszego śladu. Z każdą kolejną minutą Elza wydawała się coraz bardziej zdenerwowana.

— Jeśli ich nie znajdziemy, będziemy musieli dać znak przez radio, że spieprzyliśmy i wracać na pełnym gazie pod Magistrat — stwierdziła, z trudem maskując gniew, po czym znów zmieniła trasę, skręcając w inną wąską uliczkę.

Po kilku minutach krążenia, kiedy Dzik-1 wyskoczył zza kolejnego już zakrętu, Elza gwałtownie wcisnęła hamulec. Ciężarówka zatrzymała się z piśkiem opon. Wszyscy członkowie oddziału z impetem polecili do przodu, uderzając o deskę rozdzielczą i szybę. Całe wnętrze wypełniły okrzyki zaskoczenia i stłumione przekleństwa.

Dziki szybko podniósł głowę, zrzucając z siebie nogę Trakera i spojrzał w kierunku Elzy.

— Widzisz ich?! — zapytał, ale dziewczyna zamiast odpowiedzieć utkiwała nieruchome spojrzenie gdzieś w oddali.

— Nie wiem... — wyszeptała, w końcu.

Dziki wyjrzał przez szybę, próbując zrozumieć, co tak zszokowało ich dowódcę, a jego wzrok natychmiast przykuł stary Żuk stojący pośrodku drogi. Pordzewiały wrak wyglądał, jakby przejechał przez front. Jego karoserię przeszywały niezliczone dziury, jak po ostrzale z karabinu maszynowego. Przednia szyba była kompletnie roztrzaskana, pozostawiając jedynie postrzępione resztki szkła na krawędziach ramy. Pod wyrwanymi drzwiami kierowcy rozlewała się wielka, ciemna plama krwi, która sprawiała wrażenie, jakby ktoś wyrzygał wszystkie swoje wnętrzności.

— Myślicie, że należał do Hurtowni? — spytał natychmiast Poldek.

— A może to jeden z tych opiekunów, co się zbuntowali? — dopytała Elza, zerkając na Dzikiego.

— Oni takimi nie jeżdżą... — odparł jej natychmiast, otwierając drzwi, by sprawdzić auto.

Gdy tylko Dzik wyszedł z ciężarówki szybko dostrzegł, że nie tylko Żuk nosił na sobie ślady jak po bitwie. Okna pobliskich budynków były częściowo powybijane, a ich fasady podziurawione. Na drodze pełno było krwistych śladów opon, jakby ktoś urządził sobie zawody w rozjeżdżaniu ludzi. Jedno z ogrodzeń było wgniezione, a w jego prętach zobaczył resztki jakiegoś mężczyzny. Podchodząc do ciała, dostrzegł przepchnięte przez pręty mięso, na którego fragmentach wciąż widoczne było robocze ubranie.

— Poldek, zostań w kabinie! — rozkazała Elza, a potem bez zbędnych wyjaśnień ruszyła razem z resztą oddziału w stronę Dzikiego, który w milcze-

niu badał okolicę. — Co tu się stało? — spytała go, rozglądając się jak zahipnotyzowana.

— Mam pewne podejrzenia, muszę tylko coś sprawdzić... — odparł Dzi-ki, otwierając zniszczone, ledwo trzymające się drzwi pojazdu.

Z wnętrza buchnął odstręczający smród gnijących ciał i szamba. Cofnął się odruchowo, zasłaniając twarz ręką.

— Ścierwojady... — wyszeptał, odchodząc na bok, by złapać trochę świeżego powietrza.

— Co takiego?! — zawołała Elza, podchodząc bliżej. — Ci ichni kanibale?

— Tak... — potwierdził Dzi-ki, rozglądając się wokół. — Wygląda na to, że natknęli się na grupę z Hurtowni. Musiało dojść do walki. — Wskazał na zniszczone pojazdy i resztki człowieka wbitego w płot.

— Kto wygrał? — spytał natychmiast Traker, rozglądając się nerwowo po okolicy.

Nóż słysząc go parsknął krótkim, ironicznym śmiechem i wskazał puste, rozszarpane wnętrze Żuka.

— Nie ma nawet jednego ciała, więc zgadnij... — ocenił lodowato.

— Czyli nasz problem rozwiązał się sam! — zawołała radośnie Elza. — Mamy teraz do dyspozycji całą ciężarówkę z Osowcem, którą możemy wes-przeć atak na Magistrat! Ruszemy tą drogą, a jeśli jakieś niedobitki z Hurtow-ni poszły dalej, to...

W tym momencie jej entuzjastyczną tyradę przerwał głośny warkot sil-nika. Wszyscy momentalnie obrócili głowy w stronę Dzika — 1, ale to nie był odgłos dobiegający z ich ciężarówki. Poldek nie uruchomił pojazdu i rozglądał się zdziwiony nie mniej, niż oni.

— Nie odeszli daleko! — krzyknął Dzi-ki, wbijając wzrok w dym, który pojawił się nagle nad linią budynków. — WSZYSCY DO AUTA!

Pięść Daniela rzuciła się sprintem w stronę Dzika-1, ale zanim zdążyli po-konać choćby połowę dystansu, z bocznej uliczki wypadł pokryty rdzą Tarpan. Warcząc wściekle silnikiem, ruszył jak strzała prosto w ich stronę. Elza zareago-wała instynktownie. Wyciągnęła rękę, a pojazd zniknął przeniesiony mocą jej Pierwotnej Woli. Pojawił się następnie, raptem metr od ściany pobliskiego zrujno-wanego budynku. W trakcie przenoszenia nie stracił wcale impetu, więc natych-miast wbił się w mur z ogłuszającym hukiem, miażdżąc przód na płaską blachę.

— Pięknie! — pochwalił dziewczynę Nóż z ponurą satysfakcją, jednak to był dopiero początek ich problemów.

Z pobliskiego pola wyjechał właśnie masywny traktor, opancerzony jak improwizowany czołg. Jego silnik ryknął, a wielkie koła zmiażdżyły wygięte bariery przydrożne. Rozpędzony wpadł prosto w szoferkę ciężarówki Dzika — 1. Blacha jęknęła, szyby eksplodowały w chmurze odłamków, a pojazd zako-łysał się niebezpiecznie.

Z przyczepy doczepionej do traktora wypadło kilka Ścierwojadów, oszołomionych zderzeniem, jednak wciąż gotowych do walki.

— Poldek! — ryknął Traker, chwytając za swój pistolet maszynowy.

Seria pocisków przecięła powietrze i skosiła kanibali, zanim zdążyli choćby wyciągnąć ręce w stronę chłopaka, który po uderzeniu wypadł z otwartej kabiny.

W tym czasie Elza odrzuciła błędem traktor tak nieskładnie, że ten wyładował na dachu jakiś metr dalej.

Dziki, Nóż i Traker dopadli do przygniecionej kabiny, wydobywając spod jej resztek rannego Poldka. Chłopak był cały we krwi, miał rozcięte czoło i ramię, ale wciąż kontaktował.

— Cholera, ledwo zdążyłem wyskoczyć... — wysapał z grymasem bólu.

— Już dobrze, spokojnie... — wyszeptał Traker uspokajająco, próbując ułożyć rannego kompana przy boku pojazdu tak, by można było go opatrzyć.

Dziki stanął przy nich z pistoletem w dłoni, rozglądając się za kolejnymi napastnikami. Nagle usłyszał wściekły wrzask Elzy.

— KURWA! DZIK JEST UZIEMIANY! — ryknęła, wskazując sflaczałą, zmiażdżoną oponę i pogiętą felgę. — Skurwysyn wbił się prosto w koło!

— Nie możemy tu zostać! — przerwał jej Dziki. — Jeśli rozprawili się z Hurtownią, to jest ich tu pewnie znacznie więcej. Znów zaatakują!

Elza spojrzała wokół, zaciskając usta.

— Kurwa, mogłam nie niszczyć tego Tarpana... — stwierdziła z żalem.
— Nóż! Sprawdź, czy Żuk jeszcze zipie!

Chłopak bez zbędnych pytań dopadł do porzuconej furgonetki. Usiadł za kierownicą, a twarz momentalnie mu zrzęda od panującego w niej fetoru. Rozrusznik zaskrzeczał po chwili, a silnik jęknął i zamilkł. Dziki podbiegł z przodu, unosząc luźno wiszącą klapę i zerknął pod maskę. Przebity śrubą wiatrak i pęknięty blok silnika, nie dawały nadziei na uruchomienie pojazdu.

— Nie pojedziemy nim — zakomunikował ponuro, a Elza zakłęła szpetnie.

— Traker, bierz Poldka na barki! Dziki, Nóż, łapcie tyle pojemników Osowca, ile jesteście w stanie unieść! — rozkazała natychmiast. — Ruszamy pieszo w stronę Magistratu! Jeśli nadamy sygnał przez radio, może któryś z tych zbuntowanych odbierze go i po nas przyjedzie!

Mężczyźni rzucili się pędem w stronę krypy „Dzika-1”, chcąc zabrać pozostały sprzęt i zapasy, ale zanim zdążyli cokolwiek odczepić, okolicę przeszył jazgot kolejnych silników. Wycie i turkot maszyn roznosiły się echem, dochodząc równocześnie z pola, szosy i pobliskich podwórek. Dziki zrozumiał od razu, że są otoczeni. Ścierwojady zbliżały się z każdej strony, zamykając krąg pułapki.

Nie minęła nawet sekunda, jak z zarośniętej bramy prowadzącej do porzuconej posesji wyjechała trójka Ścierwojadów na starych „Ogarach”. Motocykle ze zgrzytem opon sunęły po spękanym asfalcie, by po chwili zatrzymać

się gwałtownie. Napastnicy, porzucając swoje maszyny, rzucili się do szaleńczego ataku pieszo, z ogromnymi, zardzewiałymi siekierami w dłoniach.

Dziki i stojący obok Nóż błyskawicznie unieśli pistolety. W serii szybkich, precyzyjnych strzałów powalili dwóch z atakujących, zanim ci zdążyli podejść zbyt blisko. Trzeci napastnik zaryczał dziko i wyskoczył naprzód, ale Elza, korzystając z błędu, przeniosła przewrócony wcześniej traktor, tak, że maszyna z głośnym hukiem zmiażdżyła Ścierwojada.

— Motocykle! — zawołał Nóż, dostrzegając szansę i dopadł do najbliższego ogara.

Nim jednak zdążył go podnieść, od strony pustej, zarośniętej dawno niekoszonymi chaszczami drogi, wyłonił się nagle spory, pordzewiały PKS. Wnętrze pojazdu wypełnione było Ścierwojadami, które wydierały się i ryczały jak wściekły rój wygłodniałych małp. Silnik autobusu rzązał i kaszlał, ale pojazd i tak nabierał prędkości, pędząc wprost na nich.

— Do budynku! Schować się! — krzyknęła Elza stanowczym tonem.

Traker zarzucił rannego Poldka na ramię i ruszył ku najbliższemu domostwu, potykając się o gruz. Nóż, zaniechawszy pomysłu z motocyklem, puścił kierownik i pobiegł zaraz za Trakerem. Dziki zatrzymał się przez chwilę, by w razie czego osłonić Elzę ogniem z pistoletu.

W tym czasie dziewczyna wyszła na środek drogi, stając naprzeciw nadjeżdżającego Autosana. Zamknęła oczy, koncentrując się, jakby zbierała w sobie całą możliwą Pierwotną Wolę. Powietrze wokół niej zdało się zafalować.

Nagle autobus zniknął, a potem pojawił się ponownie ustawiony pionowo jakieś pięć metrów nad ziemią. Pasażerowie nie zdążyli nawet krzyknąć, gdy pojazd runął z pełnym impetem w dół i zderzył się z asfaltem, jak ze ścianą. Konstrukcja zaskrzypiała, stalowe belki pękły jak zapalki, a ciała wewnątrz zmieniły się w makabryczną galaretkę z krwi i poszarpanych ubrań. Po sekundzie autobus, przechylił się i opadł z powrotem na koła.

Nagle z bocznego podwórka wyskoczył kolejny motocykl z dwoma jeźdźcami, tak blisko, że nikt z Pięści Daniela nie zdążył nawet zareagować. Dwaj kanibale pędzili wprost na Trakera. Ten spróbował uskoczyć, ale było już za późno. Siedzący z tyłu Ścierwojad zamachnął się ciężką maczetą, jak tatar na polu bitwy. Ostrze świsnęło w powietrzu i wbiło się Trakerowi głowę. Mężczyzna runął bezwładnie na ziemię, a z jego ramienia spadł ranny Poldek.

Przeraźliwy krzyk Elzy przebił się przez ryk motocykla, sprawiając, że na ułamek sekundy wszyscy zastygli. Rozogniona mocą dziewczyna, w mgnieniu oka przeniosła zaskoczonych Ścierwojadów wysoko w niebo, a potem puściła ich, pozwalając, by z krzykiem runęli z powrotem na ziemię.

Ledwie sekundę po tym dziewczyna padła na kolana, łapiąc się z krzykiem za głowę. Dziki od razu rozpoznał, że pozwoliła się ponieść gniewowi i użyła błędów niezgodnie z Pierwotną Wolą.

— Zabierz Poldka, ja się nią zajmę! — krzyknął rozpaczliwie do Noża, usiłując utrzymać przy życiu choć część ich rozproszonej grupy.

Niestety, zanim Nóż zdążył dopaść do rannego kompana, kolejne maszyny wjechały na drogę. Dwa Żuki, opancerzone blachą i nafaszerowane brudnymi, spragnionymi krwi Ścierwojadami, oraz stara Nysa lawirowały między wrakami, usiłując rozjechać ocalałych. Dziki chwycił Elzę pod ramię i ledwo unikając staranowania, zdołał z nią skoczyć w przydrożny rów. Nóż uniknął śmierci w ostatniej sekundzie, odskakując za jeden z motocykli.

W tym samym czasie Poldek, pozostawiony sam sobie, bezskutecznie próbował odczołgać się od martwego Trakera. Zanim jednak przesunął się choćby o metr, rozpędzona Nysa z impetem przejechała po nim, zmieniając go w krwawą miazgę. Ścierwojad kierujący Nysą nie zdołał opanować pojazdu, który podskoczył na ciele Poldka jak na hopce i uderzył z hukiem w ogrodzenie, zatrzymując się w chmurze pyłu i rozprysków rdzy.

Nóż, widząc co stało się z ich kompanem, stracił resztki opanowania. Rozjuszony dopadł do rozbitego auta, szarpnął za drzwi i wywlekl kierującego Ścierwojada na zewnątrz. Przycisnął mu lufę pistoletu pod brodę i wystrzelił. Krew bryznęła mu na twarz, podkreślając tylko furię w jaką wpadł.

— ROZPIERDOLE WAS WSZYSTKICH! — wrzasnął, strzelając do kolejnych kanibali wychodzących z tyłu Nysy.

Jego kule trafiały w głowy i torsy, odsyłając Ścierwojady do niebytu.

W tym czasie oba Żuki zatrzymały się, a z ich wnętrza wypadli kolejni napastnicy. Nóż wystrzelał w tym czasie cały magazynek i chwycił za bagnet, który miał przy pasie. Dziki poderwał się już by mu pomóc, ale poczuł, jak Elza wciąga z powrotem do rowu. Chwilę po tym usłyszał krzyk. Jeden ze Ścierwojadów rzucił prowizoryczną włóczęgą, przeszywając mężczyznę na wylot.

— Jest ich za dużo... — wyszeptała Elza, patrząc Dzikiemu w twarz.

— Nie poddawaj się, damy radę! — zawołał, ale w jej oczach nie było już woli walki.

— Dziki, przekaz Danielowi... powiedz mu, że jak by mnie nie odrzucał... zawsze należałam do niego... tylko do niego... — wysapała, kładąc mu rękę na policzku.

— Elza! CO TY RO...

Dziki upadł z wysokości co najmniej kilku metrów, lądując na twardej wyschniętej ziemi. Gdyby nie fakt, że niemal całe jego ciało pokrywał w tym momencie defekt, uderzenie z pewnością wycisnęłoby z niego cały oddech. Przez chwilę leżał w resztkach zboża, oszołomiony, a w uszach brzęczało mu nieokreślone echo. Podnosząc w końcu głowę, rozejrzał się zdeorientowany.

Najbliższe domostwa widniały w oddali, w postaci niewyraźnych, szarych brył – oddalone o dobre pół kilometra.

Dopiero teraz zrozumiał, że Elza musiała w ostatniej chwili przenieść go z pola walki. Uratowała mu życie i jednocześnie została tam sama...

— ELZA! — wykrzyknął, zrywając się na równe nogi. — TY IDIOTKO! — dodał i rzucił się pędem przed siebie.

— Dlaczego się poświęcasz?! Dlaczego mnie ratujesz?! To ty powinnaś powiedzieć Danielowi to, co miałem przekazać! — wykrzykiwał w sobie, czując jak zaczyna przelewać się przez niego gniew. — Dlaczego cholerni ludzie, nie mogą zachowywać się jak ludzie! Dlaczego ciągle ktoś musi ginąć albo cierpieć zupełnie bez powodu...

Wściekłość i bezradność przelewały się przez niego falami, jak toksyczna lawa płynąca w żyłach. Gdziekolwiek spojrzał, widział teraz obrazy z przeszłości i teraźniejszości zlewające się w koszmarny kalejdoskop.

W głowie stanął mu obraz płaczącej Oli w Garażu, dziewczyny z cmentarza, która zginęła na jego oczach zaraz po tym jak obudził się w Nowym Świecie, a potem jeszcze Elza. Wyobrażał sobie ją wzywającą Daniela, gdy Ścierwojady dźgały ją nożami w plecy. Te wizje i myśli eksplodowały w jego umyśle, przejmując kontrolę nad całym ciałem.

Gniew rozsadzał mu płuca, serce i umysł. Pierwotna Wola zaczęła pulsować w jego wnętrzu, nasycając każdą komórkę energią dzikiej furii. Każdy krok był teraz silniejszy, mocniejszy, niczym uderzenie kopyt wściekłego byka. Przyspieszał coraz bardziej, przekraczając granice ludzkiej wytrzymałości. Łzy wyciskał mu nie tylko ból psychiczny, lecz także pęd powietrza smagający twarz.

Nie liczyło się już nic prócz furii, która kazała mu wyrwać Ścierwojadom życie, unicestwić ich bez litości. Biegł, skacząc po wyrwach i szczątkach drogi, aż w końcu przeskoczył przez rów i niczym artyleryjski pocisk, wylądował z impetem pośrodku opustoszonej ulicy, gdzie leżały ciała jego towarzyszy z oddziału i wraki.

Ścierwojady, zajęte dzieleniem mięsa, zszokowane przyglądały mu się teraz swoimi ukrytymi w szmatach gębami.

Dziki obrócił się powoli, obserwując ich spode łba.

— Zabije was wszystkich... — wyszeptał.

Wściekła gromada ruszyła w jego stronę, a on nie pozostał dłużny. Rzucając się na tą rozpędzoną falę, trafił w pierwszego Ścierwojada gradem nie-ludzko szybkich ciosów. Z ust kanibala momentalnie bryznęła krew, a już po chwili jego truchło utrzymywał w górze tylko nieludzki pęd kolejnych uderzeń.

Przewracając ciałem mężczyzn, stojących za nim napastników, Dziki na koniec gromady dobiegł już właściwie z czymś, co przypominało zmiażdżony worek pokruszonych kości. Obracając się natychmiast, rąbnął Skrzydłami Motyla po asfalcie, zamieniając leżących na nim w proch.

W tym momencie jeden z kanibali stojący z boku podniósł ciśnieniową strzelbę, ale Dziki błysnął jak Zjawą, pojawiając się tuż przed nim. Gdy Ścierwojad naciskał spust, błyskawicznie zmiażdżył lufę u wylotu, sprawiając, że całe ciśnienie uderzyło w strzelca. Ten raniony odłamkami odskoczył do tyłu, a Dziki łapiąc broń jak pałkę, uderzył z taką szybkością i siłą, że korpus Ścierwojada przepołowił się. Górna część truchła rąbnęła o ogrodzenie, a nogi upadły na ziemię tam, gdzie wcześniej stały.

Po tej masakrze wrócił na chwilę do zmysłów. Dobiegając do rowu, doskoczył do miejsca, gdzie upadł wcześniej razem z Elzą. Zobaczył wygniecioną suchą trawę i nic więcej.

— ELZA! ELZA GDZIE JESTEŚ! — zawołał, czując na policzkach lży bezsilnej złości.

Kątem oka zobaczył Ścierwojada wychylającego się zza jednego z samochodów. Błysnął, pojawiając się przy nim, a kanibal zaczął natychmiast uciekać. Nim jednak zdążył odbiec choćby kilka metrów, Dziki chwycił go za szmatę na plecach i cisnął w pobliski wrak z taką siłą, że słychać było łamanie kości.

— Gdzie ona jest... — warknął.

Ścierwojad nie powiedział nawet słowa, a Dziki ściągnął mu chustę z twarzy, ukazując twarz pełną plam od defektu. — GDZIE JEST! — wykrzyczał, łapiąc kanibala za głowę jak imadło.

— MOGUJA CZEM PAMOCZ! — wykrzyczał Ścierwojad, którego czaszka deformowała się pod palcami Dzikiego.

— GDZIE! GDZIE ONA JEST! — krzyczał, Dziki, ale z ust Ścierwojada dobiegał już tylko jeden wielki wrzask.

Po chwili jego głowa eksplodowała.

— Dobrze... — wyszeptał Dziki. — Skoro tak, będę męczył was tak długo, aż się nie dowiem.

Sznur jechał tak szybko, jak tylko pozwalało mu jego pancerne auto. Główna droga była pusta, a po Pięści Daniela albo wsparciu z Hurtowni nie było nawet śladu. W tym całym pędzie zagalopował się nieco, podjeżdżając praktycznie pod bramy miasta. Jego strażnicy byli jednak świadomi zdrady opiekunów schronień, bo natychmiast otworzyli do niego ogień. Na szczęście była to tylko seria pojedynczych wystrzałów, co świadczyło jednocześnie, że większość strażników musiała opuścić miasto i ruszyć do Magistratu. Tylko którą drogą?

Sznur dobrze wiedział, że z Hurtowni do miasta prowadzi kilka szlaków, ale ten najkrótszy pozwalający ominąć Armię Daniela, wiódł niedaleko nory Ścierwojadów.

— Byliby aż takimi głupcami? — spytał sam siebie, wykręcając autem w tą przeklętą drogę.

Rzadko kiedy ktokolwiek poruszał się tym szlakiem. Bliskość kryjówki kanibali skutecznie odstraszała nawet najbardziej zdeterminowanych handlarzy, a budowa schronień w takim miejscu nie miała najmniejszego sensu. Po kilku minutach szybkiej jazdy natknął się na widok, który zgniótł mu wnętrzności. Poczul, jak serce przyspiesza, a pot spływa po karku, gdy przez wizjer ujrzał coś, co wyglądało jak scena z horroru.

Droga była zapchana płataniną ścierwo-pojazdów: stare Żuki, obdrapane motocykle, podziurawione traktory i zardzewiałe wywrotki stały stłoczone w jednym miejscu, jakby ktoś otworzył tu złomowisko. Ale to nie maszyny wstrząsnęły nim najbardziej, tylko wszystko to, co ociekało z ich boków, osi i podwozi.

Asfalt był wypełniony krwią, jakby ktoś wylał tam jej całe cysterny. Pośród wgnieceń i pęknięć w jezdni tworzyły się kałuże posoki, a drobne strumienie czerwieni płynęły między oponami i zawieszzeniami, zmieszane z błotem, olejem i strzępami ubrań.

Zatrzymując pancerniaka, Sznur chwycił za swoją strzelbę, rozkręcając zawór do granic możliwości. Broń zadrgała na skraju rozsadzenia, ale mając przed sobą taki widok, mężczyzna nie był w stanie się tym przejąć.

Przechodząc między wrakami, dostrzegł stosy ciał. Zarżnięte Ścierwojady leżały bezwładnie rozrzucone po całym terenie. W tym momencie spostrzegł również Dzikiego. Chłopak krążył dookoła ogromnej cysterny z wielkim napisem Dzik—1 na boku. Gdy chciał już go zawołać, kolejna rzecz, jaką zobaczył sprawiła, że o mało nie wypuścił strzelby z ręki.

Tuż przy kołach cysterny leżała grupa związanych Ścierwojadów. Cały pobliski rów wypełniony był jakimś żółtym gazem, a w jego oparach leżało jeszcze więcej ciał. Dziki podszedł do jednego z leżących na ziemi kanibali i podniósł go bez wysiłku.

— To samo pytanie. Gdzie ona jest? — spytał przeciągając Ścierwojada w pobliże rowu.

— Ne prowa ja ce ne znaju lubecebet! — zawołał kanibal.

— Nic z tego nie rozumiem... — westchnął Dziki bez namietnie i wpechnął go do rowu z gazem.

Ścierwojad lądując w rowie, wydał z siebie niewyobrażalny wręcz wrzask, rzucając się przy tym jak ryba wyrzucona na brzeg. Po chwili jego ciało zaczęło puchnąć, a z ust wystrzeliły wymiociny.

— Znałem na Zarzeczcu ludzi, którzy mieli więcej serca dla swoich nieprzyjaciół... — zawołał w końcu Sznur, spoglądając z lękiem na Dzikiego.

— O Sznur! Cześć... Co cię tu sprowadza? — spytał chłopak w całkowitym amoku, podnosząc kolejnego Ścierwojada.

— Pierwszy chciał, żebym sprawdził co z wami. Długo nie wracaliście — odparł mężczyzna. — Co tu robisz? — spytał natychmiast.

— Hmm — zamyślił się Dzik. — Chyba depopulacje... — stwierdził w końcu, przytrzymując kanibala nad rowem. — Znasz pytanie!

— Nie Ma! — krzyknął Ścierwojad.

— A to i ja wiem, że nie ma... JA SIĘ PYTAM, GDZIE JEST! — warknął Dzik.

— NIE MA! — wrzasnął Ścierwojad i po chwili wylądował w rowie z gazem.

Sznur zbliżył się niepewnie do Dzikiego, wciąż trzymając broń w rękach. — Mam wrażenie chłopcze, że twój umysł pozostał za drzwiami...

— To ma być metafora tego, że oszalałem? I o ironio mówisz mi to właśnie ty... — zaśmiał się Dzik, kładąc rękę na czole — Nie! Bo widzisz, mój umysł dopiero teraz jest na swoim miejscu. Teraz dopiero zrozumiałem tak wiele ważnych rzeczy. Wszyscy dobrzy ludzie wzbraniają się przed zabijaniem, bo to złe, niemoralne i straty—pierdaty... Przez tę cholerną powściągliwość doprowadziliśmy do stanu, w którym na świecie została zaledwie garstka dobrych ludzi i całe morze skurwysynów. Dość tego! Tych bydlaków trzeba ciąć jak kłosa kombajnem, do momentu aż nie oczyścimy świata, z ludzi których nie powinno tu być... — nagle Dzik przerwał, a jego oczy zatańczyły szaleńczo po okolicy.

Sznur odłożył broń, zbliżając się powoli do owładniętego szaleństwem chłopaka. — Dzik uspokój się... Gdzie jest twój oddział? Twój dowódca? — spytał.

— Nie ma... — zapłakał Dzik. — Wszyscy nie żyją... a ją zabrali i nie chcą mi powiedzieć, gdzie.

— Dzik, Ścierwojady nie mówią... — wyjaśnił Sznur. — Im się poprzestawiało w głowach, bo jedli potwory.

Chłopak zrobił nagle minę, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co robi.

— Nie mówią... Masz rację, oni nic mi nie powiedzą — w tym momencie dobiegł do cysterny i gwałtownym ruchem odkręcił zawór.

Żółty gaz błyskawicznie zaczął rozlewać się na ulicę. Przestraszony Sznur doskoczył do Dzikiego i w ostatniej chwili odciągnął go od oparów. W tym czasie okolicę wypełnił dźwięk konających kanibali.

— Dzik, nie pozwól by twój umysł pozostał za drzwiami... — wyszeptał Sznur.

— Nic tu po nas. Ona już pewnie nie żyje... — westchnął chłopak w od ruchu trzeźwości.

Dzik czuł w głowie absolutną pustkę, jakby jego przepełniony uderkami umysł w końcu się opróżnił. Jedynym bodźcem docierającym do jego świadomości było rytmiczne podskakiwanie pancerniaka na pełnej wybojów drodze. Za każdym razem, gdy koła natrafiały na dziurę w asfalcie, wóz nieprzyjemnie drżał, jak gdyby usiłował wyrzucić z siebie jadących nim mężczyzn.

Dopiero po chwili Dziki przypomniał sobie, że jeszcze przed momentem szukał Elzy.

— *Ciekawe, czy zabiłem już wszystkie Ścierwojady...* — pomyślał, a Pierwotna Wola ponownie rozplynęła się po jego ciele niczym płynna stal, rozgrzewając mięśnie gniewem i siłą. — Gdy tylko uporamy się z Magistratem, na pewno to sprawdzę...

Sznur, kierując pojazdem, spoglądał w stronę Dzikiego dyskretnie, ale wystarczająco często, by zdradzić swój niepokój. W jego oku widać było strach, jakby spodziewał się, że Dziki zaraz coś mu zrobi. Ten jednak dobrze wiedział, że Sznur jest dobrym człowiekiem, zasługującym na świat oczyszczony z potworności, które go zaludniały. Próbując uspokoić mężczyznę, uśmiechnął się szeroko, ale efekt był odwrotny do zamierzonego, bo jednooki natychmiast odwrócił wzrok, wyraźnie zaniepokojony.

— *Jeszcze nie jest w stanie zrozumieć...* — pomyślał Dziki z westchnieniem. Nie miał mu tego za złe. Sam dopiero niedawno pojął...

Wkrótce z oddali dobiegły odgłosy wystrzałów, a Sznur nerwowo sięgnął po radio.

— Pierwszy! Słyszysz mnie? — zawołał, do mikrofonu. — Mam ze sobą Dzikiego, ale reszty oddziału nie znalazłem...

W odpowiedzi rozległo się trzeszczenie, po którym zabrzmiał głos mężczyzny — Przebijamy się do kryjówki Smutnego! Jest pilnowana mocniej niż myśleliśmy! Zabierz Dzikiego w bezpieczne miejsce!

Dziki skrzywił się, słysząc te słowa.

— Nie zgadzam się! Wieź mnie do kryjówki. Pomogę Pierwszemu! — zażądał stanowczo.

Sznur spojrzał na niego z wątpliwością na twarzy.

— Nie wyglądasz najlepiej. Pierwszy ma rację, powinieneś przeczekać w bezpiecznym miejscu.

Dziki, nie zamierzając słuchać sprzeciwu, wyciągnął rękę w kierunku deski rozdzielczej. Od razu poczuł przypływ Pierwotnej Woli. Silnik pancerniaka zgasł momentalnie, a wóz zaczął zwalniać.

— Albo wieziesz mnie do kryjówki Smutnego, albo unieruchomię ci ten pojazd na stałe — oświadczył.

Wiedział, że szantaż to marna metoda wobec dobrych ludzi, ale nie miał wyboru. Tu chodziło o coś więcej.

— D...Dobrze — wyjąkał Sznur, cały spięty. — Pozwól mi tylko jechać dalej ...

Dziki pstryknął palcami, wyszeptując „Valoar!”, a pancerniak ożył ponownie. Sznur bez słowa wiozł go dalej.

W oddali minęli właśnie budynek szkoły, w której mieścił się Magistrat. Walka rozgorzała tam w pełni, ale miejsce nie było ich celem. Wjechali na-

tychmiast na drogę prowadząca już poza powiat Krańcowo. Widząc to, Dzikiego rozejrzało się z zaciekawieniem.

— Gdzie jest kryjówka Smutnego? — zapytał.

— W „Kościele Matki Boskiej Pomocy Wiecznej” — odpowiedział cicho Sznur.

— Małe okna, potężne wrota... Dobre miejsce do obrony — rzucił Dzikiego, ale rozmowa się urwała, bo jego kompan nie kwapił się do pogawędki.

Po kilku minutach jazdy znaleźli się przed zabytkową świątynią. Scena, jaka ich przywitała, przypominała oblężenie z dawnych czasów. Schody kościoła spływały krwią Niewykształconych, a wśród ich ciał Bracia wraz z Danielem próbowali właśnie sforsować masywne wrota. Używali do tego ogromnego pnia drzewa, służącego im za taran. Odgłosy uderzeń niesły się szerokim echem.

Gdy pancerniak zatrzymał się, Dzikiego wyskoczył z pojazdu i podbiegł do atakujących.

— Potrzebujecie ręki... znaczy Pięści? — zawołał.

Daniel natychmiast odwrócił się, puszczając prowizoryczny taran.

— Dzikiego! Gdzie Elza? Gdzie reszta twojego oddziału? — spytał z niepokojem.

Przywołanie jej imienia rozdarło serce Dzikiego. W jego oczach pojawiły się łzy.

— Elza... kazała ci powiedzieć, że... choć ją odpychałeś, zawsze należała tylko do ciebie... — wyszeptał, a zaraz potem poczuł jak Pierwotna Wola, zaczęła wypełniać okolice.

— Dość tego! — wykrzyczał gniewnie Daniel. — To była ostatnia osoba, która przez ciebie zginęła... — mówiąc to jednym potężnym uderzeniem, odebrał z zawiasów stalowe wrota, które jeszcze przed chwilą nie dały się ruszyć taranem. — Bracia, tu już nie chodzi o Krańcowo, ta jedna osoba sprawiła, że to stało się osobiste...



Rozdział XIX

Świat, który umarł

Po tym jak padły drzwi, szturmujący wtargnęli do wnętrza kościoła. Na czele grupy szedł oczywiście Daniel, otoczony aurą Pierwotnej Woli tak intensywną, że zdawała się wypełniać całą przestrzeń. Tuż za nim podążało ledwie dziesięciu członków oddziału Braci (Adrian, Adrian Drugi, Bartek, Błażej, trzej Łukasze, Tomek, Michał i Wiktor) oraz Dziki, który dołączył do oddziału w ostatniej chwili.

Decyzja Daniela, by do kluczowej bitwy zabrać tak nieliczne i niezbyt doświadczone wsparcie, wydawała się co najmniej dziwna. Brak bardziej zaprawionych w boju żołnierzy, takich jak Maciejewski czy Cichy, budził u Dzikiego zrozumiałe wątpliwości. Wszystko wskazywało jednak na to, że rozbicie Pięści Daniela i utrata całego zapasu Osowca, poważnie pokrzyżowały pierwotne plany. Główne siły były prawdopodobnie potrzebne, by zabezpieczyć atak na stolicę Zarzeczca i nie dopuścić, by ofensywa załamała się, zanim dopadną Smutnego.

Mimo skromnych sił, nikt z atakujących kościół raczej nie dopuszczał do siebie myśli o porażce. Daniel emanował Pierwotną Wolą z taką intensywnością, że nawet Bracia, którzy nigdy nie posługiwali się błędami, patrzyli na niego, jakby czuli na sobie jej potężny wpływ.

W tej sytuacji Dziki było przekonany, że nawet Smutny nie będzie miał szans i w zderzeniu z tą siłą, skończy swoje istnienie w sposób szybki i (oby) bolesny.

— *Jak dobrze pójdziesz, będę mógł błyskawicznie wrócić i dopilnować by każdy Ścierwojad zdechł, klęcząc kolanami we własnych flakach...* — pomyślał, a ta makabryczna wizja podniosła go na duchu. — *Potem chyba sprawdzę, czy Ostry żyje i dopilnuje, by już nie żył...*

Z sadystycznych rozmyślań wyrwał Dzikiego, widok wkradającego się przez wyrwane drzwi Pierwszego. To właśnie jego brakowało mu w całej szturmującej kościół grupie. Jeszcze przed chwilą myślał, że dawny towarzysz nie dołączy do walki ze Smutnym, biorąc pod uwagę, że ten doskonale znał jego największą słabość.

— Dziki, co z tobą? — spytał natychmiast Pierwszy, podbiegając do niego. — Co ty w ogóle tutaj robisz? Sznur miał cię zabrać w bezpieczne miejsce...

— Pomyślałem, że pomogę... — odpowiedział beztrząsco Dziki, jakby mowa była nie o walce, a co najwyżej wspólnym wynoszeniu mebli. — No i szczerze? — wtrącił. — Liczyłem trochę, że sam zabiję Smutnego, zanim zdąży to zrobić Daniel. Ale teraz..., czujesz to? — spytał, odwracając się i rozglądając po bocznej nawie, która ciągle wypełniona była Pierwotną Wolą Wodza. — Po tym, co stało się z Elzą, wiem, że nie zdążę. Smutny padnie szybciej niż dobiegnę do jego ciała. No nic, chodźmy, bo zaraz przegapimy rozstrzygnięcie... — stwierdził nonszalancko i ruszył w kierunku oddalającej się grupy.

Pierwszy zamarł przez chwilę, jakby nie mógł sobie uświadomić co właśnie usłyszał. Po chwili otrząsnął się z szoku i chwycił Dzikiego za ramię obracając go siłą w swoją stronę.

— DZIKI! — ryknął, a jego głos odbił się echem od kamiennych ścian kościoła. — Co się z tobą dzieje? Nie zachowujesz się normalnie...

W tym momencie Dziki poczuł zimny dreszcz, który przebiegł przez całe jego ciało. Jakby coś w jego wnętrzu pękło. Coś, co przez cały ten czas chroniło go przed nagromadzonymi emocjami. Stara świadomość, dawne uczucia i wspomnienia przebiły się przez ten mur, który stworzył w środku, by przetrwać. Wszechobecna śmierć, która go otaczała, gorycz gromadzona od przybycia do Nowego Świata, poczucie winy i żalu, które go przytłaczało — wszystko to nagle wybuchło jak tama puszczająca pod naporem wody.

Nie mogąc już dłużej się powstrzymać, Dziki rzucił się na ramię Pierwszego, a łzy popłynęły mu po policzkach.

— Nie daję już rady, Pierwszy... — wychrypiął, łapiąc z trudem oddech między kolejnymi falami dławiącej go goryczy. — Nie chcę być w tym cholerным świecie ani chwili dłużej. Mam już dość... KURWA, DOŚĆ! DOŚĆ!!! — ryknął, a echo jego bólu odbiło się od surowych, zimnych ścian świątyni.

Pierwszy, zszokowany tym wybuchem, zamarł na ułamek sekundy. Potem, wbrew swojej szorstkiej naturze, położył dłoń na ramieniu Dzikiego.

— Spokojnie... — wyszeptał z nieoczekiwanym współczuciem. — Nie możesz się teraz poddać. Ten świat..., on potrzebuje takich jak ty. Nie pozwól, żeby to wszystko cię zniszczyło. Rozumiesz?

Dziki tylko pokręcił głową, nie znajdując w sobie dość sił, a Pierwszy dodał cicho — Nie trzeba było tu przychodzić...

— *Właśnie, że trzeba było!* — pomyślał Dziki, czując, jak mur gniewu, który z takim trudem wznosił, znowu wraca na swoje miejsce. — *Zbyt wiele zła dokonało się, bo pozostawałem bierny.*

Kręcąc w stronę Pierwszego głową, poczuł, jak Pierwotna Wola i żądza śmierci znów napęniają jego ciało.

— Nie rozumiesz... Muszę zobaczyć, jak to się kończy. Muszę ujrzeć, jak on umiera. Dopiero wtedy będę mógł uwierzyć, że śmierć tych wszystkich ludzi, którzy zginęli po tej stronie, nie była nadaremna...

Pierwszy, zaniepokojony tą przemianą, wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, jakby próbował odgadnąć, czy Dziki nie stanowi teraz zagrożenia dla siebie i tego, co miało się za chwilę wydarzyć. Nim jednak zdołał wyciągnąć jakiegokolwiek wnioski, z korytarza prowadzącego do głównej części świątyni dobiegł huk wyważanych drzwi.

— Idziemy! Trzymaj się blisko mnie... — rozkazał Pierwszy, ruszając w stronę hałasu.

Z bocznego korytarza, biegnącego obok kancelarii parafialnej, przeszli przez kolejne zniszczone drzwi i dołączyli do Daniela oraz jego ludzi, którzy wchodzili właśnie do głównej części kościoła.

Wnętrze, choć na pierwszy rzut oka wciąż przesycone zapachem dymu i kadzidel, straciło jakikolwiek sakralny charakter. Ściany, z których zniknęły obrazy i dewocjonała, nosiły ślady jasnych plam po zdjętych elementach, a ławy i krzesła zastąpiły w większości skrzynie z zapasami i prowizoryczny sprzęt medyczny.

W centrum pomieszczenia, na miejscu dawnego ołtarza, stały dwa fotele dentystyczne, na których leżały ciała dwóch osób. Jedno należało do Smutnego, drugie najprawdopodobniej do prezydenta Nadii. Ich pozbawione wyrazu blade twarze odbijały się w dziesiątkach podłączonych kroplówek. Wokół nich krzątał się personel medyczny w zielonych fartuchach, który dopiero zauważył wkraczających do kościoła członków Armii Daniela. Lekarze momentalnie zeszytnieli z przerażenia, ale Daniel i jego bracia również odrętwieli, tylko, że z zupełnie innego powodu. W bocznej nawie, niczym groteskowy posąg, stał Krańcowski Dziad. Był tak olbrzymi, że przypominał wyrzeźbiony z drewna posąg jakiegoś słowiańskiego bóstwa. Jedyнным dowodem, na to, że żyje, była delikatnie unosząca się i opadająca klatka piersiowa.

To nie Dziad wprowadził jednak Dzikiego w największe osłupienie. U stóp ołtarza krążył największy i najstarszy Delimer, jakiego kiedykolwiek widział. Potwór był tak ogromny, że swoim rozmiarem dorównywał samochodom dostawczym. Jego masywna, przerośnięta maska była pokryta rdzą i przesyta dziesiątkami nitów. Co najbardziej zaskakujące, Niewyksztalceni zdawali się kompletnie ignorować krążących wokół nich lekarzy.

Przez wyjątkowo długą, jak na tę sytuację, chwilę nikt nie ośmielił się nawet poruszyć. Daniel, stojąc w napięciu na czele oddziału, przesuwał wzrokiem po wnętrzu kościoła, najwyraźniej próbując błyskawicznie opracować jakiś plan działania. Dziki wraz z Pierwszym zatrzymali się w półcieniu pod antresolą organową, podczas gdy lekarze w zielonych fartuchach wpatrywali się bez ruchu w przybyłych członków Armii.

Ten pat przerwał nagły, głuchy huk, przypominający grom. Dźwięk zdawał się dobiegać z samego serca świątyni, rezonując w jej starych, spróchniałych belkach i wstrząsając fasadami. W powietrzu zadrżały niewidzialne

fale, a stojący pod ołtarzem medycy odruchowo cofnęli się o krok. Chwilę później ciało Smutnego zadrgało i wykonując dziwaczny, nienaturalnie rozwlekły ruch, uniosło się powoli w górę, niczym olbrzymia, groteskowa pacynka na sznurkach lalkarza.

— Oglądam sobie spokojnie walki nad Magistratem, aż tu nagle goście w moim domu. CO ZA NIESPODZIANKA!!! — zagrmiał potężny głos, rozbrzmiewając echem pod sklepieniem.

Bracia spojrzeli na tę scenę z wyraźnym lękiem, Daniel jednak stał niewzruszony.

— Wysoko aspirujesz, jeśli za swój dom uważasz kościół... — skwitował z wyraźną kpina, krzyżując ramiona na piersi.

Zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek dodać, wnętrzem kościoła ponownie wstrząsnął huk, jeszcze głośniejszy i głębszy niż wcześniej. Tym razem, to ciało Nadii zadrgało. Kobieta, podobnie jak Smutny, uniosła się powoli w powietrze i zawisa obok niego, przypominając kolejną marionetkę w rękach niewidzialnego lalkarza.

Dziki mógl teraz po raz pierwszy przyjrzeć się z bliska kobiecie, która była katalizatorem tej wojny. Prezydent Nadia wyglądała jak typowa urzędniczka z czasów Starego Świata: ostre rysy twarzy, wąskie, zaciśnięte usta i włosy spięte w perfekcyjny kok. Gdyby nie martwa pustka bijąca z jej szeroko otwartych oczu, byłaby najprzeciętniejszą z przeciętnych kobiet.

— *Chętnie podziękowałbym ci za wszystkich, których przez siebie straciłem...* — pomyślał z goryczą, w wyobraźni zaciskając dłonie na jej długiej szyi.

Nadia jednak nie mogła odczytać jego myśli i skupiła się całkowicie na Danielu.

— Więc to jest ten cały legendarny przywódca Armii Daniela? — spytała głosem ociekającym od pogardy. — Typowy odpad, który w Starym Świecie był nikim, a dla którego Nowy Świat stał się awansem społecznym...

Słyszając te słowa, Daniel uśmiechnął się chłodno.

— Problem z opiniami jest taki, że dotyczą nas tylko te, które są wygłaszane przez ludzi, na których opinie nam zależy — odparł spokojnym, niemal obojętnym tonem. — A opinia kogoś, kto za trzy minuty będzie martwy, interesuje mnie raczej niewiele...

Nadia, zamiast odpowiedzieć gniewem na ten przytyk, uniosła brwi w udawanym zdumieniu.

— A co z opinią twoich ludzi, których zostawiłeś w Magistracie? — spytała z wyraźną ironią. — Myślę, że ci, którzy przeżyli starcie z moimi Zwiadowcami, mają cię teraz za tchórza i przeklinają dzień, w którym przysięgli ci wierność.

Daniel wsłuchując się w słowa kobiety, wciąż wyglądał na niewzruszonego.

— Moi żołnierze nie będą walczyć do końca — odparł z kpiną. — Mielibyście jedynie pozorować atak, bym mógł dotrzeć tu bez komplikacji z niewielką grupą. W tej chwili pewnie już wracają do H-Marketu... Kapitulację Magistratu mam zamiar wymusić, wyważając jego wrota twoją odciętą głową — dodał na koniec.

Słyszając jego słowa Dziki nie mógł się powstrzymać i zaklaskał z entuzjazmem, ale Pierwszy natychmiast spojrzał na niego karcąco.

— Nie zwracaj na nas uwagi... — wyszeptał.

Na szczęście Smutny i Nadia wciąż koncentrowali się na wodzu. Słyszając jego groźbę, oboje zaśmiali się szyderczo, a ich bezwładne ciała zawirowały w powietrzu niczym demoniczne marionetki. Oderwany jaźnią mężczyzna, odezwał się ponownie, głosem ociekającym szyderstwem — Gdyby nie Pierwszy, zginąłbyś nieświadomy, dalej zastanawiając się w swoim pseudo-królestwie, czy powinienes z nami walczyć. Jedyne, co tobą kieruje, to pycha podparta fałszywymi wyobrażeniami własnej potęgi. Nie zbliżyłeś się nawet do prawdziwego poziomu mocy, jaki mogą osiągnąć użytkownicy Woli...

— Mam do ciebie tylko jedno pytanie, Smutny — przerwał mu Daniel, unosząc brew w udawanym zainteresowaniu.

— Pytaj! — zagrmiał mężczyzna, a w jego głosie wyczuwało się przewagę i pogardę.

— Chcecie, żebym was pochował razem? A może ta twoja szmata jest ci obojętna i wolisz osobno? — zakpił Wódz, wbijając wyraźną szpilę w ego przeciwników.

— DOŚĆ! — ryknęła Nadia, tracąc cierpliwość. — Za długo ciągniemy tę beznadziejną sprawę z Centrum. Dziś zabijemy jego przywódców, jutro mieszkańców, a potem zrównamy to miejsce z ziemią! BIERZ GO! — rozkazała Dziadowi, wskazując na Daniela.

Niewykształcony, wyglądający wcześniej jak gargantuiczny pomnik, ruszył do przodu, a jego krok wstrząsnął murami starej świątyni.

Wódz widząc to, uśmiechnął się, jakby tylko czekał na ten ruch.

— Trzymajcie się z tyłu, Bracia i podziwiacie, co potrafi najpotężniejszy w Krańcowie! — oznajmił z rozbijającą pewnością siebie.

Jego kompani odskoczyli natychmiast pod ściany świątyni, ustępując miejsca nieuchronnemu starciu, a potwór zamachnął się ciężką jak głaz ręką, mierząc bezpośrednio w Daniela. Gdy ogromna kończyna uderzyła, huk i jego echo rozeszły się po murach, a poderwany pył uniósł się w powietrze, tworząc mglisty obłok, który przysłonił na chwilę wszystko.

Dziki, był niemal pewien, że Wódz został zmieciony z powierzchni ziemi. Kiedy jednak pył opadł, wszyscy w kościele zamarli w niedowierzaniu. Daniel stał niewzruszony, jakby zakotwiczony w marmurowej posadce. Pięść Dziada, która powinna była zmieść go jednym ruchem, utkwiła w nim bez-

radnie, jak kosa na twardym, betonowym słupie. Wódz nie cofnął się nawet o centymetr, a jedyną oznaką jego wysiłku było lekkie drganie wyciągniętych rąk, którymi powstrzymał uderzenie.

— Miałeś swoją szansę... — wyszeptał gniewnie i odrzucając pięść potwora na bok, bez zwłoki chwycił jego kolosalną nogę.

Dziad zaryczał głucho, usiłując zachować równowagę, ale Wódz pociągnął go z siłą, która przekraczała granice ludzkich możliwości. Niewykształcony runął z hukiem na posadzkę, desperacko chwytając się po drodze kamiennych ścian kościoła. Wstrząs po jego upadku był tak potężny, że belki podtrzymujące strop jęknęły, a kawałek betonowego sufitu oderwał się i z trzaskiem uderzył o podłogę.

W całym tym zamieszaniu Pierwszy, rzucił znaczące spojrzenie w stronę Dzikiego, a potem zaczął bezgłośnie przemykać wzdłuż ściany, kierując się ku ołtarzowi.

Dziki przez moment wahał się, zastanawiając, czy powinien ruszyć Danielowi z pomocą. Patrząc jednak, jak Wódz z niewiarygodną łatwością objął twarz leżącego potwora, niczym manekina treningowego, zdał sobie sprawę, że jego interwencja jest zbędna.

— Może jednak będę miał okazję sprowadzić sprawiedliwość na głowę tej wyniosłej kobiety... A może nawet ukarzę Smutnego za próbę zniszczenia Centrum... — przemknęło mu przez myśl i zaczął przekradać się za Pierwszym, który ewidentnie planował jakiś atak z zaskoczenia.

Choć lewitująca para wydawała się pochłonięta walką Daniela z Dziadem, gdy tylko zbliżyli się do ołtarza, głos Smutnego zagrzemiał, wskazując, że był w pełni świadomy ich obecności. Obracając bezwładną, zwisającą głowę w kierunku Pierwszego, syknął pogardliwie — Moja percepcja wykracza obecnie poza ludzkie rozumowanie i postrzeganie świata! Naprawdę myślałeś, że zdołasz się obok mnie przekraść?

Pierwszy, zatrzymując się na moment, uniósł głowę i odpowiedział twardym, wyraźnym głosem — Mówisz o sobie, jak o istocie wyższej, a zachowujesz się jak człowiek bez kręgosłupa i charakteru. — W jego głosie było przy tym tyle jadu, że nawet Dziki spojrzał na niego zaskoczony. — Ciągłe powtarzałeś, że nie obchodzą cię przyziemne sprawy, a jednak szkoliliś Zwiadowców. Mówiłeś, że nie dbasz o to, kto wygra wojnę, a teraz walczysz w imieniu Zarzeczca. Jesteś kłamcą, Smutny! — wyrzucał dalej.

Oderwany od ciała mężczyzna warknął z wściekłością, jakby słowa Pierwszego boleśnie go ukuły.

— Sam jesteś temu winien! — syknął, a tubalny głos wypełnił mroczne wnętrza świątyni. — Gdybyś stanął po mojej stronie od początku, nie doszłoby do tego! Z twoją pomocą byłbym niepokonany i nie musiałbym mieszać się w żaden konflikt... Na twoje nieszczęście, w końcu pojąłem, że wcale cię nie

potrzebowałem! Zmarnowałem tyle czasu na nasze pakty, zamiast znacznie wcześniej poszukać kogoś, kto — tak jak Nadia — rozumie, że warto poświęcić wszystko w drodze do boskości!

— Boskości? — wtrącił zszokowany Pierwszy, wbijając spojrzenie w lewitujące postacie. — Od dnia, w którym cię poznałem, sądziłem, że jesteś nie-zrównoważony, ale teraz widzę, iż przez błędy całkiem straciłeś kontakt z rzeczywistością...

Smutny, drgając w powietrzu niczym obłąkana marionetka, roześmiał się gorzko.

— Zmieniam Krańcowo wedle własnej Woli! — zagrmiał. — Powiedz mi więc: kim mnie to czyni?

— Użytkownikiem Pierwotnej Woli, ni mniej, ni więcej... — odparł beznamiętnie Pierwszy, wzruszając lekko ramionami. — Ale skoro już się widzisz w roli boga, zrób najważniejszą rzecz dla bóstwa — dodał prowokacyjnie.

— Jaką? — spytał natychmiast Smutny, zaskakująco zainteresowany.

— Zmusz mnie, żebym ci się pokłonił — rzucił wyzywająco Pierwszy, a jego słowa zaostrzyły napięcie panujące pod sklepieniem świątyni.

Nadia, dotąd wpatrująca się wyłącznie w Daniela, wybuchła nagle z wściekłością krzycząc — Ty bezczelny pajacu! Żyjesz tylko dlatego, że Paweł poręczył za ciebie! Tłumaczyłam mu, że jesteś zagrożeniem, ale on uparcie powtarzał, iż w Starym Świecie przetrwał dzięki waszym rozmowom! Docień dar życia, który od niego dostałeś, i wynoś się!

Jej ciało wykonało przy tym gwałtowny ruch w dół, jakby chciała wystraszyć Pierwszego, udawanym atakiem.

Weteran popatrzył jednak na nią chłodno — Dar życia? Żyję, bo mi na to pozwoliliście? — powtórzył ironicznie. — W Krańcowie istniała tylko jedna osoba zdolna mnie zabić, i to wyłącznie dlatego, że jej Wola została stworzona na przekór mojemu istnieniu. Smutny doskonale wiedział, że w krytycznej sytuacji stanę po stronie Centrum. Po prostu bał ci się powiedzieć, że nie ma mocy, by mnie powstrzymać...

Te słowa przelały czarę goryczy. Nadia, nie wytrzymując dłużej prowokacji, ruszyła ku Pierwszemu, starając się przytłoczyć go siłą swej wybudzonej Woli. Gdy miała już runąć w dół jak jastrząb na ofiarę, niespodziewanie na jej drodze stanęła sylwetka Smutnego.

— NIE! — ryknął władczy tonem, rozkładając bezwładne ręce. — ON CIĘ SPECJALNIE PROWOKUJE! NIE WOLNO CI GO TKNAĆ! — krzyknął, a w jego głosie pobrzmiwała rosnąca desperacja.

Kobieta nie zamierzała go jednak słuchać.

— Za długo byłam zmuszona tolerować jego wybryki i to, jak sabotował zdobycie Centrum. Pokażę ci teraz, że od początku nie należało się go bać! — stwierdziła, opadając niżej.

Gdy tylko stopy pani prezydent dotknęły ziemi, coś w jej ciele natychmiast się zmieniło. Głowa, która wcześniej wisiała bezwładnie, wyprostowała się, a w brązowych oczach pojawiły się iskry życia. Nadia stanęła pewnie, jakby jej oderwana przedtem jaźń w pełni powróciła na swoje miejsce.

W tym samym czasie Daniel kończył walkę z Dziadem. Oszołomiony Niewykształcony przypominał boksera, który przez całą rundę przyjmował ciosy w głowę. Ślaniał się na olbrzymich nogach, ledwo utrzymując równowagę, a jego ataki stały się chaotycznymi wymachami, pozbawionymi precyzji i siły. Wódz, widząc to, spojrzał na potwora z politowaniem.

— Nie jesteś nawet największym Dziadem, jakiego zabiłem... — prychnął z pogardą.

Po chwili błysnęło, a sylwetka Wodza błyskawicznie pojawiła się na wysokości głowy stwora. Nim grawitacja zdążyła ściągnąć go w dół, Daniel wprowadził potężny sierp, który wbił Niewykształconego w boczny witraż.

Opadając ciężko na nogi, Wódz otrząpał bluzę i mocniej podwinął rękawy.

— Idę po ciebie! — krzyknął w stronę Smutnego.

Oderwany od ciała mężczyzna był jednak tak skupiony na swojej towarzysze, że nawet nie odwrócił się w stronę Wodza. Machnął jedynie luźną ręką, a drzwi od prezbiterium otworzyły się jak pociągnięte niewidzialnym sznurkiem. Ze środka natychmiast wypadła grupa obrzydliwych Niewykształconych.

Dziki nigdy wcześniej nie widział takich istot. Były masywne i opasłe, jak zawodnicy sumo, ich sylwetki przytłaczały nie tylko masą, ale i dziwnym, groteskowym wyglądem. Twarze mieli wyschnięte, białe, jakby posklejano je z popiołu, podczas gdy reszta ciała była czarna i przepasana fioletowymi pasami przypominającymi liturgiczne szaty. Istoty poruszały się powoli, wydając z siebie niski, monotonny pomruk, który brzmiał jak cicha, ponura modlitwa.

Obserwując, jak te potwory wynurzają się z głębi kościoła, Dziki pomyślał, że rozpierzchną się po całej świątyni i zaatakują losowo wybrane ofiary. Ku jego zaskoczeniu, masywne bestie minęły lekarzy oraz Braci i popędziły prosto na Daniela.

Ten widok upewnił tylko Dzikiego w przekonaniu, że Smutny miał pełną kontrolę nad potworami dzięki potędze swojej Pierwotnej Woli. Skoro więc skierował ich przeciw Wodzowi, nie miał zamiaru mu w tym przeszkadzać. Zaciśkając pięści, poczuł niewyobrażalną chęć, zakończenia żywota stojącej przed nim pani prezydent. Wyobrażał sobie, jak przygniata ją do podłogi i pozbawia tchu, jak mści się za wszystkich, którzy przez nią zginęli. Jego Pierwotna Wola zabuzowała, ale gdy miał już ruszyć do ataku, usłyszał szept Pierwszego:

— Pomóż Danielowi. Ja zajmę się Nadią...

Dziki wahał się przez ułamek sekundy, ale ufając, że jego kompan ma jakiś plan, skinął głową i ruszył ku najbliższemu Niewykształconemu. Stwór,

skupiony całkowicie na szaleńczej próbie dotarcia do Daniela, nie zwrócił nawet uwagi, gdy zderzył się z jego bokiem obalając na ziemię. Po tej szarży miał mu zadać cios przepelniony siłą Pierwotnej Woli, ale stwór otworzył nagle usta i wyrzucił z siebie jakiś dym.

Dziki zaklął bezgłośnie, odskakując w tył. Jego twarz zapłonęła pięknym bólem, jakby ktoś rozpylił w powietrzu żrący chemiczny środek. Jednocześnie usłyszał w głowie potężne, przeraźliwe dzwony. Dźwięk ten pulsował w jego skroniach, a płuca zaczynały z nim rezonować, utrudniając oddychanie. Przez łzawiące oczy zdołał dostrzec, jak potwór dźwiga się z ziemi, gotowy do dalszego ataku. Próbował zamachnąć się na oślepa, polegając na instynkcie, ale wtedy poczuł, jak czyjaś ręka chwyta go pod ramię, powstrzymując przed kolejnym bezskutecznym ruchem.

Wśród piekielnego dźwięku dzwonów usłyszał stłumiony głos Brata Wiktora — Zabiorę cię stąd.

Tuż nad ich głowami padły właśnie strzały. Bracia najwyraźniej nie zamierzali pozostawiać walki wyłącznie w rękach Wodza i rozpoczęli ostrzał Niewykształconych. Wiktor, doprowadzając Dzikiego pod główne drzwi, natychmiast skinął na stojącego obok Łukasza, który spytał — Co z nim?

— Nic mi nie jest... — wychrypiał Dziki, przecierając załzawione oczy.

Gdy w końcu oderwał dłonie od twarzy, dostrzegł coś przemykającego wzdłuż nawy. Na początku wziął to za ciemną plamkę na podrażnionej siatkówce, ale kiedy owa „plamka” uderzyła w główne wrota i wyrwała je na zewnątrz, zrozumiał, co zobaczył. To Pierwszy, trafiony jakąś niewyobrażalną siłą, został wyrzucony z wnętrza świątyni, przebijając się przez drzwi jak pocisk.

Nadia wypadła tuż za nim, nie zwracając najmniejszej uwagi na zebranych przy drzwiach Braciach.

Dziki natychmiast poderwał się z kłeczek i ignorując pieczenie w oczach i szum w uszach, przebiegł przez pozbawione wrót wejście, wybiegając na plac przed kościołem.

Rozglądając się za kompanem, niespodziewanie usłyszał w głowie głos Smutnego — *Zastanawiam się, po co właściwie tu jesteś. Splacasz dług wobec Pierwszego za twoją przyjaciółkę? Możesz już iść. Martwi nie ściągają należności...* — zadrwił.

— Gdy próbowałeś ją powstrzymać przed atakiem, chyba nie do końca wierzyłeś, że wygra — odparł Dziki, zaciskając zęby.

— *Rola narzeczonego martwić się o przyszłą żonę...* — wyjaśnił Smutny.

Dziki zauważył, że mimo tego co powiedział w jego głosie nie było słyhać przesadnego zaangażowania. — Pierwszy mówił mi, że miałeś już rodzinę, którą kochałeś — stwierdził ironicznie. — Czyżbyś wreszcie pogodził się ze stratą? Wygląda na to, że jednak potrafisz żyć dalej. Trochę hipokryzja, nie sądzisz?

W tym momencie ziemia pod stopami Dzikiego zadrżała, a głos Smutnego nabrał gniewnej, rozedrganej barwy — *Co ty możesz wiedzieć o moim cierpieniu! PIĘĆ LAT, DZIKI! Od pięciu lat robię wszystko by je odzyskać! I niestety w końcu zrozumiałem jedną rzecz: kto umarł, już nigdy nie wróci jako człowiek!*

— To mocno ogranicza twoje CV jako przyszłego boga Krańcowo — prychnął Dzik z kpiną. — Przyznaj po prostu, że nie chciało ci się dłużej próbować.

Smutny zasyczał zawistnie — *Gdybyś miał szansę przeżyć dzisiejszy dzień, życzyłbym ci, byś zobaczył kogoś, kogo kochasz, zmienionego w potwora. Na twoje szczęście, wasza śmierć w pełni mnie usatysfakcjonuje, więc nigdy nie poznasz, co to znaczy prawdziwy ból!*

Dziki zacisnął wargi, a w jego oczach odbiły się dawne wspomnienia. Łzy powróciły, tym razem nie z powodu dymu czy bólu oczu, ale z żalu i gniewu, które wciąż w nim tkwiły.

— Nawet nie wiesz, jak się mylisz... — westchnął cicho.

Smutny nie odpowiedział. Głos ucichł, zostawiając Dzikiego samego z jego wspomnieniami i emocjami.

Tymczasem na placu Pierwszy powoli podnosił się spod powalonego płotu otaczającego kościół. W wyrwie, którą wybił plecami, sterczały połamane słupki i resztki siatki. Nadia nie zamierzała jednak dać mu nawet chwili wytchnienia. Podbiegając, wyprowadziła potężny cios, lecz mężczyzna, krzyżując ręce, zablokował go z niewiarygodną precyzją. Fala uderzeniowa, jaka powstała po tym uderzeniu, rozdarła na strzępy to, co pozostało z ogrodzenia, a odłamki drewna i metalu uderzyły w pobliski budynek, roztrzaskując jego okna i rysując ściany.

Nadia, wpadając w szal, zaczęła wymierzać kolejne ciosy, każdy silniejszy od poprzedniego. Pierwszy stał jednak niewzruszony.

— Potrafisz tylko się bronić?! — ryknęła prezydent z wykrzywioną twarzą.

Pierwszy, niemal znużonym tonem, odpowiedział krótko — Nie — i zanim Nadia zdolała zareagować, wymierzył jej policzek tak potężny, że kobieta wykonała w powietrzu groteskowy półobrót, po czym runęła na ziemię metr dalej. Zdumiony Dzik aż wstrzymał oddech, widząc ten pokaz siły.

Oszołomiona i wściekła prezydent w okamgnieniu zmieniła strategię. Zamiast wzmacniać tkanki, zaczęła je przeobrażać. Jej ręce błyskawicznie spuchły do rozmiarów, których nie powstydzilby się Dziad, aż z łatwością chwyciła Pierwszego jak muchę.

Widząc to, Dzik wystrzelił w przód, chcąc ratować kompana, lecz zanim zdążył dobiec, z dłoni Nadii bryzgnęła krew. Olbrzymie palce odpadły, odcięte jak połamane parówki, a Pierwszy, ociekając posoką, wytoczył się z pozostałości potwornie zdeformowanej ręki.

Kobieta krzyknęła wściekle, cofając się i natychmiast przywracając kończyń normalne rozmiary. Przyglądała się teraz swoim skrótom o połowę palcom z niedowierzaniem i gniewem.

— Ty sukinsynu... Chciałam to zrobić szybko, ale skoro tak... — zaczęła, lecz jej groźby przerwał wachlarz noży, które wystrzeliły z rękawa Pierwszego niczym lucznicza salwa.

Ostrza wbiły się kobiecie w tors i szyję, lecz ta tylko prychnęła, strącając je z siebie jednym, zirytowanym ruchem dłoni. Rany zabiłzniły się natychmiast, jakby Nadia chorowała na najbardziej agresywną formę defektu.

— Noże? Kpisz sobie ze mnie!? — warknęła, widząc, jak Pierwszy powoli się podnosi, otrzepując z kurzu i poprawiając maskę.

Mężczyzna spojrzał na nią chłodno, bez cienia zaskoczenia w oczach.

— Możecie ze Smutnym opowiadać sobie bajki o boskości — stwierdził chłodno. — Prawda jest natomiast taka, że wszyscy jesteśmy ludźmi. Twoja regeneracja, siła, szybkość, to tylko błędy, które kontrolujesz. Jeśli zdążę zadać śmiertelny cios, zanim ich użyjesz, po prostu umrzesz.

Nadia uśmiechnęła się szyderczo, a jej palce zaczęły odrastać w zastraszającym tempie.

— Może w takim razie jesteśmy półbogami? Co z tego, skoro nie zaskoczyłeś mnie niczym szczególnym. Smutny straszył mnie tobą niczym mitycznym pogromcą, którego należy się wystrzegać. Wciąż twierdził, że nie da się z tobą wygrać, a tymczasem nie potrafisz nic, co by mnie zadziwiło... — stwierdziła z kpiną w głosie, beczelnie mierząc Pierwszego spojrzeniem.

— Nie jestem pogromcą... — przerwał jej Pierwszy. — Ani mordercą. Ja tylko się bronię, nigdy nie atakuję. Jedyne, czego chce moja Wola, to abym przetrwał, a odkąd zaczęliśmy walczyć, boję się o życie bardziej niż kiedykolwiek — stwierdził dobitnie.

— I co w związku z tym? — spytała sarkastycznie kobieta, wykrzywiając usta w pogardliwym uśmiechu.

— To — odparł Pierwszy i cisnął w nią nożem.

Nadia zaśmiała się, jakby chciała zakpić z tego ataku, ale niemal natychmiast kolejne ostrze przecięło powietrze, trafiając ją w tors. Kobieta skrzywiła się zaskoczona, po czym przybrała wyraz twarzy, jakby ktoś rzucił jej pod nogi cuchnący ochlap.

— Dość tego! — warknęła, próbując utrzymać swój autorytet. — To już nawet nie jest żalosne... — próbowała dokończyć, gdy następny nóż rozciął jej nogę. — PRZESTAŃ W TEJ CHWILI! — ryknęła. W jej oczach pojawił się kipiący gniew.

— Nie — odparł krótko Pierwszy i zaczął ciskać nożami jeszcze szybciej.

Wściekła Nadia próbowała odbijać lecące ku niej ostrza Wolą, ale ich liczba rosła w postępie geometrycznym. Każde kolejne ostrze cięło powietrze

ze świstem, niczym grad stalowych sztyletów. Kobieta usiłowała desperacko wzmocnić swoje ciało, a gdy to nie wystarczało, zaczęła je powiększać, chcąc w ten sposób zyskać przewagę fizyczną. Jednak i to nie pomogło.

Wbijały się w jej ciało w takiej ilości, że zaczynała przypominać groteskową poduszkę naszpikowaną szpilkami. Pierwszy ani na moment nie zwolnił jednak ataku. Jego ramiona i dłonie rozmywały się od tempa, z jakim wypuszczał kolejne ostrza. Stalowe klingi oblepiały Nadię, aż w końcu upadła na ziemię z głuchym łoskotem. Trudno było w tym stalowym potworze rozpoznać człowieka, którym jeszcze przed chwilą była.

Pierwszy przystanął w końcu nad bezkształtnym truchłem, od którego biła mdła woń krwi i rozgrzanego metalu. Westchnął ciężko, jak ktoś, kto po prostu dokończył męczące zadanie.

— Gwiazdy nie spadły w momencie twojej śmierci, a czas się nie zatrzymał — stwierdził cicho. — To chyba znaczy, że dla świata byłeś tylko człowiekiem...

Dziki doskoczył błyskawicznie do kompana.

— Zabieś ją? Jak?! Jakim cudem byłeś w stanie przyzwać aż tyle noży? — zapytał ochryple, wciąż starając się pojąć, co właśnie zobaczył.

— Moja Wola rośnie nieproporcjonalnie do siły wroga — wyjaśnił spokojnie Pierwszy, otrzepując kurz z ramion. — Gdy przeciwnik jest słaby, przewyższam go tylko nieznacznie i wciąż mogę przegrać. Ale gdy stoję naprzeciw istot tak potężnych jak oderwani od ciała, zaczynam być wręcz absurdalnie silny.

— Smutny o tym wiedział? Niewiele zrobił, by ją powstrzymać... — stwierdził zdziwiony Dziki, rozglądając się po zniszczonym otoczeniu.

— Też myślałem, że bardziej mu na niej zależy... — westchnął Pierwszy. — Tylko w takim razie co skłoniło go do wsparcia Zarzecza? — dodał, mrużąc oczy i zastanawiając się nad zagadkową motywacją Smutnego.

Gdy mężczyźni stali nad ciałem Nadii, z wnętrza kościoła dobiegła narastająca wrzawa. Wiwaty i stłumione oklaski niosły się echem przez dziurę w drzwiach, a lekarze opiekujący się wcześniej ciałami wybiegli ze środka z przerażeniem na twarzy.

— Daniel wygrał? — zapytał z niedowierzaniem Dziki, wytrzeszczając oczy.

— Biegiem! — rzucił krótko Pierwszy, po czym obaj ruszyli w stronę wejścia, przeskakując nad oderwanymi deskami i kawałkami murów.

Gdy wpadli do wnętrza świątyni, zobaczyli Braci oklaskujących Wodza. Daniel otoczony był przez zwłoki Niewykształconych, a przed nim stał Delimer z wgniecioną od uderzeń maską.

Obserwujący tę scenę członkowie Armii nie ustawali w wykrzykiwaniu zachęt i błagalnych próśb o jeszcze więcej bólu zadawanego potworowi — DANIEL!!! NASZ WÓDZ NIEPOKONANY!!! ZA WSZYSTKICH, KTÓRZY ZGI-NĘLI!!! ZETRZYJ GO NA PROCH!!! MĘCZ GO!!! MĘCZ SKURWIELA, JAK NAJDŁUŻEJ!!!

Rozjuszony Delimer wznosił masywne ramiona i przypominając wściekłego goryla, spróbował rąbnąć nimi w Daniela. Wódz błysnął unikając ciosu, a bestia walnęła w posadzkę z siłą, która poruszyła fundamenty kościoła. Pył wzbił się momentalnie w górę, a na marmurowej podłodze pojawiła się ogromna wyrwa.

Daniel, pojawiając się tuż przy boku potwora, wyprowadził precyzyjny cios prosto w środek jego maski. Przyciemnione szkło eksplodowało w fontannie odłamków, odsłaniając parę wyjątkowo dużych, mętnych oczu.

Wiwaty wzmożyły się, a Wódz wyglądał, jakby triumf miał już w garści. W tym samym momencie jednak coś odwróciło uwagę wszystkich. Smutny, dotąd unoszący się ponad tabernakulum, zaczął powoli opadać. Lądując na miejscu dawnej ambony, spojrzał na swoje ręce, jakby widział je po raz pierwszy od dawna. W jego oczach zaśniły iskry życia, a głowa przestała zwisać niczym bezwładna lalka.

— Obrzydliwe uczucie... — westchnął, rozglądając się po sali. — Nie pamiętam już, kiedy ostatnio siedziałem w swoim worku.

Na dźwięk jego głosu Delimer oderwał się na chwilę od walki i spojrzał w stronę mężczyzny, a Smutny szepnął do niego uspokajająco — To wciąż ja.

Potwór o dziwo skinął głową, po czym znów zwrócił pogniecioną maskę ku Danielowi. Ten, zignorował go jednak i zwrócił się drwiąco do Smutnego — Czyżbyś zrozumiał już swoje położenie i nie chcesz tego przeciągać?

Smutny nie odpowiedział mu, skupiając się na wchodzących do kościoła Pierwszym i Dzikim — Pierwszy! Zabiłeś Nadię! — zawołał, a jego twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie. — Choć była tylko trybem w moim planie i nie mogła równać się mojej ukochanej Wiktorii, to jednak coś nas łączyło. Nie mogę zrobić ci krzywdy w sensie fizycznym, ale chcę, byś wiedział, że gdy już uporam się z twoim pyszałkowatym kuzynem, zabiję Dzikiego... a potem Zjawę... a potem każdego człowieka, do którego chociaż raz się odezwałeś w tym świecie. Będziesz żył ze świadomością, że sama twoja obecność sprawdza tylko śmierć. Może w końcu sam odbierzesz sobie życie, tak jak planowałeś...

Słowa Smutnego zawisły w powietrzu, a Bracia zamilkli na sekundę, zszokowani taką deklaracją. Daniel prychnął z pogardą, starając się pokazać, że takie groźby nie robią na nim wrażenia.

— Butny do samego końca! — rzucił z kpiną. — Myślisz, że ten Delimer mnie powstrzyma? Mogłem go minąć i zabić cię wieki temu. JA SIĘ Z TOBĄ BAWIĘ...

Smutny przeniósł spojrzenie z Pierwszego na Daniela. W jego oczach malowała się teraz zimna, lodowata determinacja — Jeszcze kilka minut temu miałbyś na to szansę, ale już jest za późno. Wiem, na czym polega twoja Pierwotna Wola i za chwilę pozbawię cię jej źródła.

— Kiepski blef — syknął Daniel, ale jego głos zadrżał lekko, ledwie zauważalnie dla obserwujących.

Smutny uśmiechnął się pod nosem, spoglądając na Wodza z ironicznym błyskiem w oku.

— To nie blef, ale muszę przyznać, że zadałem sobie sporo trudu, aby to odkryć. Miałem masę popleczników obserwujących cię i dostarczających dziesiątki raportów, lecz nikt nie zbliżył się nawet do rozwiązania zagadki. Nawet teraz musiałem grać na czas, by upewnić się, że się nie mylę, bo to mogłoby mnie kosztować życie... — powiedział, jakby chwalił się własną przenikliwością.

— Więc, czym niby jest moja Pierwotna Wola? — spytał w końcu Daniel, jakby był pewien, że jego sekret jest nie do odkrycia.

— To „podziw” — odparł Smutny, a dłoń Wodza drgnęła. — Muszę przyznać, że genialnie to rozegrałeś. Cała twoja Armia, propaganda, granie dobrego wujka, gromadzenie wokół siebie ludzi słabych psychicznie, którzy będą na ciebie patrzeć jak na zbawcę. Każdy element Strefy Głodu został tak zbudowany, aby wzmacniać to z pozoru bezużyteczne źródło. Bo wiesz, trudno sprawić, by ludzie cię szanowali, a jeszcze trudniej by naprawdę cię podziwiali. Tobie jednak się to udało! Zgromadziłeś dziesiątki wiernych, wpatrzonych w ciebie jak w święty obrazek, gotowych klaskać i dopingować, by twoja Wola rosła w siłę... Problem w tym, że o wiele łatwiej stracić podziw, niż go zdobyć.

Daniel na moment znieruchomiał, wyglądał na zbitego z tropu, ale w końcu pokonał zaskoczenie i odzyskał swój dumny wyraz twarzy. Zaklaskał przeciągle, kłaniając się przed Smutnym, jak aktor po spektaklu — Brawo, rozgryźłeś mnie... — przyznał z ledwie wyczuwalnym żalem. — Ale to nie zmienia faktu, że wciąż mam dość ludzi i mocy, by powiesić twoje flaki na mojej wystawce!

— I tu się mylisz! — stwierdził pewnie Smutny. — Ludzie, których odprowadziłeś po szpitalu, nie mieli już dość wiary, by za tobą pójść. Ci, co byli jeszcze przed chwilą pod Magistratem, właśnie zaczynają szeptać: „Nasi towarzysze ginęli, a gdzie jest nasz Wódz? Zostawił nas i uciekł...” Twoją ostatnią baterijką jest ta banda pajaców bez Pierwotnej Woli na tyłach kościoła. A wiesz, jaki jest największy problem z ludźmi bez Pierwotnej Woli? Łatwo ich kontrolować.

Ciało Smutnego, wiszące w powietrzu, nagle upadło bezwładnie. W tej samej sekundzie brat Adrian przyłożył sobie pistolet do skroni i strzelił bez chwili zawahania.

— Nie! — ryknął Daniel, wyciągając rozpaczliwie rękę w stronę upadającego kompana. — Ty skurwysynu! ROZERWĘ CIĘ ZA TO!!!

Wódz rzucił się naprzód jak kula wystrzelona z armaty, ale w tym momencie Delimer chwycił go za bluzę z niewyobrażalną siłą i pociągnął do tyłu, wbijając w jedną ze skrzyń.

Pierwszy widząc to, chwycił za broń i wybiegł przed Niewykształconego, mierząc mu prosto w maskę. Delimer wychylił się, szykując do uderzenia mężczyzny, ale Smutny, krzycząc z nieokreślonego miejsca, powstrzymał go ostrym rozkazem — NIE! On jest dla ciebie jak mucha! Ignoruj go!

Potwór natychmiast zaniechał ataku na Pierwszego, mimo że ten zasypał jego twarz gradem pocisków, i zaczął się powoli zbliżać do Daniela.

Wódz podniósł się, drżąc z wściekłości.

— Dobrze, więc najpierw ty... — wyszczał przez zęby, zaciskając pięści.

Z szybkością i siłą przekraczającą ludzkie możliwości zaczął okładać maskę Delimera, aż w pewnym momencie z podziurawionego metalu wystrzełyły iskry. Potwór cofnął się, nieco zaskoczony gradobiciem ciosów. Właśnie wtedy Dziki dostrzegł swoją szansę.

Zarzucając ręce na plecy, wybiegł przed leżące bez życia ciało Smutnego, próbując uderzyć w nie skrzydłami motyla. Nim jednak zdołał skupić wystarczającą ilość Pierwotnej Woli, usłyszał krzyk: — UWAŻAJ! ON NIE PANUJE NAD SOBĄ!!!

Odwrócił wzrok i zobaczył Brata Wiktora, który celował do niego z broni. Dziki wykorzystał całą zgromadzoną moc, by zrykoszetować wystrzelone przez niego kule.

Gdy tylko Wiktor opróżnił magazynek, natychmiast sięgnął po nóż. Dziki był pewien, że z miejsca rzuci się na niego, ale Brat przycisnął tylko ostrze do własnej szyi i wepchnął je następnie aż po rękkojeść. Krew bryzgnęła mu z gardła, a ciało osunęło się na ziemię.

— Daniel żadnego z was nie ocali... — zakpił Smutny, a Bracia stanęli jak wryci, przerażeni tym, co się dzieje.

W tej samej chwili stało się coś, co wytrąciło Dzikiego z równowagi. Daniel zadawał właśnie kolejny cios Delimerowi, gdy potwór błyskawicznie przechwycił jego rękę. Wódz spojrzał na zaciskającą się stalową pięść, próbując wyszarpnąć kończynę, ale bestia ścisnęła ją z taką siłą, że padł na kolana z rozpaczliwym krzykiem bólu.

Bracia mieli teraz lęk wypisany na twarzach. Ich strach i zwątpienie, zaczęły osłabiać Wodza jeszcze bardziej. Wykorzystując to, Smutny przestał się patyczkować. Przejmując ciało Brata Michała, otworzył ogień do pozostałych członków Armii. Dwóch Łukaszów odpowiedziało ogniem, ale w tej samej chwili Smutny przejął kontrolę nad Adrianem, który ze łzami w oczach zastrzelił ich od tyłu. W ciągu zaledwie kilku sekund Bracia wymordowali się nawzajem, pozostawiając Daniela, Dzikiego i Pierwszego samotnych pośród ciał towarzyszy.

Daniel, pozbawiony wsparcia, złapał się za serce.

— Nie... Bracia, nie... — wyszeptał w rozpacz.

Smutny tymczasem wrócił do swojego ciała, które momentalnie stanęło na nogi. Zbliżając się do unieruchomionego przez Delimera Wodza, spojrzał

na niego z wyższością — Walka z tobą była co najwyżej interesująca. Jesteś zbyt przywiązany do materialnej postaci i jej uciech, by osiągnąć prawdziwą moc. Potworze — zwrócił się do Delimera — wyrwij mu ręce i nogi! Głowę zostaw na koniec.

Dziki wiedział, że jeżeli czegoś nie zrobi, to przegrają. Ponieważ żądza mordu nie odstępowała go nawet na chwilę, rozpędził się i uderzył pięścią w Delimera. Ból rozlał mu się po kostkach, ale to tylko jeszcze mocniej go nakręciło. Bombardując potwora dziesiątkami ciosów, myślał, że uda mu się przebić przez twardą skórę. Niewykształcony stał jednak niewzruszony i po chwili odtrącił go na bok, uderzeniem, które było niewiele słabsze od zderzenia z taranem.

Dziki wyleciał w stronę nawy bocznej. Gdyby nie defekt i rozbudzona Pierwotna Wola, z pewnością już by nie żył, ale nawet teraz zdał sobie sprawę, że to koniec. Daniel miał właśnie przegrać, a Pierwszy, niesprowokowany, nie był w stanie walczyć z pełną mocą.

— Widzisz, Danielu? — spytał Smutny, przyglądając się, jak Delimer unieruchamia Wodza. — Tak właśnie kończy się twoja era w Krańcowie. To ja zbuduję Nowy Świat. Wywyższę tych, których chcę wywyższyć. Potępię tych, których zechcę potępić. Zasiadę na tronie nie jako Wódz, ale jako bóg, a ci, którzy mi się sprzeciwiają, zostaną zniszczeni...

— Nie wziąłeś pod uwagę jednego... — wydyszał Daniel, plując krwią.

— Doprawdy? Czego? — spytał Smutny z lekceważeniem.

— Tego, jak wiele jestem w stanie poświęcić, żeby z tobą wygrać! **A POŚWIĘCĘ WSZYSTKO!!! BO JA JESTEM DANIEL! I JESTEM WŁADCĄ KRAŃCOWA!** — ryknął Wódz, wspierając się na zgiętych kolanach i niespodziewanie wymierzył Delimerowi potężny podbródkowy.

Jego knykie wbiły się w maskę z taką siłą, że niektóre nity zabarwiły się na czerwono.

Bestia ścisnęła potem drugą rękę Daniela, ale ten nie zwracał na to uwagi. Krzycząc z wściekłością, uderzył raz jeszcze, trafiając w podstawę maski. Metal wygiął się jak aluminiowa puszka, po chwili odrywając się z hukiem od twarzy Delimera.

Potwór zawył przeraźliwie, chwytając się za odsłoniętą czaszkę. Po sekundzie agonii runął martwy na posadzkę. Daniel jednak zapłacił straszną cenę za używanie błędów bez choćby odrobiny Pierwotnej Woli. Defekt przebiegał po jego ciele w błyskawicznym tempie. Włosy wypadały mu garściami, opadając na mundur jak popiół, a rysy twarzy zanikały, jakby ktoś wycierał je gumką.

— Teraz ty! — krzyknął, ruszając ku Smutnemu.

Oderwany od ciała uniósł natychmiast rękę, starając się zablokować Wodza niewidzialną siłą. Daniel kroczył pod jej naporem wolno i z trudem, jak gdyby siedł pod straszliwy wiatr, mimo, że nic w kościele się nie poruszało.

— To bezsensowne! — zawołał Smutny. — Nawet jeśli mnie zabijesz, natychmiast umrzesz!

— Jeśli zdechniesz... — wychrypiał Daniel — ... nic nie będzie bezsensowne.

Rozmywający się Wódz, coraz bardziej przypominający widmo, zbliżał się krok po kroku, a Smutny wyskoczył z ciała, by wzmocnić swoją moc. W tym momencie Daniel nie był już w stanie iść do przodu — ledwie utrzymywał się w miejscu, słabnąc z każdą sekundą.

Nagle do leżącego na podłodze ciała Smutnego dopadł Pierwszy. Obrócił nóż w dłoni i wbił go głęboko w szyję bezbronnej powłoki.

— Rozszerzona percepcja nic ci nie pomoże, gdy skupiasz się tylko na jednej rzeczy — stwierdził spokojnie, pochylając się nad martwym ciałem. — To jest piętno człowieka Nowego Świata: dostęp do niemal boskiej mocy, wciąż ograniczony typowo ludzkim umysłem.

Po tych słowach w kościele zapanowała cisza, tak głęboka i niewiarygodna, że Dzikie nie mógł uwierzyć, iż to naprawdę koniec. Po śmierci kogoś tak potężnego jak Smutny można by się spodziewać trzęsienia ziemi, rozdarcia nieba albo pęknięcia murów. Ale nic takiego nie nastąpiło. Jak powiedział Pierwszy — to był tylko człowiek i umarł jak tylko człowiek.

Tymczasem Daniel opadł z sił i z trudem usiadł na schodku przy dawnym ołtarzu. Przy każdym wydechu jego zdeformowane ciało wydawało się coraz bardziej kruche.

— Jak bardzo jest źle? — spytał, spoglądając to na Dzikiego, to na Pierwszego.

— Ciężki defekt — stwierdził Pierwszy, a w głosie brzmiała chłodna szczerłość. — Ostatnie stadium przed śmiercią...

Słyszając to, Daniel prychnął, starając się zachować pozory luzu.

— Cholera, drogo zapłaciłem za tytuł najsilniejszego w Krańcowie...

— To ja go zabiłem, ale niech ci będzie — odparł Pierwszy z lekką ironią, poprawiając maskę.

— Gdybyś tego nie zrobił, to zaraz bym mu się wyrwał! — zaprotestował Daniel, choć jego ton był słabszy i mniej pewny, niżby zapewne tego chciał.

— Albo rozmyłbyś się do końca — skontrował Pierwszy. — Nie sądziłem, że jesteś zdolny do takich poświęceń...

— Jeżeli nie możesz wygrać, przynajmniej spraw, by inni przegrali razem z tobą — wymruczał Wódz, a na twarzy Pierwszego pojawił się mimowolny uśmiech.

— Teraz zabrzmiałeś dokładnie jak Daniel, którego znam... — zauważył.

Nagle całym kościołem wstrząsnęło. Spośród kolorowych witraży spłynęła świetlista kula, lądując pomiędzy nimi i rozświetlając wnętrze łagodnym, ciepłym blaskiem. Daniel zerwał się chwiejnie na nogi. Pierwszy błyskawicznie chwycił za broń, krzycząc — TO SMUTNY!

— NIEMOŻLIWE! — zawtórował mu Dziki.

— Mówiłeś, że nie przetrwa bez ciała! — przypomniał Daniel.

— Może osiągnął poziom, który na to pozwala... — odparł niepewnie Pierwszy, marszcząc brwi.

Tymczasem świetlista kula lewitowała w powietrzu, promieniując łagodnym ciepłem, zupełnie nie przypominając dotychczasowych demonstracji mocy Smutnego. Nagle z jej wnętrza dobiegł cichy, wyraźny głos mężczyzny — Jazń nie może istnieć bez żywego ciała.

— Więc czemu ciągle tu jesteś? — spytał natychmiast Pierwszy, mrużąc oczy.

— Bo jestem dość potężnym użytkownikiem Woli, by spowołnić nieco nieubłaganą śmierć i wiążące się z nią odejście... — wyjaśnił Smutny, a w jego głosie pobrzmiwała dziwna, spokojna melancholia. — Zastanawiałem się, wisząc poza czasem, czy wykorzystać ostatni moment egzystencji na zemstę. Tylko, że umierającemu nie przynosi to ukojenia.

— Więc jeśli nie chcesz nas zabić, czego chcesz? — spytał natychmiast Daniel.

— To proste... Istnieć — odparł głos w kuli. — Ale muszę pogodzić się z pewnymi kompromisami. Posiadam tak rozległą wiedzę o tym Świecie, o jego początkach i błędach, że nawet nie jesteście w stanie tego sobie wyobrazić. Wymienię ją za możliwość dalszego istnienia w którymś z was...

— Pierdol się! — warknął Wódz, ściskając zęby do bólu, podczas gdy Pierwszy jedynie pokręcił głową, mówiąc — Zapomnij.

— Zastanówcie się! — zawołał Smutny z desperacją w głosie. — Mógłbym wyleczyć cię z defektu, Wodzu Armii! Pomóc ci stworzyć świat, o jakim marzyłeś!

— Z największą przyjemnością umrę na defekt, wiedząc, że dzięki temu nie przetrwałes — odparł Daniel stanowczo.

— GŁUPCY! Nie rozumiecie, co odrzucacie! — wrzasnęła Smutny żałośnie. — Byłem o krok od stania się prawdziwym bogiem!

— Pasuję — stwierdził Pierwszy bez wahania.

— Nawet jeśli dałbym ci możliwość odnalezienia Drugiego? Z moją wiedzą mógłbyś ominąć dylatację czasu... — przekonywał, kierując słowa do Pierwszego.

Weteran spojrzał w stronę świetlistej kuli z niepewnością, ale po chwili pokręcił głową.

— Zrobiłeś już dość złego. Drugi nigdy by mi nie wybaczył, gdybym pozwolił ci zachować choć cień istnienia.

W tym momencie do kuli podszedł Dziki, opierając się o nią dłonią powiedział — Pomóż mi oczyścić świat ze zła, a możemy dzielić się moim ciałem...

Daniel i Pierwszy spojrzeli na siebie przerażeni. Nim którykolwiek z nich zdążył zareagować, cały kościół spowila jasna luna, przypominająca blask Błysku.

W pierwszej kolejności do Dzikiego wróciła świadomość. Wiedział, że istnieje. Nie pamiętał tylko kim był i co właściwie teraz robił. Niekończąca się biel otaczała go z każdej strony, a przez jego jaźń przebiegała co jakiś czas pojedyncza myśl. Nagle wszystko zaczęło nabierać kształtu. Biel uwypuklała się, wspomnienia wracały jedno po drugim, nadając jego nieokreślonemu „Ja” osobowość i jestestwo.

W pewnym momencie pamiętał już, że „on” to Dzik i wtedy rzeczywistość przybrała kształt. Nad głową zobaczył źle pomalowany sufit z łuszczącą się farbą i paskudnym zielonym żyrandolem. Pod plecami czuł niewygodny wyleżany materac. Podnosząc się powoli, dostrzegł swoje stopy i brzuch. Po defekcie nie było śladu, tak jak po jego ubraniach i broni.

Dopiero teraz dotarło do niego, gdzie się znajduje. Rozpoznał to miejsce: jego stara kawalerka, której nie widział od Błysku. A jednak był w niej teraz, jakby Nowy Świat tylko mu się przyśnił. Wstał powoli, a w głowie kłębiły mu się niedawno odzyskane wspomnienia. Otworzył starą, skrzypiącą szufladę komody i wyciągnął wytarte jeansy oraz koszulkę. Ubrał się pośpiesznie i przeszedł do niewielkiego pokoju. Tam dostrzegł, że nie jest w domu sam.

Smutny stał zwrócony do niego plecami, obserwując ułożone na półkach pamiątki ze szkolnych wycieczek w góry.

— Patrząc na twoje mieszkanie, doszło do mnie, że dla ciebie Błysk to naprawdę był spory awans społeczny... — westchnął, siadając na wytartym czerwonym fotelu.

— Co tu robisz? — spytał Dzik, wciąż czując niezliczone luki w pamięci i nie pojmując w pełni sensu tego, co się wydarzyło.

— Wpuściłeś mnie — odparł mężczyzna bez cienia wątpliwości. — Trochę to dla mnie niespodziewane — przyznał. — Szczerze powiedziawszy, gdy rzuciłem propozycję, liczyłem na złamanie się porażonego przez defekt Daniela... No, ale gdy się umiera, nie można wybrzydząć.

Dziki poczuł, jak wszystkie wydarzenia sprzed chwili wracają do niego z pełną mocą. Przypomniawszy sobie kulę światła, własną rozpaczliwą decyzję i to, jak kierowany wewnętrznym szaleństwem dopuścił Smutnego do swojej głowy.

— Gdzie my w ogóle jesteśmy? Co z Danielem i Pierwszym? — wyrzucił z siebie zdezorientowany.

— Znajdujemy się w miejscu poza czasem, acz ciągle jeszcze w przestrzeni — odparł wymijająco Smutny. — Jeśli zaś chodzi o twoich towarzyszy,

z naszej perspektywy utknęli w nieskończącym się biegu, chcąc powstrzymać cię przed wpuszczeniem mnie do swojej głowy.

Mówiąc to, Smutny włączył telewizor stojący w kącie pokoju. Na ekranie pojawił się nieruchomy obraz wnętrza kościoła. Daniel i Pierwszy zastygli w nim jak posągi, wyciągając ręce w stronę Dzikiego. Przyglądał się temu przez chwilę, aż w końcu zapytał — Zanim wyjawię ci moje sekrety, muszę zapytać o jedną rzecz... Dlaczego właśnie ty się zdecydowałeś?

Dziki odwrócił wzrok od telewizora i spojrzał na Smutnego. Wspomnienia w jego głowie ułożyły się w końcu pełny obraz, a razem z nimi powrócił ból, gniew i świadomość tego co pchnęło go do podjęcia tej szalonej decyzji.

— Bo mam już dość bycia bezsilnym... — odparł Dziki, czując, jak żal i gorycz ściskają mu gardło. — Nie chcę nigdy więcej doprowadzić do sytuacji, w której nie jestem w stanie nic zrobić. Nie mam zamiaru więcej znosić tego uczucia, gdy bliscy mi ludzie umierają, a ja nie mogę im pomóc... Mam zamiar naprawić Krańcowo, uczynić je takim, jakie powinno być!

Smutny popatrzył na niego wyraźnie zaskoczony, jakby spodziewał się zupełnie innej motywacji.

— Ciekawa idea. Chociaż trochę niezgodna z moją. Niemniej to twoje ciało, więc pójdziemy za twoją myślą — stwierdziła, wyłączając telewizor i siadając w fotelu. — Zaczniemy więc. Pytaj, o co chcesz, a jeśli będę znał odpowiedź, odpowiem szczerze...

Dziki usiadł naprzeciwko niego, spoglądając mu w oczy. Postanowił zacząć od najbardziej oczywistej sprawy.

— Mówiłeś, że wiesz, jak powstało Krańcowo...

— Aaa tak — wtrącił Smutny, opierając się wygodnie. — Kwestia, która nie daje spokoju każdej myślącej istocie w naszym mieście... Czym tak naprawdę był Błysk? Skąd się wzięliśmy? Dlaczego nasze miasto, jest takim chodzącym koszmarem?

— Mylę się, czy przeciągasz? — wtrącił Dziki niecierpliwie.

Smutny uśmiechnął się pod nosem, opierając głowę o fotel. — Raczej dramatyzuję, bo to, co za chwilę usłyszysz, jest w istocie dramatyczne i trudne do wyjaśnienia. Mimo wszystko spróbuję to zrobić łopatologicznie, tak by nawet ktoś na twoim nikłym poziomie to zrozumiał...

Dziki zignorował tę uszczypliwość i wsłuchał się w słowa Smutnego.

— Wyobraź sobie nasz świat Dziki, ale nie tylko Nowe Krańcowo... Cały nasz świat. Ziemię, wszystkie planety układu słonecznego, galaktykę, skupiska galaktyk, całą możliwą przestrzeń... I wyobraź je sobie jako jeden pojedynczy punkt. Pojedynczy bąbel na dnie garnka z wrzącą wodą. Ten garnek to cała możliwa rzeczywistość, a te bąble to podobne do naszego rodzące się i umierające światy. Każdy ze swoimi prawami fizyki i zasadami, których nie można łamać. W jednych prędkość światła w próżni można przekroczyć, w innych na-

sza sekunda trwa tamtejsze stulecia, niektóre z nich umarły nim zdążyły się dobrze rozwinąć, a inne ciągle istnieją...

— No i co z tym naszym bąblem? — spytał Dziki, czując, że zaraz całkiem pogubi się w tym wykładzie.

— Umarł... — odpowiedział Smutny dramatycznym głosem. — I na dodatek, nie istniał zbyt długo...

— Jak to umarł? — Dziki spojrzał na niego z niedowierzaniem. — Przecież my wciąż żyjemy! Nasz świat, ludzie, miasto, to wszystko nadal tu jest!

Smutny pokręcił głową, patrząc na niego jak na dziecko, któremu trzeba wytłumaczyć najbardziej podstawowe sprawy.

— Bo patrzysz na wszystko w mikroskali — stwierdził dobitnie. — Czy gdy człowiek umiera, całe jego ciało nagle się wyłącza?

— No... chyba nie... — przyznał Dziki, a Smutny kontynuował:

— Właśnie. Kiedy uznajemy człowieka za zmarłego, wiele jego komórek wciąż żyje, próbując przetrwać jeszcze jakiś czas. Nasze Krańcowo jest taką właśnie komórką, ocalałym fragmentem umarłego wszechświata. Walczącą o utrzymanie zasad, starającą się grać wedle niezapisanych reguł, ale skazaną w tym boju na porażkę...

Dziki poczuł w tym momencie prawdziwe przerażenie. — Zaraz? To znaczy, że to już koniec? Nie ma nadziei na nic? Będziemy po prostu czekać, aż ziemia się rozpadnie? — w tym momencie przez jego gardło przeszło chyba najtrudniejsze pytanie. — Ile nam zostało? Rok? Dwa?

Smutny zaśmiał się. — Znowu ta twoja mikroskala, Dziki. Pomyśl. Człowiek żyje siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat, a po śmierci niektóre jego komórki potrafią funkcjonować jeszcze przez dni czy tygodnie. Wszechświaty istnieją eonami. Jeśli nasz umarł, to zapewniam, że nie dożyjesz jego całkowitego rozpadu.

Dziki oparł głowę o stół, jakby jego umysł ledwo wytrzymywał napływ nowych informacji.

— Czyli Krańcowo będzie istniało dalej?

Smutny skinął na potwierdzenie głową.

— Z naszej perspektywy być może miliony lat. Mało tego, istnieją inne miasta, które także przetrwały. Do niektórych być może kiedyś dotrzemy, inne zanikną w samotności.

— Dużo tego... — westchnął Dziki, odrywając w końcu czoło od ławy.

— Nie mówiłem, że to będzie łatwe... — zauważył Smutny. — Jedyne to, że udzielę szczerych odpowiedzi.

Dziki wziął głębszy wdech. — No dobrze, ale skoro świat umarł. To skąd się wziął Reset? Albo inne błędy? Kim są Niewykształceni? Dlaczego pojawia się Błysk?

Smutny podrapał się po brodzie, jakby porządkując w głowie odpowiedzi.

— Sporo pytań naraz... No dobrze po kolei. Musisz zrozumieć, że czas nie płynie już w normalny sposób. Tak naprawdę od momentu śmierci naszego świata, egzystujemy w jego wycinku, sięgającym jakiś osiemnastu godzin. Z drugiej strony, nasz świat ciągle próbuje zachować przynajmniej część zasad, z którymi się narodził. Zmiany przychodzą z czasem, a ponieważ czasu płynącego już nie ma... Zmiany nie mogą następować. Gdy Krańcowo zbyt bardzo zaczyna różnić się od swojej formy z tego osiemnastogodzinnego wycinka, walcząca o spójność „rzeczywistość” przywraca go częściowo do pierwotnej postaci. Oczywiście czyni to na zasadzie cofającego się czasu, w naszym fragmencie. Jako że nasze umysły tolerują ruch czasu tylko w jedną stronę, masz te wszystkie nieprzyjemne efekty związane z Błyskiem...

— No dobra... — westchnął Dziki, któremu po części zaczynało się to już układać. — W takim razie, dlaczego ludzie nie wracają? To znaczy, zmieniają się w potwory...

Smutny popatrzył na niego z nieprzeniknioną miną. — Bo w pojedynku ateści - wierzący, to ci drudzy zdobyli punkt. Dowodów na istnienie jakiegoś myślącego bóstwa do tej pory nie znalazłem, ale wygląda na to, że istnieje w człowieku jakiś „unikatowy fragment”, który czyni go wyjątkowym w skali wszechświata. Ten fragment otrzymuje się w momencie narodzin i odchodzi on, nie wiadomo gdzie, w momencie śmierci. Najśmieszniejsze jest to, że cały świat ze swoją mocą, nie jest w stanie przywrócić takiego fragmentu. Dlatego zmarli po Błysku nie wracają jako prawdziwi ludzie. Brakująca część wypełniana jest przez błędy i inne abstrakcyjne rzeczy, byleby tylko dojść do jakiejś równowagi.

— Chcesz powiedzieć, że mamy duszę? — spytał Dziki.

— Woląłem unikać takich porównań, bo jednak w Starym Świecie byłem ateistą... — odparł Smutny, wyraźnie rozdrażniony — ..., ale dla wygody, możesz to sobie tak nazywać. Z tego też powodu w Krańcowie nie rodzą się dzieci, od momentu śmierci naszego świata, nowe „fragmenty” przestały się pojawiać. Najwidoczniej są niezbędne do poczęcia...

— Wow... — odparł Dziki, który czuł się po prostu, jakby zaczął odkrywać rzeczywistość na nowo. — To w takim razie, skąd u nas możliwość kontrolowania błędów?

— To jest dopiero ciekawe zagadnienie — stwierdził Smutny. — Wszystko dlatego, że w naszym świecie to istoty świadome, kreują rzeczywistość. Była kiedyś nawet taka fizyczna teoria, która głosiła, że świat przybiera swoją formę, dopiero gdy narodzi się istota zdolna to zaobserwować. Słyszałeś kiedyś o kocie Schrodinegera?

— Nie... — odparł Dziki.

— Nie dziwie się, to akurat z fizyki kwantowej... — dodał Smutny. — Jeszcze za czasów istnienia naszego świata, fizycy postulowali coś, co nazywało się „efektem obserwatora”. To znaczy, że całkiem nieświadome zjawiska,

zmieniały swoje rezultaty, gdy działały się pod okiem człowieka. Po śmierci świata ta zasada się nieco rozluźniła i sprawiła, że dosłownie mamy wpływ na rzeczywistość, chociaż nie przez samą obserwację, a emocje. Czemu jednak Pierwotną Wolę trzeba najpierw przebudzić? Tego nie wiem... Mogę tutaj odnieść się do jedynej niewiadomej, jaką mam w tym układzie, czyli do „fragmentu”, czy tam tej twojej duszy... Może, trzeba najpierw sprawić, żeby ona do tego dopuściła... Ale to tylko moje domysły.

— Skąd ty w ogóle wiesz to wszystko? — wtrącił Dziki, czując, że ta wiedza wykracza już poza zwyczajne domysły.

— Bo gdy wyrwiesz się z ciała, zmienia ci się percepcja. Zaczynasz dostrzegać rzeczy ponad czasem i przestrzenią, a reszty po prostu się domyśliłem.

Dziki poczuł, że kręci mu się w głowie od nadmiaru wiedzy. Położył się na podłodze i opierając potylicę o chłodne linoleum, ciągnął rozmowę dalej: — Mam jeszcze jedno pytanie, tylko tym razem nic metafizycznego... Dlaczego zmieniłeś zdanie? Dlaczego przyłączyłeś się do Zarzeczca? Śmierć Nadi cię nie obeszła, więc nie chodziło o nią... Czemu?

Smutny spojrzał na Dzikiego, wyraźnie zastanawiając się, czy może się tym podzielić. W końcu odetchnął ciężko i odpowiedział bez przekonania — Dopóki myślałem, że istnieje tylko Krańcowo i okolice, naprawdę nie obchodziło mnie, kto wygra ten konflikt... Wraz z rozwojem Pierwotnej Woli, moja percepcja sięgała coraz dalej, aż dostrzegłem inne żywe miasta, a w niektórych byli podobni do mnie... To mnie przstraszyło. Przyjdzie taki moment, w którym spotkamy się z inną większą aglomeracją, a skłóceni możemy paść łatwo jej ofiarą... Próbowałem zjednoczyć Krańcowo, choćby siłą.

— Czemu zależy ci na tym, żeby Krańcowo przetrwało? — wtrącił ponownie Dziki. — Nic cię tu nie trzyma... Mogłeś po prostu odejść. To udało się nawet Drugiemu, a przecież nie był nawet użytkownikiem Woli...

— Bo do końca nigdy nie straciłem nadziei, Dziki — odparł Smutny, wyraźnie pochmurniejąc. — Ciągłe myślę, że mógłbym jakoś odzyskać „fragmenty” mojej żony i córki, a potem przywrócić je do życia, takie, jakie powinny być...

Dziki zerknął na niego z uwagą. — Teraz rozumiem, skąd twoja propozycja. A co dalej z nami? Mam twoją moc? Będę słyszał twój głos w głowie?

— Podzielię się tym, co wiem i postaram się nie przeszkadzać. Będę raczej podróżował poza przestrzenią, traktując twoje ciało jak kotwicę. Dopóki sam nie oddzielisz jaźni, nie przejmiesz pełni moich umiejętności — wyjaśnił Smutny.

— Nie jestem głupi — przerwał nagle Dziki. — Doskonale wiem, że przez cały czas będziesz kombinował, jak przejąć moje ciało. Dlatego nie mam zamiaru się oddzielać. Chcę tylko wiedzieć jedno. Będę mógł kontrolować Nie-wykształconych zostając w środku?

— Raczej nie... — westchnął Smutny.

Dziki uśmiechnął się chłodno, podnosząc się z podłogi.

— I teraz już wiem, że się nie pomyliłem — stwierdził z przekonaniem.
— Gdy rozkazywałeś Delimerowi, byłeś zamknięty w ciele. Jeżeli nie chcesz, żebym cię stąd wykopał, masz mnie nauczyć kontroli nad potworami... — zażądał, podnosząc się.

— Wpuściłeś mnie, więc mnie stąd nie usuniesz — stwierdził Smutny, marszcząc brwi.

— Chcesz się przekonać? — spytał Dziki, a w całym pomieszczeniu zrobiło się ciemno.

Po chwili fotel, na którym siedział Smutny, zaczął się zapadać. — JAK?!
JAKIM CUDEM!

Dziki uśmiechnął się szeroko, niemal psychopatycznie.

— Bo drzemią we mnie pokłady Woli, których nawet nie jesteś w stanie objąć! — zawołał. — Za długo starałem się żyć wedle zasad, które mnie ograniczały. Teraz wiem, że ludzie nie mogą żyć bez kija nad głową. A ich kijem, mam zamiar zostać ja. Stworzę w tym świecie nowe prawa i będę je egzekwował z najwyższą surowością, uśmiercając każdego buntownika... Łącznie z tobą, jeśli nie będziesz mi posłuszny.

Smutny wyprostował się w fotelu, a na jego twarzy pojawił się lęk.

— Czas wracać do rzeczywistości — powiedział Dziki zdecydowanie.

Epilog

Szara i Zjawa biegły ze wszystkich sił wypatrując świateł pobliskiej Stancji. Od co najmniej kilku minut miały wrażenie, że coś depcze im po piętach. W końcu na skraju asfaltowej drogi zobaczyły dawny bar „Rozdroże”. Miejsce już od dłuższego czasu służyło za nocny przystanek dla podróżujących z Centrum Weteranów i tak jak podobne placówki rozsiane w różnych miejscach miasta, o wiele bardziej przypominało bunkier niż normalny dom.

Dopadając do pancernych drzwi, dziewczyny zaczęły walić w nie pięściami. Gwar dochodzący ze środka ucichł nagle, a po chwili męski głos rzucił pytanie — Kto?

— Misiek otwieraj te drzwi, bo jak ci się przestrzelę na drugą stronę, to będziesz przez tydzień czuł mojego buta w dupie! — ryknęła wściekła Zjawa.

Po chwili pytający przesunął rygiel i wpuścił Weteranki do środka. Wnętrze było wręcz przepełnione ludźmi. Wolni Weterani, handlarze, najemnicy i inni dziwacy siedzieli przy stołach albo próbowali zdrzemnąć się na karmatach pod oknem.

Tuż przy drzwiach stał wysoki brodac z szerokimi ramionami. Jego oczy błysnęły, gdy ujrzał zziębniętą dziewczynę.

— Zjawa, skarbie, od razu rozpoznałem twój uroczy głosik... — uśmiechnął się krzywo.

— Pierdol się, Misiek — westchnęła Weteranka, chwytając za poręcz krzesła, by nie upaść z wycieńczenia. Szara wskazała brodą w stronę wolnego stolika w kącie sali, z dala od najgłośniejszych grup.

— Przynieść wam coś? Mam teraz dobrą cenę na piwo... — zaproponował właściciel baru, zerkając z rozbawieniem na zmęczone Weteranki.

— O tak, marzę po prostu, żeby odvodnić się jeszcze bardziej... Dawaj wodę! — zażądała Zjawa, a jej towarzyszka pokiwała z entuzjazmem głową.

— Wodę? WODE?! — zawołał Misiek z udawanym oburzeniem. — Wolne żarty! Nawet gdybym jakąś miał, to po pierwsze nie byłoby cię stać, a po drugie sam bym ją wypił... Mam piwo bez alkoholu, bierz albo schnij...

— Przynieś dwie butelki... — skapitulowała Zjawa, a potem razem z towarzyszką skierowały się do stolika. Siadając na twardych, rozklekotanych

krzesłach, obie musiały czuć podobny ból w łydkach, bo niemal synchronicznie zaczęły rozmasowywać swoje nogi.

Po chwili, Szara odsunęła z obrzydzeniem przepełnioną popielniczkę.

— Oddychamy w tym miejscu dymem i potem... Na to się krzyw. — wypaliła Zjawą, a jej towarzyszka, opierając głowę o ramię zamarła na chwilę zamyślona.

W tym czasie Misiek przyniósł im dwie butelki piwa bez marki.

— Wasze piwo, czym płaciecie?

— Mamy weksle Faktorii, talenty z Armii, bilety ze Zwrotnicy... — wymieniła Zjawą, zaglądając do portfela.

— Biorę Siwego — zdecydował Misiek, drapiąc się po uchu. — Ten przynajmniej trzyma stałe ceny. Od tego rozproszenia walut można już cholery dostać.

— Jeśli wolisz fana chłopców, to dorzuć nam kolację, bo mam same wysokie nominały... — zadrwiła Zjawą, kładąc portfel na stole.

Misiek podrapał się po głowie i rozejrzał z udawanym żalem po sali.

— Cholera, ta szarańcza prawie wszystko już zeżarła... — zaczął lamentować, ale na widok grubych weksli szybko zmienił zdanie. — Wiecie co? Mam w prywatnych zapasach coś lepszego niż ta pasza, którą karmię te świnię. Pocekalajcie chwilę, zaraz coś wykombinuję!

Szara posłała Zjawie spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Przeplacasz, jak zwykle”.

— Wiem, że przeplacam, nie gap się tak na mnie. Chcesz iść spać bez kolacji? — rzuciła pod nose.

Wysoka blondynka spojrzała na swój zapadnięty brzuch i z krzywą miną pokręciła głową. Nie miała siły protestować.

— No właśnie... — westchnęła Zjawą, otwierając zapalniczką butelki z piwem.

Szara upiła łyk swojego piwa i natychmiast się skrzywiła, jakby połknęła cuchnący wywar. Zjawą spojrzała na nią pytająco.

— Jak siki? Poważnie? — spytała sama biorąc piwo z ust. — I to z niemytego pędzla... — podsumowała z goryczą.

W tym momencie, gdy zdawało się, że potworny smak piwa jest ich największym problemem, sytuacja się zmieniła. Do stolika zbliżyła się grupa mężczyzn, w większości odzianych w szare uniformy przypominające dawne mundury Miasta Przyszodni.

— Cześć, dziewczynki — odezwał się szef grupy niskim, chrapliwym głosem. — Szukacie towarzystwa na tę noc?

Widząc to, przerażony Misiek wybiegł natychmiast zza kontuaru. — Nie, nie, nie... Nie robimy tu dzisiaj, żadnej rozróby! — zawołał dobiegając do stolika.

— Spokojnie... — odparł lider bandy, unosząc dłoń. — Przyszliśmy się tylko zapoznać z koleżankami, a może nawet dać im okazję do zarobienia, za miłe towarzystwo — rzucił z beczelnym uśmieszkiem, gapiąc się wprost na biust Szarej.

Kobieta ścisnęła w rękach butelkę, ledwo powstrzymując wybuch złości, a Zjawa obróciła się ze wściekłą miną. Obie Weteranki było już gotowe dać napastnikowi nauczkę, ale Misiek zareagował pierwszy.

— Nie mówię do ciebie kretynie! — krzyknął w stronę szefa bandy, uderzając go ścierką w kamizelkę. Odwracając się po chwili w stronę Zjawy, zaczął błagać opuszczając głowę. — Proszę cię, kurwa odpuść. Przecież widzisz, że to debile z Zarzecza... Oni nawet nie mają pojęcia kim jesteście.

— Jak przestanie mi teraz śmierdzieć nad stolikiem, to może zapomnę, że go widziałam — odparła Zjawa, biorąc łyk piwa.

— Coś ty powiedziała! — zawołał natarczywy mężczyzna, najeżając się przy tym jakby miał zaraz pęknąć.

— Zamknij się kretynie! — warknął na niego Misiek, ponownie uderzając go szmatą po kamizelce. — Nie rozumiesz, że próbuję ratować ci życie!

W tym momencie upierdliwiec nie wytrzymał i chwycił właściciela baru za szyję. Widząca to Zjawa, zamachnęła się i rąbnęła go pięścią w nos z taką siłą, że mężczyzna padł na podłogę. Jego kompani złapali za noże, ale wtedy z głębi Stancji podeszła grupa uzbrojonych Weteranów.

— Jeśli nie potraficie zachować się w schronieniu, to wypierdalać na zewnątrz! — rzucił jeden z nich.

Mężczyźni rozejrzeli się i widząc, że nie mają przewagi, opuścili noże. Podnosząc swojego szefa, spojrzeli niepewnie w stronę Weteranów.

— Sorry, mieliśmy małe nieporozumienie... — westchnął ich przywódca, zapluwając się krwią z połamanego nosa.

Po chwili napięcie w Stancji opadło, a grupy rozeszły się w swoje stroiny. Misiek, wciąż z czerwonym śladem na szyi, odwrócił się w stronę stolika dziewczyn, ocierając pot z czoła.

— Nic ci nie zrobił? — zapytała Zjawa, przyglądając się mężczyźnie z troską.

— Nie, tylko trochę przydusił... — odparł Misiek, a Szara poklepała go po plecach, gdy odchodził do kuchni.

Zjawa westchnęła głęboko, a na jej twarzy pojawiła się wściekłość.

— Kurwa, ci Zarzeczanie są jacyś dzicy... — warknęła, zerkając na Szarą, która natychmiast uniosła jedną brew w niemym wyrzucie.

— Tak wiem, że teraz większość naszej strony tam mieszka, ale ja mówię o rodowitych Zarzeczanach... Z nimi się nie powinno asymilować... — wyszeptała starając się mówić ciszej.

Szara spojrzała na nią z jeszcze większym wyrzutem, co sprawiło, że Zjawa zaczęła się tłumaczyć nerwowo — Tak Sznur jest z Zarzecza i jest w porządku... Dobrze Bronek, też jest ok... O JEZU DAJ MI SPOKÓJ! — zawołała w końcu, opadając twarzą na stół.

Szara uśmiechnęła się po tym czochrając towarzyszkę po głowie.

— Jutro ruszymy do Przychodni — stwierdziła Zjawa, podnosząc głowę i zmieniając temat. — Podobno szukają ochotników, do oczyszczenia tej hurtowni gazu przy wylocie na Poznań.

Szara skinęła głową, choć wyraz jej twarzy zdradzał, że nie była do końca przekonana. Zjawa zauważyła to i dodała szybko— Spokojnie, po tej akcji robimy sobie urlop... Obiecuję...— dodała, spoglądając na Miśka, który wracał właśnie z kuchni z dwoma talerzami w dłoni.

Na obu ułożone było po kotlecie schabowym, trochę karbowanych frytek i napchana konserwantami surówka z puszki. Zjawa i Szara spojrzały na siebie, wyraźnie uradowane widokiem solidnego posiłku, ale zanim zdążyły sięgnąć po sztućce, do drzwi Stacji zapukała kolejna osoba.

Misiek, podszedł do wejścia i rzucił swoje standardowe — Kto?

— Krzak! — dobiegł głos zza drzwi, który natychmiast przykuł uwagę dziewczyn. Spojrzały na siebie z zaskoczeniem, a potem niemal równocześnie poderwały się z miejsc.

Już po chwili starszy nieogolony mężczyzna wszedł do środka, a Zjawa i Szara doskoczyły do niego rzucając mu się na szyję, wzbudzając przy tym ewidentną zazdrość kilku przebywających tam Weteranów.

— Cholera jasna, nie przypominam sobie, kiedy ostatnio miałem tak miłe powitanie — powiedział Krzak z lekkim śmiechem, klepiąc dawne kompani po plecach.

— Siadaj z nami! — zawołała Zjawa, chwytając mężczyznę pod rękę i prowadząc go do ich stolika.

Mężczyzna widząc gorący posiłek, przełknął odruchowo ślinę i rzucił z uśmiechem — Nie żałujecie sobie...

— Ciągłe nadstawiamy karku, więc się nam należy — stwierdziła Zjawa, a Szara pokiwała entuzjastycznie głową.

— Słyszałem trochę o waszych „robótkach” — powiedział Krzak, sięgając do swojego plecaka po kawałek chleba i kilka pasków suszonego mięsa. — Od rozpadu Sojuszu też nigdzie nie zaczępiłem się na dłużej... Chyba powoli zaczynam doceniać życie samotnika.

Szara, słysząc to, spojrzała na niego smutnym wzrokiem. Mężczyzna jednak tylko uśmiechnął się, unosząc rękę.

— To nie tak, że nie mam się gdzie podziać — stwierdził pewnie. — Mike, zawsze chętnie przywitałby mnie u siebie, ale mam już chyba dość przyzwyczajania się do wygodnego życia, by za chwilę je stracić.

— Myślisz, że Zwrotnica nie przetrwa? — spytała Zjawa, gryząc łapczywie kotleta. — Przecież tam w ogóle nie ma Niewykształconych, jakby omijali z jakiegoś powodu to miejsce...

Krzak zmarszczył brwi i odparł cicho — Oddałbym wszystko żeby przetrwała. Mike, Oli, chłopaki ze Wspólnoty i dziewczyny z autobusu. Oni zasłużyli na spokojne miejsce...

Szara spojrzała na mężczyznę, wymieniając po chwili znaczące spojrzenie ze Zjawą. Ta nachylając się nad stolikiem, wyszeptała — Wiesz, co się dzieje z Wilkiem?

Krzak spojrzał na nią uważnie, a jego twarz spochmurniała. Przez chwilę obserwował otoczenie, upewniając się, że nikt ich nie podsłuchuje, zanim odpowiedział półgłosem — Od połączenia stron i upadku Wspólnoty nie miałem z nim kontaktu. Słyszałem jedynie plotki, że przyłączył się do Zbawiciela...

Szara zrobiła ponurą minę opuszczając głowę.

— To nie plotki... — wyszeptała Zjawka. — Pokarz mu... — dodała po chwili zerkając na Szarą.

Szara wzięła głęboki oddech, próbując opanować drżenie rąk. Sięgnęła do kieszeni kurtki, wyciągając zwitek papieru, który podała Krzakowi.

Ukochana,

Nie mogę zrozumieć, dlaczego mnie unikasz... Tęsknię za Tobą z całych sił i wiem, że Ty też tęsknisz. Dlaczego więc ciągniemy dalej tę grę? Nie przeszkadzało Ci, gdy wspólnie wymierzaliśmy sprawiedliwość w Krańcowie, co więc się teraz zmieniło?

Mnie, Ciebie i Zbawiciela łączą te same idee. Dlaczego nie chcesz być tutaj z nami? Czy naprawdę wolisz patrzeć, jak marnieję w samotności? To już nawet nie kwestia tego, że on mnie uleczył... Nie chodzi o wdzięczność, długi czy zobowiązania. Po prostu, on ma rację!

Za długo patyczkowaliśmy się z ludźmi, którzy czynią zło. Za dużo było prośb, grózb i ostrzeżeń, a za mało prawdziwej kary. Krańcowo prędzej czy później ukleknę przed jego siłą, a ja będę stał u jego boku, pilnując, by sprawiedliwość zatriumfowała. Ale ponad wszystko... pragnę, byś była tam ze mną.

Wiem, że to trudne. Wiem, że masz swoje wątpliwości, ale czy nasza przeszłość i wspólne marzenia nie znaczą więcej niż lęki i niepewność? Jeśli kiedykolwiek byliśmy sobie przeznaczeni, proszę...

Czekam na Ciebie.

Twój na zawsze,

Wilk

— Dziki... — wyszeptał Krzak, oddając dziewczynie list. — Nigdy bym nie przypuszczał, że kiedyś się tak zmieni. Był taki moment, w którym stawiałem na tego chłopaka wszystko. Wydawało mi się, że jest taki dobroduszny...

— Dobroduszny... — prychnęła Zjawą, podnosząc wzrok znad butelki z niedopitym piwem. — Może kiedy się pojawił, rzeczywiście taki był, ale gdy ja z nim podróżowałam... już był na skraju psychozy.

Szara westchnęła, spoglądając na Krzaka, który odpłynął gdzieś myślami. Nagle mężczyzna stwierdził coś, jakby do siebie — Ten świat zmienił każdego z nas...

Zjawą spojrzała na niego z zaciekawieniem, unosząc brew.

— Każdego? — spytała. — Krzak, ty chyba zawsze miałeś kij w tyłku. Nowy Świat po prostu to tylko podkreślił...

Mężczyzna zaśmiał się cicho, a jego wzrok przykuło coś wystającego z portfela Zjawy. Zdziwiony, otworzył usta, a po chwili wyszeptał — To talenty... — wskazał, rozpoznając wystające monety. — Pracowałyście dla Daniela?

Szara natychmiast spuściła głowę, jakby chciała ukryć swoje zmieszanie. Zjawą jednak nie wyglądała na speszoną.

— Nie bezpośrednio — zaczęła wyjaśniać, jakby rzucała te słowa od niechcenia. — W Armii jest taka dziewczyna, Elza. Bardzo dobrze płaci za wszelkie przedmioty związane z błędami. Ciągłe szukają sposobu, by odwlec śmierć Daniela...

Krzak uniósł brwi, kończąc jednocześnie swój skromny posiłek.

— Słyszałem o niej. Ona chyba dowodziła tą grupą, do której przynależał Dzik, na krótko przed atakiem na miasto Przychodnię. Myślałem, że zginęła z resztą oddziału...

Zjawą potrząsnęła głową, biorąc łyk piwa.

— Częstoś się, nie zjem wszystkiego — rzuciła mimochodem, wracając szybko do tematu. — A co do Elzy, ona miała Pierwotną Wolę! Takich jak my, niełatwo zabić...

— No tak... — westchnął Krzak, podbierając frytkę z talerza dziewczyny. — A wiecie coś więcej o Danielu?

Szara zmarszczyła brwi, wyraźnie unikała wzroku mężczyzny. Zjawą odchrząknęła, zanim odpowiedziała — Jego stan, to absolutna tajemnica, ale nietrudno się domyślić, że to raczej ostatnie stadium defektu. Wiedziałam to już od Pierwszego, gdy wrócił z tamtej strony...

Słyszac o mężczyźnie, Krzak aż zeszytniał. — Masz z nim jakiś kontakt?

Zjawą pokręciła głową i z wyraźnym żalem w głosie, stwierdziła — Już nie. To, co stało się z Dzikim, mocno go dotknęło. Myślę, że chciał przez to opuścić Krańcowo...

— Specyficzny człowiek... — mruknął Krzak, jakby mówił do siebie, a ich rozmowę przerwał nagle donośny głos Miśka, który dobiegł zza baru.

— Cisza nocna! Za chwilę gaszę, światła! Wszyscy mordy w kubel i spać...

Zjawą sięgnęła po tym do plecaka i wyciągnęła z niego koc, zerkając kątem oka na Krzaka.

— Jeśli wybierasz się jutro na Zarzecze, możesz iść z nami. Dokończymy rozmowę — zaproponowała.

Mężczyzna skinął głową i sam sięgnął do plecaka po śpiwór. — Czemu nie! Do trzech się wam jeszcze nie dokładałam.

Zjawa parsknęła, układając się głową na stole. Gdzieś w tle słychać było jeszcze przytłumione szepty innych Weteranów, zanim Stancja zapadła w nieco nerwowy, ale potrzebny sen.

